



Peter F. Hamilton

Otchłań bez snów

The Abyss Beyond Dreams

Tłumacz: Zbigniew A. Królicki

Tom 1 z cyklu Kronika Wspólnoty Narodów



redakcja: WUJO PRZEM
(2017)

*Mojemu agentowi,
Antony'emu Harwoodowi*

Po dwudziestu latach chyba najwyższy czas, żebym podziękował.

CHRONOLOGIA WSPÓLNOTY

1 000 000 lat p.n.e. (około)

Armada raieli najeżdża Pustkę i znika bez śladu.

A.D.

1200 Ojczysty układ planetarny naczelnych oraz ich zbuntowana kolonia (Para Dysona) objęte kwarantanną przez zamknięcie polami siłowymi przez anominów.

1900 Gwiazdokrażca awaryjnie ląduje na Far Away, 400 lat świetlnych od Ziemi.

2037 Jeff Baker podejmuje pierwszą próbę odmłodzenia człowieka.

2050 Nigel Sheldon i Ozzie Isaacs otwierają wormhol na powierzchni Marsa.

2057 Otwarcie wormhola na Proximie Centauri. Początek kolonizacji międzygwiazdnej.

2100 Zasiedlenie ośmiu nowych światów. Oficjalne utworzenie Międzygwiazdnej Rady Wspólnoty, czyli „parlamentu światów”.

2100 i później Masowa ekspansja ludzkiego osadnictwa na planety nadające się do zasiedlenia. Powstanie Wielkiej Piętnastki przemysłowych planet.

2102 Utworzenie Azylu Huxleya, powstanie genetycznego konformizmu.

2150 Gwiazda Prime znika z nieba Ziemi – niepostrzeżenie.

2163 Odkrycie „Wysokiego Anioła” orbitującego wokół Icalanise.

2222 Na Azylu Huxleya rodzi się Paula Myo.

2270 Para gwiazd Prime zidentyfikowana jako bliźniacza para emitująca spektrum Dysona.

2380 Dudley Bose zauważa zniknięcie Alfego Dysona.

2381 Gwiazdolot „Druga Szansa” leci na Alfego Dysona.

2381-2383 Wojna Gwiazdokrażcy.

2384 Pierwsza flota kolonizacyjna (dynastii Brandt) wyrusza, by założyć ludzką kolonię poza Wielką Wspólnotą.

2545 i później Wykorzystanie dużych gwiazdolotów do zakładania Światów Zewnętrznych Wspólnoty.

2550 Utworzenie wspólnotowej Floty Eksploracyjnej mającej badać galaktykę poza Światami Zewnętrznymi.

2560 Dowodzony przez kapitana Wilsona Kime'a statek badawczy Wspólnoty „Endeavour” okrąży galaktykę, odkrycie Pustki.

2603 Flota odkrywa siódmy statek typu „Wysoki Anioł”.

2620 Raiele potwierdzają swój status prastarej galaktycznej rasy, która przegrała wojnę z Pustką.

2833 Zakończenie pierwszej fazy ZAN (Zaawansowanej Aktywności Neuronalnej) na Ziemi. Członkowie Wielkiej Rodziny zaczynają ładować zasoby pamięci do ZAN.

2867 Rozpoczęty przez dynastię Sheldon projekt megażycia zakończony częściowym sukcesem; otrzymanie pierwszych biono-nicznych suplementów do regeneracji i medycyny ogólnej ludzkiego ciała.

2872 Początek ludzkiej kultury Wyższych; bioniczne wzbogacenie pozwala na zwolnienie tempa życia; odrzucenie konsumpcjonizmu i przestarzałych koncepcji politycznych.

2913 Ziemia zaczyna wchłaniać „dojrzałych” osobników do ZAN i rozpoczyna się migracja wewnętrzna.

2984 Utworzenie radykalnych Wyższych, którzy chcą narzucić ludzkiej rasie swoją kulturę.

3000 Flota kolonizacyjna dynastii Sheldon (trzydzieści gwiazdolotów) opuszcza Wspólnotę, podobno mając zdolność odbywania transgalaktycznych lotów dalekiego zasięgu.

3001 Ozzie uzyskuje efekt jednorodnego powiązania neuralnego, nazwany gajapolem.

3040 Wspólnota zostaje zaproszona na Stację Centurion, gdzie różne rasy obcych pod kierownictwem raieli prowadzą obserwacje Pustki.

3120 ZAN oficjalnie staje się rządem Ziemi, której łączna populacja wynosi około pięćdziesięciu milionów (aktywowanych ciał) i zmniejsza się.

3126 Transgalaktyczna flota kolonizacyjna dynastii Brandt wyrusza w drogę.

3150 Zasiedlenie planety Ellezelin ze Świata Zewnętrznego.

3255 Kerry, radykalny Wyższy Anioł, przybywa na Anagaskę za sprawę Inigo.

W tym czasie (dokładnie nieustalonym) W Pustce rodzi się Edeard.

3320 Inigo wyrusza w podróż służbową po układzie gwiazdnym Centuriona i ma pierwszy sen.

3324 Inigo osiada na Ellezelinie, zakłada ruch Świętego Snu, rozpoczyna budowę Makkathranu 2.

LISTA POSTACI

Wspólnota

Nigel Sheldon – wynalazca technologii wormholi

Paula Myo – inspektor Biura Poważnych Przestępstw

Gwiazdolot „Vermillion”

Cornelius Brandt – kapitan

Laura Brandt – fizyk molekularny

Ibu – profesor grawatoniki

Joey Stein – specjalista nadprzestrzeni

Ayanna – fizyk pola kwantowego

Rojas – pilot promu

Bienvenido

Slvasta – porucznik regimentu Cham, przywódca rewolucjonistów

Ingmar – żołnierz regimentu Cham, przyjaciel Slvasty

Quanda – córka leśnika

Bethaneve – urzędniczka Ministerstwa Skarbu, rewolucjonistka

Javier – rzeźnik, rewolucjonista

Coulan – urzędnik, rewolucjonista

Arnice – major, członek Połączonej Rady Regimentów

Lancia – młoda arystokratka

Gelasis – pułkownik, członek Połączonej Rady Regimentów

Bryan-Anthony – przywódca związku zawodowego Wellfield

Philius – kapitan

Aothori – pierwszy oficer

Trevene – szef policji kapitanatu

Gravin – profesor, dyrektor Instytutu Badania Upadłych

Kysandra – właścicielka farmy Blairów

Sarara – matka Kysandry

Ma Ulvon – szefowa gangu

Akstan – syn Ma Ulvon

Julias – syn Ma Ulvon

Russell – syn Ma Ulvon

Madeline – madame z hotelu Hevlin

Proval – Upadły

Demitri – ZANdroid

Marek – ZANdroid

Valeri – ZANdroid

Fergus – ZANdroid

Yannrith – były sierżant regimentu Cham

Andricea – była żołnierz regimentu Cham

Tovakar – były żołnierz regimentu Cham

KSIĘGA PIERWSZA

Dwadzieścia siedem godzin i czterdzieści dwie minuty

Laura Brandt wiedziała wszystko o wychodzeniu z komory hibernacyjnej. Trochę przypominało to zakończenie staromodnej procedury odmłodzenia, jaką przechodziła niegdyś, zanim bioniczne wstawki i geny Zaawansowanych wprowadzono do sekwencji ludzkiego DNA, co praktycznie wyeliminowało proces starzenia. Był to powolny i przyjemny powrót świadomości, stopniowe ocieplanie się ciała, a dzięki substancjom odżywczym i środkom znieczulającym bez poczucia dyskomfortu i dezorientacji. Tak więc, zanim się całkowicie ocknęłaś i otworzyłaś oczy, czułaś się jak zbudzona z naprawdę głębokiego całonocnego snu, gotowa z entuzjazmem i energią stawić czoło nadchodzącemu dniu. Porządne śniadanie złożone z naleśników, dobrze wysmażonego bekonu, syropu klonowego i zimnego soku pomarańczowego (bez lodu, proszę) uatrakcyjniało to jeszcze bardziej, tak że całkowity powrót świadomości był przyjemnym doświadczeniem. A kiedy to się działo, oznaczało koniec podróży do gwiazdnej gromady poza Mleczną Drogą i rozpoczęcie nowego życia z innymi z dynastii Brandt, zakładającej nową cywilizację – mającej być tak odmienną od dekadentycznej starej Wspólnoty, którą opuścili.

I była awaryjna procedura ekstrakcji, którą załoga statku nazywała opróżnianiem zbiorników.

Ktoś wduślił czerwony guzik na komorze hibernacyjnej. Silne leki pobudzające wtargnęły do jej wyziębionego jeszcze ciała. Pępowiny hematologicznych przewodów wycofały się z jej szyi i ud. Skurcze zaskoczonych mięśni. Pełny pęcherz ślący gorączkowe sygnały do jej mózgu – i awaryjna procedura już automatycznie wyjęła cewnik. Doskonale zaplanowane, chłopcy. Lecz to wszystko bladło przy potwornym bólu głowy i skurczu przepony wywołanym gwałtownymi mdłościami.

Laura otworzyła oczy, ujrzała rozmazaną plamę ohydnie zabarwionego światła, otworzyła usta i zwymiotowała. Mięśnie jej brzucha zacisnęły się spazmatycznie, podrywając tors z wyściółki. Uderzyła głową o wieko komory, które jeszcze unosiło się na zawiasach.

– Piekło i szatani.

Roztańczone gwiazdy dołączyły do rozmazanych barwnych plam. Przekreśliła się na bok, żeby znowu zwymiotować.

– Spokojnie – poradził jej czyjś głos.

Czyjeś dłonie chwyciły ją za ramiona, podtrzymując, gdy zwracała. Podsunięta plastikowa miska wylapała większość zwracanej cieczy.

– Jeszcze?

– Co? – jęknęła Laura.

– Będziesz jeszcze rzygać?

Laura odpowiedziała gniewnym warknięciem, zbyt udręczona, żeby znać odpowiedź. Każda cząstka jej ciała nieproszona mówiła jej, jak okropnie się czuje.

– Zrób kilka głębokich wdechów – poradził jej głos.

– Och, do...

Nawet oddychanie przychodziło z trudem jej dygoczącemu ciału, a co dopiero próby wykonania inhalacji według podręcznika jogi. Głupia rada...

– Świetnie ci idzie. Środki pobudzające zaraz zaczną działać.

Laura przełknęła ślinę – o obrzydliwie kwaśnym smaku, palącą przełyk – ale oddychanie już przychodziło jej odrobinę łatwiej. Od wieków nie czuła się tak źle. Nie była to przyjemna myśl, ale przynajmniej sensowna. *Dlaczego moja biononika nie pomaga?* Te maleńkie molekularne mechanizmy ulepszające każdą komórkę powinny pomóc jej ciału ustabilizować wszystkie procesy życiowe. Spróbowała skupić wzrok, wiedząc, że niektóre z plam są ikonami egzowizji. Wszystko to wymagało wysiłku niemal ponad siły.

– Opróżnianie zbiorników to cholerstwo, no nie?

Laura w końcu rozpoznała ten głos. Andy Granfore, członek personelu medycznego „Vermilliona” i dość porządny gość; spotkali się kilkakrotnie na przyjęciach przed odlotem. Zrobiła głęboki wdech.

– Co się stało? Dlaczego zbudziliście mnie tak nagle?

– Kapitan chce cię przytomną i na nogach. I nie mamy wiele czasu. Przykro mi.

Laura zdołała skupić wzrok na twarzy Andy’ego. Ujrzała znajomy bulwiasty nos, worki pod jasnobrązowymi oczami i kępki sterczących siwych włosów. Taka stara, zużyta twarz była czymś niezwykłym we Wspólnocie, w której wszyscy korzystali z kosmetycznego sekwencjonowania genów, by uzyskać nieskazitelny wygląd. Laura zawsze uważała, że ludzkie społeczeństwo przypomina teraz wybieg młodych supermodelek – co niekoniecznie jest zmianą na lepsze. Wszystko odbiegające od perfekcji było wymogiem mody albo prawdziwym indywidualistycznym wyzwaniem „pieprzę cię”, rzuconym konformizmowi.

– Czy „Vermillion” jest uszkodzony?

– Nie. – Posłał jej niespokojny uśmiech. – Niezupełnie. Tylko zagubiony.

– Zagubiony? – Była to może nawet bardziej niepokojąca odpowiedź. Jak można się zagubić, lecąc do gromady gwiazdnej o średnicy dwudziestu tysięcy lat świetlnych? Czegoś tak dużego nie można stracić z oczu. – To śmieszne.

– Kapitan to wyjaśni. Chodźmy na mostek.

Laura bezgłośnie poprosiła swego u-adiunkta o raport ogólny. Wszechobecna procedura makrokomórkowej sztucznej inteligencji natychmiast zareagowała, rozwijając podstawowy zestaw ikon cienkimi liniami widmowego niebieskiego światła nakładającymi się na zamglony obraz świata. Laura zmarszczyła brwi. Jeśli poprawnie odczytywała dane efektywności, jej biononika została w jakiś sposób poważnie zakłócona. Jediną przychodzącą jej do głowy przyczyną takiego nagłego rozkładu był proces starzenia. Serce zaczęło jej

szybciej bić na myśl o tym, jak długo przebywała w komorze hibernacyjnej. Sprawdziła wskazania czasomierza. To było jeszcze dziwniejsze.

– Dwa tysiące dwieście trzydzieści jeden dni?

– Co takiego? – spytał Andy.

– Byliśmy w drodze dwa tysiące dwieście trzydzieści jeden dni? Gdzie teraz jesteśmy, do diabła?

Podróżując tak długo z superszybkością, mogli znaleźć się niemal trzy miliony lat świetlnych od Ziemi, czyli bardzo daleko za Drogą Mleczną.

Jego stara twarz jeszcze podkreślała zaniepokojenie.

– To mogło tyle trwać. Nie jesteśmy tu zbyt pewni relatywistycznej kompresji czasu.

– Co do...

– Po prostu... Chodźmy na mostek, dobrze? Kapitan dokładnie cię poinformuje. Ja nie jestem najlepszą osobą, żeby to wyjaśnić. Wierz mi.

– W porządku.

Pomógł jej wyjść z komory. Kiedy wstała, poczuła silny zawrót głowy i o mało nie upadła. Andy był na to przygotowany i przez długą chwilę podtrzymał ją, gdy dochodziła do siebie.

Pomieszczenie wyglądało na nietknięte: długa jaskinia z metalowym żebrowaniem zawierająca tysiąc dużych, podobnych do sarkofagów komór hibernacyjnych. Mnóstwo monitorów o zielonych ekranach przy każdym stanowisku, jak okiem sięgnąć. Z satysfakcją skinęła głową.

– W porządku. Daj mi się odświeżyć i pójdziemy. Czy toalety zostały włączone?

Z jakiegoś powodu miała kłopoty z bezpośrednim podłączeniem się do sieci statku.

– Nie ma na to czasu – rzekł Andy. – Kapsuła transportowa jest tam.

Laura zdołała dostatecznie zapanować nad mięśniami twarzy, żeby pokazać mu urażoną minę, zanim pozwoliła poprowadzić się po pokładzie na koniec pomieszczenia. Malmetalowe zbrojone drzwi śluzę rozchyliły się przed nimi. Kapsuła za nimi była zwyczajnym owalnym pomieszczeniem z ławką zamocowaną pod ścianą.

– Masz – powiedział Andy, kiedy opadła na nią, niemal wyczerpana tym krótkim spacerem, a raczej powłóceniem nogami. Wręczył jej paczkę z ubraniami i kilka chusteczek higienicznych.

Spojrzała na nie z obrzydzeniem.

– Poważnie?

– Najlepsze, co mogę zaoferować.

Tak więc kiedy wstukiwał współrzędne miejsca przeznaczenia w manualny pulpit kontrolny kapsuły, ona wytarła twarz i ręce, a potem zdjęła medyczną koszulę bez rękawów. Ludzie przeważnie wyzbywali się wstydu, mając ponad sto lat i ciała greckich bogów, a poza tym nie wstydziła się Andy'ego: był członkiem personelu medycznego.

Z niepokojem zauważyła, że jej skóra zupełnie straciła kolor. Jej druga generalna odnowa bioniczna po dziewięćdziesiątce obejmowała sekwencjonowanie mające podkreślić śródziemnomorskie pochodzenie matki, przyciemniając epidermę do niemal afrykańskiej czerni. Tę barwę zachowała przez całe trzysta dwadzieścia sześć lat, jakie upłynęły od tamtej chwili. Teraz jednak wyglądała jak porcelanowa lalka rozpadająca się ze starości. Hibernacja zabarwiła jej skórę na okropny ciemnoszary kolor z mnóstwem maleńkich zmarszczek jak od długotrwałego moczenia – choć była sucha jak pieprz. *Muszę pamiętać, żeby ją nawilżyć* – powiedziała sobie. Włosy miała ciemnobrązowe, rezultat dość niemądrej fascynacji Grissy Gold, śpiewaczką bluesową, cieszącą się przez dekadę zdumiewającym powodzeniem w całej Wspólnocie – dwieście trzydzieści dwa lata temu. To nie wygląda tak źle, orzekła, przyglądając zmierzwiłone kosmyki, ale trzeba będzie zużyć litry odżywki, żeby odzyskały połysk. Potem przejrzała się w lśniącej metalowej ścianie kapsuły, choć nie było to najlepsze lustro. Jej zazwyczaj wyrazista twarz była okropnie spuchnięta, tak że kości policzkowe niemal znikły, a szmaragdowozielone oczy wyglądały jak na kacu – przekrwione, z workami równie paskudnymi jak Andy'ego.

– Ale jaja – jęknęła.

Wciągając na siebie koszmarny jednoczęściowy skafander, zobaczyła, jak jej ciało zwiotczało po tak długim przebywaniu w stanie hibernacji, szczególnie na udach. *Och, tylko nie to!* Woląta nie patrzeć na swój tyłek. Odzyskanie formy będzie wymagało kilku miesięcy ćwiczeń, a Laura już się nie oszukiwała i nie wykorzystywała biononiki do kształtowania swojej sylwetki, jak to przeważnie robiono; uważała, że na dobrą formę trzeba sobie zapracować. Ten rodzaj pierwotnej dumy ze swojego ciała zawdzięczała pięcioletniemu ukrywaniu się przed światem w świątyni frakcji naturalistów w austriackich Alpach, po pewnym szczególnie bolesnym zerwaniu.

Gdy środki uspokajające wreszcie złagodziły najgorsze skutki wyrwania ze stanu hibernacji, uszczelniła skafander i poruszyła ramionami, jakby przygotowywała się do intensywnej rozgrzewki.

– Lepiej żeby mieli dobry powód – mruknęła, gdy kapsuła zwalniała.

Podróż wzdłuż płaszczyzny osiowej „Vermilliona” trwała zaledwie pięć minut, w trakcie których minęli pozostałe dwadzieścia komór hibernacyjnych, zajmujących śródkręcie olbrzymiego gwiazdolotu. Jej u-adiunkt wciąż nie mógł się podłączyć do sieci statku.

Drzwi kapsuły otworzyły się, ukazując mostek „Vermilliona” – nieco symboliczną imitację salonu w epoce zunifikowanej architektury wnętrza. Bardziej przypominał zaciszną firmową kantinę, z długimi sofami ustawionymi w konwersacyjny krąg i wielkimi holograficznymi wyświetlaczami wysokiej rozdzielczości na ścianach.

W pomieszczeniu było kilkanaście osób, w większości siedzących grupkami na sofach i zatopionych w rozmowie. Wszyscy wyglądali na głęboko poruszonych. Laura zauważyła kilka osób najwyraźniej równie gwałtownie obudzonych jak ona i natychmiast je rozpoznała; tak jak ona, wszyscy należeli do zespołu naukowego statku.

Nagle zdała sobie sprawę, że doznaje bardzo dziwnego odczucia. Przypominało emocjonalny kontekst konwersacji z gajapolem – tylko że jej gajacząstki były nieaktywne. Nigdy do końca nie przekonała się do całościowej koncepcji gajapola, którą opracowano, aby dać Wspólnocie możliwość bezpośredniego kontaktu myślowego przez zastosowanie teorii kwantowego splotu obcych. Niektórzy ludzie uwielbiali te potencjalne możliwości intymnego dzielenia się myślami, twierdząc, że jest to szczyt ewolucji intelektu, pozwalający zrozumieć punkt widzenia każdego. A to, jak twierdzili, wyeliminuje wszelkie konflikty. Laura uważała, że to kupa bzdur. Dla niej było to zboczenie, ekstremalne podglądactwo. Niezdrowe, łagodnie mówiąc. Miała gajacząstki, ponieważ czasem okazywały się użytecznym narzędziem porozumiewania, a jeszcze rzadziej pomagały zdobyć dużą ilość informacji. Jednak na co dzień były bezużyteczne. Wolała porządne staroświeckie i wiarygodne łącza unisfery.

– Jak to możliwe? – mruknęła, marszcząc brwi.

Jej u-adiunkt potwierdził, że gajacząstki są nieaktywne. Nikt nie mógł się bezpośrednio połączyć z jej neuronami. A jednak...

Torak, główny ksenobiolog statku, posłał jej krzywy uśmiech.

– Jeśli uważasz, że to dziwne, co powiesz na to?

Wysoki plastikowy kubek z herbatą płynął w powietrzu ku niemu, ciągnąc za sobą smużki pary. Torak przyglądał mu się w skupieniu, wyciągając rękę. Kubek wleciał mu do ręki, a on z uśmiechem samozadowolenia zacisnął na nim palce.

Laura ze zdziwieniem spojrzała na sufit mostka, a jej zawsze praktyczny umysł natychmiast sprawdził parametry projektorów pola sztucznej grawitacji statku. Teoretycznie można było manipulować tym polem, żeby poruszać przedmiotami, ale wykonanie takiej prostej sztuczki wymagałoby zbyt wielkiego nakładu pracy i aparatury.

– To jakiś rodzaj manipulacji polem grawitacyjnym?

– Nie.

Torak nie poruszył wargami. Jednak dostatecznie wyraźnie usłyszała jego głos i rozbrzmiewające w nim emocje, żeby stwierdzić, że to on do niej „mówi”.

– Jak ty to...?

– Jeśli pozwolisz, to pokażę ci, czego się dowiedzieliśmy – rzekł Torak.

Ochoczo skinęła głową. Nagle w jej umyśle pojawiło się wspomnienie, chłodne jak napój orzeźwiający, ale nie jej. Tak podobne do emisji gajapola, a jednocześnie zdecydowanie inne. Nie miała nad nim żadnej kontroli, żadnego sposobu regulowania obrazem czy głosem. To ją przeraziło.

Nagle ta wiedza rozeszła się w jej mózgu, osiadając, zmieniając się w instynkt.

– Telepatia? – pisnęła, pojmując. A jednocześnie poczuła, jak jej umysł rozsyła to zdumione pytanie po całym mostku. Kilkoro członków załogi drgnęło, gdy jego siła zakłóciła ich własne myśli.

– W najczystszej postaci – odparł Torak. – A także telekineza.

Puścił kubek z herbatą, a ten zawisł w powietrzu.

Laura gapiała się na to oniemiała i zafascynowana. Nowe myśli w jej głowie wyjaśniały jej, jak wykorzystywać tę fantastyczną możliwość. Skupiła swoje myśli, sięgając po dzbanek. Poczwała go; jego ciężar oddziaływał na jej świadomość.

Torak go puścił; kubek zakołysał się w powietrzu i opadł o dziesięć centymetrów. Laura wzmocniła na nim swój telekinetyczny chwyt i kubek pozostał zawieszony w powietrzu. Zaśmiała się niepewnie, po czym ostrożnie opuściła go na podłogę.

– Naprawdę niezłe jaja – mruknęła.

– Mamy również zdolności telepatyczne – rzekł Torak. – Może zechcesz ukryć swoje myśli. Są zbyt... łatwo dostępne.

Laura posłała mu zaskoczone spojrzenie, po czym się zaczerwieniła, pospiesznie usiłując ukryć swoje myśli – intymne i okropnie osobiste myśli – przed wglądem wszystkich obecnych na mostku.

– W porządku, starczy. Czy ktoś zechce mi wyjaśnić, co się, do diabła, dzieje? Jak możemy to zrobić? Co się stało?

Kapitan Cornelius Brandt wstał. Nie był zbyt wysokim człowiekiem, a pod wpływem niepokoju jeszcze się przygarbił. Laura widziała, że jest zmęczony i zatroskany; chociaż starał się uspokoić i ukryć swoje myśli, niepokój emanował z niego jak eteryczne feromony.

– Uważamy, że jesteśmy w Pustce – rzekł.

– To niemożliwe – odruchowo powiedziała Laura.

Pustka była jądrem galaktyki. Do 2560 roku, gdy „Endeavour”, statek badawczy Wspólnoty, po raz pierwszy przemierzył galaktykę, astronomowie uważali ją za rodzaj potężnej czarnej dziury, jakie występują w centrum większości galaktyk. Była potężna. I miała nawet horyzont zdarzeń, jak zwykła czarna dziura. Ta jednak różniła się od innych. Była tworem sztucznym.

Jak wkrótce ustalił „Endeavour”, raiele – rasa obcych, technologicznie wyżej rozwiniętych od Wspólnoty – strzegła tej granicy przez ponad milion lat. W istocie wypowiedziała wojnę Pustce. Od chwili gdy ich pierwsze prymitywne gwiazdoloty ją napotkały, uważnie obserwowali horyzont zdarzeń przechodzący sztuczne fazy ekspansji. Choć to niewiarygodne w przypadku czegoś tak dużego w kosmologicznej skali, Pustka wyglądała na wytworzoną sztucznie. W nieznanym celu. Jednak z uwagi na gwałtowny i nieprzewidywalny charakter jej faz ekspansji miała się powiększyć i pochłonąć całą galaktykę znacznie szybciej, niż zrobiłaby to jakakolwiek czarna dziura.

Tak więc raiele przypuścili atak. Tysiące największych okrętów wojennych, jakie kiedykolwiek zbudowano, przedarły się przez granicę Pustki i wleciały do środka.

Żaden nie wrócił. Cała ta armada nie miała żadnego widocznego wpływu na Pustkę i jej nietypową, niewytłumaczalną ekspansję. Ten atak przypuszczono milion lat temu. Od tamtej pory pilnie strzeżono granicy.

Wilsonowi Kime'owi, dowodzącemu „Endeavourem”, uprzejmie, lecz stanowczo kazano zawrócić i polecieć poza Ścianą gwiazd grubym pierścieniem opasującym Pustkę. Następnie

raiele zaprosili Wspólnotę do udziału w wielogatunkowej misji badawczej, nieustannie obserwującej Pustkę. Ta misja działała od inwazji armady raieli i przez milion lat nie dowiedziała się zupełnie niczego o tym, co kryje się po drugiej stronie horyzontu zdarzeń.

– Niewiarygodne – poprawił ją Cornelius. – Nie niemożliwe.

– A jak się w niej znaleźliśmy? Myślałam, że obraliśmy kurs wokół gwiazd Ściany.

– Nasza najmniejsza odległość od Ściany wynosiła trzysta lat świetlnych – rzekł Cornelius. – Wtedy wpadliśmy do środka. Lub wskoczyliśmy. Albo zostaliśmy wciągnięci. Wciąż nie jesteśmy pewni jak. Prawdopodobnie w nadprzestrzeni otworzył się jakiś rodzaj połączenia teleportacyjnego. Wytworzenie takowego wymagałoby niezwykle zaawansowanej techniki, ale ponieważ wszyscy nagle zostaliśmy obdarzeni nadludzkimi zdolnościami, teoria kwantowego pola nadprzestrzennego to najmniejszy z naszych problemów.

Laura spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– Tylko dlaczego?

– Nie jestem pewny. Jedyną wskazówkę dała nam Tiger Brandt. Twierdzi, że tuż przed tym, zanim zostaliśmy wciągnięci, miała jakiegoś rodzaju kontakt mentalny, jakby sen przychodzący przez gajasferę, ale znacznie słabszy. Coś wyczuło nas lub ją. Zaraz potem, zanim się zorientowaliśmy... byliśmy w środku.

– Tiger Brandt? – spytała Laura. Znała Tiger Brandt, żonę Rahki Brandta, kapitana „Ventury”. – Chwileczkę... mówisz, że „Ventura” jest tu z nami?

– Wszystkie siedem statków zostało wciągniętych – wyjaśnił Cornelius ponuro.

Laura znów spojrzała na kubek z herbatą, ignorując złe samopoczucie po gwałtownym wyrwaniu ze stanu zawieszenia.

– I to jest wewnątrz Pustki? – spytała z niedowierzaniem.

– Tak. O ile nam wiadomo, jest to jakiś rodzaj mikrowszechświata, o zupełnie odmiennej budowie kwantowej niż czasoprzestrzeń na zewnątrz niej. Myśl może tu na pewnym podstawowym poziomie wchodzić w interakcje z rzeczywistością i dlatego wszyscy nagle zostaliśmy obdarzeni tymi nadnaturalnymi mocami.

– Poprzez obserwację obserwator wpływa na obserwowaną rzeczywistość – szepnęła.

Cornelius uniósł brwi.

– Spore niedopowiedzenie.

– Jak się stąd wydostaniemy?

– Dobre pytanie. – Cornelius wskazał jeden z dużych holograficznych obrazów znajdujących się za nim, przedstawiający kosmos z mnóstwem gwiazd oraz licznymi egzotycznymi i pięknymi, delikatnymi mgławicami. – Nie widzimy końca. Wnętrze Pustki wydaje się jakiegoś rodzaju wielowymiarową wstęgą Möbiusa. Tu nie istnieje granica.

– Dokąd więc zmierzamy?

Umysł Corneliusa wyemitował taką desperację i rozpacz, że Laura znów zadrżała.

– Władca Niebios zabiera nas do tego, co – jak twierdzi – jest planetą nadającą się do życia. Czujniki już potwierdzają ten status.

– Kto nas zabiera?

Cornelius wskazał.

– Władca Niebios.

Laura zeszywniała i odwróciła się. Znajdujący się za nią obraz wysokiej rozdzielczości został zarejestrowany przez czujnik zamocowany w przedniej części gwiazdolotu, gdzie znajdował się ultranapęd i generatory pola siłowego. Dolna jedna piąta ekranu ukazywała obły karbotanowy kadłub z grubą warstwą brudnoszarej pianki termoizolacyjnej. W górnej części hologramu widniał mały niebiesko-biały księżyc, podobny do każdego z zamieszkałych światów Wspólnoty – choć po jego nocnej stronie nie było widać żadnych światła miast. A między kadłubem i tą planetą była najdziwniejsza mgławica, jaką Laura mogła sobie wyobrazić. Gapiąc się na nią, dostrzegła jakieś solidniejsze jądro, długie i owalne. Wiedziała, że to nie jest obiekt stały, lecz złożony z płatków jakiejś krystalicznej substancji, przekształconych przez nadzwyczajną wieloraką geometrię Calabi-Yau. Te błyszczące powierzchnie ożywiały niesamowite wielokolorowe wzory, płynnie się zmieniające – a może sama ta struktura była nietrwała. Laura nie potrafiła orzec, gdyż wokół unosiła się mgiełka, również poruszana dziwnymi konfluencjami.

– Ale jaja – mruknęła.

– To forma kosmicznego życia – wyjaśnił Cornelius. – Trzy z nich spotkały się z nami wkrótce po tym, jak zostaliśmy wciągnięci do Pustki. Są rozumne. Możesz użyć telepatii, żeby z nimi porozmawiać, chociaż to jak rozmowa z erudytą. Ich procesy myślowe nie przypominają naszych. Jednak potrafią latać w tym kosmosie. Albo przynajmniej jakoś nim manipulować. Zaproponowały, że doprowadzą nas do takich planet w Pustce, na których możemy żyć. „Ventura”, „Vanguard”, „Violet” i „Valley” poleciały za dwoma Władcami Niebios. „Vermillion” leci za tym, razem z „Viscountem” i „Verdantem”. Zdecydowaliśmy, że rozdzielając się, mamy większe szanse znalezienia planety nadającej się do zamieszkania.

– Z całym szacunkiem – powiedziała Laura – dlaczego w ogóle lecimy za nimi, szukając takiej planety? Chyba powinniśmy robić wszystko, co w naszej mocy, żeby się stąd wydostać? Wszyscy znaleźliśmy się na pokładzie tego gwiazdolotu z jednego powodu: żeby stworzyć nową cywilizację poza tą galaktyką. Przyznaję, wewnątrz Pustki jest wprost fascynujące i każdy raiel oddałby prawe jajo, żeby tu być, ale nie może pan decydować za nas.

Cornelius miał znużoną minę.

– Próbuje znaleźć planetę nadającą się do zamieszkania, ponieważ alternatywą jest śmierć. Zwróciłaś uwagę, jak działa biononika?

– Tak. Bardzo słabo.

– To samo dotyczy każdego elementu wyposażenia tego statku. To, co tutaj uchodzi za czasoprzestrzeń, w szybkim tempie niszczy nasze systemy. Pierwszy wysiadł ultranapęd, zapewne dlatego, że jest najbardziej wyrafinowanym układem. Przez cały ostatni rok występowały fluktuacje sprawności konwerterów masy, które stawały się coraz poważniejsze.

Nie mogłem ryzykować, musiałem je wyłączyć. Teraz do zasilania napędu ingraw używamy reaktorów syntezy jądrowej.

– Co takiego? – spytała, zaszokowana. – Chcesz powiedzieć, że przez cały ten czas podróżowaliśmy z prędkością podświetlną?

– Zero przecinek dziewięć prędkości światła, od kiedy tu przybyliśmy prawie sześć lat temu – potwierdził Cornelius z goryczą. – Na szczęście komory hibernacyjne nadal działają, inaczej mielibyśmy prawdziwą katastrofę.

Pierwszą reakcją Laury była myśl: *Dlaczego już wtedy mnie nie obudziliście? Mogłabym pomóc.* Pewnie jednak tak myślał każdy na pokładzie. A z tego, co rozumiała z opisu sytuacji, kapitan spisał się bardzo dobrze w tych okolicznościach. Ponadto jej specjalistyczna wiedza z zakresu fizyki molekularnej nie byłaby pomocna do analizowania innej struktury czasoprzestrzennej.

Jej wzrok przyciągnął jasny półksiężyc przed nimi.

– Czy ta planeta nadaje się do zamieszkania?

– Tak uważamy.

– Dlatego mnie zbudziliście? Mam pomóc ją zbadać?

– Nie. Jesteśmy sześć milionów kilometrów od niej i szybko wytracamy prędkość. Za dwa dni wejdziemy na jej orbitę. Tylko niebo wie, jak zdołamy wylądować, ale jakoś będziemy musieli się z tym uporać. Nie, jesteś tutaj, ponieważ nasze czujniki znalazły coś w pierwszym punkcie Lagrange’a tej planety.

Cornelius zamknął oczy i obraz się zmienił, ukazując punkt libracyjny półtora miliona kilometrów nad rozświetloną słońcem hemisferą planety, gdzie przyciąganie grawitacyjne gwiazdy było idealnie zrównoważone przez grawitację planety. Ten obszar wypełniała mglista plama, na której sensory lub oczy Laury nie mogły się skupić. Wyglądała jak cętkowana, jakby złożona z tysięcy drobinek.

– Co to takiego? – zapytała.

– Nazwaliśmy to Lasem – odparł Cornelius. – To zbiór obiektów mających około jedenastu kilometrów długości, ze zniekształceniem powierzchniowym podobnym do naszego przyjaciela Władcy Niebios.

– Może jest ich tam więcej?

– Chyba nie; nie ten kształt. One są wydłużone, z bulwiastymi końcami. I jest jeszcze coś. Cały ten punkt Lagrange’a emituje zupełnie inną sygnaturę kwantową od reszty Pustki.

– Inne środowisko kwantowe? – zapytała sceptycznie.

– Na to wygląda.

– Jak to możliwe? – Laura z nagłym przygnębieniem zrozumiała, dlaczego ją zbudzono; ją oraz innych członków zespołu badawczego siedzących na mostku. – Chcecie, żebyśmy tam polecieeli i sprawdzili, co to jest, tak?

Cornelius skinął głową.

– Nie mogę usprawiedliwić zatrzymania „Vermilliona” w być może wrogim środowisku dla przeprowadzenia badań naukowych. Moim głównym zadaniem jest bezpieczne lądowanie na jakiejś planecie nadającej się do życia. Tak więc ty pokierujesz małą grupą badawczą. Leć promem do Lasu i wykonaj takie badania, jakie zdołasz. Może będą pomocne, a może nie. Jednak szczerze mówiąc, na tym etapie wszystko, co zdołacie dodać do naszych zasobów wiedzy, należy uznać za przydatne.

– Taak – mruknęła z rezygnacją. – Rozumiem.

– Weź prom numer czternaście – rzekł.

Laura wyczuła, że ten prom ma dla niego jakieś specjalne znaczenie. Ten fakt sygnalizowała nadzieja, którą wyczuła w jego myślach, lecz jej mózg jeszcze nie był w stanie zrozumieć powodu. Kazała swojemu u-adiunktowi pobrać plik z zasobów pamięci. Dane promu przemknęły przez jej umysł, ale nadal nie rozumiała.

– Dlaczego akurat ten?

– Bo ma skrzydła – cicho odparł Cornelius. – W razie poważnej awarii możecie wyhamować w atmosferze i szybując, opaść na powierzchnię.

Dopiero wtedy pojęła.

– Racja. Prom nie potrzebuje napędu ingraw, żeby wylądować.

– Owszem. Prom go nie potrzebuje.

Krew w żyłach Laury jakby znów ochłodziła się do temperatury komory hibernacyjnej. „Vermillion”, mający ponad kilometr długości i absolutnie nieaerodynamiczny kształt, musiał korzystać z regrawu, żeby zwolnić do zerowej prędkości względem planety, a następnie z ingrawu, aby wylądować lekko jak piórko. Oczywiście, miał wbudowane niezliczone procedury redundancyjne i żadnych ruchomych części, co niemal zupełnie wykluczało awarię. W normalnym wszechświecie.

– Kiedy potwierdzimy pozytywny status planety, wystrzelę z orbity wszystkie dwadzieścia trzy promy – wyjaśnił Cornelius. – „Viscount” i „Verdant” zrobią to samo.

Laura kazała swemu u-adiunktowi ponownie skupić się na obrazie planety. Nadal nie był w stanie podłączyć się do sieci statku.

– Hm, kapitanie, jak przekazał pan te rozkazy do jądra dowodzenia?

– Gajapolem. Gniazdo konfluencyjne jest jedynym systemem, na który Pustka nie ma wpływu.

Laura uświadomiła sobie, że gniazdo konfluencyjne generujące lokalne gajapole jest podłączone do sieci statku. Zabawne, co działało w Pustce, a co nie.

* * *

Laura pomyślała, że sala odpraw statku wygląda identycznie jak mostek; jedyną różnicą był niebiesko-szary dywan, zauważalnie jaśniejszy – przypuszczalnie z powodu sześćioletniego czyszczenia plam po kawie. Zdumiewające, że przy budowie transgalaktycznego statku kolonizacyjnego najwyraźniej oszczędzano na czasie lub wystroju

wnętrza. Projektując przedziały w sekcji dowodzenia „Vermilliona”, ktoś po prostu wcisnął przycisk duplikowania.

Razem z Laurą załoga promu numer czternaście liczyła pięć osób. Jako całość przypominali stadko przyjaciół zbudzonych rano po szczególnie szalonym przyjęciu: wszyscy wyglądali gównianie, bez przekonania spoglądając na zawartość swoich kubków z herbatą ziołową i pogryzając herbatniki.

Laura usiadła obok Ibu – profesora grawatoniki prawie dwa razy potężniejszego od niej i zbudowanego głównie z mięśni. Stan zawieszenia wcale mu nie posłużył. Obwisłe ciało wyglądało, jakby uszło z niego powietrze, a normalnie brązowa skóra była nieco bardziej szara niż Laury. Z ubolewaniem popatrzył na stan swego ciała.

– Awaria biononiki to chyba najgorsza część tego wszystkiego – wyznał. – Powrót do formy zajmie ze sto lat.

– Zastanawiam się, jak kontinuum Pustki odróżnia naturalne organelle od biononicznych – powiedziała Laura. – Zasadniczo są takie same.

– Biononiczne nie są zawarte w sekwencjach naszego DNA – głośno myślała Ayanna, fizyk pola kwantowego. – Nie są naturalne. Musi w jakiś sposób je rozróżniać.

– Raczej dyskryminować – powiedział Joey Stein, specjalista od teorii nadprzestrzeni. Jego puciołowate policzki co chwilę ściągał skurcz, będący, jak podejrzewała Laura, rezultatem powikłań wywołanych gwałtownym wyrwaniem ze stanu hibernacji. – Wszystkie nasze klastry mikrokomórkowe działają doskonale. One jednak nie są naturalną częścią ludzkiego genomu.

– Teraz są częścią naszych organizmów – powiedziała Ayanna.

Rozczesywała długie kasztanowe włosy, krzywiąc się, gdy natrafiła na szczególnie splątane pasma.

– Pustka reaguje na myśli – przypomniała Laura. – Czy ktoś spróbował po prostu pomyśleć, że biononika ma działać?

– To nie myśl, lecz modlitwa – rzekł Ibu.

Rojas, pilot promu, siedział obok Joeya. Kapitan Cornelius zbudził go miesiąc temu, żeby pomógł zaplanować lądowania „Vermilliona”. Laura pomyślała, że ze swoją zdrową, nordycką białą skórą i popołudniowym zarostem na wydatnej szczęce jako jedyny z nich nie wygląda teraz jak trzeciorzędny zombi.

– Próbowano nakazać w myślach prawidłowe funkcjonowanie systemów – ze współczuciem rzekł Rojas. – Czuwająca załoga przez lata usiłowała telepatycznie wpłynąć na działanie wyposażenia. Kompletna strata czasu: Pustka tak nie działa. Okazuje się, że nie można zażyczyć sobie, aby nasze urządzenia podjęły pracę.

– Ta Pustka ma jakiś cel? – spytała z niedowierzaniem Ayanna. – Mówisz o niej tak, jakby była żywa, a przynajmniej obdarzona świadomością.

– Kto wie? – odparł wymijająco Rojas. Ruchem głowy wskazał jeden z wielkich paneli na ścianie, ukazujący obraz Lasu. – To nasze zadanie, więc skupmy się na nim, proszę.

Ibu potrząsnął głową.

– No dobrze. Co wiemy?

– Las jest lekko owalnym skupiskiem poszczególnych obiektów, które nazywamy drzewami dystorsyjnymi, mającym w przybliżeniu siedemnaście tysięcy kilometrów długości i maksymalną średnicę piętnastu tysięcy. Przyjmując, że każde drzewo ma średnio dziewięć kilometrów, przy zaobserwowanym rozproszeniu szacujemy ich łączną liczbę na dwadzieścia pięć do trzydziestu tysięcy.

– Czy wszystkie są identyczne? – zapytała Laura.

– Dotychczas tak – powiedział Rojas. – Będziemy mogli przeprowadzić dokładniejszą analizę w trakcie podejścia.

Pojawił się inny obraz, ukazujący wydłużony kształt drzewa dystorsyjnego. Laurze kojarzyło się ono z soplem o opływowym kształcie i bulwiastej podstawie, wykazującym wyraźny efekt mory. Pomimo tych dziwnych zmiennych wzorów jego powierzchnia wydawała się gładka.

– Wyglądają jak kryształowe rakiety – powiedziała z nabożeństwem Ayanna.

– Rozważmy tę myśl – powiedział Ibu. – Czy ktoś wie, jak wyglądały okręty wojenne raieli?

Joey przeszył go wzrokiem.

– Myślisz, że to ich dawna flota inwazyjna?

– Tylko pytam. Te arki raieli, które napotykaliliśmy, są pewnego rodzaju sztucznymi organizmami.

– Ich arki są większe od tych drzew dystorsyjnych – przypomniała Laura. – Znacznie większe.

– Nie odnotowano żadnego spotkania statków Wspólnoty z okrętem wojennym raieli – rzekł Rojas. – Wilson Kime zameldował, że do „Endeavoura” zbliżył się statek mniejszy od arki, ale o takiej samej konstrukcji. Wyglądał jak asteroid, który wypączkował kopuły miast.

– Wskazał na błyszczące wrzeciono. – Niepodobny do tego.

– Jaki mają współczynnik odbijania promieniowania? – zapytała Ayanna.

Rojas się uśmiechnął.

– Jeden przecinek dwa. Wypromieniowują więcej światła, niż pada na nich z lokalnej gwiazdy. Tak samo jak Władcy Niebios.

– To nie może być przypadek – zauważył Joey. – Byłoby to śmieszne. Są spokrewnieni... muszą być. Ta sama technologia lub przodkowie. Jedno lub drugie. Jednak mają wspólne pochodzenie.

– Zgadzam się z tym – powiedziała Laura. – Władcy Niebios mogą manipulować lokalnym kontinuum, co pozwala im latać. Zmieniają strukturę kwantową swojego otoczenia. Podstawowy mechanizm musi być taki sam.

– Takie wnioski wyciągnęła kapitańska komisja badawcza – rzekł Rojas. – My musimy ustalić jak i dlaczego.

Joey próbował się uśmiechnąć, ale skurcz mięśni policzka bardzo mu to utrudniał.

– Dlaczego zmieniają sygnaturę kwantową? Jak mamy to ustalić? – wybełkotał kącikiem ust.

– Pytając ich – odparł Ibu. – Jeśli są rozumne tak jak Władcy Niebios.

– Życzę szczęścia – mruknął Rojas. – Celem naszej misji jest zbadanie nowej kompozycji kwantowej kontinuum w Lesie. Jeśli zdołamy ją zdefiniować, może będziemy mogli ustalić jej przeznaczenie.

– Pomiarów kwantowe to standardowa procedura – powiedziała Laura i zreflektowała się. – Zakładając, że nasza aparatura działa.

– Ayanna, to twoja działka – rzekł Rojas. – Chcę dostać listę sprzętu, który będzie ci potrzebny. Jeśli jest coś, czego nie mamy, zobaczymy, czy systemy wytwórcze statku nie zdołają tego wyprodukować. Nie bądź zbyt ambitna: wyłaczarki ucierpiały tak jak wszystkie inne układy.

Ayanna posłała mu nieśmiały uśmiech.

– Postaram się o tym pamiętać.

– Lauro – powiedział Rojas. – Twoim zadaniem jest ustalenie tego, w jaki sposób powstają te zakłócenia. Poza ich kształtem, różniącym się w granicach kilkuset metrów, te drzewa dystorsyjne wyglądają identycznie, tak więc zakładamy, że jest to nieodłącznie związane z ich strukturą.

– Rozumiem – powiedziała. – Czy mam pobierać próbki?

– Jeśli strefa Lasu nie jest dla nas zabójcza. Jeżeli prom zdoła wykonać potrzebne manewry i podlecieć blisko. Jeśli te drzewa nie są istotami rozumnymi, obdarzonymi świadomością. Jeżeli nie mają żadnych środków obronnych. Jeśli nasze skafandry próżniowe będą działać. Jeśli da się pobrać próbki. Wtedy, być może, tak. Oczywiście, preferujemy analizę *in situ*. Nadal obowiązują prawne regulacje Wspólnoty dla spotkań. Proszę, aby wszyscy o tym pamiętali.

Laura, rozbawiona, zacisnęła wargi.

– No dobrze. Przygotuję moją listę życzeń.

Rojas wstał.

– Startujemy za cztery godziny. Oprócz sprzętu możecie przenieść na pokład promu wasze rzeczy osobiste. Nie mogę zagwarantować, że po zakończeniu misji wylądujemy w pobliżu „Vermilliona”.

Gdy Rojas opuścił salę odpraw, Laura zwróciła się do Ibu.

– Czy w ten sposób zagwarantował, że wylądujemy na planecie? – zapytała, starając się, by zabrzmiało to niefrasobliwie.

Ogromny profesor grawitoniki potarł drżącą ręką skroń.

– Myślisz, że dotrzemy do planety? Chciałbym być takim optymistą jak ty. Ja zamierzam sprawdzić, czy kopia mojej pamięci jest zaktualizowana.

– Bardziej wierzę w bezpieczne lądowanie Czternastki niż „Vermilliona” – powiedziała Laura. – Właściwie dziwię się, że Cornelius nie przydzielił do tej misji więcej specjalistów. Prom może zabrać... ile, sześćdziesiąt osób?

– Jeśli wszystko dobrze pójdzie – powiedział Joey. – Myślę, że kapitan usiłuje pogodzić ryzyko z koniecznością. Jeśli dotrzemy do Lasu, może zdobędziemy coś, co pomoże nam wydostać się z Pustki. Jeśli nie... Cóż, spójrzmy prawdzie w oczy. Brak takich jak my nie będzie specjalnie odczuwalny w społeczności pionierów, w której jedyne działające maszyny są jak z dwudziestego wieku.

– Dwudziestego? – prychnął Ibu. – Następny niepoprawny optymista.

– Wychowałam się na farmie – zaprotestowała Ayanna. – Uprawialiśmy ziemię. – Skrzywiła się. – Cóż, właściwie pomagałam ojcu programować agroboty.

– Sporządzę listę, a potem może pójde sprawdzic moją kopię zapasową – oznajmiła Laura. – Nie, żeby w Pustce ktokolwiek z nas mógł dostać sklonowaną replikę. Wygląda na to, że znów mamy tylko jedno życie.

* * *

Było mało czasu i wiele do zrobienia, a przygotowania były trudniejsze, niż być powinny, z powodu awarii sieci „Vermilliona” i jądra dowodzenia. Mimo to Laura znalazła kilka minut, żeby wrócić do komory hibernacyjnej. Jej sarkofag był wciąż otwarty, a mechanizmy w środku zimne i nieczynne. Niemal spodziewała się zobaczyć tam tłum inżynierskich botów, ale nic nie zakłócało spokoju długiego pomieszczenia. W nogach komory hibernacyjnej znajdował się niewielki schowek na rzeczy osobiste. Na szczęście się otworzył, gdy jej u-adiunkt podał mu szyfr. Zawartość był skromna – jedna torba z porządnymi ubraniami i druga z pamiątkami. To tę drugą otworzyła.

W środku była ręcznie zrobiona drewniana kasetka na biżuterię, którą Andrzej kupił jej podczas miesiąca miodowego na Tanyacie, z farbą wyblakłą po trzech stuleciach. Rdzaworuda chusta z aborygeńskim wzorem, którą znalazła na Kurandzie. Jej flet o cudownie łagodnym dźwięku, zrobiony w Venice Beach – i nawet nie pamiętała, z kim była wtedy, kiedy go kupiła. Niesamowicie kosztowny (i właściwie czarnorynkowy) kawałek srebrzystego kryształu z drzewa ma-hon w nowojorskim Central Parku. Worek pamiątek, owszem, małe muzeum siebie, ważniejsze od zmagazynowanych kopii wspomnień, których jej mózg już nie mógł pomieścić. Dziwne, że te przedmioty dawały jej bardziej krzepiące poczucie tożsamości niż ulepszone, skopiowane, przeprofilowane neurony. Wzięła zabawnie grubo i niepraktyczny sześćsetletni szwajcarski scyzoryk wojskowy z prawie dwudziestoma różnymi ostrzami i narzędziami. Przypomniała sobie, że to prezent od Althei, artystki czyniącej cnotę z negocjowania wszystkich technologicznych gadżetów, które Wspólnota dostarczała swoim obywatelom.

Althea wyszydziłaby sam pomysł lotu do innej galaktyki – gdyby Laura znalazła w sobie dość odwagi, aby jej powiedzieć, że leci. Laura uśmiechnęła się na myśl o tym, jak jej stara

przyjaciółka zareagowałaby na wieść, że zostali uwięzieni w sztucznej niesamowitości Pustki. „Ale ubaw!” – niewątpliwie wykrzyknęłyby z uciechą. A teraz ten scyzoryk był chyba najużyteczniejszym przedmiotem, jaki miała Laura. Promienny uśmiech Althei zmieniłby się w supernową, gdyby się o tym dowiedziała.

Laura wetknęła starożytny scyzoryk do kieszonki na piersi skafandra. Jego ciężar dodawał otuchy, był czymś prostym i niezawodnym. Przynależnym do Pustki.

* * *

Kadłub promu numer czternaście miał deltoidalny kształt, a lekko zaokrąglone końce skrzydeł nadawały mu nieco organiczny wygląd – niezwykle skrzyżowanie staroświeckich maszyn latających i spłaszczonych kul standardowych kapsuł reprawowych Wspólnoty. Oprócz przewożenia pasażerów na planetę miał pełnić rolę pojazdu eksploracyjnego średniego zasięgu, mogącego krążyć między planetami danego układu słonecznego, prowadzić dokładne obserwacje oraz przewozić badaczy i aparaturę naukową. Badanie sztucznych tworów w przestrzeni kosmicznej leżało w granicach jego możliwości.

Znalazłszy się w środku, Laura była gotowa uwierzyć, że właśnie cofnęła się o pięćset lat, do ery latających maszyn. Kabina na dziobie właściwie nie była zatłoczona; dziesięć dużych foteli akceleracyjnych stojących w dwóch rzędach zajmowało znaczną jej część. Fotel pilota stał oddzielnie, przed pozostałymi i przed wielkim wygiętym ekranem. Konsola w kształcie podkowy z czarnego błyszczącego plastiku zazwyczaj pokazywała kilka podstawowych funkcji stateczku. Tak jak wszystko we współczesnej Wspólnocie, prom numer czternaście był sterowany za pomocą kognitywnego łącza, a osoba pilota była jedynie dodatkowym (i głównie psychologicznym) zabezpieczeniem.

Dziś Rojas wyciągnął z konsoli wszystkie awaryjne dźwignie ręcznego sterowania, tworząc z nich zdumiewający zbiór przełączników i ergonomicznych uchwytów. Wykresy trajektorii lotu przepływały we wnętrzu ekranu jak holograficzne ryby. Mniejsze panele, które wyskoczyły z konsoli, rozjarzyły się skomplikowanymi symbolami stanu systemów.

Laura spoglądała na nie podejrzliwie, przypinając się do fotela. Te kolorowe trójwymiarowe wykresy były złowieszczo podobne do tych plakatów, które niegdyś widziała na ścianach szkoły podstawowej, do której rano prowadziła swoją pierwszą gromadkę dzieci – a to było trzysta pięćdziesiąt lat temu. *Czy od tego czasu nie wymyślono czegoś nowocześniejszego?*

Rojas wygodnie rozsiadł się na fotelu pilota, studiując nieustannie zmieniające się hologramy i przerzucając dźwignie jak dwudziestowieczny astronauta, a jego ściszony głos emanował pewnością siebie, gdy rozmawiał przez łącze.

– Wygląda na to, że nasz wspañiały przywódca jest w swoim żywiole – rzekł cicho Ibu, sadowiąc się na fotelu obok Laury. – Powierzając życie w jego ręce, człowiek cieszy się, że żyje, nieprawdaż?

Uśmiechnęła się w odpowiedzi. Ibu miał swoisty, flegmatyczny stosunek do życia, który aprobowała. Był dobrym nabytkiem dla zespołu. Wciąż nie zdecydowała, jak jest z Joeyem. Jeśli już, to skurcz jego mięśni twarzy jeszcze się pogłębił. Wiedziała, że to z jej strony uprzedzenie, ale naprawdę wyglądało to na jakiś poważny problem neurologiczny, a nie tylko uszkodzenie spowodowane gwałtownym wyrwaniem ze stanu hibernacji, zupełnie nieistotne, jak wciąż ich zapewniał. Ponadto emocje, jakie wymykały się z jego pilnie strzeżonego umysłu, zdradzały, że nie aprobował misji. Nie miał do niej serca.

Co do Ayanny, to zachowywała się jak sprawna profesjonalistka, interesująca się wyłącznie naukowymi aspektami sprawy. Problem z ich nowo nabytymi zdolnościami mentalnymi polegał na tym, że każdy mógł wyczuć potworne przerażenie emanujące z jej umysłu.

– Dwie minuty – oznajmił Rojas.

Pięć metrów przed tęym nosem promu zamigotały czerwone lampki wokół zamykających się wewnętrznych drzwi hangaru. Laura skrzywiła się i założyła hełm z miękką wyściółką, a potem ściągnęła dodatkowe pasy, żeby nie unieść się z fotela, z cichym szczękiem zapinając je w sposób, jaki pamiętała z dzieciństwa. Nikt nie wierzył, że sama multiplastikowa wyściółka fotela zdoła go utrzymać.

Z pasami wpijającymi się w jej ramiona próbowała uspokoić oddech. Nie licząc dwóch obowiązkowych szkoleń z zakresu procedur awaryjnych, które przeprowadzono, zanim flota opuściła przestrzeń Wspólnoty, od dziesięcioleci nie spędziła ani chwili w stanie nieważkości. Niektórzy ludzie uwielbiali związaną z nim swobodę ruchów. Ona za każdym razem musiała korzystać z biononiki, żeby powstrzymać mdłości. Andy Granfore dał jej jakieś leki, które – jak obiecywał – miały pomóc, ale nie miała zbyt wielkich nadziei. Ponadto wciąż była nafaszerowana środkami znoszącymi skutki gwałtownego wyrwania ze stanu hibernacji, więc dokładne badanie zapewne by wykazało, że ma procesy biochemiczne obcego gatunku.

– Reaktory włączone i stabilne – oznajmił Rojas. – Systemy pokładowe sprawne w dziewięćdziesięciu czterech procentach. Odcinam pępowinę.

Na jednym z ekranów konsoli rozbłysła duża purpurowa gwiazda.

– Wyglądasz nieźle, Czternastka – zabrzmiał w głośnikach kabiny głos Corneliusa Brandta.

– Jaja sobie robisz – mruknęła Laura.

W końcu to tylko krótki przelot promem, do cholery. Wszystkie te uspokajające zapewnienia tylko pogłębiały jej napięcie.

– Chcę jedynie podkreślić, że wasza misja jest ważna, ale niewarta podejmowania nadmiernego ryzyka – ciągnął kapitan statku. – Kiedy znajdziemy się na powierzchni, będziemy mogli skupić wszystkie wysiłki na znalezieniu sposobu wydostania się z Pustki, a w zawieszaniu przebywa wielu mądrych ludzi. Wszelkie informacje, jakie zbierzecie, nawet negatywne, mogą być cenne.

– Przyjąłem, „Vermillion” – powiedział Rojas. – I dziękuję. Piętnaście sekund do startu. Potwierdzono odłączenie pępowiny. Pięć zielonych słupków na wyświetlaczu zwolnienia chwytałów. Jednostki regravowe włączone. Rozpoczynam procedurę startu.

Czerwone światelka wokół śluzy zmieniły kolor na purpurowy, sygnalizujący próżnię, i zewnętrzne drzwi się rozsunęły, ukazując czarny jak noc kosmos. Prom lekko zadrżał, unosząc się ze swego łoża. Rojas wyprowadził go przez śluzę powietrzną.

Laura mimowolnie wyciągnęła szyję, żeby lepiej widzieć przez przednią szybę. Ta niesamowita przestrzeń, którą dotychczas widziała tylko na hologramach w „Vermillionie”, powoli stawała się rzeczywistością, gdy Czternastka wyłaniała się z komory. Jakimś cudem przestrzeń Pustki wydawała się ciemniejsza od zwyczajnego kosmosu. Laura trzeźwo pomyślała, że to przez kontrast. Na planetach Wspólnoty nocami zawsze można było zobaczyć tyle gwiazd, od najciemniejszych pasm Drogi Mlecznej po ostre plamki białych olbrzymów. Były zawsze i wszędzie wokół. Tutaj było widać tak niewiele gwiazd, zapewne nie więcej niż parę tysięcy. Jednak mgławice nadrabiały ich nieobecność. Musiały ich być setki, od wielkich welonów świetlistego pyłu plazmy, ciągnących się przez całe lata świetlne, po słabsze smugi płonące w niezbadanych przestrzeniach.

Ciążenie znikło na długą chwilę, gdy oddalali się od „Vermilliona”. Czternastka zaczęła powolny lot i Laura zobaczyła przemykającą obok ścianę pokrytego termopianą metalu, jakby spadali wzdłuż niej. Statek nie był elegancką konstrukcją, raczej przypominał mnóstwo pancernych modułów połączonych ze sobą i spryskanych matową pianą, miejscami wyblakłą i ospowatą po długim pobycie w próżni. Z termicznej warstwy sterczały cienkie wysięgniki sensorów, anten, wypustki ochronnego pola molekularnego... Jasnopomarańczowe linie jarzyły się w głębokich bruzdach połączeń między modułami – to radiatory układu termoregulacyjnego wypromieniowywały nadmiar ciepła w próżnię. Regrawowe i ingrawowe jednostki napędowe były skupiskami przysadzistych cylindrów o rozmiarach promu, szklisto czarnych i zielono opalizujących. Jedną trzecią rufy „Vermilliona” tworzyły segmenty rurowatych ładowni, przypominających geometryczne jelita. Zawierały wszystko, co potrzeba do założenia zaawansowanej technologicznie ludzkiej cywilizacji na dziewiczym świecie.

I kompletnie tutaj bezużyteczne – pomyślała ponuro Laura.

Rojas włączył główne regravowe jednostki napędowe Czternastki i prom zaczął coraz szybciej oddalać się od „Vermilliona”. Laura poczuła zaburzenia równowagi, gdy siła ciężarowa wzrosła do jednej trzeciej standardowej. Miała wrażenie, że prom stoi pionowo na rufie, ona leży na plecach w fotelu, a podłoga stała się ścianą. Rojas znajdował się nad nią na skrzypiącym fotelu, absorbującym jego rosnący ciężar.

– Dobrze się czujesz? – zapytał ją płynnie metaliczny głos.

Laura domyśliła się, że to Władca Niebios. Za przesłaną jej myślą wyczuwała ogromny i przytłaczająco piękny umysł.

– Hm, tak, dziękuję – odparła, instynktownie zamykając swoje myśli, żeby maksymalnie ograniczyć wpływ emocji. Sądząc po nagłym zeszywnieniu wszystkich wokół, pozostali uczestniczyli w identycznej telepatycznej konwersacji.

– Odlatujecie – rzekł Władca Niebios z wyczuwalną troską. – Czy już nie aprobujecie moich wskazówek? Jesteśmy tak blisko świata, na którym możecie się rozwinąć i spełnić.

Rojas podniósł rękę, nie pozwalając im odpowiedzieć, po czym sam odparł swym telepatycznym głosem:

– Dziękujemy wam za wskazówki i chętnie dołączymy do naszych przyjaciół na planecie, do której wkrótce nas doprowadzicie.

– Cieszę się z tego. Jednak po co to odwlekacie?

– Chcemy zbadać ten świat i wszystko w jego pobliżu. W taki sposób osiągamy spełnienie.

– Rozumiem. Obecna trajektoria doprowadzi was w pobliże rejonu rozwojowego.

– Masz na myśli tę grupę obiektów? – Rojas wysłał telepatycznie obraz Lasu.

– Tak.

– Czy to stąd pochodzą Władcy Niebios?

– Nie z tego rejonu rozwojowego. Przybyliśmy z innego.

– Czym są te obiekty w rejonie rozwojowym? Jajami?

– Tworzy nas rejon rozwojowy.

– Jak?

– Po prostu.

– Czy macie coś przeciwko temu, że tam lecimy?

– Nie.

– Ten rejon różni się od reszty Pustki. Dlaczego?

– To rejon rozwojowy.

– Czy one są dla was ważne?

– Przybyliśmy z rejonu rozwojowego. Nie wrócimy tam. Prowadzimy tych, którzy osiągnęli spełnienie, do Serca Pustki.

– Gdzie ono jest?

– Na końcu waszego rejonu rozwojowego.

Władca Niebios zerwał połączenie z kabiną.

Rojas pokręcił głową i westchnął. Jego myśli zdradzały znaczny stopień frustracji.

– Tak się kończy każda rozmowa z Władcami Niebios – stwierdził. – Enigmatyczne gnojki.

– To fantastyczne odkrycie – rzekł Joey. – Drzewa dystorsyjne zrodziły ich, powołały do życia lub coś w tym stylu. To stamtąd pochodzą. Nasza misja jest w połowie zrealizowana, a lecimy dopiero jakieś dwie minuty.

– Jeśli w to uwierzyć – rzekł Rojas. – To śliskie dranie.

Pstryknął włącznikiem, otwierając połączenie z „Vermillionem”, i zaczął powtarzać rozmowę.

* * *

Po trzech godzinach i siedemnastu minutach lotu z prędkością zero siedem g prom numer czternaście wyłączył ciąg i zaczął wytracać prędkość. Sześć i pół godziny po odlocie z „Vermilliona” Rojas wykonał ostatnie manewry zrównywania prędkości i deltoidalny prom zawisł w przestrzeni, dwa i pół tysiąca kilometrów od Lasu.

Laura gapiała się nań przez przednią szybę promu – ogromna plama srebrzystych i jasno lśniących drobin, zajmująca pół kosmosu. Jej wzrok sugerował, że każda z tych drobin lekko się porusza, podczas gdy w rzeczywistości było to złudzenie wywołane chaotycznie zmieniającymi się wzorami na ich migoczących powierzchniach. Czujniki powiększyły obraz, ukazując wyraźne zbliżenie drzew dystorsyjnych na skraju Lasu.

– Nie mają wokół takiej mgiełki jak Władcy Niebios – mruknął Joey.

Jego skurcze mięśni twarzy jeszcze się pogłębiły. Teraz, w stanie nieważkości, ślina wpływała z jego rozchylonych warg i dryfowała w kabinie. Laurze nie podobał się ten coraz gorszy stan. Na promie numer czternaście była kapsuła medyczna, ale nie tak dobrze wyposażona jak ta na „Vermillionie”. Chociaż musiała przyznać, że w tym momencie nie chciałaby poddać się procedurze medycznej w jakiegokolwiek kapsule. Sprawność systemów Czternastki systematycznie się pogarszała.

Wraz z dolegliwościami Joeya? – zastanawiała się.

– Poza tym nie ma znaczącej różnicy – powiedziała Ayanna. – Te są mniejsze.

– Węższe – dodał Rojas. – I bardzo wolno obracają się wokół swojej dłuższej osi. W dziewięciogodzinnym cyklu.

– Wyrównanie termiki? – spytała Laura.

– Na to wygląda. To najłatwiejszy sposób utrzymania stałej temperatury w kosmosie.

– Zatem coś musi je obracać – rzekła Laura.

– Nic widzialnego. To nie jest czynność kontrolowana.

– Magnetyczna? – podsunął Joey.

– Nie wykrywam żadnego istotnego pola magnetycznego – odparł Rojas. – Są prawie nieruchome.

– A co z anomaliami sygnatury kwantowej? – zapytała Laura.

Ayanna popatrzyła na kilka ekranów, coraz mocniej marszcząc brwi.

– To bardzo dziwne. Temporalny składnik czasoprzestrzeni jest tu inny.

– Temporalny? – spytał Ibu.

– Sądzę, że czas płynie tutaj w zwolnionym tempie. Nie jest to nieprawdopodobne; nasze wormhole mogą w podobny sposób manipulować upływem czasu wewnątrz. Możemy nawet całkowicie zatrzymać czas w klatkach materii egzotycznej, jeśli są prawidłowo sformatowane.

– Chcesz powiedzieć, że wszystko dzieje się tu wolniej? – zapytał Rojas.

– Tylko względem rzeczywistości na zewnątrz Lasu.

– A zatem te drzewa są zrobione z materii egzotycznej? – spytał Joey.

– Nie mam pojęcia. Jednak negatywna energia to jedyny znany nam sposób manipulowania czasoprzestrzenią, tak więc musi tam być coś takiego.

– Musimy się tam udać i pobrać próbki – powiedziała Laura.

– Wciąż to powtarzasz – odparła sucho Ayanna.

– Najpierw zobaczmy, czy możemy – rzekł Rojas. Jego dłonie zręcznie poruszały różnymi dźwigniami na konsoli pilota. W dolnej części kadłuba promu otworzył się plastmetalowy luk. Cztery drony ogólnego naukowego zastosowania wyłoniły się z silosu i poleciały w kierunku Lasu, wyglądając jak czarne piłki futbolowe wysadzone heksagonalnymi diamentami.

– Są w pełni funkcjonalne – orzekł Rojas. Każdy Mk24 wyświetlał przesyłany obraz na jednym z ekranów konsoli. – Będę wysyłał po jednym.

– Nie ma wyraźnej bariery – powiedziała Ayanna. – Ten efekt po prostu nasila się w pobliżu zewnętrznej warstwy drzew.

– Chcesz powiedzieć, że otrzymuję coraz bardziej opóźnioną odpowiedź telemetryczną?

– Być może – odparła Ayanna. Niepewność zabarwiała jej myśli.

– Pierwszy powinien dotrzeć do drzew za czterdzieści minut – rzekł Rojas.

Laura wciąż spoglądała na widok za przednią szybą, co było łatwiejsze od nieustannego interpretowania obrazów z Mk24. Nie otrzymywali niemal nic poza obrazem w pełnym zakresie barw. Istotnych danych było bardzo mało. Wiatr słoneczny był w normie, tak samo jak kosmiczne promieniowanie środowiska.

– Zastanawiam się, czy tak wygląda schizofrenia – rzekł po prawie dwudziestu minutach Ibu. – Pragnąłem nowego i ekscytującego życia; to dlatego wziąłem udział w tej wyprawie kolonizacyjnej.

– Jednak nie aż tak ekscytującego – podpowiedziała Laura.

– Ni cholery. Muszę jednak przyznać, że Pustka jest intrygująca. Z czysto akademickiego punktu widzenia, rozumiesz?

– Wolę to od nudy.

Wielkolud przechylił głowę i spojrzał na nią z zaciekawieniem.

– Udałaś się do innej galaktyki, ponieważ się nudziłaś?

– Mam za sobą sześć związków małżeńskich i znacznie więcej nieformalnych. Mam dwanaścioro dzieci i nie wszystkie z nich pozaustrojowo; dwukrotnie byłam w ciąży, co nie było takie straszne, jak się spodziewałam. Mieszkałam na zewnętrznych i wewnętrznych planetach i spróbowałam każdego stylu życia, który nie był kompletnie idiotyczny. Myślałam, że prowadzenie badań naukowych na wysuniętej rubieży będzie ogromnie podniecające. Nie było. Niech to szlag! Jeśli w tym nie siedzisz, to nie masz pojęcia, ile politycznych rozgrywek toczy się na uczelni. Tak więc mogłam zacząć od nowa albo załadować się do ZAN i

dołączyć do tych wszystkich bezcielesnych umysłów klóących się przez całą wieczność. Po prostu nie wierzyłam, że byłoby to sensowne rozwiązanie.

– Interesujące. Do jakiej frakcji byś dołączyła?

– Brandtowie tradycyjnie dołączają do umiarkowanych Progresywiistów. To mi wyglądało na równie bezsensowne. Tak więc jestem tutaj.

Ibu wskazał ogromną srebrzystą chmurę przed promem.

– Czyż nie jest to ten przyjemny dreszczyk, którego szukałaś? Trzeba się zadowalać tym, co przynosi nam los.

– Hmm. Chyba raczej niepokoić.

– Może, ale jesteśmy w obliczu największej zagadki w galaktyce. Jeśli jej nie rozwiążemy, nigdy nie wrócimy do realnego wszechświata. Nie ma niczego bardziej motywującego.

– Im więcej widzę i rozumiem – powiedziała Laura – tym bardziej wydaje mi się, że jesteśmy szczurami biegającymi w wyjątkowo niesamowitym labiryncie. Jaka siła zdołała nas tutaj umieścić, aby potem najwyraźniej nas ignorować?

– Myślisz, że jesteśmy obserwowani?

– Nie wiem. Podejrzewam, że to miejsce nie jest tak bierne, jak myśli kapitan. Jaki miałyby sens, gdyby nic nie robiło?

– A jaki sens ma to wszystko?

Wzruszyła ramionami, co w stanie nieważkości niezbyt dobrze jej wyszło.

– „Vermillion” zredukował prędkość i wszedł na orbitę – oznajmił Rojas. – Wysyłają w atmosferę planety próbniki analizujące środowisko.

– To atmosfera tlenowo-azotowa – rzuciła niedbale Ayanna. – A spektrografia wykazała taki sam rodzaj fotosyntetycznej roślinności, jaką znajdujemy w całej galaktyce. Jeśli nie ma tam jakichś piekielnych organizmów patogennych grasujących na powierzchni, Cornelius wyda rozkaz lądowania.

– O nieeee – zaczął Joey. Chaotyczne skurcze mięśni twarzy i szyi tłumili słowa, więc wszyscy musieli uważnie się wsłuchiwać we wszystko, co mówił. – Nie możeee... lądować.

– Jak to? – zapytała Laura.

– Z powodu Skathl... – Nagły przypływ niepokoju zalał umysł Joeya, gdy zdradzieckie mięśnie niemal całkowicie zniekształciły jego słowa. – Cii Skahh. – Z wysiłkiem zamknął usta i zaczął od nowa. – Ssz pfoo... – Spuścił głowę, pokonany. – Z powodu Władców Niebios – powiedział wyraźnie jego telepatyczny głos. – Sprowadzili nas tutaj dla tego śmiesznego spełnienia, które tak ich podnieca. Gdyby chcieli nas zabić, wystarczyłoby, gdyby zostawili nas dryfujących w kosmosie z awariami wszystkich systemów. Jednak znaleźli nas i skierowali tutaj, dokładnie tu, do tej gwiazdy z planetą nadającą się do zasiedlenia. A na dodatek wszystko to jest sztucznym tworem. Jak powiedziała Laura, jesteśmy tutaj z jakiegoś powodu. Nie, żeby umrzeć.

– To ma sens – przyznała Laura. – Za plus trzeba uznać to, że „Vermillion” i pozostałe statki zapewne wylądują bezpiecznie.

Ibu przytaknął pomrukiem.

– I prawdopodobnie już nie będą mogły wystartować.

– Spełnienie – powiedział Rojas, jakby pierwszy raz usłyszał to słowo. – W twoich ustach to brzmi jak ofiara złożona jakiemuś bogu.

– Na razie to najlepsza teoria – rzekła Ayanna. – Pustka jest najpotężniejszą istotą, jaką do tej pory napotkaliśmy. „Bóg” to niezłe określenie.

– Teraz zaczynamy się cofać – orzekł wesoło Ibu. – Jeśli to jakiś bóg, co nam mówi o nim jego dzieło?

– Nie jestem pewna, czy można to uznać za istotę – powiedziała Laura. – Podtrzymuję moją teorię, że Pustka jest bardziej zaawansowaną wersją ZAN. To tylko wielgaśny komputer, przeprowadzający realistyczną symulację, w której jesteśmy uwięzieni.

– Dotychczas nic temu nie przeczy – zgodziła się Ayanna.

– Jednak to nadal oznacza, że jest jakiś powód jego istnienia oraz inteligencja, która go kontroluje.

– Ja opowiadam się za dziełem sztuki – oznajmił im Joey. – Jeśli potrafią stworzyć coś takiego, to są bardzo daleko przed nami na drodze ewolucji. Dlaczego nie mieliby tego zrobić dla przyjemności?

– Ponieważ to niebezpieczne i może zniszczyć galaktykę – rzekł Rojas.

– Co może być zabawne, jeśli jesteś bogiem.

– Zatem miejmy nadzieję, że Go nie spotkamy – rzekł Ibu sardonicznie.

Laura ponownie spojrzała na Las.

– Cóż, nie sądzę, żeby On miał tam być.

– Może nie będziemy mieli okazji tego sprawdzić – powiedział Rojas. – Telemetryczne dane z pierwszego Mk24 robią się coraz dziwniejsze.

– Czyli jakie? – zapytał Ibu.

Rojas wodził wzrokiem po ekranach.

– Strumień danych zwalnia. Nie mówię, że jest mniej informacji, ale to jak efekt Dopplera: częstotliwość próbkowania się zmniejsza.

– Spowolnienie przepływu czasu – powiedziała z satysfakcją Ayanna. – Odczyty czujników kwantowych były prawidłowe.

– Gdzie znajduje się ten dron? – zapytała Laura.

– Sto pięćdziesiąt kilometrów od najbliższego drzewa dystorsyjnego – odrzekł Rojas. – Podchodzi w tempie kilometra na sekundę. Teraz zmniejszam tę prędkość, potrzebuję więcej czasu do rozpoczęcia manewrów.

– Jak reaguje? – zapytał Joey. Za tym pytaniem kryło się spore zaciekawienie.

– Ospale – przyznał Rojas. – A to ciekawe! Drugi Mk24 przysła dane coraz szybciej.

– Zmienne tempo? – spytała Ayanna. – To bardzo dziwne.

– Owszem, a teraz przekaz drugiego Mk24 zaczyna zwalniać – powiedział Rojas.

– Może po przekroczeniu jakiejś wartości progowej – podpowiedziała Laura.

Brak aktualnych danych był irytujący – jakby cofnęli się do epoki kamienia łupanego. Znów instynktownie poprosiła swojego u-adiunkta o podłączenie do sieci promu. Zaskakujące, ale interfejs zadziałał. W jej polu widzenia pojawiła się cała gromada ikon. Drugorzędne procesy myślowe przebiegające w jej klastrach makrokomórkowych zaczęły przeprowadzać autonomiczną analizę sytuacji. Chaotyczny strumień informacji nagle zmienił się w konkretny i dokładny.

Joey i Ayanna natychmiast popatrzyli na nią, a ona uświadomiła sobie, że wysłała telepatyczny impuls satysfakcji.

– Jaki jest antonim awarii? – zapytała. – Właśnie mam pełne połączenie z siecią Czternastki.

– Wskreszenie? – odpowiedział Ibu.

Ikonki w polu widzenia Laury poinformowały ją, że reszta zespołu wykorzystuje naprawę usterek i powrót promu do normalnego działania. Ona jednak skupiła się głównie na środowisku kwantowym, przez które przemykał pierwszy Mk24. Składniki temporalne były z pewnością inne. Występowały też inne anomalie.

– Rozumiesz to? – zapytała Ayannę.

– Niezupełnie.

Laura zamknęła oczy, gdy Mk24 przeleciał w odległości siedemnastu kilometrów od drzewa dystorsyjnego na skraju Lasu. Przesłał doskonały obraz drzewa. Jego bulwiaste zakończenie było złożone z pomarszczonych fałd jakiejś krystalicznej substancji, znacznie mniej poskręcanych niż Władcy Niebios. Białe wielobarwne cienie rytmicznie przepływały w środku, jakby coś krążyło wewnątrz tego drzewa. Obraz migotał.

Strumień danych Mk24 szybko się zmniejszał. Pomimo buforowania jakość transmisji się pogarszała. Laura skupiła się na drugim dronie, lecącym pięć minut za pierwszym i zbliżającym się do zewnętrznej warstwy drzew. Ten obraz był znacznie lepszy.

Skupiając na nim swoją uwagę, jednocześnie przejrzała w myślach pozostałe dane gromadzone przez prom numer czternaście.

– Łapiecie to? – spytała nagle.

Drugorzędne procesy myślowe dokonały interpretacji innego strumienia danych. Nie pochodził z dronów Mk24. Główny radar promu pokazywał szeroką na kilometr owalną formację niewielkich obiektów. Znajdowały się już siedemnaście tysięcy kilometrów od tępego czubka Lasu i oddalały się z prędkością jeden przecinek osiem kilometra na sekundę. Każdy z tych obiektów był kulą o średnicy około trzech metrów. Obrazowanie nie pokazywało niczego ciekawego; miały gładką powierzchnię. Laura włączyła obrazowanie termowizyjne, które zarejestrowało interesująco wysoki poziom emisji podczerwieni.

– Trzydzieści pięć stopni? – mruknął ze zdziwieniem Ibu. – Co to za obiekty?

– Czymkolwiek są, radar pokazuje, że jest ich jedenaście – odparła Laura. – I lecą w owalnym szyku, z minimalną prędkością dryfowania. Zero przyspieszenia. Coś je wyrzuciło w kosmos.

– Kierują się wprost na planetę – powiedział Rojas. Jego umysł słał alarmowy sygnał. – Wzywam „Vermilliona”, aby ich ostrzec, że coś się zbliża.

– Mali Władcy Niebios? – spekulował Joey. – W końcu to strefa rozwojowa.

– Uzasadnione przypuszczenie – rzekł Ibu. – Ciekawe, jaki jest ich cykl życiowy. Dorastają na planecie, a po osiągnięciu dojrzałości wracają w kosmos?

– To nieruchome obiekty – powiedziała im Laura. – Nie rejestrujemy żadnych dystorsji grawitacyjnych ani czasoprzestrzennych. To nie Władcy Niebios.

– Może ich jaja? – podsunęła Ayanna.

– Władcy Niebios powiedzieli, że nie pochodzą stąd – przypomniał Ibu. – Nie wyrażają się jasno, ale nie sądzę, żeby byli w stanie choćby zrozumieć koncepcję kłamstwa.

– „Vermillion” wyśle prom na ich spotkanie – powiedział Rojas. – Jeśli będą mogli.

– Jeśli nie, to zawsze możemy zbadać ich *in situ* – zauważył Joey. – W końcu stąd wylecieli.

Trzeci dron Mk24 przeleciał obok zewnętrznej warstwy drzew i po niecałej minucie stracili z nim kontakt. Czwarty przetrwał siedemdziesiąt dwie sekundy, zanim strumień danych zwolnił do zera.

– Żebyśmy mieli jasność – rzekł Rojas. – Spowolnienie czasu nie jest zabójcze, prawda, Ayanno?

– Spowolnienie następuje tylko w Lesie względem kontinuum Pustki na zewnątrz – odparła z rosnącą irytacją.

– Tak więc teraz musimy tylko stwierdzić, czy ta sygnatura kwantowa wpływa na żywe tkanki – stwierdził Ibu.

– W porządku – powiedział Rojas. – Wystrzelę drona z Łajką.

Laura wiedziała, że na poziomie emocjonalnym powinna mieć ambiwalentne odczucia, być może z przewagą dezaprobaty. Jednak szczerze mówiąc, po tylu wiekach oglądania prawdziwej śmierci (a nie tylko utraty ciała) zarówno ludzi, jak i zwierząt, przestało ją to niepokoić. Ponadto trudno wykrzesać z siebie wiele sentymentu dla myszokoczka.

Ten mały gryzoń Łajka był ulokowany w środku drona, który miał niemal identyczne czujniki jak Mk24, a ponadto niewielką kapsułę z układami podtrzymywania życia. Wszyscy obserwowali strumień danych z czujników, gdy dron z Łajką przemykał obok zewnętrznych drzew dystorsyjnych. Poprzez słabnące łącze telemetryczne widzieli, jak myszokoczek kręci nosem, jak miarowo bije mu serce i regularnie oddycha, usiłując napić się wody z rurki przy głowie. Wszystkie mięśnie i nerwy pracowały normalnie. Połączenie słabło, aż zupełnie się zerwało.

– Wnętrze Lasu nie zabija – orzekł Ibu. – Nawet nie wywiera żadnego wpływu na żywe organizmy.

Joey wydał z siebie ponury pomruk, bardziej przypominający jęk.

– Przynajmniej nie w pierwszej minucie – rzekł.

– Strumień danych przestał dochodzić z powodu właściwości temporalnych środowiska – powiedziała Ayanna. – Zgubiliśmy go i tyle. Łajka nie uległa awarii. Ten myszokoczek wciąż tam jest żywy.

– To twoja oficjalna opinia? – zapytał Rojas.

– Tak. Uważam, że możemy spokojnie wlecieć do środka. Jedyne, czego nie wiem, to w jakim tempie płynie tam czas. Jeśli spędzimy tam dzień, na zewnątrz może minąć miesiąc. A może więcej. Albo mniej.

– Dziękuję. Joey?

– Przylecieliśmy tak daleko...

– Laura?

– Muszę pobrać próbki tych drzew. Jakikolwiek jest ich mechanizm działania, znacznie różni się od wszystkiego, co dotychczas napotkaliśmy. I bardzo chcę się dowiedzieć, jakie jest ich źródło energii. Nie można zmienić upływu czasu bez ogromnego zużycia mocy. A ta musi skądś się brać, tymczasem nie widzimy żadnej aktywności cząstek neutrino świadczących o przekształcaniu masy w energię, czy choćby fuzji. To nie może być energia słoneczna. Zatem skąd...?

– Skąd bierze się energia na naszą telekinezę? – zapytał natychmiast Ibu. – Sądzę, że wychodzisz z niewłaściwych założeń, Lauro. Kontinuum Pustki jest inne.

– Chcesz powiedzieć, że te drzewa spowalniają czas, myśląc?

– Myśląc. Nakazując. Kto wie?

– No dobrze, uspokójcie się – powiedział Rojas. Spojrzał na Ibu. – Rozumiem, że ochoczo się tam udasz?

– Może nie ochoczo, ale bez sprzeciwu. Laura ma rację: musimy dobrze się przyjrzeć procesom zachodzącym w tych drzewach.

Rojas głośno westchnął.

– Zatem dobrze, zgłoszę „Vermillionowi”, że wlatujemy do środka. Zakładam, że kiedy się tam znajdziemy, stracimy z nimi łączność. Nie chcę, żeby wysłali wyprawę ratunkową tylko dlatego, że nie odzywamy się przez kilka dni.

Ibu otworzył prywatne połączenie z u-adiunktem Laury.

– Dlaczego mam wrażenie, że wyprawa ratunkowa nie byłaby priorytetową sprawą w terminarzu kapitana?

* * *

Rojas nadal korzystał z ręcznego sterowania, kierując Czternastkę ku dużej luce między drzewami dystorsyjnymi. Laura wolała obserwować to podejście zza przedniej szyby, a nie poprzez przekaz czujników promu. Jednak jej egzowizja dokonywała wtórnej interpretacji, podając szczegółowe dane podejścia.

Przyspieszenie wynosiło jedną dziesiątą g, co wystarczało, aby utrzymać ich w fotelach. Laura wykorzystała czas, by pospiesznie przeżuć kilka czekoladowych wafelków. Nawet to słabeciążenie pozwoliło jej żołądkowi bez protestów przetrwać pożywienie.

– Mam wrażenie, że powinniśmy poczynić przygotowania – zauważył Ibu.

– Jakie? – spytała.

– Nie jestem pewien. Nałożyć jakieś skafandry ochronne? Zabrać butle z tlenem? Zaszczepić się?

– Mam pod skafandrem siatkę pola siłowego – wyznała Ayanna. – Czy to się liczy?

– Pomoże, jeśli nie przestanie działać.

– A myślałam, że jesteś optymistką.

Laura zastukała palcem w miękką wyściółkę kabiny. Beżowy materiał był podzielony na kwadraty, a prawie połowa z nich była drzwiczkami małych szafek.

– W każdej kabinie są hermetyczne skafandry ratunkowe. Nic ci nie będzie.

Otworzyła kartonik soku pomarańczowego i zaczęła go sączyć przez słomkę.

Ibu zerknął na ścianę drzew ciągnącą się przez Pustkę za przednią szybą promu.

– Nazwałeś nas szczurami w laboratoryjnym labiryncie. Raczej jesteśmy bakteriami pod mikroskopem. Nasze uczucia są nieistotne. Jedyne, co utrzyma nas przy życiu, to kompetencje i umiejętność logicznego myślenia. – Z uśmiechem rozejrzał się po kabinie. – Na szczęście obu nam nie brakuje. Możesz sobie wyobrazić, jak wyglądałaby ta misja, gdybyśmy mieli do dyspozycji tylko bandę pięćdziesięciolatków? Statek strachu i łez.

– Połączenie z „Vermillionem” zanika – oznajmił Rojas.

Laura sprawdziła, co pokazuje jej egzowizja. Czternastka znajdowała się teraz trzydzieści kilometrów od drzewa dystorsyjnego i wciąż się zbliżała. Rojas zmniejszył przyspieszenie do zera. Wszyscy zamilkli, gdy przelatywali obok cieńszego końca drzewa, skierowanego ku planecie. Spowił ich jego cień. Rojas wykręcił i przyspieszył do pół g, wyrównując ich prędkość względem Lasu, tak by prom zawisł nieruchomo w środku. U-adiunkt Laury odnotował czas. Intrygowało ją to, jaka będzie różnica czasowa, kiedy znów wyłonią się w „zwyckiej” przestrzeni Pustki.

– Zauważam lekkie przesunięcie w stronę fioleto kilku granicznych gwiazd – powiedziała Ayanna. – Jesteśmy w zmienionym przepływie czasu.

– I nadal żyjemy – rzekł Ibu.

– Połączenie z „Vermillionem” zanikło – oznajmił Rojas.

– Tego się nie spodziewałam – powiedziała Ayanna. – Myślałam, że nadal będziemy ich odbierać, tylko na wyższej częstotliwości.

Rojas się skrzywił.

– Nic, przykro mi.

– A co z tymi Mk24, które wysłaliśmy przed nami? – spytała Laura. – Nie powinniśmy znów ich odbierać, skoro jesteśmy w tym samym przedziale czasowym?

– Na razie nic nie ma – rzekł Rojas. – Sprawdzę jeszcze raz.

– Od Łajki też nic – zgłosiła Ayanna.

– Mk24 nie są też widoczne na radarze – rzekł Ibu.

– To dziwne – powiedziała Laura. – Radar Czternastki może wykryć ziarnko piasku z odległości dwustu kilometrów. Nawet jeśli drony zupełnie straciły zasilanie, powinny być wykrywane.

– Widocznie są za innym drzewem dystorsyjnym – podpowiedział Joey.

– Wszystkie? – powiedziała sceptycznie Laura. – Ponadto wszystkim jednocześnie wysiadła łączność i napędy? Akurat.

– Zatem jak to wyjaśnisz?

Spojrzała na ogromny krystaliczny kształt najbliższego drzewa dystorsyjnego.

– Coś wciągnęło je do środka.

– Nie wykryliśmy żadnych anomalii aktywności grawitacyjnej – zauważyła Ayanna. – Nie wiem, co innego mogłoby zmienić ich trajektorię.

– Telekineza – rzekł Rojas. – Jeśli te drzewa są w jakimkolwiek sensie żywe, to gdzieś tam kryje się ogromny stary mózg.

Znów wszyscy zamilkli. Laura obrzuciła drzewo lekko zatroskanym spojrzeniem.

– Jeśli jest żywe, to nie chce z nami rozmawiać.

– Dlatego ty tutaj rządzisz – powiedział jej Rojas. – Co chcesz teraz zrobić?

– Podejść do niego bliżej. Wykonać kilka pomiarów gęstości, zobaczyć, czy uda nam się zdobyć obraz jego budowy wewnętrznej, a potem umieścić próbki nad najbardziej interesującymi częściami.

– Jeśli podejdziemy dostatecznie blisko, możemy użyć telepatii – zauważył Joey.

– Czegokolwiek, co pozwoliłoby nam zajrzeć do wnętrza tych drzew – powiedziała mu bez cienia ironii Laura.

Czternastka podleciała na trzy kilometry do drzew dystorsyjnych. Rojas umieścił ją w połowie krystalicznego behemota, wykorzystując obłoczki zimnego gazu z dysz układu chłodzenia reaktora promu. Stado wyspecjalizowanych dronów sensorycznych Mk16b wyleciało z silosu w kadłubie. Dwieście dwadzieścia tych błyszczących sond wielkości pięści utworzyło szeroki pierścień wokół drzewa dystorsyjnego. Zamknąwszy krąg i zjednoczywszy strumienie danych, powoli przesuwały się wzdłuż dziewięciokilometrowej długości drzewa, dokładnie skanując.

Laura starała się nie okazywać rozczarowania obrazem, który wyłaniał się w jej egzowizji. Skomplikowane kształty pofałdowanego obiektu były mapowane z milimetrową precyzją, ukazując dokładną topologię szczelin ciągnących się ponad kilometr poniżej meandrującej grani. Jednak wszystkie sensory dronów nie zdołały ukazać niczego pod tą powierzchnią.

– To jak odcisk palca wielkości górskiego pasma – opisał to Ibu.

Laura zamknęła oczy, zatapiając się w obrazie przekazywanym przez czujniki.

– Dystorsja kwantowa jest najsilniejsza przy grani – oznajmiła. – To jednak nic mi nie mówi o tym, gdzie jest generujący ją mechanizm.

– Zdecydowanie mamy do czynienia ze skutkiem działania jakiejś negatywnej energii – powiedziała Ayanna. – Drzewa są źródłem zmiany upływu czasu, to pewne. Światło w kryształach to zapewne rodzaj promieniowania Czerenkowa w tym kontinuum.

Kierowane przez Rojasę stado dronów rozdzieliło się na dwie eskadry i pomknęło dolinami po obu stronach krystalicznej grani, wylatując ze słonecznego światła w upiorną i zmienną fosforescencję drzewa.

– Możemy utrzymywać kontakt z tym stadem, ale nie z dronami Mk24 – zauważył Ibu. – Coraz to dziwniejsze.

– Te są bliżej – przypomniał Rojas.

– Gdyby Mk24 tylko dryfowały wokół w Lesie, jeden z nich już wyłoniłby się z radiowego cienia.

– No dobrze, co więc twoim zdaniem się z nimi stało?

– Nie wiem – odparł ponuro Rojas.

– Zdecydowanie drzewa zawierają w swoim składzie trochę węgla – orzekła Laura, odczytując świeżą porcję danych przesłanych przez stado.

– Diamenty? – ucieszył się Joey.

– Nie, przykro mi. Są tam ślady również innych pierwiastków, ale nic szczególnego. Jednak to jest interesujące: wiązania walencyjne wydają się silniejsze od tych, do jakich jesteśmy przyzwyczajeni, a gęstość materii jest niewątpliwie większa niż zwykle. Sądzę, że parowanie jest pomijalne. Jednak wciąż nie mam odczytów głębszych niż na kilka milimetrów.

– Co oznacza, że musisz się tam udać i odłupać parę kawałków, no nie? – rzekł Ibu.

Laura ponownie przejrzała wyniki analizy gęstości.

– Myślę, że wysięgniki próbników powinny sobie z tym poradzić.

– Do licha, a miałem nadzieję wałnąć w to młotkiem – powiedział z uśmiechem Ibu. – Możesz to sobie wyobrazić? Jedno stuknięcie i to małe pęknięcie zaczyna się powiększać...

– Agencja do spraw Pierwszego Kontaktów Wspólnoty puściłaby cię z torbami – powiedziała mu Laura.

– Dajmy dronom jeszcze trochę czasu – zaproponował Rojas.

– Odczytuję bardzo interesujące fluktuacje sygnatury kwantowej w szczelinie – powiedziała Ayanna. – Chciałabym, żeby drony przeprowadziły pełny skan całej długości drzewa i wykryły, gdzie są najsilniejsze.

– To mi pomoże – przyznała Laura. – Jednak polecimy tam, prawda?

Rojas westchnął.

– Przeprowadzimy próby sprawności naszego sprzętu, czekając, aż drony zakończą badania.

* * *

Przedział techniczny promu był wciśnięty między sterówkę na dziobie i główną kabinę pasażerską. Była tam śluza, mała mesa i łazienki, a także luk prowadzący do ładowni na fracht, biegnącej wzdłuż kadłuba pod kabiną pasażerską.

Laura płynęła w powietrzu za Rojasem, zachowując należyty dystans między swoją głową a jego stopami. Choć jej biononika powoli wracała do normy, nadal niezbyt dobrze czuła się w stanie nieważkości. Przez cały czas obawiała się, że zostanie kopnięta w twarz.

Powoli opadała włazem, sporadycznie korzystając z uchwytów sterczących z każdej grodzi. Pierwszą część, będącą jedną czwartą ładowni, zajmował wąski korytarz z szafkami na sprzęt w ścianach. Prowadził do większej metalowej komory, gdzie grube rury silosu dronów tworzyły dwa bliźniacze rzędy. Łapiąc się uchwytów, Laura przemieściła się wzdłuż nich, starając się nie uderzyć w nic łokciami. Na końcu silosu znajdowała się śluza hangaru ewakuacyjnego. Dwie sferyczne kapsuły spoczywały w swych kołyskach – dwuosobowe pojazdy z mnóstwem poruszanych elektromięśniami macek; te w spoczynku były zwinięte w lekko obsceniczny sposób. Skafandry kosmiczne znajdowały się w szafkach wraz z trzema zestawami osobistych uprząży manewrowych. Długi szereg narzędzi i czujników był przymocowany do grodzi naprzeciw rzędu nieruchomych zerograwitacyjnych botów o połowę mniejszych od człowieka. Na końcu pomieszczenia była śluza powietrzna, dostatecznie duża, żeby przeszła przez nią kapsuła.

– Uruchomię jedną z kapsuł – rzekł Rojas – jeśli zechcesz sprawdzić skafandry.

– Jasne – odparła Laura.

Skafander był niezbyt skomplikowanym elementem wyposażenia, jednocześnie strojem ze śliskiego szarego materiału, przetykanego włóknami elektromięśni. Rozciągał się jak luźny worek przy zakładaniu, po czym elektromięśnie zaciskały się i przywierał do ciała niczym druga skóra. Pory i kapilary zbierały pot, a sieć termoprzewodników odprowadzała nadmiar ciepła wytwarzanego przez ciało, utrzymując stałą i przyjemną temperaturę. Hełm był klasyczną przezroczystą kulą z mnóstwem wbudowanych węń filtrów i czujników. Kołnierz kombinezonu z łatwością do niego przylegał. Regeneracji tlenu dokonywało niewielkie urządzenie umocowane poniżej karku. Zazwyczaj na wierzch zakładano szkielet pola siłowego, ale Laura nie ufała teraz tym osłonom. Zajrzała do kilku innych szafek i poczuła ulgę, gdy znalazła grube ochronne skafandry zewnętrzne, które niemal równie skutecznie osłonią noszącego je przed uderzeniami mikrocząsteczek. Właśnie o takim mówił Ibu, zapowiadając, że go założy. *Powinnam wziąć jeden dla niego.*

Jej u-adiunkt zameldował, że Ayanna nawiązała bezpośrednie połączenie.

– Mamy kilka interesujących wyników z Mk16b – powiedziała.

– Rzucę okiem – odparła Laura.

Jej u-adiunkt otworzył przekaz stada dronów i na widok tego, co ukazała jej egzowizja, przestała wpychać ochronny skafander do szafki.

Drony prawie zakończyły zwiadowczy przelot wzdłuż grani. Na wąskim końcu drzewa dystorsyjnego, gdzie łączyły się fałdy, skan ujawnił kilka nieregularnych wybrzuszeń.

Temperatura ich powierzchni wynosiła trzydzieści pięć stopni Celsjusza. Drony skupiły swoje czujniki na tej anomalii.

Egzowizja ukazywała Laurze te wybrzuszenia jako ciemne kule, nowotworowe guzy na eleganckim i jasnym kryształ. Czujniki pokazywały ponad pięćdziesiąt takich wybrzuszeń o różnej wielkości, od kamyków po kule niemal trzymetrowej średnicy. Te twory były pomarszczone i ciemnoszarej barwy, mogącej być najciemniejszym odcieniem zieleni.

– Awokado – mruknęła. – Dojrzałe awokado.

Właśnie do tych owoców były podobne.

Mimo usilnych starań dronów próbujących powiększyć obraz tego miejsca nie można było dostrzec, gdzie kończy się kryształ, a zaczyna kula: były połączone tak, jakby kule zapuściły korzenie w drzewie, co jeszcze bardziej pogłębiało skojarzenie z nowotworem.

– Jaja Władców Niebios – rzekł Joey.

– Musimy tam polecieć i pobrać próbkę – powiedział Rojas.

– Zrobimy to – powiedziała Laura, przeglądając pozostałe dane przesłane przez drony. – Jednak naszym priorytetowym zadaniem jest zbadanie anomalii kwantowych Lasu. Spójrzcie na efekt działania negatywnej energii na dno fałd; mają bardzo skomplikowany przebieg. Widocznie tam dokonuje się manipulacji przepływem czasu.

– Dobrze, nadam temu priorytet – obiecał Rojas.

– Świetnie. – W podziękowaniu Laura posłała mu uśmiech przez całą szerokość hangaru.

– Powiadom mnie o sprawności próbników i sprawdź ich sensory, proszę.

– Jasne.

– Ibu, chodź tutaj i weź sobie skafander – polecił Rojas. – Możesz zająć fotel z prawej strony.

– Już idę – odparł Ibu.

– Co takiego? – warknęła Laura. Zakładała, że to ona będzie siedziała w prawym fotelu kapsuły.

– Ibu ma w swoim logu tysiąc godzin pobytu w stanie nieważkości podczas ostatnich dwudziestu lat – wyjaśnił cierpliwie Rojas. – Ty odbyłaś tylko kilka obowiązkowych jednogodzinnych ćwiczeń, które, zgodnie z tym raportem, nie poszły ci najlepiej.

– Ale to moja dziedzina wiedzy – odparła Laura, wiedząc, że reaguje dziecinnie.

Rojas posłał jej współczujące spojrzenie z drugiej strony kapsuły.

– Twoim zadaniem jest określenie budowy molekularnej tej struktury. Natomiast wbicie w nią czujników i zdobycie wyników dla ciebie to nasza działka.

Laura skinęła głową.

– Tak, oczywiście. Sprawdzę urządzenia, które chcę tam umieścić.

– Dziękuję.

Minutę później Ibu przemknął wzdłuż całej długości silosu. Laura zacisnęła zęby; pomimo swojej tuszy poruszał się jak ryba w wodzie. *Do licha, Rojas ma rację, że wybrał jego.*

– Przykro mi – rzekł Ibu, kiedy się z nią zrównał. – Uważaj mnie za dodatkową parę rąk.

Laura lekko poczerwieniała. Zastanawiała się, jak skuteczna jest jej osłona mentalna.

– Chciałabym komplet badań z tych pięciu obszarów. – Jej u-adiunkt wysłał mu plik. – A kiedy przesyję wyniki, pokażę ci, gdzie posłać próbki.

Ibu zamknął oczy, oglądając wybrane przez nią miejsca.

– Szukasz egzotycznej materii, co?

– Jeśli mamy zrozumieć przebiegający tu proces, muszę się dowiedzieć, co manipuluje energią przepływu. Najwyraźniej robi to na poziomie molekularnym.

– Tak jak nasza biononika?

Skrzywiła się.

– Daj mi próbki, to ci powiem.

* * *

Laura wróciła już do kabiny na dziobie, gdy kapsuła opuszczała mały hangar promu. Ayanna siedziała przed nią w fotelu pilota, formalnie dowodząc misją. Joey był przypięty pasami do fotela na końcu przedziału. Laura zaczynała się poważnie niepokoić o stan specjalisty od teorii nadprzestrzeni. Skurcz mięśni policzków tak się pogłębił, że jego twarz zastygła w okropnym grymasie, z ustami wykrzywionymi w szyderyczym uśmiechu. Widziała, że jego ramiona dygoczą coraz częściej. Gdyby się nie przypiął, skakałby po kabinie. Wiele mówił też fakt, że chował swoje dłonie za oparciem sąsiedniego fotela, kryjąc je przed nią i Ayanną. Gdy zerknęła telepatycznie, zobaczyła, że jego ręce silnie drżą; nogi także. Może powinna zaproponować mu skorzystanie z medycznego modułu Czternastki – ale wiedziała, jaka byłaby jego reakcja.

Srebrzystobiała kula kapsuły przesunęła się za przednią szybą. Laura powstrzymała chęć pomachania ręką.

– Jak wasze systemy? – spytała Ayanna.

– Większość działa – odparł Rojas. Jego głos rozbrzmiewał w głośnikach kabiny. – Gotowi do włączenia napędu jonowego.

Zimne niebieskie światło trysnęło z czterech wąskich prostokątnych dysz kapsuły i mała jednostka powoli oddaliła się od Czternastki.

– Wektor spalania dobry – oznajmił Rojas. – Spotkanie z drzewem dokładnie za siedem minut.

Laura westchnęła i pokręciła głową na cały ten teatralny pokaz. *Ci chłopcy i ich zabawki.*

– Nieczęsto mogą się pobawić – powiedziała cicho Ayanna.

Uśmiechnęły się do siebie. W następnej chwili Laura jęknęła, gdy straciła połączenie z siecią Czternastki.

Ayanna jedną ręką zaczęła wciskać przełączniki na konsoli, a drugą pospiesznie stukać w klawiaturę. Laura zazdrościła jej tej umiejętności; była pewna, że jej palce nie są aż tak sprawne.

– Mamy zaniki zasilania – mruknęła Ayanna. – Rojas, jaka jest wasza sytuacja?

– Dobra, Czternastka.

– Nie przyspieszają – zauważyła Ayanna.

Światła w kabinie zamrugały. Laura spojrzała na nie podejrzliwie.

– Wspaniale, tylko tego nam trzeba. Awarii zasilania.

Zamilkła się, gdy jej u-adiunkt zameldował, że znów nawiązał połączenie z siecią Czternastki.

– Może byś zechciała sporządzić kopie zapasowe wszystkich uzyskanych danych – powiedziała Ayanna.

– Dobry pomysł.

Laura kazała swemu u-adiunktowi otworzyć nowy plik w jednym z jej magazynów pamięci i zaczęła składować tam kopie wszystkich danych zebranych przez drony.

Gdy się lądowały, Ayanna zmieniła nachylenie Czternastki tak, żeby mogli obserwować kapsułę przez przednią szybę. Z zadowoleniem demonstrowała, że potrafi sterować Czternastką równie dobrze jak Rojas. Biała kula samej kapsuły wkrótce znikła w migotliwej fosforescencji fałdów drzewa, ale jej światła pozycyjne wciąż miarowo pulsowały, pozostając widoczne na tle ogromnego obiektu.

– Zajęliśmy wyznaczoną pozycję – zameldował w końcu Rojas. – Znajdujemy się dwieście metrów nad powierzchnią obiektu.

Sprawdzając to na ekranie, Laura zobaczyła błysk światła pozycyjnych w niemal jednej czwartej odległości od wąskiego końca drzewa.

– Ibu, chciałabym podłączyć się do twojej wizji.

– Jasne – odpowiedział.

Laura zamknęła oczy i wygodnie wyciągnęła się na fotelu. Pole widzenia Ibu poszerzyło się z zielono-niebieskiego symbolu na środku jej egzowizji i zobaczyła zamknięte wnętrze kapsuły. Rojas znajdował się obok Ibu, przytrzymywany pasami w pozycji zbliżonej do stojącej. Ekran, światła i uchwyty zajmowały niemal całe ściany niewielkiej kabiny.

Ibu włożył na głowę hełm. Rojas zrobił to samo. Następnie niektóre lampki w ich pobliżu zmieniły kolor z czerwonego na purpurowy.

– Potwierdzono obecność próżni – rzekł Ibu. – Otwieram służę powietrzną kapsuły.

Rozłączył pajęczynę pasów, które go przytrzymywały, po czym się obrócił. Jedna trzecia tylnej ścianki kabiny się rozchyliła. Ibu ostrożnie wyszedł w Pustkę. Tuż za drzwiami słuzy był stojak z uprzężą do manewrowania w stanie nieważkości. Wcisnął się w nią, a jej uchwyty zacisnęły się na jego ramionach i udach.

– Sprawdzam uprzęż.

Z dysz sterujących z upręży wytrysnęły obłoczki zimnego gazu, jak kłęby białego pyłu.

– Uprząż działa. Ruszam.

Powoli obleciał kadłub kapsuły. Za obłą szarobiałą kulą kapsuły wznosiło się drzewo, przypominając wschód na księżycu gazowego olbrzyma. Z tak bliska było ogromne. Od samego patrzenia nań ludzkimi oczami Laurę przeszedł dreszcz. Coś tak dużego, być może

żywego i z całą pewnością obcego, było nieco przytłaczające. To dziwne, ale niepokoiło ją bardziej niż sama Pustka.

– Nie sądzę, żeby te drzewa były częścią Pustki – mruknęła. – Myślę, że zostały tutaj wciągnięte, tak samo jak my.

– Dlaczego tak uważasz? – spytała Ayanna.

– Nie próbowałyby zmienić Pustki, gdyby były jej częścią. Są więźniami, tak jak my. To niedobrze.

– Dlaczego?

– Najwyraźniej lepiej od nas kontrolują przemiany masy w energię, a mimo to wciąż tu są.

– Jeśli pochodzą z zewnątrz – podsunęła pośpiesznie Ayanna.

Laura się uśmiechnęła, wciąż nie otwierając oczu i patrząc oczami Ibu.

– Pochodzą.

Ibu leciał powoli wzdłuż wybrzuszenia zbadanego przez stado dronów. W strumieniu danych przesyłanych przez jego skafander były mikrosekundowe przerwy powodujące migotanie obrazu.

– Schodzę do środka – oznajmił.

Znów trysnęły strużki gazu. Krystaliczna ściana zaczęła przesuwać się za jego hełmem. Utrzymywał równy kurs, pozostając piętnaście metrów od boku tej ogromnej fałdy, która wiodła w głąb drzewa. Jego srebrzystobiały pancerz świecił odbitym upiornym blaskiem, którym jarzyła się krystaliczna struktura. Laura uświadomiła sobie, że serce bije jej coraz szybciej, i zadała sobie pytanie, czy to skutek jakiegoś telepatycznego sygnału od Ibu.

– Zbliżasz się do strefy, którą wybrałam – powiedziała mu, odczytawszy koordynaty z ikony egzowizyjnej.

– Taak. Zauważyłem.

Laura się uśmiechnęła.

– Mam też kilka jajek i chciałabym zademonstrować twojej babci, jaki można z nich zrobić użytek.

– Jestem pewny, że chętnie by się dowiedziała.

Ibu zatrzymał się niedaleko dna fałdy. Pięćdziesiąt metrów dalej kryształ mocno się wyginał, tworząc wąską dolinę. Przeciwległa ściana była zaledwie siedemdziesiąt metrów za nim.

– Rozpoczynam pierwszy etap – oznajmił.

Obserwowany przez Laurę obraz zakołysał się, gdy Ibu odczepił analizator od pasa narzędziowego. Przyrząd był zielonym krążkiem mieszczącym się w jego okrytej rękawicą dłoni.

Laura ścisnęła miękki brzeg fotela, gdy Ibu znów włączył uprząż i powoli poszybował naprzód. Widziała, jak wyciąga ręce przed siebie. W tym dziwnym świetle, którym jarzył się kryształ, trudno było dostrzec jego powierzchnię.

Ibu dotknął jej palcami i lekko się od niej odbił. Obłoczki gazu znów wytrysnęły, zatrzymując go w miejscu.

Laura odetchnęła, gdyż do tej pory bezwiednie wstrzymywała oddech.

– W zasadzie nie ma tarcia – meldował Ibu. – Zerowa przyczepność skafandra.

– To z powodu zwiększonej siły wiązań walencyjnych – powiedziała mu Laura. – Powierzchnia tego kryształu wykaże mniej nieregularności niż zwykła materia.

– W porządku. Włączę skaner. Zobaczmy, czy się przyczepi.

Laura nie wiedziała, z czego jest zrobiony przyczepny spód skanera, lecz gdy Ibu umieścił go na powierzchni i przycisnął, wypuszczając strużki gazu z upręży, klej najwyraźniej chwycił.

– Kontakt dotykowy potwierdzony – zgłosił Ibu. – Telemetria dobra. Przechodzę do drugiej lokalizacji.

– Dobra robota – pochwaliła go Ayanna.

– Mamy problem – stwierdził telepatyczny głos Joeya.

Laura zamrugła, zmieniając obraz przekazywany przez Ibu w małą poboczną ikonkę w swojej egzowizji. Rozejrzała się po kabinie, ale wydawało się, że wszystko jest w porządku.

– Co się stało?

Wybałuszone oczy Joeya spojrzały na nią z jego wykrzywionej skurczem twarzy.

– Próbowałem znaleźć „Vermilliona” za pomocą optronicznych sensorów promu. Nie mogę. Zniknął.

– Co takiego?! – warknęła Ayanna i żadna osłona nie zdołałaby ukryć jej nagle przerażonych myśli.

– Nie mogę go znaleźć – powtórzył Joey. – Słuchajcie, jest coś poważnie nie tak z teorią, że za utratę kontaktu z dronami i „Vermillionem” odpowiada tylko efekt Dopplera. Nieważne, jak zmieni się częstotliwość sygnałów, nadal powinniśmy jakiś odbierać.

Ayanna miała zirytowaną minę.

– Taak. Wiem.

– No dobrze. To mnie niepokoiło... bardzo. Zacząłem przeglądać dane obrazowe. „Vermillion” ma tysiąc trzysta metrów długości, do kurwy nędzy. Z tej odległości powinien być widoczny gołym okiem. Optronika, którą dysponuje Czternastka, może odczytać jego numer seryjny. Znamy jego orbitę, wiemy, gdzie go szukać. Już pięć razy wykonałem podstawowy skan. Nic nie orbituje wokół tego świata. Na pewno nie „Vermillion”. Ani „Viscount” czy „Verdant”. Żadnego z nich nie ma już na orbicie.

– Nie wiem... – zaczęła Laura. – Do licha. Nie mogły wszystkie się rozbić. – Z rozpaczą spojrzała na Ayannę. – Mogły?

– Były na tysiąckilometrowej orbicie – odparła Ayanna. – Potwierdziliśmy to, zanim weszliśmy w strefę przesunięcia czasowego Lasu. Nie potrafię sobie wyobrazić, jaka siła mogłaby ściągnąć je z orbity.

– Ta sama siła, która tutaj spowalnia bieg czasu – powiedziała Laura. – Joey, jesteśmy tu wolniejsi. Czy oni mogą być po drugiej stronie planety i potrzebować więcej czasu, żeby znaleźć się w naszym polu widzenia?

Jego wykrzywiona twarz nie zdradzała żadnych uczuć, ale myśli ociekały pogardą.

– No tak. Naprawdę na to nie wpadłem. Daj spokój! Te trzy statki były rozmieszczone na orbicie w równych odstępach. Jeden z nich zawsze jest widoczny. Przeważnie widać dwa.

– A te kule, które widzieliśmy, podlatując do planety – przypomniała Ayanna. – Może to jakaś broń.

– I nie widzieliśmy eksplozji? – spytała Laura. – Nie. Zdarzyło się coś innego.

– Gdyby zostali ściągnięci z orbity, wybuch utworzyłby piekielnie duży krater – zakończyła Ayanna. – A teraz unoszą się z niego megatony skały zmienionej w parę. Cała atmosfera planety zostałaby skażona. Joey, widzisz coś takiego?

Teoretyk nadprzestrzeni zdołał zamrużyć.

– Nie. Jednak wykonam porządny skan. Może się nie rozbili, może ingraw wytrzymał dostatecznie długo.

– Zrób to – rzuciła Ayanna.

– Czy powiemy...? – Laura wskazała olbrzymi obcy twór jarzący się za przednią szybą. Światła nawigacyjne kapsuły wciąż regularnie błyskały.

– Nie – odparła pospiesznie Ayanna. – Niech tu wrócą, zanim przekazemy im tę wiadomość. Nie chcę, żeby coś ich tam rozpraszało.

– W porządku. – Laurze dreszcz przebiegł po plecach. Zdawał się rozchodzić po całym ciele. – Nawet gdyby statki zostały ściągnięte z orbity, to nie wyjaśnia, co się stało z wszystkimi dronami.

Ayanna kiwnęła głową.

– Wiem.

Laura patrzyła, jak Ibu rozmieszcza pozostałe skanery. Zaczęły informować o zadziwiającej budowie molekularnej kryształowego drzewa: było złożone z milionów odrębnych warstw, splecionych w niewiarygodnie skomplikowany sposób. Każde pasmo posiadało inny poziom energetyczny, często negatywny.

– To naprawdę robi cholerne wrażenie – wykrztusiła Laura. Jej wspomaganie próbowało mapować drogi ukazywane przez skanery, lecz jej klastry makrokomórkowe nie miały wystarczającej mocy obliczeniowej. Nawet urządzeniom pokładowym Czternastki zajęłoby to wiele tygodni. – A widzimy tylko niewielki kawałek. Całość jest rodzajem gigantycznego kondensatora, który manipuluje negatywną energią. Tylko tyle z tego wszystkiego rozumiem. Ten twór musi również generować własne różnice walencyjności, właściwie utrzymujące go w nieustannym ruchu.

– Zatem gdzieś tu musi być jakiś mechanizm kontrolny – zauważyła Ayanna. – Może jakaś jego część nadzoruje przebieg procesów?

– Gdzieś. Istotnie. Jednak mamy do czynienia z kilometrami sześciennymi.

– Logicznym miejscem byłby środek tej bulwiastej części na drugim końcu.

– Jasne. Logicznym. Ibu, Rojas, czy wyczuwacie jakieś myśli płynące od tego drzewa? Niekoniecznie muszą być tak szybkie lub podobne do naszych.

– Przykro mi, Lauro – odparł Ibu. – Nic. Ledwie udaje mi się zająrzeć do tego kryształu, a i tak nie rozumiem połowy tego, co widzę.

– W porządku. Wysyłam ci plik ze współrzędnymi miejsc, z których chcę mieć próbki.

– Lauro – rzekł Rojas. – Widzimy, że ten kryształ ma bardzo skomplikowaną budowę cząsteczkową. Myślisz, że pobieranie próbek jest właściwe?

– Właściwe? – prychnęła. – To najniezwyklejszy mechanizm molekularny, jaki widziałam!

Ibu zachichotał.

– On się zastanawia, czy jeśli zaczniemy wbijać w niego sondy, nie będzie to jak nakłuwanie balonu szpilką.

Laura zrobiła głęboki wdech, starając się uspokoić.

– Pobiorę maksymalnie dziesięć gramów i ani grama z kanałów negatywnej energii. Niczego nie zniszczymy, pobierając próbki, no nie? To bezpieczna procedura.

Ayanna obróciła się na fotelu pilota i bardzo sceptycznie uniosła brew.

– Bezpieczna – powtórzyła Laura, nie chcąc ustąpić.

– W porządku – rzekł Ibu. – Nakładam pierwszy moduł.

Najpierw się dowiedzieli, jak trudno wiciom próbnika wniknąć w krystaliczną powierzchnię o zwiększonej spójności.

– To może chwilę potrwać – przyznała Laura, monitorując powolne zagłębianie się sond.

Ibu rozmieścił ostatnie próbki.

– Zamierzam rzucić okiem na te jaja – oznajmił.

Laura rozszerzyła obraz, który przekazywał, i obserwowowała, jak przesuwają się nad dnem rozświetlonej poświatą doliny. Z jego upręży od czasu do czasu tryskały obłoczki gazu, błyszczące w tym niesamowitym świetle. Fałd stopniowo stawał się węższy i płytszy, łącząc się z kilkoma innymi.

– Ibu, czy ten blask przygasa? – zapytała Laura.

Obraz, który otrzymywała od przesuwającego się nad zagłębieniem Ibu, był coraz bardziej przerywany tymi irytującymi wstrząsami i z trudem dostrzegała zmienne błyski fosforescencji we wnętrzu kryształu. Jakby wleciał w cień, co było niemożliwe.

– Nie – odparł. – Dlaczego? Czy próbki kopulują z drzewem?

Powstrzymała uśmiech.

– Nie.

– Sygnał znacząco słabnie – ostrzegła Ayanna. – Ibu, wchodzisz w strefę silnej interferencji. Czy w tym miejscu kryształ wygląda inaczej?

– Nie. Jednak już widzę te kule. To jak... do diabła! Nie mogę...

Chociaż miała zamknięte oczy, Laura chciała je zmrużyć. Ledwie mogła dostrzec te ciemne kule połączone z kryształem. Przesyłany przez Ibu obraz był jak portal do świata mroku i cieni.

– Co się dzieje? – zapytał pospiesznie Rojas.

– Nic – odparł Ibu. – Po prostu nie mogę zbadać ich telepatycznie, to wszystko. Tak jakby były osłonięte w taki sam sposób, w jaki my chronimy nasze myśli. Jednak są naprawdę cudowne. Ja to wiem.

– Chcesz powiedzieć, że są żywe? – spytała zaniepokojona Laura.

– Nie jestem pewny.

– Jego serce naprawdę przyspiesza – ostrzegła Ayanna.

Laura zobaczyła, jak podlatuje bliżej. Obraz się zamglił, a potem ustabilizował. Teraz bardzo trudno było coś dostrzec w tej gmatwaninie szarych cieni. Jaśniejszy zarys ręki Ibu przesunął się w polu widzenia, gdy wyciągnął rękę do jednej z tych kul.

– Zamierzam... sprawdzić... trzymając...

Obraz zupełnie znikł. Przez sekundę był widoczny tylko biały szum, a potem i on zanikł.

– Rojas? – zaczęła Ayanna. – Czy widzisz Ibu?

– Ledwie. Jest blisko tych kul. Myślę...

Połączenie z Ibu wróciło. U-adiunkt Laury zameldował, że jest słabe. Tylko głosowe.

– ...pieprzone... nie... mogę... do diabła... naprawdę nie mogę...

– Co się dzieje? – spytała Ayanna. – Ibu?

– Przywarła. Trzyma... wszystkie... palce...

– Co takiego? – zapytała Laura. – Ibu, nie mamy obrazu. Nic nie widzimy. Co przywarło?

– ...Lauro, to... cząstecz... moja ręka... pieprzona... nie mogę nią ruszyć...

– Szlag – mruknęła Laura. – Ibu, czy przywarła ci ręka? Do tej kuli?

– ...tak... tak... cholerstwo mnie dopadło... twarde, ale... o kurwa, no nic... odciąć... uwolnić...

Ayanna z niepokojem spojrzała na Laurę.

– Co się stanie, jeśli spróbuje to przeciąć?

– Nie mam pojęcia!

– Ibu, uważaj – powiedziała Ayanna.

– ...ja pier... – warknął Ibu.

– Po prostu uwolnij rękę – powiedziała mu Laura. Pomocniczy przekaz pokazał obraz poruszającej się kapsuły.

– Rojas, co robisz? – zapytała Ayanna.

– Człowiek potrzebuje pomocy – odparł spokojnie Rojas.

– Możesz przesłać nam obraz? – zapytała Laura.

Odpięła pasy i popłynęła w powietrzu, aż znalazła się przy przedniej szybie. Światła nawigacyjne kapsuły wciąż uspokajająco migały na tle bladej poświaty sączącej się z kryształowego drzewa.

– Sygnał kapsuły słabnie – ostrzegła Ayanna.

– Ibu, słyszysz mnie? – zapytała Laura.

– ...nie jest... – Usłyszała zniekształcony głos Ibu.

Ayanna zaczęła stukać w jedną z klawiatur konsoli.

– Straciłam jego sygnał.

– Widzę go – powiedział Rojas. – Wygląda na to, że dotyka powierzchni kuli dłonią i kolaniem. Zdecydowanie przywarł do niej.

– Ściągnij go z tego cholerstwa! – warknęła Ayanna. – Jakiego rodzaju nożyce ma na wyposażeniu kapsuła?

– Bez obawy; mogą przeciąć monolityczne włókno węglowe. Nie będzie z tym problemu.

– Możesz zbliżyć się na tyle, żeby ich użyć?

– Można je odłączyć... jeśli trzeba... nic trudnego...

– Nie, nie, nie! – wykrzyknęła Laura, gdy jej u-adiunkt pokazał, że sygnał kapsuły znacznie osłabł. Gniewnie uderzyła w ekran i musiała pospiesznie złapać się fotela, gdyż uderzenie odrzuciło ją w tył.

– ...to naprawdę niesamowite... – W głosie Rojas slychać było podziw. – ...musiał wyjść... do niego...

Ayanna zeszywniała.

– Rojas? Rojas, nie opuszczaj kapsuły. Słyszysz?

– ...bliżej...

– Utrzymuj łączność! Rojas? Rojas, słyszysz mnie?

Laura ponownie zbliżyła się do ekranu i z niepokojem spojrzała na koniec drzewa dystorsyjnego.

– Nie widzę świateł nawigacyjnych! Cholera, ten idiota wleciał do wgłębienia.

Jej egzowizyjna ikona łączności pokazywała, że sygnał kapsuły zupełnie zanikł. Połączenie się zerwało.

– Co jest naprawdę niesamowite? – zapytał telepatyczny głos Joeya. – O czym on mówił? Czy o tym, że Ibu odcinał się od kuli?

Laura z poczuciem winy zerknęła na Ayannę, a potem znów na Joeya.

– Nie wiem. Tak. Tak, na pewno o tym mówił. My...

Światła kabiny zamigotały i przygasły, po czym znów zaświeciły jasno.

– Te przerwy wykańczają nasze systemy – warknęła Ayanna. – Komputery rebootują się za każdym razem i zanim zdążą załadować system, jest kolejna przerwa w zasilaniu. To im nie służy.

– Skieruj Mk16b z powrotem na koniec drzewa – powiedziała Laura. – Musimy zobaczyć, co się tam dzieje.

– Racja. – Ayanna skinęła głową, jakby lekko oszołomiona. – Tak. Dobrze.

Laura jedną ręką ścisnęła krawędź konsoli, a drugą wcisnęła kilka przełączników. Projektor holograficzny wysunął się z sufitu kabiny nad jej fotelem. Zaczął pokazywać

zbiorczy obraz przesyłany przez stado dronów. Już leciały i gromadziły się nad końcem drzewa.

– Straciliśmy siedem. Piętnaście innych wykazuje zmniejszoną sprawność – oznajmiła Ayanna.

– Nie żartuj – mruknęła Laura. Nie mogła przestać myśleć o Rojasie. *Naprawdę niesamowite*. Co miał na myśli? Czyżby coś zobaczył?

– Jak długo? – spytał Joey.

– Dwadzieścia minut – odparła Ayanna. – Stado mapuje drugi koniec drzewa.

Laura miała ochotę wrzeszczeć. Dlaczego nie zostawili kilku dronów w pobliżu kapsuły? Chyba taka była procedura? Jednak tego rodzaju utrata łączności była nie do pomyślenia we Wspólnocie. Zbiła wszystkich z tropu. Obwinianie Ayanny nic nie da.

Stado lecące wzdłuż drzewa zmniejszało się co kilkaset metrów. Czasem dwa lub trzy drony psuły się w kilkusekundowych odstępach. Nie było w tym żadnej prawidłowości.

– Zanim doleczą do kapsuły, nie zostanie ani jeden – narzekwała Ayanna.

Laura ją zignorowała. Czternastka także miała coraz więcej awarii. Sieć z trudem utrzymywała swoją sprawność przy tylu wysiadających podsystemach. Laura z niepokojem zobaczyła, że wyłączają się niektóre układy kontroli lotu: sterowanie dyszami ciągu, jednym z reaktorów, trzema napędami regravowymi, głównej kabiny pasażerskiej i klimatyzacji.

– Niech to szlag – mruknęła, gdy wyłączył się układ podtrzymywania życia kabiny pasażerskiej. – Nie możemy pozwolić, żeby wysiadła kontrola temperatury i napowietrzania.

– W kapsule jest dość tlenu dla naszej trójki – zauważył Joey.

– Żeby co zrobić? – warknęła Laura. – Na planetę ma polecieć pięć osób.

– Uspokójcie się – powiedziała Ayanna. – W najgorszym razie możemy włożyć skafandry próżniowe.

– Jeśli są sprawne – przypomniała Laura, nienawidząc się za to, że okazuje swój niepokój. Jednak perspektywa uduszenia się nadmiernie rozpałała jej wyobraźnię. Już widziała się w skafandrze, przy migających wszystkich czerwonych lampkach, bezsilnie drapiącą ekran, gdy Czternastka podchodzi do planety, tak blisko...

– Stado zbliża się do kapsuły – oznajmiła spokojnie Ayanna.

Laura próbowała oczyścić umysł i skupić się na hologramie ukazującym obraz przesyłany przez stado. Zostało już tylko osiemdziesiąt siedem małych dronów. Ponownie sformowały krąg, lecąc nad zwięzającym się końcem drzewa dystorsyjnego. Fałdy ostro meandrowały, łącząc się i spływając przy końcu. We wnętrzu kryształu chaotycznie wiły się długie pasma mory, choć nawet ich intensywność malała. Znaczna część drzewa pozostawała ciemna przez pewien czas pomiędzy kolejnymi rozbłyskami.

– Tam! – wykrzyknęła Ayanna.

Kapsuła unosiła się dwadzieścia metrów od ściany wąskiej i krętej doliny, zaledwie sto metrów od końca. Wszędzie wokół niej z kryształu wyrastały ciemne kule.

Laura nigdzie nie widziała Ibu. Nakazała rotację obrazu, sprawdzając inne wgłębienia przy końcu kryształu. Wszystkie były pokryte tymi ciemnymi kulami różnej wielkości, od ziarna grochu po trzy metry średnicy. Ibu nie było przy żadnej z nich.

– Stado przekazuje sygnał z kapsuły – zameldowała Ayanna – ale nie mam żadnej odpowiedzi od Rojasa.

– A co z nadajnikami w ich skafandrach? – zapytała Laura.

Ayanna wyduła usta i potrząsnęła głową.

– Skup obraz na kapsule, proszę – powiedział Joey.

Dłonie Ayanny wcisnęły kilka przełączników i obraz powiększył się kilkakrotnie, a kapsuła znalazła się na jego środku.

– Właz jest otwarty – powiedział Joey. – Możecie skierować kilka dronów bliżej?

Ayanna zaczęła kierować parę Mk16b ku kapsule.

– Najbliżej, jak mogę – oznajmiła w końcu.

Hologram ukazywał wysokiej rozdzielczości obraz kapsuły. Unosił się nad fotelami kabiny jak pomnik zbiorowego poczucia winy. Wszyscy mogli zajrzeć przez otwarty właz i zobaczyć kolorowe wykresy przelatujące po ekranach kontrolnych w środku. Pasy leniwie wiły się w powietrzu, a ich klamry unosiły się w próżni jak chromowe łby węży.

– Nie ma go tam – szepnęła Laura.

Miała wrażenie, że choroba kosmolokomocyjna powraca: niewątpliwie kręciło się jej w głowie. Ciało gwałtownie się wychładzało.

– Gdzie on się, kurwa, podział? – zapytał Joey.

– Stado zobaczyłoby skafandry, gdyby znajdowały się w promieniu pięćdziesięciu kilometrów – powiedziała Ayanna.

– Wiecie, gdzie oni są – powiedziała Laura, z trudem wypowiadając te słowa. – Wewnątrz.

– Wewnątrz czego? – spytał Joey. – Wewnątrz tego drzewa czy kul? Czy one działają jak śluza powietrzna?

– Nie wykryliśmy żadnej pustki w tym kryształ – przypomniała Ayanna.

– Zbadaj te kule – powiedziała Laura do Ayanny. – Nawet gdybyś miała skierować drony prosto w te cholerstwa i rozwalić je na kawałki. Musimy ich znaleźć.

– Dobrze. – Ayanna kiwnęła głową i zaczęła podawać stadunowe koordynaty lotu.

Pomarszczona powierzchnia kul była z jakiegoś rodzaju włókna węglowego, lecz wnętrza nie dawało się zbadać. Ayanna otoczyła jedną z nich kręgiem ośmiu dronów, lecz jej powierzchnia zatrzymywała promieniowanie ich sensorów.

Laura przejęła kontrolę nad jednym z dronów i staranowała nim kulę. Reszta stada pokazała im idealnie wyraźny obraz zderzenia – i odbity od kuli dron, koziółkujący w próżni.

Nie zamierzając się poddawać, Laura przejęła kontrolę nad następnym, wyłączyła zabezpieczenia maleńkiego drona i rozpędziła go z odległości pięciuset metrów. W momencie

uderzenia poruszał się z prędkością czterech metrów na sekundę. Zderzenie zniszczyło połowę jego systemów, ale nawet nie zarysowało kuli.

– Zero efektu – zauważyła spokojnie Ayanna, lecz ton jej głosu sugerował dezaprobatę.

Laura wycofała trzeci dron na odległość dwóch kilometrów od drzewa, a potem przyspieszyła. Ten w chwili uderzenia osiągnął prędkość dwudziestu ośmiu metrów na sekundę. Jego pancerz pękł i fragmenty rozleciały się na wszystkie strony. Kula pozostała nietknięta.

– Z czego one są zrobione, do diabła?! – wykrzyknęła. – Muszą się jakoś otwierać, jak skorupy małży. Zapewne Ibu i Rojas zostali wciągnięci do środka.

– Lauro, tam nie ma żadnego środka – powiedziała Ayanna.

– Diabła tam! Po prostu czujniki dronów nie są dość dobre. Oni są w środku! Bo gdzie indziej mogliby być?

– Nie wiem.

– Zakładam skafander. Polecę tam drugą kapsułą i rozetnę...

– Nie. – Wprawdzie Ayanna nie powiedziała tego głośno, ale za to zdecydowanie, a jej myśli wyraźnie świadczyły, że nie ustąpi. – Nigdzie nie polecisz drugą kapsułą. Przynajmniej dopóki nie wiemy, co się z nimi stało, i nie opracujemy jakiegoś planu ratunkowego.

– Słyszałaś, co mówił Rojas – wypaliła Laura. – Kapsuły mają nożyce, które mogą rozciąć te kule.

– To dlaczego tego nie zrobił? Lauro, uspokój się i pomyśl. Proszę! Jesteśmy w Pustce, która jest wystarczająco niesamowita; to drzewo jest obcym mechanizmem działającym na molekularnym i kwantowym poziomie, którego nie pojmujemy, a dwóch naszych zniknęło i nie wiemy jak ani gdzie. Wściekły atak niczego nie załatwi, a na pewno nie pomoże Ibu i Rojasowi. Potrzebujemy informacji, o wiele więcej informacji.

– Ona ma rację – rzekł Joey. – Rojas jest mądry i doświadczony, zna procedury misji badawczych o wiele lepiej niż my. A teraz zniknął tak samo jak Ibu.

Laura wiedziała, że mają rację, ale...

– Ach, do diabła z tym – powiedziała. Trudno było przyznać, że się myliła, postępując jak jakaś zapalczywa młódka w pierwszym życiu. Od wieków nie ulegała takim gwałtownym emocjom. – Nie myślę jasno. Przepraszam. To pewnie skutki wyrwania ze stanu hibernacji.

– Nie – zaprzeczył Joey. – Pustka dopada nas wszystkich. To nie jest normalne.

– Wyciągniemy ich – powiedziała z przekonaniem Ayanna. – Tylko musimy wymyślić jak.

– Nie sądzę, żeby to był wyłącznie fizyczny problem – rzekł Joey. – Pamiętajcie, Ibu mówił, że coś jest zadziwiające. Co takiego? Właśnie powiedział nam, że nie może telepatycznie zajrzeć do środka tych kul. Co takiego, jaka nowa informacja skłoniła go do takiej wypowiedzi? Był równie mądry i doświadczony jak my wszyscy. Nie powiedziałby czegoś takiego bez powodu. To samo dotyczy Rojasasa.

– To naprawdę niesamowite – powiedziała w zadumie Laura. – Tak powiedział Rojas. I masz rację: ta uwaga jest zupełnie oderwana od tego, co się działo. Jego kolega utknął przy obcym artefakcie, więc powinien myśleć o tym, co robić, jaką procedurę postępowania wybrać.

– Coś dobrało się do ich umysłów – powiedziała Ayanna. Jej myśli znów emanowały przerażeniem. – I przyciągnęło ich.

– Jak pszczoły do miodu – rzekł Joey. – Rekiny do krwi.

– To drzewo dystorsyjne jest rozumną istotą – powiedziała Laura.

Nie było powodu wątpić w koncepcję telepatycznego przymusu; pamiętała, jak w 3025 roku w gajasferze pojawiły się narkomemy. Pierwsze były prostymi produktami, intensyfikującymi przyjemne działanie różnych piw i aerozoli. Modyfikowanie wspomnień dostępnych w gajasferze dla uzyskania większej przyjemności było utrzymującym się przez kilka lat trendem, który o mało nie zniszczył raczkującej koncepcji gajasfery, dopóki nie opracowano odpowiednich filtrów dla gniazd konfluencyjnych. Doświadczwszy ich działania, Laura była w stanie uwierzyć, że w Pustce mogą działać znacznie silniejsze rodzaje telepatii.

– Tak – potwierdził Joey.

Wszyscy troje jednocześnie spojrzeli na ogromny i jarzący się kryształ za przednią szybą.

– Zatem jak skłonimy to, żeby ich wypuściło? – zapytała Laura.

– Najpierw musimy odkryć, dlaczego ich uwięziło – rzekł Joey.

– Przecież nawet nie wiemy, co to jest. Jakie jeszcze mamy drony? Musi być jakiś czujnik, którego moglibyśmy użyć.

– Moduły próbników będą najlepsze – powiedziała ostrożnie. – Przesyłały dobry obraz wnętrza tych miejsc, gdzie umieścił je Ibu.

– Jednak trzeba je uruchamiać ręcznie – odparł Joey. – To musi być dron.

– Połowa z nich jest zaprojektowana do eksploracji planet – przypomniała Ayanna. – Ładowniki, analizatory atmosfery. Niewiele więcej możemy tam posłać.

Laura zastanawiała się przez chwilę.

– Czy któryś z tych ładowników ma wiertła? Coś, co przecina skałę, żeby pobrać próbki?

– Tak. Viking Mk353. Jest zaprojektowany do wierceń w litej skale na głębokość stu metrów.

– Wyślij go.

Połowa zapasowych systemów Czternastki wysiadła, gdy Viking Mk353 leciał w kierunku drzewa dystorsyjnego. Ayanna i Laura wyłączyły wszystkie systemy w głównej kabinie pasażerskiej, żeby ograniczyć zużycie energii. Sześć wentylatorów w kabinie na dziobie też przestało działać. To było jeszcze bardziej denerwujące. Powietrze wciąż nadawało się do oddychania, lecz łagodny podmuch z otworów wentylacyjnych znacznie osłabł.

Laura poszła do szafek w ładowni frachtu i wróciła z dwoma przenośnymi filtrami atmosfery. Te grube cylindry metrowej długości, z kratką na obu końcach, były całkowicie

autonomiczne. Jednym końcem zasysały powietrze, po czym je oczyszczały, filtrowały i wydmuchiwały drugim. Przymocowała je pasami do foteli. Sprawdziła i ponownie je wyłączyła.

Instalując przenośne filtry, starała się nie patrzeć na Joeya. Wciąż był przymocowany pasami do fotela. Jednak drżenie dłoni objęło już także ręce, które nieustannie podrygiwały.

– Rób swoje – powiedział jej w myślach. – Dam sobie radę.

– Na pewno?

– Tak. Staram się czymś zająć. Zewnętrzne czujniki promu nadal działają... przynajmniej niektóre z nich. Usiłuję zlokalizować statki na powierzchni planety. Zdecydowanie nie widać żadnych śladów katastrofy.

– To dobrze. – Wyczuła jego niespokojne myśli. Już na tyle oswoiła się z telepatycznym przekazem, aby poznać, że ten niepokój jest wywołany czymś innym niż stanem jego zdrowia. – Co tam?

Potrząsnął głową – gwałtownie i nieskładnie.

– Coś jest nie tak.

– Nie tak?

– Właśnie. Wciąż przyglądam się tej planecie i wiem, że coś z nią jest nie tak, ale nie mam pojęcia co.

– Co takiego widzisz? – spytała ostrożnie.

Nerwowy skurcz jeszcze bardziej wykrzywił jego twarz.

– Nie wiem. Mam to przed oczami. Wiem, że tak. Jednak nie widzę.

– Mogę ci jakoś pomóc? Chcesz, żebym przejrzała z tobą obrazy?

– Nie, dzięki. Sam to zrobię.

– W porządku.

Miała ochotę mu powiedzieć, że zły stan zdrowia może wywierać wpływ na jego myśli. Zamiast tego posłała mu współczujący uśmiech i odepchnąwszy się, poszybowała korytarzykiem.

– Co z sygnałem z Vikinga? – zapytała, gdy dołączyła do Ayanny w kabinie na dziobie.

– Niezły.

Ekran konsoli pokazywał Vikinga zbliżającego się do czubka drzewa. Światła nawigacyjne kapsuły migają na środku obrazu.

Laura obserwowała, jak lądownik zbliża się do płytkiego wgłębienia, w którym zniknęli Ibu i Rojas. Ayanna sprawnie kierowała sondą i zatrzymała ją sto metrów od kapsuły.

– Zastanawiałam się nad tym – powiedziała. – Jeśli znajdują się w jednej z tych kul, to nie wiemy w której. Dlatego zacznę nawiercać jedną z tych małych, taką, w której na pewno nie mogą tkwić.

– Jasne – powiedziała Laura. – Dobry pomysł.

Ona nie myślała w ten sposób. Po prostu oczekiwała, że użycie wiertła uwolni zaginionych członków zespołu – chociaż nie wiedziała w jaki sposób.

Viking opadł i unosił się niecały metr nad kulą mającą metr dziesięć średnicy. Niewielki komputer pokładowy utrzymywał go w miejscu krótkimi podmuchami silniczków jonowych i wysunął wiertło.

– Będziemy mieli problem z niwelowaniem odrzutu – powiedziała Laura. – Viking ma niedużo paliwa. Nie jest przeznaczony do działania w próżni, ma tylko przejść nietknięty przez atmosferę i wylądować.

– Wiem – powiedziała Ayanna.

Dysze jonowych silników rozbłysły i Viking zaczął się obracać wokół swej osi. Wiertło zawirowało. Potężne silniki amortyzujące błysnęły, mocno popychając Vikinga w kierunku kuli. Obraz zadygotał, gdy wiertło dotknęło powierzchni kuli. I rozmazał się, gdy Viking zaczął się obracać. Znów włączyły się silniczki jonowe, usiłując temu przeciwdziałać. Teraz obraz był rozedrgany i rozmazany.

– Co do...! – wykrzyknęła Ayanna.

Viking nagle odleciał od drzewa, koziółkując.

Laura gapiła się na hologram ukazujący połączony obraz z dronów Mk16b.

– O rany, widzisz to?

Wiertło Vikinga najwyraźniej zdołało przebić małą kulę. Tryskał z niej biały płyn – cienką fontanną, która osiągnęła ponad trzy metry wysokości, nim zaczęła się rozpadać na deszcz szaleńczo wirujących kuleczek, lecących dalej w próżnię.

– Czy Viking jakąś złapał? – zapytała Laura, gdy Ayanna usiłowała odzyskać kontrolę nad koziółkującym lądownikiem, zmniejszając wstrząsy i stabilizując trajektorię.

– Co?

– Mówię o próbnikach w głowicy wiertła. Czy dotknęły tego czegoś, zanim ciśnienie odrzuciło lądownik?

– Tak sądzę. Zaczekaj.

Fontanna cieczy zmniejszała się, kurczyła. Po kilku sekundach tylko cienka strużka gęstego jak syrop płynu wypływała z wywierconego otworu. Wokół niego unosiła się rzadka mgiełka parującej w próżni cieczy.

– Jeśli wszystkie te kule są wypełnione płynem, to Ibu i Rojas nie mogą być w środku – rzekł Joey.

Laura gniewnie patrzyła na kulę i wypływającą z niej ciecz.

– No to gdzie są, do diabła?

– Tam gdzie „Vermillion” i drony Mk24.

– Nie pomagasz.

– Ustabilizowałam Vikinga – oznajmiła Ayanna. – Próbniki wiertła istotnie coś złapały.

Oboje się odwrócili, aby spojrzeć na ekran konsoli, ukazujący wstępne wyniki analizy spektralnej.

– Węglowodory. – Laura odczytała nieobrobione dane, a procedury jej makrokomórkowych klastrów przeprowadziły analizę. – Woda. Cukry. Co to takiego? Wygląda na budowę białkową.

– Ten płyn jest organiczny – powiedziała zaszokowana Ayanna. – Te kule są żywe.

Światło w kabinie zgasło i zastąpiła je słaba niebieskawa poświata oświetlenia awaryjnego. Gdzieś w głębi promu zawył alarm pożarowy.

* * *

Musieli elektrycznym wkrętakiem wyjętym z szafki narzędziowej podważyć panel grodzi w kabinie pasażerskiej. Zanim to zrobili, jego kompozytowy materiał już zaczął czernieć i pokrywać się pęcherzami. W środku nie było płomieni, ale ogniwo zasilania się jarzyło. Spryskanie go żelazem gaśniczym nie było żadnym rozwiązaniem.

Laura zerwała z wieszaka jeden ze skafandrów ratunkowych i wepchnęła dłoń w rękaw. Rękawica zapewniała ledwie wystarczającą izolację. Gdy Ayanna przecięła przewody i mocowania ogniwa, ona wyszarpnęła je z otworu i skierowała się ku ładowni frachtu. Umieściła w śluzie cały skafander, owinięty wokół skwierczącego już ogniwa. Pospiesznie wdusiła przycisk ewakuacyjny. Gdy zewnętrzny luk się otworzył, cały ten dymiący kłęb wyleciał w próżnię.

– Mam jeszcze jeden! – zawołała Ayanna z kabiny pasażerskiej, przekrzykując wycie syren alarmowych.

Laura zaczęła otwierać szafki, szukając jakichś porządných narzędzi. Miała poparzoną dłoń w miejscu, gdzie żar zepsutego ogniwa przeniknął przez warstwę izolacyjną rękawicy skafandra. Pospiesznie poszybowała z powrotem do kabiny pasażerskiej, ciągnąc pas z narzędziami.

W końcu musiały usunąć cztery uszkodzone ogniwa i sprawdzić pozostałe. Prom miał ich siedemnaście.

– Po prostu wspaniale – powiedziała roztrzęsiona Ayanna, gdy zajrzały za ostatni panel. – Tyle było tych awarii w Pustce, że w końcu spowodowały prawdziwy problem.

U-adiunkt Laury zdołał się podłączyć do procesora zarządzającego ogniwami.

– Wyładowanie stopiło wyłączniki, ale wyłączyły się w bezpiecznym trybie. Musimy wymienić główne obwody, jeśli chcemy przywrócić zasilane przez nie systemy.

Ayanna z obrzydzeniem popatrzyła na kabinę pasażerską. Niebieskawa poświata oświetlenia awaryjnego była zimna, a panele chaotycznie unosiły się wokół, wraz z kawałkami przeciętych mocowań i kabli. Jeden z przenośnych filtrów powietrza, który przyniosły tutaj, aby uporać się z oparami, wytwarzał stały prąd powietrza, poruszający wszystkie te śmieci. Nieustannie odsuwały je sprzed oczu.

– Nie mamy czasu uporać się z całym tym syfem – powiedziała. – Wysiadły tylko zapasowe ogniwa, a nie główne. I sporo ich jeszcze zostało. Tylko te tutaj przyjęły całą moc wyładowania.

Laura powiodła wzrokiem za jej spojrzeniem. W kabinie wciąż unosił się odór ozonu i spalonego plastiku. Ponad trzy godziny zajęły im zmagania z ogniwami zasilającymi i podłączonymi do nich systemami, które też trzeba było odłączyć. Wcale nie było widać, że tak się napracowały, a jeszcze nawet nie zaczęły naprawiać uszkodzeń.

– Masz rację – przyznała.

Joey był w przedziale technicznym i spoglądał na odsłonięty przez nie fragment sufitu oraz układ kontroli środowiska, który ucierpiał w wyniku spięcia i awaryjnego wyłączenia. Teraz kończyny teoretyka nadprzestrzeni nieustannie dygotały, uniemożliwiając mu jakąkolwiek wymagającą dokładności pracę. Laura jednak patrzyła zafascynowana, jak posłuszne są mu przewody i moduły elektroniczne, którymi manipulował za pomocą telekinezy. Nawet śruby wykręcały się i układały w równy trójwymiarowy stosik z boku.

– Fajnie – pochwaliła.

– Dziękuję. – W jego myślach wyczuła ulgę. – Jednak do czegoś się przydam.

– Przydajesz się od chwili startu.

– Taak, pewnie.

– Daj spokój, nie jesteś jakimś spragnionym współczucia pierwszożyciowym. W tym wieku wszyscy zajmują się głównie myśleniem. Już nie oceniamy ludzi po ich fizycznej sprawności.

Joey pomrukiem zbył te słowa pocieszenia.

– To może się zmienić, kiedy znajdziemy się na powierzchni. Tam nie ma botów, co oznacza dla nas powrót do pracy fizycznej.

Figlarnie uniosła brwi.

– Brandt pracujący fizycznie? Zatem jesteśmy zgubieni.

Zaśmiał się gardłowo i skupił na skomplikowanych trzewiach układu, który naprawiał.

Laura poleciała do kabiny na dziobie i obejrzała wszystkie ekrany oraz projekcje holograficzne. Stado dronów wciąż otaczało koniec drzewa, chociaż ich liczba zmniejszyła się do sześćdziesięciu trzech działających jednostek. Nie było widać Ibu ani Rojasa, nie wychwycono też żadnego sygnału ich skafandrów. Kapsuła pozostawała na tym samym miejscu, w którym zostawił ją Rojas. A oparzona dłoń bolała Laurę jak diabli.

– Au! Niech to szlag!

Sprawną ręką Laura wepchnęła niesforne kosmyki włosów z powrotem pod wyścielany hełm. Jak dziecko wyobrażała sobie, że może wszystko wróciło do normy, gdy ona była zajęta naprawą rozpieprzonych ogniw zasilających promy.

– Odpocznij – poradziła Ayanna. – Jesteś wykończona.

– Ty też.

– I marudna.

– Jestem... Ach, szlag.

– W porządku. Zbudzę cię za parę godzin. Masz rację: ja też potrzebuję snu.

– Musimy coś zrobić.

– Prom się rozpada. Jesteśmy zbyt nakręcenii, by trzeźwo myśleć. To wszystko nie ma sensu. Nie mamy dostatecznych danych. Mam mówić dalej?

– Nie.

– Znajdź sobie coś do zjedzenia. Spryskaj tę rękę sprayem przeciwbólowym. Prześpij się. Wierz mi, nie dam ci długo pospać.

– Dobrze. – Laura kiwnęła głową, pokonana. Przeleciała na tył kabiny, gdzie złożyli termiczne opakowania z żywnością. – Wiesz, co mnie bardziej niepokoi?

– Bardziej niż zniknięcie Ibu i Rojasa? Żartujesz.

– Oni są chyba częścią tego zmartwienia.

– Mów.

– To, gdzie się wszyscy podziali. – Otworzyła apteczkę przymocowaną na grodzi nad workami z żywnością. – Rozumiem, że to drzewo porwało Ibu i Rojasa albo ich schowało, albo teleportowało z powrotem poza Pustkę czy coś. Jednak „Vermilliona”? Wszyscy znikają oprócz nas. Dlaczego? Czym nasza trójka się różni?

– Spytaj Władcę Niebios. Odpowie ci, że tak się dzieje, ponieważ nie jesteś spełniona.

– Pieprzyć Władców Niebios. Musi być jakiś powód.

– Zjedz. Prześpij się. Kiedy wszyscy przezwyciężymy skutki wyrwania ze stanu hibernacji, nasze neurony znów zaczną działać i powiedzą nam, co robić.

– Jasne. – Laura spryskała jakimś balsamem swoją czerwoną jak burak rękę, krzywiąc się na widok dużej liczby pęcherzyków, a potem odwinęła z papieru tacos. W stanie nieważkości jadało się przeważnie tacos lub podobne rzeczy; z chleba zostawały okruszki, które zapychały filtry i potrafiły utknąć nie wiadomo gdzie. – Ile czasu im damy?

– Nie wiem. Nie martw się.

– Sama powiedziałaś. Ten prom się rozpada. Jeśli mamy im pomóc, potrzebujemy „Vermilliona”. Cholera, mam nadzieję, że zdołali wylądować.

– Kiedy wylecimy z Lasu, znów nawiążemy kontakt.

– Joey nie mógł ich znaleźć na powierzchni.

– W porządku, albo pójdziesz spać, albo wyjmę aerozol z apteczki i sama cię uspię.

– Już dobrze, dobrze.

Laura usadowiła się na fotelu i zapięła pasy – niezbyt mocno. Nie miało to sensu, gdyż wiedziała, że nie zaśnie. Jej dłoń boleśnie pulsowała. Znów ugryzła kawałek tacos – nie miało żadnego smaku. Już miała zapytać Ayanę, co myśli o użyciu Vikinga do nawiercenia samego drzewa, gdy zasnęła.

* * *

Ktoś mocno nią potrząsał. Zaspana Laura przez moment myślała, że znów wyrrywają ją ze stanu hibernacji; to wszystko było jak męczący sen, aż nazbyt realny.

– Zbudź się – mówiła Ayanna, a jej twarz była kilka centymetrów od twarzy Laury. Za tą twarzą przemykały myśli radosne i pełne ulgi; ogromnej ulgi. – Obudź się. Znaleźli się. Wracają.

– Co? – zapytała sennie Laura. – Kto?

– Ibu i Rojas. Kapsuła wraca na prom.

– Co? – Spróbowała usiąść. Pasy fotela się zaplątały i niezdarnie próbowała je rozpiąć. – Jak?

– Nie wiem – powiedziała Ayanna z niemal przestraszoną miną. – Straciliśmy już większość Mk16b. Minutę temu zauważyłam, że się porusza.

– Jasna cholera. Co powiedzieli?

– Nie mamy kontaktu. Wiem tylko, że kapsuła tu leci i nie jest to najlepszy pilotaż, jaki widziałam.

Laura lekko się zaniepokoiła.

– Brak kontaktu? Czy sygnał znów zanikł?

– Nie. Mamy łączność z kapsułą. Tylko nic nie mówią. Do diabła, to żadna niespodzianka. Nasze układy naprawdę ucierpiały w Pustce.

Laura próbowała uspokoić oddech. Rozejrzała się po kabinie. Na konsoli jarzyło się wiele czerwonych symboli. Pięć z niebieskich świateł awaryjnych się nie paliło. I była pewna, że w kabinie zrobiło się o kilka stopni zimniej.

– Kiedy dokładnie tu dotrą? – Mówiąc to, zobaczyła zegar w swojej egzowizji. Dziesięć godzin! Spała przez dziesięć godzin. – Dlaczego mnie nie obudziłaś?

Ayanna spojrzała na nią zmieszana.

– Sama też zasnęłam. Zbudziłam się dopiero godzinę temu.

Krzywiąc się, Laura zakończyła odpinanie pasa oparzoną ręką. Skóra nadal była zaczerwieniona, ale pęcherze stwardniały od maści. Przez chwilę zastanawiała się, czy Pustka mogła zmienić jego chemiczny skład, czyniąc go bezużytecznym lub szkodliwym.

Kilka ekranów na konsoli pokazywało przekaz z zewnętrznych kamer Czternastki. Na wszystkich widziała sennie sunącą ku nim kapsułę.

Usadowiła się na pierwszym fotelu i patrzyła przez przednią szybę. Rzeczywiście, kapsuła znajdowała się dostatecznie blisko, aby była widoczna jako drobinka na tle rozjarzonego kryształu, wciąż sumiennie migająca światłami nawigacyjnymi.

– To oni – powiedziała ze zdumieniem.

– Mówiłam ci – odparła uszczęśliwiona Ayanna. – Wracają.

– Gdzie się podziewali, do diabła?

– Musieli być w środku drzewa dystorsyjnego – rzekł Joey.

– Racja. – Laura nie odrywała oczu od kapsuły. Jej u-adiunkt miał połączenie z niedomagającą siecią promu, która monitorowała sygnał kapsuły. Przychodziły tylko podstawowe dane telemetryczne. – Czy któryś z Mk24 powrócił?

– Nie – odparła Ayanna.

– Nie rozumiem tego. Dlaczego...?

– Po prostu ich zapytaj – powiedział Joey.

Na moment zdołał zmusić swoje usta do uśmiechu.

Wszyscy troje wrócili do przedziału technicznego. Joey pozostawał z tyłu, gdyż skurcze kończyn ograniczały mu swobodę ruchów. Laura powstrzymała chęć zaoferowania mu pomocy. Był na to zbyt dumny.

Gdy znaleźli się w hangarze, jej u-adiunkt stracił połączenie z siecią Czternastki. Laura chwyciła uchwyty przed zapasową konsolą przymocowaną do grodzi i aktywowała ręczne sterowanie. Wysunęły się dwa ekrany, pokazując jej, że kapsuła jest już znacznie bliżej.

– Otwieram zewnętrzne drzwi – powiedziała.

– Czekaj – powstrzymał ją telepatyczny głos Joeya, który przeciskał się przez właz. – Przecież nie wiemy, co znajduje się w tej kapsule.

– Chyba żartujesz – powiedziała Laura. – A myślisz, że co w niej jest? Prime motile?

Gdy to mówiła, procesy wspomagające z zasobów jej pamięci wydobyły plik z obrazem jaj Prime. Te zupełnie nie przypominały kulistych narośli na drzewie dystorsyjnym. *Cholera, popadam w paranoję* – pomyślała.

– Nie wiem. I właśnie w tym rzecz, no nie? Dlaczego sami nie otworzyli drzwi śluzy powietrznej?

– W takim stanie, w jakim jest nasza łączność? Daj spokój! – przekazała Ayannie.

– Wolalabym wiedzieć – mruknęła zmieszana Ayanna.

– A jak zamierzasz to sprawdzić?

– Zaczekajmy, aż kapsuła znajdzie się w kołysce, ale nie otwierajmy śluzy – odparł Joey.

– Przewody się podłączą i będziemy mieli porządną łączność.

– Co ty na to? – zapytała Ayannę Laura.

– Brzmi rozsądnie.

Laura odwróciła się z powrotem do konsoli i wprowadziła sekwencję kierującą kapsułę do kołyski. Poczowała delikatne drzenie kadłuba Czternastki. Na ekranie długie, elektrycznie poruszane ręce wysuwały kołyskę kapsuły z rufy promu.

– Co to jest, do diabła? – Telepatyczny głos Joeya zdradzał głęboką troskę.

Laura spojrzała na ekran ukazujący zbliżającą się kapsułę. Kłęb jej mechanicznych rąk otaczał jedną z tych ciemnych kul z drzewa dystorsyjnego.

– Chyba żartują! – wykrzyknęła. – Jak zdołali ją oddzielić?

– Zamierzasz wpuścić ich tutaj z tym czymś? – spytał Joey.

Ayanna zerknęła na Laurę, a jej myśli wyrażały wszystkie odcienie niepewności.

– Nie przywieźliby niczego szkodliwego na prom. Znają przepisy.

– Jeśli to oni – powiedział Joey. – Jeśli nie wyprano im mózgow. Nie wiemy, z czym mamy do czynienia!

– Co o tym myślisz? – zapytała Ayanna.

– Myślę, że Joey może mieć rację – odparła niechętnie Laura. Jej radość wywołana widokiem wracającej kapsuły szybko gasła. Próba wwiezienia obcego obiektu na prom była co najmniej niezwykłym postępowaniem. – Pozwólmy kapsule wrócić do kołyski, ale nie otwierajmy śluzy, dopóki nie ustalimy, co się dzieje.

– Racja – powiedziała Ayanna. – Dobra decyzja.

Wprowadzenie kapsuły do kołyski zabrało pilotowi kilka minut. Laura tego nie komentowała. Kiedy mała jednostka leciała do drzewa dystorsyjnego, Rojas był zdecydowanie bardziej kompetentnym pilotem.

– Czy to są jaja? – zapytał Joey, patrząc na niepewnie kołyszącą się kapsułę.

– Wiemy, że zawierają materiał organiczny – powiedziała wolno Laura, żałując, że nie przemyślała tego problemu. – I widzieliśmy, jak lecą w kierunku planety. Logicznie rzecz biorąc, są to jaja lub nasiona albo jakiś rodzaj organizmu.

– Organizmu?

– Odrywają się od drzew, które są zupełnie innymi obiektami. Kształt, charakter, materiał – wszystko mają inne. Tak więc... powiedziałabym, że te drzewa wytwarzają kule cząsteczka po cząsteczce. Skala tego zjawiska zapewne oznacza, że jest to proces bioformowania. Drzewa przybywają do planety w nowym układzie słonecznym i zaczynają ją przekształcać, tworząc środowisko, w jakim żyją ich twórcy.

– Dla mnie to ma sens – powiedziała Ayanna.

– A czym są Władcy Niebios? – zapytał Joey.

– Och, do diabła z tobą, Joey! – warknęła na niego Laura. – Może holownikami? Nie wiem!

– Przepraszam.

– Zachowajmy spokój, dobrze? – powiedziała Ayanna.

Laura próbowała opanować zdenerwowanie. Ekran pokazywał ramiona kołyski, wyciągające się i zaciskające na podstawie kapsuły. Jedno z nich trzymało przewód transmisyjny.

Wstukala szereg poleceń. Drugi ekran konsoli ukazał obraz z wewnętrznej kamery kapsuły. Odetchnęła z ulgą. Znajdująca się za nią Ayanna wydała z siebie niemal identyczny dźwięk.

Kamera była umieszczona pod sufitem w przedniej części kabiny. Pokazywała Ibu i Rojasę tkwiących w uprzęży. Obaj byli w skafandrach – bez hełmów.

– Witajcie z powrotem, chłopcy – powiedziała bezsensownie.

Obaj spojrzeli na kamerę. Ibu uśmiechnął się słabo. Wyglądało na to, że przyszło mu to z ogromnym trudem.

– Dobrze słyszeć twój głos – wykrztusił.

– Tu Ayanna. Co się stało? Gdzie byliście?

– Byliśmy wewnątrz.

– Wewnątrz czego? – zapytała Laura. – To drzewo jest litym kryształem.

– Wcale nie – rzekł Ibu. – Są tam różnej wielkości komory.

– Gdzie? Czujniki dronów pokazywały nam jednorodną strukturę. Jak dostaliście się do środka? Kiedy zerwała się łączność, tkwiłeś przyklejony do tej kuli.

– Na dnie fałd są wejścia. Kryształ płynnie zmienia kształt, tak jak nasz plastmetal i tekplastik.

– Możecie nas wpuścić? Proszę – rzekł Rojas.

Chrypiał tak samo jak Ibu. Jakby obaj dostali zapalenia krtani.

– Zapytaj go o kulę – nalegał telepatycznie Joey.

– Rojas – powiedziała Ayanna – po co przywieźliście tutaj jedną z tych kul?

Rojas odwrócił głowę od kamery, przyglądając się ekranom na konsoli.

– Do analizy.

– Co?

– Analizy.

– Chwila. Czekaj – powiedziała Laura. – Co robiliście wewnątrz drzewa? Jak tam weszliście i wyszliście? Dlaczego to trwało tak długo? Przez cały ten czas nie było z wami łączności. Wiecie, że to wbrew wszystkim istniejącym przepisom.

– Przykro nam z tego powodu – odparł Ibu. – To było takie fascynujące. Musisz tam wejść, Lauro.

– Co się stało z twoim głosem? – pytała Ayanna. – Miałeś kontakt z obcym środowiskiem?

– Nie.

– Zatem co...?

– Nic, wszystko w porządku. Systemy kapsuły zawodzą. W tym problem.

– Co jest w środku drzewa? – zapytała Laura, starając się nie okazywać niepokoju.

– Nic. Uważamy, że te komory są jakiegoś rodzaju łączami. Przejrzymy zapisy, kiedy wrócimy na prom.

– Co było cudowne? – spytał Joey. – Ibu powiedział, że kule są cudowne, a Rojas, że niesamowite. Dlaczego?

– Ibu – zaczęła Ayanna. – Co było niesamowite w tej kuli, do której przywarłeś?

– Co?

– Musimy wlecieć – powiedział Rojas.

– Ty mówiłeś, że to cudowne. Co miałeś na myśli?

– Całe to miejsce jest cudowne, to wszystko.

– Proszę, otwórzcie drzwi hangaru – powiedział Rojas. – Musimy wprowadzić kapsułę do środka.

– Rojas, nie mogę ci pozwolić sprowadzić tej kuli na prom – powiedziała Ayanna. – Proszę, wypuść ją.

– Musimy ją zbadać – odrzekł Rojas.

Nadal nie patrzył na kamerę. Jego palce szybko poruszały się po klawiaturze konsoli.

– Owszem, zrobimy to, ale kiedy się upewnimy, że to bezpieczne. Znasz przepisy.

– Otwórz drzwi.

– Odrzućcie kulę – powiedziała stanowczo Laura. – Ona nigdzie nie poleci. Możemy zbadać ją na zewnątrz.

Rząd wykresów na konsoli zmienił barwę z bursztynowej na niebieską. Światła w hangarze kapsuły zamigotały. Trzymając się uchwytów, Laura poczuła lekkie drzenie całego promu.

– Sukinsyn! – krzyknęła Ayanna. – Wyłączył zabezpieczenie. Drzwi się otwierają.

– Cholera – mruknęła Laura.

Wszyscy troje odwrócili się do wewnętrznych drzwi śluzy, tuż za pozostałą kapsułą. Awaryjne światła nadawały wszystkiemu purpurową barwę.

– Co robimy? – zapytała Laura.

– Czy na promie jest jakaś broń? – spytał Joey.

Ayanna posłała mu zaskoczone spojrzenie.

– Szlag. Pewnie coś jest w zestawie do awaryjnego lądowania.

– Nie dojdzie do tego – powiedziała Laura, ale była to raczej mantra niż coś, w co wierzyła. Nikt w tej epoce nie potrzebował broni; biononika mogła być przekształcona w potężny oręż energetyczny, jeśli ktoś był poważnie zagrożony.

– Nie chcielibyście się bawić niektórymi narzędziami – rzekł Joey.

– To naprawdę oni? – zapytała Laura, głównie siebie. Ekran pokazywał, że kołyska zakończyła wciąganie kapsuły do hangaru. – To Ibu i Rojas?

– A któż inny mógłby to być, do diabła? – powiedziała Ayanna. – O kurwa, co się dzieje? Jej mentalna tarcza pękła i zalała hangar przerożeniem.

Laura znalazła się pośród wirujących cieni. Wyrastały im kły i zęby, gdy zmieniały się z szarych zjaw w solidne czarne postacie. Tysiące ludzi wrzeszczących gdzieś w oddali zaczęły się zbliżać. Odruchowo uniosła ręce, żeby ich powstrzymać, zaniepokojona, że telekineza Ayanny urzeczywistni omamy jej wyobraźni.

– Ayanno! Do kurwy nędzy, weź się w garść.

– Nie chcę ich na promie! – jęknęła Ayanna.

– Nikt nie chce. Teraz już nie możemy ich powstrzymać. Będziemy musieli jakoś się z nimi uporać, kiedy tu wejdą.

Ayanna wciąż była wystraszona, ale emisja jej emocji trochę osłabła.

Joey odwrócił się i spojrział w przeciwną stronę.

– Czy możemy zamknąć właz silosu?

– Jeśli my możemy go zamknąć, to Rojas na pewno może go otworzyć – odparła Laura.

– A więc zepsujemy zamek – rzekł Joey. – Użyjemy telekinezy i uszkodzimy obwody za grodzia.

Laura też zerknęła w kierunku włazu. Wyglądał niezmiernie zachęcająco. Światła nad kapsułą zmieniły barwę z purpurowej na zieloną. Plastikowe drzwi zaczęły się rozchyłać.

– Niech to szlag – mruknęła Laura.

Właz do przedziału silosu znajdował się zaledwie cztery metry dalej. Była pewna, że mogłaby przelecieć tamtędy w parę sekund, gdyby mocno się odepchnęła – zakładając, że dobrze wyceluje, co wcale nie było pewne, zważywszy na jej umiejętności poruszania się w stanie nieważkości. Zaczęła telepatycznie zaglądać za ściankę grodzi, w myślach przekształcając obrazy w schemat. Biegły tam dziesiątki przewodów rozmaitych obwodów. *Który kontroluje zamek wjazdu?*

Kołyska wtoczyła się do hangaru i umieściła kapsułę w magnetycznych uchwytach. Laura nie mogła oderwać oczu od tej obcej kuli, którą przytrzymywały mechaniczne macki. Telepatycznie nie wykryła niczego; w polu jej percepcji kula była ciemną plamą. A jednak... Uśmiechnęła się, wiedząc już, że nie ma powodu do obaw. Cokolwiek zawierała kula, wchłaniała złowrogi zjawy Ayanny. W hangarze wyczuwało się już lekką ulgę. Serce Laury galopowało w jej piersi.

– Walcz z tym! – powiedział jej mentalny głos Joeya, nieprzyjemnie kontrastujący ze spokojem, jaki czuła.

– O nie! – jęknęła. – Nie, nie, nie!

Zgroza wywołana zrozumieniem tego, co się dzieje, wystarczyła, aby znieść działanie emocjonalnego balsamu aplikowanego przez obcą kulę. Laura zobaczyła, że Ayanna rusza w kierunku kuli, i złapała ją za rękę.

– Stój! Ayanno, do cholery! To jest jak narkomem!

Ayanna odwróciła głowę i spojrzała na Laurę. Teraz naprawdę wyglądała na przerażoną.

– Wynośmy się stąd – powiedział Joey.

Laura się okręciła, trzymając uchwyty i zamierzając odepchnąć się nogami od grodzi. Usłyszała dźwięk otwierającego się wjazdu kapsuły. Potem syk wyrównywanego ciśnienia. I chociaż wiedziała, że to głupota, zatrzymała się na moment, aby zobaczyć, co wychodzi.

Ibu wysunął się zwinnie i złapał uchwyt na ścianie hangaru.

– Co się dzieje? – zapytał, wciąż tym dziwnym głosem, jakby miał płyn w gardle.

– Ty mi powiedz – warknęła. – Czym jest ta rzecz?

– Kto wie? Przywieźliśmy ją tu, żeby zbadać.

Zginał kolana, lekko się obracając, tak aby oprzeć stopy o kadłub kapsuły.

Gotowy do skoku – pomyślała Laura.

Rojas zręcznie wysunął się z wjazdu.

– Wynoś się stąd! – krzyknął w jej myślach Joey.

Zaczął przesuwając się po grodzi, zmierzając w kierunku wjazdu do przedziału silosu. Drżenie rąk sprawiło, że nie złapał drugiego uchwyty.

Ibu odbił się obunóż i pomknął przez środek hangaru niczym żywy pocisk. Rojas poszedł za jego przykładem.

Laura wrzasnęła i skoczyła do włazu. Zawadziła stopą o ramię Joeya i zderzenie odrzuciło ją w bok. Okręciła się i uderzyła dłonią w ściankę grodzi, korygując trajektorię. Ayanna była tuż obok niej.

Rojas złapał Joeya za kostkę. Pisk, który wydobył się ze ściśniętego gardła Joeya, przypominał chrząknięcie świni. Rojas przywarł do teoretyka nadprzestrzeni i obaj zawirowali jakby w jakimś upiornym tańcu. Ten szybko zmienił się w gwałtowną szarpaninę.

Laura ponownie się zawahała. Zacisnęła dłoń na krawędzi włazu. Ibu był blisko i wyciągał rękę. Ayanna była tuż obok niej.

– Idź! – wrzasnęła Laura.

Ayanna zwinnie jak węgorz wśliznęła się do szybu.

Przerażone okrzyki Joeya odbijały się echem w hangarze. Ibu zacisnął dłoń na łydce Laury. Zapiszczała, najpierw ze strachu, a potem jeszcze głośniejsze, gdy poczuła, jak silny i bolesny jest ten uścisk. Silniejszy niż normalnego człowieka.

– Co do...?

Jego druga dłoń zacisnęła się na kostce jej prawej nogi. Usiłowała przeciągnąć się przez właz do przedziału silosu, ale nie mogła się ruszyć. Ibu zaczął ją ciągnąć w przeciwną stronę. Poczula, jak jej ręce się prostują, gdy z nadludzką siłą przewycięzał jej opór i ściągał z powrotem. Różne elementy starożytnej sztuki walki wręcz zaczęły napływać z zasobów jej pamięci, wpadając do klastrów makrokomórkowych. Jednak Laura nie czekała, aż się załadują; instynktownie wierzgnęła wolną nogą, trafiając Ibu w skroń.

Skutek był taki sam, jakby uderzyła go piórkem.

Złamał jej nogę w kostce. Usłyszała okropny trzask łamanej kości i na jeden cudowny moment straciła czucie w nodze. Zaraz jednak niewiarygodny ból przeszył jej czaszkę. Pomocnicze procesy osłabiły ten impuls, zmniejszając go do znośnego poziomu. Jednak Ibu powoli i z rozmysłem obrócił jej stopę. Złamana kość głośno zachrobotowała. Makrokomórkowe klastry całkowicie odcięły impulsy neuronów.

Laura poczuła mdłości. Jednak z siłą rozpacy nadal trzymała się krawędzi włazu. Załzawionymi oczami spojrzała na Ibu, którego twarz nie zdradzała żadnych uczuć. Po prostu czekał, aż ona rozluźni chwyt, żeby...

Żeby co?

Laura nie mogła tego zrozumieć. Rojas już przewycięzył opór szamoczącego się Joeya, obezwładniwszy go jakimś chwytem.

Ibu znów wykręcił jej nogę w kostce. Laura wiedziała, że za kilka sekund puści krawędź włazu i zostanie ściągnięta z powrotem. Nagle Ayanna znów pojawiła się we włazie i posłała telekinetyczny cios w twarz Ibu.

Teraz się skrzywił, gdy w ten sposób odwróciła jego uwagę, zmuszając do telekinetycznego odparcia ataku. Mimo to nie puścił Laury.

Uparcie trzymając się krawędzi włazu, Laura telekinetycznie sięgnęła do kieszeni na piersi. Gdy wysunął się z niej szwajcarski scyzoryk, rozłożyła jego najdłuższe ostrze. Obrócił się w powietrzu i wycelował w Ibu. Laura z całej siły pchnęła go naprzód.

Ostrze rozcięło policzek Ibu i wbiło się w szczelinę między kołnierzem skafandra a karkiem. Zastygł. Ayanna jęknęła.

Laura telepatycznie stwierdziła, że ostrze wbiło się na sześć lub siedem centymetrów w ciało tuż za kością obojczykową. Ciemnoniebieski płyn zaczął ściekać po jego szyi. Oszołomiona, przez moment myślała, że nóż przeciął jakąś rurkę z chłodziwem w jego skafandrze. Potem zrozumiała, że to krew – lub to, co krążyło w żyłach tej kopii Ibu.

Z krzykiem okręciła ostrze, wkładając w tę myśl całą swą wściekłość i determinację.

Kopia Ibu warknęła, gdy nóż obrócił się w ranie, skrobiąc o kość obojczykową. Laura wyrwała zmaltretowaną nogę z jego uchwytu i przeciągnęła się przez właz z pomocą Ayanny. Obie wtoczyły się do przedziału silosu. Laura uderzyła o jedną z metalowych rur, odbiła się, złapała pierwszy uchwyt, jaki dostrzegła, i przytrzymała się go.

– Ruszaj! – zawołała i sięgnęła do następnego uchwytu.

Ayanna pomknęła wzdłuż drugiej ścianki przedziału, kierując się do szafek ze sprzętem.

Kopia Ibu przycisnęła się przez właz, wciąż sypiąc wokół niebieskimi kuleczkami z rany pod kołnierzem.

Laura prawie nie myślała. Kierował nią instynkt samozachowawczy, nakazujący ucieczkę. Roztrzęsiony umysł podsuwał jej pomysł zabarykadowania się z Ayanną w kabinie na dziobie. Nic nie było tak ważne jak znalezienie jakiejś fizycznej bariery, która by odgrodziła ją od tych obcych stworów.

Przemknęła obok szafek i dała nura w górę, wzdłuż drabinki, do przedziału technicznego, w locie odbijając się dłońmi od szczebli, przyspieszając i wyrównując. Choć raz wykonała ten manewr z należytą zręcznością. Ayanna była tuż za nią.

Ciszę rozdarł histeryczny wrzask.

Laura się odwróciła, przestraszona, i zastygła pod wpływem szoku. Ayanna znajdowała się w połowie drabinki. Kopia Ibu tam ją dopadła. Stwór jedną ręką złapał za udo i wbił zęby w jej łydkę. I nie było to ugryzienie wywołane bitewnym szalem. Głęboko zatopił zęby, przebijając materiał pokładowego skafandra, i zacisnął szczęki na mięśniach łydki. Laura zobaczyła, jak gwałtownym szarpnięciem odrywa kęs ciała Ayanny. Zaczął je żuć.

Ayanna zawodziła, bezradna i przerażona. Krew wypływała pulsującym strumieniem z poszarpanej rany i szkarłatne kulki tworzyły okropną galaktykę wokół jej nogi. Ibupodobny stwór znów pochylił głowę i oderwał następny kęs.

Laura zwymiotowała.

Na drabince pojawiła się kopia Rojasa. Rzuciła się na Ayannę, szeroko rozchylając szczęki. Przemocą oderwał jej rękę od szczebla i wepchnął palce w swoje usta.

Przeraźliwy krzyk Ayanny zagłuszył trzask odgryzanych palców. Jej telepatyczny głos był niezrozumiałym krzykiem bólu i potwornego przerażenia. Atakował wszystkie zmysły Laury,

uderzając równie silnie jak fizyczny cios. Jednak instynkt samozachowawczy zdołał skłonić ją do działania. Łapiąc się uchwyty, pokonała resztę odległości do kabiny na dziobie, sama żałośnie zawodząc zdyszczanym sopranem, ledwie widząc przez łzy. Uderzyła dłonią w przycisk zamka. Plastikowy właz się zamknął.

Telepatia ukazała jej tuzin różnych obwodów i kabli wokół włazu. Telekinetycznie chwyciła i szarpnęła każdy z nich, rozrywając izolację i wiązki przewodów. Zgasło światło. Rozdzwoniły się alarmy, gdy zwarcie wysadziło bezpieczniki. Cichy szum kilku wentylatorów w tle powoli ucichł. Na konsoli zamrugały czerwone lampki.

Laura odepchnęła się od włazu. Krzyki Ayanny ucichły, zanim został zamknięty. Teraz coś uderzyło weń z drugiej strony. Ponownie. I jeszcze kilka razy. Potem zapadła cisza.

Laura zwinęła się w kłębek i zaczęła płakać.

* * *

Uświadomiła to sobie dopiero po pewnym czasie. Nie był to natrętny impuls, ale wrażenie podobne do rozpoznawania zapachu.

Laura zamrugała, zaskoczona. Jej gajaserfa łagodnie ją informowała, że ktoś chce z nią porozmawiać. Joey – to był jego mentalny zapach.

Bardzo ostrożnie Laura zwiększyła wrażliwość gajasfery.

– Laura?

– Joey?

– Tak.

– Nie wiem, czy to naprawdę ty. Oni... O cholera. To nie może się dziać naprawdę. Oni ją pożarli, Joey. Pożarli! A ja ją zostawiłam.

Czuła tak okropny wstyd, że pragnęła odrzucić to ciało – odrodzić się wolna od tego wszystkiego. „Vermillion” jakoś wydostała się z Pustki i wszyscy w niej pozostawieni zostaną ożywieni dzięki wspomnieniom przechowywanym w bankach pamięci gwiazdolotu. Ona będzie żyła dalej bez jakichkolwiek wspomnień o promie numer czternaście i Lesie. Nie wiedząc o tym, co spotkało Ayannę.

– To ja, przysięgam.

Fala emocji, która napłynęła od niego przez gajaserfę, była silna i absolutnie szczerą.

Laura znów zaczęła płakać.

– Och, Joey, Joey. Czym oni są?

– Nie wiem. Jakiegoś rodzaju kopiami.

– A gdzie ty jesteś? Co się stało?

– Jestem nadal w hangarze – patrz.

Gdy zamknęła oczy i spojrzała jego wzrokiem przez gajaserfę, zobaczyła hangar widziany pod dziwnym kątem. Ona/Joey patrzyła nań od strony śluzy powietrznej. Niebieskie oświetlenie awaryjne było włączone, ale nigdzie nie było widać obcych.

– Unieruchomili mnie. Jednak zrobiłem to, Lauro. To, co mówiłem – to samo, co ty zrobiłaś. Kiedy byli zajęci Ayanną, za pomocą telekinezy zamknąłem właz, a potem porozrywałem przewody i zablokowałem go. Nie dostaną się do mnie.

– Możesz się poruszać?

Połączenie przekazało stoicki żal.

– Nie. Telekinetycznie nie zdołałem rozerwać więzów. Spętali mi ręce i nogi jakimś rodzajem mocnego polimeru.

– Mógłbyś poruszać jakimś narzędziem? Przeciąć go?

– Lauro, proszę. Nie wiem, czy umiałbym zrobić to z taką dokładnością. Musisz tutaj wrócić.

Mimowolny dreszcz wstrząsnął całym jej ciałem. Pисnęła ze strachu.

– Nie. Nie mogę.

– Przyjdą po ciebie. Wiesz o tym. Znajdą narzędzia. Przetną właz.

Na samą myśl o tym łzy stanęły jej w oczach. Bez siły grawitacji płyn po prostu rozlał się po jej gałkach ocznych, rozmazując obraz.

– Zostawiłam ją, Joey – wyznała. – Po prostu zostawiłam ją z nimi. Nawet nie próbowałam jej pomóc, byłam zbyt przerażona. Jestem taka okropna? Została z nimi sama. I umarła w taki sposób. Umarła samotnie, Joey, pożarta przez te stwory. Nic nie może być gorsze od tego. Nic! Może zasłużyłam, żeby mnie dopadli.

– Przestań. Są silni... znacznie silniejsi od nas. Nic nie mogłaś zrobić. Spotkałoby cię to samo, co ją.

– Czy oni...? Czy ty...? Ciebie też?

– Nie. Jestem cały. Tylko nie mogę się ruszyć, to wszystko. Lauro, musisz tu zejść. Nie masz wiele czasu.

– Nie przedostanę się przez właz; bardzo poważnie go uszkodziłam. A nawet gdybym zdołała go otworzyć, nie przedarłabym się przez nich.

– Myślałem o tym. Nawet nie próbuj przedrzeć się przez nich. Musisz się dostać do kapsuły.

– Co?

– W kabinie na dziobie są skafandry próżniowe. Włóż jeden i rozbij przednią szybę. Ja kontroluję służę powietrzną; telekinetycznie mogę dosięgnąć panelu kontrolnego. Już otworzyłem ci zewnętrzny właz. Inaczej bym ci tego nie proponował. Sprawdź przez sieć promu, jeśli mi nie wierzysz.

Minęła długa chwila, zanim Laura zmusiła się do działania. Jej klastry makrokomórkowe wciąż blokowały straszliwy ból złamanej nogi. Ikony egzowizji nieustannie migwały ostrzeżeniami o uszkodzeniach tkanek i wewnętrznym krwotoku, które zignorowała jak wszystkie inne, wpadając w niebezpieczny stan wyparcia. Przeciągnęła się obok foteli do półokrągłej konsoli pod przednią szybą. Zobaczyła kilka schematów działających układów. Potwierdzały słowa Joeya: zewnętrzne drzwi hangaru kapsuły były otwarte.

– Widzę – powiedziała Laura.

– No to przyjdź i zabierz mnie – powiedział Joey. – Polecimy drugą kapsułą na planetę i znajdziemy „Vermilliona”.

Laura obrzuciła przednią szybę przeciągłym spojrzeniem. Wciąż migające w grubym szkle hologramy były głównie ostrzegawczymi symbolami.

– Joey, jak, do diabła, mam rozbić przednią szybę? Ona może wytrzymać hamowanie w atmosferze, a ten prom jest zaprojektowany na działanie przy gazowym olbrzymie. To cholerstwo jest wytrzymałe, zapewne bardziej niż kadłub.

– Owszem, ale każdy łańcuch jest tak silny jak jego najsłabsze ogniwo, pamiętasz? Popatrz, jak jest połączony z główną strukturą.

Laura nabrała tchu i telepatycznie zajrzała w głąb kadłuba, badając warstwy i materiały, uszczelnienia wokół superwytrzymałego szkła. Oczami duszy ujrzała kolorowe cienie ułożone przy sobie ciasno jak warstwy skały. *Jak na schematycznym hologramie* – pomyślała. Nie widać było wielu słabych punktów. Rozszerzyła zakres swej percepcji, sprawdzając resztę kabiny na dziobie.

– Nie przejdę przez przednią szybę – powiedziała mu. – Za jednym panelem sufitu jest wyjście awaryjne.

Odepchnęła się od konsoli i dotarła do prostokąta nad drugim fotelem. Kiedy chwyciła wysuwaną rączkę, zdołała usunąć panel. Odsłonięta, metrowej średnicy pokrywa była pokryta ostrzeżeniami o konieczności wyrównania ciśnienia przed otwarciem.

– Jest tu mnóstwo zamków – zameldowała.

– Biurokratów należy trzymać z daleka od zespołów projektujących statki kosmiczne.

– To prawda.

– A teraz włóż skafander.

– Joey, to trochę zbyt...

Coś zaczęło nieregularnie brzęczeć pod pokrywą wjazdu do przedziału technicznego. Z początku cicho, jak pszczoła tłukąca o szybę. Potem jednak częstotliwość zaczęła wzrastać, aż dźwięk stał się ciągły.

– Zbyt co?

– Nic.

Zdjęła jeden awaryjny skafander próżniowy z wieszaka nad głową. Przez moment się wahała, ugiąwszy nogę w kolanie, gotowa wepchnąć stopę w workowaty kostium ze srebrzystobiałego materiału. Jej noga mocno spuchła w kostce. W szparze między skrajem nogawki a butem widać było paskudnie zaczerwienioną skórę. Laura była pewna, że nie da rady zdjąć buta. Na widok złamanej nogi znów ją zemdliło, ale nie miała czym zwymiotować. Przez moment blok neuronowy jakby przestał działać albo wyobraziła sobie ten ból. Prawie ją obezwładnił.

To nic – powiedziała sobie z udręką i gniewem. – *To nic takiego w porównaniu z tym, co czuła Ayanna*. Wepchnęła do skafandra zdrętwiałą nogę, a potem obie ręce. Jej u-adiunkt zdołał się sprzęgnąć z procesorem skafandra i materiał skurczył się wokół niej.

Intensywne brzęczenie za włazem przeszło w ultradźwięki. Na brzegu pokrywy pojawił się niebiesko-biały punkcik, świecący jak lampa łukowa.

Laura złapała hełm i nasadziła go na gruby metalowy kołnierz. Uszczelnił się natychmiast, a suche powietrze wpadło z sykiem do środka, niemal zupełnie zagłuszając brzęczenie. Z pokrywy tryskały krople stopionego plastmetal. Płonąc jak węgle, leciały głównym przejściem. Pociągnęła dźwignię szybkiego startu na panelu pomocniczym nad głową. Rozdzwoniły się alarmy, a brzeg włazu stał się szkarłatny. Dwa bezpieczniki wyskoczyły z gniazd w dźwigni, ostrzegając o różnicy jednej atmosfery. Kciukiem wepchnęła je z powrotem i alarm rozdzwonił się jeszcze głośniej.

Jedną ręką przytrzymując się pasa fotela, żeby pozostać w kabinie, Laura obróciła dźwignię o dziewięćdziesiąt stopni. Łuk natychmiast odleciał, popchnięty silnym strumieniem powietrza, który odepchnął ją i okręcił tak, że kolanami rąbnęła w sufit kabiny. Nowy ból przeszył jej czaszkę, gdy przeकोziołkowała w wyjąłym strumieniu powietrza, lecz natychmiast stłumiły go neuroblokady.

Powietrze z kabiny na dziobie uszło w kilka sekund. Laura zawisała na końcu powiewającego pasa, otoczona duszną ciszą. Drzewo dystorsyjne znikło jej z oczu. Reszta Lasu była rozmazaną smugą, gdyż prom pomknął odrzucony przez gwałtownie uchodzący gaz. Słyszała tylko swój nierówny oddech.

Spojrzała na drzwi do przedziału technicznego. Białoniebieskie światło przygasło, zmieniając się w pas płonącego szkarłatem metalu. Z dziury na jego środku tryskał cienki strumyk białej pary.

– To było to? – zapytał Joey. – Poczulem, jak Czternastką szarpnęło. Czy to uszło powietrze z kabiny?

– Taak.

– Musisz tu zejść. Oni rozumieją, że potrzebują kapsuły, aby ująć stąd z życiem.

– Cholera. W porządku, już idę.

Wyplątała rękę z pasa i precyzyjnie się przez właz. Las wirował wokół niej. Prom numer czternaście co dwieście sekund wykonywał leniwy przewrót w przód z uskokiem, przez który ten widok był jeszcze bardziej dezorientujący.

Przyłgi na jej przegubach i podeszwach przywarły do kadłuba promu, pozwalając popęznąć naprzód. Ponieważ blokada neuronowa właściwie sparaliżowała dolną połowę jej prawej nogi, mogła się posługiwać tylko lewą. Mimo to było łatwiej, niż oczekiwała. Zapewne pomogło jej to, że nie spoglądała na drzewa Lasu przelatujące płonącymi łukami przez Pustkę. Nie odrywała oczu od szarej warstwy izolacji będącej zewnętrzną warstwą kadłuba. Po ścianie kabiny na dziobie wyszła na brzuch promu, a potem zaczęła zmusną wędrowną w kierunku ogona.

Przetocz się, odrywając przylgę – ignorując fakt, że teraz trzymają cię tylko dwie przylgi i jeśli zawiodą, koziołkujący prom pośle cię w Pustkę – po czym wyciągnij, jak najdalej możesz swoją wolną rękę i znów przyciśnij ją do kadłuba. Lekkim przesunięciem upewnij się, że przylga dobrze trzyma, a potem przekręć nogę z przylgą na podeszwie. Unieś nogę tak wysoko, jakbyś zamierzała przykleknąć, opuść. Sprawdź.

Powtórz to, potem jeszcze raz i jeszcze...

– Wiem, co to jest – powiedział jej Joey przez gajaserę.

– Co?

– Mówiłem ci, że z tą planetą coś jest nie tak. Wiem już co.

Laura uniosła głowę, sprawdzając, czy czołga się w prawidłowym kierunku. Ogon Czternastki znajdował się już około dwunastu metrów dalej i lekko zboczyła z kursu. Wyciągnęła rękę, żeby to skorygować, po czym opuściła przylgę.

– No już, mów. W tym momencie poważnie wątpię, by ta informacja mogła pogorszyć sytuację.

– Jesteś tego pewna?

– Cholera, Joey! Mów, co to takiego!

– Mówię ci to, ponieważ musisz wiedzieć.

Poruszała się z coraz większym trudem. Jej ciało odczuwało skutki stresu. Słyszała, jak głośno wali jej serce; nie musiała patrzeć na ikony egzowizji, aby o tym wiedzieć oraz o tym, że potrzebowała więcej tlenu. *Jak stan nieważkości może być tak wyczerpujący?*

– Joey, albo mi powiedz, albo się, kurwa, zamknij.

– W porządku. Planeta obraca się w niewłaściwą stronę.

– Co takiego?

– W przeciwną. Kiedy byliśmy na „Vermillionie”, kontynenty obracały się ze wschodu na zachód. Teraz jesteśmy w Lesie i przesuwają się z zachodu na wschód. Właśnie to widziałem: kontynenty poruszające się w złą stronę. I dlatego tyle czasu zajęło mi zrozumienie tego, gdyż jest to tak dziwne, że trudno to ogarnąć.

– Nie rozumiem.

– Widzimy planetę obracającą się w tył. Tylko jedno może być tego powodem. Teraz rozumiesz?

Ogon promu znajdował się siedem metrów dalej. Laura musiała się zatrzymać, żeby dać odpocząć przemęczonym mięśniom.

– Nie – wykrztusiła. – Joey... po prostu powiedz co.

– Czas – rzekł, wysyłając fale podziwu i niepokoju. – Ayanna mówiła, że te drzewa zmieniają przepływ czasu, i miała rację, ale nie zwalniają go tu w Lesie, tylko odwracają.

– Odwracają?

– Las podróżuje z powrotem w czasie, Lauro. To dlatego widzimy planetę obracającą się w przeciwnym kierunku. „Vermillion” nie zniknął; podróżujemy z powrotem do czasu przed jego przybyciem.

Laura wydała z siebie jęk przygnębienia. Nie potrzebowała czegoś takiego, nie jako dodatku do tego wszystkiego. Obróciła przylgę i wyciągnęła rękę, wznawiając męczący marsz.

– Podróż w czasie jest niemożliwa. Wiesz o tym. Przyczynowość. Paradoks. Entropia. Tego nie da się pokonać, Joey.

– Nie da się pokonać w normalnej czasoprzestrzeni – odparł. – Jednak jesteśmy w Pustce.

– A Pustka istnieje w czasoprzestrzeni – przypomniała. – Podstawowe zasady są niezmienione.

– Planeta kręci się w przeciwną stronę – powiedział z uporem. – Podróżujemy w czasie, w przeszłość.

– Skoro tak mówisz.

– Musisz to wiedzieć, Lauro. Kiedy opuścisz Las, musisz tylko poczekać, aż pojawi się „Vermillion,” i ostrzec ich przed tymi kulami.

– To się nie zdarzy – odparła niemal gniewnie. – Ponieważ ja się nie pojawiłam, nie spotkałam siebie i nie powstrzymałam nas przed przybyciem tutaj. Prawda?

Dotarła do płaskiej krawędzi deltoidalnych skrzydeł i zaczęła je omijać. W jej polu widzenia pojawiła się tępa rufa kadłuba. Uniesiona i odchylona w bok osłona ukazywała szeroką owalną śluzę powietrzną na końcu hangaru. Jej zewnętrzne drzwi były otwarte. Na ten widok cicho jęknęła z ulgą; przynajmniej w tej sprawie Joey mówił prawdę. Zaczynała się obawiać, że niedyspozycja po wyrwaniu ze stanu hibernacji odebrała mu rozum.

– Joey, jestem przy śluzie powietrznej.

– Świetnie. Znajdź coś, do czego możesz się przywiązać. Musisz trzymać się bardzo mocno.

– Dlaczego? – spytała z niedowierzaniem.

– Skasowałem zabezpieczenia. Zamierzam otworzyć wewnętrzne drzwi i wypuścić powietrze z hangaru. To będzie silny wybuch, więc musisz dobrze się przywiązać. Nie chcę, żeby cię zdmuchnął, jasne?

– Joey, co do kur...

– Zobaczysz. I wydostaniesz się z Lasu. Druga kapsuła jest nietknięta.

– Co się stało? – załkała. – Dlaczego to robisz?

– Nie mogę lecieć z tobą. Proszę, Lauro, znajdź coś, do czego możesz się przywiązać.

– Co oni ci zrobili, Joey? – spytała ze zgrozą. – Dlaczego to robisz?

– Trzymasz się czegoś?

Nie mogła się klócić; była zbyt wyczerpana. Ponadto fatalizm, jaki przesyłał jej gajasferą, wyraźnie dowodził, że nie miałyby to sensu. Rozejrzała się po wielkiej komorze. Był tam tuzin uchwytów i kilka pustych stojaków na sprzęt. Podczołgała się do jednego z nich i zamknęła w jego odchylanych tytanowych uchwytach.

– Trzymam się.

Wewnętrzne drzwi zaczęły się rozchyłać. Z powiększającego się otworu wystrzelił gaz, rzadka biała para przepływająca obok niej. Popychana nim Czternastka zaczęła się poruszać w niesamowicie chaotyczny sposób, gdyż pióropusz uciekającego powietrza pogłębił dotychczasowe koziołkowanie. Laura widziała, jak płonące drzewa dystorsyjne wirują wokół, gdy siła bezwładności popychała ją na uchwyty stojaka. Raz w polu widzenia przemknął odległy półksiężyc planety.

Wydawało się, że w hangarze kapsuł była ogromna objętość powietrza. Uchodziło z huraganowym impetem i rykiem jeszcze wtedy, gdy drzwi śluzy powietrznej były otwarte na oścież. Strumienie pary omywały jej skafander – jakby znajdowała się w silnym strumieniu wody. Nawet słyszała jej szum.

Nagle wszystko się skończyło. Szybko rosnąca chmura pobrzękujących kryształków lodu spowiła rufę wirującego promu. Laura wydostała się ze stojaka i zaczęła czołgać się do środka, gdzie jasne niebieskie oświetlenie awaryjne ukazywało wszystko jako wyrazisty relief.

– A więc się udało – powiedział Joey.

Przez gajaserę Laura poczuła jego emocje: satysfakcję zmieszaną z fatalizmem. I lękiem. Po raz pierwszy pozwolił sobie okazać te uczucia. Teraz jego myśli zaczął zabarwiać ból, tępy i rozchodzący się z pustych płuc. Pospiesznie przeczołgała się przez wewnętrzne drzwi i zobaczyła go. Zdrętwiała z przerażenia.

– Joey! Och, Joey, nie. Nie, nie, nie.

Przywarł do jednej z tych kul. Jego noga, ręka i jedna trzecia torsu już się w nią zapadła. Boki głowy prawie dotykał pomarszczonej czarnej powierzchni, która wchłonęła jego ucho.

Używając uchwytów, Laura poleciała ku niemu.

– Nie dotykaj mnie – ostrzegł.

– Dlaczego nie powiedziałaś? Cholera, Joey, dlaczego?

Gwałtowna dekompresja rozerwała naczynka włosowate pod jego skórą, nadając ciału szkarłatną barwę. Krew sączyła się wszystkimi porami i wypływała wokół gałek ocznych. Z jego otwartych ust również wylatywały maleńkie czerwone kropelki przy każdym uderzeniu serca.

– Byłem spisany na straty w chwili, gdy złapał mnie fałszywy Rojas. W ten sposób ty przeżyjesz. A oni nie zdołają mnie skopiować. Było warto.

– Joey...

– Pozdrów mojego klona. Powiedz mi, jaki jestem szlachetny.

– Joey...

Połączenie przez gajaserę zanikło. Laura patrzyła na okropnie wykrzywioną twarz Joeya, gdy kropelki krwi zaczęły wrzeć w próżni. Dopiero gdy gęstniejąca szkarłatna mgła zaczęła spowijać jej hełm, gwałtownie ruszyła dalej.

Podciągnęła się do drugiej kapsuły i wślizgnęła do środka przez otwarty właz. Pasy unosiły się kłębem, który rozplątała, zapinając sprzączki, aby utrzymały ją w miejscu. Sekwencja włączenia napędu była prosta. Właz się zamknął i powietrze wypełniło kabinę.

Pilotaż nie był jednym z jej talentów, lecz zasoby wiedzy Laury zawierały kilka podstawowych plików. Uruchomiła je jako pomocnicze procesy w klastrach makrokomórkowych i zdołała wyprowadzić mały pojazd przez otwartą szluzę, tylko dwukrotnie ocierając o nią burtą.

Kapsuła obracała się wokół swej osi z szybkością znacznie powiększoną przez utratę powietrza zawartego w hangarze. Laura ustabilizowała pojazd i ostrożnie podprowadziła go z powrotem, jak najbliżej deltoidalnego kadłuba. Najmocniejszymi silnikami, jakimi dysponowała, były trzy wysokosprawne jonowe napędy raketowe w podstawie sferycznego kadłuba, mogące dać przyspieszenie jednej piątej g.

Laura włączyła je na pełen ciąg. Trzy pióropusze wysokoenergetycznej plazmy uderzyły w kadłub Czternastki, trafiając w nasadę prawego skrzydła tuż za kabiną na dziobie. Przebiły szarą warstwę termoizolacji i usmażyły kompozytowo-metalowe poszycie. Zmieniły układy w parę. Rozerwały zbiorniki. Hermetyczny kadłub pękł, wypuszczając powietrze z kabiny pasażerskiej.

Kapsuła znajdowała się dwieście metrów od promu, gdy Laura wyłączyła silniki jonowe. Używając dysz manewrowych, obróciła małego pojazdu tak, aby prom był widoczny przez szeroki owalny wizjer. Koziółkował jeszcze szybciej, otoczony chmurą opalizujących szczątków. Prawe skrzydło było paskudnie wygięte, a z czarnego poszarpanego krateru nadal uchodziły strumienie gazu. Jedna połowa rozchylanych wrót odpadła. Gdy rufa znalazła się w polu widzenia, Laura zobaczyła, że nawet światła awaryjne w hangarze zgasły. Jednak środek promu wciąż był nietknięty; obcy nadal mogli być żywi.

Znów podleciała kapsułą do Czternastki, najbliżej jak się odważyła. Radar śledził koziółkowanie promu i pokazał, że rufa obraca się ku niej. Ponownie włączyła silniki jonowe, posyłając lodowato niebieskie włócznie plazmy do hangaru. Widocznie trafiły prosto w zbiorniki paliwa drugiej kapsuły. Wybuch rozerwał część rufową promu. Poszarpane fragmenty poleciały w próżnię wraz z kolorowym pióropuszem pary, ożywianym trzaskiem elektrostatycznych wyładowań.

Gdy Laura ustawiła kapsułę tak, by zobaczyć rezultaty swych działań, Czternastka już rozłamała się na dwie części. Prawe skrzydło oderwało się zupełnie i główna kabina pękła na całej długości pozostałego kadłuba. Oniemiała Laura przez kilka minut spoglądała na dryfujące szczątki. Nie czuła żadnej satysfakcji z tego zwycięstwa. Zrobiła to, co konieczne, aby przeżyć. To wszystko. Za rozpadającym się promem ogromne drzewa dystorsyjne pozostały w swej jasnej konstelacji, nieświadome lub obojętne wobec zagłady swoich stworów.

Czujniki kapsuły namierzyły odległą o półtora miliona kilometrów planetę. Laura wprowadziła jej dane do sieci, a ta włączyła je do istniejących danych nawigacyjnych i

zaczęła wytyczać kurs. Pierwsze, trwające trzy minuty włączenie silników wyprowadziło ją z Lasu.

Gdy mijała skraj drzew dystorsyjnych, w jej egzowizji pojawił się licznik czasu. Upłynęło dwadzieścia siedem godzin i czterdzieści dwie minuty, od kiedy prom numer czternaście wleciał do Lasu i jego zmienionego środowiska temporalnego.

Laura ze smutkiem pokręciła głową. Wciąż nie wierzyła w teorię biednego Joeya o podróży w czasie.

Drugi manewr trwał siedemnaście minut i pochłonął sześćdziesiąt osiem procent paliwa. Potrzebne będą regularne manewry korygujące, ale przelot na planetę miał trwać dziewięćdziesiąt dwie godziny.

Zdjęła hełm i powąchała powietrze maleńkiej kabiny. Było o wiele świeższe od recyklingowanej atmosfery skafandra. Przede wszystkim musiała się zająć swoją kostką. Połowę jej egzowizji zajmowały ikony medyczne, przeważnie czerwone lub bursztynowe.

Skafander rozluźnił swoje objęcia, a ona wygramoliła się z niego, bynajmniej nie elegancko. W małej kapsule było ciasno, a pasy wcale nie ułatwiały sprawy. Łokciami, kolanami, głową i stopami uderzała o ścianki, szybę lub konsole.

Kiedy w końcu pozbyła się skafandra, o mało nie skrzywiła się na widok swojej kostki. Uwolnione z uścisku skafandra ciało paskudnie spuchło. Musiała rozciąć but, a także nogawkę spodni. *Szwajcarski scyzoryk bardzo by się do tego przydał* – pomyślała ponuro. Na szczęście apteczka zawierała staroświecki skalpel. Czego nie zawierała, to porządnego zestawu leków i środków opatrunkowych. Nie, żeby Laura ufała im w Pustce. Był to podstawowy pakiet ratunkowy do opatrywania ran, zanim kapsuła wróci na statek, gdzie będzie szpital i lekarze umiejący programować bionikę.

Tak więc musiały jej wystarczyć środki przeciwzapalne i duże dawki koagulantów do powstrzymania wewnętrznego krwotoku. Na szczęście blokady neuronowe nadal działały. Nie chciała myśleć o tym, jaki ból by czuła w przeciwnym razie. I nie miała pojęcia, co robić, kiedy wyląduje. Kość wymagała należytego nastawienia, a rana drenażu.

W zasobach wiedzy miała pliki wyjaśniające, jak sobie radzić z takimi obrażeniami, dysponując tylko prymitywnym wyposażeniem. Tekst był jak żywcem wzięty z dwudziestego pierwszego wieku. Laura nie wiedziała, czy zdoła sama się zoperować nawet ze stuprocentową blokadą bólu.

Po zaaplikowaniu leków kazała czujnikom kapsuły szukać sygnału „Vermilliona”. Nawet jeśli (*Jesteś śmieszna, że dopuszczasz taką możliwość* – powiedziała sobie) jakimś cudem cofnęła się w czasie, to „Vermillion” będzie się zbliżał do planety. Kapitan Cornelius rozpocznie przygotowania do wysłania misji naukowej do Lasu. I gdzieś w głębi ogromnego gwiazdolotu personel medyczny zbudzi ze stanu zawieszenia ją i Ayannę, a także Joeya, Ibu i Rojasa.

Kapsuła wykonała trzy skany i nie wykryła żadnego sygnału. Ani w przestrzeni. Ani dochodzącego z planety.

– Cholera! Jasna cholera.

Gdzie oni się podziiali, do diabła? Trzy gwiazdoloty tej wielkości nie mogły tak po prostu zniknąć. Chyba że jeszcze tu nie przybyły – podpowiadała zdradziecka część jej umysłu. Tak więc Laura zrobiła to, co powinna była zrobić zaraz po opuszczeniu Lasu, i włączyła sygnał naprowadzający kapsuły. Dzięki temu poczuła się lepiej, chociaż to w niczym nie poprawiało jej sytuacji.

W myślach zrobiła pospieszną inwentaryzację. Żywności wystarczy na dwa tygodnie. Jeśli liczyć liofilizowane pakiety za żywność. Trzeba je będzie rozpuszczać. Woda nie stanowiła problemu. Kapsuła miała jej dziesięć litrów – i sprawny system recyklingu. Laura lekko się skrzywiła na myśl o tym, ale nie było innego wyjścia. *Zostało tylko osiemdziesiąt dziewięć godzin.*

Dzień później nie była pewna, czy przeżyje. Noga w kostce spuchła jej do wielkości piłki, skóra zrobiła się ciemnopurpurowa i dostała gorączki. Była cała rozpalona, a jednocześnie miała dreszcze. Co gorsze, chwilami traciła poczucie rzeczywistości. Wydawało jej się, że rozmawia z Ayanną. Dwukrotnie ocknęła się, krzycząc na Joeya, żeby nie otwierał śluzy powietrznej.

Za każdym razem przeklinała siebie za to, że jest taka słaba. Nie chciała zażywać więcej leków z obawy przed pogłębieniem delirium. Wiedziała, że powinna więcej pić, ale nie mogła się zmusić do ssania rurki. Zaczęła błądzić myślami, tworząc straszliwe scenariusze świata, do którego zmierzała. Jego powierzchnia będzie całkowicie pokryta wzgórzami tych czarnych obcych kul. Kapsuła się w nie zapadnie. Kule przenikną przez kadłub i zacisną się wokół niej. Ona przyklei się jednocześnie do sześciu różnych kul, które zaczną ciągnąć ją do siebie, usiłując pożreć...

– Gdzie jesteście?! – krzyczała, gdy czujniki zgłosiły, że wciąż nie ma sygnału naprowadzającego „Vermillion”.

Pod koniec drugiego dnia pogrążyła się w odmętach żalu i samokrytyki. Tyle rzeczy mogła zrobić, żeby pomóc Ayannie. Gdyby nie była takim tchórzem. Gdyby miała odrobinę ludzkiej przyzwoitości. Joeya też można było ocalić, gdyby nie była tak całkowicie zajęta sobą.

Może Joey miał rację – rozmyślała. Zaakceptować utratę ciała i odrodzić się, gdy „Vermillion” ucieknie z Lasu. Chciałaby tylko wierzyć, że tak się stanie.

Gdy od planety dzieliło ją dziesięć godzin lotu, musiała zażyć lekarstwa. Nawet w tym kiepskim stanie rozumiała, że następna korekta trajektorii musi być wykonana dokładnie. Jeśli kapsuła ma wyhamować w atmosferze, to musi w nią wejść pod precyzyjnie dobranym kątem. Margines błędu był niewielki.

Włączone na pięćdziesiąt dwie sekundy silniki miały ustawić kapsułę tak, by weszła w najwyższą warstwę atmosfery. Nieco dłużej, a przeleci obok planety i zaginie w Pustce. Odrobinę krócej i kapsuła wejdzie w atmosferę pod złym kątem, a warstwa termoizolacji nie wytrzyma.

Było tyle różnych czynników, tyle rzeczy, które mogły pójść źle. Żaden obywatel Wspólnoty nie był już przyzwyczajony do takiej niepewności; urzędnicy po prostu działali, i tyle. Hamowanie w atmosferze było ostatnią deską ratunku, manewrem zaprogramowanym niemal jako zbyteczny dodatek. Nikt się nie spodziewał, że kapsuła naprawdę go wykona. A co do użycia spadochronów przy lądowaniu... musiała pobrać odpowiedni plik z zasobów swej wiedzy, przez cały czas się modląc, by informacja o konieczności użycia spadochronów też była przekłamaniami wywołanymi przez Pustkę. Jej życie ma zależeć od wytrzymałości sterty materiału i sznurków? *Poważnie?*

Do przygnębienia dołączył strach. *Może utrata ciała to nie jest jednak taki dobry pomysł?*

Silniki włączyły się na zaprogramowany czas i wyłączyły. Czujniki zmierzyły nowy kierunek i zameldowały, że znajduje się na dobrym kursie do wyhamowania w atmosferze.

– O, w końcu coś poszło dobrze.

Podczas ostatniego etapu podejścia zmusiła się do jedzenia. Rozpuściła tubkę spaghetti. Jak zawsze było bez smaku; kleista pasta z kawałkami makaronu zatykającymi rurkę przy każdym naciśnięciu. Popiła to wodą, z lekką ulgą, że ta też nie ma żadnego smaku.

Godzinę przed wejściem w atmosferę ponownie przypięła się pasami. Nie zamierzała ryzykować jakiegokolwiek obciążenia opuchniętej kostki. Do tej pory skóra wokół złamanych kości stopy i łydki mocno pociemniała, chociaż Laura zdołała sobie wmówić, że opuchlizna nieco zmalowała.

Kapsuła weszła w atmosferę. Z początku zarejestrowały to tylko czujniki pokazujące zwiększoną gęstość jonów na zewnątrz. Potem kapsuła zaczęła się trząść. Drżenie szybko przeszło w silne drgania. Kapsuła rozjarzyła się rubinowym blaskiem, który przyćmił lśniąco białą poświatę chmur daleko w dole.

Laura zacisnęła dłonie na przytrzymujących ją prosto pasach, gdy grawitacja zaczęła powracać. Przez izolowany kadłub zaczął przedzierać się głuchy pomruk, gdy kapsuła z naddźwiękową prędkością mknęła w dół. Jej ciężar ciała wzrósł, napinając pasy. Kapsuła osiągnęła cztery g i blokady neuronowe Laury zaczęły zawodzić. Kostka stała się kłębką pulsującego i przeszywającego bólu. Laura krzyknęła, a jej krzyk zginął w wyciu udręczonego powietrza, rozdieranego przez wytracający prędkość stateczek.

Za szybą wizjera poczęły śmigać wielobarwne skry, gdy nieosłonięte przyrządy odrywały się od kadłuba. Czujniki właściwie oślepyły. Chociaż i tak nie mogłaby zobaczyć tego, co by jej pokazały. Kapsuła trzęsła się tak, że Laura nie mogła skupić wzroku.

Powoli drgania zaczęły się zmniejszać. Wycie udręczonego powietrza ucichło i czerwony blask osłony termicznej zgasł. Do kabiny wpadło jasne słoneczne światło. Na zewnątrz było cudownie szafirowo. Niebo!

Tysiąc pięćset metrów nad powierzchnią kapsuła zwolniła do prędkości poddźwiękowej. Laura wydała z siebie westchnienie ulgi, natychmiast stłumione przez boczne spadochrony, które gwałtownie szarpnęły kapsułą. Potworny ból przeszył jej nogę i wrzasnęła. Wtedy rozwinęły się główne spadochrony. Kapsuła zaczęła powoli opadać ku powierzchni planety.

To naprawdę działa? Ja pierdolę!

Ciężko dysząc, Laura spojrzała przez wizjer, chcąc zobaczyć teren, na jakim wylądowała. Miał jednolity kolor ochry, niezmienny aż po horyzont.

– Pustynia! – wrzasnęła rozwścieczona. – Po tym wszystkim pierdolona pustynia? Chyba, kurwa, żartujecie.

Zaczęła płakać i wielkie łzy spływały jej po policzkach, gdy zdrętwiała wisiała w uprzęży, czekając na lądowanie.

Dziesięć metrów nad ziemią z podstawy kapsuły wyskoczyły balony amortyzacyjne, wypełniając się powietrzem. Przy uderzeniu o ziemię opróżniły się, łagodząc impet. Kapsuła się zakołysała, robiąc płytki krater w piasku, po czym powoli znieruchomiła, przechylona pod kątem około dwudziestu stopni. Główne spadochrony trzepotały jeszcze, rozciągnięte na odcinku kilkuset metrów, zanim opadły.

Laura nie spieszyła się z odpinaniem pasów. Wisiała lekko pochylona twarzą w dół i nie chciała spaść na złamaną kostkę. Powoli opuściła się na to, co teraz było podłogą. Właz znajdował się na wysokości jej głowy. W wizjerze widać było tylko skrawek piaszczystego terenu w cieniu rzucanym przez kapsułę.

Podeszła do jednej z małych konsoli i popatrzyła na ekran. Moc spadła do piętnastu procent. Laura wyłączyła układy kontroli lotu. Zostawiła tylko sygnał naprowadzający, wzywający pomocy, oraz układ kontroli środowiska. Na tych resztkach mocy mógł oczyszczać powietrze jeszcze przez trzysta godzin.

– Cholera z tym.

Laura wyłączyła układ kontroli środowiska i pociągnęła dźwignię wjazdu. Ciśnienie wyrównało się z głośnym sykiem, po czym właz się otworzył. Do środka wpadła fala ciepłego i suchego powietrza. Laura wciągnęła je do płuc, niespecjalnie przejmując się zarodnikami lub jakimiś obcymi mikroorganizmami. Nawet bez działającej bioniki jej układ immunologiczny był ulepszony przez geny Progresywiwistów; mógł sobie poradzić z mnóstwem niebezpiecznych czynników biologicznych. Ponadto przestała się tym przejmować. Jeśli coś ją teraz zabije, to nie mikroby.

Wygramoliła się z kapsuły i rozejrzała wokół. To naprawdę była pustynia, płaski bezmiar zwirowatego piasku z meandrami pofałdowanych wydm odpływających na wszystkie strony. Okrążyła kapsułę, żeby się upewnić, lecz nic nie przerywało monotonii ochrowego piasku, poza kłębem spadochronów z materiału w czerwono-żółte pasy. Nie było chmur na niebie. Ani wiatru. Ani wilgoci. I żadnego żywego stworzenia prócz niej.

– O cholera.

Słońce mocno prażyło; już się pociła. Jeśli zostanie tu jeszcze trochę, spali się. I zapewne dostanie udaru.

Przecisnęła się z powrotem przez właz tylko po to, by odkryć, że w kapsule jest już goręcej niż na zewnątrz. Przeklęta puszka była jak piekarnik w popołudniowym słońcu.

Po prostu wspaniale!

Układ kontroli środowiska włączył się ponownie z nieprzyjemnym szcękaniem. Ten ucichł stosunkowo szybko, pozostawiając tylko lekko wysilony pomruk. Laura się tym nie przejmowała; podciągnęła się do pozycji siedzącej i z twarzą pod jednym z wentylatorów cieszyła się chłodnym powietrzem owiewającym jej skórę. Gdy spojrzała na ekran nad sobą, zobaczyła, że poziom mocy wyraźnie opadł. Przy takim tempie zużycia energii ogniwa nie będą mogły zasilać układu kontroli środowiska do wieczora.

Z jękiem ponownie wygramoliła się przez właz i odnalazła niewielki panel w podstawie kapsuły. Za nim był planetarny zestaw przetrwania, ale strugi metalu z jakiegoś stopionego czujnika lub anteny zestaliły się na nim i praktycznie zaspawały pokrywę. Próbowwała podważyć ją telekinetycznie, ale nie była dostatecznie silna, aby rozluźnić wiązania metalu. Rozejrzała się i znalazła kawałek skały. Płaty poczerniałego metalu odpadły, gdy zaczęła w nie tłuc. Uśmiechnęła się krzywo na taką ironię losu: otwieranie kosmolotu kamiennym młotkiem to chyba skrajne zderzenie prymitywu z wyrefinowaniem.

Zanim wreszcie zdołała oczyścić i podnieść płytę, była zlane potem. Wysunął się pojemnik z podstawowymi artykułami: cztery butelki z wodą z wbudowanymi filtrami oczyszczającymi, następna apteczka, parę tabletek z nadajnikami wysokiej mocy, dwa izolowane jednocześnie skafandry (które, jak przyznała, będą bardzo przydatne w tym skwarze), kilka prostych narzędzi, w tym siekiera i wieloczynnościowy nóż podobny do szwajcarskiego scyzoryka, dwa pancerze pola siłowego (których procesory nawet nie odpowiedziały na pisk jej u-adiunkta), para wysokowydajnych ogniw i zdumiewająco cienka bateria słoneczna, która wciąż się rozwijała. Rozłożyła ją, przyciskając wszystkie cztery rogi kamieniami, po czym podłączyła do wysokowydajnych ogniw i wszystko to razem do układu zasilania kapsuły.

Wróciwszy do środka po tych trudach, wypila litr wody.

Samo ogniwo słoneczne wytwarzało dość energii do działania układu kontroli środowiska. Jej odsłonięta skóra zaczęła piec od słońca, więc posmarowała ją jakąś maścią. Przez długą minutę spoglądała na uszkodzoną kostkę. Jej stan się nie pogarszał, ale wystawienie na słońce z pewnością nie pomagało. Gdyby chciała założyć próżniowy skafander, najpierw musiałaby rozciąć nogawkę spodni.

Spojrzała na dwa tablety. Miały czarne powłoki solarne, które naładują ich ogniwa. Nastawiła je tak, żeby przez dziesięć minut nadawały na pełnej mocy sygnał SOS, a potem ładowały się przez pięćdziesiąt przed ponowną sesją. Ponieważ były półprzewodnikowe, powinny utrzymać ten cykl w nieskończoność.

Gdy wystawiła je na zewnątrz, zjadła następny makaron z tuby i sprawdziła czujniki. Nie było śladu „Vermilliona” ani pozostałych gwiazdolotów. Po niebie nie przelatywały żadne sygnały. To kazało jej się zastanawiać, jak daleko odleciała w przeszłość. Nie, żeby to było możliwe. Jednak jeśli...

Cztery godziny później słońce opadło za horyzont. Po następnej godzinie zrobiło się na tyle chłodno, że mogła wyłączyć wentylatory. Wyjrzała przez luk, nie wychodząc na

zewnątrz. Nad nią gwiazdozbiory Pustki zdominowały niebo. Pustynia pod nimi była idealnie cicha – aż denerwująco teraz, gdy układ chłodzenia przestał szumieć i zgrzytać. Patrząc na ten monotony bezmiar gruboziarnistego piachu, wiedziała, że w żaden sposób nie zdoła go pokonać. Bateria słoneczna będzie dostarczała energię długo po tym, jak skończy się żywność i woda. Mogła tylko zostać tutaj i starać się dotrzeć do czasu przybycia „Vermilliona”. Nic więcej nie mogła zrobić. Tylko czekać i modlić się, żeby – wbrew wszelkiej logice i nauce – Joey miał rację.

* * *

Rano zaczęła sprawdzać stan zapasów. Nie chciała zmniejszać dziennej racji wody. To byłoby niebezpieczne, ale mogła sobie pozwolić na spożywanie mniejszej liczby kalorii, zwłaszcza że nie zamierzała niczego robić.

Usadowiła się w małej kabinie i zaczęła przeglądać dane naukowe, skrzętnie zgromadzone w jej zasobach wiedzy. Częsteczkowe przemiany w drzewie dystorsyjnym były istotnie nadzwyczajne. Ich dokładne wytyczenie będzie poważnym zadaniem. Jednak to nie pozwoli jej myśleć o Ayannie i pozostałych.

Siedem godzin po świcie układ kontroli środowiska wysiadł. Laura tylko zaśmiała się w nagłej ciszy.

– Co dalej? Tsunami?

Zaczynała wierzyć, że kontrolująca Pustkę istota darzy ją jakimś osobistym i makabrycznym zainteresowaniem. Ta nieszczęsna misja była dla niej odpowiednikiem labiryntu dla szczura. *A ja nie mogę znaleźć sera.*

Zdjęła pokrywę z układu kontroli środowiska, gdy w kapsułę uderzył huk przebijanej bariery dźwięku.

Ten głośny dźwięk sprawił, że podskoczyła. Upuściła narzędzia i wystawiła głowę przez luk, spoglądając w niebo.

Wysoko nad nią mały czarny punkcik spadał z niesamowitą prędkością, pozostawiając za sobą szary welon przetykany migoczącymi węglami. Ten welon szybko znikł i drobinka opadała w ciszy. Nagle wyrosły nad nią dwa parasole spadochronów.

Jej serce zaczęło bić mocniej.

– To niemożliwe – mruknęła. – Zabiłam was. Zabiłam was, niech to szlag! Zabiłam.

Jakby to było fałszywe wspomnienie. Zamknęła oczy i zobaczyła koziółkujący wrak Czternastki z rozerwaną na strzępy rufą. To się zdarzyło. Wiedziała, że tak.

Pomocnicze spadochrony wyciągnęły główne. Trzy wielkie czasze w czerwono-pomarańczowe pasy rozkwitły na czystym, szafirowym niebie. Pod nimi wisiała kapsuła, łagodnie opadając na powierzchnię.

– Nie – mruknęła oszołomiona Laura. – Nie, nie. To nie może być prawda. To nie mój ser.

Mówiąc to, sama miała wrażenie, że wariuje. Nagle zauważyła licznik czasu. Dwadzieścia siedem godzin, czterdzieści minut od lądowania. Co było dziwne, gdyż opadająca kapsuła zapewne miała parę minut do lądowania.

Laura osłoniła dłonią oczy i zmarszczyła brwi. Kapsuła była blisko. Bardzo blisko. Tuż nad nią i...

– Kurwa!

Laura wygramoliła się z kabiny i zaczęła rozpaczliwie odczołgiwać się po rozgrzanym gruboziarnistym piasku. Przebyła jakieś dziewięć metrów, gdy usłyszała cichy trzask nadymających się balonów amortyzujących w podstawie kapsuły. Ta wylądowała prosto na jej kapsule, mocno się przechyliła i z łoskotem opadła na grunt. Główne spadochrony odleciały, trzepocząc.

Licznik czasu Laury pokazywał dwadzieścia siedem godzin i czterdzieści dwie minuty od chwili lądowania. Dokładnie.

– Nie ma mowy – powiedziała Laura, zbyt zaskoczona, żeby się ruszyć. *Mając całą planetę, ląduje akurat na mojej kapsule! Wprost na niej!* – Czego ty, kurwa, ode mnie chcesz?! – wrzasnęła w puste niebo.

Zaczęła pełznąć z powrotem do kapsuł, powarkując, gdy ziarnisty piach zdierał jej skórę z kolan i przegubów. Nie zważała na to. Musiała dotrzeć do kapsuły i stawić czoło nowemu zagrożeniu, które przysłała jej Pustka.

Nowo przybyła kapsuła leżała na boku. Laura wzięła siekierę z planetarnego zestawu przetrwania i podpełzła do wjazdu znajdującego się na wysokości jej ramienia. Przenosząc cały ciężar ciała na zdrową nogę, pociągnęła dźwignię. Rozległ się syk wyrównywanego ciśnienia i odchyliła klapę wjazdu. Podniosła toporek, spodziewając się ujrzeć kopię Rojasa lub Ibu – a najprawdopodobniej obu. Jednak to nie byli oni.

Zdrowa i cała Laura Brandt wisiała w uprzęży, mrużąc oczy w jasnym słonecznym świetle. Była dokładnie taka sama, aż po poczerniałą i paskudnie spuchniętą kostkę oraz rozciętą nogawkę skafandra.

Laura wrzasnęła głośno i przeciągle.

Druga Laura odpowiedziała takim samym okrzykiem.

Laura z opętańczą siłą spuściła toporek, wbijając jego ostrze w czaszkę swego sobowtóra.

KSIĘGA DRUGA

Sny z Pustki

9 lipca 3326

Nigel Sheldon się zbudził. Natychmiast sobie uświadomił, że jest mu ciepło i przyjemnie, dokładnie tak, jak powinno być po dobrze przespanej nocy. Potem przypomniał sobie, co się stało...

Gwałtownie otworzył oczy. Spoglądała na niego twarz. Jego własna.

– Witaj wśród żywych – rzekł uśmiechnięty Nigel, stojący przy łóżku.

– A niech to! – jęknął Nigel.

– Taa. Obawiam się, że tak.

DWA MIESIĄCE WCZEŚNIEJ:

17 MAJA 3326

New Costa: megamiasto, które niegdyś ciągnęło się przez ponad czterysta mil linii brzegowej kontynentu Sinebar na Auguście i niemal tyleż samo w głąb. W szczytowym okresie zamieszkane przez ponad miliard mieszkańców mających jeden i ten sam cel: zarabiać pieniądze. W tamtych czasach miasto szczyliło się ponad milionem fabryk produkujących wszelkie dobra, o jakich kiedykolwiek marzyła ludzka rasa. Ogromne fabryki pochłaniały surowce rabunkowo wydobywane na innych kontynentach Augusty i wydalaly swoje skażone ścieki do oceanów. Tamtejsza stacja wormhola, New Costa Junction, ze swoim strategicznym połączeniem z Ziemią, chwaliła się pięćdziesięcioma generatorami wormholi tworzącymi stałe portale do kwitnących, ambitnych, nowo zasiedlonych planet leżących jeszcze dalej od starej ojczyzny. Te portale były doskonałymi drogami eksportu, umożliwiającymi tym prymitywnym światom rozwój bardziej ekologicznych społeczeństw dzięki pozostawianiu przemysłowych zanieczyszczeń środowiska na Auguście, gdzie nikt się tym nie przejmował. Międzyplanetarne korporacje, przemysłowcy, finansiści – wszyscy oni pędzili swój żywot pracoholików w niekończącej się, jednolitej szachownicy okręgów przemysłowych i stref mieszkalnych. A kiedy wszystko się kończyło, gdy się wypalili i przedwcześnie zestarzelili, zaczynali nowe życie i znowu to robili – raz po raz – za każdym razem pnąc się nieco wyżej po drabinie korporacyjnej hierarchii w sposób, który wywołałby zgrozę Darwina.

Przemysłowa ekspansja Augusty była dokonywana z bezwzględną imperialną nonszalancją, zagarniającą wszystko, co wpadło w ręce. Tak było w czasach Wojny Gwiazdokrażcy, dziewięćset lat temu: pierwszego i dotychczas jedyne go międzygwiazdowego konfliktu Wspólnoty. Zwycięstwo w niemałej mierze zawdzięczano strasznym i wyrafinowanym rodzajom broni opracowanym, a następnie wyprodukowanym na Auguście.

Wszystko to sprawiało, że New Costa miała tyleż bogatą historię, co ubogą kulturę. Jeśli się spojrzało na płataninę starych ulic i chaotyczną zabudowę dzielnic, tę historię można było odczytać jak słoje na ziemskim drzewie.

Odlatując z New Costa Junction, Nigel Sheldon miał doskonały widok na całą tę żywą skamielinę, gdy włączył przejrzystość dziobowej części swojej kapsuły. Chociaż megamiasto przeżywało okres głębokiego kryzysu, na starej stacji STP (Skompresowanego Transportu Przestrzennego) panował równie ożywiony ruch jak zawsze. Trzy starożytne terminale nadal stały, każdy z dachem wielkości mili kwadratowej. Obecnie głównie ludzie używali wormholi łączących ze sobą centralne światy Wspólnoty. Kiedy zakładał firmę, przez wormhole mknęły pociągi przewożące na odległe planety fracht i pasażerów. Teraz, gdy automaty i duplikatory reprodukowały większość rzeczy, w tym i same siebie, konsumpcjonizm na centralnych światach w zasadzie umarł. Każdy mógł sobie złożyć w domu wszystko, co chciał. Jednak w praktyce były pewne granice. Duże i wyspecjalizowane maszyny nadal wytwarzano w New Costa. Megamiasto utrzymało nawet swoją czołową rolę producenta gwiazdolotów, szacowaną na trzydzieści procent całej produkcji Wspólnoty.

Kapsuła skierowała się na północ, trzymając kurs równoległy do wybrzeża, swym elipsoidalnym kadłubem przebijając powietrze z prędkością bliską naddźwiękowej. Na wybrzeżu widział wielkie powietrzne barki unoszące się nad falami oraz dziesiątki mniejszych ziemnych botów, ładujących na nie glebę. Był to półwysep Port Klye. *A teraz raczej krater* – pomyślał zjadliwie. Za dawnych dobrych czasów znajdowało się tam trzydzieści pięć potężnych reaktorów termojądrowych, dostarczających taną energię niemal jednej dziesiątej miasta. Teraz prace porządkowe były prawie zakończone. Niedługo ta olbrzymia dziura zostanie zasypana i zamieniona w rezerwat przyrody. Nie, żeby na Auguście było dużo rodzimej roślinności czy zwierząt, co było jednym z powodów, dla których wybrał ją jako idealną lokalizację do stworzenia swojego korporacyjnego imperium.

Jego u-adiunkt powiedział mu, że dzwoni żona.

– Nie dotrę dziś wieczór – powiedziała mu.

– Dlaczego?

Starał się ukryć rozczarowanie. On i Anine Saleeb byli małżeństwem już od osiemdziesięciu lat – rekord dla nich obojga. Ona miała dopiero czterysta trzydzieści lat, natomiast on zbliżał się do swych tysiąc trzechsetnych urodzin. To znaczyło, że przebywanie razem przez cały czas nie było tak ważne jak choćby sześćset lat temu, kiedy miał jeszcze harem i żył pełnią śmiesznie wystawnego życia multimiliardera. Jednak nie widzieli się już od miesiąca. Tęsknił za nią.

– W naszych zakładach McLeoda jest jakieś zamieszanie – powiedziała mu.

Nigel zamrugął ze zdziwienia.

– Zamieszanie?

– Zarządzający sądzą, że doszło do złamania zabezpieczeń smartkoru.

– Dlaczego? – zapytał szczerze zdumiony.

Należącym do dynastii Sheldona zakładom McLeoda zlecono budowę stu pięćdziesięciu ogromnych stacji egzosferycznych, które miały się unosić tuż za najwyższą warstwą atmosfery ziemskiej, obejmując całą planetę t-siecią umożliwiającą teleportację praktycznie na całej powierzchni. Ten projekt nie budził żadnych kontrowersji; ZAN: Rząd zatwierdził go po długiej i niewątpliwie męcząco drobiazgowej debacie licznych frakcji politycznych, które namnożyły się w ludzkiej społeczności replikowanych osobowości.

– Rytm produkcyjny nie został zakłócony, tak więc nie był to sabotaż – powiedziała Anine. – Admirał Kazimir uważa, że mógł to zrobić ruch Rycerzy Strażników.

Chociaż miał tysiąc dwieście dziewięćdziesiąt sześć lat i nauczył się tak fenomenalnie panować nad swymi emocjami, jak jest to możliwe tylko po tak długim życiu, Nigel westchnął, zaniepokojony.

– Chyba nie znowu Far Away? Czy ta planeta nigdy nie przestanie sprawiać kłopotów?

– Najwyraźniej nie.

– Czego oni chcieli od smartkoru McLeoda?

– Wywiad Floty sugeruje, że Rycerze Strażnicy chcą stworzyć własną t-sieć.

– Dlaczego po prostu nas o nią nie poprosili? ZAN nie zakazała eksportu tej technologii poza Centralne Światy. Ona po prostu jest strasznie skomplikowana. Sam ledwie rozumiem teorię jej działania.

– Zapewne zrobili to, ponieważ nie dalibyśmy im takiej, która może posłużyć jako broń.

– Och, ta przekłeta wariatka. Już od sześciuset lat przebywa w stanie zawieszenia, a wciąż rzuca swój paranoiczny cień.

– Nieważne, kochanie. Jeszcze trzy lata i nasze statki kolonizacyjne będą gotowe.

– Taak.

Trochę to potrwało, ale pięć lat temu Nigel w końcu postanowił zrobić to, co uczyniło już tak wielu: opuścić Wspólnotę i stworzyć nową cywilizację daleko, daleko od niej. Dynastia Sheldona wysyłała już kolonizacyjne wyprawy transgalaktyczne i Nigel o mało nie wyruszył z jedną z nich. Zawsze jednak był jakiś problem do rozwiązania, kolejna walka polityczna, kolejny... Aż do tej pory. Teraz w końcu na dobre odwróci się plecami do tego wszystkiego i znajdzie czas dla siebie. Tym razem...

– Zobaczmy się za kilka dni – powiedziała Anine.

– Dobrze.

U-adiunkt Nigela przerwał połączenie. Gdy kapsuła oddalała się od Port Klye, zobaczył, jak jedna z barek powietrznych unosi się w niebo i leci w kierunku New Costa Junction. Skorzysta ze ślepego wormhola na tej stacji, prowadzącego w głęboki kosmos –

najdogodniejsze i najbezpieczniejsze miejsce do składowania odpadów radioaktywnych i innych skażonych odpadów produkcyjnych. Obecnie wykorzystywano go niemal wyłącznie do wyrzucania toksycznych zanieczyszczeń tam, gdzie nie wyrządzą żadnej szkody. Nie zawsze tak było. Ten ślepy wormhol został stworzony w celu dyskretnego usuwania nadwyżek produkcyjnych. W tamtych czasach nadmiar plonów lub cennych minerałów po cichu usuwano w niebyt, utrzymując wysoką cenę rynkową i zapewniając olbrzymie zyski sektorowi finansowemu, kosztem konsumenta.

– Co my robiliśmy? – mruczał Nigel, wyobrażając sobie miliony ton złocistego ziarna wysypywanego w międzygwiazdną noc. Tania żywność, która mogłaby trochę poprawić sytuację zwykłych ludzi i o ułamki procent zubożyć takich bogaczy jak on.

Taka gospodarka na szczęście odeszła w przeszłość. Przynajmniej w Centralnych Światach, z których niemal wszystkie przyjęły kulturę Wyższych. Tak wiele Światów Zewnętrznych wciąż hołdowało przestarzałym zasadom ekonomicznym i finansowym. Ich politycy twierdzili, że to zapewnia im wolność – z czego Nigel tylko się śmiał. Na szczęście trwała nieustanna migracja tamtejszych mieszkańców, powodowana głównie chęcią prowadzenia spokojnego i łatwego życia na centralnych planetach i nieuchronnie kończąca się włączeniem ich umysłów do ZAN, będącym najbardziej zbliżonym do raju wynalazkiem ludzkości. Tak więc może ci przebiegli politycy mieli trochę racji. On był zbytnim indywidualistą, żeby brać pod uwagę włączenie swej osobowości do ZAN. Interesujące, że większość ludzi wybierała taką ucieczkę po trzech lub czterech wiekach życia we Wspólnocie, natomiast ci, którzy przeżyli ponad sześć lub siedem, woleli pozostawać w swoich (znacznie zmodyfikowanych i ulepszonych) ciałach, niemal jakby ZAN była jakąś niezdrową pokusą i unikało się jej po osiągnięciu dojrzałości.

Kapsuła skręciła w głąb łądu, podążając głównym korytarzem ruchu powietrznego dla Cromarty Hills. Inne kapsuły tworzyły wokół niej płynny matrix: metalicznie błyszczące elipsoidy mknące w rozgrzanym i czystym powietrzu, tak jasno lśniące w niebiesko-białym blasku gwiazdy, że wydawały się mieć własne aureole. Poniżej była długa i kręta wstęga dziesięciopasmowej drogi szybkiego ruchu Medani, biegnąca estakadą nad węższą nieco rzeką i wzdłuż płytkiej meandrującej doliny, aż do odległych prowincji. Większość tej drogi już rozebrano, zmieniając szeroką wstęgę szarocznego, związanego enzymatycznie betonu w niesamowitą kolonię botanicznych symbiontów. Po wynalezieniu kapsuł regrawowych New Costa pospiesznie zlikwidowała drogi. Te wymagały corocznych nakładów na ich utrzymanie. Ruchowi powietrznemu wystarczał tylko smartkorowy kontroler.

Nowe boty pełzły po szosie, rozciągając wokół betonu układ biologicznych arterii. Inne boty drażyły tunele w gruncie pod filarami estakady, tworząc sieć korzeni zasilających zmodyfikowaną autostradę. Odżywki płynęły tym nowym krwiobiegiem, zasilającym niewiarygodnie różnorodną roślinność. Rodzime rośliny z setek światów genetycznie przystosowano tak, żeby wszystkie mogły być odżywiane tą samą płynną pożywką. Końcowym produktem był pas istnej dżungli biegnący przez kurczące się miasto,

rozszerzający się w parki na starych zjazdach i skrzyżowaniach, tworzący dziwnie egzotyczną trójwymiarową konstrukcję, jakiej nigdy nie stworzyłaby natura.

Nigel wciąż pamiętał spotkanie z bandą szalonych artystów, którzy błagali go o możliwość zrobienia czegoś innego niż standardowy projekt typu „zrównać z ziemią i zasadzić drzewka”, jaki wybierano w tak wielu kurczących się miastach Centrum. Zgodził się, nie tylko dlatego, że taka przeróbka mogła być spektakularną artystyczną deklaracją, ale także rozumiejąc, jak inne może stać się ich środowisko. Był to również uprzejmy ukłon w stronę tajemniczych Plantatorów, którzy pozostawili naprawdę olbrzymie hybrydowe twory organiczne na planetach, które odwiedzili. Dynastia Nigela w końcu rozpracowała ich nanotechnologiczne dziedzictwo, stosując je w znanej Wspólnocie biononice. Ta dawała każdemu użytkownikowi kontrolę nad samymi cząsteczkami jego ciała, a także umożliwiła tworzenie nowych generacji replikatorów. Ironia losu sprawiła, że technologia zastosowana do produkcji botów obecnie wyludniała znaczne obszary New Costa.

Jednak, choć jej populacja kurczyła się z każdym dniem, New Costa wciąż była domem dla ponad stu milionów ludzi. Częściowo burzono dzielnice mieszkalne z mniejszymi, masowo hodowanymi domami z suchego koralowca, w których mieszkali pracownicy niskiego szczebla, przerabiając te tereny na parki połączone z synergistycznymi autostradami. Jednak dzielnice większych rezydencji i eleganckich apartamentów – te na obrzeżach miasta, daleko od najbardziej uciążliwych fabryk – pozostały. To w nich zamieszkiwała teraz większość ludności.

Nigel miał posiadłość w samym sercu Cromarty Hills, dwieście mil kwadratowych wypielęgnowanych ogrodów i nienagannie utrzymanego parku na skraju megamiasta. Stojący na środku pałac był teraz śmiesznym anachronizmem, właściwie miastem w jednym budynku, mogącym pomieścić cały jego personel. Tak było, kiedy miał liczną rodzinę oraz świętą zarządców i prawników – również mających swoich pracowników – i wszyscy oni podróżowali między jego wspaniałymi rezydencjami na wielu planetach, pozostając przez kilka miesięcy w jednej, a potem przenosząc się do innej niczym dwór jakiegoś średniowiecznego monarchy. Wiodąc życie, przy którym żywot dawnego francuskiego Króla Słońce wydałby się tandetny i skromny.

Smartkor posiadłości przeprowadził ostatnią kontrolę kapsuły i jedyne jej pasażera, gdy wytracała prędkość, dolatując. Nigel mógł być oświecony – choć to pojęcie względne – ale bardzo cenił sobie swoją prywatność. Szczególnie dzisiaj.

Jego u-adiunkt kazał kapsule wylądować przed domem nad jeziorem. Miało trzy mile długości i dwie szerokości oraz skaliste wysepki, których szczyty pokrywał gąszcz zielonej roślinności. Całe lata zajęło ich zaprojektowanie i wykucie z miejscowej skały, a jeśli chodzi o koszt, to był on znikomy w porównaniu z sumą, jaką współwłaściciel STP Ozzie wydał na przeróbkę asteroidy na swoją rezydencję. Jedyna naturalna, płaska wyspa znajdowała się na środku jeziora, z półokrągłym budynkiem z białego marmuru na brzegu. Większość wyspy

porastał dobrze utrzymany las, lecz pomiędzy wodą a budynkiem rozpościerał się zielony trawnik. Na nim wylądowała kapsuła.

– Kto jest w domu? – zapytał smartkoru, wychodząc na trawnik.

Liście wierzby płaczącej cicho szeleściły w ciepłym wietrzyku El Iopi, wiejącym znad środkowej części kontynentu. Było równie parno jak zawsze. Niemal natychmiast zaczął się pocić.

– W rezydencji przebywa obecnie czterdziestu dwóch członków Dynastii wraz ze stu siedemnastoma pracownikami i członkami personelu posiadłości. Zajmują dwadzieścia sześć budynków. Jak kazano, dom nad jeziorem jest pusty, tak samo jak wszystkie budynki na brzegu.

– Dobrze.

Nigel założył lustrzane okulary i spojrzał w niebo. Najjaśniejszy punkt, którym był Regulus, znajdował się tuż nad górskimi szczytami i powoli za nimi znikał. Za parę godzin nadejdzie noc.

– Za trzy godziny będę miał gości. Przylecą statkiem na dyplomatycznych numerach. Na moje polecenie przepuść ich przez kordon. Nie informuj nikogo innego o ich przybyciu.

– Rozumiem.

Nigel pospieszył do środka, gdzie była włączona klima i mógł się przygotować.

* * *

Pięć godzin wcześniej Nigel był na Nowej Zelandii, wewnętrznym świecie, który dopiero co zakwalifikowano jako H-kongruentny. Recella, jedna z jego praprawnuczek, po raz pierwszy brała ślub. Ponieważ Nigel miał dwieście trzydzieścioro ośmiorgo dzieci (o których wiedział), właściwie nie było to nadzwyczajne wydarzenie. Jednak jej matka, Koloza, była w zarządzie Dynastii, a ponadto miała wziąć udział w wyprawie kolonizacyjnej. Rodzinne zobowiązania...

Rozmowa z „Wysokim Aniołem” nie była czymś niesłychanym, tylko niezwykle rzadkim. STP odkryła tę arkę obcych na orbicie gazowego olbrzyma Icalanise w 2163 roku. Wyglądała jak niezwykle regularna asteroida, pomijając dwanaście olbrzymich kopuł o krystalicznych powłokach, sterczących ze skalistej powierzchni. Dokładniejsze badania przezroczystych kopuł ujawniły, że zawierają miasta. Był to statek raielei, chociaż pod kopułami mieszkały inne gatunki stworzeń. W tym czasie raiele nie ujawnili przeznaczenia „Wysokiego Anioła”; stało się ono oczywiste dopiero czterysta lat później, gdy „Endeavour” został odepchnięty przez Ścianę gwiazd wokół Pustki. Raiele zbudowali „Wysokimo Aniele” i niezliczoną ilość innych statków, aby ewakuować z galaktyki reprezentatywne populacje rozumnych gatunków, gdyby Pustka rozpoczęła fazę ostatecznej ekspansji.

Już od pierwszego kontaktu raiele mieli doskonałe stosunki dyplomatyczne ze Wspólnotą, a nawet stworzyli New Glasgow, przeznaczone dla ludzi miasto pod kopułą na „Wysokim Anio”. Później, po incydencie z „Endeavourem”, Flota została zaproszona do współudziału w

obserwacjach Pustki. Mimo licznych próśb raieli nie dzielili się swoją zaawansowaną technologią, twierdząc, że nie chcą zaburzyć naturalnego socjotechnologicznego rozwoju Wspólnoty. Mimo nieustannych kontaktów pozostali zagadką.

– Odbierz – powiedział Nigel swojemu u-adiunktowi.

Ceremonia ślubna już się zakończyła i zaczęło się stosunkowo skromne przyjęcie. Koloza wynajęła całą wioskę letniskową w Fire Plain, arktycznym kraterze otoczonym przez aktywne wulkany, które ogrzewały ten rejon do tropikalnych temperatur.

– Dziękuję, że zechciałeś ze mną porozmawiać – powiedział kurtuazyjnie „Wysoki Anioł” pięknym męskim głosem.

Nigel się uśmiechnął, gdy Recella i jej świeżo poślubiona żona wyszły na parkiet pod gołym niebem; obie dziewczyny wyglądały na bezgranicznie szczęśliwe. Gdzieś za pancernym ogrodzeniem kurortu po bagnach niosły się ryki potężnych stworzeń podobnych do dinozaurów.

– Wiedziałaś, że zechcę. Kto by nie chciał z wami rozmawiać?

– Oziemu się to zdarzało.

– Oczywiście. Co mogę dla ciebie zrobić?

– Chciałbym, żebyś spotkał się z przedstawicielką raieli. Ona chce omówić z tobą pewną ważną sprawę.

– Interesujące. Dlaczego nie zwróciła się bezpośrednio do mnie?

– Twoja unisfera jest stosunkowo bezpieczna. Jednak spodziewam się, że oficer wywiadu Floty monitoruje wszystkie moje połączenia, szczególnie z raielami.

– Słuszna uwaga. W porządku, spotkam się z nią. Gdzie?

– Proponujemy jakieś miejsce zapewniające prywatność.

– Znam takie.

* * *

Wziąwszy prysznic sporowy, Nigel ubrał się w głównej sypialni domu nad jeziorem, wybierając prosty jasnobrązowy garnitur z semiorganiczną i miękko otulającą go podszewką. Przejrzał się w lustrach i stwierdził, że jego blond włosy wciąż są przyjemnie gęste, chociaż przydałoby się je skrócić. Szczeka ładnie zarysowana, policzki niezbyt krągłe. Jego jedynym ustępstwem na rzecz kosmetycznego sekwencjonowania były zielone oczy; poza tym zachował swoje naturalne rysy. W przeciwieństwie do wszystkich nie zatrzymał swojego wyglądu na etapie dwudziestolatka, woląc dojrzalszy, trzydziestokilkuletni. Nawet teraz ludzie oceniali innych po samym wyglądzie. Nie miało znaczenia, że jego mózg był genetycznie i bionicznie ulepszony w stopniu nieosiągalnym dla natury, a banki pamięci przechowywały każde wspomnienie z jego życia; wcześniej przy każdym odmłodzeniu musiał usuwać z umysłu całe dekady swojego życia, aby uniknąć nieuchronnego zamieszania wynikłego z takiego nadmiernego nagromadzenia doświadczeń. Jednak teraz, gdy pomocnicze procedury nadzorowały proces przypominania, każdy dzień tych tysiąc trzystu lat

był natychmiast dostępny – każdy błąd, triumf, miłość, zawód, manewr polityczny, odkrycie, rozczarowanie, zachwyt i korzystna umowa, które składały się na jego osobowość.

– Statek raieli wszedł w atmosferę Augusty – zawiadomił go smartkor posiadłości.

– Dziękuję. Pozwól mu wylądować, a potem odizoluj całą posiadłość. Nikt nie może tu wejść ani wyjść. Żadnych wyjątków.

– Zrozumiano.

Wnętrze tego domu nad jeziorem zawsze kojarzyło się Nigelowi z jakimś skandynawskim kościołem. Ten układ wysokich łukowatych sklepień i prostych kolumn, dopełniany przez zwyczajne czarno-białe meble. Jakby nigdy nie zostało ukończone, ale i tak zaczęto go używać. W głównej sali było wielkie, łukowate panoramiczne okno z widokiem na czarne przybrzeżne wody. Szyba rozsunała się, pozwalając Nigelowi wyjść na trawnik.

Na skalistych wysepkach posadzono drzewa z Illuminatusa; w nocy, kiedy Regulus opuścił niebo, ich bioluminescencja stawała się jaśniejsza, spowijając wysepki łagodną niebieską i purpurową fosforescencją. Długie wstęgi odbić migotały na wodzie jak lodowate płomienie, będąc jedynymi światłami naprowadzającymi lądujących gości.

Ulepszony wzrok Nigela pokazał mu jednostkę raieli, gdy była jeszcze piętnaście mil nad nim. Wprowadził mu dane czujników posiadłości, powiększając obraz.

Statek był dwudziestometrowej średnicy kulą o płaskiej podstawie. Wywoływał grawitacyjne dystorsje podobnie jak napęd regravowy Wspólnoty.

Nigel patrzył, jak pojazd ląduje na środku trawnika. Jego bioniczne skanowanie pola wychwyciło poszerzenie t-sieci i raiel teleportował się na trawę przed nim.

Nigel uniósł brwi. *Bardzo dramatyczne. Jednak to nadużywanie technologii. Co jest złego w zwyczajnym plastmetalowym władze?*

– Witamy na Auguście – powiedział.

Raiel była większa od ziemskiego słonia, z wyglądającą na grubą, szarozieloną skórą. Na tym kończyło się wszelkie podobieństwo. Stojący wprost przed obcym Nigel miał wrażenie, że patrzy na ośmiornicę. Szeroka zaokrąglona głowa była otoczona mackami różnej wielkości: od znajdującej się najniżej pary długich i silnych, najwyraźniej wyewoluowanych do ciężkiej pracy, aż po pęki mniejszych i zwinniejszych. Za tym zestawem macek luźne zwoje ciała zwisały jak zwiotczałe czułki, obciążone zestawem ciężkich narzędzi – a może po prostu biżuterią, przyznał.

– Dziękuję, że zechciałeś mnie przyjąć – rzekła przybyła wilgotnymi fałdami ust. – Jestem Vallar, wyznaczona na łącznika „Wysokiego Anioła” z wojownikami raieli.

– Naprawdę? Proszę, wejdź. Miło mi obdarzyć cię wolnością mego domu.

– Jesteś niezwykle uprzejmy.

Vallar podeszła do domu nad jeziorem. Miała po osiem krótkich nóg po obu bokach ciała; pozbawione stawów poruszały się parami, unosząc się i opadając, przesuwając ją naprzód z miarową gracją. Nigel musiał przyspieszyć, żeby dotrzymać jej kroku.

Wejście w panoramicznej szybie poszerzyło się, wpuszczając Vallar, a potem zamknęło się za nią. Nigel kazał smartkorowi aktywować jeszcze jedną warstwę osłony wokół budynku.

– Mam nadzieję, że teraz jesteśmy wystarczająco bezpieczni – rzekł.

Pozostał na nogach. Nie wiedzieć czemu wylegiwanie się na fotelu przed tą imponującą postacią wydawało się nieco nieuprzejme.

Jej oczy były klastrami pięciu osobnych półkul, które obróciły się jednocześnie, żeby spojrzeć na niego.

– Całkowicie. Dziękuję ci za uprzejmość.

– Co zatem mogę dla was zrobić?

– Jesteśmy ogromnie zainteresowani ostatnimi odkryciami Wspólnoty dotyczącymi Pustki.

– Ach – mruknął Nigel i zaczął się uspokajać. – Oczywiście. Inigo.

Inigo był człowiekiem, który podobno zaczął miewać sny o życiu młodzieńca imieniem Edeard, mieszkającego w Pustce, na planecie zwanej Querencią. Edeard był idealistą żyjącym w społeczeństwie neośredniowiecznym, ale miał zdolności telepatyczne. Dotychczas ujawnił przez gajasferę cztery takie zaskakująco szczegółowe sny i zaczynał piąty. Wielu ludzi uważało je za doskonałe podróbki, fantastyczne spektakle wyprodukowane przez jakąś wytwórnię ze Świata Zewnętrznego, próbującą zasugerować, że jest producentem wszystkiego. Jednak znacznie więcej ludzi – już dziesiątki milionów i codziennie więcej – było głęboko przekonanych, że wizje Inigo mają podłoże mistyczne. Żywy Sen był rosnącym w siłę ruchem tych, którzy pragnęli wieść takie samo życie jak Edeard i przychodzili do Inigo w oczekiwaniu na następne objawienia. Szybko zmieniał się w najnowszego, irytująco wiarygodnego mesjasza ludzkiej rasy, ukazującego naprawdę bardzo dziwny wszechświat, w którym żyje się prostszym i zupełnie innym życiem.

Nigel spojrział w klastry oczne raiela.

– Nie mogę orzec, czy te sny są prawdziwe. Ludzie są zdolni do bardzo wyrafinowanych oszustw, z rozmaitych powodów, nie zawsze mających sens.

– Czwarty sen ukazuje Edearda podróżującego do miasta Makkathran.

– Tak, istotnie. – Nigel się nie zaczerwienił, ale lekko zmieszał, przyznawszy, że oglądał wszystkie te sny, jak dwunastolatek przyłapany na picciu ojcowskiego piwa. – To było dziwne miasto. Zbudowane przez obcych.

– Jest jednym z naszych.

– Co?

– Makkathran jest jednym z okrętów wojennych naszej armady. Brał udział w inwazji na Pustkę, dokonanej przez nas milion lat temu.

– Wciskasz mi kit! – wypalił Nigel.

– Nie wciskam.

– Nie. Oczywiście. Przepraszam. Jednak... jesteście pewni?

– Tak. To nas przekonało, że te sny są prawdziwe, a Inigo jest w jakiś sposób związany z Edeardem. I że sam Edeard jest rzeczywistą postacią. Jak inaczej znałby tę nazwę? Nawet my niemal ją zapomnieliśmy. Jest też kształt tego miasta, jak również kryształowa ściana.

Nigel drgnął, zły na siebie, że nie dostrzegł oczywistego. Makkathran miało owalny kształt i było otoczone kryształową ścianą.

– Sukinsyn. Miasto tworzy idealny krąg, a mury miejskie są podstawą kopuły. To oczywiste. Zatem reszta statku musi być zasypana pod nim. Nie wiedziałem, że w waszych miastach macie kanały.

– Nie mamy. Nasze statki mają integralną zdolność przemiany materii. Widzieliście, jak „Wysoki Anioł” ukształtował New Glasgow w odpowiadający wam sposób. To samo zdarzyło się tu. Jakiś inny gatunek zamieszkał w Makkathranie i statek przystosował się do jego potrzeb.

Nigel usiadł na jednej z ogromnych kanap salonu.

– A potem wszyscy zostali zabrani przez Władców Niebios, aby żyć w sercu Pustki, czy nie tak głosi tamtejsza religia?

– Tak.

– O! Zatem to mamy w Pustce? Czasoprzestrzenne kontinuum pozwalające korzystać z telepatycznych zdolności? Jak to robi, do diabła?

– Nie wiemy. Nigel, po raz pierwszy zdołaliśmy zajrzeć w Pustkę. Nasza armada poniosła klęskę. Żaden okręt nie wrócił. Myśleliśmy, że wszyscy nasi zginęli, pokonani przez Pustkę. Teraz wydaje się, że co najmniej jeden przeżył.

– No dobrze – rzekł ostrożnie. – Zatem czego chcesz?

– Przyszłam do ciebie, ponieważ jesteś przywódcą Wspólnoty.

Nigel obronnym ruchem uniósł dłoń.

– Skądże. W znacznej mierze kierowałem jej rozwojem i polityką z początku, gdy bogactwo miało znaczenie. To jednak było dawno temu. ZAN:Rząd rządzi teraz Centralnymi Światami, natomiast co do Zewnętrznych Światów, do diabła, mają tam partie polityczne jeżące się na każdą zniewagę. A ludzka rasa jest niezwykle pomysłowa, jeśli chodzi o zniewagi.

Vallar była nieporuszona.

– Mimo to pozostajesz najbardziej wpływowym człowiekiem żyjącym obecnie we Wspólnocie.

– Taak, mam jeszcze jakieś wpływy.

– Musimy zbadać sny Inigo. To pilne.

– Mam pewne możliwości – przyznał powoli. – Jednak... Zawracacie każdy statek lecący do gwiazd Ściany. Wiem o tym. Czytałem raporty Floty o niewykrywalnych okrętach admirała Kazimira, które próbowały prześliznąć się przez waszą blokadę. Jak więc znaleźli się tam ludzie? I ta cywilizacja, w której żyje Edeard, mając... ile, tysięcy lat? Czy Pustka

porywała Ziemiaków w średniowieczu? Nie, czekaj; czyż Edeard i Salrana nie mówili o statkach spadających na Querencię?

– Nie wiemy, jak ludzie znaleźli się w Pustce. Ta niewiedza jest dla nas mocno niepokojąca. Tymczasem jedna z waszych międzygalaktycznych flot kolonizacyjnych znikła dwieście lat temu.

– Znikła? – warknął Nigel. – Jak to znikła? A jeśli o tym wiedzieliście, dlaczego nas nie poinformowaliście?

– To była druga flota Brandta, składająca się z siedmiu gwiazdolotów. Wojownicy raieli strzegący Ściany monitorowali z dużej odległości jej przelot przez jądro galaktyki. Potem zgubili jej ślad. Proszę zrozumieć, że ten monitoring nie był stały. Wojowników raieli interesują tylko gwiazdoloty, które podlatują blisko. Jest możliwe, że ta flota zmieniła kurs lub postanowiła osiąść na jakiejś przyjemnej planecie znalezionej w tej galaktyce. I teraz takowej szukamy. Jednakże jest równie możliwe, że zostali w jakiś sposób zabrani do Pustki.

– Jeśli to prawda, czas w Pustce biegnie inaczej... szybciej – głośno myślał Nigel. – Cóż, dlaczego nie? Obdarzanie ludzi zdolnościami telepatycznymi jest jeszcze dziwniejsze. Przepływ czasu jest znacznie prostszą manipulacją czasoprzestrzenią; często to robiliśmy w wormholach.

– Sposób, w jaki ludzie dostali się do Pustki, być może jest dla nas bardziej niepokojący niż istnienie Makkathranu.

– Jak to?

– Załogi statków sprzed dwustu lat albo przedstawiciele nierozwiniętej technologicznie ziemskiej cywilizacji. W jednym i drugim wypadku oznaczałoby to, że Pustka potrafi wciągać rozumne istoty w jakiś nieznany nam i niewykrywalny sposób. Szczerze mówiąc, jesteśmy bardzo zaniepokojeni. Nasze trwające milion lat czuwanie może okazać się daremne.

– Hmm, taak, rozumiem. – Nigel nabrał tchu i ponownie wstał. – Vallar, z przyjemnością pomogę wam zbadać sprawę Inigo tak dokładnie, jak będzie trzeba. I mieliście rację, przychodząc z tym do mnie; gdybyśmy postępowali zgodnie z regułami, Inigo mógłby przez dziesięciolecia grać na zwłokę, zaskarżając każdą próbę oficjalnego przesłuchania.

– Dziękuję. Jest jeszcze inna sprawa, w której chcielibyśmy prosić cię o pomoc.

– Jaka?

– Bardzo chcielibyśmy wiedzieć, jak ci ludzie dostali się do Pustki. Musimy poznać mit ich przybycia. Może sam Makkathran zdoła nam w tym pomóc.

Nigel posłał jej zdziwione spojrzenie.

– Taak, tylko jak zdołacie tego dokonać?

– Ktoś musi udać się do Pustki i zapytać.

19 MAJA 3326

W całym swym siedemnastoletnim życiu Alicia di Cadi nigdy nie widziała czegoś tak cudownego, jak wyspa Llyoth. Była to jedna z tysiąca koralowych wysepek tworzących archipelag Anugu, ciągnący się przez trzysta mil mayaguańskiego oceanu Sambrero. Jej łukowaty koralowy garb miał zaledwie kilometr długości. Dzięki bliskości dużego mayaguańskiego księżyca podczas odpływu fale cofały się o pięćset metrów, odsłaniając szeroką plażę z czysto białego piasku, a po drugiej stronie wyspy niski krąg smoczokręгих jamochłonów tworzył płytką lagunę z wodą o temperaturze idealnej do kąpieli. Uczepione wąskiego pasa ziemi między nimi miejscowe sagowce miały korzenie zanurzone w słonej wodzie, co pozwalało im tworzyć wysokie pnie ze szmaragdowymi liśćmi, rozwijającymi się każdego ranka jak żagle.

Wzdłuż zatoki stało dwanaście drewnianych chat dla wczasowiczów. Z zewnątrz wyglądały zwodniczo prymitywnie, lecz ich komfortowo urządzone wnętrza obiecywały klienteli urlop w bezwstydnym luksusie.

Darrin wynajął jedną z tych chat na tydzień. Darrin był dwudziestoletni i Naturalny, tak jak ona oraz większość mieszkańców Mayagui – upartego zewnętrznego świata odrzucającego zarówno kulturę Wyższych, jak i dominujący etos Progresji, który przyjęło tak wielu we Wspólnocie. Darrin, który przeniósł się do jej wioski na kontynencie zaledwie cztery tygodnie temu, przyjmując stanowisko zastępcy kierownika działu w miejscowej filii domu towarowego Wallanda. Darrin, który był po prostu ideałem, szczupłym i ciemnoskórym, z gładką twarzą o szerokim uśmiechu i łagodnych piwnych oczach, których spojrzenie pragnęła przyciągnąć każda dziewczyna.

Jednak to z Alicią starał się nawiązać rozmowę. Był nieco nieśmiały i zabawny, no i miał takie same proste marzenia jak ona. Wydawał się tak dobrze ją rozumieć: jej rozczarowanie życiem poza głównym nurtem, jej lęk przed wypłynięciem na szerokie wody Wspólnoty, z całą jej niezwykłością i obcością.

– Po prostu nie spiesz się – powiedział jej. – Ona jest tam już od tysiąca lat i będzie znacznie dłużej. Zaczekaj, aż nabierzesz pewności siebie. Ja właśnie to robię. Zobaczę wszystko, ale sam wybiorę odpowiednią chwilę.

Darrin, dla którego po czterech dniach rzuciła Tobyna, jej stałego chłopaka od siedmiu miesięcy. Darrin, z którym chodziła na długie spacerunki. Darrin, który zachęcał ją do dalszej nauki. I który zdawał się rozumieć wojnę, jaką toczyła ze swoją sześćdziesięciosiedmioletnią matką wyznającą anachroniczne poglądy, jakby wzięte z jakiegoś odległego stulecia. Darrin, dający jej wsparcie, rady i współczucie. Tak altruistyczny i rozumiejący jej obawy.

Darrin, w którym była całkowicie i bezgranicznie zakochana, jak przed nią żadna dziewczyna czy chłopak, z którym chciała być na zawsze i dać mu tyle dzieci, o ile poprosi. Darrin, za którego ochoczo oddałaby życie.

Przez te trzy tygodnie nigdy się do niej nie dobierał. Nie, żeby mu odmówiła. Jednak zamiast tego tylko otwarcie i szczerze mówił o tym, że zostaną prawdziwymi kochankami. A potem zaproponował ten wspólny tydzień.

Tylko z lekkim oporem jej matka na to pozwoliła. I w ten sposób dziś po południu posadzili jego starą kapsułę z piątej ręki na dyskretnie ukrytym w środku wyspy trawiastym lądowisku Llyoth.

W ich chacie było wielkie owalne łoże. Alicia lekko się zarumieniła, patrząc na nie; na samą myśl, jakie rozkoszne możliwości dawało tej nocy, poczuła cudowne podniecenie. Potem szybko się przebrali i poszli zwiedzić tę fantastyczną wyspę, biegać po szerokiej i pustej plaży i pluskać się w falach. Później uczyli się wiosłować na desce w lagunie, wciąż z niej spadając ze śmiechu. Gdy trzymając się za ręce, wracali przez gęsty gaj, odkryli kilka słodkich, ukrytych w nim polanek. Za każdym razem, gdy na którejś przystawali, całowali się, coraz dłużej i dłużej, aż miała ochotę po prostu zedrzeć z niego kąpielówki.

– Tej nocy – rzekł, nie odrywając od niej swych cudownych oczu – chcę, żeby było idealnie.

Kiwnęła głową, niemal przegryzając sobie dolną wargę z rozczarowania.

Kolację podano na wielkiej drewnianej werandzie na jednym końcu zatoki, ze stolikami dla dwojga pod żywymi baldachimami z pnączy o szkarłatnych kwiatach. Jedynym źródłem światła były świece.

Służebne boty czekały przy stolikach, ale przy grillu pracował prawdziwy szef kuchni – człowiek, smażąc ryby. Alicia założyła granatową sukienkę w grochy, tę bardzo krótką i z tak głębokim dekoltem, że Darrin po prostu nie mógł przestać się nań gapić. Takie uwodzenie go było po prostu boskie.

Tego wieczoru na werandzie było jeszcze pięć innych par. Jednak stoły rozstawiono w sposób zapewniający wszystkim prywatność. Alicia uśmiechnęła się, myśląc, jak ładnie wszyscy wyglądają. Tylko jeden gość jadł kolację sam – bardzo stary mężczyzna, co najmniej trzydziestoletni, o rozczochranych blond włosach i w najczarniejszym smokingu, jaki widziała w życiu – ale nawet jego stół był nakryty dla dwóch osób.

– Jak myślisz, sprzeczka? – zapytała z uśmiechem Alicia.

Darrin podniósł okrytą szronem szklaneczkę piwa.

– Żebyśmy nigdy się nie posprzeczali.

Westchnęła: to wszystko było takie cudowne. Dopóki nie poznała Darrina, nie rozumiała znaczenia określenia „bratnia dusza”.

Przyszła kolejna para. Ona miała na sobie drogą garsonkę, mocno kontrastującą ze zdecydowanie kobiecymi sukniami pozostałych pań. Jej partner był w równie oficjalnym brązowym garniturze.

– Co...? – zaczęła Alicia. Nie rozpoznała tej kobiety, której gęste i kruczoczarne włosy elegancką fryzurą otaczały piękną twarz świadczącą, że jej przodkowie pochodzili z Filipin. Twarz o zdeterminowanym wyrazie. Alicia odwróciła się do Darrina i ze zdziwieniem

dostrzegła, że zeszywniał. Już nie miał tak uszczęśliwionej miny. To ją zaniepokoiło. Wyciągnęła do niego rękę nad stołem, ale nie zauważył tego.

Kobieta zatrzymała się przy ich stoliku.

– Darrinie Hoss, urodzony jako Vincent Hal Acraman, jestem starsza inspektor Paula Myo z Wydziału Poważnych Przestępstw Wspólnoty. Aresztuję cię pod zarzutem wielokrotnego nielegalnego klonowania. Proszę, wyłącz wszystkie swoje ulepszenia i udaj się z agentem Digbym do naszej kapsuły. Zostaniesz przewieziony do aresztu w Paryżu na Ziemi i tam postawiony przed sądem.

– Co takiego? – jęknęła Alicia. – To jakaś pomyłka. Darrin nigdy nie zrobił niczego nielegalnego.

– Niestety, Alicio, twoje założenie jest błędne.

– Skąd wiesz, jak mam na imię?

– Vincent, będziesz współpracował?

– Chwileczkę! – powiedziała Alicia, wpadając w gniew. – To szaleństwo. Darrin nie mógł nikogo sklonować. Pracuje w domu towarowym Wallanda, na litość Ozziego. Każdy to wie. Aresztujesz niewłaściwego człowieka.

– Nie – odparła Paula Myo. – Nic podobnego.

Darrin spokojnie dopił swoje piwo i wstał. Agent Digby przykleił mu na szyi mały krążek.

– Darrinie? – powiedziała pytająco Alicia. Jednak on na nią nie patrzył. – Darrinie!

Była zbyt oszołomiona, żeby się poruszyć. To nie mogło się zdarzyć. Nie jej – nie jej ukochanemu Darrinowi.

– Konstabl Gracill odwiezie cię do domu – powiedziała jej Paula, gdy agent Digby zabierał Darrina. – Miejscowy administrator szpitala został poinformowany o tej sytuacji i będziesz mogła skorzystać ze specjalistycznej pomocy psychiatrycznej. – Obdarzyła Alicię współczującym uśmiechem. – Lepiej z niej skorzystaj.

– Chwileczkę! Nie rozumiem – zawołała Alicia z rosnącym przygnębieniem. – Darrin nie mógł nikogo sklonować, on jest tylko zastępcą kierownika działu. Nikim więcej.

– Nie jest. Wierz mi. Wprowadziliśmy Vincenta Acramana do kartoteki już osiem lat temu. Podejrzewamy, że swoją przestępczą działalność prowadzi znacznie dłużej.

– Ale... Kogo on sklonował?

Paula Myo patrzyła na nią nieruchomym wzrokiem.

– Ciebie.

* * *

Były łzy. Dużo łez. Paula była na to przygotowana. Nie, żeby dzięki temu łatwiej było na to patrzeć; trudno było znieść cierpienia biednej Alicii. Płakała tak strasznie. Szlochła spazmatycznie, gdy podtrzymywana przez konstabla z jej rodzinnego miasteczka wstawiała od stołu.

– To nie może być prawda – zawodziła, gdy łagodnie sprowadzano ją z werandy.

Paula westchnęła przeciągle i zgasiła płomień świecy na środku stolika romantycznie zastawionego dla dwojga.

Ktoś zaczął powoli klaskać. Ten rozmyślnie drwiący dźwięk niepokojąco głośno rozbrzmiewał w ciszy otaczającej oniemiałych świadków.

Paula się odwróciła, zamierzając nakazać u-adiunktowi skan identyfikujący. Potem zobaczyła, kim jest siedzący samotnie mężczyzna. Wcześniej go nie zauważyła, skupiona na Vincencie Halu Acramanie, a jej nieustannie prowadzony skaning polowy nie zgłaszał żadnego zagrożenia.

– Dobra robota, pani inspektor – powiedział Nigel Sheldon. – Kolejny raz złapałaś winnego. – Podał jej kieliszek wina. – Proszę. Wybrałem camissie; zawsze lubiłaś białe owocowe. I jest dobrze schłodzone.

Pauli nieczęsto brakowało słów.

– Nigel. Co ty tu robisz?

Dobrze odegrał kpiącą niewinność, wskazując swój stolik nakryty dla dwóch osób.

– Czekam na ciebie.

– Nigel...

– Och, daj spokój. – Uśmiechnął się. – Mamy piękną noc na planecie, która jest nieco dzika i pobudzająca. Doskonale zamknęłaś kolejną sprawę. Nie marnuj tej chwili. Uczcij ją ze mną.

Paula usiadła naprzeciw niego.

– Chyba nie zamierzasz znów się oświadczyć, co? To takie staromodne.

Nalał trochę camissie do swojego kieliszka.

– Oczywiście, że nie. Jestem szczęśliwym małżonkiem.

– Zawsze byłeś.

– Teraz monogamicznym.

– Hmm. – Pytająco uniosła brew.

– Jesteś taka cyniczna.

– Skąd wiedziałeś, że tu będę?

– Mam kilku ludzi, którzy wciąż są mi winni przysługi; sprawdzili w twoim biurze. – Ruchem głowy wskazał na odchodzącą, zapłakaną Alicję. – Wybrałaś niewłaściwy moment.

– Uratowałam ją w ostatniej chwili, gdyby ktoś mnie pytał – poprawiła go Paula.

– Biedna Alicia tak nie uważa. Z pewnością jednak lepiej kochać i utracić...

– Vincent Hal Acraman wystarczająco korzystał z miłości. Piękne dzięki.

Nigel uśmiechnął się z aprobatą.

– Nadal nie uznajesz kompromisów?

– Znasz odpowiedź na to pytanie.

– Tak, ale... czy naprawdę w ten sposób spędzasz teraz czas? Ścigając winnych nielegalnego klonowania?

– Ten był niesamowity.

– A ty lubisz takie sprawy, prawda? Zapewne dlatego, że są dla ciebie wyzwaniem. A jednak czy ta nie jest zbyt błaha dla ciebie?

– Dlaczego mam wrażenie, że do czegoś zmierzasz?

– Ponieważ jesteś najlepszym z detektywów. Zatem dalej, powiedz mi, pochwal się trochę komuś, kto cię docenia, jak niegrzeczny był ten zacny stary Vincent?

Paula upiła łyk wina; istotnie było dobre.

– Był zły. Zrobił dwadzieścia osiem klonów Beatrice Lissard, o których wiemy, ale dobrze potrafi zacierać swoje ślady. Digby przejrzy jego pamięć, kiedy wrócą do Paryża. Nawet nie chcę wiedzieć, ile naprawdę było tych klonów.

– Kim jest ta Beatrice?

– Jego była dziewczyną. Bardzo była. Przesłuchałam ją jakiś czas temu. Ona i Vincent wychowali się na Kenyangu trzysta lat temu. I kiedy on miał dwadzieścia, a ona siedemnaście lat, zakochali się w sobie. Było tak cudownie, jak zawsze jest w tym wieku, a potem się rozstali.

– Jak zawsze w tym wieku.

– Właśnie. On zaczął być obsesyjnie zazdrosny i zaborczy, więc go rzuciła i znalazła sobie kogoś innego. On nigdy tego nie zrobił.

Zielone oczy Nigela rozszerzyły się, gdy zrozumiał.

– Tak więc sklonował ją i przeżył ten romans jeszcze raz.

– I jeszcze raz, i jeszcze...

– Zatem Alicia...?

– To Beatrice, tak. Ostatnia. On jest Wyższym, więc biononika utrzymuje jego ciało w biologicznym wieku dwudziestolatka.

– I za każdym razem, kiedy sklonowana dziewczyna ukończy siedemnaście lat... Fee. – Nigel pokręcił nosem i pociągnął spory łyk. – Rzeczywiście niesamowity. Czy dla dopełnienia tej niesamowitości sam je wychowuje?

– Nie. Dlatego działa tylko na Zewnętrznych Światach. Znajduje jakąś Naturalistkę, która zaczyna mieć wątpliwości w kwestii swojego nadchodzącego zgonu. To tutaj jest dość powszechne. Wiara często słabnie w obliczu śmierci, gdy widzisz, jak inni przedstawiciele naszego rodzaju bawią się w najlepsze przez całe wieki. Vincent udaje przedstawiciela jakiejś sponsorowanej przez Wyższych organizacji charytatywnej, która proponuje jej założenie funduszu powierniczego na wprowadzenie genów Progresywistów w trakcie procesu odmłodzenia. W ten sposób ona może przeżyć parę dodatkowych wieków nawet bez ulepszeń bionicznych. Jednak ceną za ten fundusz jest wychowanie biednej sierotki.

– Niesamowite i chore.

– Tak. Nawet nie wiem, jak go nazwać. Seryjny pierwszy kochanek?

– Jak go ujęłaś?

– Nie wszystkie klony Beatrice stały się żarliwymi Naturalistkami po zakończeniu romansu. Kilka z nich wyruszyło do Centralnych Światów i załatwiło sobie trochę

porządnych progresywnych genów. Dwie z nich znalazły się na Oaktierze... w odstępie dwudziestu trzech lat. – Znacząco uniosła brwi. – Osiem lat temu druga z nich wylądowała w szpitalu, gdzie została przebadana... I co za niespodzianka, jej genom już był zarejestrowany w rządowym archiwum.

– Jestem ciekawy: jaki specjalista?

– Co proszę?

– Powiedziałaś Alicii, że załatwiłaś jej specjalistyczną opiekę. Jakiego specjalisty?

– Od problemów młodocianych.

– No tak, tych nie brakuje. Zatem kiedy odczytując jego pamięć, zidentyfikujecie wszystkie klony, czy skontaktujecie te wszystkie Beatrice ze sobą?

– Nie mam pojęcia. – Paula zaczęła czytać menu. Wydrukowano je na papierze, co było nowością; przypominało jej świat, który oficjalnie był jej rodzinnym: Huxley's Haven. – To z przyjemnością pozostawię górze.

– Paula, ty nie masz żadnej góry. Nawet ZAN robi, co chcesz. Zna twoją wartość.

Uśmiechnęła się.

– Ach, czy to teraz powiesz mi, o co ci chodzi?

– Opuszczam Wspólnotę. Wiedziałaś o tym?

– Najnowsza flota twojej dynastii będzie gotowa za trzy lata.

– Oczywiście, że wiedziałaś – rzekł z kwaśną miną.

Uśmiechnęła się skromnie.

– Chyba że znów utkniesz.

– To trochę okrutne, nie sądzisz?

– Wszyscy myślą, że odleciałeś z wielką flotą kolonizacyjną twojej dynastii w 3000 roku.

Dlaczego tego nie zrobiłeś?

– Były pewne... sprawy, które musiałem załatwić. Ponadto życie incognito ma swoje zalety. Czy wiesz, jak cudownie jest móc pojawiać się publicznie i nie być przez nikogo zaczepianym? Na przykład mogę zaprosić piękną kobietę na kolację i nie staje się to natychmiast wystrzałowym wydarzeniem w całej unisferze.

– Chwileczkę, nie zamierzasz chyba prosić, żebym poleciała z tobą? To gorsze niż małżeństwo.

– Hej, nie jestem taki straszny.

– Nie. Przepraszam. Źle to zabrzmiało. Nie chcę wyjeżdżać, Nigel.

– Rozumiem. Jestem z ciebie dumny; wiesz o tym, Paula?

– Dumny? A kim ja jestem, twoim ulubionym zwierzątkiem?

– To ja umożliwiłem powstanie Wspólnoty dzięki technologii wormholi... no, ja i Ozzie. I tylko coś tak cudownie zwariowanego, jak Wspólnota, mogło stworzyć ciebie.

– Tak, to było nieuniknione od chwili, gdy Ozzie postawił stopę na Marsie.

– Hej, to ja pierwszy postawiłem stopę na Marsie, piękne dzięki! Ozzie nie ufał skafandrowi kosmicznemu, który dzieliliśmy. Wierz mi lub nie, był wtedy małym konserwatywnym nerdem.

– O, dotknięty.

– Touché.

Podniósł kieliszek.

– A więc dlaczego ostatecznie wyjeżdżasz? Twoje dzieło cię nudzi?

– Raczej irytuje.

Załadowała zamówienie do niewielkiej sieci wyspy. Smażony na maśle tuńczyk w sosie czosnkowym, do tego purée z młodych ziemniaków i zielony groszek. Stojący za kontuarem szef kuchni z aprobatą skinął głową.

– Zatem jest felerna?

– Teraz mamy biononikę i w zasadzie zabiliśmy śmierć. – Z irytacją wskazał innych gości na werandzie, zapatrzonych w siebie nawzajem. – I co z tym zrobiliśmy?

– Opanowaliśmy całą tę część galaktyki, odkryliśmy obce formy życia oraz inne cuda, stworzyliśmy ZAN, daliśmy ludziom możliwość życia w taki sposób, jaki im odpowiada. Na pewno – zadrwiła sarkastycznie – jest to tak straszne, iż trzeba się dziwić, że wszyscy nie chcemy uciec.

– Centralne Światy są w porządku. Ludzie są tam cywilizowani, odpowiedzialni. Pozostałe...

– Ciągną średnią w dół. Ach, ta integracja.

– Dlaczego jesteś im potrzebna, Paula? Dlaczego wciąż cię potrzebują? Ponieważ są nieszczęśliwi i próbują to zmienić w niewłaściwy sposób.

– Ach, teraz rozumiem. Gdyby tylko każdy znał swoje miejsce i robił to, co mu każą... Wciąż masz dyktatorskie zapędy.

– Nigdy nie byłem dyktatorem. Po prostu miałem znaczne wpływy polityczne. Nadal je mam. I jak adwokat diabła przypomnę, że na Huxley's Haven każdy musiał znać swoje miejsce. Jednak ten świat stworzył ciebie.

Paula uśmiechnęła się, spoglądając na wino w kieliszku, który trzymała w dłoni. Mogła przewidzieć, że przypomni tamte lata, które ją ukształtowały. Huxley's Haven miało unikatową i ogromnie kontrowersyjną, eksperymentalną społeczność, której obywateli sekwencjonowano genami ulepszającymi pewne specyficzne profile psychoneurologiczne. Krótko mówiąc, ich osobowość i zawodowe predyspozycje były zdeterminowane przed ich narodzinami. Paula była genetycznie zaprojektowana na policjantkę z obsesyjną potrzebą rozwiązywania zagadek. Została zabrana z Huxley's Haven i przystosowana do życia w Wielkiej Wspólnocie, ponieważ tam zawsze były jakieś sprawy do rozwiązania.

– Musiałam ewoluować, żeby przeżyć – przypomniła mu. – Te geny starego profilu zostały usunięte podczas mojego piątego odmłodzenia... a może czwartego? Kto to wie? Rzecz w tym, że nic nie pozostaje takie samo. Nasz gatunek dobrowolnie stał się

darwinowskim żywym organizmem; jesteśmy w stanie nieustannej ewolucji zmierzającej do wyeliminowania postaci fizycznej. Zewnętrzne Światy w końcu staną się Wyższe. Nie mów mi, że zacząłeś się niecierpliwić.

– A kiedy obecne Zewnętrzne Światy staną się Wyższe, wciąż będzie kilka planet lub nowych frakcji sprawiających kłopoty.

– Oczywiście. To leży w naturze człowieka.

Dolał sobie wina.

– Taak. Cóż, zamierzam stworzyć jednolitą społeczność. Z wszystkimi od początku mającymi tę samą filozofię życiową i cele. Nie będzie opozycji, ponieważ nie zabierzemy żadnych opozycjonistów.

– Nie wierzę, że jesteś tak naiwny. Owszem, pierwsze pokolenie będzie miało jeden szlachetny cel i żyło godnie i zgodnie z zasadami Partii. Jednak pojawią się różnice, jak zawsze. W trzecim lub czwartym pokoleniu będziecie mieli już sto różnych frakcji, tak jak we Wspólnocie.

– Nie zgadzam się z tą tezą. Różnice zwykły pojawiać się w społeczeństwach na skutek niesprawiedliwości i nierówności. Jeśli od początku wykluczy się możliwość ich powstania, społeczeństwo pozostanie jednolite. Nasza nauka w końcu to umożliwi; jesteśmy w zasadzie społeczeństwem nieznającym niedoborów, Paula. Powinniśmy być lepsi, niż jesteśmy.

Westchnęła.

– Weź się przeprofiluj i zamieszkaj na Huxley's Haven, tam wszyscy są szczęśliwi. A przynajmniej byli, kiedy ostatnio sprawdzałam.

– To cel, do którego warto dążyć, Paula.

Podniosła kieliszek w toaście.

– Jestem z ciebie dumna, że tak altruistycznie myślisz i działasz. Tysiąc lat temu, kto by pomyślał... Teraz naprawdę się zmieniłeś.

Roześmiał się, gdy trącili się kieliszkami.

– Będzie mi cię brakowało.

– No dobrze, więc już mnie upiłeś. I przykułeś moją uwagę tym filozoficznym wywodem. Proszę, powiedz mi po co. No wiesz, zdręczanie mnie takimi zagadkami zwykle kończy się wysłaniem delikwenta na skanowanie pamięci.

– Chciałbym cię zatrudnić.

Z udawanym zawstydzeniem wydeła usta.

– Jesteś pewny, że cię na mnie stać?

– Jako konsultantkę. Jest coś, co sam muszę zrobić, i potrzebna mi do tego twoja wiedza.

– W porządku, oficjalnie stwierdzam, że jestem zaintrygowana. Wiedza o czym?

– Jak popełnić zbrodnię doskonałą.

22 MAJA 3326

Złocisty Park był ogromny. Paula nie w pełni ogarniała, jak wielki jest Makkathran 2, dopóki nie przeszła półtorej mili po otaczającej go murawie. Ponieważ na Querencii, gdzie znajdował się oryginał, nie było kapsuł, Inigo wprowadził zakaz lotów nad miastem w promieniu dziesięciu mil, co uważała za zbyt daleko posunięty realizm. Do miasta będącego wierną repliką tego na Querencii można było się dostać wyłącznie naziemnym pojazdem lub pieszo. Ona i Nigel przybyli na lądowisko w rejsowej kapsule, a następnie pojechali busem na błonia. Ta ostatnia nazwa była myląca: teren, który pewnego dnia stanie się kopią lasów i łąk wokół Makkathranu w Pustce, teraz był błotnistym pasem świeżo zaoranej i obsianej ziemi. Idąc tak, jak za pierwszym razem robili to wszyscy wyznawcy Żywego Snu, naśladowali Edearda, który przybył do tego miasta jako podróżny z barkusańską karawaną.

Dwa tysiące mil kwadratowych pustej rządowej ziemi na wschodnim wybrzeżu sinkangańskiego kontynentu przekazał Inigo ellezeliński rząd osiemnaście miesięcy temu. Paula podejrzewała, że stało się tak dzięki składanym przez bogatych zwolenników Inigo licznym dotacjom na kampanie wyborcze (i nie tylko) miejscowych i narodowych polityków. Oficjalnie tłumaczono to tym, że ogromny napływ członków tego niemal religijnego ruchu ogromnie wzmocni gospodarkę planety. Ellezelin powstał jako kapitalistyczna kultura Zaawansowanych i był żywo zainteresowany pogonią za pieniądzem.

Przeszli przez północną bramę (tak jak Edeard) – choć ta nie była tak imponująca, jak wykuta w murze przez Raha. Otaczający prawdziwy Makkathran mur ze złocistego kryształu tu był zaledwie trzymetrowym ogrodzeniem z siatki – na razie. Wewnątrz wielka fosa była kolejnym pasem płaskiego pastwiska. Potem doszli do Kanału Północnego Łuku – dwóch równoległych rowów z cienkimi strużkami mulistej wody na dnie, oznaczających miejsce mającego tu powstać wykopu. Mostek nad planowaną tutaj drogą wodną prowadził do dzielnicy Ilongo. W mieście Edearda stały tam zaniedbane budyneczki o ścianach pochylonych pod niebezpiecznym kątem. Tutaj przypominało to obóz uchodźców z tektoplastowymi namiotami i plastmetalowymi domkami. Przejścia między nimi wyłożono matami z włókien węglowych, przez które przesączało się błoto. Całe długie odcinki tonęły w nim, wdeptywane przez ogromną liczbę przechodniów. Przypominało to jakiś bazar sprzed czasów Wspólnoty.

Trzysta metrów nad nią realistyczny półorganiczny ge-orzeł podążał razem z nimi, skanując okolicę. Paula sterowała nim poprzez dobrze zabezpieczone łącze. Kilka robiących wrażenie ptaków szybowało w prądach termicznych nad projektem miasta; zwolennicy Inigo resekwencjonowali je z DNA ziemskich ptaków, duplikując ptaki trzymane przez tak wielu makkathrańskich obywateli. Konkurowały o przestrzeń powietrzną z rodzimymi morskimi ptakami Ellezelinu. Niedługo pojawią się inne kopie stworzeń Pustki.

– Nie zdawałam sobie sprawy, że będzie tu tak wielu oddanych zwolenników – cicho powiedziała Paula, gdy się odsunęli, by przepuścić młodego pasterza prowadzącego swoje

zwierzęta. Inną rzeczą, którą zauważyła, były ubrania, jakie tutaj noszono. Wyłącznie z naturalnych materiałów i w staromodnym stylu, niektóre zaskakująco wyszukane, jak na balu kostiumowym; nigdzie nie było widać strojów półorganicznych i nowoczesnych. Ona miała na sobie prostą spódniczkę z zielonej bawełny, białą bluzkę i skórzaną kurtkę oraz torbę na ramieniu. Nigel wybrał tunikę mistrza Gildii Jajo kształców oraz podszyty futrem płaszcz.

Spoglądał na wschód.

– Źle to robią – mruknął.

– Co? – Paula powiodła wzrokiem za jego spojrzeniem i ujrzała wysoką wieżę otoczoną rusztowaniem, na którym roilo się od botów konstrukcyjnych. Ge-orzeł szybko przeskanował niedokończoną konstrukcję.

– To Błękitna Wieża, główna siedziba Gildii Jajokształców. Rozpoznaję ją z Czwartego Snu. Wydaje mi się dość dokładną kopią.

– Wieża jest w porządku – rzekł Nigel, gdy ruszyli krętą ścieżką. – Mam na myśli to, że realizując taki projekt, najpierw kończysz prace przygotowawcze, a potem ustawiasz drogowskazy. W ten sposób masz pewność, że dotacje będą napływać.

Paula otworzyła się na gajasferę i przyjęła falę emocji zadeklarowanych zwolenników, a także ogólne odczucia mieszkańców miasta. Gajapole było doskonałym odzwierciedleniem telepatycznego szumu Makkathranu, odtwarzającym te same wrażenia zaangażowania i determinacji, jakich doświadczył Edeard.

– Nie wydaje mi się, żeby miało zabraknąć dotacji.

Parę dni wcześniej sprawdzili oficjalne konta Żywego Snu. Wysokość sum ją zaskoczyła. Kilka bardzo bogatych osób przekazało sowite dotacje. Żywy Sen ulepszył swoje metody rekrutacji w stopniu, który zawstydziłby większość istniejących na Zewnętrznych Światach kultów. Zaczęłyby wietrzyć częściową nielegalność tych działań, być może jakąś zaawansowaną wersję dawnych narkomemów, gdyby nie ogromna liczba średnio i mniej zamożnych zwolenników, którzy również przekazywali pieniądze – w kilku wypadkach wszystko, co mieli. I nie byli to tylko Zaawansowani i Naturaliści: znaczna liczba zwolenników Żywego Snu należała do Wyższych.

Tak powszechnej aprobaty nie można było przypisać oszukańczym i nielegalnym działaniom. Życie Edearda było naprawdę pociągające i po tych czterech snach, których była świadkiem, mogła to zrozumieć. Sprawie pomagało również to, że Inigo ukazywał teraz Piąty Sen, powoli ujawniając każdej nocy po kilka minut.

I właśnie to budziło jej największe podejrzenia. Te niezależne od siebie sekwencje były trochę zbyt doskonale jak na mistyczną wizję, jaką miały objawiać i nad którą nie miał żadnej kontroli. Był to jeden z powodów, dla których zgodziła się pomóc Nigelowi. To i tajemnica Makkathranu będącego statkiem wojennej armady raieli – zagadka, której nie mogła się oprzeć.

Przeszli z Ilongo do Isadi przez hologram Różowego Kanału – szerokiej wstęgi błękitnego światła biegnącej w dal. Potem do dzielnicy Ysidro, gdzie rozpoczęto pierwszy etap budowy

prawdziwych budynków Makkathranu. Ge-orzeł spoglądał na fundamenty związanego enzymatycznie betonu, tworzące intrygującą plataninę kształtów na błotnistej ziemi. Na budowie pracowało tyleż botów, co ludzi. Wielkie ciężarówki pędziły po prowizorycznych drogach, wywożąc ziemię z wykopów i przywożąc materiały.

– One nie są zautomatyzowane – zaprotestował zdziwiony Nigel, gdy musieli pospiesznie uskoczyć z drogi dziesięciokołowej koparki. Przejeżdżając z łoskotem obok, kierowca posłał im gniewny sygnał klaksonem.

– Musisz przyznać, że Inigo dba o autentyzm.

– Nie, wcale nie. Makkathran to przecież technologia, której nawet my nie opanowaliśmy. Paula z goryczą skinęła głową.

– Tak, ale on o tym nie wie. A jeśli wie, to jeszcze tego nie przyznał.

Kanał Górnego Gaju, będący granicą pomiędzy Ysidro i Żłocistym Parkiem, był olbrzymią wyrwą w ziemi, głęboką na sześć metrów. Boty wydobywcze powoli robiły swoje na jej dnie i w ścianach, wygryzając gęstą masę ziemi i pozostawiając za sobą litą płytę enzymatycznie związanego betonu. Ge-orzeł pokazał Pauli mnóstwo bioreaktorów produkujących enzymy w dzielnicy Zeldy. *Żywy Sen będzie ich potrzebował naprawdę bardzo dużo, aby ukończyć swoją niezwykłą siedzibę* – pomyślała.

Przeszli po chwiejnym tymczasowym moście do monotonnego bezkresu Żłocistego Parku. Hologramy białych kolumn stojących rzędami w prawdziwym parku wyglądały nierealnie, oświetlone gorącym ellezelińskim popołudniowym słońcem, w którym raz po raz stawały się przezroczyste. Na drugim końcu parku ukończono i napełniono Kanał Zewnętrzny Kręgu. Przecinające się dachy Pałacu Ogrodowego wznosiły się za nim niczym muszla jakiegoś gigantycznego prymitywnego skorupiaka zostawionego na brzegu przez zdradziecki odpływ i zajmującego większość dzielnicy Ukwiału. Owadopodobne boty biegały po łukowatej budowli, rozbierając rusztowanie.

– I co teraz? – spytał Nigel.

– Czekaemy.

Wzdłuż brzegu Kanału Zewnętrznego Kręgu ustawiono długie baldachimy, chroniące stoły przed kaprysmi klimatu. Kiedy słońce zaszło, zaczęli się tam zbierać ludzie. Jedne namioty były kuchniami, w innych podawano napoje. W kilku były sceny, na których zaczęły grać orkiestry. Gajapole przekazywało bardzo umiarkowane emocje.

Kiedy znaleźli sobie wolną ławkę pod jednym z baldachimów, Paula posłała ge-orła nad Pałac Ogrodowy. Przeleciał tuż nad wysokimi kopułami i rozrzucił kilka serii maleńkich półorganicznych mikrodronów. Wzorowane na roztoczach z rodziny *Tetranychidae*, wtargnęły do siedziby Żywego Snu, coraz głębiej penetrując labirynt pomieszczeń. W jej egzowizji zaczął się tworzyć trójwymiarowy schemat.

– To nie mogą być prawdziwe pokoje – mruknęła. – To tylko mnóstwo sześcianów z połączonych kontenerów. Standardowy, tani materiał budowlany. Nic szczególnego.

– Domyślam się, że w końcu zobaczymy wnętrze jednego z tych snów – powiedział Nigel.
– Do tego czasu sensowne jest użycie czegoś, co można łatwo zmienić.

– Tak, pewnie tak.

Posłała ge-orla, żeby przeleciał nad tym jeszcze raz i rozrzucił więcej mikrodronów.

Sześciennymi pomieszczeniami tworzyły szereg biur, kwater mieszkalnych dla starszych Żywego Snu, kuchni, salonów, kilku laboratoriów, w których rozwijano technologię gniazd konfluencyjnych, kilometry identycznych korytarzy, magazyny, małe replikatornie, dobrze wyposażoną klinikę... Przypominało to rządowy kompleks administracyjny na pogranicznej planecie. Było tam wszystko, co potrzebne, ale tylko to, co niezbędne.

– Ach, oto sam szef – mruknęła Paula.

Kiedy słońce schowało się za horyzontem, w namiocie obok tego, z którego korzystali, pojawił się Inigo – wysoki, rudowłosy mężczyzna po trzydziestce, o bladej i mocno piegowatej skórze. Miał wygląd typowego przedstawiciela frakcji Naturalistów i szeroki, szczery uśmiech.

Ludzie wstawali od posiłku, żeby go powitać. Był uprzejmy i miły, manipulując tłumem jak zawodowy polityk. Gdy Paula sprawdziła emisję swojej gajASFery, zdawał się szczerze cieszyć z zainteresowania obecnych – uczucie zmieszane z odpowiednią dozą pokory. *Nie jestem wybranym, tylko skromnym posłańcem.*

– Dobry jest – przyznała.

Nigel obrócił się, by spojrzeć. Nie musiał się z tym kryć. Wszyscy w ich namiocie wyciągali szyje, żeby zobaczyć człowieka, który oferował im wizję innej egzystencji.

– Ile ma lat?

– Siedemdziesiąt – odparła Paula.

– Zatem musi mieć jakieś wspaniałe progresywne geny, skoro tak dobrze wygląda po siedemdziesiątce.

– Nie jest Wyższym – powiedziała – więc może po cichu się odmłodził. Ludzie lubią, żeby ich przywódcy mieli młodzieńczy wigor.

– Tak, naprawdę jesteś zawodowo cyniczna.

– Czy inaczej byłabym tutaj? – odparowała. – Oboje wiemy, że to zbyt piękne, żeby było prawdą.

– Taak.

Przez kilka minut obserwowali Inigo, aż w końcu przyjął zaproszenie i usiadł w grupie ludzi złożonej głównie z kobiet ubranych jak córki makkathrańskiej szlachty, w wydekoltowane topy i spódnice wydeptane przez halki.

– Spróbujmy miejscowego jedzenia – zaproponował Nigel.

W jednym z namiotów pieczono prosię. Stanęli w kolejce i odebrali papierowe talerze z kawałkami mięsiwa w sosie jabłkowym oraz kromki chleba. Oboje wybrali do picia sok jabłkowy. Nigel zapłacił złotą monetą z godłem Gildii Jajokształców: jajem w skręconym kręgu. Zakupili te monety na lądowisku po bardzo zawyżonym kursie wymiany.

– Muszą mieć poważny problem z podróbkami – orzekł Nigel, kiedy znów usiedli. Pokazał jej kilka miedziaków, które dostał jako resztę. – Można by je wytłoczyć na każdym starym replikatorze. Do diabła, nawet na starej kopiarce.

– Zapewne w końcu je poprawią. A teraz, dlaczego miałbyś tu przylatywać, żeby oszukiwać ludzi?

– Słuszna uwaga.

Paula dźgnęła kawałek mięsa drewnianym patyczkiem, który dostała w kuchni.

– Bardziej martwi mnie brak warzyw. Wiem, że mieli je w Makkathranie. Cała równina Igruru była jedną wielką szkółką owocowo-warzywną.

– Masz jakieś skwarki? Ja nie dostałem ani jednej.

– Można by sądzić, że po dwóch tysiącach lat powinni wypracować lepszą dietę.

Nigel posłał jej zaciekawione spojrzenie.

– Naprawdę byś odrzuciła szansę dołączenia do kolonistów?

Paula żuła mięso, które – musiała przyznać – było całkiem niezłe.

– Ciebie nie irytuje Wspólnota. Ona jak na razie jest twoim największym sukcesem. Spektakularnym triumfem całego ludzkiego rodzaju. Jednak twoją wadą jest nienasycona żądza sukcesu. Ludzie uważają, że ja mam obsesję, ale w porównaniu z tobą jestem amatorką. Stworzenie zupełnie nowego społeczeństwa to wyzwanie godne ciebie. Ponadto daje okazję zbadania nowej galaktyki... bo zakładam, że do tego zmierzasz.

Skinął głową.

– Oczywiście.

– No i podbudujesz swoje ego.

– Ego?

– Raiiele, strażnicy galaktyki... rasa tak wysoko rozwinięta, że zapewne posiadająca większą wiedzę niż gatunki tworzące kolektywną świadomość... są bezradni w obliczu Pustki. I do kogo zwracają się o pomoc? Taak, przecież z łatwością mógłbyś odmówić.

– Tak samo jak ty.

– Przyznaję. – Zamknęła oczy, by uważnie przyjrzeć się egzowizyjnej mapie. – Ach, to interesujące. Za prywatnymi apartamentami Inigo jest superbezpieczny pokój. Ma silne osłony.

Przestudiowała strumień danych przesyłanych przez mikrodrony, które zaczęły gromadzić się wokół tego pomieszczenia, łącząc obszar skanowania. Pokój miał bardzo mocną osłonę, sprowadzoną z Centralnych Światów, ale mikrodrony Pauli były zrobione na specjalne zamówienie przez sekcję techniczną Wydziału Poważnych Przestępstw, według projektu ZAN.

– Ma w środku gniazdo konfluencyjne – powiedziała.

– Do czego mesjaszowi hojnie i chętnie dzielącemu się swoim darem potrzebne prywatne gniazdo konfluencyjne?

– Ono nie jest połączone z gajaserą Makkathranu 2 – orzekła Paula, przejrząwszy dane.

Znów się obrócili i spojrzeli na Inigo. Właśnie skończył posiłek i zaczął się żegnać. Pomachał ręką i poszedł z powrotem do mostu nad Kanałem Zewnętrznego Kręgu. Towarzyszyło mu pięć oddanych szlachcianek, które chichotały i gawędziły z ożywieniem po drodze. Cała grupa śłała gajasferze wybitnie karnawałowy nastrój.

– Och, to mi przypomina dawne czasy – zauważył nostalgicznie Nigel.

– Myślałam, że jesteś teraz szczęśliwym monogamistą.

– Jestem. Jednak facet może wspominać swoją młodość, no nie?

– Mężczyźni... – Paula z dezaprobatą pokręciła głową.

Odczekali jeszcze godzinę, po czym ruszyli wzdłuż Kanału Zewnętrznego Kręgu i w końcu doszli do stawu łączącego go z Drugim Kanałem, który biegł łukiem do wewnątrz, wzdłuż Ukwiału. Byli niewidoczni dla patrzących ze Złocistego Parku. W tym miejscu było ciemno i bardzo cicho. Paula aktywowała bioniczną dystorsję skanowania. Dla czujników wizyjnych i każdego obserwatora powoli znikła w gęstniejącym wokół niej powietrzu, tworząc ciemną mgiełkę. Bioniczne skanowanie po prostu nagle przestało ją wykrywać.

– Gotowy? – spytała.

– Tak – padła odpowiedź z ciemnego oparu skrywającego Nigela.

Paula aktywowała bioniczne pole siłowe i zsunęła się po brzegu stawu. Opadła na dno. Na tak krótkie zanurzenie nie fatygowała się włączaniem opcji oddychania przez skrzela; jej bionika mogła należycie natleniać jej krew przez wiele godzin.

Nawet jej ulepszone siatkówki oczu były bezużyteczne w wodzie i ukazywały jedynie niewyraźny obraz w podczerwieni. Widziała tylko kontury swoich poruszających się jak wiosła rąk. Musiała użyć bionicznego skanowania, żeby odzyskać orientację. Nigel opadał wzdłuż betonowej ściany za nią. Gdy dotarł na muliste dno, oboje zaczęli iść w kierunku przeciwnego brzegu stawu, a potem Drugim Kanałem. Nawet z polem siłowym wzmacniającym ruchy kończyn był to powolny marsz.

Drugi Kanał kończył się jeszcze mniejszym stawem, połączonym z Kanałem Środkowego Kręgu. Paula powiększyła pole siłowe do czterometrowej średnicy i po prostu wyskoczyła na powierzchnię. Oboje wyszli na chodnik biegnący za Pałacem Ogrodowym. Jej pole siłowe się wyłączyło, pozostawiając ją stojącą w idealnie suchym ubraniu i spoglądającą na rusztowanie przy ścianie naprzeciwko niej. Wysoko w górze słychać było głośnie pobrękiwanie rozbierających je botów. Na lewo długi rząd tarasowych schodów biegł łukiem ku wysokiej bramie, która była głównym wejściem po tej stronie. Prześliznęła się przez płataninę rusztowań pod ścianą do zwykłych drzwi.

Jej u-adiunkt zajął się szyfrowym zamkiem i drzwi otworzyły się do wewnątrz. Za nimi był korytarz. Wszystkie światła były zgaszone, co ułatwiało im zadanie. Sprawdziła, czy jej u-adiunkt zajął się także wyłączeniem alarmów, po czym weszła do środka.

– Super – mruknął Nigel. – To lepsze, niż siedzieć przez cały dzień w gabinecie i mówić ludziom, co mają robić.

Paula westchnęła.

– Chyba że zostaniemy złapani. To nie zabawa, Nigel.

– Musiałabyś sama się aresztować?

– Prowadzimy legalną operację zbierania informacji, a więc nie. Jednak byłoby to cholernie kłopotliwe.

– Wystarczająco, żebyś zechciała opuścić Wspólnotę?

– Nigel!

Niezauważeni przeszli przez Pałac Ogrodowy na drugie piętro i do prywatnych apartamentów Inigo na tyłach. Paula otworzyła nieużywany pokój. Kiedy znaleźli się w środku, ponownie stali się widzialni. Podeszła do ściany i wyjęła z torebki parę małych plastikowych prostokątów. Umieściła je na ścianie, nad przewodami biegnącymi w kompozycie. Moduły wypuściły aktywne włókna przedzierające się przez kompozyt i wnikające do obwodów; ich końce weszły w delikatne światłowody.

– Dobrze chroniony – mruknęła, odczytawszy schematy instalacji alarmowej, pojawiające się w jej egzowizji. Wypuszczony wsad procedur dywersyjnych zneutralizował oplatającą pomieszczenie pajęczynę rozmaitych czujników. – Idziemy.

Stała pod ścianą i kazała swej biononice rozrywać wiązania walencyjne, skupiając wiązkę energii na niewielkim kręgu kompozytu. Za jej plecami Nigel zaczął wesoło nucić coś pod nosem.

– Co, do diabła? Nigel!

Posłał jej zbójcecki uśmiech.

– Przepraszam. To motyw muzyczny z *Mission: Impossible*. Wydawał się odpowiedni.

– Co takiego?

– Długo przed twoim narodzeniem. Tylko my, naprawdę starzy, pamięć...

– Nigel. Zachowuj się albo zaczekaj na zewnątrz.

– Ta, psze pani.

Z kolejnym zirytowanym westchnieniem skupiła się na rozrywaniu wiązań. Kiedy oderwał się dwumetrowy fragment ściany, złapała go i odsunęła na bok.

W prywatnym apartamencie Inigo nie było wielu rzeczy. Szybki skan wykazał, że stary drewniany kufer zawierał ubrania wraz z infuzorami załadowanymi różnymi półlegalnymi środkami wzmacniającymi sensory oraz kilka staromodnych kostek pamięci. Gniazdo konfluencyjne zajmowało środek pokoju – zwyczajny cylinder z oksydowanego aluminium, mający półtora metra wysokości i sześćdziesiąt centymetrów średnicy.

– To też zamierzasz rozciąć? – spytał Nigel.

– Nie.

Jej u-adiunkt złamał szyfr zamka i górna część cylindra uniosła się bezgłośnie.

Gniazdo konfluencyjne było w większości biotechniczne i składało się z ośmiu długich segmentów przypominających wysuszoną tkankę mięśniową połączoną z płataniną rurek i włókien. Jego procesy pozostały nieprzeniknione na wszystkie bodźce kierowane w nie przez Paulę z jej gajaszery. Tak więc wyjęła z torby syfon. Wyglądał jak wątroba, ze swoją śliską,

ciemnoczerwoną i powoli pulsującą powierzchnią. Przytknęła go do jednego z segmentów gniazda. Jego komórki zaczęły się łączyć ze sztucznymi neuronami segmentu gniazda, bezpośrednio wysysając zawartość.

– Nawet nie wiedziałem, że coś takiego jest możliwe – powiedział Nigel.

– A ja myślałam, że jesteś wielkim specem od technologii.

– Zajmuję się teoriami i strategią. Nie tykam samego sprzętu.

Paula się uśmiechnęła.

– Diabeł tkwi w szczegółach, co?

Nigel rozglądał się po pomieszczeniu. Zatrzymał wzrok na drzwiach, które były zupełnie zwyczajne.

– Czy za nimi jest jego sypialnia? Przysięgłbym, że słyszałem chichot.

– Może po prostu ściągnął spodnie.

– Och, jesteś okrutna.

– Otrzymuję jakieś dane z gniazda. – Kazała syfonowi przeprowadzić analizę przekazu. – No i co ty na to? Mieliśmy rację. Jest tu więcej niż cztery sny. Inigo ma całe mnóstwo wizji, których jeszcze nie wyjawiał.

– Oczywiście. Nie zaczynasz takiego oszukańczego numeru, nie mając absolutnej pewności, że doprowadzisz go do końca. A Żywy Sen to jedno z największych oszustw w dziejach.

– Wkrótce się przekonamy. Kopiuje zawartość.

29 MAJA 3326

Czterdziesty Siódmy Sen Inigo się skończył i Nigel leżał nieruchomo na kanapie w domu nad jeziorem, po raz ostatni wyzbywszy się myśli, obrazów i uczuć Edearda. Spoglądał na biały łukowaty sufit, mruganiem przeganiając niepokojące mroczki gwiazdnych skupisk Pustki.

– Co za syf!

Nigel nie chciał, żeby ten sen się zakończył. Chciał wrócić do Makkathranu, stanąć z Edeardem na szczycie wieży w Eyrie, gdy Władca Niebios przybędzie, by zanieść jego duszę do Serca Pustki. Pragnął życia tak spełnionego jak życie Edearda. Pokonania nieprzyjaciół i niegodziwości, uczciwości i nadziei dla całego świata. I Serca Pustki: przyjmującego bezcielesne dusze tych wszystkich, którzy wiedli spełnione życie, prowadzeni przez zdumiewających Władców Niebios.

Potrwało długą chwilę, nim oszołomienie innością ustąpiło i znalazł siłę, żeby znów się poruszyć. Spojrzał na przeciwległy koniec salonu, gdzie Paula leżała na drugiej kanapie, tępo patrząc przed siebie. Miała łzy w oczach.

– Zrobił to – powiedziała. – W końcu dał im ten dar. Co za życie!

– Wiążący potencjał życia Edearda jest bezsprzecznie wysoki – głośnym szeptem powiedziała Vallar. – Sama doświadczyłam tego pragnienia. Na szczęście raiele są odporni na takie emocjonalne bodźce.

– Macie szczęście – mruknął Nigel i zmienił pozycję z leżącej na siedzącą. Usiłował pozbyć się poczucia osamotnienia.

Paula zrobiła głośny wydech, masując sobie skronie.

– To był błąd.

– Masz na myśli to, że Edeard nie powinien był mówić ludziom o możliwości podróży w czasie przez Pustkę?

– Nie. Mówię o sprawdzaniu wszystkich czterdziestu siedmiu snów jeden po drugim. To zbyt wiele. Żyłam czymś życiem, przez całe wieki, w ciągu zaledwie tygodnia. Nic dziwnego, że doskonale rozumiem, przez co przeszedł. Vallar ma rację: sny Inigo są narkomemami, najlepszymi, jakie stworzono. Każdy, kto je śni, będzie chciał być częścią egzystencji Edearda. Inigo doskonale to rozumie. To dlatego buduje Makkathran 2, aby dostarczyć wiernym tego, czego tak rozpaczliwie potrzebują: życia po życiu, zanurzenia się w nim i wiary, że jeśli się spełnią, zostaną w nagrodę zaprowadzeni do Serca Pustki.

Nigel pokręcił głową, zdumiony umiejętnością tak analitycznego rozumowania Pauli w obliczu przytłaczającej emocjonalnie podróży przez życie Edearda, którą właśnie zakończyli.

– Mówisz, że to, co Edeard osiągnął, jest nieistotne?

– Nie. To było zdumiewające. Mówię, że nie powinniśmy wpadać w pułapkę, próbując za nim podążać lub go naśladować. Okoliczności były nadzwyczajne i nie są to nasze okoliczności. Nie powinniśmy starać się takich uzyskać.

– Racja. – Nigel wiedział, że to logiczne, ale w tym momencie mu się nie podobało. Chciał wrócić do pierwszego snu i znów przeżyć je wszystkie po kolei. – Żywy Sen będzie kłopotliwy dla Wspólnoty – rzekł spokojnie. – Inigo ma już miliony wyznawców, choć ujawnił dopiero cztery sny. Kiedy ludzie doświadczą ich wszystkich, będzie miał miliardy zwolenników chcących do niego dołączyć.

– Czy to są wszystkie sny? – spytała Vallar.

– Tak – odrzekła Paula. – W jego prywatnym gnieździe konfluencyjnym nie było nic więcej.

– Zatem Edeard nie wysłał niczego spoza Serca – zauważył Nigel. – To już koniec.

Paula usiadła i wzięła od służebnego bota kubek z gorącą czekoladą.

– Cóż więc takiego wiemy, dzięki czemu moglibyśmy ustalić, co się stało z Makkathranem i innymi?

– W Pustce czas biegnie dziwnie – zauważyła Vallar. – Statki ludzi przybyły tu dwieście lat temu, a jednak w Pustce minęło dwa tysiące lat, zanim narodził się Edeard.

– Nie – odparował Nigel, starając się skupić na projekcie i zanalizować to, co widział. To było niemal równie dobre jak życie życiem Edearda. – Wróćmy do tego, czym naprawdę jest Pustka.

– Jej ostatecznym celem jest pożarcie ludzkich umysłów – stwierdziła powoli Paula – gdy te osiągną pewien poziom racjonalnego rozwoju lub spełnienia. Środowisko, jakiego doświadczają, jest zaprojektowane tak, żeby to umożliwić albo wymusić taką ewolucję, jeśli wolisz tak to ująć. Wówczas zostają zabrani do Serca Pustki.

– Zatem wchłania umysły, a potem... co? – zapytał Nigel. – Powiększa się fizycznie, pochłaniając więcej gwiazd?

– Więcej masy – poprawiła Vallar. – Zapewne by zasilić swoje wewnętrzne continuum.

– Pochłania masę, pochłania umysły – rzekła Paula, wzdrygnąwszy się. – Twoi wojowniczy kuzyni mają rację, strzegąc przed nią galaktyki, Vallar. Pustka jest największym możliwym złem. Usiłuje zdominować wszechświat. Dlaczego? Po co takie coś w ogóle zostało stworzone? Nie rozumiem.

Nigel spojrzał na nią z lekkim zdziwieniem.

– Rozważmy to logicznie. Ona ma warstwy. Jest tam fizyczny kosmos Pustki, w którym istnieją planety i gwiazdozbiory. Jednak jest tam też warstwa reagująca na myśl, umożliwiająca telepatię i telekinezę.

– Oraz warstwa pamięciowa – dodała Paula. – Pamiętacie, jak Edeard podróżował w czasie, żeby naprawić swoje błędy? Mógł zobaczyć przeszłość; Pustka w jakiś sposób ją przechowuje.

– Nie można naprawdę przenieść się w przeszłość – rzekł Nigel. Uniósł brwi, patrząc na Vallar. – Wy możecie?

– Nie. To fundamentalne prawo wszechświata, że czas płynie jednokierunkowo.

– A więc w jaki sposób Edeard podróżował w czasie? – zapytała Paula.

– Jest jeszcze jedna warstwa, kreatywna – orzekł Nigel. – Dzięki zdolnościom telepatycznym Edeard mógł ujrzeć całe swoje życie, jeśli dostatecznie dobrze się skupił. I kiedy zobaczył moment, do którego chciał wrócić, warstwa kreatywna odtwarzała całą Pustkę istniejącą w tej wybranej chwili. Tylko on wiedział, że to przeszłość, ponieważ to on tam podróżował. To jak skrajny solipsyzm. Sukinkot, nic dziwnego, że Pustka chce pochłonąć galaktykę. Energia, jakiej na to potrzeba...

– To jest jak byt eteryczny – stwierdziła Paula.

– A jednak pozostaje jak najbardziej fizyczny – zauważył Nigel. Posłał jej niewesoły uśmiech. – A to problem. Ty jesteś dobra w ich rozwiązywaniu.

Paula znów napiła się gorącej czekolady i złożyła dłonie czubkami palców.

– Inigo odsłużył sześć miesięcy na Stacji Centurion, będącej bazą dla naukowców obserwujących Pustkę. To tuż za Ścianą gwiazd, więc możemy założyć, że tam zgromadził swoje sny.

– Tak – zgodził się Nigel.

– Te sny same w sobie teraz są nieistotne; Inigo po prostu je wykorzystuje do promowania i rozwijania kultu Żywego Snu. Kto wie, może nawet wierzy, że Serce Pustki jest rozwiązaniem, do którego powinna dążyć ludzka rasa.

– Najprawdopodobniej – rzekła Vallar. – Przed naszą inwazją i blokadą słyszeliśmy o całych gatunkach wpadających w Pustkę; wśród rozumnych ras galaktyki krążyło wiele pogłosek o tym, że kryje ona duchowe rozwiązanie dla bytów biologicznych. Ten wabik był jednym z powodów tego, że zbudowaliśmy armadę.

– Zatem nie będziemy mieli następnych snów – powiedziała Paula. – Nie ma Edearda i jego przedziwnego eterycznego kontaktu z Inigo. To umarło wraz z ciałem Edearda. – Zerknęła na raiela. – Miałś rację, Vallar. Jeśli chcemy się dowiedzieć, jak ludzie zostali zabrani do Pustki, musimy się tam udać.

– Pustka jest wrogo nastawiona do raieli – odparła Vallar. – Ludzie najwidoczniej mogą tam przetrwać.

Nigel znów spojrział na Paulę. Skrzywiła się.

– Kogo mamy tam posłać? – zapytała.

– Kogoś, kto już zna charakter Pustki. Kogoś dostatecznie sprytnego, żeby zadał właściwe pytania. Ty byłabyś doskonałą kandydatką.

– Tak samo jak ty. Jednak nie zamierzam cię tam ciągnąć siłą. Podczas Wojny Gwiazdokrażcy budziliśmy przestępców ze stanu zawieszenia i dawaliśmy im szansę służenia Wspólnocie w zamian za skrócenie wyroku.

– No taak – rzekł Nigel, zaskoczony, że o tym w ogóle wspomniała. – Psychopaci i czubki to akurat ten rodzaj ludzi, których powinniśmy tam wysłać.

– Spytaj zwolenników Żywego Snu. Każdy z nich chętnie zgłosiłby się na ochotnika.

– Ci też byliby znakomitymi przedstawicielami Wspólnoty. Oboje wiemy, że to ja będę musiał się tam udać.

– Myślałam, że opuszczasz Wspólnotę.

– Owszem. Jednak drogi stary Vincent Hal Acraman pokazał nam, jak obejść ten drobny problem, no nie?

9 LIPCA 3326

Chromowo-niebieska kapsuła opadła z rozpalonego nieba Augusty i wylądowała na trawniku domu nad jeziorem. Nigel Sheldon wyszedł z niej i natychmiast założył okulary przeciwsłoneczne. W tym nowym ciele wszystko wydawało się jaśniejsze i jaskrawsze. Tak było, albo jego stare procesy myślowe, zużyte i wyblakłe, nieprzywykły do postrzegania wszechświata bystrymi oczami. Ta druga teoria była lepsza; stare procesy z trudem kontrolowały to ciało z jego zwiększoną siłą i skróconym czasem reakcji. Musiał się naprawdę skupić, żeby chodzić. Mięśnie były tak silne, że przy każdym kroku odrywał się od ziemi, jakby chodził po księżycu, a nie po Auguście z jej grawitacją równą dziewięćdziesiąt trzy setne ziemskiej.

Zatrzymał się na trawniku i zrobił głęboki wdech. Wiatr El Iopi wiał dziś silnie, przynosząc ciepło znad kontynentu. Nigel zaczął się pocić w swoim szarozielonym kombinezonie. Jego oryginał wyszedł z kapsuły za nim, mając na sobie purpurowy jedwabny garnitur. Założył na nos lustrzane okulary tym samym gestem co przed chwilą Nigel.

Paula Myo stała na werandzie domu nad jeziorem, razem z Vallar. Obdarzyła jego i oryginalnego Nigela sardonicznym uśmiechem. Nigel oblizał wargi i podszedł.

– Witaj w świecie – powiedziała do niego Paula.

Nigel odgadł, że odróżniła ich po włosach. Jego oryginał wciąż potrzebował fryzjera, natomiast jemu wyrosła dopiero krótka szczecina.

– Czy wytatuował mi na czole numer dwa? – zapytał.

Jej wargi lekko zadrżały.

– Pamiętasz mnie?

Nigel ujął jej dłonie w swoje i posłał unізony uśmiech.

– Nic nie zdołałoby usunąć cię z mojej pamięci.

– To słodkie.

– Tak więc pomyślałem, że skoro szansa mojego powrotu jest mniejsza od jednej milionowej, to może moglibyśmy razem spędzić te kilka ostatnich dni, jakie pozostały mi w tym wszechświecie? No wiesz, że straceńcem i w ogóle.

Szeroko otworzyła oczy z udawanym podziwem.

– Kiedy wrócisz – westchnęła namiętnie – rzucę się na ciebie jak Ranalee na Edearda.

– Ach, do licha. A mawiali, że ty nie potrafisz kłamać – rzekł, wspominając tę młodą Paulę, która przed wiekami wywołała takie poruszenie, gdy zaczęła pracować dla Wydziału Poważnych Przestępstw Wspólnoty.

– Wróc i się przekonaj – powiedziała mu.

– Dziękuję, ale pamiętam, jaki los szykowała Ranalee Edeardowi.

– Owszem, ale jaki to był piękny koniec.

Oryginalny Nigel odkaszlnął z miną zdradzającą lekką dezaprobatę.

– Jeżeli wy dwoje już skończyliście...

Wszyscy przeszli do salonu i szklana tafla panoramicznego okna zasunęła się za nimi. Nigel usiadł obok Pauli na jednej z szerokich szarych kanap, natomiast jego oryginał zasiadł naprzeciw nich – niczym jakaś dziewiętnastowieczna przyzwoitka. Vallar stanęła na środku pokoju.

– Jak się czujesz? – zapytała Paula.

Nigel uśmiechnął się z zadowoleniem do swego oryginału.

– Lepszy, silniejszy i szybszy niż przedtem. Powiniennem się sklonować już wieki temu.

– I jak dobrze się składa, że zdołałeś zachować nietknięte ego – rzekła sucho. – Czy coś mogło pójść źle?

Nigel się roześmiał.

– A zatem, co wy troje robiliście, gdy ja dorastałem? – zapytał. – Moja pamięć nie sięga dalej niż pięć tygodni wstecz, kiedy przejrzelśmy sny Inigo i postanowiliśmy stworzyć... mnie. – Przechylił głowę, aby zerknąć na swój oryginał. – I sieć Dynastii jest zabezpieczona przede mną.

– I tak byś nie wiedział, co robimy w sieci Dynastii – odparł jego oryginał. – To bardzo prywatna operacja.

– Statek jest gotowy – powiedziała mu Paula.

– W jakim stopniu jest biologiczny? – zapytał Nigel.

– W niemal siedemdziesięciu procentach – odpowiedział jego oryginał. – Zdołaliśmy nawet skonstruować kilka semiorganicznych układów ultranapędowych. – Po krótkiej przerwie dodał: – Mark Vernon nadzoruje ich budowę.

Nigel uśmiechnął się z zadowoleniem.

– O, naprawdę wracamy do dobrych dawnych czasów. Co Mark miał do powiedzenia o tym, że go ściągnęliście?

– Był zachwycony, rzecz jasna – rzekł jego oryginał. – Kiedy nie narzekał jak diabli. Jednak nie ma nikogo lepszego do zintegrowania wielu różnych układów.

– Doskonale. – Zanim nowe ciało Nigela w przyspieszonym tempie dorosło w zbiorniku prywatnej kliniki jego dynastii, oryginał uzgodnił z Paulą i Vallar, że największe prawdopodobieństwo funkcjonowania w Pustce mają układy organiczne. Coś w tym dziwnym kontinuum zdawało się wrogo usposobione do większości urządzeń. – Czy wydarzyło się coś nowego?

Zobaczył, że jego oryginał i Paula wymienili spojrzenia.

– Właściwie nie – rzekła Paula.

– Jednak... – naciskał.

– Próbowaliśmy zrozumieć Władców Niebios. Wydają się niezależni i niewątpliwie są rozumni na swój sposób. A jednocześnie istnieją tylko, by kierować dusze czy też spełnione byty do Serca Pustki. To trochę zaskakujące.

– Paradoksalne – podpowiedział jego oryginał.

– A więc? – zapytał Nigel.

– Nie mamy pewności, czy możesz na nich polegać – powiedziała mu Paula. – Nie wydają się wrogo nastawieni, raczej obojętni, co też jest sprzecznością, zważywszy na rolę, jaką pełnią.

– Nie jestem pewny, czy coś takiego mogło wyewoluować naturalnie – rzekł oryginalny Nigel. – Zapewne zostali stworzeni przez Serce Pustki lub kontrolujący je mechanizm, czymkolwiek on jest. Jednak wydają się nieco dziwni.

– W przeciwieństwie do reszty Pustki – zauważył Nigel.

– Pustka jest dziwna, przyznaję, ale jest integralną całością, a nawet kieruje się własną logiką.

– Ty to powiedziałeś – rzekł Nigel. – Spełniają pewną rolę, prowadząc spełnione dusze do Serca.

– To po prostu nie wydaje się całą prawdą – powiedziała Paula.

– Chyba nie uważacie, że Władcy Niebios wyewoluowali gdzie indziej, a potem wpadli w Pustkę tak jak inne gatunki – odparował Nigel. – To jeszcze bardziej nielogiczne.

– Nasze neurologiczne ulepszenia są sztuczne – przypomniała Paula. – To maszyna, która jednak potrafi myśleć. I znamy takie rodzaje sztucznej inteligencji, które stały się rozumne.

– Nie przypominaj mi – mruknął Nigel.

– Tak więc mogą istnieć sztuczne organizmy, gwiazdoloty obdarzone sztuczną inteligencją lub stworzona przez obcych odmiana ZAN, która przystosowała się do Pustki – powiedział oryginalny Nigel.

Jego kopia spojrzała na Vallar.

– Czy tym stał się Makkathran?

– Makkathran śpi. Wszyscy to widzieliśmy. Zdaje się w jakiś autonomiczny sposób reagować na Edearda. Stworzyliśmy środek stymulujący, który możecie mu załadować. Mamy nadzieję, że to zapoczątkuje jego przebudzenie.

– Będzie potrzebna olbrzymia strzykawka.

– To proces myślowy, który można wprowadzić za pomocą telepatii używanej do porozumiewania się przez zamieszkałych na Querencji ludzi. W najgorszym wypadku wasz statek powinien nawiązać fizyczne połączenie z siecią Makkathranu. Jej przewody będą stosunkowo łatwe do zidentyfikowania.

– No dobrze, a kiedy Makkathran się zbudzi?

– Jeśli istnieje jakaś droga ucieczki, skorzysta z niej.

– A jeśli nie?

– Informacje, jakie zebrał, przebywając tam przez taki czas, będą nieocenione.

Nigel przeciągle westchnął.

– I wciąż mamy nadzieję, że wydobędziemy te informacje połączeniem przez gajasferę?

– Tak zrobili Inigo i Edeard... jakoś – rzekł oryginalny Nigel. – Tak więc powinienem być w stanie śnić o tobie. Funkcje gajasfery zostały ci wszczepione sekwencjonowaniem do każdego neuronu. Jeśli to nie zadziała, nie mam pojęcia, co by mogło.

– Staraliśmy się jak najlepiej przystosować cię do przetrwania w środowisku Pustki – powiedziała Paula. – Twój mózg działa szybciej i lepiej niż normalny. Przy odrobinie szczęścia to powinno ci dać ponadprzeciętne zdolności. Jeżeli nie, zostają ci obronne ulepszenia biologiczne.

– A wsparcie? – zapytał Nigel.

Wszyscy się zgodzili, że będzie potrzebował pomocników, którym może ufać bez zastrzeżeń.

– Są gotowi – odparł jego pierwowzór. – Zmodyfikowanie oryginalnego ZANdroida było stosunkowo łatwe, z pewnością w porównaniu z wyprodukowaniem ciebie. Zdołaliśmy wyposażyć je we wszystkie umiejętności, jakie przysły mi do głowy. Są w pełni antropomorficzne. Mogą działać samodzielnie albo zespołowo, gdy tylko je aktywujesz; ich układy neurologiczne są kompatybilne z twoim procesami, a ponadto mają również możliwość dostępu do gajASFery. Nie sądzimy, by ktokolwiek zdołał telepatycznie odróżnić je od zwykłych ludzi.

– Dobrze. – Nigel spojrzął na Paulę. – Jeszcze coś? Nie wyglądasz na uszczęśliwioną.

– Niepokoją mnie genistary – przyznała.

– Co z nimi?

Nigel pamiętał, jak liczne są te zwierzęta na Querencii. Rodzime gatunki, które ludzie nauczyli się przekształcać w rozmaite hybrydy mogące wykonywać proste prace fizyczne. Odpowiadała za nie Gildia Jajokształców Edearda. Genistary dzieliły się na kilka podgatunków, z których po zapłodnieniu jaja ekspert w tej dziedzinie mógł telepatycznie wybierać potrzebny.

– W jaki sposób naturalnie wytworzyć taką właściwość? – spytała Paula. – Przyznaję, wszechświat jest tu wielki, ale nie sądzę, żeby to było możliwe. Oni musieli powstać sztucznie, co jest samo w sobie sprzecznością, ponieważ taka możliwość manipulowania ostatecznym kształtem jest dostępna tylko w Pustce. A ponieważ nie są istotami rozumnymi, musiał to zrobić ktoś mający doskonale zdolności telepatyczne. Krótko mówiąc, zostali stworzeni jako rasa niewolników. I nie wiem, jak to jest możliwe w takim wolnym od wszelkiej techniki środowisku, jakim jest Pustka.

– To wiele daleko idących wniosków – stwierdził bez ogródek Nigel. – Ja nie zamierzam robić żadnych takich założeń.

– To logiczna ekstrapolacja. Cywilizacja Edearda nigdy nie zetknęła się z panami tych niewolników. Zakładam, że oni zamieszkiwali Makkathran przed ludźmi, ale to niekoniecznie oznacza, że wszyscy znikli w Sercu. Po prostu chcę, żebyś był bardzo ostrożny w pobliżu genistarów, to wszystko.

– Rozumiem. – Nigel popatrzył na troje spiskowców, czując dreszczyk podniecenia, jakiego nie doznał od wieków. – W zasadzie więc jesteśmy gotowi, tak?

– Istotnie – odparł jego oryginał.

Nigel chytrze spojrzął na Paulę.

– A co z moim planem awaryjnym? Słynnym planem B?

Westchnęła.

– Pakiet jest przygotowany – wyznała niechętnie. – Jednak musisz go naprawdę potrzebować. Jeśli odkryję, że aktywowałeś go bez powodu...

– Taak, wiem. I dziękuję – rzekł szczerze. – Zatem dobrze, chyba jestem gotowy. Skopmy dupsko Pustce.

– Och, wiedziałam – powiedziała z dezaprobatą Paula. – Nigel, to kompletnie niewłaściwe nastawienie. Wyruszasz zbierać informacje, a nie wywołać wojnę.

– Hej, ty naprawdę stajesz się ponura. Próbuję tylko zażartować. Znasz mnie.

– Doskonale. Dlatego obmyśliłam plan B.

– Miej trochę wiary. Ta misja wymaga, żebym był mądry i sprytny. Na to mnie stać. Nie wezwę intelektualnej kawalerii, dopóki naprawdę nie będę jej potrzebował.

– Jesteś pewny, że chcesz to zrobić? – zapytała. – Całkowicie pewny?

Nigel starał się nie spuścić oczu, ale jej spojrzenie zdawało się czytać w jego myślach lepiej niż telepatia.

– To proste zadanie – rzekł szczerze. – Wylądować najbliżej, jak się da i spróbować obudzić Makkathran. Śnić wam o wszystkim, co odkryję. Jeśli statek wciąż jest sprawny, spróbować polecieć za Władcą Niebios do Serca i o tym także wam śnić.

– A jeśli to się nie uda? – zapytała Paula.

– To zacznę wieść spokojne życie gdzieś na prowincji. Może uczyć ich medycyny.

– Nie rób niczego...

– Głupiego? – spytał Nigel.

– Miałam powiedzieć „niebezpiecznego” – odparła. – A do tego można dodać: lekkomyślnego, zuchwałego, nieodpowiedzialnego...

– W porządku! Do diabła, załapałem, będę grzeczny.

Paula obdarzyła go smętnym uśmiechem.

– Byłaby to miła odmiana.

– Mark ma dla ciebie całą stertę instrukcji – rzekł jego oryginał. – Damy ci tyle czasu, ile będzie trzeba na zapoznanie się ze statkiem, a potem cię zostawimy.

Paula się nachyliła i cmoknęła go w policzek.

– Uwważaj. Naprawdę. Bo jeśli nie, to będziesz miał ze mną do czynienia.

– Zdaję sobie z tego sprawę.

Uśmiechnęła się.

– Masz przywilej ojca chrzestnego. Jak nazwiesz statek?

Nigel odpowiedział na to uśmiechem.

– „Gwiezdna Dama”, oczywiście. Jakże inaczej.

11 LIPCA 3326

„Gwiezdna Dama” wzbija się bezgłośnie w nocne niebo Augusty. Była masywną elipsoidą długości dwudziestu pięciu metrów, z zaokrąglonymi deltoidalnymi skrzydłami. Jej nierzucający się w oczy szarozielony kadłub chłonął światło gwiazd, przez co bardzo trudno było ją zauważyć.

Obok niej leciał „Umbaratta”, prywatny gwiazdolot Nigela Sheldona, smukły i opływowy, z ultranapędem mogącym zanieść go w dowolne miejsce galaktyki z prędkością pięćdziesięciu sześciu lat świetlnych na godzinę. Dwa tysiące kilometrów nad Augustą oba spotkały się z kulistym gwiazdolotem Vallar i wszystkie trzy rozwinęły prędkość nadświatlną.

* * *

Osiemnaście godzin później, w sporej odległości od Wspólnoty, powróciły do normalnej przestrzeni. Najbliższa gwiazda znajdowała się trzy lata świetlne od nich.

Siedząc w owalnej kabinie „Umbaratty”, Nigel kazał smartkorowi wykonać skan. Doskonale czujniki gwiazdolotu nie wykryły niczego. Spodziewał się zastać tu czekający na nich gwiazdolot raieli. Miał nadzieję, że będzie to jeden z ich ogromnych okrętów wojennych. Znajdowali się jeszcze ponad trzydzieści tysięcy lat świetlnych od Pustki i bardzo interesowało go to, jak raele zamierzają ich tam przetransportować. Wspólnota jeszcze nie zdołała wyprodukować niczego szybszego od ultranapędu.

Vallar otworzyła połączenie.

– Przygotuj się – poleciła.

Nigel aktywował połączenie z gajastrefą i wykrył myśli swego kлона. Tak jak i jego własne, zdradzały niecierpliwe oczekiwanie.

– Jak myślisz, o ile szybszy będzie ich statek? – zapytał.

– To nie będzie statek – odparł jego klon.

– Skąd wiesz?

Myśli kлона zabarwiło samozadowolenie.

– My używamy gwiazdolotów w obrębie Wspólnoty jedynie z powodów politycznych, a poza nią, bo jest to praktyczne. Raele są zdeklarowanymi zbawcami galaktyki i już milion lat temu byli bardziej technologicznie rozwinięci od nas.

– Niezły argument.

– Naprawdę przydałby ci się lepszy mózg.

– Cwaniak.

– Owszem, dziękuję.

Wymienili mentalne uśmiechy.

Smartkor „Umbaratty” zameldował o dystorsji energii egzotycznej w odległości pięciuset kilometrów od statku. Nigel połączył się z czujnikami zewnętrznymi i egzowizja pokazała mu otwierający się w gwiezdny polu wormhol. Ten był duży, o średnicy trzystu metrów.

– Doprowadzi was do miejsca przeznaczenia – powiedziała im Vallar. – Wojowniczy rael czeka na was. Nigelu, chcę ci podziękować za pomoc.

– Zawsze do usług – odparł niedbale Nigel. W myślach swego kлона wyczuł ukłucie ironii wywołane tą uprzejmą odpowiedzią.

„Umbaratta” i „Gwiezdna Dama” wleciały w wormhol i sekundę później wyłoniły się w zupełnie innej części galaktyki. Setki lat świetlnych dalej migotliwe skupisko gigantycznych

gwiazd tworzyło wspaniałą bramę w kosmosie. Były to gwiazdy Ściany, co potwierdził smartkor „Umbaratty”, bransoleta intensywnego błękitnego blasku otaczająca jądro galaktyki – choć niewiele z niego pozostało. Pustka powoli zajmowała gigantyczną Zatokę przed Ścianą, tę niebezpiecznie radioaktywną strefę wypalonych gwiazd i szalejących burz atomowych. Niedaleko – w kategoriach galaktycznych – była pętla: gęsta aureola zjonizowanych cząsteczek orbitująca wokół Pustki. Płonęła śmiercionośnym szkarłatem w Zatoce, choć był to jedynie widoczny aspekt jej elektromagnetycznych emisji; jej twarde promieniowanie było tak silne, że wykrywalne nawet na drugim końcu galaktyki.

Nigel pospiesznie przejrzał dane w swojej egzowizji, szczególnie uważnie te dotyczące pól siłowych. Chroniły one kadłub przed wartkim strumieniem twardego promieniowania, ale utrzymanie ich pochłaniało mnóstwo energii.

Trzy potężne okręty wojenne raieli stały na straży wormhola, za swymi osłonami widoczne tylko jako ciemne zjawy, niczym kule zestalonego dymu, z trudem wykrywane przez sensory. A za nimi...

– Sukinkot – mruknął Nigel.

Kula Czarnej Fortecy płonęła intensywnym błękitnym blaskiem wiru egzotycznej energii, którą manipulowała. Ta kula wielkości Saturna była koronkową konstrukcją z czarnych rusztowań. Jej zewnętrzna warstwa spowijała szereg koncentrycznych ażurowych warstw wewnętrznych, z których każda miała inne właściwości fizyczne, jądro zaś było pełne różnych form energii.

– Nic dziwnego, że mogą wytworzyć wormhol prowadzący przez pól galaktyki – rzekł klon Nigela. – Ależ to jest duże!

Ludzie po raz pierwszy zetknęli się z tymi budzącymi podziw maszynami podczas Wojny Gwiazdokrażcy. Raiele użyli jednej do otoczenia całego układu słonecznego nieprzenikliwym polem siłowym, zamykając w środku całą rasę niezrównoważonych psychicznie obcych. Załoga gwiazdolotu, który pierwszy napotkał kulę wytwarzającą to pole siłowe, nazwała ją – nieco naiwnie – Czarną Fortecą. Następnie ta nazwa została dyplomatycznie skrócona do kuli CF. W układzie słonecznym Stacji Centurion było tuzin kul CF, a wokół całej Ściany wiele tysięcy. Jedyne, co mówili o nich raiele, to że są częścią ich obrony przed Pustką, gdyby ta rozpoczęła swą od dawna z obawą oczekiwaną katastrofalną fazę ekspansji.

Jeden z okrętów wojennych nawiązał połączenie.

– Jestem Torux, kapitan statku. Proszę przygotować się na teleportację na pokład.

– Dziękuję za...

„Umbaratta” nagle znalazł się w pustym, oświetlonym łagodnym blaskiem przedziale wielkości terminalu STP – w tej samej chwili, gdy egzowizyjne ikony powiadomiły Nigela o pojawieniu się t-sieci. „Gwiazdna Dama” spoczywała obok niej. Nigel mimo woli się uśmiechnął, rozbawiony poczuciem winy, które jego klon siał w gajapole; było równie wielkie.

– Zmierzamy do punktu wprowadzenia – powiedział im Torux. – Czas tranzytu siedem godzin czternaście minut.

Podniecenie Nigela natychmiast zastąpił niepokój, równie głęboki, a potem nieco słabszy niż okazywany przez jego sobowtóra.

– Witamy na pokładzie, Nigelu Sheldonie – powiedział Torux. – Witaj w mojej sekcji mieszkalnej. Proszę, zdezaktywuj pola siłowe twojego statku.

Zawahał się i przez głowę przemknęła mu krnąbrna myśl: *A jeśli tego nie zrobię?* Wiedział, że jego klon też to pomyśli. „Umbaratta” był niemal szczytowym osiągnięciem techniki Wspólnoty, a jednak tkwił tutaj w zapadłym kącie tego monstrualnego okrętu wojennego. Teraz Nigel wiedział, jak czuli się astronauty NASA, gdy wylądowali na Marsie, żeby zatknąć tam flagę, i zastali go tam czekającego przy prototypowym wormholu i śmiejącego się z nich, ponieważ jego technika była bardziej zaawansowana. Żaden człowiek nigdy nie stanął na pokładzie okrętu wojennego raieli. Pod wieloma względami była to historyczna chwila.

Wyłączył pola siłowe i t-sieć pojawiła się w kabinie. Został przeniesiony...

...do prywatnego apartamentu raiela, podobnego do tego, w którym był na „Wysokim Aniele”. Połączenie ze smartkorem „Umbaratty” nie zostało zerwane; tak więc gospodarze okazali się uprzejmi. Pomieszczenie było owalne, o średnicy pięćdziesięciu metrów, ze sklepieniem ginącym w mroku, przez co zdawało się, że stoi na dnie jakiegoś olbrzymiego kopalnianego szybu. Ściany falowały jak tafla wody; za tą specyficzną powierzchnią błyszczały różnokolorowe klejnociki, rzucające rozedrganą poświatę fosforescencji.

Wojownik raieli stanął przed nim. Nigel spodziewał się, że będzie większy niż raiel z „Wysokiego Anioła”. *Jeśli się poświęca milion lat na przygotowania do wojny, wszystko powinno być większe i silniejsze.* Jednak ten raiel był mniejszy niż Vallar, choć jego skóra upodobniła się do zbroi z niebiesko-szarych segmentów z ognikami skrzącymi się pod ich powierzchnią jak uwięzione gwiazdy.

– Jestem Torux – rzekł raiel piskliwym szeptem. – Witamy na pokładzie naszego statku, „Olokkural”.

– Robi wrażenie.

– Chciałbym osobiście podziękować panu za pomoc.

– Pustka ostatecznie działa na wszystkich – rzekł Nigel. – Cieszę się, że mogłem wam choć trochę pomóc; wasze czuwanie jest naprawdę altruistyczne. Zrobię, co będę mógł, chociaż muszę powiedzieć, że nie mam pewności, czy to coś da.

– Paula Myo uważała, że warto podjąć tę próbę.

– Tak, istotnie. Znasz Paulę?

– Słyszeliśmy o niej od naszych kuzynów z „Wysokiego Anioła”.

Dlaczego mnie to nie dziwi? Nigel wyczuł rozbawienie swego klona.

– Mamy połączenie, które pozwoli wam obserwować środowisko zewnętrzne – rzekł Torux.

– Dziękuję – odparł Nigel, gdy jego u-adiunkt zameldował, że otwiera się połączenie ze statkiem.

* * *

Siedem godzin po wejściu na pokład Nigel patrzył, jak „Olokkural” i jego dwa bliźniacze okręty wojenne wychodzą z nadprzestrzeni i zwalniają do zerowej prędkości względnej, pół kilometra od ciemnej granicy Pustki. Pokonanie tego obszaru, większego niż odległość Ziemi od Księżyca, zajęło ludziom tysiąclecia, lecz skala rozpościerającego się przed nim widoku działała niezwykle przytłaczająco na pierwotne jądro natury Nigela. Był to pożeracz gwiazd, kultur pięknych i strasznych, konsument nadziei. Jedyny prawdziwy wróg wszystkich rozumnych istot w całej galaktyce.

Pięć kolejnych okrętów raieli już na nich czekało, wraz z siedmioma kulami CF. Na widok tego, co jeszcze tam było, Nigel uśmiechnął się z niekłamanym podziwem.

– O tak – usłyszał głos swojego kлона w kabinie „Gwiazdnej Damy”. – Zwycięzimy czy nie, to było warte tego wszystkiego.

Kule CF za pomocą gęstej siatki sił grawitacji przytrzymały trzy błękitno-białe gigantyczne gwiazdy, powstrzymując je przed ostatecznym upadkiem w bezgraniczną falę ciężenia horyzontu zdarzeń, która rozerwałaby je na strzępy. Nawet tutaj, pół miliona kilometrów dalej, zamknięte w klatce odwróconych pól grawitacyjnych, ich rozżarzone korony wydymały się i wiły, wypływając jęzory ognia tańczące na linii granicznej i rozpływające się w niby-kaskady promieniowania, gdy ich poszczególne cząsteczki zostawały wessane i rozbite na subatomowe składniki.

– Proszę się przygotować – powiedział Torux.

– Jesteście pewni, że to się uda? – zapytał Nigel. – Nawet zwyczajnego horyzontu zdarzeń nie można przerwać.

– Tą metodą wprowadziliśmy tam naszą armadę.

No i patrzcie, co się z nią stało – pomyślał Nigel.

– Zaczynamy – oznajmił Torux.

Kule CF zmieniły kwantową charakterystykę klatki. Nigel wyczuł zmianę sił, chociaż nie był w stanie pojąć ich natury. Powierzchnia gwiazd, już niewiarygodnie gorąca, jasna i wzburzona, zaczęła jarzyć się jeszcze jaśniej, gdy ich atomy utraciły spójność i przekształciły się w czystą energię. Przez ponad kwadrans fala tej kompresji rosła, podążając do wewnątrz, podczas gdy korony zmutowały do relatywistycznych kolców surowej energii sterczących na wszystkie strony między pasmami pól klatki. Pod wpływem dynamiki sztucznej implozji, której nawet ich niewiarygodna grawitacja nie mogła wchłonąć, trzy giganty zmieniły się w nowe.

Zamiast pozwolić im wybuchnąć radioaktywnym rozbryzgiem energii i supergęstego wodoru, kule CF zrobiły coś niesamowitego z lokalną czasoprzestrzenią. Energia nowych

została przekształcona w ujemną grawitację i zwrócona w jednym kierunku. Prosto ku granicy Pustki.

– Jasna cholera – mruknął Nigel, instynktownie wymachując rękami w poszukiwaniu czegoś, czego mógłby się przytrzymać, gdy „Olokkural” błyskawicznie pokonał straszliwie krótką odległość dzielącą go od Pustki. „Gwiezdna Dama” została teleportowana zewnątrz i przytrzymana w węźle grawitacji. Pola siłowe okrętu wojennego osłoniły ją przed kosmiczną energią niszczącą lokalną czasoprzestrzeń.

Przed „Olokkurałem” idealnie gładka czarna granica Pustki zaczęła się wybrzuszać, jakby rósł pod nią jakiś nowotwór. Coraz bardziej rozciągana przez straszliwy napór ujemnej grawitacji tworzyła groteskowy wzgórek.

Nigel wstrzymał oddech. Czuł, że jego klon zamknął oczy i ścisnął rękami fotel amortyzacyjny.

Gdy naprężenie osiągnęło wartość krytyczną, granica Pustki została rozerwana. Czyste światło gwiazdozbiorów wpadło w rzeczywistą czasoprzestrzeń. „Olokkural” uwolnił „Gwiezdną Damę”, a potem odleciał z przyspieszeniem dwustu g, zataczając ciasny łuk i uciekając od kurczącej się wyrwy.

„Gwiezdna Dama” przemknęła przez ten otwór i trzydzieści sekund później uszkodzona granica Pustki zamknęła się za nią.

Nigel znów zaczął oddychać.

– Przeżył? – zapytał Torux.

– Tak.

KSIĘGA TRZECIA

Rewolucja dla początkujących

JEDEN

Godzinę po tym, jak oddział patrolowy rozbił obóz, poranna mgła jeszcze się nie rozwiała. Szary opar przywierał do podłoża, powoli kłębiąc się wokół wielkich różowawych pni drzew, utrzymując przyjemnie niską temperaturę. W całej porośniętej gęstym lasem dolinie miejscowe ptaki nawoływały się tymi dziwnymi wibrującymi gwizdami, rywalizującymi z nieustannym szelestem myszowatych gryzoni, przemykających w poszyciu. Gorące słońce Bienvenido było zaledwie niewyraźną smugą nad horyzontem. Mimo to jego intensywny żar już fluoryzował mgłę, zmniejszając widoczność do zaledwie kilku metrów.

Powłócząc nogami w ciężkich buciorach, Slvasta deptał pierzastą skrzypotrawę, bujnie rosnącą między pniami kwazji, rozrywając splecione źdźbła. Tak było łatwiej, niż podnosić nogi; skrzypotrawa sięgała mu do połowy łydek. Rosa moczyła jego sztywne wojskowe, brezentowe ochraniacze; wiedział, że do południa będzie miał przemoczone skarpetki i otarte stopy. Ledwie godzina patrolu, a już był znudzony i zirytowany.

– Cholera, Slvasta. Dlaczego po prostu nie uderzycie w dzwony, żeby zawiadomić Upadłych, że tu jesteśmy? – skarcił ich kapral Jamenk.

– To świństwo jest wszędzie – narzekał Slvasta, nadal rozrywając cienkie pasma. – Nic na to nie poradzę.

Jamenk wciągnął powietrze przez zaciśnięte zęby, ale nie kontynuował. Slvasta posłał Ingmarowi rozpaczliwe spojrzenie, ale przyjaciel nie zamierzał stawać po jego stronie w jakimkolwiek sporze z kapralem.

Slvasta był dotknięty tą zdradą. Obaj zaciągnęli się do regimentu w Cham trzy miesiące temu. Slvasta mógł to zrobić wcześniej, ale zgodził się poczekać na siedemnaste urodziny Ingmara, żeby mogli zrobić to razem. Chciał się zaciągnąć, od kiedy ukończył dziewięć lat i jego ojciec oraz wujek zniknęli po Upadku. Regiment nigdy nie odnalazł ich ciał podczas żadnego z patroli wysyłanych przez cały miesiąc. Nawet dzieci w szkole wiedziały, co to oznacza.

Dwa lata później jego matka wyszła za Vikora; ten był porządnym facetem i Slvasta miał teraz dwóch przyrodnych braci. Jednak utrata ojca – i sposób, w jaki się to stało – była jak ogień trawiący jego duszę. Wiedział, że nigdy nie będzie spełniony, nigdy Władcy Niebios nie poprowadzą go do gwiazdozbioru Giu, gdzie czekało Serce Pustki, dopóki nie pozbędzie się swoich demonów. A to mogło nastąpić, tylko jeśli zemści się na diabolicznych Upadłych, miażdżąc co do jednego składane przez nich jaja, którymi plugawili ten świat.

Wstępując do wojska, uczynił pierwszy krok do osiągnięcia tego celu. Slvasta marzył o awansach, które w końcu by go uczyniły głównodowodzącym na Bienvenido. Nie miałby litości dla Upadłych, aż Las, który ich zrodził, wreszcie by pojął, że nie zdoła go pokonać, i na zawsze by się wycofał z Bienvenido. To byłoby prawdziwe spełnienie.

Jednak codzienność wojskowego życia była o wiele bardziej prozaiczna, niż się spodziewał. Mundur musiał być pracowicie czyszczony. Gnój ze stajni wynoszony. Takiego pożywienia nie dałbyś nawet świniom do koryta. I musztra – niekończąca się musztra oraz maszerowanie po dziedzińcu głównej kwatery. Ćwiczenia z miotaczami płomieni na manekinach przedstawiających Upadłych – choć te były ekscytujące zarówno za pierwszym, jak i za drugim razem, gdy je wykonywał. Próbné patrole, w zasadzie będące po prostu biwakami w dziczy za terenami uprawnymi okręgu.

Aż w końcu zapaliły się sygnały alarmowe. Wykryto Upadek wokół Prerov, sześćset mil na wschód, wzdłuż Wschodniej Linii Transkontynentalnej, głównego szlaku kolejowego przemierzającego kontynent z zachodu na wschód. Poderwano regiment. W niecałe trzy godziny wyruszył w pełnym, pięćsetosobowym składzie. Z całym ekwipunkiem i modami wsiedli do specjalnego pociągu, który dla nich podstawiono. Pół miasteczka przyszło ich żegnać.

Większość podróży spędził przy oknie wagonu towarowego, obserwując płomienie ogni alarmowych huczące w swych wielkich żelaznych paleniskach. Tak dużych, że wypalą się dopiero po kilku dniach. Niemal czuł ich żar za każdym razem, gdy pociąg przejeżdżał obok jednego z nich, co zwiększało jego podniecenie i determinację.

Masywna żelazna lokomotywa w końcu wjechała na stację w Prerov wraz z kilkoma innymi składami wiozącymi żołnierzy. Do oczyszczenia strefy Upadku z jaj wezwano osiem regimentów. Slvasta po raz pierwszy był poza swoim okręgiem – tak naprawdę to po raz pierwszy go opuścił. Stacja znajdowała się w przemysłowej dzielnicy u podnóża ładnego górskiego miasteczka na zachodnim krańcu pasma gór Guelp. Slvasta stał na peronie i z podziwem spoglądał na stolicę regionu. Prerov miało ponad dwa tysiące lat. Ludzie i mody przez wiele pokoleń kuli te kamienne zbocza, tworząc liczne tarasy zabudowane domami z bielonymi ścianami i dachami z czerwonych dachówek. Większość z nich ocieniały olbrzymie kociocedry i ogniocisy rosnące na podwórzach. A po prawej stronie szczytu wzgórza, bez żadnych rosnących w pobliżu drzew, wznosiła się wielka kopuła obserwacyjna Gildii Obserwatorów, których odwieczna czujność chroniła Bienvenido przed Upadłymi. Rozpaczliwie pragnął wspiąć się po tych stromych i krętych schodach łączących tarasy i zwiedzić to starożytne miasto z jego bogactwem i kolorytem oraz mnóstwem chętnych dziewcząt, które zapewne docenią żołnierzy ryzykujących życie.

Tak się jednak stało, że regiment nawet przez jedną noc nie stacjonował w mieście. Gdy tylko zapłonęły wici, z Varlanu, stolicy, przybył szwadron marines. Elegancy, twardzi mężczyźni w swych olśniewających, czarnych jak noc mundurach szybko przejęli dowodzenie i zaczęli organizować operację. Trzeba było jak najszybciej rozpocząć

oczyszczanie, zanim jaja zdążą kogoś schwytać. Tak więc godzinę po przyjeździe pociągu oddział kaprała Jamenka, składający się z Ingmara i Slvasty, wysłano, by przeczesał całą dolinę Romnaz. Slvasta był dumny z tak odpowiedzialnego zadania – był to ogromny obszar. Niebawem jednak kapitan Tamlyan drwiąco zauważył, że będą na samym skraju prawdopodobnej strefy Upadku; w ten sposób nowi rekruci z niedoświadczonym kapralem będą na uboczu i z dala od kłopotów.

Karawana furmanek zabrała ich i jedenaście innych plutonów z Prerov. Ludzie siedzieli na podskakujących na wybojach wozach, a mody regimentu truchtały obok. Tereny uprawne tuż za miastem przypominały rozległy ogród; pola, łąki i gaje pielęgnowane przez mody i ich właścicieli – ludzi. Śliczne wille stały na środku każdej posiadłości, większe i piękniejsze niż jakikolwiek dom w Cham. Strumienie i kanały łączyły się ze sobą, zapewniając doskonałe nawadnianie i drenaż. Przepompownie terkotały, wypływając dym w rozpalone szafirowe niebo, gdy ich silniki obracały wielkie żelazne koła, utrzymując pożądaną poziom wód. Był to jedyny hałas, jaki słyszeli żołnierze. Nikogo innego nie było na szerokiej drodze, strzeżonej przez szpalery tolmarkowców. We wioskach, przez które przejeżdżali, wystawiono strażę – staruszków i krzepkie niewiasty, gdyż młodszy i sprawniejsi mężczyźni służyli w miejscowym regimencie lub pomagali w poszukiwaniach.

Drugiego dnia napotykanne farmy były większe, lecz miały mniej gruntów ornych. Bydło, owce i strusie pasły się na coraz większych łąkach. Nieczynne kamieniołomy psuły krajobraz. Slvasta był zdumiony ilościami rudy, piasku i kamieni, jakie kiedyś z nich wydobyto. Wzgórza na południu były wyższe – poprzedzając odległe góry Algory. Czynne kamieniołomy były wymarłe i ciche; pracujące w nich mody zagnano do zagród, a ich poganiacze czekali na zakończenie poszukiwań i sygnał do wznowienia pracy. Pagórkowaty teren zdominowały lasy, w większości z wielkimi wyzartymi prostokątami wyrębów. Gospodarstwa były coraz bardziej oddalone od siebie, a większość budynków wzniesiono z drewna, nie z kamienia.

Po obu stronach każdej publicznej drogi na Bienvenido rosły drzewa, tworząc arkady z listowia na całej planecie. Tak nakazywało prawo z czasów kapitana Iaina, który rządził siedemset lat po Lądowaniu, żeby podróżni zawsze widzieli drogę przed sobą. Tutaj rosły tylko młode lodowe palmy, a droga była raczej ścieżką niż prawdziwym traktem. Karawana zaczęła się kurczyć, gdyż na skrzyżowaniach oddziaływały się od niej kolejne wozy, skręcając w boczne drogi obramowane jeszcze młodszymi drzewkami. Gdy upalne popołudnie ciągnęło się w nieskończoność, pluton Jamenka jechał dalej, aż w końcu drzewa zupełnie znikły. Teraz drogę do doliny Romnaz znaczyły tylko koleiny pozostawione przez koła przejeżdżających tu kiedyś wozów. Woźnica wysadził ich u wylotu doliny. Ostatnia mijana wioska pozostała o pół dnia drogi za nimi.

– Zabiorę was stąd za osiem dni – powiedział im.

I tak zaczął się ich patrol.

* * *

Wyposażenie i prowiant niósł modyfikowany koń oraz para karłowatych modów. W obecności tych stworzeń Slvasta zawsze czuł się nieswojo. Różniły się od większości rodzimych zwierząt Bienvenido, co budziło jego podejrzenia. Po prostu uważał za upiorne to, że ich embriony mogły być formowane przez zręcznych adaptatorów w dowolny sposób. W fazie neut, czyli bezpłciowej, były zwyczajnymi sześcionogimi zwierzętami, o połowę mniejszymi od ziemskiego konia, ale grubszymi. Sześć nieregularnych wybrzuszeń na ich grzbietach było uwstecznionymi kończynami, których rozwój adaptatorzy mogli stymulować w razie potrzeby. On po prostu uważał to za nienaturalne.

Ten modyfikowany koń, który niósł sprzęt plutonu, był w niewielkim stopniu zmieniony przez adaptatorów, tylko nieco większy i z silniejszymi nogami. Subtelniejsze zmiany wewnętrzne dawały mu ogromną odporność; stworzenia te nie były szybkie, ale mogły nieść ładunek przez wiele dni. A ich proste umysły można było z łatwością kontrolować dzięki wpojonym im instrukcjom.

Modyfikowanym karłom nadano w przybliżeniu humanoidalną formę. Cztery nogi i cztery ręce pozostawiono w szczątkowej postaci, tak więc były dwuręczne i dwunogie, choć bardzo niezdarne. Miały głowy na wysokości łokcia Slvasty. Jamenk dał im do noszenia plecaki z zasobnikami miotacza ognia. Jeśli znajdą jakichś Upadłych, zmodyfikowane karły szybko oddadzą broń ludziom. W razie potrzeby mogłyby nawet jej użyć – chociaż Slvasta nie był do końca przekonany, że zdołałyby w coś trafić.

Miotacze płomieni miały być niezawodną bronią przeciwko Upadłym. Ci mogli się pokryć znacznie mocniejszym pancerzem ochronnym niż większość ludzi i kule nie zawsze go przebijały. Mimo to Slvasta był niemal pewny, że karabin, który niósł na ramieniu, dałby nieźle popalić każdemu Upadłemu. Gdyby tylko chciał strzelać; karabiny te bowiem zbyt często zacięły się na ćwiczeniach.

Mgła zaczęła się rozwiewać; jej długie pasma leniwie unosiły się do góry i znikwały w delikatnej indygowej płataninie gałązek kwazji. Jasne smugi słonecznego światła sączyły się przez niebieskozielone liście i padały na skrzypotrawę. Niebo nad nimi znów stało się bardzo niebieskie, bezchmurne.

Slvasta zdjął bluzę i przywołał modyfikowanego karła. Stwór przydreptał i wziął od niego bluzę.

– Czy pytałeś o pozwolenie? – warknął Jamenk. – Przepisowy mundur oprze się jaj.

Slvasta ukrył pogardę dla kaprała pod pancerzem swojej teki; przywykł już do nonsensownych uwag wygłaszanych przez tego idiotę. Jamenk był kapralem od czterech miesięcy; miał dwadzieścia dwa lata i mentalność dwunastolatka. Najmłodszy syn rodu Aguri, posiadającego trochę ziemi w okręgu, tylko z tego powodu został wcielony do regimentu, że niczego nie dziedziczył. Również dlatego otrzymał awans, podczas gdy wielu lepszych od niego nadal na to czekało.

– Przepraszam, kapralu – powiedział spokojnym tonem Slvasta. – Robi się ciepło. Obawiałem się, że bluza może spowolnić moje reakcje, kiedy natrafimy na jaja.

I bardzo wątpił, czy ta bluza okaże się odporna na działanie jaj; przecież była ze zwykłego tweedu nasączonego sokiem ziela mythas.

– W porządku – rzekł Jamenk – ale nic więcej, dobrze?

– Tak jest, kapralu.

Slvasta starał się nie patrzeć na Ingmara. Obaj parsknęliby śmiechem i nie wiadomo, jak by zareagował na to Jamenk. Ten raz próbował się z nimi zaprzyjaźnić, a raz usiłował nimi rządzić. Niekonsekwentne postępowanie: jeszcze jedna cecha nieudolnego podoficera.

Po kolejnej półgodzinie mgła zupełnie się rozwiała. Ingmar i Jamenk też zdjęli bluzy. Przez listowie sączyło się mnóstwo słońca, ogrzewając nieruchome powietrze pod drzewami. W tym skwarze nawet myszowate przestały szeleścić w poszyciu. Na szczęście skrzypotrawa była tu niższa, inaczej ten marsz byłby wyczerpujący.

Jamenk rozwinął mapę, którą dał im kapitan Tamlyan, po czym zamknął oczy. Gdzieś wysoko w górze jego mod-ptak szybował w kominach powietrznych, bystrymi oczami obserwując gęsty baldachim drzew zakrywający nierówną dolinę. Wyszkolony sześcioróg potrafił przekazać mu ten obraz. Slvasta zastanawiał się, dlaczego regiment nie dał każdemu z nich takiego ptaka i nie nauczył ich patrzeć jego oczami; te nieładne stworzenia miały doskonały wzrok i praktycznie prowadziły większość poszukiwań podczas takich patroli. Jednak ich posiadanie było przywilejem oficerów i podoficerów, odróżniającym ich od szeregowych żołnierzy. Była to jedna z bardzo długiej listy rzeczy, które Slvasta zamierzał zmienić, kiedy zostanie głównodowodzącym.

– Widzę, gdzie wycinali drzewa – powiedział Jamenk z zamkniętymi oczami. – To ze dwa kliki stąd.

Szybko poszli ścieżką. Była rzadko uczęszczana, ale najwyraźniej czasem ktoś tędy chodził. W najbardziej zarośniętych miejscach ścięto drzewa, torując drogę. Na kilku strumykach, które napotkali, ktoś ułożył prowizoryczne kładki z bali. Według danych z biura burmistrza Prerov dolina Romnaz była własnością rodziny Shilo, żyjącej z lasu.

Jamenk z satysfakcją skinął głową i zwinął mapę.

– Idziemy.

Mody znowu poszły przodem. Slvasta ruszył za kapralem. Wiedział, że powinien wypatrywać jaj Upadłych. Połamanych drzewek, wyrw w baldachimie listowia, długich bruzd w ziemi, martwych ryb w stawach. Jednak niczego takiego się nie zobaczy w tak gęstym lesie. Tu nie można było sięgnąć wzrokiem dalej niż dwadzieścia metrów od ścieżki. Po prostu truchtał przed siebie, pamiętając o regularnym popijaniu wody z manierki. Powietrze było okropnie parne, ale on mocno się pocił. Trzeba się nawadniać. Była to jedna z kilku rad, które dał mu ojciec, gdy pracowali razem na polach ich gospodarstwa.

– Ktoś niedawno tu był – powiedział Ingmar.

Spoglądał na szlak przekraczający strumyk.

Ingmar był chudym młodzieńcem o kończynach wyglądających, jakby należały do kogoś jeszcze wyższego, i noszącym okulary z najgrubszymi szklami, jakie Slvasta kiedykolwiek widział. Niewiarygodnie powiększały jego oczy, ukazując mlecznobiałe plamy w tęczęwkach. Za kolejne dziesięć lat Ingmar będzie oglądał świat tylko dzięki egzowizji – tak jak przed nim jego ojciec, niewidomy przez ostatnie jedenaście lat.

Nie powinni byli go przyjąć do regimentu – pomyślał z poczuciem winy Slvasta. Jednak Ingmar rozpaczliwie chciał sobie udowodnić, iż może żyć niezależnie od swojej rodziny, a prowadzący werbunek sierżant zawsze potrzebował nowych poborowych.

– To ślady wozu – zauważył rozsądnie Slvasta. – Rodzina Shilo jeździ tędy do doliny i z powrotem.

– Wiem o tym – bronił się Ingmar. – Chcę powiedzieć, że ten wóz był tutaj w ciągu kilku ostatnich dni. – Wskazał na ślady kół w podmokłym miejscu. Skrzypotrawa została wgnieciona w błoto. – Widzicie? Te koleiny są świeże.

– Cóż, to dobrze – rzekł Slvasta. – To oznacza, że wciąż tu są.

Ingmar ponownie przyjrzał się koleinom.

– Nikt nie kręci się po okolicy od ogłoszenia Upadku. Wszystkie farmy i wioski czekają na odwołanie alarmu.

Slvasta szeroko rozłożył ręce i wskazał na bezkres lasu.

– Ponieważ każdy, kto tutaj żyje, na pewno wie, co się dzieje, tak?

Ingmar kiwnął głową.

– Tu nie ma żadnych wici – upierał się Slvasta. – Rodzina Shilo nawet nie wie, że był Upadek.

– W porządku – mruknął ponuro Ingmar.

– Wy dwaj, przestańcie – powiedział Jamenk. – Klóćcie się o bzdety. Możemy zapytać Shilo, jeśli się zjawią albo kiedy dotrzemy do ich zagrody.

– Tak, kapralu – powiedział Ingmar.

Podniósł się, nie patrząc na Slvastę.

Po minucie marszu w milczeniu Slvasta użył prywatnego łącza, by przesłać przyjacielowi proste i szczere „przepraszam”. Zanim się zaciągnęli, czasem po całych dniach spierali się o najdziwniejsze rzeczy, takie jak: Czy to Władcy Niebios zrzucają Upadłych? Czy jest coś poza tym wszechświatem, jak twierdziły załogi pierwszych statków, a jeśli tak, to gdzie? Dlaczego kukurydza jest żółta? Czy Asja pocałuje kogoś z nich? Czy rdza to choroba z kosmosu? Czy Paulette pocałuje kogoś z nich? Jak węgiel może być sprasowanym drewnem? Co nadaje każdemu gwiazdozbiorowi jego indywidualny kształt, skoro wszystkie gwiazdy są takie same? Mynea świetnie całuje – o nie, wcale nie – taak, a skąd wiesz? Dlaczego muszki tatus zawsze rozmnażają się w blond włosach? I tym podobne bzdety. Te klótnie były nieistotne, a Ingmar ze swoim logicznym umysłem i tak przeważnie w nich zwyciężał. Slvasta po prostu świetnie się bawił, próbując obalić argumenty przyjaciela. Westchnął. Życie w regimencie było szybką lekcją dorastania.

– W porządku – odpowiedział przez łącze Ingmar, równie bezpośrednio, żeby Jamenk nie podsłuchał ich wymiany zdań. – Po prostu tego nie rozumiem, to wszystko.

– Czego nie rozumiesz?

– Jeśli opuścili dolinę, udając się do miasta po prowiant lub coś innego, wiedzielibyśmy o tym, bo albo minęlibyśmy ich po drodze, albo w ostatniej wiosce powiedziano by nam, że wyjechali. A jeśli tu wjechali, to dlaczego?

– Co dlaczego?

– Dlaczego wjechali? Cały okręg wie, że był Upadek; na pewno mogli pozostać w wiosce, dopóki marines nie odwołają alarmu.

Slvasta uśmiechnął się do przyjaciela.

– Ponieważ naprawdę wierzą, że nasz pluton zabezpieczy tę dolinę.

– No tak – przyznał potulnie Ingmar. – Masz rację.

– Jak zawsze.

– Zatem nie potrafisz powiedzieć, w którą stronę jechał ten wóz?

– Nie, niestety. Miałem szczęście, że zauważyłem koleiny.

– Myślisz, że uczą marines czytania śladów? – zapytał smętnie Slvasta.

Podziwiał ich w Prerov. Byli bystrzy, stanowczy i roztaczali aurę prawdziwej władzy; w ich szeregach nie było palantów. A te czarne mundury wyglądały naprawdę super. Kiedy szli ulicami, dziewczyny nawet nie patrzyły na chłopców z regimentów. Marines byli najlepszymi żołnierzami na Bienvenido, podlegającymi bezpośrednio samemu kapitanowi. Slvasta rozpaczliwie chciał zapytać, jak do nich wstąpić. Jednak nawet on wiedział, że powinien z tym poczekać, aż będzie miał za sobą kilka udanych polowań na jaja. A może nawet jedno rozrąbane osobiście.

– Znowu to samo? – jęknął Ingmar.

– A czemu nie? Ty nie masz żadnych ambicji?

– Pewnie, że mam. Ale nie mam złudzeń.

Slvasta przesunął językiem po dziąsłach.

– Hej, kapralu? – zawołał.

– Co? – zapytał Jamenk.

– Jak się wstępuje do marines?

– Ja... O czym ty mówisz?

– Myślałem, żeby do nich wstąpić.

Ingmar się zaśmiał. Slvasta otoczył swoje myśli skorupą, udając zranionego.

– Nie przyjmą cię – odparł z irytacją Jamenk.

– Dlaczego?

– Po pierwsze, musisz mieć sponsora z marines. Znasz jakiegoś?

– Nie.

– No więc teraz uważaj, proszę. To nie ćwiczenia.

Slvasta uśmiechnął się drwiąco do Ingmara, który odpowiedział mrugnięciem – bardzo powiększonym przez szkło okularów. Obaj z udawaną czujnością zaczęli obserwować otaczający ich las.

Były to dwa najdłuższe kilometry, jakie Slvasta przeszedł w życiu; całe wieki przedzierali się przez skrzypotrawę, a potem jeszcze gęściejsze zarośla, gdy teren stał się bardziej podmokły. Zbocze, po którym schodzili, było mocniej nachylone. Coraz częściej napotykali kamienie i głazy. Zrobiło się jeszcze cieplej, a wilgotność powietrza wciąż rosła. W lukach między drzewami rosły grube pnącza o czarnych pędach okrytych strzępami podobnej do mchu gąbki zamiast liści. Wydzielały ostry, słonawy zapach.

Slvasta przeklinał Jamenka za jego cholerną nieudolność – bo z pewnością przeszli już z pięć klików – gdy las nagle się skończył. Ogromną ilość drzew ścięto, pozostawiając pieńki sterczące z błotnistej gruntu, już pokryte miękką warstwą puszystej grzybni. Znajdowali się ponad kilometr od rwącej rzeki, krętym korytem przecinającej dno doliny. Po drugiej stronie las wznosił się szeroką ławą, z wyraźnie nietkniętym baldachimem listowia. Miejscowe ptaki szybowały po niebie – wydłużone czarno-zielone trójkąty z uniesionymi lotkami. Był pewien, że te plamki na samym końcu doliny to rajastrzębie; z tak daleka mniejsze ptaki byłyby niewidoczne. Jego telepatia nie była dostatecznie silna, żeby je zlokalizować i potwierdzić to przypuszczenie. Mimo to przekazał ten obraz Ingmarowi; jako dzieci często się spierali o to, czy rajastrzębie są tylko mitem i czy coś tak dużego w ogóle może latać.

– Ładne – mruknął Ingmar.

Slvasta uważnie przyjrzał się dolinie Romnaz, oceniając jej wielkość, strome zbocza i drzewa porastające każdy metr kwadratowy. W żaden sposób we trzech nie mogli dokładnie przeczesać jej w poszukiwaniu jaj Upadłych, nie w osiem dni, nawet wspomagani przez bystrookiego mod-ptaka.

– A co tam.

Biegnący przez wyręb szlak był lepiej widoczny. Jamenk żwawo ruszył naprzód, przepuszczając przez ochronną skorupę aurę pewności siebie. Przedtem wcale jej nie okazywał.

Po przejściu stu metrów Slvasta po raz pierwszy zobaczył grzyb waltan. Ten był olbrzymi, wachlarzowaty i wyglądał jak spleśniały rzemień koloru zsiadłego mleka, straszliwie wolno pełnący po ścieżce. Botanicy i entomolodzy Bienvenido długo się spierali, ale ostatecznie zwyciężyli ci pierwsi. Grzyb waltan był roślinnym ambulatorium, usuwającym skupiska gnijących komórek. Przeważnie konsumował obumarłe rośliny, ale niektóre odmiany spożywały także mięso.

– Tam jest zagroda – powiedział Jamenk. Zmarszczył brwi, patrząc na szlak, którym szli, jakby zobaczył go dopiero teraz, a potem spojrzął nad pniami drzew ku rzece na dnie doliny.

– Jak zdołali przewieźć tym szlakiem tyle drzew?

Ingmar i Slvasta wymienili spojrzenia.

– Myślę, że wiązali je w tratwy i spławiali rzeką, kapralu – powiedział Ingmar. – To dopływ Colbal, więc jeśli chcą, mogą dopłynąć aż do Varlanu.

– No tak, racja – powiedział Jamenk. – Oczywiście.

Zagroda rodziny Shilo znajdowała się na skraju poręby, trzysta metrów od rzeki. Na jej środku wznosił się duży budynek. Najwyraźniej do pierwszej chaty z biegiem lat dodano przybudówki, coraz większe i solidniejsze, aż budynek miał teraz kształt nierównej litery E. Jedynym kamiennym elementem był komin, z którego unosiła się wstęga niebieskawoszarego dymu. Solidne drewniane stajnie i obory tworzyły dwa boczne skrzydła, a reszta terenu była ogrodzona płotem ze sztachet. Otoczony nim teren był podzielony na zielone pasy ziemskiej roślinności.

Slvasta zauważył ponad tuzin mod-małp kręcących się za płotem, a w jednej ze stajni parowały krępe mod-konie. Właśnie takie, jakich potrzebowała rodzina do pomocy przy wyrębie i ściąganiu pni po zboczu na brzeg rzeki.

Gdy się zbliżali, Jamenk posłał swego mod-ptaka, żeby przeleciał nisko nad zagrodą.

– Ktoś tam jest – powiedział.

Slvasta z zaciekawieniem patrzył, jak kapral natychmiast zaczął obciągać mundur i przygładzać zlepienie włosów.

Dwie mod-małpy otworzyły przed nimi wielkie wrota. Te się rozchyliły, ukazując uśmiechającą się na powitanie dziewczynę. Miała zapewne około dwudziestu lat i najczarniejszą skórę, jaką Slvasta kiedykolwiek widział. Dla kontrastu nosiła białą koszulę z zapiętymi tylko paroma guzikami; bardzo starał się nie gapić. Sztruksowe spodnie mocno opinały jej długie nogi w sięgających do kolan butach. Gęsta grzywa kręconych, hebanowych włosów okalała cudownie wyrazistą twarz. Uśmiech był wprost idealny.

Poczuł, że serce bije mu szybciej, gdy też się do niej uśmiechnął.

– Cześć, ludzie – powiedziała zdumiewająco zmysłowym głosem. – Mam na imię Quanda. Mieszkam tu z rodzicami.

– Ja jestem kapral Jamenk z regimentu Cham. Na tym obszarze miał miejsce Upadek. Jednak bez obawy, mój pluton otrzymał zadanie przeczesania tej doliny. Dopilnujemy, żebyście byli bezpieczni.

– To cudownie. Wejdźcie, proszę – powiedziała i odwróciła się, żeby pójść w kierunku przybudówek.

Gdy mijali wałącą się chatę z bali, Slvasta obrzucił ją zdziwionym spojrzeniem. Była dostatecznie duża, żeby pomieścić więcej niż trzy osoby. I był pewien, że farmer, który przywiózł ich do wylotu doliny, powiedział, że mieszkają w niej trzy odgałęzienia rodziny Shilo.

Mod-małpy zamknęły za nimi bramę.

Przeszli obok wybiegu dla kur – chociaż nigdzie nie było żadnej widać. W warzywniaku między ziemskimi roślinami rosło mnóstwo chwastów.

Slvasta nie wiedział dlaczego, lecz gdy szedł przez zagrodę, nagle zrobiło mu się jeszcze goręcej. To było przyjemne ciepło. Nie mógł oderwać oczu od silnych nóg Quandy. I ta koszula, zapięta tylko na parę guzików – taka prowokacyjna. *Musiła o tym wiedzieć* – pomyślał. To była przyjemna myśl.

– Czy twoi rodzice są tutaj? – zapytał Ingmar; patrzył nadługi budynek.

Quanda przystanęła i odwróciła się. Kąciki jej ust uniosły się we wspaniałym łobuzerskim uśmiechu.

– Nie. Są po drugiej stronie poręby, oznaczają nowe drzewa do wycięcia. Nie wrócą do zachodu słońca. Co oznacza, że do tego czasu będę tu sama z wami trzema. Czy to was nie podnieca?

Przez moment Slvasta myślał, że źle zrozumiał te zmysłowe słowa. Serce wciąż tłukło mu się w piersi. I bardzo przyjemnie kręciło mu się w głowie, jakby szybko obalił kilka piw, jedno po drugim. Quanda naprawdę mocno go podniecała.

– Co takiego? – rzekł zduszonym głosem Jamenk.

– Słyszałeś. – Podeszła do kaprała i go pocałowała.

Slvasta gapił się na to ze zdumieniem i niemalą dozą zazdrości, czując rosnącą erekcję.

Oderwała się od kaprała, uśmiechnięta.

– Słyszeliście i zrozumieliście. Jesteśmy sami całe popołudnie. To oznacza, że możecie robić ze mną, co chcecie.

Obróciła się do Slvasty i pocałowała go. Nigdy nie zaznał pocałunku tak pełnego grzesznych obietnic. Jej teka zacisnęła się na jego członku i leciutko zań pociągnęła.

Gdy ten pocałunek się skończył, Slvasta miał załzawione oczy i widział wszystko jak przez mgłę. Nierówny oddech wywoływał obezwładniające niecierpliwe oczekiwanie. Jej zapach był silny i słodki, czarujący. Chciał więcej. Dużo więcej. Przycisnąć ją i wdychać tę upojną woń.

Quanda odeszła, aby pocałować Ingmara.

– Całymi miesiącami nie widzę mężczyzny – mruknęła ochryple. – Macie pojęcie, jakie to irytujące? A teraz, kiedy jestem sama, trzech pojawia się jednocześnie, niczym dar od Giu.

Stojąc przed nimi, rozpięła guziki koszuli.

Slvasta jęknął, oczarowany, gdy rozchyliła bawełniany materiał. Mimo woli zrobił krok ku niej, tak samo jak Jamenk i oszołomiony Ingmar. Quanda się roześmiała i umknęła im tanecznym krokiem.

– Chodźcie – zachęciła pospiesznie. – Zrobimy to w stodole. Nie musicie robić tego po kolei. Chcę wiedzieć, jak to jest mieć trzech was w sobie jednocześnie. Tak bardzo tego pragnę.

Slvasta ledwie słyszał i widział coś poza nią, tą najgorętszą, najdoskonalszą dziewczyną, jaką znał. Był opętany żądzą i to było fantastyczne. Jej koszula, łopocząc, upadła na ziemię. Gdy przeszedł nad nią, jego erekcja stała się niemal bolesna.

Gdzieś z bardzo daleka usłyszał głos Ingmara.

– Gdzie jest wasz wóz?

– Daleko – rzuciła niedbale Quanda.

– Zamknij się, Ingmar – prychnął Jamenk.

Zręczna teka Quandy nie puszczała ptaka Slvasty.

– Chcę, żebyś ty wziął mnie od tyłu – powiedziała mu przez prywatne łącze i jej śmiech odbił się echem wokół, gdy jęknął z wściekłego pożądania.

Slvasta rzucił się biegiem za nią. Musiał ją dopaść natychmiast. Pieprzyć do utraty przytomności to gibkie ciało. Karabin denerwująco obijał się o jego bok.

– Pozbądź się go – powiedziała współczująco Quanda. – Tylko będzie przeszkadzał, kiedy mnie zegniesz.

Jej teka zsunęła się niżej i zaczęła pieścić jego jądra.

Biegąc za nią, zaczął szarpać pas karabinu. Obora i długie popołudnie seksualnego raju były tak kusząco blisko.

– Przecież nie napotkaliśmy żadnego wozu po drodze – marudził Ingmar.

– Odjechali jakiś czas temu – odparła Quanda.

W jej głosie słyhać było irytację. To rozgniewało Slvastę. Żaloszny, pedantyczny Ingmar zakłócał rozkoszne delirium, w jakie go wprowadziła.

– Myślałem, że twoi rodzice oznaczają drzewa.

– Wóz wzięła ciotka.

Slvasta gniewnie potrząsnął głową, chcąc się skupić i powiedzieć swemu niby-przyjacielowi, żeby się zamknął. Gdy skupił zamglone spojrzenie na Ingmarze, zobaczył człapiące ku nim trzy mod-małpy. Zamrugął, zaskoczony; „człapiące” to niewłaściwe słowo. One biegły.

– Hej, wy!

Na widok zbliżających się zwierząt pierwotny neandertalski strach przed drapieżką zastąpił radość. Telepatycznie nakazał znajdującej się najbliżej małpie zatrzymać się. Nie zwróciła na to uwagi – co było niemożliwe. Rozkaz był wyraźny: umysł tego stworzenia powinien go odebrać i natychmiast usłuchać. Instynktownie wzmocnił swoją osłonę, zmieniając teka z podstawowej osłony przed telepatycznym podsłuchem w barierę odbijającą każdy fizyczny cios. Chwytał karabin, usiłując wymierzyć go w te najwyraźniej obłąkane stworzenia.

– Chodź tu – przywołał myślą jednego z dwóch modyfikowanych karłów. Ten odpowiedział ospale. – Przygotuj miotacz płomieni.

Quanda wciąż się śmiała. Jednak ten dźwięk nagle się zmienił. Teraz brzmiał okropnie, pozbawiony humoru i wesołości.

– Co się sta...? – zaczął Jamenk.

Wyrwał swój rewolwer z pochwy, gdy Quanda uderzyła go na odlew, i przeokoziółkował w powietrzu, krzycząc bardziej z zaskoczenia niż bólu. Dwie zmodyfikowane małpy wylądowały na nim.

– Upadły! – zawył przerażony Ingmar.

Slvasta w końcu zrozumiał: to jajo rzuciło nań czar, płacząc myśli, a zmysłowe obietnice Quandy uspiły jego czujność. Użył teka, tworząc z niewidzialnej siły ostrze i wbijając je prosto w oko zmodyfikowanej małpy, która prawie go dopadła. Trysnęła krew i stwór padł martwy.

Slvasta szarpnął bezpiecznik karabinu, odciągając rygiel i szykując broń do strzału. Trwało to wieki. Quanda błyskawicznie rzuciła się ku niemu. Rozpaczliwie spróbował sięgnąć teka w jej ciało, do klatki piersiowej, gdzie biło serce, żeby ścisnąć, rozerwać tętnice – bo nawet Upadli je mieli. Jednak jej teka była jak z żelaza.

Slvasta wystrzelił z karabinu. W panice nawet nie zdążył w nią wymierzyć. Odrzut go okręcił, ale zdołał utrzymać równowagę i wycelować broń. Parę kul musiało ją trafić, gdy pędziła na niego, ale nie przebiły jej osłony. W magazynku skończyły się pociski. Odwrócił się, rozpaczliwie próbując uciec. Uderzyła go pięścią, zanim zdążył znaleźć się poza jej zasięgiem. Osłona trochę osłabiła cios, ale i tak był dostatecznie silny, żeby go obalić. Jedna z zmodyfikowanych małp stanęła nad nim i uniosła muskularną rękę do miażdżącego ciosu...

– Szlag!

Strumień ognia trafił w łeb małpy i spłynął na jej tors. Stwór wrzasnął, emanując pulsującym bólem, który wywołał jęk Slvasty. Łzy napłynęły mu do oczu, gdy próbował zamknąć swoją osłonę przed tą falą cierpienia.

Zmodyfikowany karzeł stał wyprostowany, z miotaczem płomieni wycelowanym w zmodyfikowaną małpę, która wywijiała łapami, stojąc na uginających się nogach. Ingmar stał tuż za karłem, z dłońmi przyciśniętymi do skroni i zamkniętymi w skupieniu oczami, kierując myślami zmodyfikowanym karłem. Skupił się tak bardzo, że nie zauważył szarży jednego ze zmodyfikowanych koni.

– Nie! – krzyknął Slvasta na głos i w myślach. – Ingmar, uwa...

Wielkie zwierzę pędziło galopem, z łbem opuszczonym jak szarżujący baran. Uderzyło Ingmara w plecy, wyrzucając w powietrze. Slvasta poczuł jego ból i szok wywołany paraliżującym uderzeniem. Nawet to znikło, gdy Ingmar stracił przytomność. W następnej chwili Slvasta instynktownie przetoczył się na bok, gdy Quanda próbowała kopnąć go obutą stopą w głowę. Chybiła i przetoczył się ponownie. Dostrzegł rozmazany obraz Jamenka leżącego na plecach i przygniecionego przez zmodyfikowaną małpę, która raz po raz uderzała go w twarz pięścią-kopytem. Półprzytomny kapral był cały zakrwawiony – krew spływała mu po policzkach, nosie, brodzie, ustach i szyi, wsiąkając w ziemię.

Slvasta jakoś zdołał się podnieść, chwiejąc się na nogach. Posłał rozkaz do umysłu zmodyfikowanego karła, każąc mu wycelować miotacz płomieni w Quandę. Jednak stwór tylko tam stał, po czym powoli obrócił się tak, że otwór dyszy był wycelowany w niego. A Quanda zbliżała się szybko, z twarzą niewyrażającą żadnych uczuć. Slvasta ją zaatakował. Nic innego mu nie pozostało. Zamachnął się pięścią, zamierzając poprzez uderzenie kopniakiem.

Złapała go za rękę. Była potwornie szybka. Mówiono mu, że Upadli są szybcy, ale nie spodziewał się, że aż tak! I była silna. Miał wrażenie, że jego ręka utkwiała w żelaznym imadle. Przekręciła dłoń, z niewiarygodną siłą okręcając Slvastę. Kopnęła go pod kolano.

Miał wrażenie, że złamała mu kość. Z pewnością coś uszkodziła. Ból był potworny. Z jękiem upadł na ziemię.

– Takich posyłają? – powiedziała drwiącym tonem Quanda. – Najlepszych wojowników na planecie?

– Pieprzę cię – zdołał wyrzucić.

W oczach miała słoneczny blask. Znikł, gdy szła ku niemu. Zamrugął, przestraszony. *Zamierza mnie pożreć?*

– Nie. Nie zamierzam.

Złapała go za koszulę i szarpnięciem poderwała na kolana. Jej piękna twarz była centymetry od jego twarzy. Przyjrzała mu się uważnie.

– Nie jestem głodna. Nie teraz.

Spróbował uderzyć swoją teka, mierząc w oczy tak jak atakującej małpie. Jednak cios odbił się od jej osłony, a ona nawet nie drgnęła. Wciąż patrzyła mu w oczy. Czubkiem buta kopnęła go w drugie kolano, rozsuwając nogi.

– Ledwie umiecie myśleć – mruknęła sucho. – Kierujecie się instynktem. Jesteś zwierzęciem. Niemal współczuję temu, kto cię wchłonie.

Próbował się skupić, żeby ją zrozumieć – Upadli mieli chrapliwe, ponure głosy tak było napisane na piątej stronie instrukcji Instytutu.

– Wypalimy waszą zarazę z naszego świata – warknął wyzywająco. – Przysięgam. Obojętnie jakim kosztem.

Zamachnęła się wolną ręką i uderzyła z całej siły. Slvasta zobaczył, jak jej oczy rozszerzają się na moment przed tym, zanim jej pięść rąbnęła go w jądra. Miał wrażenie, że potwornie silny ból rozsądzi mu czaszkę. Poza tym bólem nie było niczego. Wiedział, że wymiotuje. I pada na ziemię. Ona stała nad nim, triumfująca i straszna.

Potem zmodyfikowana małpa powlokła go do obory, do której zaledwie przed chwilą tak usilnie chciał się dostać. Głowa podskakiwała mu na wybojach, a kamienie rozrywały policzek. Ten ból był niczym w porównaniu z tamtym. Inna mod-małpa przyciągnęła tam Ingmara. Slvasta nie zwrócił na to uwagi. Ból był zbyt silny. Zamknął oczy. Znalazł się w ciemności, on i jego ból, samotny. Spadał.

* * *

Powrót do przytomności też był bolesny. Ponadto przyniósł przytłaczającą udrękę wywołaną tym, że wciąż żyje.

Wiedział, że to nie potrwa długo.

Slvasta nie chciał otwierać oczu. Nie chciał telepatią badać otoczenia. Zbyt się obawiał tego, co mogła ujawnić.

– Jesteś przytomny? – spytał go cicho telepatycznie Ingmar.Slvasta otworzył oczy, mruganiem strącając rozcieńczoną łzami lepką krew. Leżeli w stodole, do której prowadziła ich Quanda, w świetle sączącym się przez umieszczone wysoko okienka. Przegrody dla zwierząt były puste, a w przejściu między nimi, gdzie leżał, ziemia była przysypana brudną słomą.

Tuż przed nim były dwa jaja Upadłych. Slvasta jęknął ze zgrozy. Wszystkie opowieści i opisy były prawdą. Te kuliste twory miały prawie trzy metry średnicy i czarną, pomarszczoną skórę. Nagi Jamenk był przyciśnięty do jednej z nich, z szeroko rozłożonymi rękami i nogami, jak mucha na ścianie. Łzy zaczęły spływać po okaleczonych policzkach Slvasty, gdy na niego patrzył. Twarz i pierś kaprała już zapadły się pod powierzchnię kuli. Ingmar, także rozebrany, stał przyciśnięty bokiem do drugiego jaja. Jego noga i ręka już tkwiły w środku, a klatka piersiowa zaczynała się zapadać; wyciągał szyję, żeby utrzymać głowę nad powierzchnią.

– Nie! – jęknął Slvasta i próbował wstać mimo uszkodzonego kolana.

Nie mógł się ruszyć. Jego goła skóra nagle stała się lodowato zimna i zlna potem. Obrócił głowę. Trzecie jajo Upadłego wznosiło się nad nim. Jego prawa ręka zapadła w nie prawie po łokieć. Pozwolił swojej głowie ponownie opaść na ziemię, zawył przeraźliwie i zmoczył się.

– W porządku – mówił Ingmar. – W porządku.

– W porządku? – zabełkotał histerycznie Slvasta. – W pierdolonym porządku? Tak? Jak, do cholery, to ma być w porządku?

Jego przyjaciel posłał mu smutny uśmiech.

– Możemy się zabić.

Slvasta zachichotał jak wariat.

– Możemy – upierał się Ingmar. – Możemy jednocześnie chwycić teka nasze serca i ścisnąć.

– Na pieprzonych Władców Niebios. Ingmar, nie!

– Proszę, Slvasta. Gdy moja czaszka dotknie jaja, to będzie koniec. Będzie po mnie. Stanę się Upadłym. Czy tego chcesz?

– Nie.

– Zatem zróbmy to. Razem.

Slvasta telepatycznie zajrzał w jajo, próbując zobaczyć, w jaki sposób go więzi. Pod powierzchnią niewiele mógł dostrzec, tylko gęsty mrok. Jednak była tam jakaś jaźń, nieprzenikliwe myśli, w których nie wyczuwał niczego poza prostym oczekiwaniem. Nic podobnego do wielobarwnej gmatwaniny niestrzeżonych ludzkich myśli, zawsze targanych sprzecznymi emocjami.

Chociaż wyczuwał jego zarys, nie czuł swojej ręki: ani zimna, ani bólu, po prostu... niczego. Spróbował ją wyciągnąć. Oczywiście ani drgnęła. Skurczył swoją teka, zmieniając ją w ostrze topora i raz za razem uderzał w skorupę trzymającą jego rękę. Nic. Skorupa nie

ugięła się i nie pękła. Jego atak nie dał żadnego rezultatu. Uświadomił sobie, że ręka zapadła się nieco głębiej i skorupa znajduje się teraz przy końcu kości promieniowej i początku łokciowej.

– Musimy to zrobić – powiedział Ingmar. Nie próbował ukryć swoich myśli pod osłoną. Emanowały smutkiem i zmęczeniem. – Możemy im tego nie dać. Możemy nie dać im siebie. To nasza ostatnia broń.

– Ach tak? – Quanda szła ku nim przejściem. Przystanęła przy nieruchomym Jamenku i przyjrzała mu się, po czym podeszła do Ingmara. – Cóż to za straszliwa broń. Czujesz mój strach?

– Zgnij w Uracusie, suko – rzekł Ingmar.

Położyła dłoń na jego policzku i spojrzała na Slvastę.

– Zrób to. Jeśli chcesz, by zginął.

– Tak – błagał Ingmar. – Proszę, Slvasta. Kiedy dobierze się do mojego mózgu, to będzie koniec. Proszę.

Slvasta patrzył, znów cierpiąc. Uformował swoją teka w dłoń i powoli wyciągnął ją do Ingmara jak najbliżej, zamierzając wepchnąć ją w ciało przyjaciela i zmiażdżyć jego serce.

– Zrób to! – krzyknął Ingmar.

Slvasta wyczuwał teka Ingmara tuż przy swoich żebrach.

– Ja... nie mogę – przyznał żałośnie. – Przepraszam. Nie mogę.

– Myślałem, że jesteś moim przyjacielem – załkał Ingmar. – Jak możesz pozwolić mi na Upadek?

Slvasta potrząsnął głową, nienawidząc się za tę słabość.

Z ponurym uśmiechem Quanda powoli zaczęła popychać głowę Ingmara. Walczył z nią nieustępliwie, do końca. Mięśnie jego karku napięły się jak postronki. Siłą teka atakował jej twardą osłonę, a potem próbował wzmocnić swoje mięśnie. Na próżno; Upadła była zbyt silna. Przycisnęła bok jego głowy do powierzchni jaja. Natychmiast do niego przywarło. Ingmar zaczął zawodzić.

– Slvasta, proszę... Slvasta. To mnie wchłonie. Pochłonie mnie całego. Nigdy nie będę spełniony, nie zostanę poprowadzony do Serca. Pomóż mi. Zabij mnie.

– Potworze – syknął Slvasta. – Dlaczego jesteś taka niegodziwa?

Quanda przykucnęła przy nim i przechyliła głowę na bok, przyglądając mu się z zaciekawieniem.

– Wy nas stworzyliście, jesteśmy uformowani przez was, wasze ciała i umysły. To, czym jestem i jak myślę, odziedziczyłam po was. To jest zło. Wy, wasz rodzaj, jesteście zwierzętami, brutalnymi, godnymi pogardy. Kiedy was wytępiimy, dopiero następne pokolenie pozbędzie się waszego dziedzictwa. Jednak w końcu będziemy wolni.

– Nigdy nas nie pokonacie. Parszywe potwory. Serce jest dla nas, nie dla was. Nigdy nie będziecie spełnieni.

– Już byliśmy. I znów będziemy.

Slvasta słyszał te słowa, ale nie miały one sensu. Znów szarpnął ręką, lecz jajo trzymało je silniej niż korzeń stuletniego drzewa.

– Wstrętna suka.

Podniósł głowę i przyjrzał się belkom podtrzymującym dach obory. Były grube i ciężkie. Może... Spróbował swoją teka poruszyć jedną z nich nad jajem Jamenka. Wystarczyłoby ją obluzować. W myślach zobaczył, jak olbrzymi bal z trzaskiem miażdży jajo.

– A Jamenka możesz zabić? – wrzasnął urażony Ingmar.

– On już nie żyje. Upadł – odkrzyknął Slvasta.

Quanda zachichotała. Nagle przestała się śmiać i uniosła głowę, spoglądając na coś za ścianami obory.

– Byliście sami? – warknęła.

– Pierdol się – powiedział jej Slvasta.

Na zewnątrz padły strzały.

– Tutaj! – zawołał Slvasta, maksymalnie wzmacniając połączenie. – Jest tu Upadły!

Posłał obraz Quandy, spleciony z całą nienawiścią, jaką czuł.

Uderzyła go w skroń. Na długą chwilę przestał czuć cokolwiek. Kolejne strzały. Modyfikowane małpy skrzeczały, wściekle i przerażone. Cichy szum miotaczy ognia.

– Tam – ktoś zawołał. – Jest tam!

Kolejne strzały. Kule przebijały deski obory, wyrzucając w powietrze drzazgi. Cienkie smugi światła przesyły mroczne wnętrza, wpadając przez każdą dziurę po kuli.

– Giń, suko! – krzyczał uradowany Slvasta. – Uracus czeka na ciebie!

Z uśmiechem bardziej przypominającym grymas obrócił się do Ingmara. I natychmiast przestał się śmiać. Policzek i ucho Ingmara już pograżyły się w jaju. Przyjaciel milczał, a jego znajome myśli gasły i znikały w głębi jaja.

– Nie, nie, nie! Trzymaj się, Ingmar, walcz z tym. Oni już tu są.

Silne telepatie przeniknęły do obory, badając każdy obiekt. Slvasta opuścił osłonę, ochoczo poddając się tym oględzinom. Drzwi się otwały.

Marines wpadli do środka. Mężczyźni w czarnych mundurach, z karabinkami w dłoniach, czujnie telepatią badający otoczenie.

Jeden z nich, kapitan, najpierw podszedł do Jamenka, a potem do Ingmara. Uważnie obejrzał jego głowę.

– Nie mogłem tego zrobić – załkał Slvasta. – To mój przyjaciel i nie mogłem tego zrobić.

– Nie patrz, chłopcze – powiedział surowo kapitan.

Slvasta zrobił, co mu kazano, zamykając oczy i wyłączając telepatię. Huknął strzał. Zerknął na swoją rękę. Jego łokieć już zapadł się pod powierzchnię jaja.

– Czy ona nie żyje? – zapytał. – Zabiliście tę Upadłą sukę?

Kapitan stanął nad nim.

– Taak. Dopadliśmy ją.

– Zatem jestem spełniony – oznajmił Slvasta z kruchą brawurą. – Czy Władcy Niebios mnie poprowadzą?

– Było ich tu więcej? – zapytał kapitan. – Inni Upadli?

Marines wprowadzali duży wóz przez otwarte drzwi obory.

– Nie. Nie, panie kapitanie, nie sędzę. Widzieliśmy tylko ją. Skąd wiedzieliście? Jak nas znaleźliście?

Nadeszli kolejni marines. Mieli ciężkie topory i zaczęli nimi rąbać z zapalem jajo, do którego przywarł Jamenk. Wkrótce z maleńkich szczelin zaczął tryskać gęsty mlecznobiały płyn. Miotacze ognia zniszczyły tę ciecz, zgodnie z przepisami. Według podręcznika kapitana Corneliusa nawet płyn jaja był niebezpieczny.

– Patrol regimentu zatrzymał wóz rodziny Shilo przedwczoraj – rzekł kapitan. – Jechali nim sami Upadli. To był istny Uracus. Wygląda na to, że mieli tutaj gniazdo przez jakiś czas... w domu jest sporo ludzkich kości. Przybyliśmy, jak tylko się dowiedzieliśmy. Szkoda, że za późno.

– Rozumiem. – Slvasta nabrał tchu i zamknął oczy. – Niech pan to robi, kapitanie, proszę.

Nie zamierzał używać telepatii, ale wyczuł obecność żołnierza, który stanął za jego plecami. Przygotował się...

Jednak nie strzelili mu w tył głowy. Nie skrócili cierpień. Jeden z marines zaczął owijać cienkim sznurkiem jego wchłanianą przez jajo rękę, tuż poniżej ramienia, luźno zawiązując.

– Co robicie? – mruknął oszołomiony Slvasta.

– Zagryź – rzekł ze współczuciem kapitan i podsunął mu pod nos drewniany klocek. – To ci pomoże, póki nie zemdlejesz.

– Co?

Marine wręczył kapitanowi piłę.

Slvasta zaczął krzyczeć. Wepchnięto mu klocek do ust. Zaciśnięto opaskę uciskową.

Próbował się wyrwać. Jednak jajo trzymało go mocno.

Kapitan z ponurą miną zaczął piłować.

DWA

Ponieważ Varlan znajdował się zaledwie tysiąc kilometrów na południe od równika, każdy dzień w stolicy Bienvenido był upalny. Nawet teraz, tuż przed północą, brukowane uliczki i kamienne mury wciąż oddawały ciepło, które wchłonęły za dnia.

Kervarl spojrział przez okno powozu jadącego po bulwarze Walton, usiłując nie wydać się kompletnym neofitą osobie, która jechała razem z nim. Był ważną osobistością w okręgu Boutzen, dwa tysiące kilometrów na południe, na końcu Południowej Linii Miejskiej. Jednak Boutzen to tylko stolica okręgu, o wiele mniejsza niż Varlan.

Powóz zatrzymał się przed hotelem Rasheeda, który był zapewne większy niż cała izba Rady w Boutzen. Kervarl zmarszczył brwi, zły na siebie za takie deprecjacyjne nastawienie.

Teraz jestem tutaj. Mam swoje wpływy na tym świecie. Jestem równie dobry co każdy stołeczny kupiec. Co więcej, mam większe możliwości.

– Odpręż się – powiedział z uprzejmym uśmiechem siedzący naprzeciwko człowiek.

Kervarl uśmiechnął się z przymusem. Trzeba było dwóch tygodni i znacznie więcej pieniędzy, niż zamierzał wydać, ale w końcu załatwił sobie spotkanie z pierwszym mówcą Rady Narodowej w jego prywatnym apartamencie. Pierwszy mówca zgodził się wprowadzić go do pałacu. Również za większą sumę, niż Kervarl zamierzał wydać. Taki jednak był Varlan: wszystko tu było większe.

Powtarzał sobie, że to nieważne. Siedział w powozie z Larrialem, głównym doradcą pierwszego mówcy, i jechał do pałacu spotkać się z samym pierwszym oficerem. Prawa do wydobycia były w zasięgu ręki. *Tylko zachowaj zimną krew.*

Podskoczył, gdy otwarły się drzwi powozu.

– Spokojnie – przypomniał Larrial.

Kervarl uszczelnił osłonę i wyjrzał przez drzwi. Na chodniku stał jakiś mężczyzna z nastoletnią dziewczyną. Była dość ładna, o szerokiej twarzy i zgrabnej figurze podkreślonej przez cienką, białą, bawełnianą sukienkę. Kervarl wolałby ładniejszą. Jego wahanie najwyraźniej dało się wyczuć.

– Ona jest w porządku – zapewnił go Larrial. – Właśnie taka, jakie on lubi.

Mężczyzna stojący z dziewczyną wyciągnął rękę. Zarost skrywał rysy jego twarzy, lecz mimo to Kervarl miał wrażenie, że to oblicze tępego brutala. Upuścił kilka monet do wyciągniętej ręki. Pozostała nieruchoma, z monetami błyszczącymi w blasku padającym z wysokich okien hotelu. Kervarl powstrzymał westchnienie i dorzucił kilka monet. Mężczyzna w końcu zamknął dłoń i pozwolił dziewczynie wsiąść do powozu. Usiadła obok Kervarla.

Larrial posłał telepatyczne polecenie woźnicy i mod-koń ruszył znów po bulwarze Walton.

– Stąd do pałacu jest tylko kilka minut. Może to dobry moment, żeby dać...

Wskazał na dziewczynę.

– Racja.

Pod tym względem ta transakcja różniła się od tych, do jakich przywykł u siebie. Kervarl był dumny z tego, że jest światowym człowiekiem, rozumiejącym, jak się robi interesy. W końcu tak właśnie zdobył swoją obecną pozycję. Jednak to... Starał się pozbyć wątpliwości. To jest stolica. Tutejsze zasady. Jeśli nie zamierzasz się do nich stosować, nie ma sensu, byś tu był.

Z kieszeni marynarki wyjął mały flakonik i podał dziewczynie. Zrobiła wielkie oczy z zadowolenia i zaskoczenia. Wyczuł jej pożądliwe myśli.

– Zażyj teraz – powiedział Larrial. W jego głosie słychać było lekką irytację.

– Dziękuję, panie – powiedziała dziewczyna.

Zręcznym ruchem odkręciła zakrętkę, wetknęła szyjkę flakonika do dziurki od nosa i mocno pociągnęła. Przełożyła flakonik do drugiej dziurki i znów wciągnęła aromat.

– Myślę, że jeszcze trochę zostało – powiedział Larrial.

Na twarzy dziewczyny pojawił się wysublimowany uśmiech. Jeszcze raz wciągnęła opar.

Kervarl z niepokojem patrzył, jak narnik zaczyna działać. Przez moment wydawało się, że dziewczyna zemdleje. Wyglądała na półprzytomną.

– Znacznie czystszy od tego, do jakiego przywykła, jak sędzę – zauważył Larrial, patrząc na zwieszoną głowę dziewczyny. – Rano nam za to podziękuj.

Kervarl nic nie powiedział. Słyszał różne plotki o pierwszym oficerze.

Bulwar Walton prowadził prosto do pałacu kapitana. Kervarl starał się ukryć podziw, ale ten budynek był ogromny, jakby mieścił w sobie całe miasto. Gdy powóz stanął przed olbrzymią żelazną bramą, podszedł do nich oficer gwardii pałacowej. Najwyraźniej znał Larriala i pozwolił im wjechać.

Powóz przejechał przez wysoką, łukowato sklepioną bramę i na dziedziniec. Tam czekał lokaj w szmaragdowo-złotej liberii. Poprowadził ich przez inną, mniejszą bramę, do pałacowych ogrodów.

– Proszę powstrzymać się od używania tu telepatii, panie – rzekł lokaj głębokim, dystygowanym głosem.

Ogrody były równie imponujące jak pałac. Długie alejki przecinały idealnie równe trawniki. Przyszyrzyżone krzewy, dwukrotnie wyższe od Kervarla, stały przy nich na straży. Wysokie żywopłoty otaczały sztuczne grotty. Stawy z fontannami były otoczone egzotycznymi kwiatami. Dziesiątki słodkich zapachów mieszały się w nocnym powietrzu. Latarnie migotały uwodzicielsko, tworząc własny gwiazdozbiór. Kervarl nawet nie wiedział, że można kupić olej palący się płomieniami o różnych kolorach. Te światła były końcowym akcentem, czyniącym cały ten ogród zdumiewająco pięknym.

Gdy szli, usłyszał śmiech. Zdawał się dochodzić z jednej z grot. Towarzyszyły mu nieco słabsze, rytmiczne miłosne postękiwania. Dopingujące okrzyki. Potem krzyk bólu. Skupił się na obserwowaniu odurzonej dziewczyny, pilnując, by się nie potknęła.

Lokaj zaprowadził ich do jednej z grot, otoczonej gęstą zasłoną żywopłotu z rubinowej brzozy. W środku rosły mniejsze ozdobne drzewka o pniach powykręcanych ze starości i wybrane ze względu na kwitnienie nocą. Ich różowe i białe płatki bezgłośnie opadały na gąbczastą trawę. Fontanny szemrały przed namiotem z białego materiału, którego fałdy cicho łopotwały na ciepłym wietrze. Lampy w środku rozświetlały go złocistą poświatą, jakby był jakimś olbrzymim eterycznym lampionem. Ktoś grał na harfie.

W namiocie odbywało się ekskluzywne przyjęcie. Kervarl rozpoznał Aothoriego, pierwszego oficera. Najstarszy syn kapitana był po trzydziestce, choć nadzwyczaj urodziwa twarz sprawiała, że wyglądał znacznie młodziej. Wyrazistą twarz okalały gęste i kręcone rude włosy oraz kozia bródka mająca podkreślać i tak wystające kości policzkowe. Luźna toga odslaniała doskonale umięśniony tors, gdy leżał na kanapie za stołem. Mimo swego

atletycznego wyglądu Kervarlowi wydał się dandysem. Jego siedzący wokół stołu przyjaciele z najwyższych kręgów arystokracji Varlanu byli równie młodzi i żywiołowi. Para w kącie namiotu uprawiała seks na stercie poduszek, a kilka innych stało nad nimi, sącząc wino i patrząc. Wszystkie służące nosiły długie spódnice, ale były nagie od pasa w górę i równie piękne jak kobiety, które przyszły w gości. Dwaj służący nosili przepaski biodrowe, a ich naoliwiona skóra lśniła w mglistym świetle lamp.

Kompleks niższości powrócił gwałtowną falą. Kervarl poczuł się stary, niechlujny i biedny.

– Mój drogi kolego – rzekł Aothori. – Witaj.

Kilkoro gości raczyło spojrzeć na Kervarla tylko po to, żeby natychmiast stracić zainteresowanie. Wtedy jego pokorę zastąpił gniew. Kim oni są, do cholery, żeby patrzeć na niego z góry? Bogacze, którzy wszystko odziedziczyli. Którzy niczego nie dokonali.

Larrial cichutko odkasznął.

Kervarl się skłonił.

– Dziękuję, że zechciałeś mnie przyjąć, panie.

– Nie ma za co. Pierwszy mówca bardzo cię ceni. – Obrócił się do wyciągniętej obok piękności. – Widziałas, co tam zrobiłem?

Uśmiechnęła się bezmyślnie, po czym zmierzyła Kervarla lodowatym spojrzeniem.

– Mam dla ciebie coś na dowód mej wdzięczności, panie.

Kervarl dotknął swoją teka pleców dziewczyny i popchnął ją naprzód, modląc się, żeby nie upadła. Mrugając powoli zasnutymi narnikiem oczami, podeszła do stołu ze stertami jadła. Kervarl znów pozałował, że nie przyprowadził ładniejszej dziewczyny.

– Jakże hojny dar – rzekł Aothori. – Jestem pewny, że będzie w najwyższym stopniu zadowolająca.

Kervarl słyszał tylko drwinę w głosie pierwszego oficera.

Aothori pstryknął palcami.

– Przygotujcie ją – powiedział do jednego ze służących.

Odprowadzili dziewczynę, wciąż odurzoną narnikiem.

– A teraz, jak rozumiem, masz dla mnie jakąś handlową propozycję? – powiedział Aothori.

Słyszac to, kilkoro gości roześmiało się. Odgłosy uprawianego na poduszkach seksu się nasiliły. Inny mężczyzna zrzucił togę i dołączył do pary.

– Istotnie, panie. Mam ziemie w górach Sansone. Chciałbym dostać licencję na wydobywanie kopaliny. Kapitan dysponuje prawami do wydobywania minerałów na całej planecie. Rozumiem, że możesz wydać licencję mojej firmie.

– Na wydobywanie czego dokładnie?

– Srebra, panie.

Aothori uniósł doskonale wypielęgnowaną brew.

– Nie wiedziałem, że tam jest srebro.

– Znaleźli je moi geodeci, panie – odparł z dumą Kervarl. Chciałby wyjaśnić, jakie to było trudne, jak kosztowne, ile trudu wymagało to przedsięwzięcie. Jakiego ryzyka. Jednak tu, w tym absurdalnie dekadentckim otoczeniu, przygotowana przemowa byłaby kompletnie bezcelowa. Teraz chciał tylko dostać zgodę i odejść.

– Jesteś bardzo przedsiębiorczy – mruknął Aothori.

– Dziękuję, panie.

– I dlaczego właściwie miałbym ci przyznać licencję?

– Chciałem zaproponować spółkę.

– Ach. Cudownie. I bardzo mądrze. Widzę, że doskonale będzie się nam współpracowało.

Jaki procent dla mnie przewidujesz?

Kervarl miał nadzieję, że się nie poci. To był kluczowy aspekt: jeśli poda złą liczbę...

Pierwszy mówca radził piętnaście.

– Siedemnaście i pół, panie.

Przeklął się stąd aż do Uracusa za to, że jest takim tchórzem.

– To bardzo hojna propozycja – rzekł Aothori.

Nalał z karafki trochę wina do pucharu i dał go służącej. Ta zaniósła go Kervarlowi.

Wszyscy wokół stołu czekali, patrząc. Na ustach niektórych pojawiły się drapieżne uśmiechy. Energiczna trójka na poduszkach zagłuszała dźwięki harfy.

Aothori podniósł kielich.

– Sądzę, że umowa stoi.

Wypił wino. Goście przyjęli to aplauzem.

Kervarl starał się nie okazać ulgi. *Rozegraj to spokojnie. To gra.*

– Panie.

Podniósł kielich w toaście do pierwszego oficera i wypił.

– Za nas dwóch – oznajmił głośno Aothori. – Mojego nowego partnera w interesach.

Wszyscy przy stole podnieśli kielichy.

– Dobra robota – nadał na prywatnej ścieżce Larrial.

Kervarl uśmiechnął się do wszystkich i wypił jeszcze trochę wina. Nie było tak dobre, jak się spodziewał. Ale to nie miało znaczenia. Tak jak wszystko inne. *Dostałem licencję!*

– Jutro moje biuro uzgodni z tobą wszystkie nudne szczegóły – powiedział Aothori.

– Tak, panie – rzekł Kervarl. Nie wiedział, co ma teraz zrobić. Pierwszy oficer patrzył na niego wyczekująco. – Zostajemy? – spytał prywatną ścieżką Kervarl.

– Wielki Giu, nie. Pożegnaj się. Tacy jak my nie spoufalają się z pierwszym oficerem.

Kervarl znów się skłonił.

– Jesteś bardzo uprzejmy, panie. Nie chcę zajmować ci więcej czasu. Moi prawnicy skontaktują się z twoim urzędem, jak sugerowałeś.

– Istotnie.

Aothori niedbale i łaskawie skinął ręką.

Kervarl odwrócił się i odszedł. Ogromnym wysiłkiem woli powstrzymał chęć zrobienia tego w tanecznych podskokach.

* * *

Aothori patrzył, jak właściciel ziemski z południa odchodzi przez pałacowe ogrody. Z rozbawieniem potrząsnął głową, czując ogrom zadowolenia emanującego spod nieszczelnej teraz osłony tego człowieka.

– Zdumiewające – mruknął.

– To, że znaleźli srebro w górach Sanson? – spytała Mirivia, grzebiąc palcem wskazującym w misie z nasionami akralu w miodzie.

Spojrzał na nią z rozczarowaniem. Mirivia była w tym tygodniu jego faworytą, ale nie należała do najbystrzejszych.

– To, że ktoś dostatecznie sprytny, by znaleźć tam srebro, może być taki głupi. To ta południowa mentalność, rzecz jasna. Etyka dumy ze swej pracy ich zgubi. – Uśmiechnął się.

– Zobacz, co zrobiłem.

Wydęła usta i zrobiła całe przedstawienie ze zlizywania kleistych czarnych nasion z palca.

– Jesteś taki okrutny.

– Staram się. – Telepatycznie obserwował, jak Kervarl zwalnia i przystaje, a potem pytająco spogląda na Larriala. – Gdyby tylko był jednym z nas, nieprzesiąkniętym smrodem Shanty. Dżentelmen przysłałby kogoś ze swego personelu, żeby załatwił coś tak wulgarnego jak licencja. Jednak, oczywiście, musiałby wydać pieniądze i zaufać swojej władzy nad innymi. Wygląda na to, że Kervarla na to nie stać.

W ogrodzie Kervarl osunął się na kolana. Rozpaczliwie przycisnął dłonie do szyi. Strach i panika wylewały się z jego pozbawionego osłony umysłu.

– I prócz tego, że nie jest dżentelmenem, jest ambitny – rzekł Aothori, gdy Kervarl upadł na twarz w wypielęgnowanej alejce. – Naprawdę nie możemy tolerować czegoś takiego; skończyłoby się to drugą Jaśminową Aleją.

– No tak, nikt tego nie chce – przytaknęła Mirivia.

Stojąc nad nieruchomym ciałem, Larrial odwrócił się twarzą do grotu.

– Nie żyje – nadał.

– Doskonale – odpowiedział Aothori. – Niech poborcy nałożą na jego rodzinę ogromny podatek pogrzebowy. Moje biuro zakupi jego posiadłość. Wygląda na to, że weszliśmy w biznes wydobywania srebra.

– Tak, panie.

Aothori podniósł karafkę z zatrutym winem i podał ją jednej ze służących.

– Pozbądź się tego; nie chcemy tu żadnych wypadków.

– Panie.

– I czy prezent od Kervarla jest gotowy? Szkoda byłoby go zmarnować.

Dziewczyna unikała jego spojrzenia, skryta za szczelną osłoną.

– Tak, panie.

– Doskonale. – Pocałował Mirivię. – Chętnie zobaczę najpierw, co ty z nią zrobisz. Potem pokażę ci, co ja potrafię.

TRZY

Gdy dotarł na szczyt wzgórza, Slvasta o ponad dwadzieścia pięć metrów wyprzedził wszystkich pozostałych. Nie biegł, ale szedł bardzo szybkim krokiem. Wejście na szczyt zajęło mu ponad półtorej godziny. Pierwszą rzeczą, jaką zrobił, awansując na porucznika osiem miesięcy temu, było rozpoczęcie własnego programu szkoleniowego siedmiu plutonów, którymi dowodził. Trening obejmował dziesięciokilometrowy marszobieg dwa razy w tygodniu, z pełnym obciążeniem. Jego koledzy oficerowie – którzy byli tak rozsądni i pomocni podczas tych dwudziestu miesięcy, jakie dzieliły jego wybawienie przez marines od awansu – rzadko codziennie widywali swoich żołnierzy. Uważali, że przestawanie z szeregowcami jest w złym tonie; przekazywanie rozkazów zostawiano podoficerom. A już z pewnością nie ćwiczyli ze swoimi ludźmi, nie po takich ilościach jedzenia i picia, jakie spożywali w kantine. Slvasta uważał, że to głupota. Chciał, by jego żołnierze wiedzieli, że nie jest jakimś osłem z demobilu, mianowanym dzięki majątnej rodzinie, tak jak większość oficerów. Powinni wiedzieć, że jest równie sprawny jak oni, gdy wyrusza na poszukiwanie jaj. Powinni mu ufać i wierzyć w jego umiejętności. Ponadto chciał poznać ich mocne i słabe punkty; dzięki temu będzie wiedział, gdzie ich przydzielić, jakie wyznaczyć im zadania i co potrafią. A mógł się tego dowiedzieć, tylko obserwując ich w akcji.

Przystanął i zrobił kilka głębokich wdechów. Dochodziło południe i niebo było bezchmurne. Słońce wściekle prażyło, rozgrzewając powietrze. Koszulę miał mokrą od potu. Odczepił manierkę od pasa i napił się wody.

Zaczęli przybywać pozostali żołnierze, uśmiechnięci i zdyszani, dumni z siebie, że dotrzymali kroku porucznikowi. Niebo nad nimi było pełne szybujących mod-ptaków. Slvasta dopilnował, żeby regiment przydzielił jednego każdemu z żołnierzy, którymi dowodził. Teraz, gdy zostaną wypuszczone w czasie poszukiwań, każdy metr kwadratowy terenu można będzie zbadać pod kątem śladów Upadku. Po narzekaniach starszych oficerów inne oddziały także zażądały przydzielenia mod-ptaków każdemu żołnierzowi. W głównej kwaterze budowano nową ptaszarnię, żeby pomieścić wszystkie. Choć nie cieszył się sympatią swoich kolegów oficerów, rekruci prosili o przydzielenie do oddziału jednorękiego porucznika.

– Sierzancie – zawołał Slvasta.

Sierżant Yannrith podszedł. Był ogromnym mężczyzną po sześćdziesiątce, którego żołnierze słuchali bez zastrzeżeń. Miał na szyi bliznę po ranie, w wyniku której mówił szeptem. I obojętnie, co mówił, brzmiało to ponuro i groźnie. Slvasta nigdy nie zapytał go o pochodzenie tej blizny. Według krążących w kantine plotek czyjś mąż za wcześnie wrócił do

domu albo to pamiątka po burzliwej młodości w ulicznym gangu. Prawda była nieistotna. Yannrith był najlepszym sierżantem w regimencie – i tylko to było ważne.

– Poruczniku? – Yannrith zasalutował.

– Dziesięć minut odpoczynku, a potem zaczniemy poszukiwania wzrokowe. Dopilnuj, żeby się napili.

Yannrith skłonił głowę.

– Poruczniku.

Slvasta usiadł na głazie, zsunął z czoła kapelusz z szerokim rondem i zaczął oglądać rozpościerający się przed nim krajobraz. Wzgórze nie było wysokie, ale było zeń widać tereny znajdujące się na południu, pofałdowany obszar lasów i sawann. Przecinały je lśniąca srebrzyście rzeki. Jeziora były ciemnymi plamami. Dostrzegł trochę ziem uprawnych, gospodarstw i plantacji trzciny, ale większość była dzika i niezamieszкана. Za horyzontem rzeka Colbal wiała się leniwie na południowy zachód, ku stolicy.

Znajdowali się teraz dwa dni drogi na południe od Adice. Za nimi był gęsto zamieszkanym teren z wielkimi posiadłościami i mozaiką prosperujących farm. Miasta i wioski były połączone dobrymi drogami. Długie pasma dymu ognisk alarmowych wciąż unosiły się w niebo nad zaniepokojonymi mieszkańcami. Ten teren nie interesował Slvasty; każde jajo Upadłych zostanie tam natychmiast zauważone. Jednak tu, w głębi kraju, gdzie było mniej dróg i jeszcze mniej ludzi – tu sytuacja wyglądała zupełnie inaczej.

Żołnierze usiedli i powymajowali racje żywnościowe z plecaków. Slvasta nie pozwalał swoim ludziom używać zmodyfikowanych karłów, ponieważ był świadkiem tego, jak Quanda przejęła całkowitą kontrolę nad modami, tak więc wszystko, czego potrzebowali, prowadząc poszukiwania, musieli nosić w plecakach. Większość sprzętu obozowego niosły cztery zmodyfikowane konie i dwa ziemskie, które udało mu się załatwić; zamierzał wymienić także pozostałe zmodyfikowane konie na ziemskie. Na razie podczas przeczesywania nie pozwalał wysyłać zmodyfikowanych na wysunięte pozycje, gdzie mogłyby napotkać Upadłego. Modptaki były jedynym odstępstwem, na jakie przystał, i wciąż się zastanawiał, czym można by je zastąpić. Większość rodzimych ptaków była zbyt mała i ruchliwa oraz nie tak potulna jak mody. Niektórzy, głównie w pubach Cham, twierdzili, że rajasztrębie można wytresować; podobno bogaci właściciele ziemscy w prowincji Rackwesh wykorzystywali je do polowań na dziki. Jednak Slvasta nie miał pojęcia, jak złapać takiego ptaka, nawet gdy jest pisklakiem.

Szeregowiec Tovakar, który wciąż pełnił karną służbę, po tym jak spieprzył wyładunek ekwipunku z pociągu, uwiązał kozła, którego kazano mu prowadzić. Jego wybuchowy charakter czynił go idealnym poganiaczem złośliwego zwierzęcia, które parskalo i szarpało sznur, rozzłoszczone tym, że zmuszono je do wejścia na wzgórze. Patrząc na to, Slvasta uśmiechnął się pod nosem. Nikt w jego oddziałach nie narzekał już na konieczność zabierania tych upartych stworzeń, a pięciu nowych rekrutów szybko zrozumie dlaczego.

Slvasta ogłosił koniec odpoczynku i podoficerowie podeszli do niego. Przez lunety obejrzelili obszar, który mieli przeczesać. Slvasta zażądał przydzielenia tego obszaru, co

pułkownik zrobił bardzo chętnie. Nikt inny nigdy nie zgłaszał się na ochotnika do przeczesywania takich trudnych terenów.

Podzielili obszar na kwadraty. Slvasta i Yannrith przydzielili je poszczególnym drużynom. Omówiono sposób prowadzenia poszukiwań. Spodziewane tempo dostosowano do aktualnego stanu terenu, a nie mapy. Uzgodniono lokalizację obozu, który zostanie rozbity na noc.

Drużyny zaczęły schodzić ze wzgórza, stopniowo się rozdzielając i kierując do wyznaczonych kwadratów.

Slvasta towarzyszył drużynie Yannritha. Obszar, który mieli przeczesać, był stosunkowo płaski, ale porośnięty miejscową bambusową trzcina o twardej łodydze, tworzącą na wysokości kilku metrów szeroki parasol obwisłych pierzastych liści koloru fukcji. Słońce przedzierało się przez tę puszystą gęstwinę, zabarwiając na fioletowo powietrze pod nią, wokół idących żołnierzy.

Rozciągnęli się w długi szereg, idąc w trzystumetrowych odstępach, żeby utrzymać połączenie telepatyczne. Kilku żołnierzy wycinało bambusy maczetami. Slvasta łamał je swoją teka. Puste łodygi były znacznie cieńsze niż pnie drzew, ale ich ogromna masa znacznie zmniejszała widoczność. Nie przejmował się wywołaną tym lekką klaustrofobią. Skupił się, wykorzystując wzrok mod-ptaka szybującego nad falującym oceanem fioletowego puchu. Swoją ścieżką prowadził go nad kwadratem, kursem równoległym do innych. Łącznie oddział przeszukiwał obszar o szerokości dwóch kilometrów.

– Poruczniku! – zawołała podekscytowana szeregowca Andricea. – Czy to jeden z nich?

Jej ścieżka ukazywała obraz przesłany przez mod-ptaka, z kępą powalonych bambusowych trzcin.

– Zaczekaj – rozkazał jej Yannrith.

Kilka mod-ptaków poleciało do wyrwy w rozkołysanym fioletowym baldachimie. Slvasta uznał, że jest za mała na ślad po uderzeniu jaja, ale uważnie okrążył ją swoim mod-ptakiem, zanim pozwolił mu opaść między połamane łodygi. Nie było tam jaja, a wiotkie poszycie już się wyprostowało. Domyślał się, że to ślad pojedynku stoczonego przez byki ventaus; te groźne, podobne do niedźwiedzia stwory lubiły cień i zwykle trzymały się z dala od innych. Jednak w ubiegłym miesiącu miały sezon godowy.

– Czysto – zawiadomił telepatycznie oddział Yannrith. – Mimo to dobra robota, Andricea – dodał.

Jej umysł wysłał falę satysfakcji, nim zamknęła osłonę. To był jej pierwszy patrol i bardzo chciała dobrze się spisać. Slvasta obawiał się, że jej wzrost (dzięki szczudłowatym nogom była parę centymetrów wyższa od niego) i młodość (miała zaledwie dwadzieścia lat) może rozpraszać jego podkomendnych. Jednak Andricea dowiodła, że potrafi zachować zimną krew w każdej sytuacji, zarówno w koszarach, jak i poza nimi.

Oddział podjął przerwany marsz.

Byki ventaus najwyraźniej tu nie próżnowały. Nie tylko drużyna Yannritha sprawdzała połamane łodygi bambusa; nieustannie zgłaszano takie miejsca. Późnym popołudniem Tovakar zakomunikował wszystkim:

– To dziwne. Znalazłem trop, ale nie wiem, co go zostawiło. Widzę ślady kopyt i w ogóle...

Slvasta posłał tam swego mod-ptaka, żeby to sprawdził. Tovakar może miał porywczy charakter, ale w terenie można było na nim polegać. Rzeczywiście, trop wyglądał niezwykle – długi pas połamanych bambusów, szeroki na trzy lub cztery metry. Mod-ptak nie pokazał mu dostatecznie wyraźnego obrazu, więc Slvasta kazał drużynie zrobić postój i zaczął przedzierać się przez gąszcz łodyg do Tovakara. Pokonanie tej odległości zajęło mu ponad dwadzieścia minut, w trakcie których jego mod-ptak sprawdzał trop, zdający się prowadzić przez bambusy prosto na porośniętą krzakami równinę.

Gdy dotarł do Tovakara, trop wyglądał jak droga wycięta w bambusach. Biegł prosto, a ich łodygi były złamane zaledwie kilka centymetrów nad ziemią. Poszycie zostało zgniecione w interesująco jednakowy sposób. Było tam również kilka płytkich bruzd. Nie pozostawiły ich koła, więc na moment wyobraźnia podsunęła mu zwariowaną wizję miniaturowego pługa ciągniętego przez te zarośla.

– Przeciągnięto tędy coś ciężkiego – orzekł Slvasta. Obejrzał ślady kopyt w mokrej glebie; część z nich zostawiły ziemskie konie, pozostałe zmodyfikowane. Kiedy przesunął dłonią po zgniecionych źdźbłach trawy i pędach chlastotrzcin, skórę oblepił mu sok. – Niedawno, najwyżej dwie lub trzy godziny temu. – Wstał i spojrzął na szlak. Wszystkie rośliny były przygięte lub złamane w jednym kierunku, południowo-zachodnim. – Sierzancie? – wysłał myśl. – Chcę, by zebrały się tu wszystkie drużyny. Pójdziemy tym tropem.

– Tak jest, poruczniku – odparł Yannrith.

W eterze nagle zaroilo się od telepatycznych przekazów.

– Chodź – rzekł Slvasta do Tovakara.

We dwóch ruszyli po śladach.

– Jak pan myśli, co to takiego, poruczniku? – zapytał żołnierz, ciągnąc na sznurze kozła.

– Powiem ci, co wiem – odparł Slvasta. – Założone przez Upadłych gniazda zbierają nowe jaja i wywożą je ze strefy Upadku, którą przeczesujemy. W ten sposób jaja będą bezpieczne, a wchłanianie nie będzie przypadkowe.

Tovakar spojrzął na zgniecioną roślinność, po której szli.

– Ten ślad zostawił ktoś ciągnący jajo?

Slvasta wzruszył ramionami. Wysłał swego mod-ptaka spiralą w górę, próbując zobaczyć, dokąd wiedzie trop. Oglądany telepatycznie teren rozpościerał się przed nim jak miraż. Jeśli poprowadzić linię prostą od skraju bambusowego gaju... Pięć lub sześć kilometrów dalej wstęga rzeki przecinała zarośniętą chaszczami równinę, wijąc się szerokimi zakolami i zakrętami między nieregularnie porozrzucanymi pagórkami. Jeszcze dalej, na zachodzie, pojawiały się połacie dżungli.

To musi być dopływ Colbal – zdecydował. Największa rzeka na całym kontynencie lamarnańskim płynęła od gór Guelp na północny wschód od Prerov aż do stołecznego Varlanu na zachodzie, a potem wpadała do Zatoki Meor, ponad trzy tysiące kilometrów dalej. Skomplikowana sieć jej dopływów pokrywała sporą część kontynentu. Na ich brzegach zbudowano setki miast. Chociaż linia kolejowa była czynna już od tysiąca pięciuset lat, większość ładunków i pasażerów transportowano rzeką.

Łódź mogła dotrzeć prawie wszędzie, znacznie łatwiej niż wóz i nie przyciągając niczyjej uwagi. Idealne miejsce na gniazdo.

Przez następne pół godziny dołączały do nich pozostałe drużyny. Zanim wyszli z bambusowego gaju, miał już przy sobie cały oddział. Trzydziestu ośmiu żołnierzy, podeksycytowanych i gotowych do walki.

Po wyjściu na równinę przyspieszyli kroku. Po niebie przepływały obłoki, z początku długimi białymi pasmami, przedzierającymi się przez jasny kobalt niebosłonu. Potem niebo na północy pociemniało od zbierających się deszczowych chmur.

Koziół zaczął się buntować i szarpać sznur. Tovakar z trudem ciągnął wielkie zwierzę za sobą.

– Spętaj go – rozkazał Slvasta. Trop wiódł w pas gęstych drzew, szeroki na ponad kilometr i dochodzący do rzeki. Dotarli doń w chwili, gdy zaczął padać deszcz. Mod-ptaki wysłano przodem. Slvasta utrzymywał szybkie tempo marszu, podążając szlakiem wydeptanym w poszyciu między drzewami.

– Poruczniku – zawołał Jostol. – Łodzie!

Slvasta telepatycznie połączył się ze swoim mod-ptakiem i spojrzął jego oczami. Dwa duże parowce stały zakotwiczone w zakolu rzeki. Blisko brzegu, gdzie wielkie drzewa wanno pochylały się nad wodą, były niemal zupełnie zasłonięte przez ich gęste i zwisające gałęzie. Dopóki nie przyjrzałeś się bardzo uważnie, nigdy byś ich nie zauważył. *Barki towarowe* – pomyślał Slvasta.

Zaczął wydawać rozkazy kapralom, wyznaczając drogi podejścia. Inne mod-ptaki przywołano, żeby nie zaalarmować Upadłych, pozostawiając należącego do Jostola jako jedyne obserwatora. Mod-ptak krążył bardzo wysoko, starając się nie rzucać w oczy. Deszcz stał się ulewny i niewiele było widać. Slvasta z trudem dojrzał kilka ludzkich postaci oraz zmodyfikowane konie i małpy. Mieli również kilka ziemskich koni.

Czterysta metrów od brzegu drużyny zaczęły rozwijać szyk. Zbliżając się do kotwicowiska, Slvasta z sierżantem Yannrithem, Tovakarem, Jostolem i pięcioma innymi żołnierzami zwolnili, czekając, aż inne drużyny dotrą na miejsce, okrążając grupę ludzi przy barkach.

– Przygotować broń – rozkazał, gdy znaleźli się sto metrów od rzeki.

Wziął swój karabin i telekinetycznie odciągnął rygiel, telepatycznie sprawdzając, czy mechanizm działa.

– Hej tam, cześć – powitał ich wesoło silny sygnał.

Slvasta się skrzywił. Wiedział, że nie zdołają dotrzeć tam niepostrzeżenie, ale miał nadzieję, że uda im się podejść bliżej.

– Kim jesteście? – zapytał.

– Rangersami.

– Co?

Slvasta rzucił się biegiem. Telepatycznie ujrzał siedmiu mężczyzn i kobietę stojących spokojnie pod wielkim baldachimem prastarego drzewa wanno, chroniącym ich przed ulewnym deszczem. Nie mieli żadnej broni, którą zdołałby wykryć.

– Rangersami – powtórzył mężczyzna stojący na przedzie grupy. – Jesteśmy z rezerwowego regimentu okręgu Erond. Staramy się pomóc. A kim wy jesteście?

Slvasta minął ostatnie drzewa. Brzeg rzeki znajdował się teraz dwadzieścia metrów przed nim, wraz z dwoma długimi drewnianymi barkami spokojnie unoszącymi się na wodzie. Z ich wysokich żelaznych kominów unosił się dym.

Ostrożnie podszedł do grupy.

– Porucznik Slvasta, regiment okręgu Cham. Wyznaczono nas do przeczesania tego terenu.

– Nie wiedzieliśmy. Oczywiście, również go przeczesaliśmy, najlepiej jak mogliśmy.

Mężczyzna posłał mu uśmiech graniczący z drwiną. Był wysoki, zapewne dobrze po dwudziestce, z grzywą rozczochranych blond włosów i najbardziej zielonymi oczami, jakie Slvasta widział. Miał na sobie długą brązową pelerynę z materiału przypominającego nawoskowany zamsz, ale znacznie cieńszą i lżejszą; krople deszczu gładko po niej spływały. Metalowe guziki były małe i jakieś dziwne. Slvasta jeszcze nie widział takiego płaszcza. Ponadto mężczyzna mówił z obcym akcentem, przeciągając każde słowo.

– Kim jesteście?

– Przepraszam, powinienem powiedzieć. Jestem Nigel. To moja żona, Kysandra. A to moi ludzie.

Slvasta odchylił przemoczone, obwisłe rondo kapelusza, żeby lepiej widzieć.

– Twój ludzie?

– Żołnierze. Pod moją komendą.

– Muszę mieć pewność, że jesteś człowiekiem.

– Jasne, opuszczę osłonę. Sprawdzaj.

– Nie. To nie wystarczy. Upadli mają takie same organy jak my.

– To co proponujesz zrobić?

Slvasta przesunął bezpiecznik karabinu i pozwolił mu zawisnąć na pasie. Wyjął z pochwy nóż.

– Ach – rzekł Nigel. – Jeśli nalegasz.

– Oslaniajcie mnie – powiedział Slvasta swoim żołnierzom.

Drużyny do tej pory zdążyły otoczyć miejsce kotwiczenia barek. Żołnierze zajęli pozycje za drzewami, celując z karabinów do rangersów z Erundu. Podeszedł do Nigela, czując jego telepatyczne zdziwienie na widok kikuta ręki.

– Kciuk, proszę – powiedział.

Nigel wyciągnął rękę, nadstawiając kciuk. Slvasta końcem noża naciął skórę. Z ranki wypłynęły kropelki czerwonej krwi. Z satysfakcją skinął głową.

– Krew Upadłych jest ciemnoniebieska – wyjaśnił.

– Tak mi mówiono – powiedział Nigel. – Dobre potwierdzenie. Właściwie stuprocentowo pewne.

Slvasta ponownie miał wrażenie, że tamten z niego drwi. Jednak jego myśli były spokojne i stonowane. Jedyne emocjonalne zabarwienie, jakie wychwytywał Slvasta, to niezmacona pewność siebie – z której zapewne wynikał ten kpiący ton. Starając się nie zwracać na to uwagi, skinął na Kysandrę.

„Żona” rangersa wyciągnęła rękę. Slvasta ocenił jej wiek na szesnaście, siedemnaście lat. Była ładną dziewczyną z mnóstwem piegów i grzywą gęstych, kasztanowatych włosów, związanych w kucyk. Współczuł jej, ale powstrzymał się od komentarzy. Zaaranżowane małżeństwa stosunkowo często zdarzały się na wsi, a dziwny strój Nigela świadczył o zamożności właściciela. Jej nastawienie było identyczne jak Nigela, tylko mniej kontrolowane. Wyraźnie wyczuwał pogardę, jaką darzyła jego i jego żołnierzy. Ona też była człowiekiem.

– Panowie. – Nigel skinieniem przywołał rangersów.

Jeden po drugim podeszli do Slvasty i dali się sprawdzić.

Slvasta nie znał kryteriów werbunku w okręgu Erond, ale ci rangersi bardziej przypominali bandytów z ulicznego gangu niż żołnierzy. I nie próbowali ukrywać swej pogardy; paru drwiąco się uśmiechało na widok jego kalectwa.

– Wszyscy czyści – oznajmił Slvasta, gdy ostatni uronił czerwone krople w deszczu. Nie zdołał ukryć zdziwienia. – Co, na Uracusa, tutaj robicie? To środek niczego. My dopiero co tu dotarliśmy.

– Czysty przypadek – odparł Nigel. – Jestem kupcem. Moje statki były w Dural z ładunkiem folaksu. Chciałem zamienić go na nasiona hethalu. Zobaczyliśmy ognie alarmowe i zgłosiliśmy siędo pomocy przy przeczesywaniu. Każdy robi, co może, prawda? Dowódca regimentu w mieście wysłał nas w górę rzeki.

Duży ptak nadleciał w strugach deszczu i wylądował na jednym z konarów nad ich głowami. Gałąź zakołysała się pod jego ciężarem. Slvasta jeszcze nigdy nie widział takiego ptaka. Ten miał szerokie skrzydła o ponaddwumetrowej rozpiętości i zdecydowanie był zmodyfikowany. Jednak jego rozmiary i zwinność przewyższały wszystko, co potrafił wyprodukować jakikolwiek znany mu adaptator.

– Czy to zmodyfikowany ptak? – zapytał.

– Ge-orzeł – odparł Nigel. – Tak.

– Co takiego?

– Rodzaj zmodyfikowanego ptaka, bardzo dobry.

Nigel z dumą spojrzął na ptaka, który bez zmrużenia oka patrzył na sierżanta Yannritha i otaczających go żołnierzy. Slvasta zauważył, że szpony orła mają stalowe końce.

– Skąd go masz?

Nigel uśmiechnął się sardonicznie.

– Pewien człowiek z wioski Ashwell umiał je robić. Jednak to było dawno temu i daleko stąd.

– Rozumiem. – Slvasta był świadomy tego, że traci twarz. – Będziemy musieli przeszukać twoje statki.

– Oczywiście – odrzekł Nigel.

Brodząc w płytkiej wodzie, sierżant Yannrith wprowadził drużynę na jeden ze statków. Kapral Kyliki wszedł na drugi.

– Zostawiliście za sobą bardzo szeroki ślad – powiedział Slvasta. – Tak was znaleźliśmy. Co nieśliście?

– Nic – odrzekł Nigel.

– Wyglądało to, jakbyście coś wlekli. Coś dużego.

– A tak, zaprzęgliśmy parę koni do kamiennych łodzi. Umieściliśmy na nich nasz sprzęt obozowy. Coś nie tak?

– Kamienna łódź? Co to takiego?

– Płaskie sanie. Można je ciągnąć dość szybko i pokonywać większe odległości. W końcu wóz tutaj nie przejedzie, poruczniku. W takim terenie koła są nieprzydatne.

Sposób, w jaki to powiedział – podkreślając rzecz zupełnie oczywistą, jakby wyjaśniał to klasie pięcioletków – sprawił, że Slvasta poczuł się głupio. Zapewne o to chodziło Nigelowi.

– Sprawdźcie te sanie – powiedział Yannrithowi i Kylikiemu.

– Jeśli mogę spytać – rzekł Nigel. – Ręka?

– Wpadłem do gniazda Upadłych – odrzekł beznamyślnie Slvasta. – Jajo wciągało mnie, gdy przybyli marines.

Nigel zerknął na swój skaleczony kciuk.

– Jeszcze nigdy nie spotkałem kogoś, kto by z tego wyszedł. Miałeś szczęście.

– Tak.

Slvasta starał się zablokować wspomnienie Ingmara i jego okropnych błagań.

– Zatem teraz rozumiesz zagrożenie jak mało kto i jesteś całkowicie oddany regimentowi oraz obronie Bienvenido. To musi niepokoić twoich zwierzchników.

– Dlaczego tak mówisz?

Nigel popatrzył na niego, jakby oceniał go wzrokiem. Slvasta mógł tylko odwzajemnić mu się tym samym.

– Jesteś lepszym żołnierzem od nich. Oni to wiedzą, i twoi żołnierze też. Twoje oddanie sprawi ich niepokoi. Wiara zawsze tak działa na starych ludzi, zadowolonych ze swoich

stanowisk i przywilejów. Wygoda jest wrogiem zmiany. Wygoda jest łatwa. To dobry posiłek i noc w ciepłym łóżku. Wszystko, co jej zagraża, jest postrzegane jako niebezpieczne.

– Brygadier Venize jest wspaniałym dowódcą.

Nigel uśmiechnął się ze zrozumieniem.

– Jestem tego pewny. Ale zastanów się: czy jest tak dobry, jak byłbyś ty, gdybyś dowodził regimentem?

– Ja... To niedorzeczne pytanie. Dopiero co awansowałem na porucznika.

– A ja znam takich ambitnych ludzi jak ty, poruczniku. Ty, jak mało kto, musisz zdawać sobie sprawę z tego, że Upadli nigdy się nie skończą. A regimenty i nawet marines, niech ich Giu błogosławi, są niczym innym niż próbą ograniczenia szkód. Jeśli Upadli mają zostać zwyciężeni, najpierw trzeba przełamać tę bierną akceptację. Dopiero potem, gdy status quo, tak popierane przez stare i wpływowe rody, zostanie zmienione, pojawi się nowe nastawienie. Tylko wtedy ośmielimy się znów śnić, jak powiedział ktoś dawno temu. I jeśli tak kiedyś się stanie, życie na Bienvenido się zmieni.

Slvasta zdawał sobie sprawę z tego, jak niepokojące były te słowa dla żołnierzy. On sam, nieoczekiwanie, przyznał Nigelowi rację. Tamten powiedział to, o czym on myślał, tylko nigdy nie odważył się mówić. Bardzo chciałby usiąść i odbyć długą rozmowę z tym niezwykłym człowiekiem. A jednak... coś w tym wszystkim było nie tak. Nigel w najmniejszym stopniu nie przypominał szefa gangu – kulturalny, wygadany, pewny siebie jak członek Rady Narodowej, ale towarzyszyli mu tego rodzaju ludzie, jakich Slvasta dobrze znał. I nadal nie rozumiał Kysandry. Dziewczyna najwyraźniej nie była tylko ładną ozdóbką i własnością Nigela. W istocie nie wyglądała na stropioną sytuacją i stała tam, zmęczona i umorusana po podróży, ale z wyniosłym uśmiechem na twarzy. *Patrzy na mnie tak jak Quanda. Czy niektórzy Upadli mogą mieć czerwoną krew? Na Uracusa, wpadam w paranoję.*

– Mają sanie, poruczniku – oznajmił telepatyczny głos Yannritha.

Slvasta nie potrafił orzec, czy to dobrze, czy źle. Nigel posłał mu wyczekujące spojrzenie – cierpliwie czekając, aż Slvasta zrobi, co trzeba.

– Opuścić broń – rozkazał swoim żołnierzom Slvasta.

– Dziękuję – rzekł Nigel, gdy karabiny wróciły na pasy i ramiona. – Jeśli macie mapę, chętnie pokażę teren, który przeszukaliśmy. Powtarzanie tego to marnowanie sił. A każdego dnia leżące tam jajo może kogoś zwabić i wciągnąć.

– Oczywiście. – Slvasta wszedł głębiej pod wielkie drzewo wanno, gdzie było prawie sucho. Wyjął mapę i rozwinął ją. – Dostałeś dobrą cenę za twój folaks?

– Jeszcze go nie sprzedałem – odparł Nigel. – Spróbuję ponownie w dole rzeki.

– Musisz być dobrym kupcem. Te statki nie wyglądają na tanie.

– Mam bogatą rodzinę.

– Jednak radzisz sobie sam?

– Tak. W posiadłości można wieść bardzo wygodne życie, ale takie, w którym nic się nie zmienia. Nigdy nie dzieje się nic nowego. Nigdzie nie bywasz i nie widzisz niczego nowego; nie stajesz przed żadnymi wyzwaniami. To oznacza, że nigdy niczego nie osiągasz.

– Bardzo pragniesz zmian, nieprawdaż?

Nigel uniósł brew. Choć raz jego uśmiech nie był drwiący.

– Nie mów mi, że ty nie. Nie widziałem żadnego oddziału tak zdyscyplinowanego jak twój. To spore osiągnięcie, szczególnie na tym świecie. Wiem, jak to jest, kiedy trzeba się zmagać z balastem apatii i tradycji. Jeśli mam dla ciebie jakąś radę, to taką: nie daj się stłamsić draniom. Nie odpuszczaj, poruczniku. No i to, co oczywiste.

– Co jest oczywiste? – zapytał Slvasta, nie będąc w stanie przerwać tej rozmowy.

– Stare prawo: każda akcja wywołuje reakcję. Jeśli będziesz dalej robił swoje... a na Giu, mam nadzieję, że tak... zaczniesz wywierać coraz większy efekt na twoim otoczeniu. Jak rozchodzące się na wodzie kręgi. Ludzie będą się przyglądać tobie i temu, co robisz, zmieniając zasady działania regimentu, i też zechcą to robić. Wtedy napotkasz opór. W tym miejscu zaczyna się polityka. A to najbrudniejsza z walk.

– Racja.

Slvasta poważnie pokiwał głową. Jego mózg zdawał się musować pod wpływem tych słów. Całe życie czekał, żeby je usłyszeć.

– Nie obawiaj się przyszłości – rzekł poważnie Nigel. – Masz zasady. Trzymaj się ich, ale nie myśl, że możesz walczyć uczciwie, aby je zachować. Zawieraj umowy, twórz sojusze z każdym, kto cię poprze, zostawiaj ich, kiedy jest to wygodne lub gdy są już nieprzydatni. Ponieważ, wierz mi, twoi przeciwnicy będą robić to samo, żeby cię pogrzebać. Na tym polega ta gra. Jedyna gra. Rozegraj ją dobrze, a zdasz cuda.

– To brzmi...

– Cynicznie? Cholerna racja. Jednak to wielki i zły świat. Zabij albo zostań zabity, synu, tak na nim jest. Jednak nie muszę ci tego mówić, prawda?

Slvasta zobaczył Yannritha i Kylikiego wracających na brzeg.

– Dziękuję.

– Cała przyjemność po mojej stronie. – Nigel uściśnął mu dłoń. – Powodzenia. Rozrąb za mnie jedno z tych parszywych jaj, dobrze?

– Zrobię to.

Slvasta się uśmiechnął, choć sam nie wiedział dlaczego. To wszystko było bardzo dziwne.

Został na brzegu rzeki. Patrzył, jak Nigel i Kysandra brodzą w wodzie, idąc na statek i trzymając się za ręce. Ostatnie trzy konie wciągnięto na pokład i umieszczono w ładowni. Potem odwiązano cumy. Statki prychnęły obłokami pary z wywietrzników rufowych, gdy tłoki zaczęły się poruszać z głośnym szcękaniem.

Slvasta pomachał im ręką, gdy statki wypływały na środek rzeki. Nigel odpowiedział mu tym samym, zanim razem z Kysandrą zeszli pod pokład.

Sierżant Yannrith podszedł do niego.

– Jakie rozkazy, poruczniku?

Jakby zdjął rzucony urok. Slvasta spojrzął na niebo. Chmury się rozwiewały. Słońce podświetlało wierzchołki drzew, tworząc idealną podwójną tęczę. Telepatycznie spojrzął na kieszonkowy zegarek.

– Trzy godziny do zmroku. Musimy dotrzeć do naszych koni i rozbić obóz. Jutro o świcie wznowimy przeczesywanie.

– Tak jest, poruczniku. – Sierżant spojrzął na mapę, którą trzymał Slvasta. – Czy będziemy przeszukiwać teren oczyszczony przez rangersów?

– Każdy cholerny centymetr, sierżancie.

– Co oni tu właściwie robili? Przecież to sam środek niczego.

– Nie mam pojęcia.

Gdy żołnierze wracali wydeptanym przez grupę Nigela szlakiem, Slvasta wysłał swego mod-ptaka najwyżej, jak mógł. Jego zmysł telepatyczny był silny i pozwalał mu widzieć na sporą odległość. Ptak dostrzegł dwa statki płynące rzeką, już ponad trzysta metrów dalej. Nie zdawał sobie sprawy, że są takie szybkie. Dwa duże punkty unosiły się swobodnie w powietrzu nad nimi.

Dwa... Jak je nazywał Nigel? Ge-orły? Slvasta zaczął się zastanawiać, od jak dawna Nigel wiedział, że go ścigają.

Jak byś na jego miejscu się przygotował, wiedząc o tym?

– Andricea.

– Tak, poruczniku?

– Wyślij swojego mod-ptaka najdalej, jak możesz w dół rzeki. Powiedz mi, co widzisz.

Jej mod-ptak odleciał, nabierając wysokości i kierując się na zachód. Miała najlepszy telepatyczny wzrok z jego żołnierzy i bardzo donośny głos. Slvasta uchwycił przekaz mod-ptaka, widzącego meandrującą rzekę, przecinającą gęste pasma dżungli i rozległe krzaczaste równiny. Daleko przed dwoma statkami smuga dymu unosiła się z dżungli skrywającej rzekę.

Slvasta jęknął ze zgrozy. Były trzy statki. Czekając na nich nad rzeką, pozwalając im sprawdzić jego rangersów, Nigel zatrzymał ich i odwrócił uwagę.

– Co, na Uracusa, jest na tym statku?

* * *

Slvasta kazał związać obóz o świcie. Był wkurzony i nie obchodziły go narzekania żołnierzy. Miał za sobą ciężką noc. Nie mógł spać, godzinami zmagając się z tym problemem.

Nigel prowadził jakieś podejrzone działania. Co do tego nie było wątpliwości. Slvasta mógł tylko wysłać wiadomość do najbliższego biura szeryfa w odległym o dzień marszu Marlaie i ostrzec, że na statku może być coś nielegalnego – tylko że nie wiedział, jak wygląda ten statek i gdzie teraz się znajduje. Szeryf był zapewne na przeczesywaniu, a nawet jeśli nie, to zapewne by się uśmieł – bo co właściwie mógł zrobić? Nawet gdyby jakimś cudem zdołał

dopaść Nigela, ten znów wykorzystałby swój urok osobisty, a na jego statku na pewno nie było niczego obciążającego.

Jakby znów stawiał czoło Quandzie, tylko nie była to walka na śmierć i życie. Po prostu w żaden sposób nie mógł zwyciężyć. Jedyne, na czym mu zależało – i co tak sprytnie odgadł Nigel – to skuteczne oczyszczenie terenu. W porównaniu z tym działania Nigela były błahe i nieistotne. Jednak irytowało go, że dał się nabrać. Był wściekły na siebie, że okazał się tak łatwowierny. I może, jak uparcie podsuwała mu tę niepokojącą myśl podświadomość, powodem było to, że Nigel najwyraźniej należał do klasy posiadaczy – był mądry, inteligentny i pewny siebie. Slvasta nie miał takiego pochodzenia, dla którego czuł wpojony respekt.

Jednak Nigel radził mi, żebym się go wyzbył. Mówił to bardzo przekonująco.

Starając się opanować irytację, wezwał Yannritha i kaprali. Podano śniadanie złożone z gorącej herbaty i chleba z miodem. Przez dziesięć minut dyskutowali o tym, jak rozstawić drużyny do przeczesywania terenu. Chciał nadrobić stracone poprzedniego dnia godziny.

Zwinięto namioty. Sprzęt obozowy spakowano i umieszczono na końskich grzbietach.

Gdy ruszyli, na porannym niebie jeszcze były widoczne gwiazdozbiory. Giu był w zenicie, szkarłatna korona niebios, rozsyłając na wszystkie strony swe jaśniejące protuberancje, a uwięzione gwiazdy migotały jasno zza swych mglistych woali. Złocisto-turkusowy kwiat, jakim był Tizu, chował się za horyzontem, gdy wschodziło słońce, podczas gdy mglista spirala Eribu zawierała wiele rubinowych gwiazd. Jeśli mrużąc oczy, spojrzano się pod słońce, można było dostrzec Las jako migoczącą równikową narośl w koronie. Na szczęście Uracus był po drugiej stronie planety. Jego szkarłatny i siarkowy sierp rzucający swój słaby blask tego ranka za bardzo wyglądałby na zły omen.

Gdy już szli, podszedł do niego Tovakar. Wydawał się nieco spięty, z mocną osłoną chroniącą jego myśli. Slvasta cierpliwie czekał, wiedząc, że tamten w końcu powie, o co chodzi. Tovakarowi trudno było zaufać oficerom.

– Mam kuzyna, poruczniku – rzekł Tovakar. – W trzeciej linii, rozumie pan, nie jest to bliski krewny.

– Oczywiście. I co ten kuzyn robi?

– Niewiele. Prawdę mówiąc, to trochę obibok. Ma chatę na mokradłach Noldaru.

– Mówią, że to dobra ziemia.

– Tak, poruczniku, jeśli należycie ją osuszyć. Rzecz w tym, że niektórzy gospodarze uprawiają tam narnik.

– Rozumiem.

Kiedy był młodszy, Slvasta próbował palić to ziele, jak każdy nastolatek zapewne już od czasów Lądowania. Ingmar podwędził trochę z zapasu starszego brata i we dwóch urwali się pewnego popołudnia ze szkoły. Nie było tak, jak się spodziewał. Utrata kontroli go przestraszyła i większość następnego dnia przechorował. Później odkrył, że wypalili za dużo naraz.

Ponownie zakosztował tego w Prerov, za sprawą lekarza marines, który odurzył go oczyszczonym wyciągiem z tej rośliny, żeby złagodzić ból po amputacji ręki. Tym razem chętnie powitał przedziwne sny i wizje zastępujące racjonalne myślenie. Tak więc później potrafił docenić działanie narkotyku ułatwiającego życie inwalidzie. Łatwo byłoby mu wpaść w objęcia tych słodkich snów. Jednak wspomnienie ostatnich dramatycznych minut z Ingmarem było silniejsze od chęci litowania się nad sobą. Został uratowany, jeden z nielicznych, którzy uniknęli skonsumowania przez jajo. W zamian za ten dar postanowił, że zostanie poprowadzony do gwiazdozbioru Gju jako spełniony człowiek. Poprzysiął to sobie podczas tych długich tygodni depresji i bólu, gdy leżał w szpitalu.

Szkodliwe, łamiące życie działanie narnika było powodem tego, że już dwa tysiące dwieście lat temu, za rządów kapitana Leothorana, Rada zakazała jego pozamedycznego używania. Co oczywiście oznaczało, że nielegalny handel nim był wysoce opłacalny.

– Ci farmerzy więżą go w bele – powiedział Tovakar. – Wielkie bele, poruczniku.

– Tak duże, że potrzeba kamiennych łodzi, żeby je przewieźć?

– Możliwe, poruczniku. A przynajmniej tak słyszałem.

Slvasta uśmiechnął się ze zrozumieniem do zmieszanego żołnierza.

– Dziękuję, Tovakarze.

Już prawie doszli do tego gęstego, fioletowego, bambusowego gąszczu. Slvasta machinalnie rozchylił pierwsze łodygi. Trudno było uwierzyć, że Nigel jest handlarzem narnikiem. Chyba że, oczywiście, był młodszym synem jakiejś arystokratycznej rodziny, który nie zamierzał zrezygnować z wystawnego stylu życia. Narnik oznaczał łatwy pieniądź dla tego, kto miał odwagę po niego sięgnąć. Mimo wszystko trudno było mu w to uwierzyć. Nigel po prostu nie wyglądał na tego rodzaju człowieka; Slvasta jeszcze nigdy nie zetknął się z taką pewnością siebie. Chociaż był kimś w rodzaju buntownika. A przynajmniej sprawiał takie wrażenie. Co mogło być częścią jego przykrywki.

Co, na Uracusa, było na tym trzecim statku?

Slvasta rozpaczliwie chciał to odkryć. Z pewnością miał sporo zaległego urlopu, o czym wciąż przypominał mu adiutant. Nie awansuje się w pięć lat z szeregowca na porucznika bez długich godzin ciężkiej pracy. Teraz w każdej chwili mógł wziąć sobie miesiąc wolnego.

Jednak wiedział, że takiego człowieka jak Nigel nie znajdzie się w miesiąc. Chyba że zechce być znaleziony.

* * *

– Upadłe jajo!

Telepatyczny okrzyk kaprała Kylikiego rozszedł się po oddziale jak pożar. Dobrze wyszkolone i zdyscyplinowane drużyny w sposób, jakiego nauczył je Slvasta, otoczyły miejsce, gdzie leżało jajo. Nikomu, ale to nikomu, nie było wolno podejść bliżej jak na dwieście metrów – taki wydał rozkaz. Tak więc sformowali krąg o promieniu dwustu pięćdziesięciu metrów. Dopiero sprawdzwszy, że wszyscy są obecni, Slvasta zapytał:

– Gdzie jest kozioł?

– Ja go trzymam, poruczniku – odparł szeregowiec Jazpur.

– Trzymaj go mocno – odparł Slvasta. – Sierzancie, ruszamy.

– Tak jest. Wszyscy sprowadzić mod-ptaki na ziemię. Kiedy wylądują, ruszamy. Każdy obserwuje, czy jego towarzyszy nie zdradza oznak zauroczenia.

Slvasta też kazał swojemu mod-ptakowi wrócić. Jego oczami ujrzał wyrwę w baldachimie fioletowych bambusów i posłał go, żeby szybkim przelotem potwierdził lokalizację. Jajo było tam, na środku strefy Upadku. Zobaczył coś, co mogło być śmiesznie eleganckim dziełem sztuki, z czarną kulą jaja na środku, otoczoną promieniście rozłożonymi łodygami, jakby zamienionymi w jakiś niesamowity ziemski kwiat.

Teraz, przeciskając się przez gąszcz bambusowych łodyg, nie mógł go dostrzec wzrokiem, lecz przez cały czas obserwował je telepatycznie, wypatrując podstęp. Drużyny ostrożnie wyszły z gąszczy do strefy Upadku. Wtedy Slvasta to poczuł. Aromat, który sprawiał, że chciałeś podejść bliżej i powąchać, a potem posmakować – a wystarczyłoby tylko polizać tę ciemną powierzchnię. Wrażenie czekającej cię, nieporównywalnej z niczym radości, jeśli podejdziesz i dotkniesz. Ulotna melodia tak słodka, że musiałeś uważnie jej posłuchać – a wystarczyłoby zbliżyć się i przyłożyć ucho do powierzchni kuli, z której rozbrzmiewała. Jak zawsze serce zaczęło mu bić szybciej, gdy jego ciało zareagowało na tę kuszącą obietnicę. Gdyby tylko ktoś mu powiedział, że tak się dzieje, gdy napotkasz jajo. Wtedy Ingmar nadal by żył, a Quanda z jej chytrym podstępem, manipulująca przynętą seksualnej prowokacji, umarłaby w płomieniach i męce. Gdyby tylko...

– Stać.

Ostrzegawczy okrzyk Yannritha rozszedł się po polanie.

Slvasta właściwie nie zamierzał podejść bliżej, ale dziwne myśli słane przez jajo zawsze miały swój ponury powab.

– Zapamiętajcie to wszyscy – powiedział Slvasta. – Popatrzcie na wroga i pojmycie, jaki jest podstępny, jak pożąda waszego ciała. – Spojrzał na twarze żołnierzy i zobaczył, jak każdy z nich toczy własną wewnętrzną walkę. Nowi rekruci mieli najgorzej. Kilku trzeba było powstrzymać siłą. – Chcę, żebyście byli dostatecznie silni, aby za każdym razem oprzeć się temu czarowi. Będziemy tu stać, aż nauczycie się gardzić jego sztuczkami i kłamstwami. Ta obietnica, którą wyczuwacie, to śmierć. Jajo zabije was na wieki, gdyż pochłonie ciało i duszę. Jeśli upadniecie, nie będzie spełnienia i nigdy nie zostanieie poprowadzeni do Serca Pustki. Władcy Niebios nie przychodzą do Upadłych. Przychodzą tylko po ludzi. Przychodzą po godnych. I takich chcę mieć w moim oddziale. Udowodnicie mi to? Pokażecie, że jesteście godni?

– Tak jest, poruczniku – odpowiedzieli chórem.

– Nie słyszę. Jesteście godni?

– Tak jest, poruczniku!

– Czy chcecie odkryć złudne cuda, jakie oferuje?

– Nie, poruczniku!

– Dobrze. – Znów rozejrzał się po polanie. Nowi rekruci trzymali się. Nikt się nie poruszył. – Szeregowy Jazpur.

– Tak, poruczniku?

– Wypuść kozła.

Jazpur spuścił zwierzę z postronka. Kozioł, który uspokoił się po wejściu w strefę Upadku, potruchtał naprzód. Dotarł do jaja i popatrzył na nie, a potem czule otarł się łbem o ciemną powierzchnię. I przywarł.

– Teraz patrzcie – rozkazał Slvasta.

Silne psychologiczne oddziaływanie jaja znikło, gdy szorstka skóra kozła zaczęła zapadać się w jego powierzchnię. Jak zawsze, Slvasta podszedł bliżej, badając telepatycznie, usiłując wyczuć, co się tam dzieje, zrozumieć ten proces. I jak zwykle nie zdołał. Wyczuwał strukturę otoczki i gęsty ustrojowy płyn w środku. Dziwnie jednorodne myśli krążące wewnątrz. Gorączkową aktywność przy skórze i czasce kozła, wchłanianego przez to upiorne jajo.

– Kiedy dotkniesz powierzchni, przywrzesz do niej – powiedział Slvasta. – Nie zdołasz się uwolnić. – Pokazał kikut swej ręki. – Można cię odciąć, ale tylko gdy twoi przyjaciele się pospieszą. Jeśli jajo wchłonie twoją pierś, jesteś Upadłym. Jeśli wchłonie głowę, jesteś Upadłym. I wbrew plotkom, jakie krążą, żaden ubiór nie chroni przed wchłonięciem, żadne zioła nie zmuszą jaja, żeby cię wypluło, żadna teka nie zdoła cię uwolnić. Ogień też go do tego nie zmusi. Jeśli twój przyjaciel staje się Upadłym, bądź prawdziwym przyjacielem i zabij go! – Slvasta wyciągnął broń i strzelił spokojnie stojącemu kozłowi w łeb.

– Sierzancie, rozrąbać jajo.

– Tak jest, poruczniku.

Rekrutom jako pierwszym pozwolono uderzać toporami. Była to ciężka praca, gdyż poczerniała i pomarszczona powierzchnia jaja była wystarczająco mocna, by wytrzymać upadek z nieba. Jednak nie ustawali i rąbali, aż w skorupie zaczęły się pojawiać pęknięcia. Z nich poczęła spływać mlecznobiała maź. Wtedy pierwszą grupę rąbiących zastąpiła druga. Pęknięcia poszerzyły się w szpary. Maź zaczęła tryskać cienkimi strużkami.

Po dwudziestu minutach w skorupie ziały duże dziury i ciśnienie wewnątrz się wyrównało. Przedziwna zawartość jaja po prostu się wylała, tworząc wielkie kałuże na ziemi.

– Spalić to – rozkazał Slvasta.

Pięciu żołnierzy z miotaczami ognia podeszło do jaja. Zaczęli oblewać je strugami płonącej cieczy. W powietrzu unosił się odór przypalonej galarety i smażonych jaj. Slvasta wdychał go już wielokrotnie, ale niektórzy żołnierze mieli mdłości.

– Znaleźliśmy jedno – oznajmił Slvasta swoim podkomendnym, gdy miotacze płomieni spopieliły jajo. – To oznacza, że gdzieś w pobliżu są jeszcze trzy lub cztery, a może więcej. Jaja nigdy nie upadają pojedynczo. Tak więc zawróćmy i przeczeszemy cały ten okręg, jeśli będzie trzeba. Znajdziemy te jaja, a potem je rozbijemy i spalimy, zanim dopadną jakiegoś człowieka. Do roboty!

* * *

Trzydzieści dni później Slvasta stał przed wysokimi i błyszczącymi, podwójnymi drzwiami gabinetu brygadiera Venize. Wciąż miał na sobie połowy mundur, wybrudzony w terenie i obozach. Podoficerowie zaprowadzili swoich żołnierzy z powrotem do koszar, żeby się rozpakowali, umyli i zjedli porządny posiłek w kantynie kwatery głównej. Byli ostatnim oddziałem regimentu wracającym z poszukiwań. Do Cham przywiózł ich cywilny pociąg pasażerski, gdyż towarowy z resztą regimentu wrócił już tydzień temu.

Jedna połowa drzwi otworzyła się i wyszła major Rachelle. Była adiutantem dowódcy, dobrze po dziewięćdziesiątce, z siwymi włosami upiętymi w ciasny kok. Skórę miała jak wygarbowany rzemień po kilkudziesięciu latach prowadzenia poszukiwań w subtropikalnym słońcu. Jednak to było kiedyś, a teraz była tylko jeszcze jednym stetryczalym oficerem tkwiącym w sztabie. Dziesiątki takich drenowały budżet regionalnych jednostek, pobierając wygórowany żołd – pieniądze, które jego zdaniem można by lepiej wydać na żołnierzy pierwszej linii. Co do wymyślanych zaś przez nich przepisów, które osłabiały operacyjne możliwości regimentu...

– Czeka na ciebie – powiedziała lakonicznie.

Slvasta przeszedł za nią przez próg. Gabinet brygadiera Venize był kolejną ekstrawagancją. Wielki, wyłożony boazerią pokój z wysokimi, łukowatymi oknami sięgającymi sufitu. Duże wentylatory falowały powoli nad otwartymi okiennicami, poruszane przez mod-ka, który siedział w kącie i pociągał za sznur. Następna zbyteczna rzecz, pomyślał Slvasta, idąc przez pokój do biurka brygadiera. Te wachlarze w najmniejszym stopniu nie łagodziły skwaru. Jednak utrzymał swoją gładką i nieprzenikloną osłonę, nie chcąc, by ktoś wyczuł jego frustrację i rozczarowanie wywołane bezowocnymi poszukiwaniami.

– Brygadierze.

Dotarł do biurka, stanął na baczność i zaszalutował.

Venize udawał, że czyta jakiś dokument w grubej teczce. Miesiąc wcześniej regiment urządził uroczysty obiad z okazji jego stu dwudziestych urodzin. Szlachta z całego okręgu wypełniła oficerską kantynę i dwa namioty rozstawione na placu apelowym. Slvasta widział rachunek, który prawdopodobnie był jednym z głównych powodów tego, że regiment nie kupił jeszcze ziemskich koni, aby zastąpić nimi zmodyfikowane.

Brygadier dobrze wyglądał, jak na swoje lata. Wciąż sprawny i aktywny, z okularami w drucianych oprawkach korygujących jego krótkowzroczność, z cienkim wąsikiem mającym dodać mu godności. Oderwał wzrok od teczki i wyciągnął palec, wskazując jeden z dwóch foteli przed jego zabytkowym biurkiem z blatem obitym skórą.

– Siadaj, poruczniku.

Ton jego głosu nie zdradzał, jaki charakter będzie miało to spotkanie, a jego osłona była jeszcze szczelniejsza niż Rachelle.

Slvasta usiadł, wyprostowany. Major Rachelle spoczęła na drugim fotelu, patrząc na niego.

Brygadier przesunął teczkę, umieszczając ją przy stosie podobnych.

– A zatem, poruczniku, zechciałbyś powiedzieć mi, co się stało?

– Brygadierze, w przydzielonym nam do przeczesania rejonie napotkaliśmy podejrzanego człowieka imieniem Nigel. Uważam, że przejął kilka jaj Upadłych.

– A to dlaczego?

– Widzieliśmy ślady świadczące o tym, że jego konie coś ciągnęły. Twierdził, że to ich ekwipunek obozowy, a oni pomagają w poszukiwaniach. Nie mogłem dowieść, że tak nie jest, więc go puściłem. Potem znaleźliśmy jajo.

– Dobra robota. Mów dalej.

– Jedno jajo. Obaj wiemy, że to się nigdy nie zdarza.

– Kto dotknął jaja, nie uchodzi z życiem – przypomniała Rachelle. – To również dobrze znany fakt. Zawsze są wyjątki.

Slvasta posłał jej zirytowane spojrzenie.

– Dokładnie przeczesaliśmy ten obszar. Znaleźliśmy dwie inne strefy Upadku, ale bez jaj. Jednak w każdej z tych stref ktoś już wcześniej był; widzieliśmy ślady. Ten ktoś zabrał jaja.

– Zatem ów Nigel tak naprawdę jest Upadłym? – spytał Venize.

– Brygadierze, nie jest nim osobiście. Ma czerwoną krew.

– A więc towarzyszące mu osoby? – naciskała Rachelle.

– Też nie – rzekł Slvasta. – Sprawdziłem ich wszystkich. Jednak w dole rzeki był jeszcze jeden jego statek. Wtedy nie wiedzieliśmy o tym.

Brygadier zamrugał.

– Mogę przyjąć, że jakieś gniazdo zdołało dotrzeć do jaj przed naszymi oddziałami. Ty jak mało kto zdajesz sobie z tego sprawę. Ale jaki przestępczy gang zabiera jaja Upadłych? One nie mają żadnej czarnorynkowej wartości. Przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo. Mają, majorze?

– Nie, brygadierze. Nie mają.

– Poruczniku, czy wiadomo panu, żeby miały jakąś wartość pieniężną?

– Nie, brygadierze – przyznał Slvasta.

– Zatem po co brały je Nigel?

– Nie wiem, brygadierze.

– Jedyni ludzie, którzy je przemieszczają, to marines, nikt inny nie ma odpowiednich kwalifikacji ani uprawnień. Nawet oni robią to rzadko, jedynie by zabrać je do Varlanu, jeśli Instytut Badań nad Upadłymi potrzebuje ich do badań. Czy nie jest bardziej prawdopodobne, że to gniazdo znalazło je i zabrało?

– To jest możliwe, brygadierze.

– I wykorzystujesz Nigela jako usprawiedliwienie tego, że nie zdołałeś ich znaleźć? – powiedziała Rachelle.

- Nie! Na całym tym obszarze nie było innych jaj. Nigel je zabrał.
- Jeśli masz rację, to musimy założyć, że jest szumowiną opłacaną przez gniazdo – rzekł Venize. – Niebywałe. Nie sądziłem, że dożyję czegoś takiego.
- Ja... wiem, że to nieprawda* – pomyślał Slvasta. – *Nigel nie jest niczyją marionetką.*
- To sensowne wyjaśnienie, owszem, brygadierze.
- Bardzo dobrze – powiedział Venize. – Zawiadomimy marines, że gniazdo zdobyło jajo. Mam nadzieję, że rozumiesz, jak takie zawiadomienie wpłynie na reputację i status tego regimentu.
- Tak, brygadierze. Rozumiem.
- A teraz przejdźmy dalej. Proszę, opowiedz mi o farmie Bekenza, poruczniku. Slvasta starał się nie skrzywić.
- To tam odkryliśmy jedną z pustych stref Upadku, brygadierze, w lesie tuż przy granicy farmy.
- Jak to stwierdziliście? – spytała Rachele. – Przed chwilą powiedziałeś, że nie było tam jaj.
- Wiem, jak wygląda miejsce Upadku – rzekł Slvasta.
- Właściwie to było w sporej odległości od granicy farmy Bekenza, prawda? – powiedziała Rachele.
- Farma była najbliżej znajdująca się osadą – wycedził Slvasta. – Miałem obowiązek sprawdzić, czy jej mieszkańcy są bezpieczni.
- I sprawdziłeś wszystkich w zwykły sposób, zgadza się? – zapytał Venize.
- Tak, brygadierze. Wszyscy byli ludźmi.
- Owszem, są ludźmi, a Bekenz, jak się okazuje, jest siódmym synem Hamiuda, właściciela największej posiadłości ziemskiej w okręgu Prerov.
- Tak twierdził, brygadierze.
- Istotnie, powiedział ci to, kiedy rozkazałeś swoim żołnierzom zarznąć wszystkie normalne i modyfikowane zwierzęta na farmie, zgadza się? – zapytała Rachele.
- Tak.
- Mimo to je zarznęliście?
- Majorze, Upadli mogą kontrolować mody znacznie lepiej niż my. Wiem, że tak jest. Nie wiadomo, jakie rozkazy jajo mogło wydać modom. Mogły wymordować wszystkich członków rodziny Bekenzów. Na tej farmie są dzieci.
- Poruczniku, nie potrafię zliczyć, ile razy już o tym z panem rozmawiałem – rzekł Venize. Poklepał stos teczek leżących na biurku. – Jednak inni potrafią.
- Brygadierze, sposób, w jaki Upadli kontrolują mody, został opisany w...
- Wiem. Zdajesz sobie jednak sprawę, jak wysokie odszkodowanie rada okręgu musiała ostatnio zapłacić na skutek twojego dogmatyzmu?
- Ratuję życia, brygadierze. Przykro mi, że to się nie podoba.

– Poruczniku, doskonale cię rozumiem i wszyscy przyznają, że jesteś jednym z najlepszych oficerów twojego pokolenia. Tylko że twoje metody są zbyt surowe dla tej części świata. Masz krytyków, w tym bardzo ważnych ludzi. Nawet biuro burmistrza kontaktowało się z nami, wyrażając zaniepokojenie twoimi wyczynami. – Venize podniósł dłoń, powstrzymując protest Slvasty. – Nie ja. Ja doceniam to, co robisz dla regimentu, i w przyszłości zastosujemy twoje metody... ćwiczeń, szkolenia, takie rzeczy. Ponadto w przyszłym tygodniu na miejskim targowisku będzie zakupionych dwadzieścia ziemskich koni.

– To dobra wiadomość, brygadierze – powiedział Slvasta.

– Absolutnie. To pokaże tym przekłętym cywilom, że nie dam sobą manipulować. To mój regiment i taki pozostanie, dopóki nie złożą mnie w zimnym grobie, no nie?

– Brygadierze.

– A ty, Slvasta, zostajesz awansowany.

– Że co, brygadierze?

– Słyszałeś. – Podniósł leżący na biurku zwój owiązany wstążką z przyczepioną do niego woskową pieczęcią regimentu.

– Już podpisałem rozkaz. Gratulacje, kapitanie.

– Ja... Dziękuję, brygadierze.

Przyjął zwój, oszołomiony i szczęśliwy.

– Cała przyjemność po mojej stronie. W końcu zwykły porucznik nie może być naszym oficerem łącznikowym, no nie?

Zadowolenie Slvasty natychmiast wyparowało.

– Łącznikowym?

– Tak – odparła Rachele. – Będiesz naszym przedstawicielem w stolicy. Zasiądziesz w Połączonej Radzie Regimentów i zajmiesz się polityką. Będiesz mógł wyjaśnić znaczenie twoich metod szkolenia i wprowadzić je na całej Bienvenido. Ponadto po przybyciu zawiadomisz dowódcę marines o tym całym Nigelu.

– Brygadierze, nie, proszę. Muszę być w terenie. Nie...

Venize nie zmienił wyrazu twarzy.

– Nominacja na tak ważne stanowisko to ogromny zaszczyt. Nie zawieź regimentu. Możesz odejść, kapitanie.

Slvasta przez długą chwilę tylko patrzył na brygadiera. Przegrał i wiedział o tym. Pytanie tylko, jak bardzo pozwoli im się sponiewierać. Jeśli zaprotestuje i odmówi przyjęcia przydziału, będą mieli pretekst, żeby zdegradować go do szeregowca za niesubordynację. W tym momencie przypomniał sobie słowa Nigela o niepokojeniu zwierzchników; ten człowiek to przewidział.

Tak więc wstał, zaszalutował i powiedział:

– Dziękuję za danie mi takiej możliwości. Nie pożałuje pan tego.

Venize zachował uprzejmy spokój, lecz osłona Rachele nie zdołała ukryć jej podejrzliwości wywołanej tak szybką kapitulacją Slvasty.

Zrobił w tył zwrot i wymaszerował z gabinetu. *Kiedy tu wrócę* – obiecał im w duchu – *wykopię was w otchłań Uracusa.*

CZTERY

Apartament był tak ekstrawagancko urządzony, jak to możliwe tylko w kapitańskim pałacu. Słoneczny i chłodny nawet w najskwarniejsze dni varlańskiego lata, znajdował się na parterze rządowego skrzydła, a jego wysokie, łukowate okna dawały widok na bulwar Walton i dachy budynków miasta. Z sufitu w regularnych odstępach zwisały kandelabry jak kryształowe księżycy, na przemian z ogromnymi ośmiołopatkowymi wentylatorami powoli obracanymi przez mody w ukrytej sterowni. Ściana była obwieszona olejnymi malowidłami przedstawiającymi heroizm poprzednich kapitanów prowadzących regimenty przeciwko Upadłym, a ich złote ramy błyszcząły we wpadających przez okna promieniach słońca.

Mebli było niewiele. Długie na pięć metrów i szerokie na trzy biurko z marmuru i drewna jabłoni stało na błyszczącej posadzce z czarno-białych płytek, a ozdobny, połączony fotel był zwrócony oparciem do ogromnego kominka. Przed nim stały dwa fotele dla gości, obite aksamitem – dziewiczym, gdyż nikt nie siadał w obecności kapitana, nie podczas oficjalnych spotkań; tradycyjnie te miejsca były zarezerwowane wyłącznie dla członków rodziny. Nisze zajmowały popiersia jeszcze szacowniejszych przodków. Na drugim końcu pomieszczenia w zabytkowych wazonach tkwiły imponujące bukiety świeżo ściętych kwiatów.

Kapitan Philious siedział za biurkiem, a obok niego asystentki: dwie młode kobiety, trzymające teczki pełne dokumentów wymagających jego podpisu. Obie miały na sobie eleganckie wersje typowej pałacowej liberii: mocno opiętego stroju z dekoltem do pępka. Philious mógł być mężczyzną w średnim wieku, lecz mając siedemdziesiąt siedem lat, nadal cieszył się cielesnymi przyjemnościami. Na szczęście jego szlachecka krew go nie zawiodła; kapitanowie cieszyli się dobrym zdrowiem, które zazwyczaj pozwalało im spokojnie dożyć ponad dwustu lat. Chyba że ich dziedzice zaczęli się niecierpliwić. Takie nieszczęście przydarzyło się kilku jego przodkom w ciągu ostatnich trzech tysięcy lat. A Philious nie miał żadnych złudzeń co do swego syna, Aothoriego.

– Kapitanie? – Jego sekretarka nadała z przyległego gabinetu. – Trevene chce się z panem zobaczyć.

Philious podniósł głowę znad stosu dokumentów, które już podpisał.

– To cudowny powód, aby przerwać pracę. Proszę, poproś go, żeby wszedł. – Umieścił ozdobne wieczne pióro w złotym uchwycie. – Dokończymy to później, dziękuję.

Jedna z asystentek zabrała podpisane dokumenty. Obie uśmiechnęły się do niego i przeszły przez długi pokój do podwójnych drzwi na odległym końcu. Philious z upodobaniem patrzył, jak odchodzą.

Trevene wszedł na moment przed tym, nim dotarły do drzwi. Mężczyzna zbliżający się do stu dwudziestu lat, z przerzedzonymi kruczoczarnymi włosami odsłaniającymi oliwkową skórę czaszki, błyszczącą w jasnym wnętrzu gabinetu. Miał na sobie zwykły szary garnitur i wyglądał niepozornie, jak zwykle ludzie jego profesji. Jakby miał jakiś naturalny skrambler, który nie pozwalał go zauważyć. Wąska twarz stała się z wiekiem pomarszczona, a na długim nosie tkwiły okulary w srebrnych oprawkach.

– Usiądź – powiedział Philious, jak zawsze. Właściwie Trevene należał do rodziny, był kuzynem w drugiej linii; musiał być, gdyż tylko członkom rodziny powierzano prowadzenie polityki kapitanatu.

– Panie. – Podchodząc do biurka, Trevene lekko się skłonił. Jak zawsze nie usiadł.

– Zatem jak się ma sprawa Jaśminowej Alei?

Za trzy miesiące będzie setna rocznica buntu Jaśminowej Alei, ostatnich poważnych zamieszek na Bienvenido. Tamten rok był bardzo niepomyślny dla jego dziadka, gdyż kiepskie zbiory zbiegły się z wyżem demograficznym. Oczywiście bunt szybko stłumiono. Może zbyt szybko. Było wielu zabitych i jeszcze więcej skazanych na ciężkie roboty w kopalniach Pidruí. Rok później nazwiska męczenników wyryto na murach alei. Rada miasta pospiesznie je usunęła i naprawiła mur, a po kolejnym roku pojawiły się znowu. Usunięto je. Znow się pojawiły. Znowu je usunięto. I tak to szło przez dziesięciolecia, chociaż szeryfowie pilnowali alei, gdy zbliżały się kolejne rocznice. Rodziny zabitych były wytrwałe. Ten irytujący rytuał podtrzymywał pamięć o sprawie.

– Na uniwersytecie dużo się mówi o upamiętnieniu buntu, panie.

– Och, tam zawsze gadają. Przekłęci studenci.

– Tak, panie. Oczywiście, to nie studenci z dobrych rodzin, ale prowincjusze i z klasy średniej mogą sprawiać kłopoty. Są niezwykle zawzięci.

Philious uniósł brew.

– Radykałowie się organizują? Nuta niepewności zabarwiła myśli Trevene’a.

– Nie radykałowie. To coś łagodniejszego. Można to nazwać wzbierającą falą niezadowolenia. Nikt temu nie przewodzi, co samo w sobie jest dziwne. Jednak moje źródła na uczelni donoszą, że tworzy się jakiś rodzaj luźnej organizacji. Nic formalnego, nic oficjalnego, bez żadnej nazwy, ale ktoś lub coś ich podburza. Znaleźli wspólny cel i wspierają się wzajemnie.

– Z definicji organizacja musi być zorganizowana. Ktoś musi za tym stać.

– Tak, panie.

– Jednak nie możesz ich znaleźć?

– Jeśli istnieją, są nieuchwytni.

Philious odchylił się do tyłu, znacznie bardziej rozbawiony niż zaniepokojony.

– Przechytrzyli ciebie? Banda studentów?

– Jest prowadzone dochodzenie. Jeśli są jacyś przywódcy, zostaną wykryci i unieszkodliwieni.

– Cieszę się, że to słyszę. Co z resztą miasta?

– W Shanties dużo się mówi, panie, oczywiście. Jednak to tylko pomruki w chórze zadowolonych. Nikt inny się tym nie interesuje.

– Shanties – rzekł z dezaprobatą Philious.

Wydawało się, że każdy problem, przed jakim stawał jego kapitanat, wywodził się z Shanties. Ten sam demograficzny kaprys, który wywołał gwałtowny wzrost populacji, nie spowodował analogicznego boomu gospodarczego. Teraz każde miasto i miasteczko na Bienvenido miało na przedmieściach swoje Shanties – nędzne baraki pełne bezrobotnych, których nie stać na czynsz bądź posyłanie dzieci do szkoły. Wyglądało na to, że jedyne, w czym byli dobrzy, to robienie dzieci.

Ekspertci z Ministerstwa Skarbu i banków nieustannie twierdzili, że stopniowy rozwój gospodarczy rozwiąże ten problem. Philious nie był tego taki pewien. Minęło sto lat, od kiedy pojawiły się pierwsze takie slumsy, a za każdym razem, gdy wyjeżdżając z miasta, mijał Shanties, były większe niż poprzednio.

– Mam propozycję, panie. Jaśminowa Aleja jest stara i moim zdaniem nawierzchnia ulicy wymaga remontu. Gdyby kamienie bruku miały zostać wyjęte i przygotowane do ponownego ułożenia, całą aleję trzeba by było zamknąć. A ona jest długa i szeroka. Prace zapewne by trwały kilka miesięcy.

Philious się uśmiechnął. Lubił Trevene'a. Ten człowiek zawsze o pięć kroków wyprzedzał każdego i zawsze traktował przemoc jako środek ostateczny.

– Doskonale. Szepnij słowo burmistrzowi. Zobaczymy: Władcy Niebios będą tu za dwa dni, więc może zaczną prace dzień później, gdy wszyscy będą jeszcze zbyt skacowani, żeby to kwestionować?

– Dopilnuję tego, panie. – Trevene poprawił okulary. – Jest jeszcze jedna sprawa, panie.

– Tak? – spytał ze znużeniem Philious.

– Następna dziewczyna. Wygląda na to, że pierwszy oficer znów uległ swoim słabostkom.

– Na wielkiego Giu, co się stało?

– W szpitalu mówią, że przeżyje. Jednak to nie była dziewczyna z ulicy, jak poprzednie. Ta była z dobrej rodziny z Siegen i uczęszczała tu na uniwersytet. Jej rodzice przyjechali i oczywiście są nieco przygnębieni. Zatrudnili Howellsa jako swojego prawnika.

– A niech to zaraza.

– Właśnie, panie. Może być trudno odrzucić to oskarżenie w sądzie bez uchwały Rady. I jak rozumiem, „Oko Wyzyn” już zajęło się tą historią. To stawia kapitanat w złym świetle. Twoja reputacja musi pozostać nieskazitelna.

– Słusznie. Poślij kogoś z wydziału prawnego Ministerstwa Skarbu, żeby zobaczył się z rodziną. Zapłaćcie im. Ile będzie trzeba.

– Tak, panie. A pierwszy oficer?

Philious zacisnął zęby i wciągnął przez nie powietrze.

– Porozmawiam z nim.

PIĘĆ

Tego dnia mieli przybyć Władcy Niebios – dokładnie osiemnaście miesięcy od dnia, w którym Slvasta przyjechał do Varlanu. Zgodnie z przyjętym zwyczajem burmistrz ogłosił święto. Miasto było pełne rodzin zmarłych, przybyłych na słynną ceremonię oznaczającą dla ich przyjaciół i krewnych początek drogi, którą zostaną poprowadzeni do Giu.

Późnym rankiem ulice wiodące do długiego nabrzeża były zatłoczone. Wiele osób zrezygnowało z pobytu w pensjonatach lub hotelach i obozowało na bulwarze ciągnącym się przez całe miasto. W Varlanie panowała atmosfera radosnego oczekiwania i euforii.

Slvasta szedł po bulwarze Walton, szerokiej głównej arterii biegnącej z parku Bromwell ku rozległym terenom pałacu kapitańskiego leżącego pośrodku dzielnicy rządowej, w której dominowały wspaniałe dziewięciopiętrowe budynki. Dziś nie było tu przemykających urzędników w szarych strojach, którzy zazwyczaj zapełniali ulice, alejki i skrzyżowania; ci zostali w domach ze swymi rodzinami lub przygotowywali wieczorne uroczystości. Nawet wozów i powozów było mniej, choć potok rowerzystów był równie szeroki jak zawsze.

Dotarł do skrzyżowania z ulicą Pointas, ozdobionego fontanną z pomnikiem kapitana Gootwaia, i skręcił przy niej, przechodząc obok Ministerstwa Transportu. Ulica biegła szpalerem holatowców, których długie i pstre, czerwono-żółte liście trzepotały od parnego wiatru. W Varlanie zawsze było parno, do czego Slvasta nadal się nie przyzwyczał. Tak daleko na południe od równika nie było aż tak gorąco, jak w jego rodzinnym Cham, lecz wilgotność spowodowana bliskością Colbal, która tutaj miała ponad trzy kilometry szerokości, była wysoka i dokuczliwa.

Ulica Pointas kończyła się na placu Okherrit, gdzie budynki były już nieco mniej okazałe, aczkolwiek z kunsztownymi rzeźbieniami i większymi oknami, które nadawały im bardziej otwarty i zapraszający wygląd. Była to biznesowa dzielnica z modnymi sklepami i wieloma rodzinnymi biurami. Dziś, oczywiście, wszystko było pozamykane. Poszedł w górę ulicą Longlear, z jej osławionym otwartym ściekiem szemrzącym i bulgoczącym w kanale wrytym na środku bruku.

Major Arnice czekał na niego przed klubem Burrington. Jego szkarłatna kurtka i białe bryczesy zdawały się płonąć własnym blaskiem w tak mocnym słońcu. Jednak Arnice był bezgranicznie wierny wizerunkowi eleganckiego oficera i dżentelmena. Zobaczył Slvastę i uniósł dłoń na powitanie.

– Jesteś – nadał.

Zaledwie kilka lat starszy od niego Arnice był jedną z bardzo niewielu osób w stolicy, które Slvasta uważał za przyjaciół – razem znosili cierpienia przydziału do Połączonej Rady Regimentów. Byli najmłodszymi oficerami w Radzie i obaj gardzili jej biurokratycznymi rytuałami.

Slvasta mocno uściskał jego dłoń.

– Dzięki za to.

– Z przyjemnością pomagam, stary.

Weszli do klubu. Slvasta natychmiast znów poczuł ten dokuczliwy niepokój, którego doświadczał, od kiedy przybył do Varlanu. Dla chłopca wychowanego w średnio zamożnej rodzinie farmerskiej tysiąc pięćset mil od stolicy poczucie społecznej niższości było nieuniknioną reakcją. I bynajmniej nie pomagało mu to, że ciemna boazeria przedsiionka klubu oraz klasyczna, czarno-biała marmurowa posadzka wzmocniały wrażenie wszechobecnego bogactwa stolicy. Nawet jego galowy mundur – granatowa bluza z dyskretnymi mosiężnymi guzikami i oliwkowozielone spodnie – był znacznie mniej ostentacyjny niż efektowny strój meorskiego regimentu Arnice’a.

– Panie czekają – rzekł Arnice, gdy wchodzili po schodach do restauracji. Klub nie korzystał ze zmodyfikowanych karłów, co było powodem, że Slvasta przyjął zaproszenie. Tutaj leciwi służący i służące, w nienagannie wyprasowanych czarnych frakach i śnieżnobiałych koszulach, cicho i sprawnie spełniali każdy kaprys członków klubu. Nikomu z nich się nie śniło brać urlop, nawet w taki dzień.

Klubowa restauracja miała rozległy balkon z dwoma tuzinami stolików pod baldachimem starej wisterii i ze wspaniałym widokiem na odległą rzekę Colbal. W związku z tym cieszyła się sporą popularnością wśród członków klubu. Wszystkie stoliki były zajęte.

– Najlepszy widok w mieście – rzucił kątem ust Arnice. – Włączając pawilon kapitana Boorose’a, rzecz jasna.

Slvasta powiódł wzrokiem za spojrzeniem przyjaciela. Na nabrzeżu kamienna kopuła pawilonu kapitana Boorose’a wznosiła się pomiędzy bardziej utylitarnymi magazynami i stoczniami. Znajdowała się na wzgórzu tuż za przystanią Chikase – prosta budowla z otwartym frontem, gdzie dach podtrzymywały smukłe kolumny. Wokół stała gwardia pałacowa w pełnym zielono-niebieskim umundurowaniu, z karabinami przyciśniętymi do piersi. Szykowne, czarne i złote powozy rodziny kapitana właśnie tam podjechały.

Kapitan Philious wysiadł pierwszy i pomachał tłumom, które w odpowiedzi pomachały mu trzymanymi w dłoniach kolorowymi kwiatami. Wyglądało to, jakby pływał w ukwieconej łące. Żona wysiadła po nim i, trzymając się za ręce, weszli po paru schodkach do pawilonu, gdzie rozstawiono długi stół, przy którym mogli biesiadować, spoglądając na rwące brązowe wody Colbal.

Jego rodzina szła za nimi; małe dzieci chichotały i entuzjastycznie machały uradowanym tłumom. Później z powozu wysiadł Aothori, pierwszy oficer i najstarszy syn kapitana, w eleganckim czarnym mundurze marines. Owacje przycichły. Nawet w oddalonym klubie Burrington Slvasta wyczuł ochłodzenie nastroju wiwatujących.

– Niech nam Giu pomoże, gdy ten zostanie kapitanem – mruknął cicho Arnice.

Slvasta w milczeniu przyglądał się młodzieńcowi przez publiczną wizję. Słyszał, co mówiono o Aothorim. O jego ekstrawagancji i arogancji. O tym, jak ludzie skarżący się na „wypadki” córek, utratę własności lub niezapłacone rachunki nieoczekiwanie znikali z miasta.

Nadal uśmiechał się beznamiętnie, gdy podchodzili do stolika zarezerwowanego przez Arnice'a. Stały przy nim dwie młode damy, czekające na nich i – oczywiście – noszące te żółto-niebieskie suknie, które młode arystokratki Varlanu uznały za modne w tym sezonie. Rozpoznał jedną, Jaix – ładną dziewczynę po dwudziestce, z rysami wyraźnie świadczącymi o chińskich przodkach. Była piątą córką kupieckiej rodziny i jako taka prawdopodobną kandydatką na narzeczoną dla Arnice'a, chociaż chodzili ze sobą zaledwie od miesiąca. Slvasta przez ostatnie trzy tygodnie słuchał, jak Arnice mówi o niej bez końca – aż do ubiegłego tygodnia, gdy przestał bywać na wieczornych spotkaniach w stołecznych klubach, pubach i teatrach. Teraz Slvasta słuchał tylko o tym, że każdy wieczór spędza, odwiedzając Jaix w jej dziennej willi w dzielnicy Gonbridge. Względy przyzwoitości nakazywały niezamężnym córkom z dobrych rodzin wracać do domów przed północą.

Arnice przedstawił drugą damę jako Lanicię. Była wysoka i szczupła, z długimi, truskawkoworudymi włosami ufryzowanymi w kunsztowne loki. Podąła mu rękę ze sztucznym i beznamiętnym uśmiechem, jak każda kobieta z jej klasy. Slvasta nie zwrócił na to uwagi; skupił się na jej nosie, który był mały i lekko zadarty. Na tak wąskiej twarzy stanowił frapujący widok. Slvasta zdołał oderwać od niego wzrok, zanim tę fascynację mogła uznać za bezczelność.

Jednak wtedy skierowała swój telepatyczny wzrok na jego kikut. Ponieważ przypiął pusty rękaw swojej bluzy do torsu, brak ręki przyciągał uwagę. Chciał uszyć sobie bluzę tak skrojoną, żeby rękaw można było zwijać wzdłuż boku, co mniej rzucałoby się w oczy. Tylko jakoś nie zdążył tego zrobić, tak jak wielu rzeczy w Varlanie. Czas zdawał się tu biec inaczej; powolne tempo życia w stolicy było zaraźliwe. Ludzie spędzali tutaj tyle czasu na pogoni za drobiazgami. Musiał jednak przyznać, że umieli się bawić.

Slvasta użył swej teki, by przysunąć krzesło Lanicii, jak przystało dżentelmenowi. Spojrzała na niego z uznaniem.

– Masz bardzo silną teka – powiedziała, siadając.

Slvasta zauważył wymianę spojrzeń między nią i Jaix.

– To rekompensata – wyjaśnił.

– Jak to się stało? – zapytała Lanicia, bez udawanego przez większość ludzi zmieszania.

– Slvasta jest prawdziwym bohaterem – powiedział głośno Arnice. – Nie pozwólcie, by wam wmówił, że nie. – Zwrócił się do kelnera. – Zaczniemy od szampana, proszę. Bascullé.

– Panie – skłonił się kelner.

– To nie było bohaterstwo – rzekł Slvasta. – Zostałem schwytyany przez gniazdo.

– Na Giu, naprawdę? – spytała Lanicia, podnosząc dłoń do szyi. – Spotkałeś Upadłego?

– Tak. Ona i jej mod-mały schwytały mój oddział. Potem zostaliśmy przyczepieni do jaj. Marines przybyli w porę, żeby uwolnić mnie, ale nie dwóch moich przyjaciół.

– To okropne. Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby jaja spadły na Varlan. Pewnie bym uciekła.

– To najgorsze, co można zrobić – powiedział Slvasta. – Regiment Arnice’a ma szukać tych jaj, gdyby spadły na stolicę. To dobrze opracowany plan. Jeśli jajo nie spadnie na twój dom, po prostu zostań w środku i czekaj na odwołanie alarmu.

– Dlaczego nie powinno się uciekać? – zapytała Jaix.

– Ponieważ istnieje ryzyko, że możesz wpaść w strefę wabienia i zostać przyciągnięta.

W tym momencie myślał tylko o szeregowiec Andricei, patrzącej na ostatnie znalezione przez nich jajo, brudnej po kilkudniowych poszukiwaniach, zdecydowanej nie ulec czarowi jaja i wściekle rąbiącej toporem, gdy przyszła jej kolej. Jakże była inna od tych dwóch wyrafinowanych arystokratek, które zapewne nawet nie umiały ugotować jajka na twardo.

– Jednak nie martwcie się, dziewczyny – rzekł Arnice. – Od siedmiuset lat żadne jajo nie upadło na stolicę. I tylko trzy od czasu Lądowania.

– A co z gniazdem sprowadzającym jaja do miasta? – spytała niespokojnie Lanicia.

– Szeryfowie czujnie wypatrują wszelkich oznak aktywności gniazda. W Varlanie żadnego nie ma, wierz mi.

Slvasta ugryzł się w język. Zawsze krążyły plotki o gniazdach istniejących w miastach i miasteczkach, żerujących na biednych i samotnych ludziach, którymi nie przejmowałby się żaden szeryf. Wiedział, że w niektórych wypadkach, na przykład w prowincji Rakwesh, było to coś znacznie więcej niż plotki. Przechodzące przez jego biurko raporty lokalnych regimentów były pełne przesyłanych przez szeryfów wykazów „zaginionych” osób.

– A więc twoja rodzina ma posiadłość w okręgu Cham? – spytała Jaix.

– Oddałem ziemię, żeby służyć w regimencie – rzekł Slvasta. – Zamierzam spędzić życie, walcząc z Upadłymi.

Nienawidził odpowiadać w taki sposób – półprawdami, które w istocie niczego nie wyjaśniały. Był to kolejny niepożądany trik, który musiał stosować w mieście. Jednak, jak nieustannie przypominał mu Arnice, jeśli chcesz coś osiągnąć w Varlanie, musisz zostać zaakceptowany przez arystokrację. A największą przeszkodę na drodze do tego celu stanowiło ubóstwo. Ta wada była w pewnym stopniu tolerowana u oficera przydzielonego do Połączonej Rady – choć zapewne nie u kandydata na męża.

– To takie szlachetne – powiedziała z podziwem.

Arnice posłał mu skąpy ironiczny uśmiech, gdy przyniesiono butelkę bascullé. Wzniesli toast.

– Za Przewodnictwo.

– I Spełnienie.

Slvasta wolałby dobre piwo, ale mimo to napił się szampana, przyznając w duchu, że jest całkiem niezły. Czasem się zastanawiał, czy nie przeszkadzają mu takie uprzedzenia.

– Och, patrzcie, łodzie wypływają – powiedziała Jaix.

Od nabrzeża odbijały tysiące pogrzebowych łodzi, spychanych w wartki nurt przez teka zapłakanych krewnych. Od dużych i kosztownych jednostek z wysokimi stosami

całopalnymi, gdzie szukający Przewodnictwa czekali na wygodnych łóżach, po zwykłe tratwy, których właściciele siedzieli na stertach drewna.

Kapitan Philius stał przed pawilonem i z gracją machał odpływającym łodziom, szeroko się uśmiechając. Zarząd portu starał się kierować tę nieregularną flotyllę jak najdalej od zatoczek i kanałów. W mieście od ponad dziewięciuset lat nie było pożaru i władze zamierzały utrzymać ten stan.

Gdy we czwórkę pili szampana, łodzie odpłynęły i prąd poniósł je w dół rzeki. Mimo to zachowały nieregularny szyk, z nielicznymi spóźnialskimi.

– Ile? – spytała Lanicia.

– Biuro burmistrza ocenia ich liczbę na około siedemnaście tysięcy – odparł Arnice. – W końcu przybyli z ośmiu okręgów.

Slvasta telepatycznie zerknął na swój kieszonkowy zegarek. Władcy Niebios mieli zjawić się za trzy minuty. Zgiełk machającego i wiwatującego na brzegu tłumu było słycać nawet na tym balkonie.

– Myślicie, że przybędą? – spytała Jaix.

– Gildia Obserwatorów meldowała o zbliżaniu się pięciu – odrzekł Slvasta. – Ich obliczenia są zazwyczaj dokładne.

– Dlaczego więc nigdy nie są tak dokładni, jeśli chodzi o jaja? – zapytała Lanicia.

– Mówisz o dwóch różnych obiektach do zlokalizowania w przestrzeni – odparł Slvasta. – Władcy Niebios są ogromni i świecą. Łatwo ich dostrzec w nocy, szczególnie przez silne lustrzane teleskopy, których gildia używa w swoich głównych obserwatoriach. Tymczasem jaja są czarne jak kosmos pomiędzy gwiazdozbiorami. Można je zauważyć, tylko jeśli przemieszczają się za dnia, a i to jedynie mając dobre oczy i dużo szczęścia. Zwykle otrzymujemy ostrzeżenie zaledwie o jednym Upadku na pięć; poza tym wszystko, co widzi gildia, to ślad ich przejścia przez atmosferę, i to tylko wtedy, jeśli nie ma zbyt wielu chmur.

– Myślałam, że za dnia nie widać kosmosu – powiedziała Lanicia.

– To słońce stanowi problem – wyjaśnił Slvasta. – Las jest bezpośrednio pomiędzy nami i słońcem. A nie można patrzeć na słońce przez teleskop; w ułamku sekundy wypaliłoby ci oczy.

– A więc jak oni widzą zbliżające się jaja?

– Dzięki filtrom i wielkiemu ekranowi – powiedział Slvasta, wspominając swoją wycieczkę do Polulor, obserwatorium gildii. – Teleskop rzuca powiększony obraz Lasu na olbrzymi ekran... naprawdę gigantyczny. To biała ściana wielkości chyba połowy tego budynku.

– Jak one wyglądają w rzeczywistości... te drzewa? – zapytała Lanicia.

– Jak niewyraźne smugi – przyznał Slvasta. – Przynajmniej dla mnie. Wyszkolony obserwator gildii interpretuje obrazy znacznie lepiej. I są tam ludzie, którzy wykrywają jaja spadające z Lasu. Mówiono mi, że są jak ziarnka piasku, plamki ciemności przelatujące po

ekranie tak szybko, że możesz ich nie zauważyć, jeśli mrugniesz. Dlatego przez cały czas siedzi tam co najmniej pięciu obserwatorów.

– To fascynujące – powiedziała Lanicia, patrząc na niego znad kieliszka z szampanem. – Bardzo chciałabym zobaczyć taką projekcję Lasu.

– No cóż, zatem masz szczęście – rzekł wesoło Arnice. – Slvasta może ci załatwić wycieczkę do obserwatorium; ma do tego uprawnienia.

Co było wierutną bzdurą, ale Slvasta powstrzymał chęć posłania mu gniewnego spojrzenia. Nie miał nic przeciwko okazjonalnej randce w ciemno, ale takie podpuszczanie...

– Jest tutaj – powiedziała cicho Jaix.

Jak wszyscy na balkonie, cała ich czwórka wstała, by patrzeć. Pierwszy z Władców Niebios pojawił się nad północno-wschodnim horyzontem. Ogromny jajowaty obiekt z kryształowych płyt nakładających się na siebie i tworzących niezwykle, nieforemne wzory geometryczne. Pastelowe błyski pojawiały się w ogromnych i krętych bruzdach, przemykając po nich i prześlizgując się jak żywe stworzenia. W oślepiającym słońcu Bienvenido powinny być wyblakłe, lecz paradoksalnie utrzymały swe intensywne barwy.

Jak zawsze, gdy pojawiała się jedna z tych potężnych istot, w mieście zapadła cisza na widok jej rozmiarów. Gigantyczny cień przesuwiał się po ziemi i rzece, gdy obiekt zasłaniał coraz więcej nieba. Ptaki skrzeczały, zaniepokojone, rozpaczliwie bijąc skrzydłami i usiłując prześcignąć tę niewiarygodną plamę cienia. Gwałtowny podmuch, jaki wywołał przedzierający się przez atmosferę Władca Niebios, rozszarpał i rozpędził na wszystkie strony puchate stratocumulusy.

W dole, z flotyli statków pogrzebowych, szukający Przewodnictwa ślali ostatnie pożegnalne słowa patrzącym z miasta. Kapitan Philius podniósł ręce w geście błogosławieństwa, życząc swoim poddanym udanego Przewodnictwa, jakby to on sam osobiście przywołał do istnienia Władcę Niebios. Na wodzie przyszedli gwiazdny podróżnicy rozgniatali kapsułki z sokiem etire i połykali ten płyn o mdłym smaku. W ciągu kilku sekund toksyna zatrzymywała pracę serca. Gdy ich ciała umierały, po raz ostatni używali swojej teka, aby włączyć takie urządzenia zapłonowe, jakie mieli na łodziach. Płomienie zaczęły lizać stosy pogrzebowe, gdy Władca Niebios przeleciał tuż nad nimi, jakby ogień mógł przyspieszyć odlot dusz.

Trzeba było mieć niezwykle wyczulone zmysły, żeby dostrzec duszę opuszczającą swoją fizyczną powłokę. Slvasta nigdy nie zdołał wyczuć tak delikatnej przemiany. Dziś nie musiał. Dzisiaj wśród stojących na nabrzeżu byli ludzie o największych zdolnościach telepatycznych, z odsłoniętymi umysłami dzieląc się darem swej percepcji ze wszystkimi.

Dusze zaczęły unosić się z umierających; efemeryczne widma przybierające wyidealizowane formy ciał, które właśnie opuszczały. Już nie były stare i słabe, otyłe czy pomarszczone. Wyglądały tak jak zmarli w swych najlepszych latach, gdy byli młodzi i pełni życia. Emanując radością, zwinnie przemykały przez rosnące płomienie i smugi dymu.

Unosiły widmowe dłonie, żegnając tych, których kiedyś kochały. W odpowiedzi na to owacje i okrzyki dolatujące z nabrzeża jeszcze przybrały na sile.

Płomienie spowijające flotyllę łodzi uniosły się wyżej i stały na tyle jasne, by załamywać się w ogromnych krystalicznych taflach wiszących nad rzeką. Coraz więcej dusz unosiło się ku Władcy Niebios, który wchłaniał je w swój półprzezroczysty ogrom, w którym mogły bezpiecznie podróżować – choć Slvasta był pewny, że dostrzegł kilka zsuwających się po powierzchni kryształu, należących do tych, które Władca Niebios uznał za niegodnych. Niespełnieni – tragiczne postacie, załamane lub rozczarowane życiem. Zostały pozostawione, żeby same odnalazły drogę do gwiazdozbioru Giu, będącego bramą do Serca Pustki.

Mimo to dołączył do owacji, głośno wiwatując na widok dusz wlewających się we Władcę Niebios. Tylu odchodziło; tylu osiągnęło spełnienie. Był szczerze dumny ze świata, który dawał takie możliwości mimo nieustannej agresji Upadłych.

Władca Niebios ruszył, przemykając nad dachami Varlanu ku następnemu miastu. Slvasta spojrział w górę, gdy masywny kadłub gładko mknął w powietrzu nad jego głową. Upiorne wiązki światła zatańczyły na jego twarzy, a powietrze gwałtownie zawirowało. Część jego duszy pragnęła tu i teraz dołączyć do Władcy Niebios, zostać zabrana do Serca, uniknąć trudności, które – jak wiedział – napotka w swym doczesnym życiu. Podniósł rękę i zasalutował temu obcemu aniołowi. Nie zdziwił go widok łez błyszczących w oczach Lanicii oraz smutku i tęsknoty sączącej się z jej umysłu. Zauważyła, że patrzył, i skromnie wzruszyła ramionami, uszczelniając osłonę.

Zjedli lunch złożony z ryby i makaronu, gdy opuszczone łodzie w widowiskowy sposób paliły się na Colbal; tysiące płonących kadłubów niesionych prądem, wysyłających w powietrze obłoki iskier, które kłębiły się i wirowały nad ciemnymi wodami. Prąd był dostatecznie silny, żeby zanieść je poza granice miasta, a rzeka wystarczająco szeroka, żeby nigdy zbyt blisko nie zbliżyły się do brzegów. Wczesnym popołudniem ostatnie płomienie zgasły w kłębach brudnej pary, gdy osmalone kadłuby jeden po drugim zostały połknięte przez wodę.

Właśnie kończyli deser, grubą orzechową gąbkę w gęstym syropie o smaku toffi, gdy weszła grupa znajomych Arnice'a. Slvasta nawet nie musiał używać telepatii, żeby zobaczyć, kto wchodzi po szerokich schodach klubu. Słyszał ich znacznie wcześniej, niż dotarli do restauracji. Ich donośne głosy rozchodziły się w klubie, pełne szyderstwa i pewności siebie. Slvasta nie mógł zrozumieć, że taki porządny facet jak Arnice może choćby rozmawiać z tego typu ludźmi, nie mówiąc już o szukaniu ich towarzystwa.

Trzej z nich wpadli do restauracji, po czym chóralnym okrzykiem powitali Arnice'a i natychmiast się przysiedli, zabierając krzesła od sąsiednich stolików. Ich oddechy miały woń narnikowego dymu i whisky.

Slvasta taktownie odczekał pięć minut, a potem przeprosił. Arnice ledwie zauważył jego odejście. Schodząc po schodach, Slvasta z lekkim niesmakiem zauważył, że Jaix serdecznie

się zaśmiewa z anegdot opowiadanych przez tych młodych arystokratów. *Byłaby wspaniałą panną młodą dla Arnice'a* – pomyślał.

– Naprawdę już idziesz? – wysłała do niego Lanicia.

– Tak, obawiam się, że tak.

– Zaczekaj. – Pojawiła się na górze schodów i zbiegła do niego. – Nie zamierzałeś chyba zostawić mnie z nimi, co? Czy tak postępuje oficer i dżentelmen?

Uśmiechnął się.

– Przepraszam.

– Czasem się zastanawiam, jak nam się udaje przetrwać Upadki. Dziękuję Giu, że nadal mamy takich ludzi jak ty, którzy nas bronią.

– Wszyscy robimy swoje.

– Ha. – Przewróciła oczami i obscenicznym gestem wskazała piętro. – Nie oni.

Slvasta zaczął postrzegać Lanicię w nowym i o wiele korzystniejszym świetle – i nagle zdał sobie sprawę, że znów gapi się na jej śliczną twarz.

– Zawsze są sposoby, żeby ominąć takich ludzi.

– Zatem na jakie przyjęcie idziesz dziś wieczorem? – zapytała, gdy szli przez hol.

– Na żadne. Mam trochę zaległej pracy. To dobry moment, żeby nadrobić zaległości.

– Och, Slvasta, to straszne. Wszyscy się bawią wieczorem po przybyciu Władcy Niebios, od stewardów po samego kapitana. Zasłużyliśmy sobie. Nie sądzisz?

– Byłoby miło, ale... jak już mówiłem... ktoś musi zachować czujność.

Dotarli do drzwi i portier pstryknął palcami, przywołując jeden z szeregu czekających powozów.

– Ja dziś wieczorem będę na przyjęciu u rodziny Kayllianów – powiedziała, gdy podjechała do nich bryczka ciągnięta przez karego ziemskiego konia. – Jednak do tego czasu pewnie poleżę w łóżku, żeby odpocząć. Mam dzienną willę przy ulicy Fortland. Zechcesz mnie tam eskortować, kapitanie?

Zważywszy na to, że zastanawiał się zaledwie sekundę, Slvasta był pod wrażeniem tego, ile za i przeciw zdążył w tym czasie rozważyć.

– Z przyjemnością spełnię ten obowiązek.

* * *

Slvasta jak zwykle zbudził się o szóstej, tuż przed tym, zanim zdążył się włączyć jego nastawiony budzik. Sięgnął swoją teka i przełączył dźwigienkę na górze budzika, żeby ten nie zaczął uderzać w swe półkule mosiężnych dzwonek. Ucieszył się, znajdując go przy łóżku; w istocie był rad z tego, że jest u siebie, gdyż niezbyt dobrze pamiętał, jak wrócił tutaj w nocy. Z pewnością wziął powóz z ulicy Fortland, ale kilkakrotnie zasypiał podczas jazdy do domu. Popołudnie w łóżku Lanicii było równie wyczerpujące jak tydzień ćwiczebnych walk z Upadłymi. Bardzo chętnie badała grzeszny potencjał jego silnej teka, zrzucając osłonę równie szybko jak ubranie. I wcale jej nie przeszkadzało to, że on nie ma jednej ręki.

Leżał na łóżku, słuchając porannych odgłosów miasta, wspominając wielokrotne rozkosze popołudnia, sennie zastanawiając się, jak wyglądałoby jego życie, gdyby byli małżonkami i spędzali w ten sposób każdą noc. Smętnie westchnął, wiedząc, że to niemożliwe. Do tej pory przekonał się już, że jego pozycja umożliwia mu zaledwie zuchwałe flirty z dziewczynami takimi jak Lanicia, będące niczym więcej jak rozkosznymi miłośkami przed jej nieuniknionym małżeństwem z kimś z jej sfery. Jednak doszedł do wniosku, że są gorsze rzeczy. Ponadto Lanicia wydawała się inna niż zwykle debiutantki – bardziej niezależna, mądrzejsza, ciekawsza świata. Nie tak... bezsensowna. Pokręcił głową nad takimi fantazjami i poszedł do małej łazienki.

Slvasta wynajmował mieszkanie w Rigattra Terrace numer siedemnaście, ładnym czterokondygnacyjnym budynku z białego kamienia przy placu Malvine, w centrum jednej z bogatszych dzielnic Varlanu. Była to rezydencja godna dżentelmena. Właściciel (ze starej stołecznej rodziny) z przyjemnością wynajął ją samotnemu oficerowi, chociaż Slvasta służył zaledwie w okręgowym regimencie. Sam czynsz wynosił tyle, co jego kapitański żołd, lecz oczywiście płacił go regiment.

Woda zabulgotała w rurach, gdy odkręcił mosiężny kurek; jak zwykle musiał poczekać minutę, aż się ogrzeje. Gdzieś w budynku znajdował się komunalny bojler, ogrzewany polanami podkładanymi przez mod-karły właściciela. Każdy w tym domu miał jednego lub dwa mody służby. Ta praktyka była tak powszechna, że w piwnicach budynku znajdowały się ich zagrody oraz oddzielny labirynt korytarzy i drzwiczek wiodących do wszystkich pomieszczeń mieszkalnych. Slvasta, oczywiście, odmówił wpuszczania jakichkolwiek modów do swojej kwatery i zaryglował te drzwiczki od wewnątrz, a ponadto zastawił je ciężką bielizniarką.

W garderobie miał jeszcze parę czystych koszul. Stos brudnych ubrań znów urósł ponad miarę. Bez mod-karłów sprzątających pokoje i zajmujących się takimi sprawami musiał sam organizować pranie swoich rzeczy.

Gdy opuszczał mieszkanie, resztki porannej mgły już się rozwiewały. Grupa zatrudnianych przez radę miejską mod-karłów uwijała się na ulicy, gasząc uliczne latarnie, przycinając knoty i uzupełniając pojemniczki z olejem tłoczonym z nasion yał. Skinął głową ich nadzorcy i poszedł aleją Tandier do Rose's Croissant Café. Był to jego pierwszy przystanek każdego ranka. Wewnątrz dołączył do zwykłej bandy wczesnie wstających i wracających z nocnej zmiany do domów. Byli to ludzie pracy i dobrze się czuł wśród nich. Trochę trwało, zanim stali bywalcy przywykli do jego obecności, ale teraz traktowali go jak swojego.

Tego ranka podawała sama Rose: postawna kobieta po osiemdziesiątce, w kwiciastej sukni.

– Połowa moich dziewczyn się spóźnia – poskarżyła się, przynosząc mu jego sok z pomarańczy i mango. – Niewątpliwie zabalowały tej nocy. Dlatego dziś rano może potrwać to trochę dłużej, za co przepraszam.

– Przewodnictwo warto uczcić – zapewnił ją.

Obrzuciła go przenikliwym spojrzeniem.

– Nie one jedne – orzekła. – Myślę, że ktoś miło spędził czas tej nocy.

– Rose, poproszę jajecznicę oraz razowy tost z wędzoną rybą. I herbatę.

– Szczęściara – oznajmiła Rose, odchodząc.

Slvasta uśmiechnął się i otworzył jeden z biuletynów informacyjnych, które Rose dostarczała swojej klienteli. W gazetniku przy drzwiach były zarówno oficjalne gazety, jak i gazetki pomniejszych partii politycznych. Przez pierwszy tydzień Rose była trochę zaniepokojona, widząc, jak czyta te pamflety, w większości krytykujące Radę Narodową lub urzędników kapitanatu (nigdy samego kapitana, co Slvasta uznał za interesujące). Jednak jego interesowały rzeczywiste problemy poruszane w tych pamfletach – zły stan starych budynków, wzrost cen żywności, brak pracy i niskie płace ubogich oraz powolny, lecz stale rosnący napływ do stolicy ludzi z różnych odległych prowincji, szczególnie Rakweshu. I niezmiennie plotki o gniazdach – choć większość z nich była satyrycznymi atakami na podejrzane powiązania kupieckich rodzin i radców. „Oko Wyżyn”, stosunkowo nowa gazetka, zawsze podawało jakieś bardzo kłopotliwe wieści o arystokracji i jej korupcyjnych powiązaniach z urzędnikami lub niezupełnie legalnych interesach jakiejś rodziny. Dwukrotnie w ciągu ostatnich miesięcy szeryfowie bezskutecznie próbowali wytropić „komitet obywatelski”, który ją wydawał. Gazetka była sprytnie rozprowadzana przy pomocy zmanipulowanych mod-karłów rady miejskiej, które ją roznosiły po kawiarniach, pubach i teatrach. Nikt nie wiedział, kto wchodzi w skład tego „komitetu obywatelskiego”, chociaż Slvasta słyszał krążącą w biurach Rady Regimentów pogłoskę, że stoi za tym rodzina kapitana, wykorzystując społeczną dezaprobatę do przyciskania śruby tym rodzinom, które nie zapłaciły podatków. Najnowszy numer „Oka Wyżyn” podrzucono nocą, gdy wszyscy się bawili (dobra taktyka, z podziwem pomyślał Slvasta). Główny artykuł dotyczył studwudziestoosmioletniego burmistrza Nowego Angeles, Livianiousa, który najwyraźniej zagarniał sporą część funduszy do własnej kieszeni, aby wydawać potwornie dekadentkie przyjęcia i utrzymywać siedemnastoletnią kochankę, Jubette, w luksusowej willi na przybrzeżnej wyspie – w bezpiecznej odległości od swojej (siódmej) żony. Livianious, o czym wszyscy wiedzieli, był wujem kapitana Philiousa.

To tyle, jeśli chodzi o teorię, że „Oko Wyżyn” jest wydawane przez rodzinę kapitana, wesoło pomyślał Slvasta, jedząc jajecznicę. Wiele osób w kawiarni chichotało, czytając tę gazetkę przy śniadaniu. Opublikowany artykuł był odważny, ale potwierdzał to, o czym i tak wszyscy już szeptali. Dla władz największym problemem było to, że „Oko Wyżyn” zachęcało inne gazety do podobnej śmiałości. W kilku radach okręgowych już zadawano pytania dotyczące opisanych w artykule faktów. Jeszcze nie w Radzie Narodowej. Jednak jeśli gazety nadal będą obnażały takie złoziejstwa i przekręty, ludzie zechcą wiedzieć, co kapitan Philious zamierza z tym zrobić. Zapewne zacny kapitan tego ranka też zadawał sobie to pytanie.

* * *

Slvasta wszedł do budynku Połączonej Rady Regimentów tuż po ósmej rano. Trzy dolne kondygnacje tego monolitycznego gmachu stojącego przy ulicy Cantural tworzyły labirynt korytarzy wiodących do setek małych biur personelu niższego szczebla. Slvasta miał przynajmniej gabinet na trzecim piętrze, z szerokim oknem ukazującym widok na wewnętrzny dziedziniec z fontanną i przyszyżonymi ogniocisami.

Keturah i Thelonious, jego asystenci, czekali na niego, gdy sadowił się za swoim biurkiem. Oboje trzymali naręcza akt i dokumentów, na widok których wzdrygnął się w duchu. Thelonious miał podkrążone oczy i bladą twarz oraz niezbyt stabilną osłonę, spod której wymykały się fale mdłości – najwyraźniej paskudnego kaca. Slvasta postanowił nie zwracać na to uwagi.

– Co mam w planie? – zapytał.

– Spotkanie podkomisji do spraw transportu o dziesiątej – powiedziała Keturah. Zajrzała do notatnika. – O piętnastej zero zero odprawa dotycząca ataku gniazda na Aflar. Komendant marines poprowadzi ją osobiście. O siedemnastej zero zero spotkanie podkomisji budżetowej dotyczące międzyregionalnej łączności i współpracy.

Slvasta z trudem powstrzymał jęk.

– W porządku. Raporty?

Thelonious podszedł do biurka i położył na dębowym blacie stos teczek.

– Dwa Upadki w ciągu ostatnich dziesięciu dni. Właśnie otrzymujemy meldunek z Portlynn. Drugi był dalej na południe, w Vondarze.

– Dziękuję. Chciałbym zobaczyć końcowy raport z Portlynn, kiedy przyjdzie. A teraz proszę o herbatę i przypomnijcie mi o spotkaniu dotyczącym transportu kwadrans przed jego rozpoczęciem.

– Tak jest, kapitanie – powiedziała Keturah z nieśmiałym uśmiechem.

Slvasta odprawił oboje machnięciem ręki. Kiedy grube drzwi zamknęły się za nimi, spojrzął na mapę Bienvenido, która zajmowała całą ścianę. Tkwiło w niej mnóstwo żółtych szpilek znaczących Upadki. Więcej było ich w tropikach, a coraz mniej, im dalej od równika. Według Gildii Obserwatorów jaja Upadłych, które zawsze pochodziły ze znajdującej się najbliżej Bienvenido części Lasu, powinny spadać wzdłuż równika i tylko nieznaczne odchylenia trajektorii po oderwaniu się od drzew i lekki dryf w trakcie długiego lotu w kosmosie rozrzuciły je po całej planecie.

Podszedł i wbił w mapę dwie żółte szpilki w nowych strefach Upadku. Na mapie było kilka skupisk czerwonych szpilek oznaczających miejsca, w których prowadzący poszukiwania oficerowie znaleźli ślady prawdopodobnych Upadków, ale żadnych jaj. A według biura komendanta marines Instytut Badań nad Upadłymi już od lat nie zamówił żadnego nowego jaja do eksperymentów. Posłał tam Keturah, żeby to sprawdziła; wróciła

umówiona na randkę z jednym z niższych urzędników, który obiecał zameldować o takim zamówieniu, jeżeli kiedyś wpłynie.

Pierwsza czerwona szpilka, którą Slvasta wbił w tę mapę w dniu swego przybycia tutaj, znajdowała się tuż poniżej Adice, gdzie spotkał Nigela. Czarne szpilki wskazywały miejsca, gdzie meldowano o ludziach, którzy zniknęli bez śladu. Jako kryterium przyjął co najmniej trzy takie zgłoszenia w danej strefie. Naturalnie, największe zagęszczenie było w prowincji Rakwesh i na półwyspie Aflar, na zachód od gór Spine.

Jak zawsze zapatrzył się na szpilkę znaczącą miejsce spotkania z Nigelem. W pobliżu było tylko kilka innych czerwonych i żadnej czarnej w promieniu dwustu mil. Jeśli Nigel zabrał więcej jaj, to na pewno nie bliżej niż pięćset mil od Adice. W istocie Slvasta nie otrzymał żadnego meldunku o zaginionych jajach, który pasowałby do profilu.

– Gdzie jesteś? – zapytał mapę.

* * *

Spotkanie podkomisji do spraw transportu odbywało się w jednej z dużych sal konferencyjnych na czwartym piętrze. Dwudziestu trzech oficerów (w tym siedmiu majorów) zasiadło przy długim mercedrowym stole; siedemnaście innych krzeseł pozostało wolne. Pociemniałe ze starości olejne obrazy dawnych dowódców regimentów spoglądały na nich ze ścian. Adiutanci i członkowie personelu krzątali się, podając oficerom herbatę i kawę, po czym usiedli pod ścianą z otwartymi notatnikami i przygotowanymi piórami.

Arnice usiadł obok Slvasty i kazał przynieść sobie kawę.

– Moja trzecia od rana – wyznał. – A co z tobą? Dobrze spałeś?

– Bardzo – odparł Slvasta z nikłym uśmiechem.

– Ty przebiegły stary draniu. Jaix mówiła, że Lanicia jej opowiedziała, jak wspaniale się bawiliście.

– Właśnie tego lubię słuchać... wiadomości z pierwszej ręki.

– W tym mieście? Wiesz, to jak licencjonowany biuletyn informacyjny. Zatem kiedy znów się z nią spotkasz?

– Niczego nie planowałem.

– Mój drogi, musisz kuć żelazo, póki gorące. Jej rodzina posiada część akcji Kolei Południowo-Wschodniej. Przyznaję, ona jest dopiero czwartą córką, ale mimo to dostałbyś całkiem niezły posag.

– A jaką osobę?

– Naprawdę musisz się jeszcze wiele nauczyć o wyższych sferach, nie sądzisz? Teraz oficjalnie uznaję za osobiste wyzwanie dopilnować, żebyś do końca roku dobrze się ożenił.

– Naprawdę? To bądź tak dobry i zdradź mi, co powie jej ojciec, kiedy spotka jednorękiego biedaka.

– I tu zaczyna się twoja edukacja. Wyzbądź się skromności i naucz podkreślać swoje zalety. Żaden facet w tym mieście nie ma jednej dziesiątej twojego honoru i heroizmu.

Przyznaj, jesteś dobrą partią. I dobrze ożeniony mógłbyś wrócić do Cham i przejąć dowodzenie regimentem.

– Za następne pięćdziesiąt lat.

– Ach, wielki Giu, to najwyraźniej moje drugie wyzwanie. Tak ci się spieszy ze wszystkim. Życie ma swoje tempo, swój rytm.

– Taki, który odpowiada tobie, nie mnie.

– Jestem po twojej stronie. No już, mam zawiadomić Jaix, że zjemy dziś razem kolację? Cudowna, podwójna randka? Co ty na to? I nie próbuj mówić, że jesteś strasznie zajęty, bo wiem, że nie.

– Pomyślę o tym.

– Doskonała odpowiedź. Spotkamy się z dziewczynami w restauracji Piarro o ósmej trzydzieści.

Slvasta ze smutnym uśmiechem pokręcił głową.

– Jesteś niemożliwy.

– Miło mi.

Pułkownik Gelasis z kapitańskich marines rozpoczął naradę.

Mieli do omówienia dwadzieścia siedem spraw, od podstawiania pociągów i zacieśniania współpracy z firmami przewozowymi (za sprawą ustanowienia przez Radę Narodową odpowiedniego prawa w razie potrzeby) po dobór skóry na buty dla stacjonujących w tropikach regimentów. Slvastę interesował tylko punkt czternasty, który sam zgłosił; musiał poprzeć wiele innych spraw i propozycji, żeby umieszczono go na liście. Był to dla niego trudny i przyspieszony kurs politycznych targów. Punkt czternasty był wnioskiem o całkowitą rezygnację z używania mod-koni przez regimenty i zastąpienie ich ziemskimi w czasie poszukiwań.

– Doskonały pomysł – rzekł pułkownik Gelasis. – Szczególnie w świetle relacji kapitana Slvasty dotyczącej niezwyklej kontroli, jaką Upadli mają nad modyfikowanymi zwierzętami. Ufam, że wszyscy czytali ten raport?

Siedzący przy stole zareagowali ogólnym rozbawieniem, do którego Slvasta starał się przyłączyć. Nie trzeba mu było pisać czarno na białym odpowiedzi: nie. On też tak potraktował wszystkie raporty dołączone do poszczególnych punktów. Zważywszy na to że przez tyle dni niczego nie zdołał osiągnąć, dziwił się, iż nie ma czasu na nic.

– Jeśli mogę coś powiedzieć – rzekł major Rennart.

Slvasta spojrział na niego z zaciekawieniem. Rennart nie był oficerem regimentu, lecz członkiem sztabu głównodowodzącego.

Gelasis oddał mu głos.

– Chcę poprzeć tę propozycję i wnioskować o przekazanie do Ministerstwa Skarbu w celu przeprowadzenia szczegółowej analizy kosztów i korzyści jej wdrożenia.

– Czy to dobrze? – przesłał Slvasta do Arnice'a.

– Potraktowali to poważnie, jeśli o to pytasz.

– Jak długo to potrwa? – spytał głośno Slvasta.

– Dopilnuję, żeby przydzielono to najlepszemu zespołowi – odrzekł Rennart.

– Tak, ale kiedy skończą analizować wnioski?

Rennart popatrzył na siedzących przy stole, a przez jego osłonę dawało się wyczuć nastawienie typu: czy mamy na to jakiś wpływ?

– Ci z nas, którzy są tu już jakiś czas, znają tempo pracy zespołów opiniujących.

To wywołało chichoty zebranych oficerów. Adiutanci zaczęli uważniej obserwować przebieg zebrania.

– Mógłby pan powiedzieć nam, świeżakom? – poprosił spokojnie Slvasta.

– Przygotowanie wstępnego raportu nie powinno trwać dłużej niż rok.

– Rok? – Slvasta nie wierzył własnym uszom. Oprócz prób znalezienia jakiegoś śladu Nigela w miriadzie raportów, które mógł przeglądać, Slvasta wszystkie swoje wysiłki skupił na doprowadzeniu do wymiany zmodyfikowanych koni na ziemskie. Był to pierwszy etap tego, co uważał za niezbędną modernizację wyposażenia regimentów. – Dlaczego potrzeba na to aż roku? I po co angażować w to Ministerstwo Skarbu? Z pewnością tę sprawę mogą załatwić kwatermistrze poszczególnych regimentów. Mój regiment w Cham przeprowadzał tę wymianę, kiedy wyjeżdżałem.

– To się im bardzo chwali – rzekł Rennart. – Ale jeżeli zaczniemy wysyłać zalecenia pociągające za sobą spore wydatki, ci sami okręgowi kwatermistrze prześlą rachunki do Ministerstwa Skarbu. I wierz mi, młody kapitanie, nie chcesz być uznany za odpowiedzialnego za rozgniewanie kanclerza.

– Jednak...

– Radziłbym posłuchać majora Rennarta – rzekł pułkownik Gelasis. – Mamy tu ustalony tryb załatwiania spraw. Rozumiem, że jest on powolny oraz irytujący dla oficera czynnej służby, który niedawno wrócił z linii, lecz jest to sposób, który przez trzy tysiące lat rządów okazał się najlepszy. Nie można się spierać z tak długą historią. Kapitanie, ma pan doskonałą okazję dopilnować, by ta propozycja została przedłożona do rozpatrzenia. Jeśli nie zostanie zatwierdzona do zaopiniowania przez Ministerstwo Skarbu, nie będę miał innego wyjścia, jak skreślić ją z listy spraw do załatwienia. Jaka jest pańska decyzja?

Arnice ani drgnął. Nie patrzył na Slvastę, a jego twarz nie zdradzała żadnych uczuć.

– Zgódź się – nadał do niego. – Na miłość Giu, Slvasta, bądź pragmatyczny. Im więcej papierów produkujesz, tym trudniej administracji je zignorować.

Slvasta formalnie skłonił się majorowi Rennartowi.

– Proszę przyjąć moje przeprosiny; nie chciałem okazać braku szacunku. Istotnie jestem przyzwyczajony do szybszych decyzji. Jednak, mając taką możliwość, chciałbym zgłosić wniosek o przekazanie sprawy Ministerstwu Skarbu.

– Wspaniale – rzekł pułkownik Gelasis. – Panowie, proszę głosować.

Wszyscy podnieśli ręce.

– Doskonale. Majorze Rennart, będzie pan uprzejmy tego dopilnować. A teraz punkt piętnasty, propozycja zwiększenia dziennych stawek żywieniowych dla oddziałów rezerwy podczas prowadzenia poszukiwań.

Slvasta nawet nie słuchał. Znów nienawidził siebie za to, że został pokonany, że podjął ich grę. I nienawidził Arnice'a za to, że miał rację. Był tylko jeden sposób załatwiania spraw – ten sam, co zawsze. Przyjaciele urzędników Ministerstwa Skarbu posiadający duże stajnie zostaną natychmiast zawiadomieni o tej propozycji, co pozwoli im przygotować się na rządowe zamówienia, gdy te w końcu przyjdą. *Za jakieś dziesięć lat.*

– Dobrze zrobiłeś – zapewnił go Arnice, gdy później razem szli po schodach.

– Jakoś tego nie czuję – powiedział mu Slvasta.

– Nonsens. Jesteś tu dopiero osiemnaście miesięcy, a już głównodowodzący rozpatrzy twój wniosek.

– Zapewne...

– No, nie sam głównodowodzący, raczej jego sztab.

– Właśnie.

– Choć musisz być realistą; raczej urzędnicy jego sztabowców.

– Ty to zawsze potrafisz człowieka pocieszyć, wiesz?

– Spójrz na to tak: ja nigdy nie wymyśliłem czegoś, co zaszłoby tak wysoko.

– No dobrze. Zatem co teraz z tym będzie?

– Stracą rok i mnóstwo pieniędzy, międląc to i rozwadniając, a potem prześlą komuś z młodszych podsekretarzy kanclerza, który doda swoje uwagi i odeśle do dalszej analizy. Wniosek będzie przez pewien czas krążył po urzędach, w których każdy zechce udowodnić, jaki jest mądry i ważny, następnie zostanie przesłany do komisji finansowej Rady Narodowej do ostatecznego zatwierdzenia. Och tak, i to ty będziesz tym, który im go przedstawi. Taka żona jak Lanicia zapewni ci większy prestiż, gdy będziesz to robił.

– Rozwadniając? – zapytał z niedowierzaniem Slvasta. – Albo kupimy te konie, albo nie. Co tu jest do rozwadniania?

Arnice uniósł brew.

– Zobaczysz. Faceci z Ministerstwa Skarbu potrafią być bardzo pomysłowi, gdy chodzi o wnioski zakupu. Zawsze byli. Tak już po prostu jest.

Slvasta miał ochotę zawyć ze złości. I pomyśleć, że kiedy zbudził się tego ranka, zakładał, że w końcu zrobił jakieś postępy.

– Zatem może nie powinno tak być.

– Ach, rewolucja – powiedział Arnice. – No, to prawdziwie godny cel. Bądź miły dla swoich dawnych przyjaciół z wyższych sfer, kiedy trzeba będzie postawić nas, arystokratów, przed plutonem egzekucyjnym.

– Na pewno nie zapomnę, co dla mnie zrobiłeś.

– I nie powinieneś. Poczynając od spotkania w Piarro dziś wieczorem o ósmej trzydzieści. Nie spóźnij się.

Arnice poklepał go po ramieniu i zbiegł po schodach, pozdrawiając grupę oficerów.

Slvasta patrzył, jak z nimi rozmawia, swobodny i uśmiechnięty. Niemal zazdrościł Arnice'owi tego, że ten wszystkich zna, zawsze wie, co powiedzieć i jak dopiąć swego. Gdyby to Arnice zgłosił wniosek, ten nie zostałby sabotowany przez majora zarazę Rennarta. Miał kontakty i umiał załatwiać sprawy. Czuł się jak ryba w wodzie w tym systemie, który tłamsił Slvastę.

– Nie ma mnie po południu – powiedział Slvasta do Keturah i Theloniouisa, kiedy dotarł do swojego gabinetu.

– Ależ, kapitanie, ma pan...

– Nie kłóć się – warknął na Keturah. – Zmień harmonogram.

– Tak jest.

Jej osłona nie zamknęła się dostatecznie szybko, by ukryć urazę z powodu takiego traktowania.

Witaj w klubie – pomyślał i wymaszerował z gabinetu.

* * *

Do Narodowego Urzędu Podatkowego było niedaleko; krótki spacer po bulwarze Walton w kierunku pałacu, potem skrzyżowanie z aleją Struzaburga, gdzie stał pomnik Ładownika – dziwaczna trójkątna rzeźba, mocno sterana przez czas i ptasie odchody. Pół mili dalej, przy ulicy Wahren granitowa fasada urzędu podatkowego wznosiła się nad delikatnymi pąkoroślami z ich rdzawymi wąskimi liśćmi falującymi na wietrze. Osiem kondygnacji biur i archiwów z okienkami, które się nie otwierały. Mówiono mu, że poniżej też są archiwa – najwyraźniej w piwnicach.

Okrągły galeriowy hol był wykończony szarobrazowym marmurem, z szerokimi spiralnymi schodami prowadzącymi na wszystkie piętra i nakrytymi piękną szklaną kopułą. Za półokrągłym biurkiem byli dwaj recepcjoniści i pięciu miejskich strażników. Wątpił, czy pozwolono by mu tu wejść, gdyby nie jego mundur.

– Czy jest pan umówiony, kapitanie? – spytał jeden z recepcjonistów. Był starszym panem w czarnym fraku i kamizelce w szare paski. Nosił okulary o szklach grubych jak denka butelek. Całe to miejsce ze swą atmosferą spokojnego, ponadczasowego istnienia szybko wysysało gniew i determinację Slvasty.

– Chciałbym się widzieć z urzędniczką Bethaneve – powiedział, mając nadzieję, że jego ranga zapewni mu zgodę.

– Czy ona pana oczekuje?

– Prowadzi dla mnie pewną sprawę. Dla Połączonej Rady Regimentów jest to dość pilne.

– Rozumiem. – Recepcjonista napisał coś na karteczce i wręczył ją mod-karłowi, najniższemu, jakiego Slvasta widział. Stwór znikł w małych drzwiach za biurkiem. – Zechce pan zaczekać, kapitanie.

Slvasta usiadł na jednej z dwóch drewnianych ławek, które nie pasowały do tak ogromnego pomieszczenia. Zanim mod-karzeł wrócił, cała początkowa determinacja Slvasty wyparowała i czuł się trochę głupio z powodu swego impulsywnego zachowania. Jednak rezultaty spotkania komisji był rozwścieczające. Chciał coś dziś osiągnąć. Choć raz.

– Bethaneve przyjmie pana – rzekł recepcjonista. – Pokój pięćset trzydzieści dwa.

Skinął na jednego ze strażników.

Pięć kondygnacji krętych schodów uzmysłowiło Slwaście, jak dawno nie biegał. Był zdyszany, gdy zaczęli iść jednym z długich korytarzy na czwartym piętrze. Minęli chyba z pięćdziesiąt drzwi i telepatycznie widział urzędników siedzących za biurkami w swoich gabinetach. Długie sale pomiędzy nimi mieściły długie rzędy regałów, których każdy centymetr był zapchany aktami i księgami rachunkowymi.

– Proszę nie używać telepatii – powiedział mu strażnik. – Dane podatkowe są tajne.

Slvasta już miał zaprotestować, że telepatycznie nie zdołałby odczytać zawartości poszczególnych kartek, nawet gdyby udało mu się je rozróżnić, ale widocznie takie tu były przepisy. Nieważne, czy sensowne, czy nie.

Strażnik zapukał do drzwi.

– Wejść – powiedziano telepatycznie.

Strażnik otworzył drzwi.

– Zaczekam, aż skończycie, a potem pana wyprowadzę – powiedział do Slvasty i wskazał drewniane krzesło przy ostatnim skrzyżowaniu korytarzy.

Bethaneve była zaskoczeniem. Slvasta oczekiwał, że zobaczy kogoś co najmniej tak leciwego jak recepcjoniści na dole. Tymczasem ona była prawie w jego wieku, z gęstymi nieufryzowanymi złotorudymi włosami sięgającymi poniżej ramion. Miała na sobie zielony pulower i luźną suknię w grochy, z wąskim koronkowym kołnierzykiem i sięgającą niemal do kostek, ale odsłaniającą czarne skórzane buciki. Taki strój spodziewałby się zobaczyć na stulacie. Jednak pasował do otoczenia, obojętnie jak młoda i bystra była osoba, która go nosiła.

– Dziękuję, że zechciała mnie pani przyjąć – powiedział.

– Jestem tu od siedemnastu miesięcy i jeszcze nigdy nikt mnie nie prosił o spotkanie – odparła z uśmiechem. – Prawdę mówiąc, nie znam na tym piętrze nikogo, kto kiedykolwiek miałby tu gościa. Tygodniami będą o tym mówili w bufecie.

Uśmiechnął się w odpowiedzi. Bethaneve nie była tak ładna jak Lanicia. Miała zbyt szeroką twarz i większy nos – ale to niesprawiedliwa ocena, surowo rzekł sobie w duchu. Gdyż Bethaneve była promienna, co szczególnie uwidaczniało się w tym okropnym pokoiku z jednym wąskim oknem.

– Przepraszam – powiedział. – Chodzi o to, że cztery miesiące temu przesłałem tu wniosek o sprawdzenie pewnych danych. Przysłała mi pani potwierdzenie oraz informację, że sprawa jest w toku. Byłbym wdzięczny za raport o postępach prac.

– Tak, to było niezwykle. Nigdy wcześniej nie otrzymaliśmy od wojska żadnego takiego wniosku.

– Czy to jakiś problem? Powiedziano mi, że mam uprawnienia do uzyskania tych danych.

To Arnice mu podpowiedział taki sposób wytropienia nieuchwytnego człowieka, kiedy Slvasta nic nie znalazł w aktach osobowych regimentu Erond. Na Bienvenido każdy miał swoją teczkę w urzędzie podatkowym – to było nieuchronne jak śmierć.

– Jako jeden z oficerów kapitanatu ma pan je, owszem.

– A zatem? Jak wygląda sprawa?

Posłała mu dziwne spojrzenie, a potem wskazała jeden z regałów, zajmujących całe dwie ściany biura, od podłogi po sufit. Piętrzyły się na nich sterty ksiąg rachunkowych oprawionych w czarną lub czerwoną skórę i wyglądających, jakby zaraz miały runąć. Według standardów archiwum było to bliskie anarchii.

– Oto moje dochodzenie. Szukam Nigela w rejestrach okręgu Erond w każdy sposób, jaki tylko przyjdzie mi do głowy.

– I nie znalazła pani? – westchnął Slvasta.

– Nie. Z pewnością nie jest kupcem, jak pan podał. Ale jest kilku właścicieli statków prowadzących podobne interesy, chociaż żaden z nich nie nazywa się Nigel.

Uśmiechnęła się.

Slvaście podobał się ten uśmiech, ożywił ją.

– Ach, doskonale. Czy mogę zobaczyć ich akta?

– To tylko księgi rachunkowe – odparła. – Akta są w sejfach. Jeszcze ich nie zażądałam.

Slvasta spojrział na nią i zobaczył, jak jej uśmiech przygasa. Rozejrzał się po tym przygnębiającym biurze.

– Ma pani mnóstwo pracy. Rozumiem.

– Och. – Zarumieniła się. – Tak. Przykro mi. Jeśli to naprawdę pilne, mogę zamówić te akta. Będą tu w ciągu tygodnia. Mój przełożony musi zatwierdzić zamówienie.

Slvasta się roześmiał.

– Narzucam straszne tempo?

– To naprawdę bardzo szybko. – Wzruszyła ramionami. – Przynajmniej jak na standardy archiwum. Po prostu... sprawy są tu załatwiane w pewien sposób.

– Ponieważ zawsze tak się to robi.

– Tak.

– Zatem dziękuję pani za złożenie tego zamówienia. Czy mogę jeszcze o coś prosić?

Energicznie kiwnęła głową.

– Tak, oczywiście.

– Chciałbym zjeść z panią kolację. Dzisiaj wieczorem, jeśli jest pani wolna.

Bethaneve znów się zarumieniła, posyłając mu zaskoczony spojrzenie, lecz jej wzrok nie zatrzymał się długo na jego pustym rękawie.

– Hmm, no cóż...

– Proszę się zgodzić. Jeśli nie, będę musiał spotkać się z moimi kolegami oficerami. Życzyłaby pani komukolwiek czegoś takiego?

– To podchwytliwe pytanie – odparła prowokująco, wcale nie jak urzędniczka.

– Skądże. Jestem tylko chłopakiem ze wsi, wysłanym do miasta, gdzie jest mu ciężko. Proszę się nade mną zlitować.

– Właścicielka pensjonatu zamyka drzwi o dziesiątej trzydzieści.

– Całkiem słusznie. Mogę przyjść po panią o siódmej?

– Tak. Dziękuję. To będzie miłe.

I jakże warte znoszenia narzekań Arnice'a z powodu niestawienia się na podwójną randkę.

* * *

Bethaneve wynajmowała mieszkanie przy ulicy Borton, w tej części miasta, gdzie lokale były znacznie tańsze niż Rigattr Terrace. Jednak kiedy powóz zatrzymał się przed ładnym dwupiętrowym domem z cegieł, Slvasta doszedł do wniosku, że niezupełnie jest to dzielnica robotnicza. Przy ulicy Borton stały stare, klasycznie gustowne domy o popękanych i chylących się ścianach. Za sto czy dwieście lat zostaną rozebrane i zastąpione nowymi, tak jak one zastąpiły stojące tutaj przedtem. Taki był cykl nieustannej regeneracji. Miasto się nie rozrastało, choć Arnice twierdził, że w każdym kolejnym cyklu rosło w górę. Tak jak jego społeczność, Varlan pragnął stabilizacji.

Gdy Slvasta pociągnął sznur dzwonka, drzwi otworzyła gospodyni. Ona doskonale pasowałaby do archiwum, pomyślał. Nalana twarz wyglądająca na stale przygnębioną, ciemna suknia ze sztywnego materiału, siwe włosy upięte w ciasny kok. Oczami i telepatycznie zmierzyła zwyczajny szary garnitur Slvasty.

– Te drzwi są zamykane o dziesiątej trzydzieści – rzekła surowo. – Nalegam, żeby moje dziewczęta wracały do tej pory. Jeśli nie, zakładam, że już nie muszą tutaj mieszkać... a szczerze mówiąc, jeśli tak chcą się zachowywać, to i tak nie chciałabym gościć ich pod moim dachem.

– To podziwu godna filozofia – zapewnił ją Slvasta.

Bethaneve pojawiła się w holu. Zmieniła strój na zieloną suknię, której skraj sięgał jej do kolan, i białą mantylkę, szczelnie okrywającą ramiona. We włosach miała wpiętą różową różę. Cienie łobuzerskich myśli przemykały pod jej kusząco cienką osłoną.

Gospodyni prychnęła z dezaprobatą i zamknęła drzwi.

– Zachowałeś powagę – powiedziała Bethaneve, gdy szli do powozu. – Dobra robota.

– Wydaje się dość apodyktyczna.

– Kiedyś pracowała w urzędzie podatkowym. Po jakimś czasie nabiera się tam pewnych nawyków.

Dorożkarz otworzył drzwi i pomógł wsiąść Bethaneve. Kiedy usiadła i zdjęła szal, Slvasta natychmiast zrewidował swoją wcześniejszą ocenę. Zielona suknia miała dekolt niemal

równie głęboki jak ten, który wczoraj pokazywała Lanicia. Przeklął się w duchu, że nie zdołał ukryć zaskoczenia, ale Bethaneve uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

– A więc gdzie mnie bierzesz? – zapytała.

Slvasta zawahał się, nim odpowiedział; czy tylko wyobraził sobie dwuznaczność tego pytania?

– Słyszałem dobre rzeczy na temat Oakham Lodge.

– Oddaję się w twoje ręce. Och... – Zakryła dłonią usta i zaczerwieniła się. – Slvasta, tak mi przykro. Nie chciałam...

– Wierz mi, po tym, jak amputują ci rękę bez narnika, żadne określenia nie są już tak bardzo irytujące.

– Bez narnika?

– Yhm.

– Wielki Giu, opowiedz mi o tym!

* * *

Kiedy Bethaneve się uśmiechała, kąciki jej ust się unosiły. Uświadomił sobie, że wygląda cudownie chochlikowato. Jej śmiech był zmysłowy. Nie była tak opanowana i zimna jak te córki arystokratów, które spotykał, co stanowiło jakże odświeżającą różnicę. Piła ciemne piwo, a nie wino. Z ożywieniem rozmawiała o wielu sprawach, takich jak trzy tamy na rzece Yann płynącej przez miasto i dostarczającej wodę trzem dzielnicom – o nieustannie psujących się pompach i właścicielach niemuszających rekompensować domostwom przerw w dostawach. Albo o firmie oświetleniowej obsługującej ulicę Borton i świadczącej tak nędzne usługi. I o skorumpowanych kontrolerach mięsa na targu Wellfield. I o... I... I...

– Nie powinnam ci mówić takich rzeczy – przyznała, gdy zjedli główne danie. Oboje zamówili specjalność zakładu, którą było mięso i cynaderki zapiekane w cieście.

– Dlaczego?

– Cóż, jesteś oficerem.

– To nie oznacza, że jestem policjantem kapitanatu.

– Nie. – Podniosła kufel i posłała mu nad nim przenikliwe spojrzenie. – I nie jesteś też taki, jak myślałam, że będziesz jako oficer.

– A jak sobie wyobrażałaś oficera?

– Sztywnego, jak wszyscy arystokraci. Niewrażliwego.

– Regimenty mają trudną robotę, wiesz. Oficerskie stanowisko nie jest tam synekurą. Przeszukiwanie wiejskich okolic to ciężka praca. A... – Zerknął na kikut swojej ręki. – Jeszcze cięższa, gdy ci się nie uda.

– Teraz to wiem. Widzisz, to przez te mundury, zawsze eleganckie i kosztowne. Po prostu kojarzyłam cię z bogatymi rodzinami, które wszystkim rządzą.

– Niektórzy młodszy synowie z tych rodzin wstępują do wojska, głównie do regimentu Meor. W ten sposób zostają w Varlanie... przyznaję, na drugim brzegu rzeki. Słyszałem, że

na każdego szeregowca przypada tam prawie jeden oficer. A Meor płaci oficerom niemal dziesięć razy więcej niż jakikolwiek inny regiment. Nazywają to stołeczną dietą, bo życie tutaj jest droższe.

– A czyja to wina? – spytała ostro.

– Jednak w stolicy jest więcej możliwości niż na wsi. To przyciąga ludzi.

– A to winduje ceny, co pozbawia najbiedniejszych wszelkich możliwości.

– Ale mieszkasz tutaj. Udało ci się znaleźć dobrą pracę.

– To ma być dobra praca? Od ósmej do piątej trzydzieści z czterdziestominutową przerwą na obiad, który musisz zjeść w bufecie przypadkiem prowadzonym przez rodzinę dyrektora. Dzień za dniem przez sto dziesięć lat, gdyż taki staż trzeba mieć, żeby dostać pełną emeryturę.

– Myślisz, że wytrzymasz tak długo?

– Nie. Znajdę sobie bogatego ziemianina, który mnie stąd zabierze. – Szyderczo uniosła brew. – Tak powinno być, prawda? Przepraszam, czy to gorycz przeze mnie przemawia? Nie chciałam tego. Po prostu nic nigdy się nie zmienia. Na Bienvenido jest tyle niesprawiedliwości i nikt nie próbuje niczego z tym zrobić. Na pewno nie kapitan ani wszystkie nasze Rady. A pieniądze, które biorą... słodki Uracusicie! Jak wiesz, mam wgląd w wykazy publicznych wydatków.

– To mnie nie zaskakuje. I obawiam się, że nie mam ziemi. Moja matka ma farmę, lecz teraz odziedziczą ją moi przyrodni bracia. Ja spędzę całe życie, walcząc z Upadłymi.

Bethaneve przesunęła dłoń po stole i uściśnęła jego palce.

– Jesteś dobrym człowiekiem, kapitanie Slvasta. Trzymaj się swoich przekonań. Nie pozwól sobie tego odebrać.

– Nie pozwolę.

Nie odważył się opowiedzieć jej o zebraniu komisji tego ranka i o tym, jak już go zastopowano.

– Zatem kim jest ten cały Nigel? – spytała. – Musisz bardzo chcieć go znaleźć, skoro zwróciłeś się o pomoc do urzędu podatkowego. Co zrobił?

Wyjaśnił, co się stało i jaki był zły na siebie, że dał się oszukać.

– To bardzo dziwne – powiedziała, gdy skończył. – Nie wyobrażam sobie, że ktoś mógłby pracować dla gniazda, obojętnie ile by mu zapłacono.

– Ja również – przyznał. – Jednak czy może być inne wyjaśnienie?

– Wiedziałaś, że kapitan Xaxon kiedyś co roku publicznie niszczył jedno jajo?

– Nie.

– Zdaje się, że był siódmym kapitanem. W środku lata w pałacu odbywała się uroczystość, podczas której na dziedzińcu wnoszono wielką, napędzaną parą gilotynę, specjalnie po to zbudowaną. Bez trudu przecinała jajo na pół. Grały orkiestry i maszerowały regimenty. Huczne obchody. Mówią, że był to wspaniały spektakl. Zwykle brało w nim udział dziesięć tysięcy osób.

– Dlaczego przestali go urządzać? Ten świat niczego nie lubi bardziej niż swoich tradycji.

– Jedna z jego wnuczek miała pieska. Zerwał się ze smyczy i pobiegł do jaja... zwabiony, jak wiesz. Ona pobiegła za nim...

– Niech to zaraza.

– Musieli odciąć jej trzy palce, które przywarły. – Bethaneve odrobinę mocniej ścisnęła jego dłoń i w zadumie spojrzała na kikut ręki. – Nie sądzę, żeby mieli czas podać jej narnik. Biedactwo.

– Taak.

– W każdym razie to jedyny znany mi wypadek przewożenia jaja przez ludzi. Może ten Nigel planuje urządzenie jakiejś ceremonii zwycięstwa. Czy on jest politykiem?

– Uważam, że mógłby być członkiem Rady. To równie sensowne wyjaśnienie jak każde... tylko że zdarzyło się to ponad półtora roku temu.

Uświadomił sobie, że nadal trzymają się za ręce, i nie próbował tego przerwać.

– Zawrzemy umowę, kapitanie Slvasta.

– Mów.

– Zamówię wszystkie akta właścicieli statków z okręgu Erond i przejrzę je dla ciebie. Zobaczę, czy któreś z nich pasują do tego, co mi powiedziałaś o Nigelu.

– To brzmi nieźle. Co ja ze swojej strony mam zrobić?

Uśmiechnęła się szeroko.

– Zabrać mnie na walki psów.

– Walki psów?

– Tak. – Uważnie mu się przyglądała, telepatycznie badając jego osłonę na oznaki reakcji.

– Bardzo dobrze.

Dopiła piwo, a potem wrzuciła do pustego kufła piękną różę, którą miała we włosach.

– No to chodź.

* * *

Slvasta jeszcze nigdy nie był w dzielnicy Newich. Nie miał powodu tam chodzić. Była skupiskiem opuszczonych magazynów i fabryk, rozsianych między ponurymi czynszówkami, które ich właściciele zbudowali, żeby zakwaterować swoją siłę roboczą. Przez środek wykopano kanał, kierując weń silny nurt rzeki Gossant, zanim wpadła do Colbal. Po obu jego stronach zbudowano wielkie fabryki, tworząc mroczny sztuczny kanion. Każdy z tych zakładów miał dwa lub trzy koła wodne, napędzające krosna i tokarki.

Walki psów odbywały się w jednej z nich, opuszczonej fabryce włókienniczej. Większość górnych kondygnacji budynku rozebrano przed laty w ramach planu przebudowy całego kanału – do czego jeszcze się nie zabrano. Ich brak utworzył dużą zamkniętą przestrzeń z resztkami pięter tkwiącymi przy ścianach i tworzącymi prymitywne balkony. Nierówna ceglana posadzka była poprzecinana głębokimi, wąskimi rowami w miejscach, gdzie niegdyś warczące skórzane pasy transmisyjne pracowały we dnie i w nocy, obecnie skolonizowanych

przez nędzne, roznoszące choroby, miejskie gryzonie. Wielkie żelazne łożyska wciąż były przymocowane do ścian, ostatnie pozostałości potężnych krosien, które niegdyś wypełniały halę fabryczną.

Dziesiątki dachówek spadły z dachu, wpuszczając do środka szerokie strumienie gwiazdnego blasku z efektem mory. Jednak głównym źródłem światła były setki lamp olejowych zawieszonych na poszarpanych krawędziach balkonów. Oświetlały arenę na środku ceglanej posadzki, szeroką na siedem kroków i ogrodzoną grubymi deskami.

W hali stłoczyło się co najmniej trzysta osób, mężczyzn i kobiet. Slvasta spodziewał się, że będą to głównie przedstawiciele klasy robotniczej, mieszkańcy pobliskich slumsów. Jednak nie, było tu wiele błyszczących cylindrów i bogato zdobionych sukni; w tłumie dostrzegł nawet kilka żołnierskich mundurów. Zgiełk był ogłuszający, a powietrze stęchłe i pełne much tatus. Ludzie siedzieli na balkonach, spuściwszy nogi za krawędzie, z kuflami i kielichami w dłoniach. Rozlane napoje nieustannie lały się z góry jak deszcz, gdy każdy zagrzewał swojego ulubieńca na arenie.

Slvasta rozejrzał się ze zdziwieniem, pozwalając swej telepatii błądzić wokół. Jeden koniec hali zastawiono klatkami ze zwierzętami, które dopiero miały walczyć. Były tam rozstawione beczki, przy których piwowarzy liczyli sobie dwukrotnie więcej niż w jakimkolwiek pubie, stoły z winem, a nawet kilku handlarzy narnikiem zuchwale przechadzało się z tacami ziela i fajkami. W kątach tkwili bukmacherzy, otoczeni przez ochroniarzy uzbrojonych w noże i pistolety, które można było odkryć bez pomocy telepatii.

– Wszystko jawnie – powiedział, nie wiedząc, czy to aprobuje, czy nie.

– Prawdziwa demokracja – odparła Bethaneve. Potem pomachała do kogoś przy stoliku po drugiej stronie areny. – Tędy.

Jej przyjaciółmi byli Javier i jego chłopak Coulan. Javier był wielkim i dobrze umięśnionym trzydziestolatkiem o hebanowej skórze niemal tak czarnej jak Quandy. Slvasta zganił się w duchu za tak niefortunne porównanie. Ten człowiek mówił z rakwshańskim akcentem, a kiedy pochylał się nad stołem, ten wyglądał jak zrobiony dla dzieci. Natomiast Coulan był wysokim młodzieńcem o krótko obciętych jasnych włosach i skórze tak bladej, że w pierwszej chwili Slvasta wziął go za albinosa; z tak ujmująco ładną twarzą od razu można go było polubić. Ale jego osłona była całkowicie nieprzepuszczalna i nie pozwalała wymknąć się żadnemu aspektowi jego myśli.

Z początku traktowali Slvastę nieco podejrzliwie, mimo że Bethaneve poręczyła za niego.

– Pierwszy raz na walce psów? – zapytał Javier, przywołując kelnerkę.

– Tak.

– Tak myślałem.

Slvasta nie wiedział, jak to potraktować. Teraz, gdy usiadł obok Javiera, zaczął sobie zdawać sprawę z tego, jak olbrzymi jest ten mężczyzna.

– Jakież rady? – przekrzyczyła zgiełk Bethaneve.

– Pies Initiego – odrzekł Coulan. – To złośliwe zwierzę. Warto na nie postawić.

– Niedługo wystawi go przeciwko dwom mod-psom – rzekł Javier. – Jednego ja dostarczyłem Philippie.

– Philippa organizuje te walki – nadała Bethaneve, pokazując dziewięćdziesięcioletnią kobietę w brudnym jedwabnym kimonie, siedzącą na okazałym fotelu blisko areny.

– Hodujesz mod-psy? – zapytał Slvasta.

Javier odpowiedział z drwiącym prychnięciem:

– Nie. Ja znajduję je dla Philippy. Właściciele nie powinni być tak cholernie niedbali.

– Ludzie w ogóle nie powinni ich trzymać – odparł spokojnie Slvasta.

Najwyraźniej nie takiej odpowiedzi oczekiwał Javier. Ponuro uśmiechnął się do Slvasty.

– Czego byśmy wtedy używali?

– A kogo to, zaraza, obchodzi? Ja po prostu nie chcę modów i neutów na Bienvenido.

Javier uśmiechnął się i ruchem głowy wskazał kikut Slvasty.

– Jeden z nich miał duże zęby, co?

– Nie, straciłem rękę w jaju. Mody pomogły mnie przy nim umieścić; należały do Upadłych. Ludzie nie rozumieją zagrożenia.

Javier odchylił się do tyłu razem ze stołkiem.

– Zaraza!

Widzowie zaczęli krzyczeć. Na arenę spuszczone wilczura i trzy mod-koty. Wilczur zaatakował je, tocząc pianę z pyska. Tłum zaczął wiwatować, gdy zacisnął zęby na pierwszym mod-kocie. Jednak pozostałe dwa, kierowane telepatycznie i oszalałe z przerażenia, zaczęły gryźć łapy wilczura. Ich ostre zęby, uformowane przez adaptatorów do przegryzania gryzoni, rozrywały ciało psa. Wilczur warknął z bólu i wściekłości, zaciskając kły na mod-kocie. Tworząc kłęb ciał, wszystkie trzy zwierzęta poderwały się i uderzyły o drewnianą ścianę, warcząc i skrzecząc na śliskiej od krwi arenie.

Slvasta telepatycznie obserwował tę rzeź. Bethaneve wstała, żeby obejrzeć cały ten krwawy spektakl. Kelnerka przyniosła do stolika trzy kufle. Javier podniósł swój.

– Za zabicie modów.

– Wszelkich – odparł Slvasta.

Stuknęli się kuflami i napili.

Bethaneve przewróciła oczami.

– Chłopcy!

Z uśmiechem pociągnęła długi łyk piwa, po czym znów zaczęła dopingować walczące na arenie zwierzęta.

– Zatem teraz wygodna posadka za biurkiem, tak? – zapytał Javier.

– Chwilowo. Mam nadzieję wkrótce wrócić do poszukiwań jaj.

– A więc to polityka? Wykopali cię wyżej, ponieważ byłeś zbyt oddany swojej pracy? Doceniam.

– Czy to takie oczywiste?

– Bogaci zawsze tak robią. Każdy entuzjasta, który mógłby zaburzyć ustalony porządek rzeczy, szybko zostaje załatwiony. Jak inaczej mogliby utrzymać swój stan posiadania?

– To Upadli utrzymują ich przy władzy – rzekł Coulan. – Nieustanna walka z nimi oznacza, że ludzie bez zastrzeżeń akceptują socjalną i ekonomiczną strukturę tego świata. Potrzebujemy regimentów do przeczesywania i likwidowania gniazd; dlatego płacimy rządowi, żeby nas ochraniał. Kto by się z tym spierał? Bez tej ochrony albo zostajesz Upadłym, albo zjedzonym. To silna motywacja.

„Ten świat” – Slvasta już słyszał to określenie, chociaż nie mógł sobie przypomnieć gdzie.

– Przecież zawsze będą Upadli – powiedział. – Wysyła ich Las. Nic nie możemy na to poradzić.

Javier pochylił się nad stołem, nagle ożywiony. Głównie przez alkohol, lecz gniew też odgrywał w tym pewną rolę.

– Ludzie przybyli na Bienvenido statkami, które przeleciały przez Pustkę; niektórzy nawet mówią, że spoza Pustki. Nieważne; kiedyś potrafiliśmy latać jak Władcy Niebios. Możesz to sobie wyobrazić? Teraz tylko siedzimy tutaj i kulimy się, gdy jaja spadają na nas, jakby Uracus sobie srał. Jakże nasi przodkowie muszą nami gardzić! Porzuciliśmy wszystkie cuda, jakie oni mieli, skarleliśmy i słuchamy przewrotnych słów takich ludzi jak kapitanowie, którzy obiecują nam tę żłudną ochronę. Powinniśmy wypowiedzieć wojnę Lasowi. Przenieść walkę tam, do samej Pustki.

– Ludzie mieliby latać w kosmosie? – zapytał Slvasta. – Mówisz o statkach napędzanych silnikami, a te nie działają na Bienvenido. Nasi przodkowie przybyli tutaj, żeby wieść prosty żywot, życie przynoszące spełnienie. To droga do Serca Pustki.

Zmarszczył brwi, nie wierząc, że właśnie wygłosił tak ortodoksyjne poglądy. A przecież to on miał walczyć z restrykcjami establishmentu.

– Naprawdę? Czy któryś z twoich przodków powiedział ci to osobiście? Czy może usłyszałeś to od nauczycieli w szkołach opłacanych przez Rady? Te Rady rządzone przez kapitana i wszystkie bogate rodziny, które popierają go i proszą o patronat. Nie wiemy, co dokładnie się wydarzyło trzy tysiące lat temu. Jednak czy wydaje ci się sensowne, że załogi tych statków postanowiły przylecieć tutaj, na nieustannie atakowaną planetę? Dlaczego mieliby to robić, mając cały Wszechświat? Masz na to jakąś odpowiedź?

Slvasta był zmuszony pokręcić głową i uznać się za pokonanego.

– Nie. Nie jeśli ująć to w taki sposób.

– A czy można to ująć inaczej?

– Hej. Jestem po twojej stronie.

– Tak. Widzę, że trzymają cię pod butem tak jak nas wszystkich, głupich wieśniaków. Jednak czy po tej stronie byś się opowiedział? Gdybyś miał wybór? Którego nie masz.

– Robię, co mogę.

Javier klepnął go w ramię.

– Oczywiście.

Choć wcale tak nie było, ale tylko w jego surowej samoocenie.

– Dość tego – powiedziała Bethaneve. – Jesteśmy tutaj, żeby się dobrze bawić. Slvasta, chcesz postawić? Javier o wiele za dużo mówi, ale zna się na zwierzętach. Może warto postawić na psa Initiego.

– Słusznie – rzekł Javier. – Nie zważaj na moje bzdurne gadanie. Przepraszam. Postaw pieniądze na Initiego. Co najmniej je podwoisz.

– No dobrze – odparł Slvasta, nagle uświadamiając sobie, że naprawdę dobrze się bawi po raz pierwszy, od kiedy przybył do stolicy. – Jeśli przegra, uznam cię za Upadłego i naślę na ciebie marines. Nadal uważasz, że ten pies wygra?

Javier ryknął śmiechem.

– Dołożę moje pieniądze do twoich. Przekonamy się.

* * *

– Mam zacząć od złej wiadomości? – zapytała Bethaneve.

Była sobota, tydzień po tamtym wieczorze, gdy oglądali walki psów. Bethaneve zgodziła się pójść ze Slvastą na lunch, a on wybrał lokal Davidia, rybną restaurację na Nabrzeżu Kapitana Sanorelle'a. To nabrzeże było właściwie początkiem mostu nad Colbal, o którym marzył ten biedny kapitan – poronionego pomysłu, co stało się oczywiste w chwili, gdy zatopiono pierwsze podpory. Na wysokości miasta rzeka miała ponad trzy kilometry szerokości i bardzo silny nurt, nawet gdy nie padały deszcze. Most miał zaledwie czterysta metrów długości i pięć potężnych kamiennych filarów, gdy jego koniec runął. Fale zabrały rusztowania i kamienie oraz ponad dwustu robotników.

Pozostały tylko trzy łuki i to, co miało być szeroką jezdnią i torami kolejowymi, teraz pokrywał chaos drewnianych szop ze sklepami rybnymi, kawiarniami i barami. Powietrze było gęste od dymu wędzarń.

Slvasta się uśmiechnął.

– Jesteś mężatką?

– Nie. Zeszedłem do archiwum zawierającego deklaracje podatkowe z okręgu Erond. Nie ma tam niczego pasującego do kupca posiadającego co najmniej trzy statki.

– No cóż, dziękuję, że próbowałaś.

– Mogę rozszerzyć zakres poszukiwań.

– Jak bardzo? Są setki okręgów.

– Siedemset piętnaście, plus osiemdziesiąt dwie gubernie czekające na zatwierdzenie statusu regionu; wtedy każda zostanie podzielona na dwadzieścia okręgów.

– Aż tyle? Nie wiedziałem. Cóż, warto było spróbować. Będę musiał wymyślić jakiś inny sposób, żeby go znaleźć.

– Nie chciałam tego mówić, ale jeśli jest przestępcą lub sprzymierzył się z Upadłymi, to prawdopodobnie nie wypełnia deklaracji podatkowych.

– Zapewne masz rację.

– Oczywiście, Javier też nie ma u nas swojej teczki.

– Dlaczego mnie to nie dziwi? Twój przyjaciele mają bardzo zdecydowane poglądy.

Do tej pory on i Bethaneve spędzili razem trzy wieczory, dwa z nich kończąc w pubie z Javierem i Coulanem. Lubił towarzystwo tych ludzi, choć zaczynał myśleć, że wolałby trochę mniej czasu spędzać z nimi, a więcej z Bethaneve.

– Dużo mówią – rzekła Bethaneve, jedząc piezzonego kabaczkowca. – Jak wielu ludzi. To nieszkodliwe.

Spoglądał na swój kufel.

– Szkoda.

– Naprawdę? – Uśmiechnęła się. – Uważasz, że Javier mógłby być dobrym kapitanem?

Sivasta uśmiechnął się w odpowiedzi i głośno westchnął.

– Nie!

Zaśmiała się.

– Jest bardziej podobny do ciebie, niż myślisz.

– Jakoś tego nie widzę.

– Oczywiście. Ta jego udawana gruboskórność wiele ukrywa. Zdaje się, że miał dziesięć czy dwanaście lat, gdy jego rodzice zostali pożarci przez Upadłych. To dlatego gardzi kapitanem i Radami... tak jak ty.

– Nie wiedziałem.

– Wszyscy mamy swoje powody, żeby robić to, co robimy, i myśleć, co myślimy. Ty chcesz zmienić sposób działania regimentów, ponieważ przez obecnie przyjęty o mało nie dostało cię jajo.

– To prawda, trzeba to wszystko zmienić i zmodernizować. Na tym polega postęp.

Spojrzała na niego prawie ze smutkiem.

– Oboje wiemy, że to kupa bzdur. Postęp skończył się na tej planecie trzy tysiące lat temu, w dniu, gdy wylądowali tu nasi przodkowie.

– Czy tego właśnie chcesz? Postępu?

– Mam przyjaciółkę...

Lekko zaniepokoił go sposób, w jaki zamknęła osłonę, nie pozwalając się wymknąć żadnym emocjom. Cokolwiek czuła, nie zamierzała się tym dzielić.

– Mów dalej.

– Chyba raczej miałam przyjaciółkę. Byłyśmy młode i razem przyjechałyśmy do Varlanu. Zwykła głupia historia: myślałyśmy, że życie tutaj jest wspaniałe i ekscytujące. I tak jest, kiedy jest się młodym. Potem przekonałam się, że nie, nie naprawdę. Minęło trochę czasu, zanim to zrozumiałam. Dopiero pierwszy oficer sprawił, że to pojęłam.

– Aothori? – spytał ze zdumieniem. – Znasz go?

– Moja przyjaciółka go знаła. Gospodyni z południa pewnej nocy zaprowadziła ją do jego pałacu. Nie chciała tam iść, ale miała pewne problemy...

– Problemy? – zapytał Slvasta; nie chciał pytać, gdyż było oczywiste, że rozmowa o tym przychodzi jej z trudem.

– Narnik – powiedziała z niechęcią. – A cóż by innego? Tak więc nie była w stanie odmówić. Kiedy tam poszła, Aothori nacieszył się jej bezsilnością. Na szczęście on szybko się nudzi, co zapewne było największym darem, jaki kiedykolwiek otrzymała od losu. Zbyt długie przestawanie z nim kończy się... wiadomo czym. Słyszałeś krążące o nim plotki?

– Taak.

– Wszystkie są prawdziwe, a to nawet nie jest połowa prawdy. On jest zły, Slvasto. Naprawdę bardzo zły. Jeśli go kiedyś zetną, nie zdziwię się, jeśli wypłynie z niego niebieska krew.

– Jest aż tak zły?

– O Giu, tak. Chcę, żeby zniknął. Umarł. To kapitanat pozwala takim jak on robić, co chcą, niszczyć ludzi. Rządzą światem dla swoich przyjemności i korzyści, a to jest złe. Dzień, w którym oni i wszyscy im podobni zostaną przepędzeni, będzie najszcześniejszym dniem mojego życia. Teraz już wiesz, czego chcę.

– Nie ty jedna. A twoja przyjaciółka? Ta, która знаła pierwszego oficera? Co z nią?

– Gdzieś znikła – rzekła ze smutnym uśmiechem. – Pewnie kiedyś musisz się dowiedzieć.

– O czym? – spytał ze współczuciem, myśląc, że wie, co zaraz usłyszy.

– Nie tylko moja przyjaciółka zażywała narnik.

– Każdy kiedyś próbował – rzekł, nieco zbyt wesoło.

– Nie, Slvasta, miałam z tym prawdziwy problem. Straciłam kontrolę. Jednak już od kilku lat jestem czysta. I nigdy nie zamierzam do tego wrócić, nigdy. To mroczne miejsce, lecz ty tego nie widzisz, patrząc od wewnątrz. I zanim się zorientujesz, mrok zapada i cię pochłania. To jak śmierć za życia, a jedynym wyjściem jest następna porcja. Po niej zdaje ci się, że znów widzisz światło. Jednak to nie światło, wcale nie. To tylko narnik daje ci kopa, zwodzi cię.

Wyciągnął rękę nad stołem i ujął jej dłoń.

– Przykro mi. Ale teraz jesteś czysta? To dobrze.

– Tak. Dzięki Coulanowi; on mnie znalazł. Pomógł mi zrozumieć, w jak złym jestem stanie. Pomógł mi z tym zerwać. Mało komu się to udaje, jeśli ktoś wpadł tak głęboko jak ja. Jednak on wiedział, co robić, jak mi pomóc. To było zadziwiające, jak odbudował mój szacunek do siebie. Wiele mu zawdzięczam. Właściwie wszystko. Był taki miły, taki hojny. Nie musiał tego robić, pomagać obcej osobie, ale zrobił to, ponieważ właśnie taki jest.

Przez moment Slvasta wyczuł kilka jej wspomnień, zamglonych obrazów nasyconych emocjami. Był dumny z tego, że nie puścił jej dłoni.

– Zatem ty i on?

– Tak – odrzekła cicho. – Ale to już skończone. Od dawna. On teraz jest z Javierem.

– W tych sprawach każdy z nas ma jakąś przeszłość – rzekł.

– Wiem. Jednak wciąż się przyjaźnimy. Slvasta, naprawdę mam nadzieję, że to ci nie przeszkadza. Nie mam zwyczaju odwracać się plecami do kogoś, kto był dla mnie taki ważny.

Bez niego... nie wiem, gdzie byłabym teraz. Być może martwa albo w jakimś domu publicznym w złej części dzielnicy Gamstak.

– Ale tak się nie stało. I jestem mu za to bardzo wdzięczny.

– Naprawdę? – Jej palce zacisnęły się na jego dłoni.

– Tak. Przez cokolwiek przeszłaś, uczyniło cię to taką, jaką jesteś dziś. Czyli osobą bardzo niezwykłą, Bethaneve. Taką, którą rad jestem znać.

– Jesteś taki miły. Nie wierzę, że wykonujesz taką pracę.

Nachyliła się i go pocałowała. Całowali się już wcześniej – przyjemnie kończąc wieczór, gdy dotknięcia teka stały się zabawnie prowokacyjne – ale nie tak, nie namiętnie. Natychmiast zamknął te myśli za osłoną, nie pozwalając, by ktoś je wyczuł. Jednakże nie mógł zamknąć oczu innym siedzącym w kawiarni gościom.

Odsunęli się z takim samym znaczącym uśmiechem. Po raz pierwszy od śmierci Ingmara Slvasta miał nadzieję na lepszą przyszłość.

SZEŚĆ

Wieść dotarła do Varlanu w następny czwartek. Zapewne specjalny posłaniec przyniósł ją do pałacu w nocy. Był to ten rodzaj wiadomości, które kapitan i jego Rada woleli zatajać, dopóki państwowe gazety nie wydrukują sprytnie zredagowanych artykułów, zmniejszających rozmiar szkód.

Kiedy Slvasta wszedł do Rose's Croissant Café, zrozumiał, że coś się stało. Nawet stali goście spoglądali na niego z dezaprobatą, a niestrzeżone myśli wywoływane widokiem jego munduru były zdecydowanie wrogie.

– Czy wszystko jest w porządku? – zapytał Rose, gdy podeszła odebrać jego zamówienie.

– Nie zwracaj na nich uwagi, kapitanie – powiedziała dostatecznie głośno, żeby usłyszano ją w całym lokalu. – Wszyscy tu wiedzą, że jesteś z regimentu Cham, a ten dobrze dba o swój okręg. Nie tak jak inni.

– Jacy inni?

– Może zechcesz spojrzeć na „Oko Wyzyn”.

Kiedy przyjęła jego zamówienie, Slvasta użył swej teka, żeby wziąć „Oko Wyzyn” z gazetnika przy drzwiach. Znalazł gazetkę bez trudu; tego ranka było ich tam pełno. Przeleciała w powietrzu nad głowami siedzących przy stolikach.

Z lekkim zdziwieniem zobaczył, że to nowe wydanie; zwykle drukowano je mniej więcej raz w miesiącu i ostatni numer wyszedł zaledwie pięć dni temu. Ponadto była to tylko jedna kartka. WYKRYTO GNIAZDO – głosiły wielkie litery nagłówka. Z rosnącym niepokojem przeczytał artykuł. W mieście Wurzen, leżącym najdalej na południe w prowincji Rakwesh, odkryto gniazdo. Wszyscy Upadli zostali zabici przez szeryfów i rezerwę regimentu z miasta. Nie dzięki władzom.

Gniazdo opanowało rodzinę Lanichie, miejscowych ziemian mających okazały dom w mieście. Nie wiadomo, jak długo udawało im się to ukrywać. Od lat krążyły o tym plotki – bardzo bliskie prawdy, co Slvasta wiedział, gdyż czytał tajne raporty o podejrzeniach biura szeryfa w Wurzen – lecz jedna z córek Lanichie była żoną gubernatora okręgu, a dowódca tamtejszego regimentu jej kuzynem. Rodzina zatrudniała w swoich posiadłościach setki ludzi i połowa przedsiębiorstw w okręgu była zależna od jej patronatu. Oficjalne raporty o licznych zaginięciach oraz meldunki o coraz bardziej izolujących się mieszkańcach miejskiej rezydencji, z ich dziwnie gęstym zarostem, były wyciszane przez lata.

Dwa dni temu, o pierwszej w nocy grupa pijanych marynarzy napadła na kryty wóz jadący spokojnie przez miasto. Miał logo browaru na boku i mieli nadzieję zwinąć kilka beczek. Zamiast nich znaleźli dwa jaja. Upadły woźnica ratował się rozpaczliwą ucieczką do rezydencji Lanichie, ścigany przez nagle wytrzeźwiałych marynarzy.

W mieście telepatycznie ogłoszono alarm i zebrał się tłum. Wszystkie mod-zwierzęta w Wurzen oszalały i zaatakowały mieszkańców.

– Wiedziałem! – wykrzyknął Slvasta, czytając tę część.

Przestraszeni i rozgniewani mieszkańcy szybko rozprawili się z modami, zabijając je teka, gołymi rękami i strzałami z pistoletów. Szeryfowie i rezerwiści, którzy mieli broń, poprowadzili atak na rezydencję. Po zabiciu Upadłych znaleźli w środku to, co wedle powszechnych wyobrażeń mogło być samym Uracusem. Ludzkie kości, ogryzione do czysta, wypełniały każde pomieszczenie. Według wstępnych ocen pożarto tam ponad trzysta osób.

Gniazdo w Wurzen było potwornością w takiej skali, jakiej nikt dotychczas sobie nawet nie wyobrażał. A cała ta sprawa została zamieciona pod dywan i wyciszona, ponieważ rodzina Lanichie należała do wyższych sfer – ziemian, arystokracji, bogaczy. Do klasy rządzącej. I rządzący dopuścili do tego, ponieważ nigdy nie przyszło im do głowy, żeby podejrzewać swoich.

Inne rezydencje i biura rady miejskiej zostały spalone przez tłum łaknący zemsty oraz dający upust swej zgrozie i wściekłości. Ziemianie, kupcy i wszyscy mieszkający w okazałych rezydencjach państwowi urzędnicy zostali wygnani ze swych domów i z miast, pobici, obrabowani i zwyzywani. Gubernator okręgu podobno został zlinczowany przez swoich własnych szeryfów...

„Oko Wyżyn” twierdziło, że w Wurzen ciągle rządzi tłum i niezadowolenie rozchodzi się po okolicznych miastach i wioskach, gdzie rodziny zaginionych chwytają za broń, szukając zemsty.

– Wielki Giu – mruknął Slvasta. Czuł niepokój zmieszany z ponurą satysfakcją. *Teraz regimenty będą musiały się zmienić.*

Zostawił kilka miedziaków na stoliku i opuścił lokal. Gdy szedł po bulwarze Walton, stopniowo zdał sobie sprawę, że jak na tę porę dnia, na ulicach jest niezwykle słaby ruch. Jednocześnie telepatycznie wyczuwał emocje zaczynające wzbierać w Varlanie. Tak właśnie było z telepatycznymi szeptami. Iskra emocjonującej plotki mogła jak pożar rozejść się po

mieście w ciągu kilku minut. Artykuł w „Oku Wyzyn” nie był iskrą, ale erupcją: urywki telepatycznych rozmów między rodzinami i przyjaciółmi nakładały się na siebie, zwielokrotnione przemykały z szybkością myśli ulicami i kanałami.

Dorożkarze, ci mistrzowie miejskich plotek oraz insynuacji, aż nazbyt dobrze rozumieli, co oznaczają takie nastroje, i wrócili ze swymi powozami do stajni. Ich nieobecność pogłębiła rosnący niepokój; szybko wzbierała niechęć do władz. Slvasta kilkakrotnie wyczuł osobników zachęcających ludzi do wyładowania frustracji na rządzie – głośne i ostre telepatyczne głosy, wyróżniające się przez kilka sekund w myślowym jazgocie, aby zaraz znów zamilknąć, nieuchwytnie nawet dla najlepszego psychodetektywa. Jednak każdy taki podburzający wybuch był wchłaniany i rozprzestrzeniany, powiększając zbiorową frustrację.

Keturah była w biurze Rady Regimentów, emanując niepokojem – stan podzielany przez niemal cały personel. Thelonious jeszcze nie przyszedł. Slvasta usiadł za biurkiem, nie wiedząc, co robić. Telepatyczna paplanina, wypełniając eter, nie pozwalała się skupić. Wyglądało na to, że wszyscy czekali, aż coś się wydarzy. Powiedział Keturah, że może iść do domu, jeśli chce, ale odparła, że nie, przeczeka to, chociaż istotnie chciała dziś wyjść wcześniej.

O dziewiątej Arnice zajrzał do gabinetu.

– Robi się trochę nieprzyjemnie – powiedział.

– Mówiłem ci, że powinniśmy poważniej traktować te meldunki o zaginięciach. I czytałeś o modach atakujących ludzi w Wurzen? Ciekawe, co na to major Rennart?

– Och, daj spokój, bądź rycerskim zwycięzcą.

– Nie sądzę, że ktokolwiek tu zwyciężył. Trzysta osób!

– Hmm. Nie mów nikomu, ale prawdopodobnie było ich ze czterysta. Szef policji kapitanatu, Trevene, mówi, że rodzina Lanichie zapewne Upadła pięć lat temu.

– Pięć lat? Hej, zaczekaj, skąd wiesz, co mówi szef policji?

Arnice mrugnął.

– Trevene to wuj mojej szwagierki.

– Wiedział o tym?

– Nie, oczywiście, że nie. Ten idiota gubernator był za głupi, żeby coś podejrzewać.

– Cholernie typowe.

– Właśnie. W każdym razie wychodzę przebrać się w mundur polowy.

– Co? Dlaczego?

Arnice wskazał za okno.

– Musisz sięgnąć dalej swoją tele. Tłum wieśniaków zbiera się w parku Bromwella, kipiąc od antyrządowych myśli... jakby kapitan wiedział, co się dzieje w Wurzen. Obawiamy się, że pomaszerują na Radę Narodową albo gorzej, na pałac. Dlatego regiment Meor rozstawi się na bulwarze Walton, żeby ich... powiedzmy... zniechęcić.

– Ach. – Slvasta zmarszczył brwi. – Zdążą dotrzeć tam w porę? Wszyscy twoi ludzie są w koszarach na południowym brzegu Colbal.

– Nie od trzeciej rano, gdy dotarła do nas ta wiadomość. Są rozlokowani w bunkrach w różnych częściach miasta, również pod tym budynkiem.

– Mamy tutaj bunkier?

– O tak. Ale nie rozpowiadaj tego.

– Dobrze.

– Nie martw się. Ci chłopcy są szkoleni do tłumienia rozruchów. Rozbijemy kilka głów, wpakujemy kilku niedoszłych rewolucjonistów za kratki, a reszta czmychnie z powrotem do swoich nor, żeby przez całą noc pić na umór. A gdyby doszło do najgorszego, no cóż, wszyscy mamy broń, no nie?

Slvasta wolał nie odpowiadać; i tak z trudem utrzymywał nieprzepuszczalną osłonę. Nie wiedział, że regimenty mogą być używane do utrzymywania porządku, nie mówiąc już o szkoleniu w tym celu. Jednak Meor zawsze był uważany za regiment elitarny, podlegający Radzie Narodowej. Ale... broń? Strzelać do cywili?

– Wieczorem możesz zabrać mnie na drinka – rzekł wesoło Arnice, wychodząc. – Nie rozmawialiśmy od wieków. Chcę wiedzieć o niej wszystko... kimkolwiek ona jest. Dziewczyna, z którą spędzasz cały czas, zapominając o swoim najlepszym przyjacielu w tym mieście; o wiernym druhu, kumplu od kieliszka, o przyjacielu, który od początku pokazywał ci miasto i który załatwił ci tyle chętnych pańienek, tym przyjacielu, który...

Slvasta uśmiechnął się, zmieszany.

– Bethaneve. Ma na imię Bethaneve.

– Ślicznie. I mam też dla ciebie wiadomości. Do jutra.

Pomachał ręką i pospiesznie wyszedł.

* * *

Gdy tłum w końcu wyszedł z parku Bromwella, liczył ponad tysiąc osób. Wspólna telepatia pozwalała całemu miastu patrzeć, jak ruszył po bulwarze Walton. Wznosząc drwiące okrzyki i śpiewając, przypuścili niezdecydowany atak teka na posągi historycznych dygnitarzy. Zadziwiająco duża liczba protestujących zachęcała wahających się, żeby dołączyli i wyrazili swoje zdanie dupkom u władzy. Wciąż napływał strumień nowych demonstrantów, zwiększając liczbę i determinację tych, którzy szli bulwarem Walton. Rządowe budynki przy tej ulicy miały teraz pozamykane drzwi i okna. Wstrząsały nimi uderzenia teka zadawane przez wznoszący drwiące okrzyki tłum. Kaskady potłuczonego szkła zaczęły spadać na szerokie trotuary.

Żołnierze regimentu Meor zablokowali bulwar Walton, stojąc w zwartym szyku głębokim na pięć szeregów, zagradzając drogę do pałacu. Pierwszy szereg miał długie pałki, drugi również. W trzecim szeregu stali mający silną teka, doświadczeni w metodach współpracy, osłaniający towarzyszy. Żołnierze w czwartym i piątym szeregu mieli broń. Szeryfowie i strażnicy biegali po ulicy za nimi, ustawiając więzienne karetki. Oficerowie donośnymi telepatycznymi okrzykami wzywali tłum do rozejścia się.

Obie strony przez kilka minut stały naprzeciw siebie, przy czym tłum ciskał szyderstwa i od czasu do czasu kamienie, popychane teka. Nagle grupa demonstrantów odłączyła się i pobiegła ulicą Cantural, krzycząc: „Tu są biura regimentu, oni wszyscy są tam!”. Z zaułków i bocznych ulic wylewali się kolejni rozwścieczeni demonstranci – zarówno szczerze wzburzeni nieszczęściem i obwiniający regiment o to, że temu nie zapobiegł, jak też inni, którzy tylko chcieli skopać tyłki szeryfom i żołnierzom w rewanżu za życie na społecznym dnie.

– Na Uracusa – mruknął Slvasta, gdy stało się jasne, że ich celem są biura Połączonej Rady Regimentów.

– Co mamy robić? – spytała przerażona Keturah, wybiegając z jego gabinetu.

– Zostańcie tutaj – warknął do niej. – Zamknijcie drzwi i nie wpuszczajcie nikogo, kogo nie znacie.

Oficerowie wybiegali na główny korytarz, a majorzy próbowali wydawać rozkazy. Zapanował totalny chaos.

– Musimy skoordynować nasze teka, żeby obronić budynek – rzekł Slvasta.

Nikt nie zwrócił na to uwagi. Klnąc, pobiegł do schodów. Wielkie frontowe drzwi budynku były zamknięte i zaryglowane, ale szerokie okna mogły być łatwymi drogami wejścia po rozbiciu szyb i okiennic. Trzeba je wzmocnić.

– Chodźcie – nadał do kilku młodszych oficerów, których znał.

Zrozumieli, co zamierza, i ruszyli za nim. Na zewnątrz okrzyki przybrały na sile.

Cztery oddziały meorskich żołnierzy wyszły po wąskich schodach z bunkra w piwnicy budynku Połączonej rady Regimentów. Arnice wyprowadził ich na zewnątrz przez wąskie drzwi w bocznej ścianie. Wyszli zza rogu, żeby stawić czoło tłumowi prącemu ulicą Cantural.

* * *

– Ten teren został zamknięty – oznajmił Arnice, nadając najsilniej, jak mógł. – Rozejdźcie się i wróćcie do swoich domów.

Jego żołnierze stanęli rzędem przed frontem długiego budynku Połączonej Rady. Ten szereg był rzadszy, niżby sobie życzył, ale w końcu był to tylko odwód. Główne siły regimentu meorskiego blokowały bulwar Walton.

– Sprowadźcie tu kilka wozów – nadał Arnice do miejscowego posterunku szeryfa. – Musimy dokonać aresztowań i pokazać tym draniom, że nie mogą robić, co chcą.

Stał na szczycie kamiennych schodów, plecami do masywnych podwójnych drzwi urzędu, wyraźnie starając się nie przepuścić przez swoją osłonę żadnych obaw. Za nim teka oficerów w budynku dotarła do drzwi, wzmacniając je. Po obu stronach inne teka podtrzymywały okiennice i szyby.

– Umacniamy budynek – zapewnił go telepatycznie Slvasta.

– Do domów! – ryknął do tłumy Arnice, podniesiony na duchu tym wsparciem. – To ostatnie ostrzeżenie. Mam upoważnienie Rady do użycia siły.

Odpowiedział mu chór pohukiwań i obscenicznych epitetów. Kamienie zaczęły śmigać w powietrzu, przyspieszane i kierowane teka. Kilka wymierzono w niego. Odbił je swoją teka. Z trudem.

– Przygotować się do oddania strzałów ostrzegawczych – powiedział swoim oddziałom Arnice.

Ze zgrozą zobaczył w rozgorączkowanym tłumie kobiety, a nawet kilkoro dzieci. Wszystkie wrzały z nienawiści, śląc telepatycznie paskudne obrazy kapitana i pierwszego oficera.

Ktoś o niepokojąco silnej teka oderwał szklany zbiornik z olejem od słupa latarni i posłał go stromym łukiem w kierunku urzędu. Zbiornik zapalił się w najwyższym punkcie swej trajektorii i rąbnął w kamienną ścianę tuż nad frontowymi drzwiami. Płomienie spłynęły kaskadą. Arnice odskoczył, otaczając się ochronnym kokonem teka.

Tłum ryknął z aprobatą. Kolejne zbiorniki oderwano od lamp.

– Celować wysoko – rozkazał Arnice. – Ognia!

* * *

Nazywała się Haranne. Miała dwanaście lat i podskakiwała w tłumie na ulicy Cantural, entuzjastycznie śpiewając nową i cudownie sprośną pieśń o bogatych chłopcach lubiących mieć jaja w tyłkach. Była tam z ojcem i starszym bratem, Lonnie, dając się porwać podnieceniu i dramatyzmowi tego niezwykłego dnia. Przestała śpiewać, gdy nad głowami poszybowały pierwsze butle z płonącym olejem.

– Patrz, patrz, tato! – powiedziała, pokazując palcem.

Zbiorniki lamp ulicznych rozbiły się na fasadzie wielkiego biurowca i jasne płomienie spłynęły po kamiennej ścianie. To starło uśmiech i radość z jej twarzy. Ściana płomieni budziła lęk, a długie jęzory buchały tuż przy stojących pod ścianą żołnierzach regimentu. Bała się, że ktoś może zostać poparzony.

Jednak każdy żołnierz podniósł broń trzymaną w jednej ręce. Huknęła przerażająco głośna salwa. Haranne instynktownie skuliła się, wzmacniając swoją osłonę, a jednocześnie jej tato porwał ją w ramiona i mocno przytulił, pochylając się.

– Do domów! – rozkazał silny telepatyczny głos.

Poznała, że to znów dowódca regimentu; już wcześniej, zaraz po wyjściu z budynku, kazał wszystkim się rozejść. Ludzie w otaczającym ją tłumie burczeli i wydawali wrogie okrzyki. Jej umysł zarejestrował zdumiewająco silną falę gniewu. Kolejne strzały.

– Tędy – nakazał jej tato. Zaczęli biec, pochyleni.

– Teraz razem – rozkazał silny telepatyczny głos.

Wyczuła teka przelatującą w powietrzu, liczne pasma łączące się w zwartą wiązkę, jak niewidzialna ręka olbrzyma. Uderzyła w dowódcę regimentu, obalając go. Krew popłynęła mu ze złamanego nosa i pokaleczonych policzków. Nagle jedna ze szklanych butli z olejem yal rozbiła się na bruku obok niego; buchnęły płomienie.

Haranne skuliła się na ten okropny widok, nie chcąc na to patrzeć nawet telepatycznie.

– Tatusiu!

Huknęły kolejne strzały. Wydawały się bliższe i jakieś inne. Nagle żołnierze znów zaczęli strzelać i już nie celowali w powietrze. Ojciec rozpaczliwie pociągnął ją za sobą.

– Dranie, dranie! – krzyczał. – Z drogi, mam dziec...

Coś z potworną siłą uderzyło Haranne w bok, tak że na moment zawisła w powietrzu, zanim upadła na granitową kostkę ulicy.

– Tato? – Zupełnie odrętwiała patrzyła na ciepłe szafirowe niebo, dziwnie oderwana od całego tego zamieszania wokół. Gniewne głosy i telepatyczne okrzyki zaczęły cichnąć. – Tato?

Jego twarz pojawiła się na tle nieba. A sposób, w jaki na nią patrzył, budził lęk.

* * *

Wstrząśnięty i przerażony Tasjorka patrzył na ranę córki. Krew płynęła z wielkiej dziury wyrwanej przez kulę w jej boku, a w pięknych oczach oszołomienie mieszało się z ufnością, gdy próbowała chwycić go za rękę.

– Haranne!

Adrenalina i strach nadały jego zwykłemu i telepatycznemu głosowi nieludzką siłę. Wszyscy w promieniu dwustu metrów skrzywili się, gdy w ich świadomość wdarł się obraz Haranne. Ślicznej dziewczynki o czarnych włosach i oliwkowej skórze, leżącej na bruku w podartej zielonej sukience przesiąkniętej krwią. Na kamieniach pod nią zabłysła kałuża, powiększając się. W jej oszołomionych oczach stanęły łzy. Spazmatycznie łapała oddech pod wpływem wstrząsu.

– Pomóżcie mi! – zawołał. – Pomocy!

Zgiełk na ulicy Cantural przycichł.

– Zatrzymać krwotok.

– Uciskać ranę.

– Jestem pielęgniarką, przepuście mnie.

– Pomóżcie jej oddychać.

– Musicie zatrzymać krwotok... tutaj...

Wir przywołanych z pamięci obrazów, jak za pomocą teka udzielić pierwszej pomocy.

Zbyt wiele osób tłoczyło się wokół. Sto różnych poruszających obrazów rannej dziewczyny przeleciało przez miasto, przekazywanych przez jeden wstrząśnięty umysł drugiemu.

– Dziewczynka. Postrzelili małą dziewczynkę!

– Jestem lekarzem, do diabła!

Tasjorka wraz z dwoma innymi usiłował zatrzymać krwotok za pomocą teka. Płakał, zbyt przerażony, żeby dokładnie przyłożyć telekinetyczny ucisk.

– Przepuście mnie.

– Proszę.

Krąg krzepkich i rozniewanych mężczyzn otoczył ranną Haranne. Rozstąpili się z gniewnymi pomrukami, gdy młody oficer regimentu przecisnął się przez tłum. Niósł wypchaną torbę ze znakiem czerwonego krzyża na boku. Uklęknął przy dziewczynie.

– Przestańcie to robić – powiedział.

Sięgnął swoją teka, dotykając nią rany. Zakrył ją i zacisnął lekkimi impulsami. Cicho i spokojnie mówił telepatycznie do Haranne. Zdobyła się na dzielny uśmiech. Otworzył torbę i bandaże wynurzyły się z niej jak oglądany w zwolnionym tempie wybuch, unosząc się w powietrzu. Zaczął opatrywać nimi ranę. Przybyła pielęgniarka i pomogła je zawiązywać. Podsunęto Haranne pod nos fiolkę z amanarnikiem. Westchnęła, gdy narkotyk zaczął działać. Zamknęła oczy.

* * *

Wraz z większością miasta Slvasta oglądał oczami innych cierpienia Haranne. Widział, jak tłum się rozstąpił i osłonił ją parasolem zbiorowej teki przed kamieniami i bombami zapalającymi. Jak blokujący bulwar Walton regiment Meor zrobił przejście, pozwalając ją zanieść do publicznego szpitala kapitańskiego przy ulicy Wallace. Jak pracownicy szpitala przybiegli i umieścili ją na noszach. Zacisnął zęby, dzieląc obawy Tasjorki, gdy zespół chirurgów odpychał wszystkich od jego ukochanej córki, teraz okropnie bladej i z trudem łapiącej oddech. Ojcowski lęk krążył w jego żyłach jak ostre igły, jakby jakieś obce fluidy zastąpiły krew.

Potem przybiegł naczelnny chirurg szpitala, wykrzykując polecenia, i obraz budynku się zamglił, dając Haranne należną jej prywatność.

Każdy mieszkaniec Varlanu nieuczestniczący w zamieszkach niespokojnie czekał na wieści o stanie zdrowia Haranne. Trwało to trzy długie godziny, podczas których walki na bulwarze Walton trwały z różnym nasileniem. Były dziesiątki rannych i nawet dwóch zabitych, ale to los małej Haranne przykuwał uwagę wszystkich.

W końcu Tasjorka wyłonił się z mgły spowijającej kapitański szpital i drżącym telepatycznym głosem oznajmił, że Haranne już zabrano z sali operacyjnej i lekarze są przekonani, że wydobrzeje. Podziękował wszystkim za pomoc i wsparcie.

– I proszę, dość już przemocy. Nikt nie powinien tak cierpieć jak ona.

Po tych słowach odwrócił się i wszedł z powrotem do budynku szpitala.

Po tym natężenie walk osłabło, ale tu i ówdzie wybuchały przez całe popołudnie, zanim ludzie w końcu się rozeszli, gdy słońce schowało się za horyzontem.

* * *

Slvasta tej nocy został w biurze, pomagając uporządkować i zabezpieczyć budynek. Bunkier pełnił teraz rolę punktu segregacji rannych żołnierzy, którzy stanowili większość regimentu.

Lampy olejowe zwisające z ceglanego sufitu bunkra rzucały bladożółte światło i wypełniały powietrze dymem. Ignorując jęki, Slvasta szedł wzdłuż szeregu prycz, starając się nie wzdragać na widok żołnierzy w zakrwawionych bandażach. Arnice leżał bez ruchu na ostatniej pryczy, z głową obandażowaną tak, że pozostały tylko wąskie szparki na oczy i usta. Białe płótna były zakrwawione w kilku miejscach. Slvasta zajrzał telepatycznie pod bandaż i ujrzał niepokojąco rozległe oparzenia, zwęgloną skórę i brakujące kawałki warg. Nad pryczą była zawieszona kroplówka i gumowa rurka łączyła ją z jego ręką, do której przyklejono wkłutą w żyłę igłę.

– Zastanawiałem się, gdzie cię wcięło – powiedział Slvasta, odpowiednio żartobliwym tonem głosu, sugerującym, że nic się nie stało, nie ma co mówić o szpecących bliznach, które pozostaną Arnice’owi, nawet jeśli chirurdzy wykonają dobrą robotę.

Arnice nie odpowiedział. Ukrył się za szczelną osłoną, niezdradzającą żadnych uczuć.

– Dziewczynka wyzdrowieje – rzekł Slvasta. – Haranne. Personel szpitala co godzinę nadaje na ogólnej fali komunikaty o jej stanie zdrowia, żeby uspokoić ludzi. Myślę, że to pomaga.

Arnice zeszywniał, napinając mięśnie.

– My tego nie zrobiliśmy – nadał. – Moi żołnierze to dobrzy ludzie; nie strzelaliby do tłumu. Nie do dziewczynki. Dziecka.

– Wiem.

– Wszyscy tak mówią. Słyszę ich, całe miasto czuło jej cierpienia, oglądało je oczami jej ojca. Czuli jego ból. I winią nas. Mnie. Nienawidzą mnie za wydanie rozkazu.

– Nie wydałeś tego rozkazu. Wszyscy to wiemy; kazałeś swoim żołnierzom strzelać w powietrze.

– Tylko kto będzie o tym pamiętał?

– Będzie dochodzenie. Musi być. Zostałeś powalony teka tłumu dobrą chwilę przed tym, zanim padł strzał; sam stanę na podium dla świadków i zeznam to pod przysięgą. Wszyscy się dowiedzą, że jesteś niewinny.

– Oficjalnie. Tak właśnie będzie: oficjalnie uniewinniony. A dzisiaj widzieliśmy, co ludzie myślą o takich oficjalnych komunikatach, no nie?

Slvasta ścisnął dłoń Arnice’a.

– My znamy prawdę. Oto co, się liczy. Ja wiem. Twoi przyjaciele wiedzą. Ty też wiesz.

– Slvasta, jesteś dobrym przyjacielem. Dziękuję ci.

– Przyjaciołom nie musisz dziękować. Ach, przyszli sanitariusze z ambulansu. Możesz chodzić?

– Nie jestem pewien. Te przeklęte leki. Nienawidzę ich. Jednak teraz już mnie tak nie boli, dzięki Giu.

– Chcesz, żebym pojechał z tobą? Czy mam sprowadzić Jaix?

– Nie! – Arnice wstał z pryczy i okrył się grubą osłoną, nieprzepuszczającą żadnej telepatii. – Nie Jaix. Ona nie może zobaczyć mnie w takim stanie. Proszę, Slvasto, obiecaj mi, że nie pozwolisz, aby mnie zobaczyła.

– No tak. Dobrze, obiecuję. Muszę jednak powiedzieć, że chyba jej nie doceniasz. To cudowna dziewczyna; nie zniechęci jej kilka blizn.

Arnice zacisnął pięść i zaczął tłuc nią w bok pryczy.

– Blizn? Blizn? Ty czubku, ja nie mam twarzy! Będę potworem. Będę pieprzonym potworem! Nie mogę z tym żyć. Nie mogę. – Podniósł głos do krzyku. – Co mnie czeka? Zastrzeliłem dziewczynkę! Zastrzeliłem ją!

Slvasta próbował złapać go za pięść, którą tłukł w pryczę.

– Nie! Nikogo nie zastrzeliłeś. Siostrzo!

– Ona nie żyje! – krzyczał Arnice. – Już po mnie. Nie mogę tak żyć. Jestem potworem. Monstrum bez twarzy!

– Siostrzo! – ryknął Slvasta.

Przejdziem przybiegł lekarz.

– Oni nas nienawidzą. Wszyscy nas nienawidzą! Zabić ich. Zabić ich wszystkich. Upadłem. Slvasto, upadłem! Zabij mnie. Niech ktoś to zrobi, proszę!

Arnice zaczął się rzucać na pryczy. Slvasta musiał użyć swej teka, żeby go przytrzymać, gdy lekarz manipulował przy dozowniku na dole butelki z płynem infuzyjnym. Po chwili Arnice się uspokoił. Slvasta z obawą patrzył, jak jego przyjaciel zaczyna łkać.

– Slvasta. Nie opuszczaj mnie! Nie...

Arnice opadł na posłanie, nieprzytomny.

Lekarz poklepał Slvastę po ramieniu.

– Bez obawy. To narkotyk przez niego przemawia. Widziałem to setki razy. Rano niczego nie będzie pamiętał.

– Oczywiście. Dziękuję, doktorze.

– Teraz go zabiorą do szpitala Hewlitta. Znam tam kilku chirurgów, świetni faceci. Zrobią, co się da, z jego twarzą. Przekłete dzikusy, które mu to zrobiły.

– Tak, owszem.

* * *

Slvasta patrzył, jak nieprzytomnego Arnice'a ładują na kryty brezentem ambulans. Woźnicą był zwykły dorożkarz, który zgłosił się na ochotnika do pomocy.

– Bez obawy, szefie, dowiozę tam majora – zapewnił Slvastę. – Nikogo dziś nie straciłem.

– Dziękuję. – Slvasta nie zdawał sobie sprawy z tego, że jego osłona jest tak cienka, iż widać jego niepokój.

Keturah przybiegła przez dziedziniec na tyłach.

– Kapitanie?

– Dlaczego wciąż tu jesteś? – spytał ze zdziwieniem.

– Bo pan tu jest – odparła.

– Na Giu, Keturah, powinnaś już dawno być w domu. Każę jakiemuś żołnierzowi cię odprowadzić.

– To bardzo uprzejmie z pana strony, kapitanie. Jednak ktoś do pana przyszedł. Mówi, że jest pańską znajomą. Bardzo nalegała. Warta zatrzymała ją przy głównym wejściu.

Slvasta telepatycznie spojrzał na hol przy głównych drzwiach. Bethaneve siedziała na ławce pomiędzy dwoma podejrzliwymi i zmęczonymi wartownikami.

– W porządku – powiedział Slvasta wartownikom, idąc ku niej po marmurowej posadzce.

– Znam ją. Dobrze zrobiliście, zachowując czujność. Możecie odejść.

Gdy wartownicy wrócili do frontowych drzwi, Bethaneve go uściskała.

– Przepraszam – powiedziała, pociągając nosem i tuląc się do niego – ale nie wiedziałam, do kogo mogłabym pójść.

– Nic ci nie jest?

– Nic. Udało mi się umknąć przed żołnierzami Meor, gdy zaatakowali tłum.

Zmieszany Slvasta zerknął na Keturah. Ze zdziwieniem spoglądała na niego i Bethaneve.

– To dobrze – rzekł, przeklinając w duchu swoje tchórzostwo. – Chodźmy na górę, do mojego gabinetu.

– Nie ma czasu. Aresztowali Javiera, Slvasta. Szeryfowie strasznie go pobili i wrzucili do jednej z więziennych karetek.

– Na Uracusa. Kiedy to się stało?

– Około piątej. Zabrali go na posterunek przy ulicy Ganuzi. Sędzia już tam pojechał. Mówią, że będzie wydawał wyroki na mocy stanu zawieszenia.

– Jakiego stanu zawieszenia? – zdziwił się Slvasta.

– W razie kryzysu kapitan może ogłosić stan zawieszenia praw obywatelskich – wyjaśniła Keturah. – Dziś rano przyszedł rozkaz z pałacu. Pozwala regimentowi meorskiemu użyć siły przeciw każdemu, kto zdaniem jego dowódcy zagraża państwu.

– Co takiego?

– Kopia leży na pana biurku. Położyłam ją tam.

Slvasta stał oniemiały. Zbyt dużo działo się naraz. Nie wiedział, co robić ani powiedzieć.

– Wyślą go do kopalń Pidrui – powiedziała Bethaneve. – I nie będzie mógł się odwołać, ponieważ wyrok wydano w czasie zawieszenia. Slvasta, on już stamtąd nie wróci. Nawet się nie przyznają, że go tam zesłali. Na Uracusa, nawet nie potwierdzą, że go aresztowali.

Slvasta chciał zapytać, czym są te kopalnie Pidrui; nie podobało mu się to, że o tak wielu sprawach nie ma pojęcia.

– No dobrze, możemy załatwić mu adwokata? Od praw obywatelskich?

– W stanie zawieszenia nie obowiązują prawa obywatelskie – powiedziała Keturah. – Na tym to polega.

Posłał Bethaneve rozpaczliwie spojrzenie.

– No to co możemy zrobić?

– Nie wiem. Myślałam, że ty... – Z trudem powstrzymywała łzy. – Jesteś oficerem.

Slvasta próbował zebrać myśli. Jedno wiedział na pewno: Javiera nie da się uwolnić w żaden legalny sposób. Zwrócił się do Keturah.

– Ten stan zawieszenia daje każdemu meorskiemu oficerowi prawo robienia, co chce?

– Mniej więcej tak to wygląda.

– Możesz znaleźć mi kopię tego rozkazu?

Zastanawiała się chwilę. Jej osłona słabła, pozwalając mu wyczuć jej myśli, jak nienawidziła wydarzeń tego dnia, jej pogardę dla instytucji, w której pracuje, arogancji oficerów.

– Tak.

– Dziękuję. Proszę, przynieś mi go na tylny dziedziniec.

Keturah posłała nieśmiały uśmiech Bethaneve.

– Powodzenia.

– Gdzie jest Coulan? – zapytał Slvasta. – On też został aresztowany?

– Nie. Jest na zewnątrz, zasłonięty. Pomyśleliśmy, że ja mam większe szanse się tu dostać.

– Słusznie. Teraz posłuchaj: musi załatwić nam dorożkę. Czy któreś z was zna jakiegoś dorożkarza chętnego do współpracy?

– Zapewne. Coulan zna wielu ludzi.

– To dobrze. Teraz idź i powiedz, żeby to załatwił, szybko. I powiedz mu, że spotkam się z nim na rogu alei Enuie i placu Conought za piętnaście minut.

– W porządku. Co zamierzasz zrobić? Wskazał na swój brudny mundur.

– Przebrać się.

* * *

W końcu okazało się to o wiele łatwiejsze, niż Slvasta się spodziewał. Lekko osłonięta dorożka, powożona przez Coulana, podjechała przed biuro szeryfa przy ulicy Ganuzi – czysto funkcjonalny trzypiętrowy budynek z trzema poziomami podziemi, w których mieściły się cele. Odsunięty od ulicy, miał mury z ciemnej cegły i wąskie zakratowane okna. Szeryfowie w środku nieustannie otaczali go osłoną, co pogłębiało ponurą atmosferę.

Pięciu szeryfów stało na straży na zewnątrz, czujnie obserwując podjeżdżającą dorożkę. Slvasta nie wysiadł, tylko wystawił rękę przez okienko w drzwiach i skinął na najbliższego.

Ten podszedł.

– Czego chcesz, na Uracusa?

Slvasta się wychylił, aby blade światło latarni pokazało, że nosi mundur majora meorskiego regimentu. Arnice nie nosił tego samego rozmiaru, ale mundur pasował na tyle, żeby nie wzbudzić podejrzeń wieczorem, przy słabym świetle i odrobinie strategicznej osłony. Szeryf nie mógł zauważyć, że Slvasta ma tylko jedną rękę – to by go zdradziło.

– Powiedz komendantowi, że chcę się z nim widzieć.

– Hmm... majorze?

– Słyszałeś. Sprowadź go tu.

– Ale...

– Już!

Szeryf nie zamierzał się spierać. Nie dziś. Wbiegł do budynku. Po kilku minutach pojawił się komendant.

– Nie wygląda na uszczęśliwionego – nadał Coulan do Slvasty.

– Co jest? – zapytał komendant. To był długi i kiepski dzień, a jeszcze się nie skończył. Komendant najwyraźniej nie chciał żadnych kolejnych problemów.

Slvasta nadal nie wysiadał z dorożki. Pokazał mu kopię rozkazu o wprowadzeniu stanu zawieszenia.

– Zna pan ten rozkaz i upoważnienia, jakie mi daje?

Komendant tylko rzucił okiem na kilka pierwszych wierszy.

– Taa.

– Dobrze. Ma pan u siebie niejakiego Javiera. Postawny człowiek, aresztowany na bulwarze Walton około piątej. Przejmuję go.

– Chyba pan żartuje. Sędzia już go skazał. Mamy wysłać cały statek tych zbuntowanych drani do Pidru.

Slvasta powiedział ostrzejszym tonem, takim jakiego używało wielu oficerów w Połączonej Radzie Regimentów, jakby należał do wyższej klasy społecznej:

– To nie żart, komendancie. Mój wuj uważa go za jednego z przywódców. Zostanie dokładnie przesłuchany w tej sprawie.

– Pański wuj? – W głosie komendanta pojawiła się nuta wahania.

– Trevene. Sądzę, że zna pan to nazwisko?

– Tak jest.

– To dobrze. – Slvasta zczekał, aż komendant się odwróci. – Ach, i jeszcze coś, komendancie.

– Tak, panie majorze?

– To nigdy się nie zdarzyło. Zrozumiano?

– Absolutnie.

Parę minut później dwóch szeryfów wywlokło bezwładnego Javiera z posterunku. Coulan zeskoczył z kozła i otworzył drzwi dorożki. Wszyscy trzej rzucili wielkoluda na podłogę, pod nogi Slvasty.

Dopiero kiedy znaleźli się poza zasięgiem telepatii szeryfów z posterunku, Slvasta zawołał z niedowierzaniem:

– Na cholernego Giu, zrobiliśmy to! Udało się.

– Byłeś wspaniały – rzekł Coulan. – Musisz mieć jaja jak melony.

– Ciekawy komplement. Dzięki.

– Co z nim?

Slvasta telepatycznie sprawdził stan Javiera. Ten miał mnóstwo siniaków i podbite oczy. Liczne skaleczenia i otarcia już się zamknęły i zasklepiły strupami, ale na skórze i ubraniu pozostało sporo zaschniętej krwi. Ponadto miał kilka pękniętych żeber i paskudnie skręconą nogę w kolanie, które mocno napuchło.

– Żyje.

SIEDEM

Piwnice znajdowały się głęboko pod ziemią: stary labirynt korytarzy i cel, których początkowo kamienne ściany z kruszejącą zaprawą miały liczne ubytki uzupełnione gołymi ceglami. Płaty niebieskozielonych glonów wylewały się z wilgotnych pęknięć, a kępy ostrych i bladych stalaktytów sterczały ze sklepień niczym skamieniałe owocniki grzybów. Powietrze było zimne, cuchnące i nieświeże z braku przewiewu; samo oddychanie nim natychmiast odbierało odwagę każdemu zamykanemu tutaj, pozbawiając wszelkiej nadziei.

Aothori schodził z Trevene'em po niekończących się spiralnych schodach, starając się nie dotykać stopni rąbkiem swego eleganckiego haftowanego płaszcza. Nawet bawił go ten odór mysich gówien oraz woń ludzkiego potu, która zawsze towarzyszyła strachowi. W głównej komnacie, do której zeszedł, paliły się trzy lampy olejowe umieszczone w żelaznych uchwytach wysoko na murze. Ich słabe światło pozostawiało większość komnaty w półmroku, ale ukazywało postaci przykute do ściany żelaznymi okowami i usta zakneblowane drewnianymi gałkami przytrzymywanymi przez rzemienie. Naliczył siedemnaście osób, w tym siedem kobiet. Kiedy go rozpoznali, ich niespokojne myśli zmieniły się w paniczne.

Uśmiechnął się, zadowolony z tego, jaką teraz cieszy się reputacją, po czym zaczął obchód. Utrzymywał szczelną osłonę, nie żeby groziło mu uderzenie teka. Każdemu z nich założono obrożę z pnącza etor. To pnącze, mocne jak rzemień, miało szczególną właściwość: namoczone w wodzie rozciągało się, niemal dwukrotnie podwajając swoją długość. W takim stanie splecioną z niego obrożę można było łatwo założyć człowiekowi. Potem zaczynało wysychać i kurczyć się. Jeśli ktoś miał taką obrożę na szyi, musiał ogromną część teka przeznaczyć na przytrzymywanie gwałtownie kurczących się splotów. Każda utrata koncentracji i skierowanie teka gdzie indziej oznaczało gwałtowne skurczenie się pnącza i śmierć przez uduszenie. W ten sposób więźniowie nie mieli żadnej możliwości stworzenia osłony, ich ciała były pozbawione ochrony, a ich myśli jawne.

– Studenci – stwierdził Aothori, pozwalając im wyczuć swoją pogardę.

Ich ubrania, wiek, oburzenie zmieszane ze strachem, resztki arogancji. Dobrze znał ten typ ludzi – wszyscy z uniwersytetu.

– Istotnie, panie – odparł Trevene.

– Radykałowie?

– Być może.

– Czy to ci sami, którzy chcieli narobić zamieszania w rocznicę Jaśminowej Alei?

– Wiem, że dwaj z nich czasem wypowiadali się o „jaśminowym buncie”.

– Niewdzięcznicy. Dajemy im takie możliwości, a oni nam tak dziękują. Czy to oni zaplanowali dzisiejsze demonstracje? Są przywódcami?

– Ta grupa na pewno działała razem. Szeryfowie aresztowali ich w parku Bromwella, kiedy wskazali ich moi ludzie.

– Zatem to było zaplanowane? Jestem zaciekawiony. Jak? Jeszcze dwa dni temu nikt nie wiedział o Wurzen.

– „Plan” to może za dużo powiedziane. Wolę myśleć, że byli gotowi zareagować na jakiś skandal. Wydarzenia w Wurzen były po prostu pretekstem; gdyby nie to, byłoby coś innego.

– Naprawdę? A więc byli gotowi wszcząć bunt? To świadczy o poważnych przygotowaniach.

Aothori podszedł do jednej z dziewcząt. Jej zielona suknia była podarta i ubrudzona, a hebanowa skóra zdarta na jednej ręce i nodze – zapewne kiedy ją wleczono. Gdy na nią patrzył, zaczęła drżeć i łzy stanęły jej w oczach.

– Jak masz na imię? – spytał Aothori.

– Oeleen – nadała. – Proszę, ta obroża jest taka ciasna.

– Wiem. – Studiował myśli wylewające się z jej rozgorączkowanego umysłu, obrazy, obawy. – No, no, co za wyobraźnia. Zatem ty jesteś przywódczynią tej bandy nędzników?

– Nie, nie, nie ma żadnego przywódcy. To nie tak. My tylko protestowaliśmy w sprawie Wurzen, to wszystko. Przykro mi, przepraszam.

– Ach, tylu osobom zawsze jest przykro po fakcie. Niestety, to nikomu nie pomoże. Kim są ci „my”? Wszyscy twoi przyjaciele tu obecni?

– Tak. Tak.

Uśmiechnął się do Trevene’a.

– No, czyż to nie uroczę? Wszyscy tu obecni! Nie powiem, żebym się obawiał obalenia kapitanatu, jeśli to najlepsze, na co stać radykałów.

– Sporządzimy listy wszystkich, z którymi wymieniali polityczne myśli – powiedział Trevene. – To trochę potrwa, ale moi urzędnicy przygotowują spis, potem go sprawdzimy i przeanalizujemy, zobaczymy, czy znajdziemy jakiś wzór lub hierarchię.

– To zdaje się strasznie nudne.

– Proszę – nadała Oeleen. – Obroża. Proszę. To już kilka godzin. Nie mogę... nie zdołam jej dłużej utrzymać.

Aothori spoglądał na nią, napawając się cierpieniem i strachem wykrzywającym jej śliczną młodą twarz.

– Zatem lepiej nie traćmy czasu, co? – Znowu odwrócił się do Trevene’a, w którego okularach odbijało się migotliwe światło lamp, skrywając oczy. – Wezmę ją. I tę, i tamtą. – Wskazał dwie inne dziewczyny.

– Jak pan sobie życzy.

– Nie pobiegnie pan na skargę do ojca? To coś nowego.

– One nie są przywódczyniami, a szczerze mówiąc, jest ich zbyt wielu, żebyśmy mogli wszystkich dokładnie sprawdzić. Jednakże to nie może się dostać do publicznej wiadomości. Teraz uwaga wszystkich jest skupiona na Haranne. Nie chcę, żeby to się zmieniło.

– Słuszna uwaga. – Czułe pogładził policzek Oeleen. – Nie żebym kiedykolwiek posłał kogoś tak niezwykłego do kopalń Pidrui. Prześlę wiadomość profesorowi, kiedy z nimi skończę.

* * *

W południe następnego dnia Slvasta jechał dorożką do szpitala Hewlitta odwiedzić Arnice'a. Zrozumiał, że coś jest nie tak, gdy tylko woźnica skręcił w ulicę Lichester. Kilka osób stało przed wejściem, a ich myśli zdradzały szok i przygnębienie. Z rosącym przestachem uświadomił sobie, że wśród nich są Jaix i Lanicia. Jaix szlochala niepowstrzymanie, zapomniawszy o osłonie, rozkojarzona z żalu. Wsiadł z dorożki.

– Co się stało?

Lanicia spojrzała na niego z obrzydzeniem; nie używając telepatii, dała mu do zrozumienia, jakim jest beznadziejnym, bezwartościowym gówniarzem. I nie tylko dlatego, że z nią zerwał.

– To Arnice – powiedziała.

Slvasta tylko patrzył na zawodzącą Jaix. Nie chciał wiedzieć. Nie chciał usłyszeć strasznej prawdy.

– Co się stało?

– Obawiam się, że major Arnice odszedł – powiedział łagodnie mężczyzna w fartuchu lekarza.

– O nie. Jaix, tak mi przykro – rzekł Slvasta.

Podszedł, żeby ją przytulić, zaoferować mizerną pociechę.

– Byłeś dla niego dobry – powiedziała Jaix przez łzy. – Naprawdę cię lubił. Mówił, że jesteś prawdziwy, nie tak jak inni.

– Był cudownym człowiekiem. Naprawdę.

– Byliśmy zaręczeni – powiedziała Jaix. – Oświadczył mi się dwa dni temu. Powiedziałam „tak”.

Slvasta zamknął oczy, zasmucony.

– Wiadomość. Mówił, że ma dla mnie wiadomość. Miał mi dzisiaj o tym powiedzieć.

– Arnice chciał, żebyś był jego drużbą.

Slvasta zwrócił się do lekarza.

– Co się stało?

Natychmiast zrozumiał, że niepotrzebnie spytał. Jaix zeszywniała w jego ramionach.

– Obawiam się, że major popełnił samobójstwo – odparł wzburzony lekarz.

– Co takiego? Nie!

– Nie zrobił tego – warknęła Jaix, odwróciła się i wskazała na stojącego obok mężczyznę.

– Ty go zamordowałaś!

– Jaix... – zaczęła Lanicia.

– Nie! Nie uspokoję się i nie zamierzam ukrywać prawdy. Slvasta, ten człowiek zamordował Arnice'a.

– Kim pan jest? – zapytał Slvasta.

– Davalta. Jestem zastępcą prokuratora w prokuraturze miejskiej. Rozumiem żal panny Jaix i jej współczuję. Jednakże muszę nalegać, żeby nie rozpowszechniano tego oszczerstwa.

– Będę rozpowszechniać, co zechcę, ty pedalski śmieciu – prychnęła Jaix. – Myślisz, że praca dla prokuratora cię uratuje? Kiedy prawnicy mojej rodziny z tobą skończą, pożałujesz, że nie prosiłeś o zesłanie do kopalń Pidrui i conocne zbiorowe gwałcenie! To będzie wycieczka do Giu w porównaniu z tym, co ci zrobię.

– Panno Jaix...

– W porządku. – Slvasta podniósł dłoń. Obrzucił podejrzliwym spojrzeniem zastępcę prokuratora w eleganckim i drogim garniturze. – Co pan tu robi? Dlaczego Jaix wini pana za śmierć mojego przyjaciela?

Davalta nabrał tchu.

– Wręczałem majorowi Arnice'owi pozew. Wkrótce potem wyskoczył z okna na trzecim piętrze.

– Pozew? Jaki pozew?

– Prokurator postanowił go oskarżyć o postrzelenie Haranne.

– Na Uracusa, chyba zupełnie was popierdoliło!

Mówiąc to, Slvasta już zrozumiał polityczne podłoże tej decyzji. Ktoś musiał być kozłem ofiarnym, kogoś trzeba było obwinić o cierpienia tej dziewczynki. W tym wypadku nie można było winić tłumu, gdyż to tylko podsyciłoby wrogie nastroje – a już dość ludzi wysłano do kopalń Pidrui i nie chciano nakręcać tej spirali. Druga strona też musiała oberwać – aby przywrócić stan równowagi, trzeba było kogoś poświęcić. Ze strategicznego punktu widzenia Arnice był idealnym kandydatem. Meorski oficer dowodzący w chwili, gdy padł strzał – nawet jeśli był w tym momencie nieprzytomny i ogień trawił jego twarz.

– Zapewniam pana, kapitanie... – zaczął Davalta.

– Wręczył pan pozew człowiekowi, któremu dopiero co bomba zapalająca spaliła twarz? Jak pan myślał, co on zrobi w takim stanie?

– Nie było prawnych powodów zwlekać z wezwaniem do sądu.

– Prawnych powodów... – Slvasta uformował olbrzymią pięść ze swej teka.

Davalta to wyczuł i cofnął się, przestraszony.

– Zapewniam pana, że napaść na urzędnika sądowego jest poważnym przestępstwem i będzie energicznie ścigana.

Slvasta posłał mu lodowaty uśmiech, a potem zwrócił się do Jaix.

– Dopilnuj, żeby twój adwokat spisał moje zeznanie o stanie zdrowia Arnice’a i o tym, że nie powinien być nękanym złośliwymi pozwami. Ponadto zeznam, że był nieprzytomny w chwili, gdy Haranne została postrzelona, i że osobiście słyszałem, jak brzmiał ostatni wydany przez niego rozkaz, w którym kazał strzelać w powietrze.

– Dziękuję – szepnęła Jaix.

Slvasta posłał Davalcie ostatnie pogardliwe spojrzenie.

– Nie jesteś spełniony, a twoja profesja nigdy ci na to nie pozwoli. Twoja dusza przez wieczność będzie błądzić pośród gwiazdozbiorów, kurcząc się z każdym mijającym rokiem.

Z tymi słowami wsiadł z powrotem do dorożki. Gdy zamykał drzwi swoją teka, dostrzegł aprobujące spojrzenie Lanicii. Wcale nie poczuł się przez to lepiej.

* * *

Slvasta szedł przez wschodnią część Ogrodów Tarletona, tarasowaty plac na skraju dzielnicy Nalani, na środku którego był ogrodzony żelaznym parkanem niewielki park, gdzie stare drzewa malbue zwieszały długie falbany swych szaroczerwonych liści z koron znajdujących się dwadzieścia metrów nad popękаныmi trotuarami. Dom z cegły, przy którym się zatrzymał, niczym się nie różnił od innych, tworzących tarasowe mury placu. Czteropiętrowy, z wykuszowymi oknami od frontu i szerokimi drewnianymi drzwiami pomalowanymi na wesoły niebieski kolor. Jak większość domów wokół placu, każde jego piętro było podzielone na oddzielne apartamenty. Budynek otaczała prosta psychiczna osłona, niczym nieróżniąca się od innych budowli w mieście i zapobiegająca wścibskiemu telepatycznemu podglądaniu. Idąc po trzech schodkach do drzwi, poczuł słabą falę percepcji.

– Wejź na górę – nadała Bethaneve.

W środku kamienica była bardziej podniszczona niż na zewnątrz, z kamienną klatką schodową rozbrzmiewającą echem jego kroków. Ściany były pobielone, pod sufitem paliła się zakopcona lampa, a powietrze było zauważalnie zimniejsze niż na placu na zewnątrz. Wszedł na drugie piętro. Bethaneve otworzyła drzwi i skinęła, by przeszedł przez mały podest. Telepatycznie sprawdzała otoczenie.

– Nikt mnie nie śledził – powiedział.

– Policja kapitanatu używa mod-orłów – odrzekła. – A także mod-psów i kotów. Krążą pogłoski o innych adaptacjach, których dotychczas nie widziano.

O mało nie zapytał: Skąd to wiecie, jeśli nie macie pojęcia, jak wyglądają? Jednak choć raz przezornie trzymał język za zębami.

Mieszkanie było równie ponure jak klatka schodowa. Jego ściany były pomalowane na bladezielono kilkadziesiąt lat temu i jeszcze bardziej wyblakły pod warstwami kurzu i brudu. Pociemniała podłoga skrzypiała pod nogami. Nie było żadnych mebli. Javier leżał na materacu w drugim pokoju, nakryty cienkim prześcieradłem, Coulan siedział przy nim na składanym krzeselku. Młodzieniec wyglądał na zmęczonego: miał pozlepiane włosy, ciemny zarost na brodzie i policzkach oraz plamy zaschniętej krwi na koszuli.

– Hej, ty – nadał Javier.

Pomimo szczelnej osłony ta prosta myśl zdradzała silny stres. Niepokojąco duża powierzchnia jego ciała była pokryta siniakami. Na ciemnej skórze opuchlizna była widoczna jako fioletowobrazowe plamy, od których wszystkie jego kończyny były obrzmiałe i odbarwione. Z ran wciąż sączyła się surowica, chociaż szybko zamykały się i zasychały. Podbite oczy były całkowicie zamknięte przez opuchliznę, a nabrzmiałe policzki wyglądały tak, jakby miał usta pełne orzechów.

Slvasta uśmiechnął się i pokazał mu torbę, którą zabrał z bunkra w podziemiach urzędu.

– Przyniosłem ci coś – powiedział.

– Czy to amanarnik? – zapytał z niedowierzaniem Coulan.

– Tak, zdobyłem kilka fiolek. A także czyste bandaże i opatrunki; są ważne.

– Dziękuję. – Coulan drżącą ręką wziął od niego torbę. – Traci tyle sił, walcząc z bólem.

– Ha, nie musisz mówić Slwaście o bólu – nadał Javier. – To tylko kilka siniaków. Ty miałeś gorzej, no nie?

– Lekarze wciąż mi powtarzają, że amputacja nie była tak bolesna jak kamienie nerkowe – rzekł Slvasta. – Co wieczór modlę się do Giu, żebym ich nigdy nie miał.

– Lekarze!

Coulan klęknął obok kochanka i przygotował strzykawkę z amanarnikiem.

– Nie znam dawki – powiedział Slvasta.

– Nie martw się, ja znam – rzekł Coulan.

– Jest jak chodząca encyklopedia – nadał Javier. – Mimo to nadal go lubię.

Wyraźnie powstrzymując łzy, Coulan wbił igłę w rękę Javiera.

– Już. To powinno ci zamknąć dziób. Naprawdę, te narzekania, które muszę znosić...

Pogładził zroszone potem czoło wielkoluda.

Minęła zaledwie krótka chwila, nim Javier westchnął. Jego myśli pulsowały głęboką ulgą.

– O rany, już czuję się lepiej.

Minutę później już spał.

– Zmienię mu opatrunek, dopóki śpi – powiedział Coulan. – Nie chcę ryzykować zakażenia. Na tym świecie jest kilka groźnych mikrobow. – Uśmiechnął się do Slvasty. – Bardzo ci dziękuję. Bez ciebie... – Urwał.

Bethaneve objęła go ramieniem i krzepiąco uścisnęła.

– Nic mu nie będzie, staremu durniowi.

– Tak.

Coulan zajął się torbą.

Bethaneve skinęła głową i Slvasta wyszedł za nią z pokoju. Drugie pomieszczenie było znacznie większe, i ciepłe popołudniowe światło wpadało przez wielkie wykuszowe okno. Tak jak w pozostałych pomieszczeniach tego mieszkania, w tym pokoju też nie było żadnych mebli ani ozdób. Na podłodze leżał materac, nakryty pomiętym prześcieradłem. Bethaneve

usiadła na nim i poklepała materac ręką, żeby do niej dołączył. Zrobił to, również westchnąwszy.

– Dobrze zrobiłeś – powiedziała. – Pierwszy cios zadany systemowi.

– Tylko że system uderzył jeszcze mocniej. Położyła dłoń na jego policzku.

– Co się stało?

– Mój przyjaciel. Jedyne, jakiego miałem w urzędzie, Arnice. Pamiętasz tego majora, którego trafiła bomba zapalająca?

– Pamiętam go, tak.

– Nie żyje.

– Och, Slvasta. – Przytuliła go. – Tak mi przykro. Jednak mówiłeś, że oparzenia były bardzo rozległe.

– To nie z powodu oparzeń – rzekł chrapliwym głosem i opowiedział jej, co się stało.

– Co za ludzie! – wykrzyknęła wzburzona, kiedy skończył. – Był jednym z nich, a oni zamierzali tak się nim posłużyć?

– Taak. – Nie wiedzieć kiedy zaczęli się obejmować i przytulać. – Ten mały zasraniec Davalta, którzy wręczył Arnice’owi pozew, miał to gdzieś. Samobójstwo było im nawet jeszcze bardziej na rękę. Teraz o wszystko można obwinąć mojego przyjaciela i nikt nie oczyści jego dobrego imienia. Jaix będzie próbowała, ale wiem, że uniemożliwią jej to i ją zdyskredytują. A jeśli nawet będzie mogła powiedzieć coś w sądzie, to wszystko szybko pójdzie w niepamięć. O całe to zamieszanie i wszystko, co się stało, obwinia Arnice’a.

– Nie mogą go winić za gniazdo w Wurzen.

– Nie. Tylko gubernatora okręgu, który został powieszony przez tłum, co jest na rękę kapitanowi. Nic się nie zmieni. Wszystko będzie tak jak przedtem.

– Nie dla ciebie – powiedziała z przekonaniem. – Wiem, że ty nie dasz za wygraną. Nie zrobisz tego, prawda?

– Czego nie zrobię? – rzekł z goryczą. – Nie zrezygnuję z zastąpienia modyfikowanych koni ziemskimi w czasie poszukiwań? Taak, to na pewno wszystko zmieni, no nie? To taki drobiazg, żaloszny przejaw biurokracji. Ja jestem żaloszny. Na Uracusa, nie mogę niczego zmienić. Równie dobrze mógłbym się przyłączyć do nich, do tych wszystkich rodzin i urzędasów rządzących tym światem. W ten sposób, nawet wiodąc zupełnie bezwartościowe życie, przynajmniej żyłbym wygodnie.

– Przestań. Przestań tak myśleć. Nie mogę znieść tego, że wygrają. Oni zawsze wygrywają, Slvasta, za każdym razem. Zniszczyli życie mojej przyjaciółce, zabili twojego przyjaciela i nigdy nie ma żadnej sprawiedliwości, nie dla takich jak my. Dlaczego? Czemu nie można obalić ich rządów? Dlaczego ten świat nie może się zmienić?

– W porządku – powiedział, gładząc jej szyję. – Po prostu jestem wstrząśnięty śmiercią Arnice’a. Nie poddam się.

– Obiecaj mi! Obiecaj, Slvasta.

Przycisnęła swoją twarz do jego twarzy. Desperacja i potrzeba wzbierały w jej umyśle, który nie miał już żadnej osłony.

Pocałował ją.

– Obiecuję. – Pocałował ją znowu. – Obiecuję, że się niepoddam.

Jej dłonie gmerały przy jego koszuli. Swoją teka zdjął z niej sukienkę. Upadli na materac, dotykając i pieszcząc uwolnioną od ubrań skórę. Gdy oboje byli nadzy, dosiadła go, otoczona jasnym światłem sączącym się przez wykuszowe okno za jej plecami. Swoją teka pociągnął ją w dół, wchodząc w nią. Słońce zdawało się ją opływać, zmieniając jego świat we wspaniałą białą poświatę, gdy krzyknęła. Potem zaczęła go ujeżdżać, wpuszczając go do swoich myśli, by ukazać sekretne pragnienia swego ciała, prosząc o ich spełnienie. Odpowiedział równie intymnym kontaktem, dzieląc się z nią swym seksualnym apetytem. A wyzbyta wszelkich zahamowań Bethaneve użyła dłoni, ust, języka i teka, aby zaspokoić go tak, jak zawsze marzył, by to zrobiła.

Niczego przed nią nie ukrywał i nie czuł wstydu, odsłaniając się w taki sposób, gdyż ona odwzajemniała się takim samym entuzjazmem.

Przez całe to popołudnie kochali się w ciepłym słońcu na wąskim materacu, skupieni tylko na jednym: wzajemnym zaspokajaniu swoich potrzeb. I przez cały ten czas w jego głowie kłębiły się myśli, zamierzenia, które uważał za niewykonalne. Teraz jednak, gdy wyzbył się zahamowań, wszystko było możliwe i uwalniało się z pęt w tym słońcu i radości.

* * *

– Boję się – powiedział jej w końcu.

Bethaneve leżała na nim, wciśnięta w niego swym spoconym i gorącym ciałem. Każdy oddech niósł zapach seksu. Poczucie intymności było nieporównywalne z niczym.

– Nie bój się – powiedziała mu. – To się zdarzy znowu, i znowu. Tyle razy, ile zechcesz. Ponieważ ja też tego chcę... i wiesz o tym. Niczego przed tobą nie ukryłam.

– Tak, wiem. Jednak nie tego się boję.

– A czego?

– Tego, o czym oboje wiemy, lecz zbyt się obawiamy, żeby o tym mówić.

– Zatem powiedz to. Do mnie. Możesz powiedzieć mi wszystko.

– Jeśli coś ma się zmienić, to nie znam nikogo, kto zamierza do tego doprowadzić.

– Tylu ludzi tego chce. Ktoś coś...

– Nie – rzekł stanowczo. – Nie ktoś. Jeśli to ma być zrobione, my musimy to zrobić. Tu i teraz. Od tego trzeba zacząć. To rewolucja. Zorganizujemy się i zwyciężymy.

Bethaneve podniosła się tak, żeby spojrzeć mu w oczy. Jej własne zwilgotniały z emocji.

– Będę z tobą do samego końca – przysięgła. – Cokolwiek przyniesie nam los.

KSIĘGA CZWARTA

Struktura komórki

JEDEN

Tydzień po samobójstwie Arnice'a Slvasta zrezygnował ze swojego stanowiska. Nie podał żadnego powodu ani miejsca przyszłego pobytu. Wychodząc z budynku Połączonej Rady Regimentów, wpadł na chwilę do bunkra w podziemiach, skąd spokojnie zabrał parę rewolwerów i cztery paczki naboju, wynosząc je w torbie, którą osłonił. Tak jak się spodziewał, oficera nikt o nic nie pytał.

– Musimy się zorganizować – powiedziała tego wieczoru Bethaneve. – To oczywiste.

Slvasta pojawił się w domu w Ogrodach Tarletona z jedną walizką zawierającą wszystkie jego cywilne ubrania. Pomyślał, że to symboliczne przybycie. Zostawił swoje mundury w mieszkaniu przy Rigattra Terrace numer siedemnaście. Bethaneve też opuściła swoje lokum przy ulicy Borton.

Usiedli na gołych deskach podłogi, a Javier oparł się na poduszkach ułożonych przez Coulana. Najgorsza opuchlizna już zaczęła mu schodzić i jedno z oczu wielkoluda znów mogło się otwierać. Amanarnik w znacznej mierze złagodził ból, choć Coulan obawiał się, że kolano zostało trwale uszkodzone.

– Ilu dokładnie ludzi będzie do tego potrzeba? – zapytał Javier.

– Do czego? – spytał Coulan. – Jaki właściwie mamy cel?

– Pozbyć się kapitana i Rady Narodowej – powiedziała Bethaneve. – Zgadza się?

– Tak – przyznał Slvasta. – A co potem?

– Demokracja – odparła urażona. – Prawdziwa demokracja, z otwartymi i uczciwymi sądami. I urzędnikami państwowymi, których można pociągnąć do odpowiedzialności. To na początek.

– A więc musimy siłą wykopać drani – stwierdził Javier. – To nie będzie łatwe. Sami nie odejdą. Będziemy potrzebowali armii.

– Albo tłum – powiedział Coulan. – Właśnie widzieliśmy, jaką może być siła. Meorski regiment ledwie obronił rządowe budynki.

– Tłumem nie da się kierować – rzekł Slvasta.

– Nie bądź tego taki pewny. Tłum potrzebuje tylko odpowiedniego przywódcy.

– Tylko że jeśli ktoś spróbuje agitować tłum, zgarnie go policja kapitanatu – przypomniał Javier. – I będzie miał szczęście, jeśli skończy się tylko na zesłaniu do kopalń Pidru.

– Zatem tożsamość agitatorów trzeba ukryć – odparła Bethaneve. – To czysto matematyczny problem.

– Matematyczny? – zapytał Slvasta i być może trochę za dużo sceptycyzmu wymknęło się przez jego osłonę.

– Oczywiście. – Uśmiechnęła się doń kpiąco. – Potrzebne nam oddzielne grupy agitatorów, odizolowane od siebie, ale utrzymujące prywatne kontakty telepatyczne. Porucznicy nieznający się nawzajem, więc niemogący nikogo wydać, a zwłaszcza nas. Może struktura swoistej piramidy, z instrukcjami wysyłanymi przez nas samej górze i przekazywanymi w dół. – Zamknęła oczy, a jej myśli ożywiły geometryczne figury poszczególnych węzłów połączonych liniami. – Hmm, dajcie mi to przemyśleć.

– To mi się podoba – rzekł Javier. – W ten sposób, jeśli będziemy pierwszą grupą na samym szczycie, wystarczy nam zwerbować kilka grup, które utworzą niższy poziom. Potem znalezione przez nas grupki będą znajdowały kolejne. Utworzy się wielopoziomowa struktura.

– Brzmi dobrze – przyznał Slvasta. – Gdybyśmy tylko znali kogoś, kto mógłby to zorganizować...

Bethaneve wykonała obsceniczny gest palcem.

– Zatem to zostawimy tobie – powiedział Coulan. – Naszemu oficerowi łącznikowemu.

– Nie oficerowi – ucięła. – Oficerowie są w regimentach.

– Towarzysze?

– Tak. To mi się podoba.

– Naszym największym problemem będzie zmotywowanie ludzi – zauważył Javier. – Tyle osób po prostu zaakceptowało status quo.

– Woda – podsunęła natychmiast Bethaneve. – Wszyscy wiedzą, w jak złym stanie firmy dostarczające wodę utrzymują miejskie wodociągi. Nie trzeba będzie wiele, żeby uszkodzić stacje pomp. Połowa z nich jest własnością rodziny kapitana. Możemy rozgłosić, że to on jest odpowiedzialny za awarie, zgarniając wszystkie zyski i nie finansując należycie napraw oraz wymiany najważniejszych części.

Slvasta z rosnącym podziwem patrzył na Bethaneve. Jeszcze nigdy nie widział jej tak ożywionej; owszem, była zła na pierwszego oficera i kapitana, ale to... to był zupełnie nowy aspekt jej osobowości. Podobał mu się jej płomienny zapał i mądre słowa.

– Musimy również zdecydować, w jaki sposób przekazać ludziom nasze postulaty – powiedział Coulan. – Podać jakiś powód, dlaczego nasze propozycje są lepsze od istniejącego ustroju.

– Pieniądze – powiedział Slvasta, chcąc mieć swój wkład.

Wszyscy spojrzeli na niego.

– Każdy chce mieć więcej pieniędzy, prawda? – rzekł. Ten pomysł dopiero kiełkował mu w głowie, gdy to mówił, więc po prostu dał mu się porwać. – Zatem musimy pokazać, że możemy im je dać. Muszą wiedzieć, że przeciwstawianie się kapitanowi doprowadzi ich do lepszego jutra, szczególnie finansowego.

Urwał, układając sobie wszystko, czując wielką satysfakcję z powodu tego, że tchnął trochę życia w swoje plany.

– Mów dalej – zachęcił Javier.

– Teraz w Varlanie wielu ludzi jest na zasiłku dla bezrobotnych, nie tylko z Shanties. A codziennie kolejni przybywają z prowincji w poszukiwaniu pracy. No cóż, dlaczego nie mielibyśmy dopilnować, żeby dostali tę pracę?

– A jak, na Giu, mamy to zrobić? – spytała Bethaneve.

Slvasta uśmiechnął się do nich wszystkich, znalazłszy doskonałe rozwiązanie tego problemu.

– Zabierając ją modom.

* * *

Javier potrzebował paru tygodni, żeby dojść do siebie. Wprawdzie musiał używać laski i podtrzymywać się teka, by chodzić, ale kiedy mógł już opuszczać Ogrody Tarletona, załatwił Slvaście pracę w sklepie Coughlina na targu mięsnym Wellfield. Coughlin miał sto sześćdziesiąt trzy lata, więc całkowicie polegał na Javierze oraz dwóch innych facetach, Pabelu i Ervinie, jak również trzech mod-małpach po trzydziestce – choć trzymanie tych stworzeń tak długo nie było miłe.

Każdego ranka, godzinę przed świtem, Javier z jednym ze sprzedawców szedł odebrać mięso na dworzec towarowy Plessey, gdzie dostarczały go nocne pociągi. Wraz z tuzinami innych sprzedawców ładowali tusze – jedne świeże, inne solone – i wieźli je do Wellfield, gdzie mięso było porcjowane i pakowane dla klientów. Trzeba było długo przekonywać Coughlina, że jednoręki mężczyzna sobie z tym poradzi. Jednak kiedy Slvasta zademonstrował, jak silna jest jego teka, starzec ustąpił.

– To stoisko ma bogatą historię – powiedział Javier Slvaście w pierwszym dniu jego pracy.

Slvasta popatrzył na klitki stłoczone pod masywnym dachem i pomyślał, że Javier jest łaskawy; to stoisko powinno przejść do historii, a na jego miejscu należałoby wybudować nowe.

* * *

Codziennie musieli zrywać się o czwartej rano, żeby zdążyć na dworzec Plessey. Tak więc nietrudno było wstać półtorej godziny wcześniej. Bethaneve bez trudu ustaliła adresy największych stajni adaptatorów w Varlanie.

– Trzeba tylko wiedzieć, w których publicznych rejestrach szukać – oznajmiła raźnie.

Slvasta nie zdziwił się, znajdując na tej liście trzydzieści siedem dużych stajni; ponadto mnóstwo osób miało mniejsze. W stolicy było sporo modów.

Stajnia rodziny Dawa mieściła się przy ulicy Hatchwood, zaledwie ćwierć mili od nabrzeża w dzielnicy Oxlip. Ładna posesja ogrodzona trzymetrowym murem i otoczona

cherlawymi drzewami voxin, których czarno-siwe kępkę falowały na wietrze. Przy głównej bramie stał pięciopiętrowy dom z zadbanym ogródkiem od frontu i zręcznie przyciętymi pnączami pinku wspinającymi się po fasadzie. Za murami znajdował się typowy układ stajni oraz dwa place ćwiczeń. Namnażalnia była na środku, dostatecznie długa, by pomieścić dwadzieścia pięć ciężarnych neutów, z wylęgarnią na jednym końcu, gdzie świeżo złożone jaja leżały na czystej słomie. W dwóch stajniach trzymano stado dwustu samic neutów, które były tam zapładniane przez dziesięciu samców. Pozostałe stajnie były dla młodych modów, z oddzielnymi przegrodami dla mod-małąp, psów, karłów, kotów, ptaków i różnej wielkości koni. Na samym środku znajdowały się stanowiska adaptatorów, gdzie mający te zdolności godzinami siedzieli przy świeżo zapłodnionych neutach i za pomocą teka uzyskiwali pożądane cechy embrionów.

Slvasta i Javier skręcili w uliczkę na tyłach stajni Dawa i przyspieszyli kroku. W tej ciasnej uliczce nie było latarń, a nocna mgła znad rzeki zmniejszała widoczność do paru metrów. Mimo to obaj spowili się delikatną zasłoną, mającą zwieść każdego, kto przypadkiem telepatycznie spojrzełby na tę alejkę. Zaraz za rogiem znaleźli solidne drewniane drzwi, nieotwierane od lat. Były zamknięte na zamek Ysdom – wciąż najlepszy przeciwtekowy zamek na Bienvenido, z licznymi zapadkami i dźwigniami mającymi powstrzymać nawet najzręczniejszego włamywacza. Oczywiście, można było rozbić zamek, lecz jego główny rygiel był z kutego żelaza o ponad-dwucentymetrowej grubości, tak więc trzeba było mieć najsilniejszą teka na planecie albo solidny młot. Tak czy inaczej, ryzykowałeś, że ten energiczny atak zostanie zauważony. Sami się o tym przekonali podczas dwóch pierwszych ataków.

Slvasta skupił więc swoją teka na zawiasach drzwi i wykręcił z nich śruby. Były stare i praktycznie stopione z drewnem, ale nie ustępował. Zajęło mu to dziesięć minut, lecz w końcu wszystkie wyszły, metodycznie wykręcone z zawiasów, a Javier podniósł drzwi i postawił je obok.

Zakradli się do kompleksu stajni, utrzymując zasłony. Na wszystkich czterech rogach budynku paliły się lampy olejowe. Slvasta sięgnął swoją teka i zdusił płomień na niektórych, żeby mogli prześliznąć się tamtędy niepostrzeżenie. Po chwili znaleźli się przy stajniach. Tam się rozdzielili. Slvasta zakradł się do jednego z niskich budynków, kręcąc nosem na smród neutów i ich odchodów. Wszystkie te stworzenia spały na stojąco, zbite w ciasną gromadę. Zajrzał telepatycznie w ciało pierwszego, a potem posłał tam swoją teka.

Łatwo byłoby zabić każdego napotkanego moda. Błyskawiczne uderzenie ostrą teka w mózg lub serce natychmiast zabiłoby bezbronne zwierzę. Jednak zostałyby to zauważone i zaalarmowało władze, tak więc wybrali mniej bezpośrednią drogę. Lekkie zaciśnięcie teka w odpowiednim miejscu żeńskich jajników na zawsze sterylizowało stworzenie. Po kilku tygodniach w mieście skończą się dostawy nowych modów, a dotychczas przeznaczone dla nich prace zaczną wykonywać ludzie.

Oczywiście, nowe neutry można kupić i sprowadzić z innych miast i miasteczek, ale to zajmie trochę czasu. Slvasta miał nadzieję, że do tej pory ich ruch rozszerzy się na tyle, by sprawić duże problemy stajniom adaptatorów na całej planecie.

Wysterylizowanie wszystkich żeńskich neutów w stajni zajęło Slvaście dwadzieścia minut. On i Javier niezauważeni opuścili teren stajni i z powrotem osadzili drzwi.

* * *

Wielka Kolej Północno-Zachodnia zbudowała stację Plessey w dzielnicy Narewith Varlanu jako główny dworzec linii biegnącej niemal trzy tysiące mil na północ i przecinającej równik, aby dotrzeć do Nowego Angeles na końcu półwyspu Aflar. Dworzec towarowy znajdował się za wspaniałym terminalem pasażerskim, a długie rzędy magazynów o stromych dachach stały na żelaznych filarach przy wąskich zatokach załadunkowych. Codziennie setki pociągów przywoziły do stolicy surowce i zabierały wytworzone dobra na północny zachód. Przepływające przez ten dworzec pieniądze stanowiły znaczną część ogólnych przychodów miasta. Zapewniał pracę wielu ludziom.

Slvasta i Javier zajechali swoimi wozami na dworzec towarowy już o wpół do piątej i wtopili się w codzienną karawanę wozów należących do różnych sklepikarzy. Jeszcze zanim minęli słupki wysokiej bramy, zrozumieli, że coś się stało. Eter kipiał od niechętnych komentarzy, zabarwionych emocjami.

W zatokach załadunkowych wzdłuż peronu 8D, na którym zatrzymywały się pociągi z mięsem, stało mnóstwo wozów. Z krokwi zwiisały wielkie lampy olejowe, oświetlając słabym żółtawym światłem kłębiący się na wąskim peronie tłum ludzi, ale Slvasta nie widział żadnego pociągu. Prawie wszystkie perony były puste.

– Co się dzieje? – spytał Javiera.

Wielkolud tylko wzruszył ramionami. Nigdzie nie było widać żadnego kolejarza, chociaż Slvasta wyczuł obecność mechaników w warsztatach, ślących niezadowolone i w paru przypadkach nerwowe myśli. Zajrzał trochę głębiej, usiłując zidentyfikować osobników okazujących większe niż inni niezadowolenie. Do tej pory rozpoznawał większość robotników z nocnej zmiany.

– Sprawdź; myślę, że możemy mieć trzech – powiedział Javierowi, wskazując telepatycznie konkretne osoby kryjące się w warsztatach. Obecnie unikali werbowania kogokolwiek z Wellfield. Bethaneve powiedziała, że zbyt duże skupisko aktywistów w jednym miejscu wzbudziłoby podejrzenia, gdyby policja kapitanatu wpadła na trop tych komórek.

Teraz wszędzie, gdzie poszli, szukali niezadowolonych i posępnych mieszkańców miasta. Kiedy znaleźli ewentualnego kandydata, ten już następnego dnia dostawał szybką telepatyczną wiadomość od kogoś nieznanego z zapytaniem, czy chciałby coś zrobić, żeby wyładować swoje niezadowolenie. Odpowiedzi porównywano z wykresem sporządzonym przez Bethaneve.

– Żeby sprawdzić, czy mamy do czynienia z teoretykiem, czy z praktykiem – powiedziała, nadzorując ich rosnącą siatkę komórek. Niektóre z najlepszych składały się tylko z jednej osoby: powszechnie znanej ze swej politycznej aktywności (najlepiej już karanej), która chętnie narobi zamieszania na rozkaz.

Sprawdzając piramidę komórek Bethaneve, na pewien czas odcięli dopływ wody do pewnych ulic (w jednym wypadku na dwa dni), co pozwoliło ocenić skuteczność i gotowość ekip naprawczych. Mając te informacje oraz nieustannie aktualizowaną mapę miejskich sieci wodociągowych, mogli pozbawić dziewięć dzielnic bieżącej wody, przeprowadzając siedem małych akcji sabotażowych, sypiąc przysłowiowy piach w tryby starych i rozklekotanych pomp na podstacjach.

– Dobrze. Przekaż ich Bethaneve – odparł Javier. Jego intuicja i telepatia nie były tak rozwinięte jak Slvasty. Wskazał na tłum niezadowolonych sklepikarzy czekających na nocny pociąg z mięsem. – To nie wygląda dobrze.

Telepatycznie połączył się z Vladją, innym sklepikarzem z Wellfield, czekającym w sąsiedniej zatoczce załadunkowej przy peronie 8D.

– Od północy nie przyjechał żaden pociąg towarowy – powiedział im Vladja.

– A co z osobowymi? – zapytał Javier.

– Kilka, ale tylko z lokalnych stacji.

– Co się stało?

– Nikt nie wie, ale gdzieś na linii musiało dojść do jakiejś katastrofy.

W końcu na peronie 8D pojawił się urzędnik kolei, młody człowiek w mundurze zastępcy zawiadowcy, otoczony kręgiem sklepikarzy. Wyglądał na przerażonego i jego zwierzchnicy najwyraźniej wysłali go, żeby powiedział jedno: nie wiemy, kiedy przyjadą pociągi.

– Chodź – rzekł Javier. – To bezcelowe.

Wskoczył z powrotem na wóz i podniósł lejce. Slvasta wyjechał za nim z dworca. Gdy przejeżdżali przez bramę, telepatycznie ujrzał dwa inne wozy, również odjeżdżające.

* * *

Targowisko Wellfield istniało w tym miejscu, zaledwie milę od dworca Plessey, od ponad dwóch tysięcy lat. Siedmiokrotnie zostało całkowicie odbudowane, ostatnio dwieście jedenaście lat temu, choć od tej pory przeprowadzono tu szereg remontów. Najnowsza wersja targowiska zajmowała prawie dwa i pół hektara terenu nakrytego szeregiem długich dachów ze szkła i dachówek i z łatwością można było ją wziąć za jeden ze stołecznych dworców kolejowych. Grube żelazne filary podpierały dach; co pięć lat czyszczono je z rdzy, po czym nakładano świeżą warstwę czerwonej i zielonej farby antykorozyjnej; niektórzy twierdzili, że teraz tylko te warstwy farby trzymają wszystko w kupie. Boczne ściany w większości były odsłonięte, wpuszczając do środka wiatr zabierający wilgotny i lepki odór surowego mięsa. Ponad stu kupców miało zezwolenie Gildii na prowadzenie działalności w Wellfield i dostarczanie mięsa do sklepów w całej stolicy.

Po miesiącu pracy tutaj Slvasta był całkowicie odporny na zapach i widok surowego mięsa w postaci tusz niedawno zabitych zwierząt. Zostawili wozy w stajni pod opieką Pabela. Javier zaczął się telepatycznie rozglądać.

– Musimy kupić towar, i to szybko – powiedział. – Większość sklepów ma jakiś zapas. Kiedy usłyszą, że pociąg nie przyjechał, podniosą ceny na niebotyczny poziom.

Zaczął rozmawiać z ludźmi pewnym siebie i lekko rozbawionym tonem, namawiając ich do odsprzedania tusz. Zawsze najwyżej po jednej z danego straganu, żeby nie wzbudzać podejrzeń. Slvasta, Pabel i Ervin biegali po targowisku z taczkami, odbierając mięso. Ich dobra passa skończyła się po mniej więcej półgodzinie. Slvasta wieształ soloną świńską tuszę w chłodni o ścianach z cegieł, gdy Javier wrócił, wzdychając.

– Koniec gry – oznajmił wielkolud. – Wielka Północno-Zachodnia właśnie ogłosiła, że ich główna linia kolejowa jest wyłączona z eksploatacji w dniu dzisiejszym, a może także jutrzejszym. Teraz każdy stragan trzyma to, co ma.

– Co się stało?

– Jakiś problem z mostem na Josi. Około czterysta mil na północ od Varlanu. To duża rzeka, która niedaleko stolicy łączy się z Colbal.

– Muszą być inne mosty – zauważył Slvasta.

– Nie na głównej linii. W okręgach jest mnóstwo bocznych. Tak więc zapewne mogą skierować pociągi po głównej linii południowo-zachodniej, ale nieprędko przywrócą regularny ruch. Przez parę dni będzie cholerne zamieszanie. – Rozejrzał się po magazynie, w którym wisiało tuzin tusz. – Powinno nam wystarczyć na zrealizowanie dzisiejszych i jutrzejszych zamówień. Potem...

Chwycili tasaki, żeby przygotować zamówienia. Mnóstwo ludzi zaczęło przybywać do Wellfield, gdy wieść o pociągach rozeszła się rano po mieście. Zadziwiające, że Coughlin był jednym z nich – pojawił się trochę po szóstej.

– Od stu lat nikogo nie zawiodłem – powiedział starzec, z przygnębieniem rozglądając się po sklepie. – Kiedyś zawsze trzymaliśmy czterodniowy zapas mięsa, ale ci cholerni księgowi położyli temu kres. Martwy pieniądz, powiedzieli. Powinien być w banku i zarabiać odsetki. A niech ich wszystkich Uracus!

– Na jutro mamy towar dla stałych klientów – rzekł Javier.

– Tak, tak, dobrze się spisaleś, chłopcze – rzekł Coughlin. – Teraz jednak musimy myśleć o tym, co będzie później. Chcę, żebyś mi towarzyszył. Pojedziemy lokalną linią do Chelverton; to tylko godzina jazdy od Varlanu podmiejskim pociągiem, który, chwała Giu, wciąż kursuje. Jest tam rzeźnia, w której kupujemy.

– Pamiętam zamówienia, proszę pana – powiedział Javier.

– Tak, istotnie. Są drodzy, ale żebracy nie mogą wybrzydzać. Udamy się tam i zakupimy tusz na tydzień. Może trzeba je będzie przewieźć na wozie i niech Uracus porwie koszty. Jeśli sprzedamy ten towar ze stratą, to trudno. Nie pozwolę, żeby przez tę parszywą kolej ucierpiało moje dobre imię. Moja reputacja to wszystko, co mi zostało.

– Rozumiem.

– A ty, ee...

– Slvasta, panie.

– Slvasta, tak, tak, oczywiście. Możesz przypilnować sklepu, dopóki nie wrócę?

– Mogę, proszę pana, nie ma obawy.

– Dobry z ciebie człowiek. Dziękuję. Chodź, Javier, najpierw pójdziemy do banku i podejmiemy trochę suwerenów, co? Ludzie zawsze wolą porządne twarde monety, a nie чеки.

– Tak istotnie jest, proszę pana.

Javier mrugnął do Slvasty, rozwiązując fartuch.

* * *

Po południu Wielka Północno-Zachodnia ogłosiła, że ściągnięcie nowych szyn do naprawy wygiętych torów na moście przez Josi potrwa cały dzień, i minie kolejny dzień albo dwa, zanim pociągi znów zaczną kursować zgodnie z rozkładem jazdy.

– To wywołało chaos – powiedziała tego wieczoru Bethaneve.

Jak zwykle po kolacji usiedli, by omówić strategię.

– Chaos, tak – rzekł Coulan. – Jednak nie powszechne niezadowolenie, tylko w klasie kupców. A kogo obchodzą ci kochający Upadłych dranie?

– To efekt domina – stwierdziła poważnie. – Jeśli ucierpią interesy kupców, można się założyć, że zrzucą ten ciężar na swoich pracowników.

– I klientów – zauważył Slvasta.

– Tylko jedna linia kolejowa jest nieczynna przez parę dni, a... – Z podziwem pokręciła głową. – To powoduje większe straty finansowe niż odcięcie dostawy wody.

– Do Varlanu dochodzą cztery główne transkontynentalne linie kolejowe – przypomniał Javier. – Biegną po mostach, wielu mostach. A mosty mogą runąć.

– Mówisz, że powinniśmy uszkodzić linie kolejowe? – zapytał Slvasta.

– Na Uracusa, tak! To byłoby znacznie skuteczniejsze.

– Jednak oczywiste – zauważył Coulan. – Nie moglibyśmy winić o to kapitana. To my krzywdzilibyśmy ludzi.

– Tylko gdybyśmy robili to ciągle – rzekła Bethaneve. – Może przecięcie linii kolejowych powinno być ostatnim, decydującym uderzeniem.

– To ma sens – przyznał Slvasta.

– Każę kilku z jedenastego poziomu wybrać nadające się mosty – powiedziała. – Jest ich dość.

– Poziom jedenasty – głośno myślał Javier. – Zatem werbunek idzie dobrze? Ilu mamy?

– Teraz werbujemy do piętnastego poziomu – powiedziała. – Ale już nie używam struktury piramidy. W myślach pokazała im geometryczną strukturę przypominającą jakiś kryształ.

– Takie połączenia międzykomórkowe trudno złamać, a ponadto zaczęłam stosować pętle, tak że coś, co zapoczątkujemy, zostaje później przekazane poprzez inne komórki tej pierwszej i w ten sposób policja kapitanatu nigdy nie zdoła nas złapać.

Slvasta usiłował ogarnąć tę koncepcję przekazywania instrukcji do komórek z użyciem pętli i skrótów, ale pojął, że nigdy nie będzie tak dobrym matematykiem jak Bethaneve. *Giu, jestem szczęściarzem, że ją mam.*

– Dobrze – mruknął Javier. – Wróćmy jednak do klasy kupców. Jak utrudnianie im życia ma być korzystne dla sprawy?

– Zadając im straty finansowe, osłabimy ich oraz władzę, jaką mają nad robotnikami, których wyzyskują. Rzecz w tym, że prywatna własność środków produkcji... albo dystrybucji dóbr to okradanie tych, którzy je produkują – wyjaśniła Bethaneve. – Rezultatem jest nierówny podział dóbr, co ostatecznie prowadzi do wytworzenia niesprawiedliwego ustroju, jaki mamy teraz.

Slvasta i Javier wymienili spojrzenia. Kiedy wpadała w taki trans, nie warto było się z nią spierać.

– Skąd to wzięłaś? – zapytał Slvasta.

Bethaneve uniosła brwi.

– Z książek. Czytam książki. Wiesz, że umiem czytać.

– Tak, oczywiście. Przepraszam. Sam też powinienem kilka przeczytać.

– Coulan znalazł dla mnie kilka pożytecznych lektur.

– Odkryłem parę bardzo starych książek politycznych w bibliotece uniwersyteckiej, kiedy pracowałem tam jako archiwista – rzekł Coulan. – Zapewne mógłbym przynieść ci kilka.

– Pracowałeś jako archiwista? – zapytał Slvasta.

Teraz uświadomił sobie, że niewiele wie o Coulanie. Właściwie wiedział o nim tylko to, że ten człowiek pracował w Ministerstwie Przemysłu i zajmował się zakładami produkującymi chemikalia.

– Tak, gdy byłem studentem. Mówią, że krypty pod uniwersytetem są niemal równie duże jak te pod pałacem, gdzie spoczywa kapitański statek. Są tam tysiące książek i gazet, a większość z nich rozpada się na kawałki, tak są stare. Zajmując się nimi w czasie wakacji, zarabiałem parę groszy.

Zapewne wtedy, kiedy on i Bethaneve byli razem, pomyślał Slvasta. *Więc lepiej nie zgłębiać tego tematu.*

– To może być bardzo przydatne – powiedział Javier. – Powinniśmy zaproponować ludziom praktyczną alternatywę wobec rządu, jaki mamy teraz, a nie tylko obalenie go. To by uprawomocniło nasze działania.

– Mówisz o utworzeniu partii opozycyjnej? – spytał Coulan. – Ryzykowne.

– W przeciwieństwie do tego, co robimy teraz? – powiedział Slvasta.

– Ludzie muszą wiedzieć, że jest ktoś, kto rzuca wyzwanie kapitanatowi – powiedział Javier. – Ktoś, komu mogą wierzyć i ufać. Nie Obywatelski Świt, gdyż on nigdy nie

przeciwstawi się kapitanowi, jest tylko przybudówką władzy arystokracji. Musi to być nowa partia polityczna, broniąca biedotę i robotników.

– Czy nie jest na to trochę za wcześnie? – spytał Slvasta.

– Nie na utworzenie fundamentów – odparła Bethaneve. – Jeśli zalegalizujemy naszą działalność, zanim policja kapitanatu zrozumie, że jesteśmy problemem, będzie im znacznie trudniej nas pozamykać.

– Zaczniemy od czegoś małego – zaproponował Coulan.

– Od rady dzielnicowej – powiedział Slvasta.

– To może się udać. Rady dzielnicowe nie mają prawie żadnych uprawnień. Nikt się nimi nie przejmuje. Jednak byłyby dla nas solidnym fundamentem, na którym coś moglibyśmy zbudować.

– Jest jeden problem – zauważył Javier. – Musimy wygrać wybory.

– Wystarczy dobrze się przygotować – powiedział Coulan. – Nigdy nie wypowiadaj bitwy, jeśli nie jest z góry wygrana. Musimy mieć pewność, że jeśli nasza partia stanie do wyborów, wszyscy nasi kandydaci zostaną wybrani.

– W jaki sposób?

– Musimy się oprzeć na wcześniej stworzonej sile.

– Nie na komórkach – wtrąciła pospiesznie Bethaneve.

– Nie. Mówię o organizacji alternatywnej wobec partii demokratycznej, której istnienie byłoby korzystne dla nich obu. Myślę, że Slvasta i Javier mogliby utworzyć związek zawodowy w Wellfield. Od dwustu lat nie ma tam żadnego, od kiedy Gildia podpisała umowę regulującą płace za pracę w weekendy. Ten związek mógłby sponsorować kandydatów do rad dzielnicowych.

– To nie zostawia nam wiele czasu – powiedziała Bethaneve. – Wybory do rad dzielnicowych są już za pięć miesięcy.

– Do tej pory niedobór modów powinien być już zauważalny – powiedział Javier – a ten problem z mostem kolejowym jest doskonałym punktem wyjścia. Wszyscy w Wellfield będą ciężiej pracować, żeby się z tym uporać. Połowa właścicieli stoisk zrobiła to samo co dzisiaj Coughlin i ja, odwiedzając podmiejskie rzeźnie, żeby zakupić mięso na jutro. Myślicie, że komuś będą płacić za pracę w nadgodzinach?

Jak zwykle podczas takich dyskusji Slvasta był zły na siebie, że nie dostrzegł oczywistego rozwiązania, dopóki ktoś inny go nie podał. *Dlaczego pomysły zawsze tak późno przychodzą mi do głowy?*

– Doskonała myśl – rzekł. – Możemy to wykorzystać do wzbudzenia niezadowolenia.

– Nie możecie być przywódcami – powiedziała Bethaneve. – Nie w tak wczesnym stadium. W Wellfield pracują członkowie trzech komórek. Polecimy im utworzyć związek. Wy możecie być gorącymi zwolennikami.

– Manipulantami – rzekł pogardliwie Slvasta.

– Tak jak kapitan – odpaliła Bethaneve. – On chroni się przed jakąkolwiek krytyką za szeregiem kozłów ofiarnych. Poczynając od Arnice’a. No cóż, to samo my zrobimy z tobą.

– Ze mną?

– Tak, z tobą. Jesteś idealnym wodzem tej rewolucji. Oficer regimentu, prawdziwy bohater, który był na linii frontu, przeczesując dzikie ostępy w poszukiwaniu jaj. Zetknąłeś się z Upadłymi i uszedłeś z życiem. I zrezygnowałeś z kariery w kapitańskich regimentach, ponieważ wiesz, że im nie leży na sercu dobro narodu, tylko ich własne. Nie jesteś arystokratą ani kupcem, ale uczciwym człowiekiem pracy, który będzie prawdziwym reprezentantem ludu. Ludzie wyczują w tobie tę uczciwość; tak jak ja w chwili, gdy wszedłeś do mojego biura. Uwierzą w ciebie. Jesteś naszą tajną bronią, Slvasta. Będziesz pierwszym demokratycznie wybranym prezydentem tego świata.

DWA

To był wielki dzień. A nawet obiecujący. Gildia Obserwatorów dziesięć dni wcześniej widziała zbliżających się Władców Niebios i dokładnie przepowiedziała ich przybycie. Wiele osób w Varlanie dyskutowało o zbiegu okoliczności, jakim było to, że przybywają w setną rocznicę Jaśminowej Alei. W kilku gazetkach nawet pojawiło się słowo „omen”.

Ponadto było to tydzień po tym, jak runął most na Josi. Spowodowany tym chaos i problemy finansowe na rynku Wellfield okazały się zbyt stresujące dla biednego starego Coughlina. Wybrał lepszy byt, wypłynął pogrzebową łodzią na Colbal i uwolnił swą duszę, aby poprowadziła ją ta wspaniała krystaliczna istota.

Tego wieczoru Slvasta, Bethaneve, Javier i Coulan poszli na walki psów, którymi Philippa świętowała wizytę Władców Niebios. W ten sposób zapewniali alibi Slvaście i Javierowi, których zobaczą tam setki świadków, co wykluczy ich z kręgu podejrzanych. Bethaneve poinformowała ich, że ludzie Trevene’a już wypatrują jakichkolwiek zapowiedzi protestów lub demonstracji solidarności z Jaśminową Aleją. Nie chciała dać im najmniejszego pretekstu do aresztowań.

Slvasta zgodził się z jej argumentacją, chociaż w duchu pomyślał, że Bethaneve zaczyna przejawiać skłonności do paranoi.

– Javier jest teraz sklepikarzem – powiedział jej. – Ludzie nie będą podejrzewali, że zabił własne mod-małpy.

– Teraz nie – odparła. Tym razem mieli stolik tylko dla siebie, gdyż Coulan i Javier dołączyli do grupy znajomych stłoczonych wokół areny. – Jednak kiedy wasza popularność zacznie rosnąć, policja kapitanatu dokładnie was sprawdzi. Musimy mieć pewność, że nie znajdą niczego, o co mogliby was oskarżyć.

Gdy na arenę wypuszczono mod-karła i dwa teriery, rozległy się głośne okrzyki. Modkarzeł zawył z przerażenia i próbował się wspiąć po gładkiej ścianie. Jeden terier zacisnął szczęki na jego nodze.

– A niech mnie Uracus – rzekł Slvasta. – Ty naprawdę myślisz o wszystkim, no nie?

– Przewidywanie to najważniejsza część tego wszystkiego. Jestem w tym dobra, ponieważ to jest logiczne: doskonale praktyczne zastosowanie matematyki.

– Taak. Cóż więc ekstrapolujesz w naszej przyszłości?

– Ty zostaniesz wybrany do rady Nalani, jak nic. Mam trzynaście komórek prowadzących szeptaną kampanię oraz ponad pięćdziesięciu członków związku zawodowego, którzy wraz ze swymi rodzinami otwarcie popierają twoją kandydaturę. Jedność Demokratyczna zdobędzie większość głosów i obejmie władzę w dzielnicy. Ci z partii Obywatelski Świt nawet nie będą wiedzieli, co ich załatwiło. Choć właściwie – uśmiechnęła się złośliwie – będą. Dwaj członkowie komórek pracują u nich i raporty, jakie otrzymuję, świadczą, że oddział w dzielnicy Nalani już jest zaniepokojony; do tego stopnia, że nie odważyli się powiedzieć swoim przełożonym, iż mogą z nami przegrać.

– Bethaneve... – Slvasta ujął jej dłoń i spojrzał na jej twarz i lekko rozczochrane włosy. Policzki miała zarumienione z podniecenia i determinacji. – A co z nami? Z tobą i ze mną?

W myślach miał zamęt. Cichy sukces, na który złożyły się ich działania i aktywistów ruchu, był upajający. Stworzyli tajną organizację, która mogła dokonywać aktów sabotażu, a policja kapitanatu pozostawała nieświadoma jej istnienia. Jego wywołany niesprawiedliwością gniew przybrał praktyczną formę, co niemal budziło lęk, jak odkrycie nowej parapsychologicznej mocy.

– Slvasta – odparła zmieszana – w tym wszystkim właśnie o nas chodzi. O to, żeby nasze dzieci nie musiały dorastać w takim samym świecie jak my. Jak możesz to kwestionować?

– Przepraszam – odparł pospiesznie. – Po prostu to wszystko dzieje się tak szybko. Chyba czasami trochę mnie to przytłacza.

Ryk drwin i owacji przeleciał po przepastnym wnętrzu starej fabryki, gdy teriery wykończyły mod-karła. Ludzie zaczęli tłoczyć się wokół bukmacherów. Zamówiono następne kolejki.

– Wiem, o czym mówisz – stwierdziła, opuszczając osłonę, żeby pokazać mu współczucie, zabarwiające jej myśli. – Czasem ja też nie wierzę, że to robimy. To jak...

– Mów dalej – zachęcił.

– Sama nie wiem. Tyle zrobiliśmy, nie zwracając uwagi szeryfów czy Trevene'a. Czasem myślę, że może oni tylko czekają, aż dokonamy jakiegoś naprawdę zuchwałego czynu, a wtedy będą mieli pretekst, żeby skazać nas na dożywocie w kopalniach Pidrui. I to publicznie, przed sądem, a nie pod osłoną stanu zawieszenia.

– Myślisz, że chcą nas przykładowo ukarać?

– Może.

– Gdyby nas obserwowali, to z całą pewnością byśmy o tym wiedzieli. Jesteśmy ostrożni, a moja paranoja ma się bardzo dobrze.

Trąciła swoim kuflem o jego.

– Ty wyczułbyś ich pierwszy.

– Jednak twoje słowa każą mi się zastanowić nad tym, co się stało z wcześniejszymi próbami usunięcia kapitana. Jakieś musiały być. Nie pamiętam, żebym słyszał o jakiejś na lekcjach historii. Nie żeby to była najlepsza szkoła na Bienvenido...

– Poza buntem Jaśminowej Alei ja też o żadnym nie słyszałam. Coulan zapewne coś o tym wie; w końcu chodził na uniwersytet.

– Będę musiał kiedyś go o to zapytać.

– Zrób to.

Jednym haustem opróżniła kufel.

– Jeszcze jeden?

– Nie. – Przynęła do niego swoją twarz, nie przejmując się kosmykiem włosów, który opadł jej na oczy. – Myślę, że powinniśmy posłać ostrożność w diabły. Byliśmy tutaj na walkach psów, tak jak uzgodniliśmy. Wszyscy nas widzieli, gdyby szeryfowie ich o to pytali. A teraz chodźmy do domu. Tylko ty i ja. Postaram się przekonać cię, ile dla mnie znaczysz.

– Brzmi zachęcająco – wykrztusił.

* * *

Kwadrans przed czwartą Slvasta i Javier przybyli na targ Wellfield, pozornie po wozy, którymi pojechaliby na stację Plessey, jak zwykle. Gdy podeszli bliżej, wychwycili gniewne przekazy przelatujące pod długim rzędem dachów. Trzy powozy szeryfów stały przed głównym wejściem na wschodniej ścianie. Dwóch starszych szeryfów otaczał tłum sklepikarzy, usiłujących się przekrzyczeć. Lampy olejowe na żelaznych kolumnach rzucały słabe kręgi światła, ukazując leżące w przejściach zwłoki kilku mod-małp. Gdy Slvasta telepatycznie spojrział dalej, dostrzegł dziesiątki innych leżące w sklepach i przejściach całego targowiska. Żadna nie miała widocznych obrażeń. Wyglądały, jakby spały.

– Dzięki Giu, że jesteście – powiedział Pabel, wychodząc im naprzeciw. – Jest źle. Naprawdę źle.

– Co się stało? – zapytał Javier.

Slvasta był pod wrażeniem. W głosie Javiera słychać było nie tylko zdziwienie, ale także szczere zaniepokojenie i zaciekawienie.

– To straszne – odparł Pabel, śląc w eter zgrozę. – Ktoś zamordował wszystkie mod-małpy targowiska.

– Co?

– To prawda. Jakaś banda wtargnęła w nocy na targ. Zabili teka każdą mod-małpę, jaką znaleźli, przebijając jej serce lub mózg. To... to jak...

– Rzeźnia? – podpowiedział niewinnie Slvasta.

Javier posłał mu gniewne spojrzenie.

– Nasze mod-małpy też załatwili?

– Tak. Przykro mi, proszę pana. Przyszedłem, jak już było po wszystkim. Nic nie mogłem zrobić.

– W porządku. Chodźmy i posłuchajmy, co szeryfowie mają do powiedzenia.

Starsi szeryfowie niewiele mieli do powiedzenia. Nawet Ryszard, kierujący Gildią Rzeźników Wellfield, nie był w stanie uspokoić sklepikarzy.

– Czy komuś ostatnio grożono? – krzyknął jeden z szeryfów.

Nikom.

– Czy zabójcy nadawali cokolwiek, kiedy tutaj byli? Cokolwiek, co by pomogło ich zidentyfikować? Podali jakiś powód?

Nie.

– Czy ktoś rozpoznał któregoś z nich?

Wszyscy zabójcy byli szczelnie osłonięci.

Szeryfowie nie wiedzieli, co jeszcze zrobić czy powiedzieć.

– Co mamy robić? – spytał Ryszarda sklepikarz, niejaki Calik.

– Przetrzyaliśmy kryzys z pociągami dostawczymi – nadał silnie Ryszard. – Ten nie będzie żadnym problemem. Dziś rano popracujemy trochę ciężiej, a do wieczora wszyscy zamówimy nowe mod-małpy w stajniach adaptatorów.

– Czy ubezpieczenie gildii pokryje nam koszt tych zamówień? – spytał Javier.

– Ja... hmm... – zająknął się zdenerwowany Ryszard. – Trzeba będzie to rozważyć, ale oczywiście wszelkie żądania spotkają się z ogromnym zrozumieniem.

– To żadna odpowiedź – ktoś krzyknął.

– Płacę składki – rzekł Javier. – Jak wszyscy. Po co one są, jeśli nie na wypadek takich nieszczęść jak to?

Ryszard spojrzał na niego z nienawiścią.

– Czy możemy wszyscy zachować spokój? Proszę. Ja też straciłem mod-małpy, jak wszyscy.

– No to zapłaćcie za nie z ubezpieczenia gildii.

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy. Ponadto spotkam się z głównym szeryfem, żeby go zachęcić do zrobienia wszystkiego, co może, aby złapać tych przestępców.

– Zachęcić? – nadał ktoś drwiąco.

– Nalegać! – Zdenerwowany Ryszard głośno wciągnął powietrze. – Teraz jadę na Plessey odebrać moje mięso. Nie pozwolę, żeby ta odrażająca zbrodnia mnie pokonała. Wy też nie powinniście.

– Politycy – prychnął głośno Javier, gdy prezes gildii pospieszył do swojego sklepu. Kilku innych sklepikarzy usłyszało go i poparło pomrukami.

Bez mod-małp wszyscy mieli kłopoty z punktualnym realizowaniem zamówień. Klienci przychodzili, stropieni widokiem leżących wokół zwłok mod-małp, ale ze stoickim spokojem czekali, aż ich zamówienia będą gotowe.

Potem zaczęli przychodzić ludzie pytający, czy ktoś zechciałby ich zatrudnić do pomocy. Javier przyjął dwóch, obiecując im pracę przez tydzień. Najpierw jednak wysłał ich do Bryan-Anthony'ego, przywódcy nowo utworzonego związku pracowników Wellfield, żeby zapisali się do tej organizacji. Inni sklepikarze narzekali, że daje zły przykład. Kilku poszło w jego ślady. Późnym rankiem paru innych sklepikarzy poszło odwiedzić pobliskie stajnie adaptatorów i kupić sobie nowe mod-małpy. Wtedy przeżyli drugi szok tego dnia.

* * *

– Wszystkie stajnie adaptatorów? – zapytał ze zdumieniem kapitan Philious.

Stał w oranżerii na tyłach pałacu. Przypominała małą hellenistyczną świątynię, lecz z taflami szklanych szyb w lukach między kolumnami, wyginającymi się w górę i tworzącymi jednolity dach. To szkło podobno było ostatnią rzeczą wyprodukowaną przez maszyny statku, zanim przestały działać. Philious w to wierzył; szkło było bardzo stare, a mimo to mocniejsze niż jakikolwiek metal wytwarzany przez obecne huty Bienvenido.

– Tak, panie – odparł Trevene. – Właściciele nic o tym nie mówili, oczywiście. Jednak kiedy rozeszły się pierwsze pogłoski, kazałem moim ludziom dokładnie to zbadać. Gildia Adaptatorów niechętnie współpracowała, lecz nalegałem. W całym mieście nie ma neuta, który nie został wysterylizowany.

– Zaraza!

Philious z trudem trzymał nerwy na wodzy. Popatrzył na trawniki, gdzie odbywało się coroczne przyjęcie w ogrodzie. Arystokraci i najbogatsi kupcy z Varlanu, wszyscy w swych najelegantszych strojach, popijali herbatę, czekając, aż ktoś z rodziny kapitana podejdzie i rzuci kilka słów podziękowania za wsparcie dla regimentowego funduszu wdów i sierot.

– Jak coś takiego mogło się zdarzyć? Czy to jakaś choroba?

– Nie. To rozmyślne działanie. Potwierdzili to trzej różni weterynarze. Jajniki zostały zniszczone teka.

– Wszystkie? – powtórzył z niedowierzaniem. – Przecież muszą ich być tysiące.

– Tak, panie.

– Zaraza. – Philious przestał gapić się na dziewczęta z wyższych sfer w ich kolorowych sukienkach odsłaniających dekolty i nogi. – Czyja to robota?

– Prowadzę dochodzenie.

– Prowadzisz dochodzenie? Tak? To jest twoja odpowiedź? Jeszcze nigdy nie popełniono tak poważnego przestępstwa. Jesteś szefem mojej policji, do kurwy nędzy! Jak możesz nie wiedzieć? Musisz coś mieć! Niech to szlag, połowa tego miasta szpieguje dla ciebie, a druga połowa się ciebie boi. Musisz wiedzieć!

– To coś nowego i zupełnie innego.

– Co masz na myśli?

Trevene poprawił okulary na nosie.

– Mogłaby to być robota konkurencyjnej gildii adaptatorów, bo Uracus wie, że one się nie kochają. Jednak, jak słusznie zauważyłeś, zakres tego przekracza wszystko, co dotychczas widzieliśmy. Nie wierzę, że jest to robota zawistnych rywali usiłujących wykorzystać pecha stołecznych stajni, żeby wywindować ceny. Uważam, że ta sprawa ma podłoże polityczne.

– Polityczne? Mówisz poważnie? Radykałowie z uniwersytetu to głupie dzieciaki udające ważniaków. Jak tylko dostaną dyplomy, wracają do domów pracować dla tatusia. A mieszkańcy Shanties są głupszy od stada mod-małp. Nie potrafiliby zorganizować rżnięcia w burdelu, nie mówiąc o czymś takim.

– Istotnie. Jak powiedziałem, panie, to coś innego.

– Zaraza! – Philious uspokoił się równie szybko, jak wpadł w gniew. – Zatem kto nam zostaje?

– W całym mieście powstają nowe związki zawodowe. A wczoraj grupa nieznanymi osobnikami wdarła się na targowisko Wellfield, zabijając wszystkie mody. Co do jednego. To była rzeź, najwyraźniej i po prostu. Ciekawy zbieg okoliczności, zważywszy, na to, że na braku dostaw nowych modów najbardziej skorzysta klasa robotnicza.

– A Wellfield ma swój związek zawodowy?

– Jeden z pierwszych.

Philious zdał sobie sprawę z tego, że się uśmiecha.

– Sprytnie. Wygląda na to, że ktoś jest niezadowolony z moich rządów.

– Tak, panie.

– I to sto lat po Jaśminowej Alei. Co moim zdaniem świadczy o ciasnych umysłach i długiej pamięci. Jakże stosownie. To będzie interesujące.

– Spodziewam się – rzekł beznamiętnie Trevene.

– Dobrze. Chcę wiedzieć, kim oni są. Rozumiesz? Rozpracuj ich, poznaj nazwiska i plany. Giu, ten atak na neuty poważnie odbije się na finansach miasta. Tylko tego nam trzeba po katastrofie mostu na Josi. – Przeszył wzrokiem Trevene'a. – Czy to była część tego ataku?

– Niepodobna. Most był stary.

– Mimo to...

– Sprawdzę.

– Wybuchną zamieszki, obojętnie co zrobimy z przywódcami, i tym razem nie ograniczą się do Shanties.

– Porozmawiam z komendantami biur szeryfów.

– Zrób to. A ja wezwę przewodniczącego. Powinien wbić trochę rozumu do głów w Gildii Adaptatorów. Naszym priorytetem musi być ponowne zapełnienie stajni. Niech to szlag, moja rodzina ma udziały w kilku z nich. – Wyprostował się i ponownie skupił uwagę na tłumie szlachetnie urodzonych, przechadzających się w szpilkach po jego ogrodach. Jego żona stała przy jednej z fontann, gawędząc z grupką staruszek w kapeluszach złożonych w większości z

piór. – Lepiej tam wróć, nim moi synowie zagarną na noc wszystkie ich córki nadające się do zerżnięcia.

TRZY

– Spójrzcie na to – rzekł Coulan, przyszedłszy tego wieczoru i rzuciwszy na stół egzemplarz „Oka Wyżyn”.

Gazetka zamieściła artykuł o wysterylizowanych neutach.

– Napisali o wszystkim – ciągnął Coulan. – O tym, że już od miesiąca w mieście nie ma nowych modów. O tym, że stajnie zamierzały to ukryć. Opisali całą tę aferę.

– Chyba liczyliśmy, że to zrobią – odparła urażona Bethaneve. – Dostarczyliśmy im dość informacji. Chociaż nie jestem pewna tego, jak dobry mamy z nimi kontakt. Czy napisali, co stajnie robią w związku z brakiem neutów?

– Nie. Jednak „Oko Wyżyn” odkryło, że miasta wokół Varlanu mają ten sam problem. Stajnie będą musiały importować neuty z regionów, do których nie dotarliśmy.

– To będzie ich kosztowało – zauważyła z satysfakcją Bethaneve.

– Ale mody powrócą – rzekł Coulan – i teraz stajnie będą pilnowane, żeby uniknąć ponownej sterylizacji neutów.

– Do tego czasu będziemy u władzy – rzekł Slvasta.

– W radzie dzielnicy Nalani – przypomniała zjadliwie Bethaneve. – Źle wyliczyliśmy to w czasie. Powinniśmy byli najpierw wygrać wybory do rad dzielnicowych, a dopiero potem wysterylizować neuty.

Javier poklepał ich oboje po ramionach.

– Ja bym powiedział, że dobrze wybraliśmy moment. Jutro rano każdy sklepikarz w Wellfield zatrudni nowych robotników. Ludzi.

– I wszyscy oni zostaną członkami związku zawodowego – dodał Slvasta. – A dotychczas w Wellfield było więcej mod-małp niż ludzi.

– Na Uracusa, bezrobotni już dziś wieczorem będą tam pytać o pracę, jeśli mają trochę oleju w głowie – powiedział Coulan. – Musimy dopilnować, żeby wszyscy zapisali się do związku.

– Nie ja – rzekł Javier. – Jestem teraz sklepikarzem i należę do klasy wyzyskiwaczy. – Uśmiechnął się kpiąco. – Slvasta powinien tam pójść.

– Bryan-Anthony wie, co ma robić – odparł Slvasta. – Jest teraz w Wellfield z kilkoma zaufanymi członkami i wyjaśnia sklepikarzom, że każdy nowy rzeźnik ma najpierw zapisać się do związku.

– A Ryszard jest wciąż w biurze szeryfa – powiedział Coulan. – Jest tam również kilku starszych rangą członków Obywatelskiego Świtu; dwaj z nich przyszli prosto z dzielnicowej

siedziby partii. Ludzie na stanowiskach zaczynają się obawiać wyniku wyborów do rady dzielnicy Nalani.

– No, to jest coś, co nieczęsto się słyszy – powiedziała z łagodnym uśmiechem Bethaneve.

– Zostały jeszcze trzy tygodnie – przypomniał Slvasta. – Jeszcze może się zdarzyć coś niedobrego.

Ze smutkiem pokręciła głową.

– Jesteś takim optymistą.

– W każdym razie Javier i ja pójdziemy dziś w nocy na ulicę Coval. Będziemy przemawiali i zdobywali nowych wyborców.

– Czy pub Ellington nie znajduje się czasem przy ulicy Coval? – zapytała Bethaneve.

– Nasze życie, jako polityków, to istny Uracus.

* * *

Chociaż był to dzień wyborów, Slvasta trzymał się codziennego harmonogramu zajęć. Wstał wcześniej, pojechał z Pabelem wozem na stację Plessey po świeżą porcję mięsa. Wrócił do Wellfield zapakować je dla klientów. Poszedł głosować dopiero po południu.

Miejscowy punkt wyborczy mieścił się w nędznej świetlicy przy alei Footscray, niedaleko Ogrodów Tarletona. Znużony umundurowany szeryf stojący na zewnątrz obojętnie skinął głową, gdy Slvasta wchodził do środka.

Komisja wyborcza ustawiła pięć kabin do głosowania. Dwie kobiety siedziały za biurkiem, na którym leżał wielki oprawiony w skórę spis wyborców. Kolejka do głosowania ciągnęła się przez cały hol, co najwyraźniej było rzadkością. Zwykle frekwencja wynosiła około dwudziestu procent. Slvasta stanął w kolejce. Parę osób rozpoznało w nim kandydata, kłaniając się lub uśmiechając. Po pięciu minutach dotarł do biurka; kolejka za nim nadal ciągnęła się aż do drzwi.

– Dużo pracy? – zagadnął kobietę, która odznaczyła jego nazwisko w spisie, zanim wręczyła mu kartę głosowania.

Spojrzała na niego z dezaprobatą i skinieniem przywołała następnego wyborcę.

Kiedy zaciągnął cienką kotarę kabiny do głosowania, uświadomił sobie, jak bardzo pragnął, by Bethaneve była tu z nim; o ile przyjemniej byłoby głosować razem. Jednak była zajęta, a ponadto musieli zachować ostrożność, żeby uniknąć zdemaskowania. Slvasta spojrzał na kartę do głosowania. Osiem partii ubiegało się o kierowanie radą dzielnicy Nalani. Obywatelski Świt i Jedność Demokratyczna były największe i najlepiej zorganizowane, resztę tworzyli jak zwykle niezależni kandydaci obiecujący załatwić jakieś pojedyncze lokalne problemy. Lista była dłuższa niż zazwyczaj. Zauważyły to nawet niektóre gazety, z jakimi się nie kontaktowali. Wszystkich zainteresowało ponowne utworzenie związku zawodowego. Wielu uważało, że Bryan-Anthony jest politycznym geniuszem, skoro tak szybko stworzył sobie bazę wyborczą.

Dziwnie było zobaczyć swoje nazwisko na karcie do głosowania. *Oto skok nad przepaścią* – pomyślał. – *Po tym nie będzie już odwrotu.* Musiał po prostu zdobyć się na odwagę – jeszcze jeden powód, dla którego chciałby mieć tu przy sobie Bethaneve. Ona wyśmiałaby jego żalosne wątpliwości. Zamknął oczy i zobaczył twarz Ingmara.

Byłem wtedy słaby. Już nigdy nie będę.

Umieścił krzyżyk przy nazwie swojej partii, mocno przyciskając ołówek, aby pozostawić zdecydowany czarny ślad, niebudzący żadnych wątpliwości.

Świat na zewnątrz był jakże zwyczajny w takim doniosłym dniu. Słońce jasno świeciło, grzejąc mu twarz, gdy wyszedł ze świetlicy. Kilka pasm chmur przecinało szafirowe niebo nad miastem. Gdy Slvasta ruszył aleją Footscray, zauważył mężczyznę siedzącego na ławce w głębi ulicy, skąd dobrze widział każdego udającego się do lokalu. Był tam już, kiedy Slvasta wchodził do środka: zwyczajne ubranie, pospolite rysy twarzy, pozornie czytający gazetę. Nie kompletnie zasłonięty, lecz wysyłający subtelne wrażenie swej nieistotności. Cichy przekaz: „ignoruj mnie”, na progu podświadomości – chyba że się go specjalnie szukało.

Slvasta uśmiechnął się lekko, telepatycznie sprawdzając otoczenie. Oczywiście, na pobliskim kominie siedział mod-ptak, bystrymi oczami patrząc na aleję Footscray, pokazując uliczny ruch swemu ukrytemu właścicielowi.

Zatem obawiacie się nas – pomyślał Slvasta, przechodząc obok obserwatora i z rozmysłem nie zwracając na niego uwagi. – *I powinniście.*

CZTERY

Rozglądając się po sali rady dzielnicy Nalani, Slvasta nie był już całkiem pewny, czy było to takie wielkie zwycięstwo. Sala miała standardowy wystrój, ale mocno sfatygowany i podniszczony przez pokolenia znużonych radnych. Ci radni, którzy się zjawili, siedzieli w rzędach długich ław, twarzami do podium, na którym burmistrz prowadził zebranie. Drewniana boazeria na ścianach pociemniała ze starości, co jeszcze pogłębiało półmrok, a szklana kopuła na środku sufitu była tak brudna, że niemal nie przepuszczała światła. Urzędnik rady wręczył Slvaście kopię aktualnego sprawozdania finansowego rady. Spędziwszy jedną z najbardziej przygnębiających godzin w swoim życiu na lekturze tego raportu, Slvasta dziwił się, że radę było stać na jego wydrukowanie.

Bethaneve i Coulan siedzieli na galerii dla publiczności, wraz z ponad setką zwolenników Demokratycznej Jedności i kilkoma reporterami stołecznych gazet. Slvasta mrugnął do Bethaneve w chwili, gdy urzędnik ogłosił rozpoczęcie obrad. Pierwszym punktem zebrania był wybór nowego burmistrza. Z siedemnastu miejsc czternaście zdobyła Demokratyczna Jedność, a Obywatelski Świt utrzymał tylko dwa, natomiast jedno dostało się niezależnemu kandydatowi obiecującemu naprawę dróg. Bryan-Anthony został zgłoszony jako kandydat na

burmistrza i szybko wybrany. Radni głosowali jednogłośnie i Bryan-Anthony wszedł na podium przy głośnych owacjach i oklaskach z galerii. Otrzymał szatę z obszytym futrem kołnierzem i ciężki złoty łańcuch będący symbolem urzędu. Następnie został zaprzysiężony jako wierny i oddany sługa kapitana, recytując słowa przysięgi bez śladu ironii.

– Dobra robota – mruknął pod nosem Slvasta.

Bryan-Anthony był odpowiednią osobą na ikonę ich ruchu, choć czasem zbyt żarliwie oddaną sprawie, przy czym te radykalne skłonności za często manifestował tyradami przeciwko władzy, szczególnie po kilku kuflach. Jednak tego wieczoru był zupełnie trzeźwy – Javier tego dopilnował.

Narada miała konkretne cele, poczynając od przydzielenia nowym radnym różnych pól działania w dzielnicy. Sam Slvasta miał odpowiadać za stan kanałów i ścieków (co dawało mu dostęp do wielu informacji o wodociągach) oraz miejskiej zieleni. Bryan-Anthony łaskawie przydzielił jednemu z radnych Obywatelskiego Świtu dzielnicowe biuro wydające licencje dorożkarzom.

Następnie rozpoczęła się debata nad budżetem. Pięciu radnych Demokratycznej Jedności przemawiało, ganiąc stan finansów, w jakim poprzednia rada zostawiła dzielnicę.

– Właściwie jesteście bankrutami – grzmiał jeden.

Po tych słowach obaj radni Obywatelskiego Świtu opuścili salę przy buczeniu i szyderstwach zwolenników Demokratycznej Jedności na galerii dla publiczności.

Uzgodniono sformowanie specjalnej komisji do zbadania stanu finansów i możliwych rozwiązań, która za tydzień miała złożyć radzie pełny raport. Slvasta był jednym z pięciu członków tej komisji. Z trudem utrzymywał dostatecznie szczelną osłonę, żeby nie zdradzić niepokoju.

– Teraz proszę o zgłaszanie wszelkich nowych wniosków – rzekł Bryan-Anthony.

– Chcę zaproponować zawieszenie licencji – powiedział Jerill.

Thum na galerii dla publiczności w końcu nastawił uszu. Slvasta zachował nieprzeniknioną twarz i umysł, ale w duchu modlił się do Giu, żeby Jerill tego nie spieprzył; przecież spędzili tyle czasu, przygotowując go na tę chwilę.

– Reprezentuję dzielnicę z... ogromną liczbą... hmm... bezrobotnych – ciągnął Jerill, płochliwie zerkając wokół. – Ich rodziny żyją w... hm... biedzie nieznannej i nierozumianej w dzielnicach pełnych bogaczy. Nikt nic dla nich nie robi. Szeryfowie są cholernie brutalni, gdy ktoś z nas, powiedzmy, zalega z czynszem. Miasta wcale nie obchodzimy. No cóż, mnie to obchodzi, widzicie, bo ja wiem, czym jest prawdziwa bieda. Hm... Tak, zostałem wybrany, żeby pomóc najbiedniejszym, i to właśnie będę robił, obojętnie z czyimi ukrytymi interesami będę musiał walczyć.

Jerill otrzymał trochę głośnych oklasków z galerii dla publiczności. Slvasta żałował, że nie napisali mu krótszej przemowy; ten człowiek nie był dobrym mówcą i najwyraźniej nie przećwiczył należycie swojej przemowy.

– W świetle tego, burmistrzu, chcę zachęcić radę do poparcia moratorium w sprawie wydawania kolejnych zezwoleń na trzymanie nowo nabytych modów w tej dzielnicy. Wtedy i tylko wtedy, gdy zlikwidujemy bezrobocie wśród ludzi, będziemy mogli rozważyć udzielanie nowych zezwoleń.

Nie załapali. Slvasta uśmiechnął się pod nosem, patrząc na obojętne i zdziwione miny publiczności. Jediną uśmiechniętą osobą była tam Bethaneve. Jednak to ona odkryła, że w całym mieście obowiązuje wymóg posiadania licencji na zakup i trzymanie modów, a każda dzielnica ma obowiązek przestrzegania go w swoich administracyjnych granicach.

Ten przepis został wprowadzony przez kapitana Ephraima dwa tysiące pięćset lat temu, gdy mody nie były czymś tak powszechnym jak obecnie. Nigdy nie został uchylony, lecz ze wzrostem liczby użytkowanych modów opłata licencyjna była zmniejszana wskutek politycznych nacisków właścicieli stajni, biznesmenów i właścicieli domów, aż w końcu koszt jej pobierania znacznie przekraczał uzyskiwane w ten sposób fundusze. Pozostała czysto historyczną ciekawostką w kodeksie, wraz z innymi podobnymi relikdami, takimi jak podatek od podków koni jadących przez plac Brocklage czy dziesięcina kwiatowa na alei Taylora.

Jak powiedziała im Bethaneve, obowiązującego prawa – szczególnie tak starego jak to – nie można oficjalnie łamać. Rada musi tylko spełnić swój obowiązek i dopilnować, by było przestrzegane. A ponieważ nikt już nie miał licencji, następnym posunięciem będzie uchwalenie opłaty licencyjnej i zmuszenie ludzi do składania podań o zezwolenie na posiadane już mody. Pieniądze z tych opłat natychmiast rozwiążą finansowe problemy dzielnicy – o ile uda się je zebrać. Było jednak mnóstwo bezrobotnych, którzy ochoczo podejmą pracę kontrolerów przepisów licencyjnych – szczególnie zachęceni do tego przez komórki i związki zawodowe.

Propozycja została przegłosowana i uchwalona.

Wtedy Slvasta go zauważył. Tego samego mężczyznę, który siedział przy alei Footscray. Teraz stał w tłumie na galerii, niedaleko Bethaneve. Lekko zmrużył oczy, jakby właśnie zrozumiał, co się stało.

* * *

Trevene stał na swoim zwykłym miejscu, pomiędzy dwoma obitymi pluszem fotelami przed biurkiem kapitana, czekając, aż Philious przetrawi najnowsze wiadomości. Dostarczanie niepożądanych wieści stawało się zwyczajem, którego nie lubił. Reagował na wydarzenia, a nie kontrolował ich, co powinien robić.

W ostatnich kilku tygodniach poczynił zdecydowane postępy. Jego informatorzy dostali się zarówno do związku w Wellfield, jak i do Demokratycznej Jedności, a nawet zdobywali głosy na ulicach. Dwaj nowo wybrani radni Demokratycznej Jedności byli jego ludźmi. Partia na swoich zebraniach nie mogła powiedzieć ani zaplanować niczego, o czym nie dowiedziałby się w ciągu godziny.

To jednak było jednym z jego największych problemów. Demokratyczna Jedność nie robiła niczego zaskakującego ani istotnego. Była partią polityczną biedoty, co samo w sobie stanowiło rzadkość, lecz poza absurdalnymi ambicjami i złudzeniami, że może rywalizować z Obywatelskim Świtem i stać się główną partią opozycyjną, nie planowała niczego nadzwyczajnego. Pozostawało coś, co nazywano jej jądrem: Slvasta, Bethaneve, Javier i Coulan. Miał wyczerpujące akta każdego z nich. Kazał wszystkich nieustannie obserwować. Przesłuchiwał ludzi, którzy znali ich, zanim rozpoczęli działalność polityczną. Kluczową postacią był, oczywiście, Slvasta. Dobry były oficer (czytał raporty regimentu Cham i wiedział, że jego zapał był dla nich kłopotliwy) zelektryzowany śmiercią swojego przyjaciela Arnice'a. Która, w czym Trevene po przeczytaniu akt Urzędu Sprawiedliwości musiał się zgodzić ze Slvastą, była rezultatem niebywałej głupoty władz. Pozostali byli w zasadzie grupą wspierającą przywódcę – a Slvasta był dostatecznie sprytny, żeby trzymać się w cieniu. Bryan-Anthony, pomimo swych dobrych intencji, był zwykłym figurantem.

To jądro planowało wszystko w swoim gronie, pociągało za sznurki Demokratycznej Jedności i wciąż rosnących liczebnie związków. I okazali się w tym imponująco dobrzy. Slvasta był najwyraźniej urodzonym politykiem. Trevene nawet wśliznął się na publiczne zebranie w pewnym pubie, żeby przyjrzeć mu się osobiście. Wyszedł stamtąd, nie mając żadnych wątpliwości co do szczerego oddania Slvasty sprawie poprawy warunków życia najuboższych.

Ale jego metody powodowały potworny ból głowy.

Kapitan Philius oderwał wzrok od akt dostarczonych przez Trevene'a.

– Przecież... nigdy nie podpisałem nakazu licencjonowania modów.

– Nie, proszę pana. Zrobił to kapitan Ephraim.

– Kto taki?

– Dwa tysiące lat temu. Był kapitanem przez siedem lat. Najwyraźniej nienadzwyczajnym. Niestety, tego prawa nie usunięto z kodeksu. Nadal obowiązuje. Po prostu od wieków nikt nie pilnował jego przestrzegania.

– Zaraza! – Philius upuścił teczkę na biurko i wyciągnął się na fotelu. Po chwili namysłu jego cienkie wargi wykrzywił uśmiech podziwu. – Jest dobry, prawda?

– Tak, proszę pana.

– Szkoda, byłby doskonałym pierwszym rzecznikiem.

– Slvasta ma własny cel. Nie ma w nim miejsca dla pana czy dla mnie.

– Zatem po prostu znieśmy obowiązek posiadania licencji nałożony przez biednego starego kapitana Ephraima. Wtedy żagle Slvasty pozbawimy wiatru.

– Oczywiście, możemy to zrobić, proszę pana.

– No tak. A co ty byś radził?

– W jednym z okręgów jest partia opozycyjna, nielicząca się w Varlanie, nie mówiąc o Bienvenido. Zniesienie wymogu licencji wypromuje jej działania. Dowiedzie, że niepokoi

pana wyzwanie rzucone Obywatelskiemu Świtowi. Kapitanat nie może być postrzegany jako babrający się w brudnej polityce.

Philious spojrział na niego ze zdziwieniem.

– Mam nic nie robić? Spójrz tam.

Kapitan wskazał na jedno z wielkich okien wychodzących na bulwar Walton. Na zewnątrz była noc i tylko migoczące światło gwiazdozbiorów zakłócało bezchmurne niebo. Dachy domów błyszczały w ich łagodnym blasku. Okna lśniły żółtą poświatą.

– Nie palą się latarnie. Po raz pierwszy od tysiąca lat gasną światła Varlanu. Za mojego kapitanatu! To przez to parszywe jądro. Jednak to drobiazg w porównaniu z tym, co czytam w raportach Ministerstwa Skarbu. Ceny rosną, banki zachowują się nerwowo. Tak nie może być. Musimy sprowadzić nowe neuty, które załatwia gildia, i potrzebujemy tych modów, które oni wyprodukują. Nieograniczonych żadnymi przepisami, nielicencjonowanych modów.

– Tak. Jednak ten ich sprytny manewr potwierdza to, co mówiłem cały czas: to jądro stoi za kryzysem neutów. Slvasta ma pewną słabość: obsesję na tle Upadłych i modów. To go spala... co jest całkiem zrozumiałe. Oto, co się tak naprawdę za tym kryje.

– Zatem powinien był pozostać w regimencie i po prostu walczyć z Upadłymi.

– Ale nie został, panie. I musimy sobie z nim poradzić. On i jego przyjaciele stali się powszechnie znanymi postaciami. Już nie jest tak łatwo pozbyć się ich po cichu. Zaczęto by zadawać pytania. Nikt nie chce męczenników.

– Zatem co?

– Wykonali swój ruch. To jawne wyzwanie, kierowane do pana. Powinniśmy wykonać kontrposunięcie. Muszą zrozumieć, że to nie jest łatwa gra. Trzeba ich nauczyć, że są konsekwencje podważania władzy kapitana.

– Bardzo dobrze. Wyślij im taką wiadomość. I, Trevene... niech ona będzie dobitna.

– Tak, panie.

PIĘĆ

– Dokonałiśmy tego – powiedziała Bethaneve. – Zapoczątkowaliśmy to.

Pół godziny wcześniej skończyło się posiedzenie rady i siedzieli we czwórkę w ogrodzie na tyłach pubu Bellaview, znajdującego się naprzeciwko ich domu po drugiej stronie Ogrodów Tarletona. Na stoliku stały cztery piwa, a lekka osłona wokół zapobiegała podsłuchowi. Na zmierzchającym niebie zaczynały się zbierać chmury.

– Dobry początek – przyznał Javier. – Teraz jednak naszym najważniejszym zadaniem jest utrzymanie tempa zmian.

– Wszystkie komórki otrzymały wiadomość – powiedziała Bethaneve. – Do końca tygodnia w całym mieście będzie mnóstwo martwych modów.

– Szeryfowie będą zajęci – rzekł w zadumie Coulan. – Domyślą się, że stoi za tym jakaś organizacja. A ponieważ wszystko zaczęło się w Wellfield, zapewne będą tam węszyć.

– Może nie – rzekła Bethaneve. – Kiedy skrzesać iskrę, czasem ogień wymyka się spod kontroli. Jeśli wszyscy bezrobotni zrozumieją, że martwe mody zwalniają miejsca pracy dla nich, nie będziemy musieli wysyłać komórkom rozkazów zabijania. To zacznie się dziać samoistnie.

– To mi się podoba – rzekł Coulan. – Szeryfowie mogą winić radę Nalani za skrziesanie iskry, ale te zabójstwa będą spontaniczne. Nie powinni się nami interesować.

– Ktoś już się interesuje – powiedział Slvasta. – I to nie szeryfowie.

Powiedział im o obserwatorze, którego zauważył.

– Na Uracusa! – wykrzyknął Coulan. – Naprawdę stał tak blisko mnie na galerii?

– Tak.

– Powinieneś mnie ostrzec.

– Po co? Co byś zrobił? Odwrócił się, popatrzył. W czym to by pomogło?

– Czy jest tu teraz? – zapytała Bethaneve.

Slvasta niespiesznie rozejrzał się po piwnym ogródku. Kiedyś może istotnie roztaczał się stąd jakiś widok, lecz teraz widać było tylko wysoki kamienny mur pokryty pnączami viricote, których duże białe kwiaty zwijały się po zachodzie słońca.

– Nie widzę go – oznajmił Slvasta, sprawdzivszy wszystkie stoliki. – Ale jeśli są sprytni, to zmieniają obserwatorów, żebyśmy nie zaczęli ich rozpoznawać.

– Ty już jednego zauważyłeś – przypomniał Coulan.

– Miałem szczęście albo stali się nieostrożni. Nie możemy na to liczyć.

– Sugerujesz, że śledzi nas liczny zespół – powiedziała ściszym głosem Bethaneve.

– Skoro już nas obserwują, to mamy kłopoty – rzekł Javier. – Jeśli już, to powinni obserwować Bryana-Anthony’ego. On naprawdę wczuł się w swoją rolę czołowego radykała. Prowadził zebranie tak, że nawet ja uwierzyłem w to, że on wszystkim kieruje.

– Co do tego spotkania... – rzekła Bethaneve. – Kiedy następnym razem zgłosicie jakiś wniosek, to dopilnujcie lepszego przygotowania mówcy. Trudno było słuchać Jerilla.

– Tak, ale dzięki temu zabrzmiało to szczerze. Jak zwykły wniosek zgłaszany przez nowego radnego, działającego w dobrej wierze. Nikt nie chce, żeby Demokratyczną Jedność przejęli teraz zawodowi politycy.

– Nie mówię o profesjonalistach, tylko o lepszym przygotowaniu wystąpień.

– Wszyscy się uczymy.

Slvasta wysłał barmanowi sygnał z prośbą o nową kolejkę.

– Musimy być ostrożni – powiedziała Bethaneve. – To krytyczny moment. Powinniśmy zdobyć masowe poparcie. Na razie kontrolujemy jedną z najbiedniejszych dzielnic Varlanu. A następna runda wyborów odbędzie się nie wcześniej jak za osiem miesięcy.

– Czy doczekamy się kiedyś takiej chwili, która nie będzie krytyczna? – spytał Javier.

Bethaneve podniosła kufel i posłała mu nad nim rozbawione spojrzenie.

– Nie mogę sobie tego wyobrazić.

* * *

Drugie posiedzenie rady Nalani było o wiele bardziej burzliwe niż pierwsze. Spodziewali się tego. To, co gazety potępiały jako rzeź modów, osiągnęło natężenie, które zaskoczyło i mocno zaniepokoiło nawet Slvastę i Bethaneve. Komórkom kazano zabijać tylko mody wykorzystywane do pracy, ale inni nie ograniczali się do tego. Domowe mody wykańczano z taką samą ochotą jak pracujące w przemyśle. W kilku bogatszych dzielnicach szeryfowie patrolowali wszystkie drogi, nie wpuszczając przechodniów i pasażerów dorożek, póki nie dowiedli, że tam mieszkają. Obywatele postanowili nie wpuszczać osób niepożądanych, co szybko wywołało kilka przykrych incydentów, gdy szeryfowie okazali się nadgorliwi. Dziennikarze i plotkarze mieli o czym mówić przez wiele dni.

Potem pojawił się problem ze zwłokami. Martwe mody po prostu wyrzucano na ulice. Gryzonie wylazły ze swoich nor; ludzie zgłaszali, że całe stada tych zwinnych stworzeń żerowały na gnijącym mięsie. I zuchwale broniły swego łupu, atakując przeszkadzające im dzieci. Muchy tatus tworzyły wielkie chmury dosłownie zatykające zaułki i boczne uliczki. Możliwość wybuchu epidemii stała się realnym zagrożeniem.

Na wstępie Bryan-Anthony oznajmił, że rada uważa usuwanie zwłok za sprawę o najwyższym priorytecie. Zatrudni dwudziestu ludzi do oczyszczania ulic.

– Jak im zapłacicie? – spytał Oriol, jeden z radnych Obywatelskiego Świtu.

– Proponuję liczyć jednego szylinga za każde zezwolenie na moda – odparł Jerill. – To powinno znacznie zwiększyć wpływy rady.

– Przecież wy zabijacie wszystkie mody – krzyknął Oriol. – Nie zostanie żaden, na którego można by wydać zezwolenie, ty kretynie! Nie przemyśleliście tego, zanim zaczęliście to robić, co?

– Proszę o cywilizowane zachowanie, panie radny – rzekł Bryan-Anthony.

– Pięć moich modów zostało zamordowanych przez waszych zwolenników. Czy to cywilizowane zachowanie? Będę zrujnowany!

– Zatrudnij ludzi – zawołał ktoś z galerii.

– Kryminalistów i szumowiny – odkrzyknął w odpowiedzi.

Bryan-Anthony zaczął tłuc młotkiem w pulpit, gdy krzyki i oskarżenia z galerii przybrały na sile.

– Spokój, proszę. Spokój!

Zniewagom towarzyszyły lekkie poszturchiwania teka. Lekkie pozostały niedługo. Wybuchła bójka. Wezwano szeryfów.

Trwało to dwadzieścia minut, ale publiczność usunięto z galerii i resztę posiedzenia przeprowadzono bez żadnych świadków. Ponieważ jakiegokolwiek zamknięte zgromadzenia były w Varlanie zakazane, urzędnik magistracki pozwalał wszystkim zainteresowanym patrzeć i słuchać telepatycznie.

– Tego się nie spodziewałem – przyznał Slvasta, gdy wracali do domu.

– A powinniśmy – rzekła Bethaneve. – W końcu pozbywając się modów, chcieliśmy uderzyć przeciwnika w najwrażliwsze miejsce: po kieszeni. Zaczynj zabierać pieniądze bogatym, a zareagują tak samo jak dzikie zwierzęta wpychane na arenę Philippy.

Pokręciła nosem, gdy skręcili w handlową ulicę Onslo, z mnóstwem sklepów i firm. Martwe mody piętrzyły się w rynsztoku, choć trudno je było dostrzec bez użycia telepatii. Nie paliła się żadna z latarni; jedynym źródłem światła były gwiazdozbiory i nieliczne okna na piętrach, w których paliło się światło. Zespoły zapalaczy miejskich lamp składały się głównie z mod-karłów i okazały się łatwym celem. Telepatyczna plotka głosiła, że obecnie w nocy pali się niecałe dwadzieścia procent miejskich latarni.

Pospiesznie szli po chodniku. Czarne kształty w rynsztoku poruszały się jak kręgi na jakiejś ciemnej toni, z cichym szelestem ocierając się o kamienny krawężnik. W pierwszej chwili Slvasta pomyślał, że mod-karły jeszcze żyją, ale zaraz telepatycznie odkrył, że wszystkie są szarpane przez dziesiątki gryzoni. Z niepokojem zobaczył, jak wielkie są te stworzenia; zawsze uważał opowieści o takich rozmiarach tych gryzoni za przesadzone, ale przecież od tygodnia miały mnóstwo żarcia.

Mocniej objął ramieniem Bethaneve i jeszcze przyspieszyli kroku.

– Naprawdę musimy coś z tym zrobić – rzekł Javier, zaciskając palcami nos, żeby nie wdychać smrodu.

– Kolejny niezamierzony rezultat – nadała Bethaneve, wstrzymując oddech. – Opłacanie ludzi, żeby zapalali latarnie i rano uzupełniali ich zbiorniki, jest zbyt kosztowne. Może powinniśmy zrobić kilka wyjątków w zakazie udzielania zezwoleń.

– To już nic by nie dało – rzekł Javier. – Firm oświetleniowych nie stać teraz na nowe mody. Wiecie, ile dziś kosztuje trzymiesięczny mod-karzeł? Jeśli uda wam się go sprowadzić. Szeryfowie mówią o zbrojnym konwojowaniu tych, które stajnie sprowadzają do stolicy.

– To zaczyna także wpływać na gospodarkę – zauważył Coulan. – Ceny żywności rosną.

– Mogłem was uprzedzić, że tak będzie – powiedział Slvasta. – Wszystkie stoiska Wellfield podniosły ceny. Nie mieliśmy innego wyjścia; zatrudnianie ludzi kosztuje.

– Płace powinny wzrosnąć, żeby to powetować – stwierdziła Bethaneve. – Co, oczywiście, nie nastąpi. Może Nalani powinna narzucić płacę minimalną?

– Nie – rzekł Slvasta. – Musimy być realistami. Nawet gdybyśmy zdołali to narzucić, wszyscy sklepikarze i przedsiębiorcy podaliby nas do sądu, co ekonomicznie wykończyłoby dzielnicę. To spowodowałoby jeszcze większą biedę.

– W porządku – ustąpiła. – Trzeba będzie wprowadzić to później, kiedy będziemy mogli narzucić to na całą planetę.

– Dobrze myślisz – rzekł Slvasta. Ponownie był zaskoczony i zaniepokojony jej oddaniem sprawie.

* * *

Kiedy Slvasta z Ervinem wrócili wozami ze stacji Plessey na targowisko Wellfield, czekał tam oddział szeryfów. Pięciu z nich stało wokół stoiska Javiera, silnymi osłonami nie pozwalając na wpływ żadnych uczuć.

Slvasta zobaczył Javiera stojącego przed witrynami, pogrążonego w rozmowie z dowodzącym sierżantem.

– Rozładujcie wozy, proszę – rzekł Slvasta do Ervina i nowych pracowników, zatrzymując wóz przed magazynem. – Sprawdź, co się dzieje.

Kiedy podchodził, Javier posłał mu pełen napięcia uśmiech.

– To jest sierżant Becker. Chce, żebyśmy kogoś zidentyfikowali.

– Zidentyfikowali? – zdziwił się Slvasta.

– Pan pozwoli, panie radny – rzekł Becker.

Był po sześćdziesiątce, masywnie zbudowany i z wielkimi obwisłymi wusami. Jego uprzejme, lecz stanowcze zachowanie powiedziało Slwaście, że jest zawodowym szeryfem przyzwyczajonym do ekstremalnych ludzkich zachowań.

– Chętnie pomogę szeryfom – odparł Slvasta.

Sierżant skwitował to tylko cichym pomrukiem. Trzech szeryfów udało się za nimi, gdy wyszli z Wellfield do dwóch czekających na zewnątrz dorożek.

– Jesteśmy aresztowani? – zapytał Slvasta.

– Nie, panie. Moi ludzie są tutaj, żeby was chronić.

Gdy Slvasta spojrział na Javiera, wielkolud tylko wzruszył ramionami.

Od ulicy Doyce dzieliło ich zaledwie dziesięć minut jazdy. Gdy zatrzymali się przed starą kamienicą, Slvastę ogarnęły złe przeczucia. Pamiętał nazwę tej ulicy, ale nie mógł sobie przypomnieć skąd. Co bardziej niepokojące, telepatyczne zauważył krążącego wysoko na niebie mod-ptaka. *Nie tylko szeryfowie byli w to zamieszani...*

Dwaj z nich stali na straży przed jedną z bram. Otworzyli drzwi, wpuszczając Beckera. Usiłował nie przepuścić przez osłonę żadnych uczuć, ale była to okropna nora. Gołe ceglane mury, na których tynk zmurszał i zmienił się w piasek, osypujący się i brudzący podłogi. Tu i ówdzie na ścianach widniały dziwne plamy. Długie, słabo oświetlone korytarze wiodące do drzwi na każdym piętrze były tak monotonne, że wyglądały jak swoje lustrzane odbicia. Identyczne drzwi prowadziły do identycznych jednopokojowych mieszkań; wspólne łazienki na końcu każdego korytarza zdobiły ciekące rury i popękane umywalki. Zimne powietrze niesło silny odór słabo spływających ścieków. Wszystko to było przykrym przypomnieniem życia, którego uniknął, mieszkając z przyjaciółmi, i tego, jak ważny jest każdy szyling.

Weszli za Beckerem na drugie piętro. Slvasta nie musiał używać telepatii, aby wiedzieć, że ktoś umarł w tym ciasnym mieszkanku, do którego w końcu doprowadził ich sierżant. Wewnątrz panował niesamowicie przygnębiający nastrój, tak bardzo, że Slvasta zaczął się zastanawiać, czy jakaś udręczona dusza nie pokutuje w tym budynku. Nędzny pokoik miał na ścianach tapety, tak stare i wilgotne, że niewiele lepsze od szarej warstwy pleśni. Na wyposażenie składały się dwa meble: żelazne łóżko i niedawno naprawiana, zabezpieczona

przed gryzoniami drewniana komoda pełna ubrań. Na podłodze leżały sterty ekstremistycznych politycznych gazetek, o pożółkłych i wilgotnych kartkach.

Ciało leżało na łóżku. Mnóstwo krwi wypłynęło z licznych ran klutych, wsiąkając w materac i ściekając na deski podłogi. Dwie jasne lampy olejowe ustawił asystent koronera, który cierpliwie tam czekał, czytając egzemplarz „Oka Wyzyn”. Złożył gazetkę, gdy Becker wprowadzał ich do środka.

Slvasta spojrział na ciało, a potem pospiesznie odwrócił wzrok, powstrzymując mdłości.

– Przepraszam za to – powiedział obojętnie Becker. – Gryzonie zeżarły większość jego twarzy, zanim przybyliśmy. Są coraz śmielsze. Pewnie dlatego, że tak dobrze się odżywiają.

– Zaraza! – mruknął Javier.

– Za pozwoleniem, panowie, chciałbym, żebyście dokonali oficjalnej identyfikacji. Byliście jego kolegami.

Slvasta zacisnął zęby i zmusił się do ponownego spojrzenia na ciało. Rysy twarzy – nawet pozbawionej połowy skóry – były łatwe do rozpoznania. Ponadto gryzonie nie tknęły jego włosów.

– Słodki Giu. To Bryan-Anthony.

– Jest pan tego pewny? – spytał Becker.

– Tak.

– Dziękuję. A pan?

– To burmistrz – rzekł Javier.

– Tożsamość oficjalnie potwierdzona. – Asystent koronera naskrobał coś w swoim notesie. – Dziękuję panom.

– Co się stało? – spytał Javier.

– Na ile mogę stwierdzić, był to wewnętrzczaskowy atak teka, kiedy spał – powiedział asystent koronera. – Jest niewielkie, ale zauważalne uszkodzenie płata czołowego, bez fizycznych śladów uderzenia.

– A te rany klute...

– Zadane natychmiast po śmierci. Zapewne jako manifest. Ktokolwiek to zrobił, nie chciał, żebyśmy uznali to za omyłkowe zabójstwo.

Odchylił koc. Na piersi Bryana-Anthony’ego wycięto słowa ZWIĄZKOWA ZAPŁATA.

– Zaraza! – wykrzyknął Slvasta.

– Czy ktoś kontaktował się z jego duszą? – zapytał Javier.

– Nie, uleciała do Giu – odparł asystent koronera. – Gdy tu przybyłem, już nie mogłem jej odnaleźć. Jeśli zdołają się oprzeć pieśni Giu, dusze zamordowanych pozostają na tyle długo, żeby powiedzieć nam, kto ich zabił. Dlatego w moim fachu trzeba mieć bardzo wyostrzone zdolności telepatyczne.

– Komendant mojego posterunku chciałby się teraz z wami spotkać – rzekł Becker. – Chce porozmawiać o przydzieleniu wam wszystkim szeryfów jako ochroniarzy.

– Nam wszystkim? – zapytał Javier. – Czyli komu?

- Radnym Demokratycznej Jedności.
- Rozumiem – rzekł Javier. – Proszę mu powiedzieć, że chętnie spotkamy się z nim później. Najpierw muszę to przedyskutować z moimi kolegami.
- Becker zerknął na zwłoki, a potem znów na Javiera.
- Jak sobie życzycie. Czy macie jakieś podejrzenia, kto mógł to zrobić?
- Nie, ale obaj wiemy, że wielu ludzi interesu nie jest obecnie zadowolonych z działań naszej partii. Macie jakieś ślady?
- Nie, proszę pana, żadnych. Znaleźliśmy ciało zaledwie parę godzin temu. Gryzonie narobiły takiego hałasu, że zbudziły sąsiadkę; ta użyła telepatii i znalazła jego zwłoki.
- Temperatura ciała wskazuje, że zgon nastąpił w przybliżeniu około północy – rzekł asystent koronera.
- Rozumiem.
- Gdzie pan był około północy? – zapytał Becker.
- Żartuje pan?
- Morderstwo to poważna sprawa, proszę pana. Możliwość wyeliminowania panów z kręgu podejrzanych będzie dla nas dużą pomocą.
- Byłem w domu. Potwierdzi to mój partner Coulan. A także Slvasta.
- Istotnie. Zatem wszyscy mieszkańcy pod tym samym adresem?
- Tak.
- Bardzo dogodnie. Czy ktoś jeszcze może zaświadczyć, że poszliście do domu?
- Zapewne sąsiedzi.
- Oczywiście. Zapytam ich. Rutynowo, rozumie pan.
- Tak – odparł Slvasta. – Rozumiem bardzo dobrze.

* * *

Bethaneve szykowała się do pracy, gdy Slvasta i Javier wrócili do mieszkania przy Ogrodach Tarletona.

- Nie żyje? – spytała z niedowierzaniem. – Bryan-Anthony nie żyje?
 - Tak.
 - Och, wielki Giu. – Przywarła do Slvasty, starając się opanować żal i strach. – Kto to zrobił?
 - Szeryfowie nie wiedzą.
 - Ha!
 - Nie wiedzą – powtórzył Javier. – Przynajmniej ci, którzy z nami rozmawiali. Ci byli z miejscowego posterunku. Policja kapitanatu ich nie wtajemniczyła.
 - Myślisz, że to robota policji? – zapytała.
 - Nie wiem.
- Telepatia Slvasty pokazała mu spieszącego na górę Coulana. Wpadł do pokoju, niosąc trzy gazety.

– Bryan-Anthony... – zaczął Javier.

– Wiem. – Coulan pomachał gazetami w powietrzu. – Wszystkie podają tę wiadomość.

Slvasta z niepokojem spojrział na Javiera.

– Bardzo szybko. Kiedy ją wydrukowały?

– W środku nocy, żeby przed śniadaniem znalazły się na stoiskach.

Bethaneve wyrwała gazetę Coulanowi.

– To okropne – powiedziała. – Tu piszą, że spotkała go sprawiedliwa kara; że liga antymodowa wzięła go za mod-małpę. Jaka liga antymodowa?

– A tu piszą, że kradł związkowe fundusze – powiedział Javier. – I że związek to gangsterska organizacja, która go zamordowała, ponieważ nie płacił szefom pełnej działki. Dranie!

Zmiał gazetę.

– Przecież związek nie ma żadnych funduszy – zaprotestował Slvasta.

– A czego się spodziewaliście? – Coulan popatrzył na nich. – To ich pierwsza salwa. Chcieliście zwrócić uwagę kapitana i udało się wam.

– Zabili go! – powiedziała Bethaneve.

– A my chcemy obalić ich rządy. Sądźcie, że dokonamy tego bez rozlewu krwi? Myśleliście, że w jaki sposób to nastąpi? Może po prostu oddadzą nam klucze do pałacu? Dotychczas wszystko szło po naszej myśli. Zeszłej nocy nie. Wiedzieliśmy, że w tym mieście niebezpiecznie jest być liderem; to dlatego zrobiliśmy nim Bryana-Anthony’ego. To samo spotka następnego i zapewne tego, który będzie po nim. To wojna. Wiecie o tym. Tak więc teraz nasza kolej zadać cios. Dziennikarze są po naszej stronie, więc każemy im zdemaskować wszystkie te bzdury, które wciskają im ci od Trevene’a. Ludzie nie są głupi; zorientują się, że śmierć Bryana-Anthony’ego jest podejrzana. W następny wtorek wykorzystamy to.

Slvasta skinął głową, chociaż był przygnębiony. Wiedzieli, że reprezentowanie Demokratycznej Jedności będzie niebezpieczne. Jednak to... W szokujący sposób przypominało, jak wysoka jest stawka, jak poważna jest ta sytuacja. Nie mógł nazywać tego grą. Już nie, nie teraz, kiedy miał krew na rękach.

– Zatem nadal robimy swoje?

– Tak, kurwa! – warknęła Bethaneve.

SZEŚĆ

Wschodnia Linia Transkontynentalna była jedną z czterech głównych linii kolejowych ciągnących się z Varlanu przez większość kontynentu lamarańskiego. Od stacji Doncastor w centrum miasta biegła przez prawie tysiąc mil na północ do Adice, zanim skręcała na wschód, przecinając dwa i pół tysiąca mil terenów w środku kontynentu aż do Portlynn na końcu

Cieśniny Nillsona, będąc główną osią, od której odchodziło ponad sto lokalnych (i równie ważnych) linii, żywotnych dla gospodarki licznych miast i miasteczek w tamtejszych prowincjach.

Nie tylko gospodarka Lamarinu była zależna od tych linii kolejowych; na tak rozległym kontynencie zasiedlająca go ludność w żaden inny sposób nie mogłaby mieć jednego centralnego rządu. Jak przekonali się spiskowcy Slvasty, trudno zorganizować coś na odległość. Dotychczas ich wpływy nie sięgały poza stolicę i nawet tam nie mieli oparcia w bogatszych dzielnicach. W rezultacie opustoszałe stajnie adaptatorów musiały wysłać swych przedstawicieli zaledwie kilkaset mil dalej, żeby znaleźć stadniny pełne neutów.

Te wiejskie stadniny, które nagle zaczęły otrzymywać liczne zamówienia na dostawy samic neutów do stolicy, szybko zorientowały się, jaką mają przewagę, i podniosły ceny. Był to rynek sprzedawców. Gildia Adaptatorów Varlanu zacisnęła zęby i płaciła. Ponadto prezes gildii nalegał na pilnowanie nowo zakupionych zwierząt; domagał się tego bardzo stanowczo, a nawet rodzina kapitana miała akcje w tym biznesie. Tak więc w ten wtorkowy rano wszystkie drogi wokół dworca towarowego Doncastor były zamknięte już od szóstej rano. Każdy szeryf z pięciu okolicznych dzielnic pełnił służbę wokół stacji lub wzmacniał blokady na ulicach. Wielu skierowano na stację, żeby eskortowali wozy przewożące zwierzęta do stajni.

Gildia Adaptatorów zorganizowała konwój złożony z trzydziestu wozów, spośród których każdy mógł pomieścić pięćdziesiąt nowych samic neutów. Była to wystarczająca liczba, żeby ponownie zapełnić wszystkie stajnie w mieście i rozpocząć namnażanie modów. Ochronę stajen już wzmocniono – dosłownie je fortyfikując, jak twierdziły gazety – zatrudniwszy przy tym ocalałe mod-małpy i robotników – ludzi. Ludzi z silną teka zatrudniano jako strażników, w większości przywożąc ich spoza Varlanu, aby mieć pewność, że nie zostali skażeni nowym antymodowym fanatyzmem szalejącym w stolicy.

Plotka zaczęła się rozchodzić, gdy tylko szeryfowie przystąpili do ustawiania blokad. Do siódmej rano wszyscy w Varlanie wiedzieli, że dziś przyjedzie ten pociąg.

Bethaneve nadała tę wiadomość do pięciu osób. Ci przekazali ją ośmiu innym. Tamci siedemnastu. Potem czterdziestu trzem...

Członkowie komórek zaczęli namawiać wszystkich znanych sobie sympatyków, żeby poszli protestować. Nowo zatrudnionych. Nowych członków związku, którzy spodziewali się wzrostu zarobków. Ludzi, którzy zdali sobie sprawę, że bez modów mają większe szanse na lepsze życie. Oraz, jak zwykle, rwących się do bójki, obojętnie o co i z kim. Wszyscy zgromadzili się na dworcu Doncastor, gdy słońce weszło nad miastem i przegoniło nocną nadržeczną mgłę.

Dorożkarze spoza dzielnicy odmawiali zabierania tam kogokolwiek, nawet mających ważne bilety kolejowe. Dorożki już znajdujące się tam pospiesznie odjeżdżały.

Bethaneve zajęła pozycję ćwierć mili od dworca, usiadłszy w kafejce przy ulicy Rycotte. Telepatycznie zlokalizowała Slvastę, Javiera i Coulana, którzy znajdowali się bliżej stacji, ale

na tyłach rosnących tłumów. Pospiesznie posłała każdemu z nich wiadomość, sprawdzając, czy są w zasięgu. Natomiast oni byli w kontakcie ze wszystkimi komórkami drugiego, trzeciego, czwartego i piątego poziomu, potwierdziwszy ich lokalizację. Te komórki były rezerwowe, nieaktywne i niewidoczne, i nigdy nie proszono ich o robienie czegokolwiek, żeby nie zwrócić uwagi Trevene'a. Były warstwą łącznościową, w kontakcie z dziesiątkami innych komórek rozproszonych w tłumie, przekazującą im rozkazy i otrzymującą meldunki. Jej umysł przechowywał piękną geometrię łączności międzykomórkowej, pozycjonując je w telepatycznej wizualizacji terenu.

– Jesteśmy gotowi? – nadał Slvasta o wpół do dziewiątej.

Bethaneve upiła łyk gorącej czekolady i podniosła gazetkę – idealny obraz postronnej osoby.

– Gotowi.

– Zatem zróbmy to.

Pociąg wjechał na dworzec towarowy jednaście minut po dziesiątej. Powitali go właściciele stajni z całego miasta. Wszyscy mieli zakratowane wozy do transportowania samic neutów, w większości z pospiesznie przytwierdzonymi do krat deskami, co zapewniało iluzoryczną ochronę i anonimowość zwierzętom, które miano transportować. Obok wozów czekali strażnicy, twardziele lojalni wobec każdego, kto najlepiej płaci.

Bethaneve wysłała kilka poleceń, czując, jak rozchodzą się po komórkach. Kilka mod-ptaków spadło z nieba, z głuchym łoskotem uderzając o dachy – martwe już wcześniej. Pozostałe pospiesznie odleciały, wycofane przez swoich nadzorców.

* * *

W czekającym przed blokadami tłumie rosło wzburzenie i wrogie nastroje – fala emocji, która ogarnęła dworzec i zaniepokoiła łagodne neuty. Gdy wyprowadzano je z wagonów towarowych do obitych deskami wozów, zaczęły stawać dęba, chcąc uciec z tego nowego i przerażającego otoczenia. Ich dozorczy z trudem trzymali je w ryzach.

– Czy to wagon mod-małp? – spytała ze zdziwieniem Bethaneve.

Paru członków komórki (dwudziestego ósmego poziomu) znalazło się blisko pociągu, dzieląc się swymi odczuciami. Rzeczywiście, dwa wagony wyglądały na pełne mod-małp.

– Te stajnie są bardzo chciwe – mruknął Slvasta.

– Raczej zdesperowane – rzekł Coulan.

Wśród zapelniających ulice na zewnątrz demonstrantów, którzy odebrali ten współdzielony obraz, rozległy się szydercze okrzyki. Ta nowa fala niechęci sprawiła, że kilka neutów stanęło dęba i rzuciło się do ucieczki. Pracownicy gildii pobiegli za nimi, usiłując uspokoić przerażone zwierzęta.

Teka tłumy zaczęła ukradkiem otwierać kłódki wagonów towarowych. Stłoczone w środku neuty, już zdenerwowane i wyczuwające psychologiczną burzę wzbierającą we wrogim tłumie, wypadły i zaczęły uciekać przez plac wyładunkowy stacji. W powstałym

zamieszaniu otworzono kolejne wagony. Wybiegły mod-małpy. Ludzie na placu rozpaczliwie krzyczeli, gdy mrowie oszalałych zwierząt biegało wokół, tratując każdego, kto stanął im na drodze. Pracownicy gildii usiłovali zatrzymać mod-małpy, które mieszały się z neutami, lecz zwierzęta w ogóle nie reagowały na słane przez nich rozkazy.

– Och, zaraza – wymamrotał Slvasta. – To nasza robota? My je uwolniliśmy?

– Tego nie było w planie – odrzekła Bethaneve. – Jednak wygląda mi to na zorganizowane działanie.

– Może jakieś komórki zmodernizowały plan? – rzekł Javier.

– Może.

– Teraz to nieistotne – powiedział Slvasta.

Stał niedaleko wylotu ulicy Cranwich, otoczony przez tłum. Atmosfera zaczęła się zmieniać: agresywny nastrój przechodził w niepokój. Sto metrów dalej szeryfowie przy blokadzie na ulicy Knole, biegnącej równoległe do stacji, odwracali się nerwowo. Za ich plecami jedna z wielkich żelaznych bram wiodących na plac rozładunkowy zaczęła dygotać pod uderzeniami napierających na nią neutów. Same w sobie były to spokojne i niezbyt silne zwierzęta, ale teraz setki ich biegały wokół, gnane przestraczem. Instynkt stadny, wzmacniany zbiorowym stresem, nakazywał im natychmiastową ucieczkę. Jak szalone rzucały się na bramę, tłukąc w nią niczym taran. Nagle o bramę uderzyły także dwie ogromne mod-małpy.

Slvasta odbierał to swoją telepatią, więc doskonale czuł siłę i spójność telepatycznych rozkazów, które zdesperowani członkowie Gildii Stajennych ciskali w umysły mod-małp, każąc im przestać. Bezskutecznie.

Brama została wyłamana. Setki spanikowanych i oszalałych neutów wypadły na ulicę Knole i pognały ku wolności.

– Fatalnie – szepnął Slvasta. – Dlaczego dozorca ich nie poskromią...?

Złe wspomnienia zaczęły powoli sączyć się w jego myśli.

W otaczającym Slvastę tłumie wybuchł niepokój. Dalej, przy blokadach, szeryfowie próbowali połączyć swoje teka, zanim wpadną na nich setki oszalałych neutów. Pierwszy szereg pędzącego stada padł, gdy szeryfowie, łamiąc dyscyplinę, wysłali włócznie teka w mózgi zwierząt, rozrywając tkanki. To jednak zajęło chwilę, a reszta spanikowanego stada po prostu przebiegła po leżących trupach. Kilku szeryfów złamało szereg i ratowało się ucieczką ku względnie bezpiecznym budynkom po drugiej stronie ulicy.

– Slvasta, musisz stamtąd odejść – powiedział Javier.

Tłum wokół zdawał się podzielać to zdanie. Ludzie odwracali się i parli w kierunku budynków stojących przy ulicach zablokowanych od rana na wypadek zamieszek. Teki i buciory tłukły w zamki solidnych drewnianych drzwi. Równie zdesperowani mieszkańcy i sklepikarze starali się powstrzymać ich siłą i teka.

Slvasta odwrócił się i dał ponieść tłumowi. Gdy wyczuł, w którą stronę płynie ten ludzki potok, zaczął przeć w tym samym kierunku co ludzie próbujący wrócić ulicą Cranwich.

Przypomniał sobie, że ona kawałek dalej dochodzi do jakiegoś placu; tam ścisk osłabnie i tłum się rozproszy, znikając w kilku bocznych uliczkach i zaułkach.

Za nim neuty i mod-małpy dotarły do opuszczonych zapór. Metalowe i drewniane bariery z trzaskiem runęły na ziemię pod naporem masywnych, rozpędzonych zwierząt. Slvasta skupił się na ucieczce z tłumem – wyczuł, że ulica zaraz wychodzi na placyk, a migawkowe uwspólnione obrazy pokazały mu rzekę neutów i mod-małp płynącą ulicą Knole. Ludzie podciągali się na parapety okien, żeby znaleźć się powyżej; kilku nawet wspięło się na latarnie, ratując życie. Dostrzegł jednego, który spadł i został stratowany.

– No, tylko tego nam trzeba – nadała Bethaneve.

– Co się dzieje? – spytał Coulan.

– Ci dranie z regimentu Meor. Wychodzą z rządowych budynków. Musieli tam czekać przez całą noc. Nasi ludzie to przeoczyli.

– Co, na Uracusa, zamierzają zrobić? – zapytał Javier.

– Jeśli mają mądrych oficerów, załatwią neuty i mod-małpy – rzekł Coulan.

– Ci dranie prędzej pozabijają uciekających ludzi – mruknął Javier.

– Nie wygląda na to, żeby byli dobrze zorganizowani – zauważyła Bethaneve. – I wychodzi ich coraz więcej.

– Za późno!

Spłoszone zwierzęta dotarły do skrzyżowania z ulicą Cranwich.

– Na Uracusa! – wykrzyknął Slvasta.

Ponad połowa neutów i najwyraźniej większość mod-małp oddzieliła się i pogalopowała ulicą Cranwich. Wszędzie wokół rozległy się przeraźliwe krzyki – piskliwe wrzaski i basowe ryki połączyły się w dźwiękowy taran, który rąbnął w jego mózg, powiększając pierwotny lęk budzący się na całej ulicy. W tym momencie znikły ostatnie pozory oglądy. Tłum zmienił się w motłoch i każdy zaczął myśleć tylko o ratowaniu siebie, obojętnie czym kosztem.

Slvasta wybiegł z ulicy Cranwich na plac Eynsham, ładny brukowany prostokąt z wysokimi drzewami arctanowców o niebieskich liściach, otaczającymi mały park na środku. Wzdłuż jednej jego strony stał rząd straganów z pasiastymi brezentowymi daszkami chroniącymi przed słońcem artykuły spożywcze i ubrania, których sprzedawcy teraz uciekali bocznymi uliczkami wraz z tłumem.

Nagle Slvasta je zobaczył, przyciśnięte do ogrodzenia otaczającego ogród, niecałe dwadzieścia metrów dalej.

– Nie! – krzyknął, śląc telepatyczny sygnał przerażenia.

Bethaneve, Javier i Coulan natychmiast zapytali, co się stało, niepokojąc się o jego bezpieczeństwo. Posłał im obraz, który przed chwilą ujrzał, otwarcie dzieląc się nim ze wszystkimi, nasycony przestrawem i okropną potrzebą pośpiechu.

* * *

Zajęcia w szkole podstawowej Josanne's Hill zaczęły się w ten wtorek jak zwykle. Większość należących do klasy średniej rodziców wiedziała o spodziewanych zamieszkach wokół stacji Doncastor, ale szkoła znajdowała się osiem przecznic dalej. Na pewno była bezpieczna? Ponadto wszyscy musieli pracować. Protestować mogą sobie nieodpowiedzialni gamonie i wojowniczy związkowcy, żyjący na koszt społeczeństwa, ale zarabiających na utrzymanie swoich rodzin nie stać na to, żeby brać sobie wolne. O ósmej trzydzieści zostawili swoje dzieci przed bramą szkoły, jak co dzień, pocałowali je na pożegnanie i poszli, plotkując po drodze z innymi rodzicami.

O dziesiątej, jak zawsze w każdy wtorek, cały kontyngent ośmiolatek uczęszczających do szkoły Josanne's Hill, czyli trzydzieścioro dwoje dzieci, opuścił teren szkoły prowadzony przez siedmiu udręczonych nauczycieli na cotygodniową naukę pływania na basenie przy ulicy Plaxtol, oddalonej o jedenaście minut drogi spacerem prowadzącym przez plac Eynsham. W ten wtorek spacer trwał znacznie dłużej, gdyż nauczyciele musieli ominąć tłum protestujących, gromadzący się na ulicach wokół dworca. Z początku wszyscy mieli dobry humor, ale dzieci wyczuły nastrój podniecenia i ich nauczyciele musieli bardzo uważać, żeby utrzymać wszystkie razem. Zanim dotarli na plac Eynsham, neuty wydostały się z placu rozładunkowego.

Przerażony tłum runął przed siebie jak fala. Nikt nie przejmował się tym, że na drodze stoją dzieci. Nauczyciele zebrali swoich podopiecznych razem, osłaniając ich teka i złączonymi rękami. Stali zepchnięci pod ogrodzenie, a kilkoro dzieci płakało, gdyż raz po raz przyciskano je do grubego pnia arctanowca.

Slvasta musiał zmobilizować całą swą siłę, żeby stanąć w miejscu, silną osłoną teka zmuszając ludzi, by go omijali. Znajdował się trzy metry od uczniów. Przeraźliwe porykiwania neutów zagłuszały ludzkie krzyki, gdy spłoszone stado zbliżało się do placu.

– Wpadną prosto na te dzieciaki – powiedział swoim przyjaciółom Slvasta. – Gdzie jest regiment Meor?

– Oddział znajdujący się najbliżej jest na Arlington Lane – nadała Bethaneve. – Nie dotrą do was na czas.

Slvasta odwrócił się i spojrzął na koniec ulicy Cranwich. Ledwie zdołał coś dostrzec przez tłum uciekających. Przebiegający ludzie obrzucali go wyzwiskami i groźbami. Wyjął rewolwer, który miał przy sobie – starannie maskowany psychoosłoną. Był to jeden z tych dwóch, które zabrał z bunkra pod urzędem Połączonej Rady Regimentów, jakby wieki temu. W bębenku miał pięć naboju, a jeszcze tuzin w wewnętrznej kieszeni. Swoją teka odbezpieczył broń. Nabrał tchu. Uspokoił oddech.

Wyczuwał odległy przekaz Bethaneve, ślącej szereg poleceń, które były przekazywane skomplikowanym łańcuchem dowodzenia komórek. Nagle ktoś stanął obok niego; mężczyzna po pięćdziesiątce, w podniszczonej marynarce, walczący z naporem ludzi rozpaczliwie usiłujących uciec z placu.

– Kolan – przedstawił się z wyraźnym akcentem okręgu Siegen.

– Slvasta. Dzięki.

– Bez obawy, kolego. Nie damy im załatwić dzieciaków, co?

Slvasta ledwie zdążył potwierdzić, gdy przy jego drugim boku stanęła jakaś przestraszona młoda kobieta. Drżała, ale zadziwiająco silną teka odpychała napierających ludzi.

– Dźgajcie teka prosto w mózgi zwierząt – polecił im Slvasta.

Dołączył do nich jeszcze jakiś młodzian. Slvasta o mało się nie roześmiał. Czworo ludzi próbujących zapobiec rzezi. To było samobójstwo.

– Na placu jest więcej naszych towarzyszy – nadała Bethaneve. – Próbuję wydać im rozkaz. Pomogą.

Tłum szybko rzedniał. Teraz składał się głównie z osób w podeszłym wieku, sapiących i chwiejnie kusztykających naprzód, płaczących ze strachu i próbujących uciec przed deptającym im po piętach stadem spłoszonych neutów.

Nagle wokół nie było już ludzi i z wylotu ulicy Cranwich z łoskotem wypadło stado neutów. Slvasta nie wiedział, że te głupie zwierzęta mogą poruszać się tak szybko. Spojrzał na jedno z nich, znajdujące się na wprost niego, i pchnął swoją teka. Zwierzę umarło natychmiast, gdy niewidzialne ostrze przebiło mu mózg; potoczyło się po bruku i podcięło nogi dwom innym neutom. Pchnął ponownie i jeszcze raz. Stojący obok niego towarzysze z komórek robili to samo. Wyczuł podobne włócznie teka śmigające z innych miejsc na placu, skierowane w neuty.

Jedna z komórek stała na samym końcu ulicy Cranwich, gdy wypadło z niej kilka mod-małp. Te wielkie, niezdarne bestie zdołały obronić się prymitywnymi osłonami przed uderzeniami teka, warcząc przy tym z wściekłości. Nie reagowały na słane im rozkazy, nakazujące zatrzymać się i czekać. Slvasta pamiętał to aż nazbyt dobrze.

– Upadły! – ostrzegł Bethaneve. – Kieruje nimi Upadły.

Wycelował rewolwer, starając się nie spieszyć. Zabite neuty padały na bruk, zmniejszając liczebność pędzącego stada. Jednak mod-małpy nacierały. Slvasta strzelił.

Huk wystrzału zagłuszył wszelkie inne dźwięki. Przez sekundę wydawało się, że na placu zapadła cisza. Potem ryki i wrzaski jeszcze przybrały na sile. Jedna z potężnych modyfikowanych małp z łoskotem padła na ziemię, brocząc krwią ze śmiertelnej rany głowy. Slvasta przesunął lufę, mierząc do następnej...

Strzelił. Jeszcze raz. I znowu.

Na placu ludzie zbliżający się do wylotów względnie bezpiecznych bocznych uliczek zaczęli zwalniać i oglądać się za siebie. Widok małej grupki straceńców dzielnie broniących szlochających i płaczących dzieci wywołał silną falę wstydu. Slvasta, trzymający w swej jedynej ręce rewolwer, strzelał z chłodną precyzją. Każda kula kładła jedną mod-małpę. Neuty padały pod ciosami teka kierowanymi ze wszystkich stron. Ludzie przestali uciekać i zaczęli wzmacniać uderzenia swoją mocą.

– Czy ktoś widzi Upadłego? – spytał Javier.

– Nie wiemy, kto to jest – nadał pospiesznie Coulan.

– Są tutaj z jakiegoś powodu – posłał do nich Slvasta. Swoją teka wpychał naboje do bębena. – To doskonały moment, żeby niepostrzeżenie porwać parę osób.

– Czego mamy szukać? – zapytała Bethaneve. – Nadal mam kontakt z większością naszych komórek.

– Są silne – powiedział Slvasta, znów mierząc z rewolweru.

Dwie mod-mały nacierały na niego, tocząc pianę z pysków, wyciągając potężne łapska, żeby go złapać i rozszarpać. Wypalił. Celny strzał trafił pierwszą w sam środek czoła. Kula oderwała potylicę, rozpryskując tkanki i krew.

Dziwiciu członków komórek obecnych na placu połączyło swoją teka i spenetrowało czaszkę pozostałej mod-mały, rozrywając jej mózg. Masywne zwierzę runęło na bruk, siłą rozpędu sunąc po nim jeszcze parę metrów. Z chrzęstem zatrzymało się pół metra od Slvasty i pozostałych obrońców.

Slvasta zrobił głęboki wdech, usiłując opanować drżenie.

– Upadły będzie kogoś niósł.

Wycelował w szalejącą samicę neuta. Strzelił. W bębnie zostały mu dwie kule, w kieszeni marynarki jeszcze dwie.

– Ofiary będą nieprzytomne – dodał Coulan – co uwiarygodni pozornie przyjacielską pomoc.

– Powiedz naszym towarzyszom, żeby wypatrywali czegoś takiego – powiedział Javier. – I to szybko.

Slvasta zastrzelił kolejne zwierzę, odbierając gorączkowe polecenia Bethaneve, rozchodzące się po komórkach we wzburzonym tłumie. Na placu Eynsham sytuacja została opanowana. Ludzie zawracali i wyłaniali się z bocznych ulic, kierując uderzenia teka w oniemiałe zwierzęta, które kręciły się w kółko, zaskoczone. Padały bezgłośnie, pogłębiając przestrach pozostałych.

Ludzie zbliżali się ze wszystkich stron, żądni odwetu. Martwe mody kopano, deptano, opluwano i rozrywano ich miękkie tkanki mściwymi szarpnięciami teka.

Ta scena znikła w potoku obrazów słanych przez wszystkich obecnych w pobliżu członków komórek, wypatrujących ludzi wynoszonych z placu. Takich było wielu: mężczyźni, kobiety i dzieci, a ich twarze zdradzały rozpacz, błaganie, pośpiech...

– Wypatrujcie człowieka, który nie dba o to, kogo niesie – ponaglał Slvasta.

Przez sekundę potok obrazów zdominowała wizja twarzy Quandy, pięknej i strasznej, pochylającej się nad nim, z wargami rozchylonymi w szerokim zwycięskim uśmiechu.

– Tam! – wykrzyknął Coulan.

Slvasta skupił się na wizji towarzysza z komórki na drugim końcu Cranwich, gdzie panował już względny spokój. Ludzie, którzy uciekli przed spłoszonym stadem, zaczęli ponownie wychodzić na ulicę, tak jak szeryfowie. Przez skrzyżowanie przechodził wysoki i mocno zbudowany mężczyzna w średnim wieku, w brudnej tweedowej marynarce i poplamionych brązowych spodniach. Niósł przerzuconego przez ramię, bezwładnego

nastoletniego chłopca. Maszerował miarowym i pewnym krokiem, z determinacją malującą się na szerokiej twarzy. U jednej ręki miał tylko dwa palce.

– To musi być on – syknął Slvasta.

– Zatrzymaj go – nadała Bethaneve do zdenerwowanej konspiratorki, która obserwowała mężczyznę z bezpiecznej odległości.

Podjechany skręcił w ulicę Knole, oddalając się od stacji i oszołomionych szeryfów. W całym tym zamieszaniu nikt nie zwracał na niego uwagi.

– Upadły – wykrztusiła słabym głosem członkini komórki.

Nikt jej nie usłyszał i nie zwrócił uwagi na jej przekaz.

– Wesprzyjcie ją. – Polecenie Bethaneve przeleciało kaskadą przez rwącą się sieć łączności międzykomórkowej.

– Upadły. – Tym razem kobieta powiedziała to z nieco większym przekonaniem. Pokazała palcem. – Upadły!

Okrzyk podjęli inni członkowie komórek obecni na ulicy Knole.

– Hej, ty!

– Stój!

– Upadły! To Upadły!

– Zatrzymać go.

– Szeryfowie, szeryfowie! Zróbcie coś.

Teraz wszyscy zaczęli patrzeć. Upadły – jeśli nim był – przyspieszył kroku.

Jakiś szeryf ruszył ku niemu.

– Hej ty, chwileczkę!

Został zignorowany. Szeryf znajdował się zaledwie pięć metrów od niego i podniósł rękę z otwartą dłonią, jakby kierował ruchem.

– Natychmiast...

Upadły cisnął w szeryfa nieprzytomnym nastolatkiem, którego niósł. Przygnieciony tym ciężarem szeryf runął na bruk i wrzasnął z bólu. Upadły zaczął uciekać, poruszając się niewiarygodnie szybko, jak na tak ogromnego i leciwego mężczyznę.

Wydawało się, że wszyscy na ulicy Knole krzyczą. Kakofonię gniewnych i przestraszonych okrzyków szybko zagłuszyły przenikliwe gwizdki szeryfów wzywających pomocy. Kilka osób próbowało zatrzymać Upadłego, smagając go teka. Inni – silniejsi i pewniejsi siebie ludzie – próbowali go przytrzymać. Odrzucił ich na boki jak kukielki.

Wtem na ulicy pojawił się oddział żołnierzy meorskiego regimentu.

– Padnij! – ryknęli ich oficerowie, wzmacniają ten rozkaz donośnymi przekazami.

Żołnierze wycelowali karabiny. Wszyscy przypadli do ziemi, rodzice złapali dzieci i przycisnęli je do bruku; nawet szeryfowie usłuchali tego rozkazu. Jedyńą nadal poruszającą się osobą był Upadły, pędzący z nadludzką szybkością i wciąż patrzący przed siebie, jakby nie zauważał, co się dzieje. Uciekając, przebiegł po kilku kulących się na ziemi ludziach.

Huknęła potwornie głośnie salwa.

SIEDEM

Philiousa nigdy nie bawiły wizyty w Instytucie Badania Upadłych. Nawet kiedy był dzieckiem, Upadli budzili w nim instynktowny niepokój, lecz jego ojciec nalegał, żeby zobaczył jednego w ramach szkolenia. Czas nie złagodził tej reakcji.

Czarny powóz, którym jechał z Trevene'em i Aothorim, był większy od zwykłej dorożki, ale nieozdobiony żadnym herbem. W pałacowej wozowni mieli takich kilka i członkowie rodziny używali ich, gdy chcieli podróżować incognito. Dwie zwykłe dorożki podążały za nimi, pełne ubranych po cywilnemu żołnierzy gwardii pałacowej.

Wschodnie Folwich było bogatą dzielnicą zdominowaną przez przemysł odzieżowy, więc jej liczne fabryki nie pluły dymem i chemikaliami tak jak wiele innych w Varlanie. Ładne domy stały przy cichych, zadrzewionych ulicach, a większe rezydencje otaczały dwa parki. Większość fabryk zbudowano na obu brzegach kanału Dolan Drop, wykopanego specjalnie po to, żeby połowa wód Erinwash płynęła tym dwukilometrowym półokręgiem. Woda ze znaczną siłą pędziła obmurowanym ceglami kanałem, napędzając dziesiątki kół wodnych. Skazanie środowiska ograniczało się tu do potwornego szczęku wielkich krosien, niosącego się po okolicy przez szesnaście godzin na dobę.

Dla postronnego obserwatora instytut wyglądał jak mała i odizolowana fabryka, wciśnięta pomiędzy rzadko używaną bocznicę kolejową prowadzącą z dziedzińca poza uprzemysłowiony obszar Dolan Drop. Był otoczony niezwykle wysokim i dobrze utrzymanym murem. Żadna tablica nie zdradzała, co znajduje się za nim. Była tylko jedna masywna drewniana brama, wiodąca do krótkiego tunelu, z drugiej strony zamkniętego identycznymi drzwiami. Te były mechanicznie połączone z pierwszymi w sposób uniemożliwiający jednoczesne otwarcie obu.

Gdy otworzyły się wewnętrzne drzwi, powóz kapitana wyjechał na pusty dziedziniec. Ponure przeznaczenie budynku uwidaczniało się w jego architekturze: był długi i jednopiętrowy, z wąskimi, zakratowanymi oknami i bez żadnych ozdób. Philious uważał, że to jedyne miejsce w Varlanie, gdzie nie znajdzie się żadnej roślinności. Nawet wyrastające między kamieniami brukowanego dziedzińca chwasty były regularnie wrywane przez personel instytutu. Czyli przez ludzi. Do środka nie wpuszczano żadnych modów, nigdy. Ze wszystkich miejsc na Bienvenido instytut najwierniej przestrzegał procedur zamieszczonych w pierwszych instrukcjach postępowania z Upadłymi, które opublikował prawie trzy tysiące lat temu. Upadli, jak ostrzegały te publikacje, mogli uzyskać całkowitą kontrolę nad modami i neutami, które przestawały słuchać poleceń ludzi.

Wysiadając z powozu, Philious myślał o ironii losu, która sprawiła, że najwierniejszym wyznawcą tej teorii był obecnie kapitan (w stanie spoczynku) Slvasta.

Dyrektor instytutu, profesor Gravin, poważnie skłonił się dostojnym gościom. Dawno ukończył sto lat i był potężnie zbudowanym mężczyzną o czarnej jak noc skórze podkreślającej srebrzystą barwę mocno przerzedzonych włosów. Ściskając wilgotną dłoń

profesora, Philious zauważył także, ile kropli potu błyszczy na tej skórze. Nie pod wpływem stresu; przemieszczanie tak wielkiego ciała choćby o kilka kroków najwyraźniej było wyczerpujące dla profesora Gravina.

– Jakże się cieszę, że pan przybył, panie kapitanie – wysapał dyrektor, wprowadzając ich do środka. – To, co odkryliśmy, jest niezwykle. I niepokojące.

– Tak sugerował pan w liście – mruknął Philious.

Co chwilę zerkał na biały fartuch dyrektora. Wszyscy w instytucie nosili takie, jak mundury. Jednak guziki fartucha opinającego wydatny dyrektorski brzuch wyglądały tak, jakby zaraz miały odpaść. Nie po raz pierwszy Philious zaczynał kwestionować przydatność instytutu. Mimo swego oddania profesor i jego personel mocno ustępowali wiedzą naukowcom towarzyszącym kapitanowi Corneliusowi, tym zuchom, którzy badali Upadłych rozpadającą się i psującą aparaturą statku, i w tak znacznym stopniu zdołali określić ich charakter i możliwości. Od tamtych dwóch pierwszych stuleci instytut niewiele dodał do zdobytej przez nich wiedzy. Obecnie niemal tylko stwierdzał, czy przywożone tam zwłoki ludzi i zwierząt istotnie są Upadłymi, oraz sprawdzał, czy nie ma jakichś odchyień od normy, świadczących o pojawieniu się czegoś nowego. Pionierskie prace zastąpiło szczegółowe dokumentowanie przypadków, gdyż instytut próbował znaleźć jakiś wzór aktywności Upadłych, ponieważ niczego innego nie był w stanie dodać. Wszelkie nadzieje na to, że instytut poprowadzi działania odwetowe przeciwko Upadłym i będącemu ich domem Lasowi, umarły ponad dwa tysiące lat temu. Teraz była to tylko jeszcze jedna agencja rządowa, zachowująca status quo, walcząca o budżet i etaty.

Profesor Gravin otworzył drzwi sali sekcyjnej, ledwie się w nich mieszczą. Pomieszczenie miało ściany wyłożone białymi kafelkami aż po sufit, który był ze szkła i przez który wpadało słoneczne światło późnego popołudnia. Philious musiał zmrużyć oczy przed tym blaskiem.

Na szerokim stole z metalowym blatem leżało ciało, rozcięte i rozłożone tak, że z trudem można było rozpoznać, iż należało do człowieka. Było poćwiartowane jak tusza u rzeźnika. Uwagi Philiousa nie umknął fakt, że Aothori nachylił się z zaciekawieniem.

– Regiment Meor przywiózł nam te szczątki dwa dni temu – rzekł profesor Gravin, sapiąc z wysiłku. – Od tej pory je badamy.

Philious zdawał sobie sprawę z tego, iż profesor podkreśla w ten sposób, że instytut jak zawsze wykonuje swoją pracę.

– Tak, Upadły z ulicy Knole. Widziałem to zajście, razem z resztą miasta.

– Najbardziej zainteresowały nas te brakujące palce – rzekł profesor. Nałożył gumowe rękawiczki i podniósł dłoń Upadłego. Brakowało przy niej wskazującego i środkowego palca; pozostały po nich tylko małe kikuty, z których odcięto kilka warstw. – Samo w sobie nie jest to niczym niezwykłym. Jajo zawsze duplikuje osobę, którą wchłania, razem ze znamionami, szramami, owłosieniem. Jeśli nasz człowiek stracił kilka palców, duplikat też nie będzie ich miał. Jajo ich nie odtworzy.

– Jestem tego świadomy – rzekł Philious, patrząc na dłoń Upadłego. Martwa skóra była nienaturalnie blada w tym jasnym świetle. – Cóż więc jest niezwykle?

– Chirurgia.

– Słucham?

Profesor postukał swoim kciukiem w kikut wskazującego palca Upadłego.

– Zauważyliśmy, że końce są niezwykle gładkie. Zwykle kiedy ktoś ma pecha i straci palec... w wyniku jakiegoś wypadku przy pracy lub po prostu nieostrożnego posługiwania się siekierą... lekarz wyrówna rozdartą tkankę i zszyje ranę. Ta się zagoi, pozostawiając bliznę. Ten człowiek jej nie ma.

– Zatem to wrodzona wada – powiedział Aothori. – Urodził się bez tych dwóch palców.

– Nie, proszę pana. My tak nie uważamy. W obu palcach pozostała jeszcze część paliczków proksymalnych, długich na prawie centymetr i sterczących z knykci. Konsultowałem się z dziekanem uniwersyteckiego wydziału medycyny. Nie zna takiej wady wrodzonej.

– Zatem jak to wyjaśnicie? – spytał Philious.

– Końce paliczków zostały wygładzone, ale nie wiem, w jaki sposób można tego dokonać. I zbadaliśmy pod mikroskopem skórę na końcu kikuta; rana się zasklepiła, całkowicie zasłaniając kość. Nie ma blizny ani żadnych anomalii w tkance skórnej. Jeśli stracił palce w wypadku, udzielono mu po tym doskonałej pomocy lekarskiej. Nie jesteśmy w stanie przeprowadzić takiej kuracji.

– Brzytwa Ockhama – rzekł Aothori. – To, że nie widzieliście dotychczas takiej wady wrodzonej, nie dowodzi, że ona nie istnieje. A może tym razem jajo dokonało drobnej zmiany podczas duplikowania. A najbardziej prawdopodobne jest to, że Upadły stracił te palce w jakiejś bójce i teraz widzicie, w jaki sposób goją się ich rany.

– Tak, panie kapitanie. Rozważyliśmy te możliwości.

– Ale? – podsunął Philious. – Nie jesteśmy tutaj z powodu tych palców, prawda?

– Nie, panie kapitanie. Gdy mój zastępca zameldował o tej zmianie, postanowiłem osobiście przeprowadzić sekcję.

– Godne pochwały. I?

Profesor wskazał otwartą czaszkę. Była pusta.

– Chodzi o mózg. Wykonałem jego sekcję. Proszę.

Skinieniem przywołał ich do jednego z długich stołów ustawionych pod jedną ścianą pomieszczenia. Stało tam kilka szklanych słoików z zamkniętymi w nich tkankami oraz duży mosiężny mikroskop. Mózg Upadłego leżał rozłożony na metalowej tacy; szarobrązowa masa porożcinana jak owoc i fragmenty przyszpilone za końce. Nad badaną tkanką wyginało się mosiężne ramię z szeregiem szkieł powiększających, dających różnej wielkości obrazy badanej tkanki.

– Upadli bardzo dokładnie kopiują ludzkie organy – wyjaśnił profesor. – Oprócz mózgu. To najistotniejsza różnica, nie licząc koloru krwi. Ich mózgi są prostym zbiorem identycznych

komórek. Nasze mają zwoje, płyty i bruzdy, podczas gdy ich są jednorodne i gładkie. Ten był inny.

Philious przyjrzał się rozpostartemu na stole mózgowi; ciekawość zwyciężyła odrazę i przysunął się bliżej. Wielkie szkła powiększające dawały upiornie zniekształcone obrazy.

– Pod jakim względem?

– Całą jego strukturę przeplatają bardzo cienkie włókna. Dostrzegłem je tylko dlatego, że używałem najsilniejszych szkieł powiększających.

– Włókna?

Philious przysunął się bliżej. Największa lupa pokazała mu krajobraz szarobrazowych pagórków oplecionych rurkami, które uznał za naczynia włosowate.

– Tutaj, proszę pana. – Profesor wskazał wielki mikroskop. – Są znacznie cieńsze niż ludzki włos. Jak powiedziałem, miałem szczęście, że je dostrzegłem. I są strasznie trudne do oddzielenia. Do tej pory udało nam się uzyskać tylko kilka fragmentów.

Philious spojrział przez mikroskop. Pole widzenia było jedną białą równiną z czymś, co mogło być cienkim i półprzezroczystym szarym pasem biegnącym od góry do dołu: włóknem. Dostrzegł maleńkie kolce sterczące z głównego włókna, jakby szczecinę. To było fascynujące.

– Co to jest?

– Nie wiemy – odparł śmiało profesor. – Widział pan te wtórne odgałęzienia włókien?

– Tak.

Philious niechętnie się odsunął; wyczuwał zniecierpliwienie Aothoriego, chcącego zobaczyć włókno.

– Wydają się krótkie, ale tak naprawdę nie znamy ich długości. Stają się coraz cieńsze, aż znikają z pola widzenia mikroskopu. Oczywiście zgadujemy, ale być może stają się molekularnymi nitkami. W takim wypadku zapewne są połączone z pojedynczymi neuronami.

Philious przyjrzał się leżącemu na stole sekcyjnym ciału.

– I są częścią jego mózgu? Jakiegoś rodzaju wtórnym układem nerwowym?

– Tego po prostu nie wiemy. – Profesor dotknął chusteczką czoła, żeby zetrzeć zeń trochę potu. – Jeszcze nigdy w dziejach instytutu nie odnotowano czegoś takiego.

– Sam pan powiedział, że mieliście szczęście.

– Tak, panie kapitanie. Powiedziałem. Jednak założyciele tego instytutu, naukowcy dysponujący aparaturą statku, z pewnością by nie przeoczyli czegoś takiego, a jednak nie ma o tym ani jednej wzmianki w żadnej z opublikowanych przez nich prac. W ciągu ostatnich trzydziestu godzin personel na moje polecenie ponownie obejrzał preparaty mikroskopowe tkanki mózgowej Upadłych. Mamy setki dobrych próbek pobranych w ciągu dwustu pięćdziesięciu lat. Jednak w żadnej nie zauważono takich włókien.

Philious oblizał wargi i zerknął na Trevene'a, który jak zawsze doskonale skrywał swoje myśli.

– Nowe – rzekł powoli. – I inne. Brzmi znajomo?

– To nie przypadek – stwierdził Trevene. – Nowy rodzaj Upadłego?

– Po co spekulować? – powiedział Aothori. – Dajcie mi zgarnąć Slvastę. Wydobędę z niego odpowiedzi w ciągu jednego dnia... może dwóch, jeśli będzie się opierał. Wiecie, że potrafię.

– Z bohatera z placu Eynsham? – spytał sarkastycznie Philious. – Człowieka, który stawiał czoło stadu oszalałych neutów i uratował grupkę szkolnych dzieci na oczach całego miasta? Chcesz porwać go z jego domu i przesłuchiwać, niszcząc jego umysł i ciało? Naprawdę?

– To Upadli manipulowali tym stadem – powiedział Aothori. – A przez to Slvasta stał się największym wydarzeniem na Bienvenido od czasu odkrycia, jak adaptować neuty. Czy to też zbieg okoliczności?

– Slvasta bardziej niż ktokolwiek nienawidzi Upadłych i modów – powiedział Trevene. – Ta nienawiść trawi go i nim kieruje. Graniczy z manią. To on jest odpowiedzialny za sterylizację neutów. Jego zwolennicy zarzynają mody.

– Taką masz nadzieję – zadrwił Aothori. – Ojczy, potrzebujemy odpowiedzi. Mogę je uzyskać. Jeśli nasz świat stoi w obliczu nowego zagrożenia, musimy to ujawnić.

– Nie w ten sposób. To niespokojne czasy. Nasza pozycja, nasz status nie mogą być kwestionowane.

– Byli inni ludzie, którzy razem ze Slvastą powstrzymali szarżujące neuty – przypomniał Trevene. – To oczywiste, że Slvasta stanął w obronie dzieci: mimo wszystko jest wyszkolonym oficerem i przysięgał bronić obywateli Bienvenido. Jednak ci inni, stając obok niego, niemal popełnili samobójstwo. Wyjaśnienie powodów, dla których to zrobili, może być bardziej obiecującym kierunkiem śledztwa. Ponadto potem wtopili się w tłum, co samo w sobie jest niezwykle.

– Pamiętam dziewczynę – powiedział Aothori.

Philious podniósł rękę.

– Nie dziewczyna, nie tym razem. O ile dobrze pamiętam, było tam co najmniej dwóch innych mężczyzn... jeden bardzo młody.

– Znajdę ich – powiedział Trevene.

– Dobrze. A teraz, profesorze, jak pan myśli, czym mogą być te włókna? Może wzmacniają teka Upadłych?

– Wszystko jest możliwe, panie kapitanie. Wiemy tylko, że to coś nowego.

– I właśnie od tego jest instytut: odkrywania informacji o Upadłych. – Znacząco spojrział na Aothoriego. – Tak więc zakładam, profesorze, że pańskim następnym krokiem będzie sprawdzenie, czy ten Upadły z ulicy Knole jest unikatem, czy jakimś nowym tworem.

– Tak, panie kapitanie – potwierdził profesor.

– A ty, Aothori, natychmiast porozmawiasz z komendantem marines. Od tej pory każdy zabity przez regimenty Upadły ma być przywieziony tutaj w celu dokładnego zbadania.

Zrozumiano? Każdy, bez wyjątku... i nie tylko ci w ludzkiej postaci, ale także zwierzęcej. Profesor i jego koledzy sprawdzą ich mózgi, czy zawierają takie włókna.

– Tak, ojczu. A co ze Slvastą?

– Wybrał politykę na swoją arenę i na tej arenie się z nim rozprawimy.

OSIEM

Przez pół ranka padał deszcz, po którym miejskie bruki i ceglane mury pozostały śliskie i lśniące. Teraz, w południe, słońce prażyło ulice, tworząc długie pasma parującej deszczówki. Było bardzo parno i Slvasta spociał się po przejściu zaledwie kilku metrów od drożki do drzwi wejściowych klubu Westergate. Wewnątrz okazałego budynku przy bulwarze Mortemer marmurowe ściany, kolumny i podłogi chłodno wchłaniały skwar, przyjemnie obniżając temperaturę powietrza.

Portier zmarszczył brwi na widok wchodzącego po schodach Slvasty. Zaraz jednak rozpoznał go i uśmiechnął się.

– Kapitanie Slvasta! Witamy.

Slvasta skinął mu głową, lekko zmieszany. Takie sytuacje były bardzo częste w ciągu tych dziesięciu dni od „paniki przy dworcu Doncastor”, jak wszyscy teraz nazywali to zdarzenie. Oczywiście, wtedy nie zdawał sobie z tego sprawy, ale uwspólniony przekaz wszystkich obecnych na placu Eynsham odebrało całe miasto. Jednoręki mężczyzna, stojący dzielnie przed grupką przerażonych dzieci i celujący z rewolweru do szalejących neutów i przerażających mod-małp. Spokojnie powalający mod-małpy i przesywający teka mózgi neutów, dopóki dzieci nie były bezpieczne. Wraz z nim walczyło kilka osób, ale nikt ich nie zauważył. W ulotkach i gazetkach jednogłośnie wychwalano „bohatera z placu Eynsham”.

– Dziękuję – rzekł skromnie Slvasta.

Lokaj czekał obok biurka recepcji zaraz przy wejściu. Skłonił się na powitanie.

– Pułkownik Gelasis czeka na pana w apartamencie Nevada – powiedział. – Proszę za mną. To wielki zaszczyt gościć pana tutaj.

Jak dwadzieścia razy dziennie odpowiadać na takie i temu podobne stwierdzenia?

Apartament Nevada był zacisznym, wyłożonym boazerią pokojem, przylegającym do klubowej jadalni na pierwszym piętrze. Pułkownik Gelasis siedział na końcu długiego, politurowanego stołu. Slvasta zauważył, że ma na sobie mundur, ale nie galowy; bez jedwabnych szarf i rzędów przesadnie wielkich medali, tylko z dyskretnym złotym sznurem i kilkoma baretkami. Jak na pułkownika, był niemal po cywilnemu.

– Mój drogi kolego. – Pułkownik Gelasis wstał i entuzjastycznie uścisnął dłoń Slvasty. – Jak dobrze znów cię widzieć. Dziękuję za przybycie.

Slvasta uprzejmie skłonił głowę.

– Dziękuję za zaproszenie.

Kiedy przybył posłaniec z zaproszeniem, w pierwszym odruchu chciał je odrzucić – i to w ordynarny sposób. Pozostali odwiedli go od tego.

– Musimy wiedzieć, czego oni chcą – powiedziała Bethaneve.

– Musimy wiedzieć, za kogo cię uważają – odparował Coulan.

– Uważają?

– Czy wiedzą, że jesteś prawdziwym przywódcą Demokratycznej Jedności.

– Wszyscy jesteśmy liderami partii – rzekł niemal rozpaczliwie Slvasta.

– Mówiąc między nami, tak – rzekł Javier. – Jednak po tej historii na placu Eynsham ty jesteś jej publicznym wizerunkiem.

– Tak jak Bryan-Anthony? – zrzędził.

– To się już nie zdarzy. Nie bohaterowi z...

Osiem dni, a już się skręcał, słysząc to określenie.

Bethaneve czule pogładziła go po policzku.

– Nie zabiją cię – powiedziała. – Chcą cię uwieść. Dlatego twój były szef pragnie się z tobą zobaczyć.

– I co mam im powiedzieć?

Kiedy usiedli przy stole, Slvasta popatrzył na pułkownika Gelasisa i pomyślał, że chyba nie ma człowieka, który mniej by się nadawał na agitatora. Pułkownik miał za sobą chwalebłą służbę w marines. Sprytnie skrywał za osłoną swoją niesprawną nogę i chodził, tylko nieznacznie utykając; dopiero gdyby spróbował biec, kalectwo byłoby widoczne. Zapewne dlatego wybrano go do nawiązania tego kontaktu jako kogoś, z kim Slvasta mógł się utożsamiać.

– Muszę ci powiedzieć – rzekł Gelasis – że wszyscy byliśmy zaszokowani twoją rezygnacją. Ja osobiście byłem bardzo rozczarowany.

– Naprawdę? – Slvasta nie zamierzał dać mu się tak łatwo wywinąć. – Chcieli ukrzyżować Arnice'a. Obwinić go o wszystko. Jeśli tak ma wyglądać lojalność regimentu Meor, to...

– To nie była robota regimentu, dobrze o tym wiesz – warknął Gelasis. – Jakiś mały kutas pracujący w podziemiach Rady Narodowej pomyślał, że w ten sposób oczyści swoich panów. Dowódca meorskiego regimentu do końca tygodnia doprowadziłby do uchylecia tego nakazu, inaczej regiment pomaszerowałby na Radę. Do licha, Arnice był jednym z nich, kolegą, oficerem. Politycy nie będą winić regimentów za swoją głupotę i niekompetencję.

– Nie tylko o to chodziło – wymamrotał Slvasta, zły na siebie, że dał się zepchnąć do defensywy. – To była ostatnia kropla.

– Ha. – Gelasis nalał mu wina. – Papierki, co? Teraz rozumiem. Ile razy miałem ochotę powiedzieć tym pasożytom z Ministerstwa Skarbu, żeby wsadzili sobie swoje formularze w tyłki...

– Jedna reforma. Tylko jedna. To wszystko, czego chciałem. I nawet nie była szczególnie trudna do przeprowadzenia.

– Cóż, jeśli to cię usatysfakcjonuje, teraz będzie. I to szybko. Lekcja przy dworcu Doncaster dla niektórych miała miejsce zbyt blisko domu. Chcę powiedzieć, że wiedziałem, iż Upadli lepiej kontrolują mody, ale to... – Pokręcił głową i napił się wina. – Paskudna sprawa. I doskonale się spisałeś, broniąc tych dzieci. Na medal. Wiesz, w zeszłym tygodniu zwerbowałeś dwukrotnie więcej żołnierzy niż zwykle. Wszystko dzięki tobie.

– Jestem teraz zwykłym obywatelem.

Chociaż nie umknęło jego uwagi, że we wszystkich gazetach nazywano go kapitanem Slvastą.

– Tam na placu widziałem oficera regimentu. Ratującego obywateli Bienvenido przed zagrożeniem ze strony Upadłych, nieustraszenie i zupełnie bezinteresownie. Byłem z ciebie dumny, chłopcze.

– Jakim zagrożeniem? Od tamtej chwili nikt nawet nie pisał o gnieździe. A obaj wiemy, że ten Upadły nie mógł być sam.

Gelasis się skrzywił.

– To ta cholerna policja kapitanatu. Od pięciuset lat w Varlanie nie było żadnego gniazda. Srają ze strachu, że jedno jakoś się prześliznęło. W biurze szeryfa trwają teraz walki podjazdowe. Trzeba im jednak przyznać, że prowadzą szeroko zakrojone poszukiwania. Teraz nie wejdiesz do żadnego rządowego budynku, dopóki nie uklują cię w palec i nie sprawdzą koloru twojej krwi. Znajdą pozostałych, nie ma obawy. Niepowodzenie nie będzie tolerowane, nie, kiedy chodzi o gniazdo.

– Miło mi to słyszeć. – Slvasta doskonale zdawał sobie sprawę z politycznych nacisków. Nawet gazety ostro krytykowały władze za to, że dopuściły do zagnieżdzenia się Upadłych w Varlanie.

Zupę przynieśli dwaj kelnerzy w wykrochmalonych białych marynarkach. Była z pomidorami i czerwoną fasolką, do tego chleb o chrupiącej skórce, jeszcze ciepły po wyjęciu z pieca. Slvasta musiał przyznać, że jedzenie tu jest smaczne; klub Westergate nie był tylko prestiżowy.

– Dobra – przyznał.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Ciesz się tym, dopóki możesz; gospodarka teraz mocno podupadnie. Wszyscy będziemy musieli zacisnąć pasa.

– Dlaczego?

Gelasis zatrzymał srebrną łyżkę w połowie drogi do ust i obrzucił Slvastę surowym spojrzeniem.

– Proszę, nie udawaj naiwnego. Ponadto Demokratyczna Jedność popiera zabijanie modów. Jasno i wyraźnie mówicie o tym w waszych publicznych wystąpieniach.

– Popieramy uniezależnienie się od nich, owszem.

– Mówisz o czystce.

– Już dwukrotnie w moim życiu stawiałem czoło modom kontrolowanym przez Upadłych. O dwa razy za dużo. Za każdym razem miałem szczęście, że uszedłem z życiem. Nie chcę, żeby zdarzyło się to po raz trzeci. Moje szanse przeżycia są teraz niewielkie.

– To zrozumiała reakcja. A teraz twoje życzenie może się spełnić. Ludzie są głęboko wstrząśnięci tą historią ze spłoszonym stadem neutów. Dwie małe stajnie w stolicy już zostały zamknięte. To tylko kwestia czasu, zanim reszta też zbankrutuje.

– Oczekuje pan, że będę im współczuł?

– Nie. Musisz jednak przyznać, że to stawia nas w bardzo trudnej sytuacji. Ministerstwo Skarbu nie wie, czy gospodarka nie ucierpi z powodu braku modów.

– Jak pan powiedział, wszyscy będą musieli zacisnąć pasa. – Slvasta podniósł łyżkę, ilustrując swoją wypowiedź. – Oprócz ludzi, którzy nie mieli nic, a teraz mają mnóstwo ofert pracy. Przed tą warstwą społeczną wreszcie otwierają się nowe możliwości.

– I niewątpliwie Demokratyczna Jedność zdobędzie wiele głosów.

– Jest taka nadzieja.

Gelasis poważnie pokiwał głową.

– Czego chcesz?

– To pan mnie tu zaprosił.

– No tak, zaprosiłem. Czy mogę mówić otwarcie i w zaufaniu?

– Prawdę mówiąc, przyjąłbym to z ulgą. Jeśli nauczyłem się czegoś na posiedzeniach Rady, to tego, że nie jestem dobrym politykiem.

– A ja się dziwię, że jeszcze nie jesteś burmistrzem Nalani.

– Naprawdę? Wiemy, co się przydarzyło ostatniemu burmistrzowi.

– Touché. No dobrze. – Gelasis odsunął na bok talerz z zupą i uważnie spojrzął na Slvastę.

– Mam przyjaciół w Radzie Narodowej, którzy chcieliby się dogadać z Demokratyczną Jednością.

– Członkowie Obywatelskiego Świtu pragną zgody? Trudno mi w to uwierzyć.

– I owszem, bardzo wysoko postawieni członkowie.

– Ha. Nie chcą stracić poparcia takich biednych dzielnic jak Nalani.

– Slvasta, spójrzmy prawdzie w oczy: nikt się nie przejmuje Nalani. Na Uracusa, wasza partia może nawet zrobić tam coś dobrego! Giu wie, że nikogo innego ta dzielnica nie obchodzi. Jednak za niecałe osiem miesięcy odbędzie się druga tura wyborów. W jednej trzeciej okręgów Varlanu, także w wielu biednych dzielnicach. Są również do wzięcia miejsca w Radzie Narodowej.

– I pańscy przyjaciele zaczynają się tym niepokoić, tak? – spytał Slvasta.

Bethaneve i Coulan już werbowali potencjalnych kandydatów na stanowiska w dzielnicach. Ochotników nie brakowało; wszystkich zachęcił ostatni sukces Demokratycznej Jedności. I być może zrobił na nich wrażenie bohater z placu Eynsham.

– Niektóre z tych dzielnic mogłyby być wasze – powiedział Gelasis. – Może nawet fotel w Radzie Narodowej. Na przykład z Langley.

– Co takiego? – Slvasta żałował, że na jego miejscu nie siedzi teraz Coulan lub Bethaneve. Polityka z jej pokrętnymi umowami, blefami i chytrymi słowami była czymś, czego nigdy do końca nie ogarniał. Zawsze bał się, że robią z niego głupka, gdy proponowano mu zawile kompromisy. A co do składania równie chytrych kontrpropozycji...

– Wysłuchaj mnie – rzekł gładko Gelasis. – Ten fotel naprawdę jest do zdobycia.

– Przez nas?

– Nie, przez ciebie. Osobiście. Byłbyś doskonałym nabytkiem dla Rady Narodowej. Przemyśl to. Nie pochodzisz z bogatej rodziny, co budziłoby wielką niechęć olbrzymiej części naszej ludności, i chwalebnie służyłeś w swoim regimencie. Stolica widziała, jak walczyłeś z Upadłymi. Masz charyzmę. Ludzie ci ufają... i słusznie. Jesteś idealnym kandydatem.

Slvasta przypomniał sobie podobną rozmowę odbytą nie tak dawno z przyjaciółmi, którzy tak bardzo chcieli postawić go na czele Demokratycznej Jedności jako przywódcę tej partii.

– Nie wierzę, że Obywatelski Świt to proponuje.

– Jesteś odpowiednią osobą, Slvasta; porządny facet, który chce dobrze. Dla wszystkich ludzi. A mając cię w Radzie Narodowej, zmusilibyśmy wsteczny element Obywatelskiego Świtu do poważnych przemyśleń. Zbyt długo ignorowali i wykluczali biednych, nie sądzisz?

– No cóż, tak. To dlatego założyliśmy Demokratyczną Jedność.

– Langley reprezentuje Tuksbury, już od trzydziestu sześciu lat. To głupi, małostkowy i próżny człowieczek rządzący w przeżartym korupcją okręgu, dbający głównie o interesy swojej rodziny i jej firm. Najgorszy rodzaj polityka Bienvenido. Gdybyś kandydował, zapewniono mnie, że nie miałby żadnego poparcia Obywatelskiego Świtu. I wygrałbyś. Po prostu.

– A Obywatelskiemu Świtowi to odpowiada? – zapytał sceptycznie Slvasta.

– Posłuchaj, jesteś rozsądnym, racjonalnie myślącym człowiekiem. Wiesz, co należy zrobić, i nie jesteś jakimś narwanym oszołomem jak wszystkie te nienawidzące bogatych lumpy. Ludzie rządzący światem muszą być wrażliwi i przekonujący, umieć dawać i brać. – Gelasis posłał mu przyjazny uśmiech. – Pomyśl, ilu przyjaciół masz w regimentach. Byłbyś naszym głosem w sercu władzy, nie musielibyśmy przepychać postępowych reform przez Ministerstwo Skarbu, ustawę po ustawie. A przecież taki cel przyświeca nam wszystkim, czyż nie? Dać regimentom możliwość pokonania Upadłych raz na zawsze. Bo jeśli nie, to wszyscy jesteśmy zgubieni.

– Sądzę, że do tego potrzeba więcej niż jednego głosu.

– Masz więcej zwolenników, niż myślisz. Twoja partia powstała zaledwie kilka tygodni przed wyborami w Nalani i patrz, ile zdobyliście głosów. Obaj wiemy, że budujecie elektorat w nowych dzielnicach, na następne wybory. Bardzo dobrze wiecie, że niczego nie dałoby się dokonać, gdyby wasi kandydaci byli tylko gromadą zapaleńców i teoretyków. Tworzenie wiarygodnej partii zdolnej do zrealizowania waszych celów będzie trudne. Jeśli nie pójdziesz w górę, może się to okazać prawie niemożliwe, no nie?

Slvasta przeciągle westchnął.

– Nie musi mi pan mówić, jakie to trudne.

– A więc rozważysz to? Kandydowanie na przedstawiciela Langley?

– Głupio byłoby tego nie zrobić.

– Doskonale. Zatem zabierzmy się za te steki, dobrze?

* * *

Bethaneve czekała w małym butikiu przy ulicy Vesuvian naprzeciw pięciopiętrowej kamienicy. Ten monolityczny budynek był wiekowy i całkowicie obrośnięty pnączami skirsu o gęstych, ciemnoniebieskich liściach. Nie wiedziała, czy jego ściany są z cegieł, czy z kamieni – nawet okna powoli znikwały za zasłoną szybko rosnących pędów. Chmary dzieci bawiły się na ulicy, odreagowując ciasnotę pokoiów, które musiały dzielić wewnątrz.

Nie żeby nie chciała wejść do tej kamienicy; jej niechęć wynikała z poważniejszego powodu – potrzeby unikania zdemaskowania. Co z tego, że rewolucja jeszcze nie została oficjalnie rozpoczęta. To wcale nie oznaczało, że pozostała niezauważona. Pierwszego oficera często widywano w siedzibie Trevene'a przy Grosvner Place pięćdziesiąt osiem. Ryzyko...

Bethaneve pospiesznie przerwała te rozważania i znów spojrzała na kamienicę. Coulan wyszedł z bramy i rażnym krokiem przeszedł przez ulicę. Jego myśli były równie uporządkowane jak zawsze. Wyszła ze sklepu, telepatycznie wypatrując mod-ptaków. Te środki ostrożności były teraz rutynowe.

– I co? – zapytała.

– Kolana nie ma w domu już od dwóch dni – odpowiedział Coulan z obojętną miną i szczelną osłoną.

– Zaraza!

Wczoraj usłyszała, że ludzie Trevene'a pytają o Kolana, mężczyznę, który stał ze Slvastą na placu Eynsham. Kolan był członkiem komórki piątego poziomu, któremu poleciła pomóc bronić dzieci. Nie bezpośrednio, polecenie przeszło najpierw okrężną drogą przez trzy inne komórki. Mimo to...

Jej ludzie zawiadomili ją, że pytający dotarli na ulicę Vesuvian, a potem zdobyli nazwisko. Jej ludzie byli dobrzy. Zręczni. Cisi. Sprytni. Elita, grupa osób wybranych przez nią z różnych komórek do specjalistycznych zadań. Nie takich agresywnych misji, do jakich Coulan przygotowywał swoją milicję; jej elita potrafiła wytropić w mieście wskazane osoby, zadawać dyskretnie pytania, podążać tropem plotek do ich źródła i odkryć prawdę. Stawała się bardzo użytecznym narzędziem w niewidzialnej cichej wojnie z informatorami, szpiegami i oprawcami Trevene'a. Jakoś nie mogła się zdobyć na to, żeby wspomnieć o niej Slvaście. Uzgodnili, że ona zajmuje się detalami, jemu pozostawiając kierowanie rewolucją.

– Myślisz, że go dopadli? – spytała, gdy odchodzili. Niespiesznie, nie zwracając uwagi. Rozstawieni na ulicy trzej członkowie tej elity obserwowali ludzi i mody, wypatrując czegoś odbiegającego od normy.

– O tak – odparł Coulan. – Ma żonę i troje dzieci. Nie znikłby bez słowa.

– Czy zgłosiła to szeryfom?

– Tak. I możesz sobie wyobrazić, jak rzucili się do poszukiwań.

– Niech to szlag! Nikt nie wytrzyma tego, co mu zrobią. Wyda im hasła, miejsca, daty. Wszystko. Pewnie już to zrobił.

– Tak, ale jakie „wszystko”? Co on tak naprawdę wie? Czasem dostaje przekaz od kogoś, kogo nigdy nie spotkał, sugestię, że to czy owo mogłoby dokuczyć kapitanatowi. Zupełnie nieszkodliwe informacje.

– Kazałam mu stanąć przy Slvaście, Coulan. To katastrofa. Trevene się dowie, że jesteśmy tajną organizacją, a nie tylko zwykłą partią polityczną.

– Jeśli jest choć w połowie tak sprytny, jak mówią, to już od dawna o tym wie.

– Teraz jednak ma nazwiska.

– Nazwisko. Jedno.

– Przy Slvaście byli też inni. Muszą opuścić Varlan. Na dobre. I czworo pozostałych z komórki Kolana też; on może ich zidentyfikować.

– Zatem ich ostrzeż. Dlatego mamy właśnie taką, a nie inną strukturę komórek. Dopóki stosujemy te zabezpieczenia, Trevene nie zdoła rozpracować naszej siatki.

– Tak. – Skinęła głową, gdyż jego spokój przegonił jej trwożliwe myśli. – Masz rację. Uśmiechnął się.

– Zawsze mam rację.

Bethaneve zaczęła rozsyłać ostrzegawcze przekazy. Przy odrobinie szczęścia odbiorcy potraktują je poważnie. Nie jest łatwo nagle wyjść z domu i wszystko zostawić. Dodała kilka szczegółów, podkreślając niebezpieczeństwo. Twarz pierwszego oficera była podprogowym dodatkiem do tych przekazów.

Rób, co mówię. Proszę. Uciekaj, dopóki jeszcze możesz. Jeśli tego nie zrobisz, nie pożyjesz tak długo, żeby tego pożałować.

* * *

– Zapaleńcy i teoretycy, tak? – prychnął pogardliwie Javier.

Slvasta uśmiechnął się do niego nad kuflem.

– Obawiam się, że tak.

Wszyscy siedzieli w otoczonym wysokim murem ogrodzie pubu Bellaview i pochyleni nad stołem omawiali spotkanie Slvasty z Gelasisem.

– I oddadzą ci Langley? – dociekał Coulan.

– Tak powiedział.

– Zastanawiam się, kogo on naprawdę reprezentuje? – powiedziała Bethaneve.

– Jakąś frakcję Obywatelskiego Świtu mającą poparcie regimentów – orzekł Javier. – Spłoszone stado neutów szalejące wokół stacji Doncastor wywołało poważne reperkusje

polityczne. Politycy i regimenty obwiniają się wzajemnie. W sferach władzy zrobiło się nieprzyjemnie.

– Wszędzie robi się nieprzyjemnie – powiedział Coulan. – Ludzie przypomnieli sobie, jak niebezpieczne są mody kontrolowane przez Upadłych; to wyrwało ich ze stanu samozadowolenia. Musimy wykorzystać tę sytuację, wysuwając odpowiednich kandydatów, którzy potrafią publicznie przemawiać i podawać rzeczowe argumenty, promujące naszą politykę.

– Po co o tym w ogóle mówimy? – rzekła Bethaneve. – To komórki obalą kapitanat, a nie dwadzieścia lat naprawiania skorumpowanego systemu rad.

– Naprawdę? – rzekł Javier. – Gdy neuty wpadły w popłoch, były tam setki naszych towarzyszy. Udało nam się posłać troje na pomoc Slwaście. Gdy neuty szarżowały, byliśmy bezradni. Odwróciliśmy się i uciekliśmy, gdy dołączyły do nich mod-małpy. To meorski regiment załatwił Upadłego. My przygotowaliśmy grunt, ale to oni mieli możliwości, oni i szeryfowie.

– Możliwości – rzekł Slvasta. – Mówisz o broni.

– Tak.

– Nigdy niczego nie osiągniemy, dopóki nie będziemy mogli stawić czoła regimentom i szeryfom – stwierdził Coulan.

– Mówisz o zabijaniu ludzi – powiedział ze znużeniem Slvasta.

– Musimy się uzbroić – stwierdził Javier. – To, co się przydarzyło Bryan-Anthony’emu, jasno tego dowodzi.

– Może – powiedział Slvasta. Nie podobał mu się ten pomysł, chociaż musiał przyznać, że dopóki nie byli w stanie walczyć z establishmentem na ulicach, mieli niewielkie szanse coś zdziałać. – Jednak Trevene z pewnością się dowie, jeśli zaczniemy kupować broń. Nawet gdybyśmy mieli na to pieniądze.

– Może nie – powiedziała Bethaneve. Starła się powstrzymać uśmiech, gdy wszyscy spojrzeli na nią. – Otrzymałam dziś ciekawą wiadomość; przyszła przez komórki. Jeden z towarzyszy próbował zwerbować kogoś spoza miasta. Okazało się, że ten ktoś może nas skontaktować z pewnym handlarzem bronią.

– To pułapka – rzekł natychmiast Javier. – Trevene i kapitan chcą nas w nią zwabić. Jesteś teraz sławny, Slvasta, nie możesz po prostu zniknąć tak jak wielu innych za ich sprawą. Dlatego chcą cię sprowokować, a potem wyważyć drzwi, kiedy będziesz odbierał broń i wręczał pieniądze. Pokażą to całemu miastu.

– Niezły pomysł, ale nie mamy pieniędzy – rzekł Slvasta. – I zanim ktoś to zaproponuje, naprawdę nie chcę wykorzystywać komórek do rabowania banków. Bylibyśmy wtedy zwykłymi gangsterami.

– Nie byłoby takiej potrzeby – powiedziała Bethaneve. – Ten handlarz bronią jest sympatykiem naszej sprawy.

– Nie ma kogoś takiego jak sympatyczny handlarz, nie mówiąc już o takim, który sprzedaje broń – rzekł z przekonaniem Javier.

– Nie możemy sobie pozwolić na zignorowanie takiej możliwości – odparła, spokojnie patrząc w oczy Javierowi. – To może oznaczać wybór między sukcesem a lochami gmachu numer pięćdziesiąt osiem przy Grosvner Place.

– Pułapka – powtórzył uparcie Javier, kręcąc głową.

– Być może – przyznała. – W takim razie musimy wysłać kogoś dostatecznie sprytnego, żeby ją wyczuć i odejść, kogoś takiego, kogo nie mogą aresztować na podstawie samych podejrzeń. A jednocześnie kogoś mogącego konkretnie rozmawiać z tym handlarzem bronią, jeśli okaże się on wiarygodny.

Wszyscy spojrzeli na Slvastę.

– Och, dajcie spokój! – wykrzyknął, zatrzymując kufel w pół drogi do ust. – Poważnie?

– Taak – odparła Bethaneve. – Poważnie.

DZIEWIĘĆ

Ekspres Południowej Linii Miejskiej miał w ciągu szesnastu godzin pokonać tysiąc milową trasę z Willesden, nadrzecznego dworca Varlanu, do Dios, głównego miasta rozległego okręgu rolniczego. Następnie miał podążyć do Port Chana na południowym wybrzeżu, oddalonego o kolejne dwa tysiące mil i trzydzieści pięć godzin jazdy.

Slvasta siedział w wagonie drugiej klasy, z miejsca przy oknie mając widok na usiany farmami i lasami krajobraz. Długie wiadukty z cegły podtrzymywały tory nad szerokimi dolinami, którymi dopływy rzeki Nubain meandrowały przez tę krainę. Pasma pary i dymu przelatowały za szybą, chwilowo zasłaniając widok. Z początku poświęcał wiele uwagi tej panoramie, lecz gdy stała się monotonna, zabrał się za książki, w które zaopatrzyła go Bethaneve. Były to trzy biografie pierwszych ministrów Rady Narodowej. „Zwróć uwagę na strategię ich kampanii – poleciła, dodając do tego dwa grube tomy z dziedziny ekonomii – ponieważ musimy ogarnąć podstawowe sprawy”. Posłusznie czytał te dzieła, żałując, że nie dodała do nich jakiejś dobrej współczesnej powieści; lubił kryminały.

W wagonie jechali głównie komiwojażerowie i urzędnicy niższego szczebla. Było też kilka rodzin, których ruchliwe dzieci kręciły się po przejściu. Na drugim końcu jakiejś niemowlę płakało godzinami, mimo wszelkich wysiłków znękaney matki, próbującej je uciszyć, co za każdym razem wywoływało znużone, współczujące miny dorosłych pasażerów.

Towarzysz podróży Slvasty zajął miejsce w głębi wagonu. Ich spotkanie zorganizowała komórka w Hicombe Shanty. Ostrożna wymiana zdań w parku Lloyda, podczas której Javier i Coulan czujnie wypatrywali, czy w krzakach nie czai się policja kapitanatu. Niebo nad ich głowami było wolne od mod-ptaków i nikt podejrzany nie spacerował po trawiastych

pagórkach. Jak uzgodniono, mężczyzna miał na głowie granatowy kapelusz i czekał przy wielkiej fontannie z kamienia oraz kryształu na środku parku.

Przedstawił się jako Russell, ale Slvasta nie wiedział, czy to jego prawdziwe nazwisko. Utrzymywał nieprzeniknioną osłonę. Był w średnim wieku i miał na sobie zwyczajną białą koszulę, granatowe spodnie oraz mocne buty.

– Kapitanie Slvasta, miło mi – powiedział.

– Teraz tylko Slvasta. Odszedłem z regimentu jakiś czas temu.

– Oczywiście. Jednak cieszę się, że pan tu jest.

– Powiedział pan mojemu koledze, że może pomóc Demokratycznej Jedności.

Russell uśmiechnął się lekko.

– Obaj wiemy, że to nieprawda, ale rozumiem pańską ostrożność. Zatem tak, znam człowieka, który może bardzo pomóc waszej sprawie.

– W jaki sposób?

– Taki, jakiego pragnie każdy polityk. Chciałby złożyć dotację. Takiego rodzaju dotację, która zagwarantuje wam sukces.

– Rozumiem – rzekł Slvasta. – A czego ten darczyńca pragnie w zamian? Demokratyczna Jedność nie jest bogata.

– Nie mam pojęcia, jaka jest jego cena.

– Zatem o czym...?

– To spotkanie ma tylko ocenić stopień waszej gotowości.

Spojrzenie Slvasty stało się równie twarde jak jego osłona.

– Ach tak.

– Chciałby się z panem spotkać. W ten sposób będzie pan miał okazję go ocenić. Ma nadzieję, że dzięki temu zdołacie się dogadać.

* * *

I tak tydzień później siedział w tym ekspresie, jadąc w nieznaną na spotkanie z kimś, kto mógł mieć broń na sprzedaż lub nie. Cała ta sprawa była w najwyższym stopniu nieprawdopodobna. Nie mówiąc już, że mogła być śmiertelnie niebezpieczna. Jeśli to prowokacja policji kapitanatu, to Slvasta nie wróci z tej podróży.

Choć jeśli to była prowokacja, musiał przyznać, że bezbłędna. Wszyscy na dworcu widzieli, że dobrowolnie i sam wsiadł do pociągu, nieprzymuszany przez nikogo. Jeszcze nie był powszechnie znanym przywódcą Demokratycznej Jedności ani osobistością. Któż więc pytałby, co się stało z zacnym starym kapitanem Slvastą, gdyby nie wrócił? A ktoś na tyle głupi, żeby uparcie o to pytać, najprawdopodobniej również tajemniczo by zniknął. Teraz Slvasta zastanawiał się tylko, czy policja kapitanatu jest aż tak dobra.

O wpół do jedenastej w nocy ekspres w końcu wjechał na dworzec główny Dios. Osiem peronów krytych czterema długimi wygiętymi dachami, których szyby poczerniały od sadzy wielkich maszyn. Russell otarł się o niego na peronie i Slvasta pozostał w ręku nowy bilet.

Na lokalny pociąg do Erondu na końcu bocznej linii, dwieście pięćdziesiąt mil na wschód. Odjeżdżał za dwanaście minut z peronu siódmego.

Slvasta pospieszył na ten peron, gdzie entuzjastycznie buchał parą nieco mniejszy parowóz. Za plecami kapitana ekspres z przenikliwym gwizdem odjeżdżał z dworca na południe. O ile zdołał zauważyć, on i Russell byli jedynymi jego pasażerami, którzy przesiadli się na pociąg do Erondu. Ponownie zajęli miejsca w tym samym wagonie, ale nie obok siebie.

Miasto Erondu znajdowało się na końcu trasy – mała stacja z dwoma peronami, lecz nienakrytymi dachem. Zimny deszcz smagnał Slvastę, wysiadającego o drugiej trzydzieści nad ranem. Pospiesznie schronił się pod drewnianym daszkiem sterczącym niczym kikut skrzydła nad okienkiem kasy biletowej. Samotny kontroler stał przy bramce, przytupując zmarzniętymi nogami i sprawdzając bilety wysiadających pasażerów. Na zewnątrz rzadko rozmieszczone na murze lampy olejowe rzucały słaby żółty blask, ukazując ponurą ulicę z szeregowymi domami i sklepikami. Dwie osowiałe mod-małpy człapały po niej, wybierając śmieci z rynsztoków. Slvasta patrzył na nie niemal zaszokowany; już od tygodni nie widział zespołu magistralnych modów wykonujących jakąś pracę. Nikt tu nie słyszał o antymodowej kampanii szalejącej w stolicy. Erondu było handlowym miastem, ale niespecjalnie bogatym. Ludzie tutaj potrzebowali każdych rąk do pracy. Podejrzewał, że znacznie trudniej będzie ich skłonić do zrezygnowania z modów, mimo że jako mieszkańcy prowincji powinni być zwolennikami Demokratycznej Jedności.

Jeśli obalimy kapitanat i Radę Narodową, ile okręgów uzna nowy rząd? – zastanawiał się. – Jednak nie mogą sobie pozwolić na ignorowanie nas. Obrona Bienvenido przed jajami Upadłych musi być wspólnym przedsięwzięciem, w którym uczestniczą wszyscy.

Russell ruszył przejściem. „Idź za mną” – nadał.

Ulica prowadziła do nabrzeżnej dzielnicy miasta, pełnej magazynów i dużych obiektów przemysłowych. Idąc ciemnymi ulicami pomiędzy wysokimi ceglanyymi murami i starając się nie zgubić swego tajemniczego przewodnika, Slvasta czuł się samotny i opuszczony jak jeszcze nigdy od czasu, gdy przybył do Varlanu, przepełniony urazą i zupełnie sam. Wtedy przynajmniej wiedział, dokąd zmierza; teraz wszystko mogło go czekać w tej ponurej plątanie uliczek i zaułków. Sam nie wiedział, czy to go przeraża, czy podnieca.

Zanim dotarł do doków, zimny deszcz dostał się pod jego ubranie, mroząc skórę. Zobaczył szereg pochylni na przemian z kejami, w większości z przycumowanymi na noc barkami, ciemnymi i cichymi prócz jednej.

Russell zatrzymał się przy trapie tej jedynej barki, na której paliły się lampy, długiej i załadowanej do pełna, sądząc po tym, jak głęboko była zanurzona w wodzie. Slvasta usłyszał cichy pomruk silnika pod pokładem; z wysokiego żelaznego komina buchały rzadkie obłoczki dymu.

Nagle wyczuł, że ktoś wychodzi z zaułka między dwoma magazynami za jego plecami, i odwróciwszy się, zobaczył ciemną sylwetkę w kapturze, stojącą w słabym świetle ulicznej

latarni. Slvasta był pewny, że tego człowieka nie było w pociągu. Russell w milczeniu pomachał ręką do obserwatora.

– Nikt nas nie śledził. Może pan wejść na pokład.

– Kolejna podróż? – jęknął Slvasta.

– Jeśli chce się pan z nim spotkać, tak. To już niedaleko.

Slvasta wzruszył ramionami; przebył tak długą drogę. Wszedł po trapie, pod wrażeniem tego, jak szef Russella zorganizował tę podróż, i sprawdził, czy nikt ich nie śledzi. Najwyraźniej siatka komórek, którą zmusznie stworzyli w Varlanie, nie była jedyną podziemną organizacją na Bienvenido. Nie był pewny, czy to dobrze, czy nie.

* * *

Slvasta nie wiedział, jak długo spał. Kiedy się zbudził, znów padał deszcz, wielkimi kroplami głośno bębniąc o napięty brezent plandek osłaniających ładownie barki. Jego koja znajdowała się w alkwie maleńkiej kajuty i była niewiele większa od półki zasłoniętej kotarą. Odsunął tę zasłonę i zeskoczył. Słabe szare światło poranka wpadało przez niewielkie bulaje tuż pod sufitem. Jego ubranie leżało na stołku przed żelaznym piecykiem. Żar węgli płonących na palenisku osuszył je przez noc i Slvasta się ubrał, telepatycznie oglądając barkę.

Jej ładunkiem było ziarno wielkości orzechów, które wypełniało wszystkie pięć ładowni. Za kajutą dwie mod-małpy uwijały się w maszynowni, metodycznie wrzucając mieszankę węgla i drewna do paleniska maszyny, która z obu stron miała długie i poruszające się tłoki. Górny włącz maszynowni był zamknięty z powodu deszczu i jedynym źródłem światła były płomienie. Mod-małpy nie wyglądały na przejęte tymi ciężkimi warunkami pracy.

Slvasta wszedł po wąskich schodach przy końcu przedziału, które doprowadziły go do małej sterówki. Kapitan barki stał za sterem. Slvasta poznał go zeszłego wieczoru, gdy wszedł na pokład – wysoki facet o siwej czuprynie i gęstych bokobrodach, w czarnej czapce z daszkiem jakby przyklejonej do czaszki. Skinął głową Slwaście, ale nic nie powiedział.

– Dzień dobry – rzekł Russell.

Stał obok kapitana, patrząc przez wąskie okienka. Ciemne chmury wisiały nisko na niebie, szybko gnane silnym wiatrem. Łąki i lasy na obu brzegach szerokiej rzeki lśniły w ulewnym deszczu.

– Gdzie jesteśmy? – zapytał Slvasta.

– Zbliżamy się do Brewsterville – odparł Russell. Co, oczywiście, nic Slwaście nie mówiło.

– Czy mogę wiedzieć, dokąd zmierzamy? – zapytał z gryzącą ironią.

Russell uśmiechnął się szeroko.

– Do Adeone. To miasto na zachodnim krańcu gór Algory. Ładne miejsce.

– Z pewnością.

* * *

Przy rzece było wiele miast, wszystkie z dokami i magazynami. W tej części świata rzeka była ważną drogą handlową, wykorzystywaną przez bardzo wiele barek: widział takie, które przewoziły węgiel, zboże lub różne inne ładunki, a także prywatne jachty i nawet zbite z długich kłód tratwy, ostrożnie spławiane z prądem.

Slvasta pomagał załodze obsługiwać napotykaną śluzy, zbudowane obok wielkich kamiennych jazów, w których woda burzyła się i pieniała, spadając z kilkumetrowej wysokości. Pchając z całej siły otwierające je długie dębowe dźwignie, podziwiał masywne drewniane wrota, których wielkość i łatwość obsługi dawała obraz sztuki inżynierskiej i pracy poświęconej w ciągu wieków ujarzmianiu rzeki. Mając świeżo w pamięci wiadomości z podręczników ekonomii, mógł docenić wysiłek pokoleń, które zamieniły ten spokojny zakątek Bienvenido w siedzibę stabilnej społeczności rolniczo-górnictwa. Ponownie zmusiło go to do zaakceptowania faktu, że ten świat jest tak wielki i trudny do rządzenia. Rządy kapitanatu może nie były oświecone, ale skuteczne. A on teraz zamierzał zmienić tę powolną ewolucję, kierowany głównie rozczarowaniem. *Jeśli się nam uda, tyle się zmieni i niewątpliwie zginą przy tym ludzie. Czy mam prawo robić takie zamieszanie? Może to tylko strach każe mi myśleć, że przemoc to jedyna droga transformacji ustrojowej. Przemoc: brutalne rozwiązanie ignorantów wiedzących, że ludzie nigdy na nich nie zagłosują.*

Bethaneve z pewnością uważała, że ich droga jest jedyną możliwą. Właściwą. Nigdy nie miewała takich chwil zwątpienia jak on; ze względu na swoją pracę w rządowej instytucji widziała, w jakim stopniu kapitan i jego sojusznicy skorumpowali system i uniemożliwili wszelkie zmiany. To chaos i cierpienia, jakie niewątpliwie dotkną stolicę, najbardziej przerażały Slvastę. Gdy spoglądał na swoje życie, po prostu nie mógł zrozumieć, jak znalazł się w takiej sytuacji.

* * *

Adeone było dość przyjemnym targowym miasteczkiem, wyrosłym wokół dawnego rzeczno-brodowego, który pokonywali osadnicy zmierzający do Pirit Wolds. Farmerzy przybywający tutaj w czasie kapitanatu Arnithana zaczęli naturalnie uprawiać żyzne ilaste ziemie na skraju pofałdowanej równiny i ładować swoje produkty na barki. Później, kiedy w górach Algory na wschodzie odkryto spore złoża malachitu, przystań rozbudowano, aby przewozić ten minerał w dół rzeki, do większych miast i stolicy, gdzie czekali nań hutnicy.

Gdy barka cumowała przy nabrzeżu, Slvasta podziwiał imponujący kamienny most, który dawno temu zastąpił bród. Magazyny tworzyły długi klif wzdłuż brzegu. Wznoszące się za nimi domy z cegły i drewna były ładne, chociaż o niewyszukanej architekturze. Adeone było po prostu prowincjonalną kopią Dios. Mniejsze i nędzniejsze, ale spokojne, gdyż jego obywatele wiedzieli, że nic nie zagraża im samemu oraz ich sposobowi życia.

Dwa konie czekały na nich w stajni miejscowego zajazdu. Slvasta dosiadł ziemskiej kasztanki, a Russell wziął statecznego modyfikowanego ogiera o szorstkiej szarej skórze, który z łatwością mógł unieść jego ciężar.

Gdy wyjeżdżali z Adeone, Slvasta zauważył, że na obrzeżach miasta nie ma żadnych Shanties, co go zaskoczyło; w rolniczych okręgach notorycznie brakowało pracy. Tutaj droga biegła szpalerem ziemskich cedrów, z których najwyższe miały z pewnością ponad dwieście lat. Ich niezwykle, rozłożyste konary rozpościerały się wysoko nad głową Slvasty i spotykały nad błotnistym traktem, po deszczu wypełniając powietrze swym charakterystycznym zapachem. Tam gdzie niektóre z tych prastarych olbrzymów upadły, posadzono nowe drzewa: najwyraźniej miejscowa rada działała pręźnie i poważnie traktowała swoje powinności.

Zaczęli podróż późnym popołudniem. Za nimi zachodzące słońce słało czerwonożłote promienie, które przechodziły pod ostrym kątem między grubymi pniami. Drogą przejeżdżało tyle wozów, że Slvasta musiał jechać poboczem. Cieszyło go skupienie i pewność siebie, jaką wyczuwał u mijanych ludzi. Cała ta okolica przypominała mu jego wczesne dzieciństwo, gdy świat był przyjemnym i szczęśliwym miejscem.

Słońce zachodziło, gdy dotarli do głównego skrzyżowania dróg. Dwa szerokie trakty odchodziły na północ i na południe – jeden z rzędem cedrów, a drugiznaczony obwisłymi różowymi liśćmi drzew thrasta. Były tam także dwie inne, nowe drogi, z drzewami zaledwie trzymetrowej wysokości. Russell pojechał jedną z nich, obsadzoną niebieskoszarymi drzewkami follrux, których kłujące liście już się zwijały o zachodzie słońca. Ta okolica była bardziej dzika, doliny głębsze, farmy mniejsze, a lasy rozleglejsze. Przed sobą dostrzegał w oddali ośnieżone szczyty gór Algory lśniące w ostatnich promieniach słońca jak ostrzegawcze ognie na tle ciemniejącego nieba.

Chociaż znajdowali się teraz na pograniczu cywilizacji, droga, którą podróżowali, była niezwykle często używana i niedawno wyłożona kamieniami, trzymającymi w ryzach błoto. Russell skręcił z niej na trakt nieobsadzony drzewami i biegnący szeroką przecinką. Slvasta zauważył stary drogowskaz przybity gwoździami do drzewa i już obrastający pnączami. FARMA BLAIRA głosił niezdarnie wyryty napis. Teren po obu stronach zaczął się wznosić i gęste chmury much tatus wypadły z gęstwiny drzew, by brzęczeć nad głową Slvasty. Rozciągnął osłonę, żeby je odpędzić; wyraźnie miały chrapkę na ludzką krew.

W końcu minęli zakręt i przed nimi rozpostarła się dolina. Teren na jej dnie oczyszczono z drzew i podzielono na szachownicę pól. Tuż przy linii drzew stała duża farma, z długimi drewnianymi stajniami rozstawionymi w idealnie równych rzędach. Przez jedną nieprzyjemną chwilę Slvasta znów był na patrolu i zbliżał się do farmy Shilo.

Gdy podjeżdżali, Slvasta telepatycznie sprawdził budynki. Wszystkie zabudowania gospodarze były nowe. Jedno z nich było tartakiem, w którym maszyna parowa napędzała dwie piły. Cztery masywne traktory wracały do domu z zaoranych pól, pyrkocząc i głośno dzwoniąc tłokami w cichym wieczornym powietrzu. Niemal połowa stajni była pełna przegród lub klatek z ogromną różnorodnością modów, co jeszcze pogłębiło jego niepokój. Był zdumiony skalą działania i liczbą pracujących tu ludzi. Dwie stajnie były dormitoriami. W jednej mieścił się skład węgla. W innych ciężkie maszyny wykuwały kształtki zanoszone następnie na długie ławy, przy których mod-karły składały jakieś dziwne mechanizmy. Na

paleniskach płonął ogień napędzający różne nieznanne mu urządzenia. Na drugim końcu kompleksu znajdowały się długie baraki, osłonięte najskuteczniejszym maskowaniem, jakie napotkał.

Sam budynek farmy był zwyczajnym piętrowym domem z werandą od frontu i różami pnącymi się ku kalenicom. We wszystkich oknach zapraszająco paliły się światła. Były o wiele jaśniejsze od znanych mu lamp olejowych. Przywiązał wierzchowca do poręczy obok zagrody dla koni. Russell z uśmiechem wskazał mu frontowe drzwi. W tym momencie Slvasta uświadomił sobie, że nie nakłut Russellowi kciuka, aby sprawdzić kolor jego krwi. To by było tyle, jeśli chodzi o rozwałę, którą zalecała mu Bethaneve, ale przynajmniej miał rewolwer. *I z tym wchodzę do domu handlarza bronią. Z niepokoju aż ścisnęło go w dołku, gdy przekraczał próg.*

Środek domu był dużym holem z krętymi schodami wiodącymi na długi podest pierwszego piętra. Tym razem Slvasty nie zaskoczył przyjemny wystrój tego wiejskiego domu, z tapicerowanymi meblami i grubymi dywanami. Te zbyt jasne lampy zwiisały z sufitu – dziwne szklane kule jarzące się jednolitym monochromatycznym blaskiem.

Ktoś schodził po schodach. Mężczyzna zrzucił maskowanie i uśmiechnął się na powitanie, pozwalając, by wyniosłe rozbawienie w pewnym stopniu przedostało się przez osłonę.

Rozpoznając go, Slvasta zeszywniał.

– To ty! – mruknął zaskoczony.

– Dobrze znów pana widzieć, poruczniku – powiedział Nigel.

KSIĘGA PIĄTA

Ci, którzy upadają

JEDEN

Dwa dni przed urodzinami Kysandry ta płonąca rzecz przemknęła po nocnym niebie. Kysandra siedziała przy oknie sypialni na poddaszu domu, z oczami podpuchniętymi od płaczu. Kłótnia z matką była okropna, nawet jak na ich standardy; zaczęła się rano i trwała całe popołudnie. Stare mod-karły, które pomagały w gospodarstwie, cicho skamłając, wpełzły pod stół, gdzie zakryły uszy rękami, kiedy w powietrzu przelatowały krzyki, obelgi, groźby i oskarżenia, a telepatycznie słane emocje wypełniły eter niczym fajerwerki.

– Nienawidzę cię. Jesteś najgorszą matką na świecie! Mam nadzieję, że umrzesz! – To była tylko pierwsza salwa.

Jednak żadne obelgi, prośby i błagania nie odniosły skutku. Sarara, jej matka, była zbyt zręczna na tym polu bitwy. Na gniew odpowiadała szyderstwami i wściekłością. Z obu stron padały groźby. Rzucano talerzami, których zapas kurczył się zastraszająco szybko. Czasem rękami, a często niemal bezwiednie używając teka, niepohamowanie wprowadzając myśl w czyn.

Około południa kłótnia stała się tak zazarta, że Sarara jak zwykle wsparła się swoją fajeczką z narnikiem. Po tym spór stał się surrealistyczny, gdyż narkotyk w przypadkowy sposób to wzmacniał, to uspokajał myśli kobiety. Raz szlochała, powtarzając w kółko „przepraszam”, a raz z maniacką nienawiścią w oczach wymachiwała trzymanym w drżącej dłoni nożem do filetowania, gdy Kysandra rzucała kolejny potok inwektyw.

Kiedy słońce zapadło za zboczem doliny, w której leżała farma Blairów, wyczerpana i przygnębiona Kysandra pobiegła na górę, trzasnęła drzwiami swojego pokoju i zabarykadowała je starą komodą. Matka i córka jeszcze przez dziesięć minut wrzeszczały na siebie przez drzwi, po czym Sarara z tupotem zbiegła po schodach, żeby zapalić następną fajeczkę.

Kysandra żałośnie łkała, gdy jej matka rozpoczynała kolejną noc napędzanych narnikiem szalonych snów. Telepatycznie widziała nieprzytomną Sararę, bezwładnie leżącą na kanapie w saloniku. Co chwilę podrygiwała i wydawała nieartykułowane okrzyki, gdy narkotyk zapalał nowe halucynacje w jej mózgu. Potem znów wyciągnęła się bezwładnie, cicho pochrapując i pociągając nosem. Wypalona fajka upadła na gołe deski podłogi.

Udrękę Kysandry pogłębiał głód. Nic nie jadła od śniadania, a i ono składało się tylko z jabłek i szklanki mleka. Mimo to nie chciała schodzić do kuchni. Chociaż jej matka w żadnym razie nie obudzi się teraz do rana, dziewczyną powodował upór, który wykazywała przez całe życie.

– Dziewczyno, masz charakterek z Uracusa – zwykł mawiać jej ojciec, pół żartem, pół serio, gdy nie chciała ustąpić lub przeprosić za jakiś wybryk.

Tak jednak było przed laty, zanim ojciec wyruszył z milicją okręgu Adeone, żeby pomóc przeczesać teren po Upadku. Osiem lat. I nadal nie wrócił.

Kysandra wciąż na niego czekała, nie zamierzając przestać. To było powodem jednej z pierwszych gigantycznych kłótni z Sararą, kiedy odkryła, że matka pozbywa się ubrań taty. Mniej więcej wtedy Sarara zaczęła palić narnik, nie radząc sobie z żalem i trudami samotnego prowadzenia farmy. Te trudności jeszcze się pogłębiły, gdy ziemia zaległa ugorem, mody się zestarzały, a zabudowania zaczęły się rozpadać.

Po ośmiu latach bez taty ledwie radziły sobie z utrzymywaniem warzywnika, paru świń, leciwej krowy dającej mleko i kurnika – do którego wciąż dostawały się gryzonie. Czasem ledwie miały co jeść.

I dlatego Kysandra miała wyjść za Akstana za dwa dni, gdy tylko ukończy siedemnaście lat i będzie to zgodne z prawem (za zgodą rodziców). Sarara nie tylko dała na to pozwolenie; ochoczo uzgodniła kwestię posagu z parszywą rodziną Akstana. Umowa była prosta. W zamian za farmę Blairów (i Kysandrę) Sarara dostanie własne trzy pokoje nad jednym ze sklepów rodziny, sprzedających miastu tekstylia. Mając lekką pracę za ladą, w końcu pozbędzie się całego koszmarnego problemu, który odziedziczyła. W swych najgorszych chwilach wykrzykiwała do Kysandry, że gdyby nie rozpuszczony bachor i nędzna farma, to znów mogłaby sobie znaleźć jakiegoś porządnego chłopca. Za te słowa Kysandra cisnęła w nią ostatnim porcelanowym dzbankiem, jaki im pozostał.

Tak więc siedziała tam w tę pogodną noc, spoglądając na wspaniałe gwiazdozbiory, które mocą swego promieniowania usiały Pustkę. Ich skomplikowane kształty i tęcze kolory nie przemawiały do niej. Po prostu patrzyła na nie, usiłując nie myśleć o tym, że Giu zabrał duszę jej ojca. Te rozmyślenia przerywała gniewnymi prychnięciami na myśl o tym, że mógłby zabrać też jej matkę i Akstana oraz resztę jego niegodziwej rodziny – włącznie z matriarchą, Ma Ulvon, której Kysandra w duchu się bała.

Tej nocy Uracus jasno płonął na niebie, a jego złowrogie karminowe wiry były spowite postrzępionym bursztynowym woalem, ginącym w pustce nacięcia na środku, przypominającego świeżą ranę. *Zły znak* – pomyślała z przygnębieniem – *zapowiadający, jakie zasrane będzie moje życie.* Coś przesunęło się na tle tej poświaty. Smuga bursztynowego światła, mknąca z północnego zachodu. I coraz jaśniejszego.

Kysandra wytrzeszczyła oczy. Łagodnie mówiąc, była zdumiona. Nigdy nie widziała takiej mgławicy. I na pewno nigdy nie słyszała, żeby mgławica się poruszała. A ta zaczęła się wydłużać, ciągnąc za sobą cienką, idealnie prostą linię mglistej różowawej fosforescencji.

To nie jest mgławica!

Po niebie Bienvenido przemieszczały się tylko dwa rodzaje obiektów. Władcy Niebios, zaszczycający planetę swoją łaskawą obecnością, oraz...

– U... U... Upadły! – wrzasnęła wstrząśnięta.

Ten okrzyk był zupełnie bezcelowy. Sarara była pogrążona w narkotycznym śnie, a modkarły wciąż kulily się pod stołem.

Kysandra obserwowała jarzące się widmo. Teraz, kiedy się zbliżyło, było o wiele jaśniejsze i zmierzało niemal prosto ku farmie Blairów. Drugi, równie bezcelowy ostrzegawczy okrzyk zamarł jej na wargach. Jaja Upadłych spadały pionowo, a przynajmniej zawsze tak uważała. I były ciemne. Nie świeciły w taki sposób.

Jakiś nowy rodzaj Upadłego?

Ciekawość przewyciężyła początkowy lęk. Płonący obiekt jakby się zmieniał. Jego blask przygasł, gdy przelatywał nad doliną, lecz pomarańczowa poświata rozszerzała się, w miarę jak zbliżał się do farmy. Pojęła, że jest wielki – o wiele większy od jakiegokolwiek jaja Upadłych. Ciągący się za nim niesamowity, migotliwy ogon świecącego powietrza zaczął się rozwiewać jak dym na wietrze.

Kysandra ledwie zdążyła obrócić głowę, gdy ta błyszcząca rzecz przemknęła nad nią z gromowym rykiem. Ledwie zdążyła dostrzec jego kształt: gigantyczne jajo ze sterzącymi trójkątnymi skrzydłami. Jakby w stoczni próbowano zbudować latający okręt. Przez osiem ostatnich lat Kysandra regularnie korzystała z bogatych zasobów biblioteki ojca (kolejna kość niezgody między nią a matką), ale nie przypominała sobie, aby w jakimkolwiek raporcie czy okólniku Instytutu Badania Upadłych wspomiano o czymś takim.

Ten przedziwny obiekt przemknął nad rzeką, powoli obniżając pułap. Jego poświata znikła, gdy znalazł się tuż nad czubkami drzew. Pozostały tylko skłębione opary opalizującego powietrza – upiorne znaczniki jego przelotu. Rozwiały się zupełnie w chwili, gdy do farmy dotarła fala dźwięków – kakofonia huków i trzasków łamanych drzew.

Potem wszystko ucichło. Nocne niebo było czyste, a mgławice migotały radośnie jak zawsze. Nic się nie poruszało.

Kysandra spoglądała na las po drugiej stronie rzeki. Jednak oplątane gęstą pajęczyną pnączy drzewa tworzyły nieprzeniknioną gęstwinę. A swoją telepatią nie była w stanie sięgnąć tak daleko.

Co robić? Czy powinnam uciekać?

To na pewno jakiś nowy rodzaj Upadłego. Olbrzymi. Ten ptak-okręt miał wielkość jej domu. Nie mogła sobie wyobrazić koszmaru, jakim będzie w tym okręgu. *Nawet jeszcze gorszym niż małżeństwo z Akstanem.*

Nie odważyła się wyjść na zewnątrz i pójść nad rzekę, by zobaczyć, co połamało drzewa. Nie miała też odwagi pobeć do miasteczka, gdyż musiałaby zostawić matkę, a uświadomiła sobie, że nie może tego zrobić. Z kolei zmuszenie modkarłów, żeby pomogły jej wciągnąć odurzoną narnikiem matkę na wóz, a potem wprzęgnięcie doń ich jedyne pozostałego modkonia, zajęłoby wieki. Ci nowi Upadli dopadliby je, zanim wyjechałyby na drogę.

Prawo nakazywało, żeby każda farma miała przygotowany sygnał alarmowy – stos drewna gotowy do natychmiastowego podpalenia i buchnięcia ostrzegawczym ogniem, widocznym w promieniu wielu mil – na widok spadającego jaja. Jej ojciec ułożył taki stos w

bezpiecznej odległości od zabudowań – wspaniała piramida gałęzi, wysoka na cztery metry i tworząca sprytną ażurową konstrukcję dającą łatwy dostęp powietrzu, które przyspieszało spalanie.

Zrobił to, zanim odszedł, i od tamtej pory drewno przez kilka lat było wystawione na działanie deszczu. Grube konary zbutwiały i spleśniały, zmieniając się w stertę kruchych włókien obrosniętych pnączami.

I tak by się nie zapaliło – pomyślała Kysandra.

Spojrzała na czarną ścianę lasu za wodą. Nic się tam nie poruszało. Nadała polecenie do mod-karłów, każąc im przynieść dubeltówkę z szafki na parterze. Robiąc to, dodała, że mają przynieść resztę chleba z kuchni. I trochę mleka.

Nieco ułagodźszy buntujący się żołądek i czując krzepiący ciężar przyciśniętej do boku broni, rozpoczęła czuwanie.

* * *

– Zbudź się, ty leniwa dziewczucho!

Kysandra zerwała się i wszystko ją zabolalo. Otworzyła oczy i zobaczyła matkę stojącą w drzwiach jej sypialni i trzymającą dubeltówkę z gniewnym grymasem wykrzywającym wychudłą, pomarszczoną twarz. Na zewnątrz było widno, chyba już od dawna, na ile Kysandra mogła to ocenić.

– Co chciałaś tym zrobić, co? – zapytała Sarara, ściskając trzymaną w rękach dubeltówkę.

– Zastrzelić mnie we śnie?

– Coś zobaczyłam – broniła się Kysandra.

Odwróciła się, żeby spojrzeć przez okno. Las na drugim brzegu rzeki był niemal równie ciemny w porannym słońcu jak o północy. Nie było żadnego śladu wskazującego, że coś jest nie tak, żadnej straszliwej armii Upadłych wymaszerowującej spomiędzy drzew. Żadnych ogromnych latających obiektów.

– Co? – spytała drwiąco Sarara.

To ten ton, który zawsze sprawiał, że Kysandra odruchowo kulila ramiona ze złości i pogardy.

– Nie wiem.

Zastanawiała się, jak wyjaśnić, co widziała.

– Przygotuj się. Jest tu Julias.

– Co? – Kysandra nienawidziła Juliasa. Był jednym z braci Akstana i jeszcze większym niechlujem niż przeznaczony jej oblubieniec. Ma Ulvon kazała mu prowadzić rzeźnię w Adeone, jeszcze jedną z rodzinnych firm, którymi zarządzała żelazną ręką. – Po co przyszedł? – zapytała zdziwiona.

– Chyba upuściłam cię na główkę więcej niż raz, kiedy byłaś dzieckiem. Jutro wychodzisz za mąż, pamiętasz? Nasze życie zmieni się na lepsze.

– Nie wyjdę za mąż! – warknęła Kysandra. – Nie za niego.

– Posłuchaj mnie uważnie, ty niewdzięczna mała suko. Jesteśmy winne Ma Ulvon mnóstwo pieniędzy. Myślisz, że jak utrzymywałam nas przez kilka ostatnich lat? Ta farma jest gównem warta bez kogoś, kto mógłby ją prowadzić. A ja nie mogę tego robić, nie przy tobie biegającej po całych dniach jak oszalała.

Gniew Kysandry przeszedł w zaskoczenie.

– Jesteśmy zadłużone u Ma Ulvon? – Nie mogła w to uwierzyć. Trzeba być wariatem, żeby pożyczać od Ma Ulvon, każdy o tym wie. Spirala odsetek nigdy się nie kończy, a synowie, wnukowie i siostrzeńcy Ma odbierają je punktualnie i brutalnie. – Dlaczego? – zapytała z nagle obudzoną podejrzliwością. – Co takiego kupiłaś? Mamy dość żywności dla nas dwóch. Zawsze jej wystarczało.

– Na tej farmie potrzeba wielu rzeczy, które nie rosną na drzewach, a twój ojciec wydawał wszystkie zarobione przez nas pieniądze na te głupie książki, zamiast właściwie je inwestować. A teraz spakuj się i przygotuj. Julias i ja wywlecemy cię stąd siłą, jeśli będzie trzeba, nie myśl sobie.

– Narnik! – krzyknęła przerażona Kysandra. – Kupowałaś od niej narnik, tak?

– Nie waż się mnie osądzać! – odkrzyknęła Sarara. – Nie wiesz, jak cierpiałam, od czasu, gdy odszedł twój ojciec.

– On wróci.

– Zezwał go pierdolony Upadły, ty głupia dziewucho. Kiedy to dotrze do tego twojego durnego łba? On nie żyje! Nie wróci. Nigdy. Jego dusza nie była nawet dość silna, żeby nas odwiedzić. Zatem jednak wcale tak bardzo cię nie kochał. No nie?

Kysandra wrzasnęła przeraźliwie na swą diaboliczną dręczycielkę. Chwyliła teka pustą butelkę po mleku i cisnęła nią, mierzając prosto w głowę matki. Sarara podrzuciła dubeltówkę do ramienia i nacisnęła spust – nie trafiając w butelkę.

Śrut wybił dziurę w suficie. Deski eksplodowały fontanną długich drzazg. Osłona Kysandry była za słaba, żeby je odbić. Dziewczyna uchyliła się, szukając osłony. Dwa ostre kawałki drewna przebiły jej sukienkę, rozrywając skórę na żebrach.

W pierwszej chwili nie poczuła bólu. Spojrzała na rozdarty materiał. Krew zaczęła plamić sukienkę.

Sarara miała paskudną czerwoną szramę na czole, w miejscu, gdzie trafiła ją butelka. Przyciskała do niej chustkę, z konsternacją spoglądając na rany Kysandry, jakby nie wierząc własnym oczom. Obie przez długą chwilę patrzyły na siebie w milczeniu.

– Przemyj i opatrz te skaleczenia – powiedziała beznamiętnie Sarara. – Żeby nie wdało się zakażenie. Ja zaniosę twoje rzeczy na wóz.

Odwróciła się na pięcie i wypadła z pokoju. Kysandra słyszała, jak szłocha, zbiegając po schodach.

I nic już nie można było zrobić.

* * *

Zazwyczaj Kysandra lubiła odwiedzać Adeone. Miasto ze swymi dużymi, solidnymi budynkami, ruchliwym portem i gwarnymi ulicami zawsze było przyjemną odmianą po monotonii życia na farmie, a Shanty na przedmieściu było na tyle małe, że nie budziło niepokoju. Jednak tym razem, wjeżdżając na wozie do miasta, pragnęła, by legło w gruzach i wymarło. Przeklinała jego mieszkańców. Wszyscy, którzy widzieli wóz (i pospiesznie odwracali wzrok), wiedzieli, że przywożą ją do miasta jako zapłatę dla Ma Ulvon. Nikt nie protestował. Nawet nie śmieli okazać jej współczucia.

Gdy dotarli do centrum, gdzie ulice były brukowane, wóz zaczął toczyć się równiej. Przez większość podróży krzywiła się przy każdym jego podskoku. Jednak ból skaleczonego boku był niczym w porównaniu z tym, co czuła. Przejechali skrzyżowanie. Jedna z bocznych ulic prowadziła na rynek, gdzie ratusz ze swymi jasnymi ścianami z czerwonej cegły i obramowanymi białym kamieniem oknami wznosił się dwa piętra wyżej od wszystkich innych budynków. To tam zabiorą ją jutro, żeby wyraziła zgodę na życie pełne udręki – jeśli im się to uda. Cholernie dobrze wiedziała, że urzędnik stanu cywilnego jej nie pomoże. Ceremonia się odbędzie, obojętnie ile razy ona powie „nie”.

– Zrobiłaś ze mnie dziwkę – powiedziała lodowatym tonem matce. – Jesteś z siebie dumna?

– Wiesz – powiedział Julias z kozła wozu, skąd słanymi poleceniami kierował modkoniem – zda mi się, że powinnaś okazać trochę szacunku, kiedy mówisz do matki. Przydałoby się też trochę wdzięczności dla Ma. Wyświadcza wam przysługę.

Kysandra gniewnie spojrzała na plecy tego spalonego durnia i zauważyła, że szwy jego koszuli w czerwono-czarną kratę z trudem wytrzymują napór wielkich fałd cielska. Pozwoliła całej swej nienawiści przeniknąć przez osłonę.

– Umrzesz – powiedziała triumfalnie. – Umrzesz, szczając w gacie, a twoja dusza będzie wyla, pożerana przez Uracusa. I chcę, żebyś wiedział, tu i teraz, że przyczyniłam się do tego.

Nie zamierzała im powiedzieć o tym ogromnym Upadłym w lesie za farmą. Nie teraz. Nie ostrzeże miasta i wszystkich jego biernych, posłusznych mieszkańców. Te dupki zasłużyły sobie na pożarcie za to, że dały się podporządkować. Rodzina Ma była gorsza niż gniazdo Upadłych.

Później, kiedy Upadli pożrą wszystkich, regimenty w końcu przybędą i spalą całą tę nędzną dziurę. A wtedy nie będzie tu nawet grobu z zakopanymi stertami połamanych kości.

I dobrze!

– Uracusie, ależ ona ma jęczyczek – mruknął Julias.

– Musisz wiedzieć, że nie wolno ci tak mówić do twojego męża – powiedziała Sarara. – Żony tego nie robią.

– Nie będę jego żoną, tylko dziwką. Dzięki tobie, matko.

– Zamknij się! – wrzasnęła Sarara.

Podjechali przed hotel Hevlin przy ulicy Lubal. Nisko wiszące, ciemne chmury przemykały po niebie. Kysandra wiedziała, co to oznacza: spadnie deszcz i nie przestanie lać

przez większość dnia. Z obrzydzeniem spojrzała na hotel. Był sporym, pomalowanym na biało budynkiem z dwupiętrowym frontem zasłaniającym labirynt niedopasowanych do siebie przybudówek, które łączyły się z dwoma innymi domami stojącymi za nim. Tam Ma Ulvon mieszkała i prowadziła swoje rozliczne legalne interesy oraz jeszcze liczniejsze bardzo nielegalne.

– Chodź – powiedział Julias.

Swoją teka zrzucił jej torbę z wozu.

Kysandra miała ochotę odmówić, ale wyczuła obecność kilku goryli Ma w holu. Krzepkich mężczyzn, których gównem obchodzi to, że ona jest dziewczyną; wybiegliby na ulicę i zaciągnęli ją do środka, obojętnie jak by wrzeszczała i walczyła. Żaden z zacnych obywateli Adeone nie kiwnąłby palcem, żeby jej pomóc. Tak więc posłała Juliasowi złowrogi uśmiech.

– Umrzesz, wrzeszcząc – oznajmiła triumfalnie, schodząc z wozu. – Zobaczysz.

– Jesteś zupełnie popieprzona – mruknął ponuro i wysłał mod-koniowi polecenie, żeby ruszył.

Kysandra patrzyła za odjeżdżającym wozem. Matka się nie obejrzała, jadąc ku obiecанemu nowemu życiu nad sklepem tekstylnym.

– Witaj – usłyszała głos.

Kysandra drgnęła. Ta kobieta tak dobrze się maskowała, że nie zauważyła jej obecności w holu ani wyjścia przed drzwi hotelu. Ma Ulvon była wysoka, o głowę wyższa od Kysandry, ale nie tak otyła jak wszyscy jej synowie. Miała na sobie klasycznie skrojoną lnianą garsonkę i błyszczące czarne buciki. Na szerokie ramiona narzuciła dziwny ciepły płaszcz, przytrzymywany złotym łańcuchem; Kysandra wyobrażała sobie, że pewnie takie stroje noszą eleganckie arystokratki w stolicy. Rude włosy miała równo przycięte w sposób, który nadawał jej wygląd czterdziestolatki – chociaż wszyscy wiedzieli, że Ma zbliża się do siedemdziesiątki. Biżuterię ograniczyła do paru pierścionków i cienkiego diamentowego naszyjnika. Kysandra patrzyła na nią gniewnie i niechętnie, utykając za uchem kilka kosmyków brudnych włosów, doskonale świadoma bylejakości swej samodziiałowej sukienki. W porównaniu z nią Ma Ulvon była taka elegancka – najlepiej ubrana kobieta w Adeone.

– Nie zrobię tego – warknęła.

Ma Ulvon uniosła wyskubane brwi.

– Czego, moja droga?

Nawet jej głos, gładki i zimny, onieśmiał.

– Nie wyjdę za Akstana. Możesz sobie wziąć farmę, nie dbam o to, ale nie zrobię tego.

– Naprawdę? – Ma wskazała na hol. – Możemy wejść czy naprawdę mam kazać cię wnieść?

Odwróciła się i zaczęła wchodzić po schodkach do szklanych drzwi.

Kysandra zastanawiała się, czy po prostu nie uciec, ale wątpiła, czy zdołałaby uciec daleko. Poszła za tą onieśmiałającą kobietą.

– Nie zapomnij swojej torby – powiedziała Ma.

Po jasnej ulicy hol wydawał się mroczny. Tapety barwy ciemnego burgunda i złota zdawały się migotać w żółtawym świetle olejowych lamp. Kanapy i fotele były obite grubym aksamitem. Ich atak na zmysły głosił, że Hevlin ma aspiracje znacznie wykraczające poza prowincjonalny charakter Adeone.

Ma czekała razem z inną kobietą. Ta miała na sobie ekstrawagancko kolorowy strój z mnóstwem czarnych koronek. Rozcięta niemal do pępka suknia prawie nie zasłaniała piersi. Kysandra starała się nie gapić, ale profesja tej kobiety była oczywista.

– To jest Madeline – powiedziała Ma. – Prowadzi Hevlin.

– Cześć, mała – powiedziała Madeline i mrugnęła.

Kysandra przybrała swą najbardziej wojowniczą minę, nie rozumiejąc, co się dzieje.

– A zatem – powiedziała Ma. – Masz teraz wybór, Kysandro. Albo pracujesz tu dla Madeline i będziesz miała wzięcie, taka ładna i młoda. Z początku będziemy cię odurzać, żebyś się za bardzo nieopierała, a po jakimś czasie przywykniesz do tego. Albo wyjdiesz za Akstana i będziesz wiodła normalne życie, mając pieniądze, wygody i dzieci. I możesz mi wierzyć, kiedy mówię, że bardzo się troszczę o moje wnuki. Nikt nie będzie cię krzywdził ani obrażał, nawet Akstan.

– A kiedy zamierzasz mi powiedzieć, jaka jest ta druga możliwość? – zadrwiła sarkastycznie Kysandra.

Nawet zdołała spojrzeć na Ma, nie kuląc się ze strachu.

Ma zachichotała.

– Myślę, że to Akstan powinien się bać.

Kysandra odchyliła głowę, wyzywająco patrząc na Ma. *Mogę sobie pozwolić na taką śmiałość, ponieważ będziesz martwa, nim minie tydzień. Pożarta żywcem. Jeśli zdołam, postaram się ci powiedzieć, że to ja jestem za to odpowiedzialna.*

Okazując tylko lekkie zaskoczenie tym niespodziewanym oporem, Ma zwróciła się do Madeline.

– Zabierz ją na górę i doprowadź do porządku, na litość Giu. Wygląda jak coś, co wyciągnięto z dna rzeki. Dziewczyna powinna wyglądać pięknie w dniu swego ślubu, szczególnie moja przyszła synowa.

Kysandra pozwoliła, by Madeline zaprowadziła ją na górę. Dostała jeden z największych pokoi gościnnych na tyłach, z własną łazienką. Będący częścią pieca bojler na farmie już od paru lat był niesprawny. Z poczuciem winy tęsknie spojrzała na emaliowaną wannę i strumień gorącej wody płynącej z kranu. Madeline dodała do kąpieli mydła i soli, nadających powietrzu cudowny zapach lawendy. Powierzchnię wody pokryła gruba warstwa białej piany.

– Ciesz się tym – powiedziała Madeline, wychodząc z pokoju. – Sugeruję co najmniej półgodzinną kąpiel. Prawdę mówiąc, mała, musisz lepiej traktować swoją skórę. Kiedy skończysz, zajmiemy się twoimi włosami. To może trochę potrwać.

Gdy zamknęły się drzwi, Kysandra przekręciła gałkę zamka Ysdom, a potem szczerze okryła się maskowaniem, całkiem rozsądnie u dziewczyny rozbierającej się w domu publicznym. Jednak nie wyczuła, by ktoś telepatycznie zaglądał do pokoju.

Zdjęła spódnicę. Pod nią miała mocne dżinsowe spodnie do kolan. Bluzka z falbankami podzieliła los spódnicy. Pod spodem nosiła koszulkę taty, uratowaną przed skasowaniem przez matkę; obszerną, ale znośną. Nie był to typowy strój nastolatki, ale nikt w mieście nie zwróci na to uwagi. A doki są zaledwie ćwierć mili stąd. Miała pięć srebrnych szylingów. To wystarczy aż nadto, by opłacić bilet na jakiś statek. Nieważne dokąd popłynie, byle daleko od Adeone.

Podnoszone okno łazienki dość łatwo dało się otworzyć. Przełożyła nogę przez parapet. Od ziemi dzieliło ją sześć metrów, ale rynna znajdowała się zaledwie metr od okna. Złapała ją i zaczęła się zsuwać.

Gdy zostało jej zaledwie dwa metry, okno nad nią zatrzasnęło się z łoskotem. Spojrzała w górę, ale to nie miało żadnego znaczenia. Maskowanie w zaułku na dole znikło, ukazując czekających na nią trzech ludzi Ma. Ich połączona teka oderwała ją od rynny. Bolesnie uderzyła o ziemię i jęknęła.

– Och, jesteś taka przewidywalna – nadała drwiąco Ma. –Przynieście ją z powrotem, chłopcy.

Kysandra wrzasnęła, gdy ją złapali, ale nic nie mogła zrobić. Byli wielcy i silni i nie przejmowali się tym, że wiła się, kopała i wrzeszczała. Podnieśli ją i trzymali tak mocno, że wiedziała, iż będzie miała sine obwódki na wszystkich kończynach.

Bezceremonialnie wnieśli ją do środka. Madeline czekała z buteleczką w dłoni.

– Przytrzymajcie ją.

Kysandra zaczęła walczyć ze wszystkich sił. Nic to nie dało. Rzucono ją na podłogę i przytrzymano rękami oraz teka. Potem Madeline zacisnęła palcami jej nos. Teka rozszerzyła się w jej ustach jak pompowana piłka, bardzo kłująca. Musiała rozchylić szczęki.

– Wszyscy umrzecie, i to za moją sprawą – nadała do nich.

Tylko się śmiali, gdy wepchnięto jej między zęby szyjkę buteleczki. Zabulgotała wypływająca ciecz. Kysandra usiłowała jej nie połknąć, ale to było niemożliwe. Gorzki płyn spłynął jej do gardła. Madeline zabrała buteleczkę.

Po chwili mężczyźni ją puścili. Kysandra wstała – z trudem.

– Co to było? – spytała, a przynajmniej tak się jej zdawało. Słowa brzmiały dziwnie bełkotliwie. Nagle ugięły się pod nią nogi. Madeline złapała ją, zanim zdążyła upaść. – Ty suko... Co...?

Świat zdawał się rozpuszczać w zamęt pięknych kolorów, tak przyjemnych, że powitała to z entuzjazmem. Potem te barwy zaczęły wirować i zakręciło się jej w głowie.

– Muszę usiąść.

– Oczywiście, że musisz – powiedział głos Madeline gdzieś w oddali.

Usłyszała dziwny trzask, jakby rozrywanego materiału. Cudownie chłodne powietrze prześliznęło się jak jedwab po jej nagiej skórze. Kysandra uśmiechnęła się, ale zaraz zmarszczyła brwi. To nie w porządku; nie powinna się tym cieszyć. Zmarszczyła się jeszcze bardziej i fioletowe fale śmignęły w powietrzu. Madeline pochyliła się nad nią, gdy ciepła woda zaczęła ogrzewać jej skórę. Bańki piany ożyły. Pękały bezgłośnie, uwalniając maleńkich Upadłych. Kysandra zaczęła wrzeszczeć, gdy zaroily się na jej ciele, kłapiąc miniaturowymi zębami.

* * *

– ...czy bierzesz sobie tę zasnę kobietę za żonę, aby ją kochać i wielbić w życiu doczesnym, a potem pod Przewodnictwem udać się z nią w kochające ramiona Giu?

– Tak.

Kysandra powoli zamrugła, ledwie trzymając się na nogach. Nic nie miało sensu od... no, od jakiegoś czasu. Wszechświat stał się dziwny i niewyraźny, czasem ciepły i miły, a czasem tak wyraźny i przerażający, że wrzeszczała bez końca. Wciąż zmuszali ją do picia tego gorzkiego płynu. Przez większość czasu była zziębnięta i drżąca. Śniła albo tak się jej wydawało, a może jej sny wyrwały się z mroków nocy i na stałe zamieszkały w jej głowie.

A teraz ta suknia. Biała suknia z zabawnie wydętą spódnicą, ze złocistymi jedwabnymi kokardkami i woalką. *Czy wciąż mam ją na twarzy? Czy to dlatego wszystko wygląda tak dziwnie?*

– A ty, Kysandro, czy bierzesz sobie tego zasnę mężczyznę za męża, aby kochać go bez zastrzeżeń w życiu doczesnym, a potem pod Przewodnictwem udać się z nim w kochające ramiona Giu?

– Powiedz „tak” – rzekł mężczyzna.

Chwiejnie się obróciwszy, Kysandra zerknęła na stojącego obok i trzymającego ją pod rękę mężczyznę.

– Kim, do cholery, jesteś? – wypaliła.

Nawet z narkotykiem szumiącym jej w uszach i rozgrzewającym krew wiedziała, że to nie Akstan. Nie był taki stary, na pewno nie taki gruby, a poza tym miał blond włosy. Jego zielone oczy spoglądały na nią wyczekująco.

– Po prostu powiedz „tak” – rzekł współczująco i uprzejmie, aż o mało nie wybuchła płaczem. Nikt tak na nią nie patrzył. *Nie od kiedy tato...*

Myśli, nie do końca będące jej własnymi, sformowały słowo, które po prostu musiało wyrwać się z jej ust.

– Tak.

– Zatem z dniem dzisiejszym ogłaszam was mężem i żoną. Niechaj Giu pobłogosławi wasze nieśmiertelne dusze.

Kysandra zaczęła się śmiać.

– Wszyscy umrzecie.

– Możesz pocałować pannę młodą.

Mężczyzna ograniczył się do przelotnego uścisku i poklepania po plecach. Nad jego ramieniem zobaczyła Ma Ulvon, Akstana, Juliasa i Madeline oraz dwóch innych synów Ma z żonami. Wszyscy stali rzędem pod ścianą urzędu stanu cywilnego, nic nie mówiąc, z twarzami niezdradzającymi żadnych uczuć. W śmiechu Kysandry zabrzmiała histeryczna nuta.

– Tak! O tak, już jesteście martwi, wiecie? Dopadli was. Już was pożarli. Nie jesteście sobą, żadne z was. Widzicie, nie ostrzegłam was, że wylądowali. Nie powiedziałam wam. To ja wam to zrobiłam. – Zachichotała radośnie. – To naprawdę najszczęśliwszy dzień w moim życiu.

– Moja dziewczyna – powiedział mężczyzna, który ją trzymał, ten, za którego wyszła.

Nogi zaczęły się pod nią uginać.

– Teraz mnie zjesz?

– Nie. Pora wracać do domu, Kysandro.

– Och, super.

Straciła przytomność.

* * *

Na suficie jej sypialni przybito nowe deski. Było ich cztery, równo przycięte i ze świeżego drewna, tworzyły kwadrat szerokości prawie metra. Patrząc na nie, Kysandra zmarszczyła brwi, nie rozumiejąc dlaczego tam są. *Śrut z dubeltówki*. Nagle wspomnienia wróciły gwałtowną falą. Przyjazd Juliasa. Ostatni dzień kłótni z matką. Dubeltówka. Ma. Próba ucieczki z Hevlin przez okno łazienki. Wmuszone w nią narkotyki. Ślub. *Mężczyzna o blond włosach!*

Jęknęła i usiadła na łóżku. Nadal miała na sobie suknię ślubną, ale ktoś zdjął z niej spódnicę, tak że zobaczyła sięgające jej do kolan majtki z falbankami. To był zabawny widok.

Doskonale świadoma tego, co robiły z nią narkotyki, spróbowała wstać. Nie miała zawrotu głowy ani drżenia kończyn. W rzeczy samej czuła się zdumiewająco trzeźwa i odświeżona, jakby właśnie zbudziła się z najlepszego snu w życiu. I była bardzo, ale to bardzo głodna. Podkreślając to, jej żołądek zaburczał jak rura zepsutego wodociągu – gdyż w całym domu rozchodził się niewiarygodnie apetyczny zapach smażonego boczku.

Kysandra zrobiła krok w kierunku drzwi. Przystanąła. Ostrożnie się rozejrzała. Jej sypialnia nie była tylko wysprzątana, lecz wprost nieskazitelna. I pościel na łóżku była czysta. Nowa! Dotknęła jej ostrożnie, podziwiając miękkość. Na oparciu krzesła wisiała suknia. Nie jej: nigdy przedtem takiej nie widziała. Ładna, z granatowej bawełny, z prostokątnym dekoltem – nowiuteńka i chyba w jej rozmiarze. Obok leżała równo złożona czysta bielizna. I para porządnych ciemnobrązowych butów do kostek.

– Co, do cholery?

Podest przed drzwiami był wysprzątany. Meble wypolerowane. Szyby w oknach idealnie przezroczyste; ktoś zmył z nich brud i pleśń.

Zeszła na dół. Był w kuchni: ten mężczyzna o blond włosach i zielonych oczach. Całkiem przystojny, zapewne po dwudziestce, może przed trzydziestką. Miał na sobie zwyczajną białą koszulę i zielone dżinsowe spodnie. A jego uśmiech na jej widok był... miły.

– Cześć – powiedział. – Domyślam się, że dla ciebie to szok. Bez obawy, świetnie sobie radzisz. Usiądź, zrobię ci śniadanie. Pewnie jesteś głodna. Podałem ci środek nasenny, żebyś spała, dopóki nie minie działanie narkotyków, które w ciebie wmuszali.

– Co?

– W porządku. Siadaj. Nie zrobię ci krzywdy. Obiecuję. W końcu jestem twoim mężem. – Uśmiechnął się. – Przedstawię się oficjalnie: jestem Nigel.

Wyciągnął rękę.

Kysandra popatrzyła na nią, bojąc się, że wybuchnie płaczem.

– Och, proszę. Naprawdę nie chcę zrobić ci krzywdy. Wiem, że nasza znajomość zaczęła się... dziwnie. Jednak chcę, żebyśmy zostali przyjaciółmi. A teraz chodź i jedz; to ci pomoże.

Kysandra ciężko opadła na krzesło. Było to jedno z kuchennych, ale czyste, tak jak stół. Mężczyzna zdjął talerz z płyty grzewczej pieca. I tak, ten piec też został naprawiony, a żelazo wyszczotkowane. Przez uchylone drzwiczki popielnika widać było buzujący w nim ogień. *Ciekawe, czy znów mamy gorącą wodę?* Wzmocniła swoją osłonę, żeby nie wiedział, co właśnie pomyślała. Jego osłona była niewiarygodnie mocna, mocniejsza niż jakiegokolwiek znanej Kysandrze osoby.

Na talerzu (nowym) leżał boczek, jajecznica na grubo posmarowanej masłem grzance, smażone warzywa w gęstym sosie pomidorowym, parówki i...

– Co to takiego? – wypaliła.

– Babka ziemniaczana. Z ziemniaków, ale... no, specjalnie przyrządzonych. Uciera się je i smaży. Spróbuj. Nie obrażę się, jeśli ci nie zasmakuje.

Uśmiechnął się z nadzieją w oczach.

Zapach był zbyt silny, a jej żołądek głośno nań reagował. Kysandra spróbowała jajecznicy. Nigdy nie myślała, że jajka mogą być takie dobre.

– Herbata, kawa czy sok pomarańczowy? – zapytał Nigel.

– Proszę herbatę.

Jeden z mod-karłów postawił przed nią kubek. Stary sługa też został doprowadzony do porządku, jego krótkie futro umyte i wyszczotkowane.

– Co się stało? – wykrztusiła. – Nie rozumiem.

– Krótko mówiąc – odparł Nigel – jestem nowy w tym mieście. Potrzebne mi odludne miejsce zamieszkania, w którym nikt nie będzie mnie niepokoił, a farma Blairów doskonale spełnia ten wymóg. Ponadto jestem bardzo bogaty. Tak więc spłaciłem długi twojej matki u Ma Ulvon i kupiłem tę farmę. Przyznaję, że się nie spodziewałem, iż będziesz częścią tej

umowy, ale masz prawo własności do tej farmy i szczerze mówiąc, pomyślałem, że wolałabyś mnie od Akstana. Przepraszam, jeśli się pomyliłem.

Zwariowana historia. Kysandra nie wiedziała, czy w nią uwierzyć. Posłała mu posępne spojrzenie.

– Zamierzasz mnie pieprzyć? – spytała, starając się, by zabrzmiało to wyzywająco.

– Och, do diabła, nie. Nie. Słuchaj, wiem, że formalnie jesteście zaślubieni, ale chcę, żebyś uważała mnie za opiekuna; mimo tego, co głosi tutejsze prawo, jesteś jeszcze dzieckiem. Seks nie jest częścią tej umowy. Potrzebna mi tylko ta farma. W porządku?

Kiwnęła głową, wciąż niepewnie.

– W porządku?

A jakaś maleńka, nieznośna część jej świadomości pytała: *Dlaczego nie? Wszyscy chłopcy w mieście by chcieli, a także większość ich ojców.* Wydeła usta.

– Dziękuję. Hmm, a co z moją matką?

– Mieszka nad sklepem tekstylnym, zgodnie z umową z Ma Ulvon. Czemu pytasz? Byłabyś szczęśliwsza, gdyby tu wróciła?

– Uracusie, nie!

Boczek też był idealnie podsmażony. Kysandra nałożyła sobie następną porcję jajecznicy, ale nagle przestała jeść i wstała, nerwowo spoglądając przez okno. Rzeka była ledwie widoczna, tak samo jak las na drugim brzegu. Wszystko wyglądało normalnie. Jednak nie było takie, oczywiście – nie mogło być.

– Jak długo spałam?

– Prawie osiemnaście godzin. Pobraliśmy się dwa dni temu.

– Uracusie! Musimy uciekać. Natychmiast!

– Możesz powiedzieć mi dlaczego?

– Coś... Jajo Upadłych, ale większe, jakiegoś nowego rodzaju, tak duże, że może pomieścić całe ich gniazdo. Trzy noce temu spadło w lesie na drugim brzegu rzeki. Oni nas pożą, Nigelu! Nikomu o tym nie mówiłam. Wiedziałam, że powinnam, i przykro mi, ale nie powiedziałam. Byłam taka zła z powodu ślubu i wszystkiego.

Usiadł przy stole naprzeciw niej, trzymając w dłoniach kubek z herbatą. Uśmiechał się uspokajająco.

– Ach tak. Nie martw się. Właściwie to nie był wytwór Lasu. To nie jest inwazja Upadłych. Jesteś bezpieczna.

Patrzyła na niego i dreszcz przebiegł jej po plecach. Powoli, powolutku napięła mięśnie nóg, szykując się do ucieczki. *Czy dubeltówka nadal jest w szafce? Czy ją znalazł?*

– Teraz spróbuj zachować spokój – rzekł Nigel. – Usłyszysz coś naprawdę dziwnego: to, co widziałas... to był mój lądujący kosmolot.

– Jaasne...

Kysandra pobiegła tak szybko, jak mogła w tych idiotycznych majtkach z falbankami. Przemknęła przez korytarz i wypadła na zewnątrz. Ostre kamyki, którymi była usiana ziemia,

ocierały i kaleczyły jej stopy, ale się nie zatrzymywała. Nie pozwoliła, by ból odwrócił jej uwagę. Przed nią była furka w chylącym się płocie wokół zachwaszczonego warzywnika. Tylko że ten był teraz zadbane, a grządki świeżo skopane. Ktoś tam klęczał, rozplątując gąszcz pędów fasoli na ich bambusowych tyczkach. Ktoś w ogrodniczkach i rdzawoczerwonej koszulce. Ten ktoś wstał i odwrócił się twarzą do niej. A jego twarz...

Kysandra wrzasnęła, potknęła się i runęła jak długa, wymachując rękami. Poczula przeszywający ból kolan.

– Nic ci nie jest?

Obejrzała się z przestachem. Nigel wychodził z domu, z zatroskaną miną. Wodziła wzrokiem od niego do tego czegoś przy warzywach. Miało postać człowieka, ale twarz... ta była zupełnie pozbawiona ludzkich rysów. *Jak u naturalnej wielkości lalki* – pomyślała. Czekał na przejście czyjejś tożsamości.

– Upadli! – krzyknęła. – Jesteście Upadłymi!

– Kysandro, proszę – powiedział Nigel. Osłabił osłonę, żeby mogła odebrać jego myśli: szczerze współczucie, a także lekkie rozbawienie jej reakcją.

To ją rozzłościło.

– Myślisz, że to jakiś cholerny żart? – wrzasnęła.

– Nie. Myślę, że doskonale się trzymasz... zważywszy na okoliczności. Myślisz, że jak zareagowałby Akstan? Poznałem go, pamiętasz? Myślę, że już by zemdłał.

– Zamierzasz mnie pożreć!

Nigel westchnął i przyklęknął przy niej.

– Nie, Kysandro. Nie zamierzam cię zjeść. Jestem człowiekiem, tak samo jak ty.

Obróciła głowę, by z przestachem spojrzeć na człowieka-lalkę.

– Ale to nie.

– Nie. Nie jest człowiekiem. Nazywamy to ZANdroidem. To maszyna. Biologiczna, ale produkowana. Myśl o nim jako olbrzymim mod-karle, tylko trochę inteligentniejszym.

– Och, dziękuję – powiedział człowiek-lalka. Jego blade wargi wygięły się w namiastce uśmiechu. – Przepraszam, jeśli przestraszył cię mój wygląd. Zapewniam, że nie jestem wrogo usposobiony. Nigel ma rację, jestem biologiczną maszyną.

Kysandra zaczęła płakać.

– Chodź – powiedział łagodnie Nigel. – Wracajmy do środka. Te skaleczenia trzeba opatrzyć.

Kysandra bezradnie patrzyła na niego, gdy stał nad nią. Straciła wolę walki. *Nie zdołam ich powstrzymać. Już nie żyję.* Nie opierała się, gdy wziął ją na ręce i zaniósł z powrotem do środka.

Gdy szedł w kierunku domu, zauważyła innego człowieka-lalkę na dachu, naprawiającego dachówki. *Nie zdołam uciec.*

Nigel położył ją na kanapie w pokoju, który kiedyś był jadalnią, dopóki ojciec nie zastawił wszystkich ścian regałami, jakie zapełnił swymi ukochanymi książkami. Ten pokój jeszcze

nie został uprzątnięty. Nie wiadomo dlaczego z tego powodu wytarte obicie działało na nią uspokajająco. Często siadywała na tej kanapie z ojcem, kiedy jej czytał.

Mod-karzeł przyniósł małą zieloną torbę ze znakiem białego krzyża na wierzchu. Nigel uklęknął przy Kysandrze i podłożył pod jej pięty stary ręcznik. Patrzyła na to tępym wzrokiem. Krew poplamiała nogawki majtek na kolanach, a jej stopy też były pokaleczone.

Nigel wyjął z torby cienką rurkę.

– Przez moment może piec – ostrzegł.

Kysandra wzruszyła ramionami.

Rurka zasyczała, gdy przysunął ją do poranionej skóry. Zaczął poruszać ręką w dziwny sposób, jakby malował podeszwy jej stóp.

Miał rację: piekło. Syknęła z bólu, wciągając powietrze przez zaciśnięte zęby. Potem straciła czucie w stopach.

– Środek odkażający i łagodny anestetyk – wyjaśnił pospiesznie Nigel. – Zobaczymy, synderma powinna tu pomóc.

Wyjął następną rurkę.

Teraz Kysandra popatrzyła z zaciekawieniem i zdążyła zobaczyć, jak z tej drugiej rurki wytrysnęła niebieskawa mgiełka. Pianka przywarła do jej skóry, rozlewając się po niej i tworząc cienką, równą warstewkę.

– Dobrze. Bałem się, że Pustka na to nie pozwoli.

– Co?

– Pustka zakłóca działanie wielu elektrycznych urządzeń. Nie wiedziałem, jak wpłynie na tworzenie syndermy. To jednak głównie reakcja biochemiczna.

– Och.

Niewiele pojęła.

– Muszę usunąć materiał z twoich kolan.

Kysandra zrozumiała, że prosił o pozwolenie.

– Jeśli musisz.

Jego teka rozerwała bawełnę majtek, jakby były z powietrza.

Teka Upadłych jest silniejsza od naszej.

Potem opryskał jej skaleczenia tym czymś z pierwszej rurki. Kolana zapiekły, ale zaraz przestały. Odetchnęła z ulgą. Nałożył tę niebieską piankę. Była jak warstwa skóry, tylko mocniejsza.

– I już – powiedział uszczęśliwiony. – Gotowe. Synderma pomoże zregenerować się twojej skórze. Zejdzie sama, kiedy będzie po wszystkim. Może za parę dni.

– Jasne.

– Kysandro.

– Tak?

– Widziałaś kiedyś coś takiego?

– Nie – przyznała.

Gestem wskazał otaczające ich regały z książkami.

– Przez ostatnie dwa dni zrobiłem przyspieszony kurs waszej historii. Głównie czytałem o Upadłych. Ale powiedz mi, czy wiecie, że ludzie przybyli na Bienvenido z innej planety?

– Tak, oczywiście. – Kysandra ruchem głowy wskazała pięć grubych tomów Kronik Lądowania. Przeczytała je wszystkie. – Kapitan Cornelius przywiózł nas tutaj na swoim statku.

– Dobrze. W porządku. Zatem, czy to będzie za wiele, jeśli cię poproszę, abyś uwierzyła, że przybyłem z tego samego miejsca co ten pierwszy statek?

Obraz tego statku-ptaka spadającego z nocnego nieba był bardzo wyraźny w jej pamięci. Uparcie nie chciała tego przyznać, ale w głowie miała chaos galopujących myśli, niosących tyle różnych emocji. Nie mogła pozwolić, by zdominowała je nadzieja. Nadzieja zawsze okazywała się złudna. Nie uwierzy, że on przyleciał na Bienvenido. *Chociaż to byłoby cudowne.*

– Czy możesz to przynajmniej uznać za możliwe? – nalegał Nigel.

– Chyba tak. – *W książkach piszą o lataniu w kosmosie, to historyczny fakt, a więc kiedyś mogliśmy to robić.* – Jednak...

– To niewiarygodne. Wiem. To musi być szokujące. Zatem zróbmy sobie przerwę i spróbuj się trochę odprężyć. Może się ubierzesz? A kiedy będziesz gotowa, zabiorę cię i pokażę ci mój kosmolot. To powinno w końcu cię przekonać. Bo jeśli nie, to nie wiem, co zdoła.

– I co potem? – spytała.

– Potem porozmawiamy. Kiedy będę wiedział, że uwierzyłaś, odpowiem na wszystkie twoje pytania. A wierz mi, będziesz miała mnóstwo pytań.

Spojrzała na niebieskie plamy tej... tego czegoś na swoich kolanach. Nigdy nie widziała czegoś podobnego. Instykt jej podpowiadał, że to naprawdę jest coś nie z tego świata. A Upadły nie opatrzyłby jej ran w taki sposób.

– W porządku – powiedziała ostrożnie.

Ponieważ jeśli naprawdę istniało coś takiego jak kosmolot, po prostu musiała go zobaczyć.

* * *

Granatowa sukienka pasowała idealnie. I cudownie było mieć ją na sobie – taką czystą i świeżą. Nie pamiętała, kiedy ostatnio miała na sobie coś nowego. Sarara zawsze brała używane rzeczy wydawane przez organizację dobroczynną w mieście, łątała dziury i cerowała swetry. Dowód na to, jakie były ubogie. Jednak ta sukienka... Kysandra stała przed lustrem i po prostu nie mogła powstrzymać uśmiechu, który unosił kąciki jej ust, gdy się podziwiała. Złocistorude włosy opadały jej na ramiona długimi falami, nie jak zwykle splątane w supły, które tak piekielnie trudno było rozczesać. Jakby spędziła tydzień w salonie piękności. Szczerze nienawidziła Madeline, ale musiała przyznać, że ta kobieta dużo wiedziała o

pielęgnacji włosów. *Musze się postarać i utrzymać je w takim stanie* – pomyślała. I natychmiast wzmocniła swoją osłonę, żeby on tego nie wychwyił. Patrząc nieco uważniej w lustro, dostrzegła pryszcze na nosie, kolejne na brodzie i jeden na policzku. Westchnęła; czy kiedyś przestaną się pojawiać?

Kiedy zeszła po schodach, Nigel czekał w korytarzu. Stopnie też zostały naprawione; ani jeden nie zatrzeszczał pod jej ciężarem.

– No dobrze – rzekł Nigel. – Gotowa zwiedzić pierwszy prawdziwy kosmolot?

– Chcę, żeby był prawdziwy – odparła. – Naprawdę chcę.

– Wiem. Chodź.

Poszli nad rzekę, przez dawną szachownicę pól, które teraz były tylko prostokątami chwastów i pnączy rozdzielonymi przez zdziczałe żywopłoty. Do brzegu była przycumowana łódka. Kysandra nigdy takiej nie widziała. Łódka była owalna i zrobiona z jakiegoś pomarańczowego tworzywa. Była czymś obcym – nie znalazła na to innego słowa.

Przez rzekę była przeciągnięta lina, przywiązana do drzew na drugim brzegu. Nigel uklęknął na dnie łódki i chwytając się liny, przepawił ich przez rzekę.

Kysandra tylko parę razy była na drugim brzegu. Rosnący po tamtej stronie doliny las był mroczny i niegościnnie. Grube pnie jego drzew były gęsto upakowane i opierały się o siebie, jakby zrastając się kilka metrów nad ziemią i tworząc nieprzerwany baldachim pierzastych i wachlarzowatych liści koloru akwamaryny i szmaragdu. Te drzewa, które uschły, nadal stały wspierane przez sąsiednie, zmieniając się w filary jadowicie pomarańczowych i szarych grzybów. Wąskie luki wypełniały pnącza, jakby jakiś gigantyczny pajęczak zmienił ten las w swoją olbrzymią sieć.

W tej gęstej pajęczynie lian wycięto ścieżkę tak niedawno, że ich przecięte końce wciąż broczyły lepkiem sokiem. Ziemia pod nogami była sprężysta, ilasta i wydzielala kwaskowatą woń. W cieniu roily się muszki tatus i większe od nich stykmy. Słyszała jakieś małe stworzenia szeleszczące w listowiu, choć telepatycznie wykrywała tylko busalory biegające w swych wilgotnych podziemnych norach.

Potem jej zmysły wyczuły to coś przed nimi. Musiało spaść niemal pionowo, gdyż nie zostawiło długiego pasa strzaskanych drzew. Stało w niedużym kręgu powalonych pni.

Miała rację co do kształtu: duży bulwiasty obiekt z trójkątnymi skrzydłami na obu bokach; gdy przelatywał nad farmą, te skrzydła wydawały się o wiele większe. Kiedy stała na skraju polany i patrzyła nań, jego powierzchnia była intensywnie zielona w tych miejscach, na które padało słońce; pozostałe wydawały się czarne jak węgiel. Jej zaskoczone spojrzenie przykuło stado około dwudziestu neutów, biernie kręcących się wokół.

– Po co tu są? – zapytała.

– Potrzebuję pomocy, żeby wskrzesić farmę – odparł Nigel. – Ich jaja są formowane w użyteczne genistary.

– W genico?

– Wy nazywacie je modami.

– Och. Wiesz, jak adaptować jaja neutów?

– Znam teorię, ale właściwe formowanie wykonuje smartkor, mózg statku.

– Statku?

Patrzyła na ten gładki obcy obiekt, który zakończył swój lot w taki niezgrabny sposób, z łoskotem spadając tu na ziemię, i uświadomiła sobie, że już się nie boi. Strach zastąpiła przemożna ciekawość. I podziw.

– Chodź.

Wyciągnął do niej rękę.

Trzymała ją mocno, gdy na burcie statku uformował się i otworzył owalny właz, ukazując krótki biały korytarz oświetlony tak jasno, jakby w środku umieszczono słońce.

– On naprawdę tu jest!

* * *

Nigel pochodził ze Wspólnoty. Ta była unia zamieszkanych przez ludzi planet, istniejąca poza Pustką. Zupełnie inny wszechświat. Przybył sprawdzić, co się stało ze statkami, którymi kapitan Cornelius wleciał w Pustkę.

– Dlaczego? – zapytała Kysandra.

Siedziała na owalnym fotelu, który wyrósł z podłogi pustej owalnej komnaty zwanej przez niego główną kabiną. I Nigel się nie mylił: miała tak wiele pytań, że głowa jej pękała od ich natłoku.

– Nie wiemy, jak przedostali się przez barierę, która odgradza Pustkę od reszty wszechświata.

– Ty przez nią przeleciałeś.

– To co innego. Pewni obcy, nasi sojusznicy, rozerwali barierę na krótki czas, wystarczający, żebym zdołał się przedostać. Spędziłem siedem lat w stanie hibernacji... takim długim śnie... podczas gdy Władca Niebios prowadził mnie do tego świata.

– Latałeś w kosmosie.

Było chyba najcudowniejszą rzeczą ze wszystkiego pomyśleć, że ludzie nadal mogą to robić – że nie tylko kapitan Cornelius podróżował między planetami. Tam, we Wspólnocie, gdzie były setki światów, a wszystkie pełne cudów, ludzie latali między nimi cały czas.

– Proszę, zabierz mnie tam, do tej Wspólnoty, z której przybyłeś. Proszę, Nigelu. Pomogę ci we wszystkim, czego będziesz potrzebował, będąc tutaj, ale potem...

Posłała mu najgorętsze błaganie, dając upust swym tęsknym myślom, żeby mógł je poczuć.

– Trudno będzie się stąd wydostać – rzekł zmieszany. – Nie spodziewałem się, że będę próbował.

– Ale możesz to zrobić – nalegała. Szerokim gestem pokazała ten wspaniały kosmolot z jego czystym powietrzem i jasnym oświetleniem. Latająca maszyna! – Jesteś taki mądry. Wiesz wszystko, co trzeba wiedzieć.

– Ha!

Jego gorzki śmiech ją zaskoczył.

– Właściwie jestem najgłupszą osobą w galaktyce. – Znacząco spojrzął na sufit. – Chociaż nie jedyną.

– Nie rozumiem.

– Myśleliśmy, że w Pustce jest tylko jedna planeta, na której żyją ludzie... Querencia. Jakże się myliliśmy. Powinniśmy byli wiedzieć, zrozumieć, ale nie; takie przyjęliśmy założenie, co zawsze jest głupotą. Zrobiliśmy to, ponieważ całej naszej potędze i wiedzy towarzyszy ogromna doza arogancji. No cóż, dziękuję, wszechświecie, za dobrą lekcję pokory.

– W Pustce istnieje więcej niż jedna planeta?

– Najwyraźniej.

– I na nich też żyją ludzie?

– Żyli, Kysandro. Tylko tyle mogę ci powiedzieć. Zdołali przesłać nam wiadomość. Jednak to było dawno temu. A ja jestem teraz tutaj, a nie na Querencji.

– I co zamierzasz zrobić?

Nigel pomasaował skronie.

– Moim pierwotnym celem było dostać się do Makkathranu, będącego żywym kosmolotem obcych, który zdołał przetrwać na Querencji, i wysłać wszystkie zebrane informacje Wspólnocie oraz jego twórcom. Teraz jednak będzie to bardzo trudne. Mój statek nie może już latać. Pustka uszkodziła jego maszyny... a przynajmniej ich część. Im bliżej jesteś planety, tym jest gorzej.

– Zatem nie możesz mnie zabrać do Wspólnoty?

– Nie sądzę. Przez jakiś czas będę stąd badał Pustkę. Może jeśli zdołam przeprowadzić analizę jej struktury, znów będę mógł latać. Jednak na razie bardziej interesują mnie Upadli. Nie rozumiem, czym są. Na Querencji nie są taką plagą jak na Bienvenido.

– Zawsze tu byli – powiedziała mu. – Od samego początku. Tak napisano w Kronikach. Kapitan Cornelius zrozumiał, jacy są groźni, gdy tylko statek tu wylądował. Utworzył pierwszy regiment, meorski, żeby z nimi walczył; potem stworzył Gildię Obserwatorów, aby ostrzegała wszystkich o upadkach jaj. Oraz Instytut Badania Upadłych, żeby się dowiedzieć jak z nimi walczyć. Gdyby nie on, nie przetrwalibyśmy.

– Dowiedziałas się tego w szkole?

– Tak.

– Interesujące. Zatem Upadli już tu byli, gdy przyleciały statki kolonistów. Pewnie są więźniami, tak jak my.

– Więźniami?

– Tak. Jeszcze na to nie wpadliście? Pustka jest więzieniem; pożera dusze dla jakichś swoich własnych, pokrętnych celów. Ludzi. Ich myśli. Ich umysły. Są jak pożywienie, które zostaje wessane do Serca Pustki.

– Aby na wieki żyć tam w chwale. Każdy o tym wie.

– Naprawdę? Widziałaś kiedyś tę chwałę? Zawsze domagaj się dowodu istnienia rajów, zanim pójdziesz za mesjaszami, którzy ci go sprzedają. A ci faceci nie mają najlepszych notowań we wszechświecie.

– Wątpisz w Przewodnictwo Władców Niebios? – zapytała zaszokowana.

– Wątpię w każdą ideologię, która nie ujawnia swoich celów i oferuje tylko obietnice lepszego jutra. No ale ja jestem tylko starym, tysiącletnim cynikiem. Sama musisz zdecydować, Kysandro. A do tego potrzebujesz informacji. Wielu informacji.

Rozejrzała się po kabinie, zaskoczona tym, że jest taka przygnębiona w dniu, gdy odkryła prawdę o wszechświecie.

– Chcę się uczyć – powiedziała mu. – Tylko tego zawsze chciałam.

Gdzieś w jej podświadomości tliła się nadzieja, że na tym statku jest biblioteka, może nawet większa od tej w Adeone.

– W tym mogę ci pomóc – rzekł. – Może nie będę mógł zabrać cię do Wspólnoty, ale na pewno mogę przyprowadzić Wspólnotę do ciebie. Uważaj to jako zapłatę za przykrywkę, którąmi zapewniłaś. Co ty na to?

Kysandra uśmiechnęła się tak, jak nie robiła tego przez osiem ostatnich lat.

* * *

– Połóż się, to nie będzie bolało – zachęcał Nigel.

Kysandra mu nie wierzyła. Mimo to się położyła. Komora medyczna – cylindryczna i przypominająca srebrzystą trumnę – wysunęła się ze ściany kabiny. Jej owalne wieko rozeszło się w magiczny sposób, ukazując miękki materac w środku.

– Zostawię ją otwartą – powiedział Nigel. – Jeśli nie jest się przyzwyczajonym, można dostać klaustrofobii.

Kysandra milczała w obawie, że głos jej się załame. Starła się wywołać w sobie przekonanie, że to nie ma nic wspólnego z Upadłymi. Nie zostanie pożarta. Prawdopodobnie.

– Zaczynamy. – Nigel uśmiechnął się krzepiąco.

Srebrzyste boki kapsuły wypuściły cienkie wici, które poruszały się jak węże. Zaczęły szturchać i trącać jej ciało. Wchodząc do komory, zdjęła suknię, ale Nigel zapewnił ją, że może zostać w bieliźnie. Kolejne wici wyrosły wokół jej głowy i cała ich masa wiła się w jej włosach. Z trudem przełknęła ślinę, usiłując być dzielna.

– Dobrze sobie radzisz. Leż nieruchomo.

– To twój lekarz? – zapytała.

– Pewnego rodzaju, tak. Chociaż umie znacznie więcej, niż tylko leczyć.

Miał zamknięte oczy i skupioną minę, jakby coś czytał.

Czy to może usunąć pryszcze?

– Interesujące – powiedział.

– Co takiego? – spytała.

– Mówiłaś, że kapitan Cornelius wylądował tu trzy tysiące lat temu?

– Tak.

– To nam daje co najmniej sto dwadzieścia pokoleń. W wyniku dryfu kilka sekwencji genów Zaawansowanych uległo rozerwaniu. Bo nie wierzę, żeby Pustka na dodatek popieprzyła wasze DNA. Oczywiście, we Wspólnocie nie mamy stupokoleniowego odnośnika, z którym moglibyśmy to porównać, a większość naszych pokoleń wciąż wprowadza ulepszenia co dwadzieścia lat. Jednak tak wysoki stopień regresji to coś, na co będą musieli uważać genetycy.

– Och. – *Cokolwiek to oznacza.*

Otworzył oczy i uśmiechnął się.

– Obywatele Wspólnoty mają pewne dodatkowe biologiczne... hm... zdolności wbudowane w swoje pierwotne ciała. To wyspecjalizowane komórki pomagające porozumiewać się na odległość, podobnie jak telepatycznie, ale o wiele szybciej i dokładniej. Pamięć również można zorganizować lepiej niż w taki przypadkowy sposób, w jaki zrobiła to natura.

– I ja już ich nie mam?

– Masz, ale są trochę słabsze. I odłączone od twojego mózgu.

– Zatem nie mogę poznać wiedzy Wspólnoty, jak obiecywałeś?

Uśmiechnął się, widząc jej rozczerwaną minę.

– Zawsze są inne możliwości. Wprowadzę kilka zamiennych ścieżek neuronowych do klastrów wielkokomórkowych, żeby zintegrować wtórny obieg. To standardowa metoda leczenia. Są także nowe czynniki stymulujące inne zaawansowane cechy. Chociaż to chwilę potrwa, zanim resekwencjonowanie przyniesie rezultaty.

No nie, nadal nie mam cholernego pojęcia, o czym ty mówisz.

Minął rok, od kiedy Kysandra przestała chodzić w co drugi weekend do szkoły pani Brewster. Naprawdę jej tego brakowało; szkoła była jedynym elementem jej życia, który pozostał normalny. Dzięki naukom i przekazom nauczycielki szybko opanowała podstawowe umiejętności: czytania, pisania i liczenia. Pani Brewster była jedyną osobą, z którą mogła rozmawiać o tych zdumiewających sprawach, o których czytała w książkach ojca. A nauczycielka opowiedziała jej o uniwersytecie w Varlanie, gdzie ludzie po całych dniach tylko czytali i uczyli się. Kysandrze wydawało się to istnym darem Giu.

– Warto złożyć podanie – zasugerowała pani Brewster, gdy zbliżały się szesnaste urodziny Kysandry.

– Będzie jej dobrze jako żonie farmera – odparła na to Sarara – więc niech pani nie nabija jej głowy takimi nierealnymi bzdurami. Musi się przygotować do prawdziwego życia.

I od tej pory nie pozwalała jej chodzić do szkoły.

A teraz Nigel obiecywał wiedzę wykraczającą poza wszystko, co kiedykolwiek czytała na Bienvenido. Prawdę o całym wszechświecie.

Coś ją ukłuło w tył głowy.

– Auć.

– Przepraszam – rzekł machinalnie Nigel.

Kysandra poczuła się trochę pewniej. *Wiedziała, że będzie bolało.*

Przez kilka minut nic się nie działo, a potem wszystkie srebrzyste nici wycofały się i przywarły do boków kapsuły, wtapiając się w obudowę.

– Możesz już się ubrać – powiedział Nigel.

Odwróciła się do niego plecami, wkładając sukienkę. *Śmieszne.*

– A więc to będzie jak przekaz telepatyczny? – zapytała.

– Coś w tym rodzaju.

Kiedy opuszczali statek, była przekonana, że wokół kręci się więcej neutów niż poprzednio.

– Jakie mody adaptujesz? – zapytała, gdy przepływali rzekę w tej łódce z pomarańczowego materiału.

I pomyśleć, że godzinę temu nawet to robiło na niej wrażenie.

– Głównie ge-mały i szympany. Podobne do waszych mod-karłów i mod-małą. Na początku będą najbardziej przydatne.

– Zatem te ge-formy pochodzą z tej drugiej planety, na której wylądowały statki?

– Tak.

Spojrzała na niebo z przepływającymi wysoko pasmami chmur.

– Gdzie ona jest?

– Querencia? Nie mam pewności. Niektóre mgławice są takie same. Wasz Giu to ich Morze Odyna, a Uracusa nazywają Honiousem. Jednak wszystko poza tym jest inne. Pustka może mieć różne wewnętrzne kieszenie, jakby cząstki pomarańczy; albo tamtejszy odpowiednik kwantowej geometrii czasoprzestrzeni jest zawinięty bardziej, niż się spodziewaliśmy.

– Myślę, że muszę poczekać na przekaz wiedzy Wspólnoty. Powiedz mi, jak wyglądało życie na tej drugiej planecie Pustki.

– Znaleźli Makkathran, którego część była miastem zmodyfikowanym przez rasę przebywającą na Querencji przed ludźmi. Było opuszczone, więc podejrzewam, że wszyscy zostali pożarci, kimkolwiek byli. Na Makkathranie ludziom żyło się łatwiej niż na Querencji, więc ich społeczeństwo zostało nieco inaczej ukształtowane niż wasze, sądząc po tym, co widziałem dotychczas.

– Czy tą wcześniejszą rasą byli Upadli?

– Nie. Jak powiedziałem, zupełnie nie rozumiem ich istnienia. Żałuję, że nie miałem czasu dokładniej zbadać Lasu, lecąc tutaj. Miał bardzo niezwykłą sygnaturę kwantową.

– Co?

– Przestrzeń była tam jakaś inna. Nie martw się. W końcu to zgłębię. Była jeszcze jedna anomalia, ale tutaj, na Bienvenido.

– Na naszej planecie jest Las? – zapytała zaniepokojona.

– Nie, nie. Kiedy schodziłem do lądowania, „Gwiezdna Dama” wykryła coś niezwykłego daleko na wschód stąd... dziwne wskazanie czujników. Pewnie nie wiesz, gdzie wylądowały pierwsze statki?

– Kapitan Cornelius wylądował tam, gdzie teraz znajduje się Varlan. Jego pałac zbudowano nad statkiem.

Nigel uniósł brew.

– Naprawdę? Zastanawiam się, czy jakiś inny statek z osadnikami nie wylądował na wschodzie. Czujniki wykryły duże ilości metalu i metaloceramiki.

– Nic o tym nie wiem – powiedziała i zastanowiła się. – Jest Pustynia Kości.

– Co takiego?

– Pustynia Kości; prawie na samym wschodnim wybrzeżu. Nikt się tam nie zapuszcza. Podobno jest nawiedzona. Pierwsi badacze, którzy próbowali ją przejść, postradali zmysły. – Wzruszyła ramionami. – Tak głosi plotka.

– Robi się coraz ciekawiej. I dlaczego tej pustyni nadano taką nazwę? Czy w tym domu jest jakaś mapa? Chciałbym sprawdzić, czy odebrany przeze mnie sygnał został wysłany stamtąd.

– W bibliotece jest atlas. Myślę, że Pustynia Kości znajduje się jakieś trzy tysiące mil stąd.

– To żaden problem. Możemy odwiedzić to miejsce, kiedy wtopię się tu w otoczenie. Zajmę się handlem; to będzie dobra przykrywka, która pozwoli mi podróżować, gdzie zechcę.

Gdy zbliżali się do farmy, zauważyła, że człowiek-lalka na dachu prawie skończył naprawiać dachówki.

– Czy oni nigdy nie odpoczywają?

– Nigdy.

* * *

Tego wieczoru zasiedli przy stole w jadalni i jedli na kolację makaron z rybą, przygotowany przez Nigela. W pierwszej chwili Kysandra myślała, że się błyska. Nigel przyniósł kilka cienkich metalowych pudełek wielkości dłoni. Nazywał je „modułami”. Wydawało się, że nie działają. Niektóre miały światełka świecące przez podobne do owadzich oczu obiektywy. Jednak nie one były źródłem światła. Zdawało się palić w głębi jej oczu.

Błyski powoli zwolniły tempo i utworzyły pięć mglistych gwiazd ułożonych w prosty pięciokąt, po czym zaczęły się zmieniać.

– Nigel! – zawołała. – Co się dzieje?

Z tych gwiazd tworzyły się wzory, niemające nic wspólnego z tym, co widziały oczy Kysandry. Tak jak telepatyczny obraz, unosiły się w środku jej percepcji, ale były wyraźne i kolorowe. Koncentryczne kręgi powoli się rozszerzały i pogłębiały, jakby zagłębiała do cylindra o pierścieniowatych ścianach. Wykwitły zielone linie, tworząc zarys piramidy. Kule złożone z kul, które wciąż się zwielokrotniały, jak pęcherzyki piany w wannie hotelu Hevlin.

– Ścieżki, które wprowadziłem, ustabilizowały się. Teraz się aktywują, to wszystko. Nie bój się. Wszystko przebiega najzupełniej normalnie.

Wziął ją za rękę.

Dotyk jego dłoni był przyjemny, ale wciąż się bała. Nagle usłyszała w myślach czyjś głos – szepczący jakieś bezsensowne słowa. Jęknęła z przerażenia.

– Wszystko w porządku – rzekł natychmiast Nigel. – Słuchaj tego głosu. Powie ci, co masz teraz zrobić.

Przygryzła wargę, ale skinęła głową. Starła się ochłonąć i nie wciągać tak spazmatycznie powietrza do płuc.

– Rozumiesz, co mówię? – zapytał obcy, niemy głos. – Jeśli tak, powiedz to, proszę, głośno.

– Tak.

– Jestem podstawowym pakietem pamięci operacyjnej do działania klastrów wielkokomórkowych. Wykonuj podawane polecenia. W górnej części twojej egzowizji jest ikona w kształcie czerwonego diamentu. Proszę, znajdź ją.

– Widzę ją.

– W celu załadowania tego pakietu do twojego klastra musisz sobie wyobrazić, że ten diament się rozszerza. Potem obróć go o sto osiemdziesiąt stopni w prawo. Aby anulować pobieranie, obróć go w przeciwną stronę. Rozumiesz?

– Tak.

– Proszę, dokonaj wyboru.

Wyboru? Chyba żartujesz, do cholery. Jakbym mogła tego nie chcieć!

Diament rozszerzył się i obrócił w prawo, jakby Kysandra posłała mu telepatyczny rozkaz.

Coś przypominającego skrzyżowanie najszybszego z możliwych przekazu telepatycznego ze strumieniem lodowato zimnej wody wtargnęło w jej umysł. Te obce myśli rozpadły się i wtopiły w jej wspomnienia. Ikony nagle jakby się wyostrzyły. Każda funkcja wskoczyła na swoje miejsce. A ona rozumiała je wszystkie. Jak się podłączyć do banków informacji, jak wezwać kogoś, jak pobrać dane, jak otrzymywać przekazy rozrywkowe, jak utworzyć swój adres, jak... jak... jak...

– Zaraza Uracusa – mruknęła.

Większość zaawansowanych funkcji jej ciała pozostawała bierna, ale badanie medyczne średniego stopnia było dostępne. Mogła odczytać zawartość toksyn w organizmie, poziom tlenu, przewodnictwa nerwowego, wydolności mięśniowej, stan serca, poziom hormonów i aktywności neurologicznej.

– Tyle tego! – wykrzyknęła, machając rękami jak pisklę skrzydłami. – Jak mieszkańcy Wspólnoty żyją, wiedząc tyle przez cały czas?

Po drugiej stronie stołu Nigel znów siedział na krześle, obserwując ją z rozbawieniem. Ikony egzowizji nakładały się na jego obraz, ale go nie zasłaniały. To było bardzo dziwne. Poruszyła się ikona wezwania z kodem identyfikującym Nigela Sheldona jako rozmówcę.

Zezwoliła na połączenie – nie zastanawiając się, jak to zrobić, po prostu pozwalając. Ikony ustawiały się we właściwej kolejności, kiedy o nich myślała.

– To może być przytłaczające – rzekł jej Nigel. – Musisz po prostu nauczyć się filtrować. Pomogą ci w tym zapasowe procedury.

Uśmiechnęła się uradowana. Jego wargi nie poruszyły się i nie wysłał jej telepatycznego przekazu. Wykorzystał to nowe, bezpośrednie połączenie.

– Fantastyczne! – posłała w odpowiedzi. – Teraz chcę się dowiedzieć więcej. Chcę wiedzieć wszystko o wszystkim.

– Myślę, że lepiej zacznijmy od podstawowych pakietów edukacyjnych, stopniowo je poszerzając.

Roześmiała się zadowolona.

– Zaczynamy.

DWA

– Umiem zbliżać – oznajmiła głośno Kysandra, zbiegając po schodach.

Egzowizja pokazała jej, że Nigel jest w bibliotece i próbuje nauczyć najstarszego modkarła farmy, jak przewracać kartki książki po jednej. Biedny starzec nie miał już czucia w chudych dłoniach i wciąż przerzucał po kilka stron naraz. Nad stołem na drewnianej ramie był umieszczony prosty moduł pamięci, którego kamera skanowała tekst.

Poprzedniego dnia Kysandra wyprawiała się z Nigelem do Adeone, by uzupełnić zapasy – zarówno żywności, jak i innych podstawowych artykułów.

– Nie możemy używać semiorganicznych syntetyzatorów statku do produkowania wszystkiego, nawet gdyby były idealnie sprawne – rzekł Nigel. – A ja nie mogę pozwolić, żeby farmę Blairów uważano za kryjówkę jakiegoś bogatego faceta. Nie chcę zwracać na siebie uwagi. Muszą nas uważać za zwyczajną farmę.

Może statek nie był w stanie wytworzyć wszystkiego swoimi duplikatorami, ale Nigel niewątpliwie skłonił go do produkowania idealnie podrobionych monet Bienvenido. Kysandra z grubą i ciężką sakiewką obeszała sklepy, wybierając sobie tuzin sukni i bardziej praktycznych ubrań (ale nie butów; te produkowane przez statek były nie do pobicia). Potem pokazała Nigelowi, u którego sprzedawcy zamówić węgiel, zaprowadziła do porządnego tartaku, sklepu żelaznego, stajni, na miejskie targowisko... Żadne z tych miejsc nie było powiązane z Ma Ulvon. Nigel wydał małą fortunę na rzeczy potrzebne, aby farma znów mogła produkować żywność. Ludzie słuchali tego z zadowoleniem. Zatem miał rację; bogaty przybysz, który tutaj osiadł, był interesujący, ale nie budził podejrzeń. Ponadto cieszyli się jej szczęściem. Dawne koleżanki ze szkoły przystawały, żeby jej pogratulować.

Kiedy skończyli zakupy, poszli do biblioteki; Nigel zapisał się i pożyczył tuzin książek z zakresu historii i prawa.

– Dlaczego prawo? – zapytała. W bibliotece na farmie nie było żadnych książek prawniczych; ta dziedzina zupełnie jej ojca nie interesowała.

– Tworzy podwaliny społeczeństwa. Jeśli chcesz zrozumieć, jak funkcjonuje rząd, prawo ci to wyjaśni.

Teraz pozostało mu tylko załadowanie wszystkich tych tekstów do smartkoru statku. Modkarzeł był zadowolony z pracy, którą mógł wykonywać na siedząco, ale zirytowany swoją nieudolnością. Nigel tracił sporo czasu na uspokajanie go. Podniósł głowę, gdy Kysandra wpadła do pokoju.

– Zbliżać kogo i gdzie? – zapytał.

Kysandra pokręciła nosem na to jego dziwne poczucie humoru.

– Oczami, głuptasie. Mogę nimi przybliżyć obraz.

– Doskonale. Resekwencjonowanie przebiega prawidłowo. Dobrze, gdyż to potwierdza tezę, że Pustka pozwala działać modyfikacjom genetycznym. A co z widzeniem w podczerwieni?

– Jest – potwierdziła, chociaż te obrazy były po prostu dziwaczne. Wszystko miało inne barwy, a ich jaskrawość pogłębiała się w zależności od temperatury obiektu. Ale to i tak było lepsze od wzmacniania światła przy nocnym widzeniu, które było jeszcze dziwniejsze. – Mam je.

– Świetnie.

– Jesteś dobry w uspokajaniu modów – zauważyła, pokazując karła skupionego na przewracaniu kartek.

– Miałem dobrego nauczyciela.

– Zamierzam dobrze się przyjrzeć trzeciej stodole – powiedziała. – Nadal myślę, że lepiej byłoby ją rozebrać i postawić nową.

Nigel miał wielkie plany rozbudowy farmy, poczynając od zbudowania stodoły dostatecznie dużej, żeby można było ukryć w niej kosmolot przed oczami ciekawskich. Utworzenie skromnej bazy przemysłowej było częścią jego misji, w ramach której miał zebrać jak najwięcej dokładnych informacji o Pustce. A „Gwiezdna Dama” odgrywała w tym kluczową rolę. Smartkor statku mógł kontrolować jednocześnie dziesiątki modów i zdalnie nimi sterować. Jednak przesył generowany przez bioprocessor smartkoru miał ograniczony zasięg. Statek był im potrzebny na farmie.

– Jasne – powiedział.

– Dziś rano implantowano mi zasoby pamięci cieśli – zapewniła Nigela. – Powinam rozpoznać, które krokwie i legary są jeszcze mocne, a które nie.

Implanty pamięci Wspólnoty były absolutną rewelacją. Przyjmowała po cztery dziennie – bo na tyle pozwalał jej Nigel. Przez pierwsze trzy dni uzupełniała swoją wiedzę do poziomu nastolatków we Wspólnocie. Teraz już rozumiała wiele tych nowych koncepcji, ale musiała jeszcze poznać szczegóły. Dzielila przyswajane wiadomości na praktyczne umiejętności i ogólną wiedzę.

– Nie spiesz się – powtórzył jej po raz setny. – Potrzebujesz czasu na przyswojenie tych wszystkich nowych danych. To musi się uleżeć.

– Tak jak kazałeś, wykorzystuję moje magazyny pamięci, żeby nie przeciążyć mózgu. Nic mi nie będzie. Ponadto i tak już wiem wszystko o rodzimych gatunkach drewna; umiejętności ciesielskie tylko wzbogacają tę wiedzę.

– No, posłuchajcie eksperta od neurologii – mruknął sarkastycznie.

Uśmiechnęła się. W jej egzowizji pojawiła się ikona. Jeden z czujników, które rozmieścili w dolinie, pokazał jej duży wóz zjeżdżający z publicznej drogi trzy mile dalej i podążający traktem wiodącym przez dolinę. Ponieważ Pustka zakłócała łączność elektromagnetyczną, z tak dużej odległości obraz był kiepski. Nie mogła rozpoznać ludzi jadących na tym wozie.

– Nie spodziewaliśmy się żadnej dostawy wcześniej niż w przyszłym tygodniu – powiedziała odruchowo. – Najpierw powinni przywieźć węgiel, a to nie jest wóz starego Sterona.

– To nie jest dostawa – powiedział Nigel.

Zazwyczaj Kysandra wyczuwała uczucia rozmówcy, nawet jeśli skrywał swoje myśli za szczelną osłoną. Jednak nieprzenikniona osłona Nigela zupełnie zbijała ją z tropu. Patrząc, jak siedzi zupełnie nieruchomo, wysyłając smartkorowi strumień zaszyfrowanych poleceń, nagle zrozumiała, jak niebezpieczny może być ten człowiek z innego wszechświata.

Kolejny czujnik, umieszczony nieco dalej przy szlaku, przesłał lepszy obraz przejeżdżającego wozu i jego trzech pasażerów.

– O nie – jęknęła.

Na wozie siedzieli Akstan, Julias i Russell – kolejny z braci.

– Moja wina. Nie powinienem zostawiać tak ważnej sprawy niezafatwionej – powiedział Nigel. – To było głupie z mojej strony. Może za bardzo bałem się zdemaskowania. Zapewne wskutek szoku. No cóż, teraz to zakończę.

– Zamierzasz ich zabić? – spytała spokojnie.

Wspólnota dysponowała naprawdę zdumiewającym asortymentem broni, chociaż połowa jej zapewne nie działała w Pustce. Chłopcy Ma z ich półautomatycznymi śrutówkami i nożami myśliwskimi nie mieli żadnych szans.

– Nie. To byłoby marnotrawstwo.

– Marnotrawstwo? Co więc chcesz zrobić?

– Zwerbować ich.

– Hm, Nigelu, oni są bardzo oddani Ma.

– Czy powiedziałem, że będą mieli wybór?

Kysandra zadrżała, słysząc zimny ton jego głosu. Jej u-adiunkt miał dostęp do różnych czujników wokół budynku, tworząc z ich obrazów jeden, który widziała w swojej egzowizji.

* * *

Wóz zatrzymał się tuż przed bramą osadzoną w walącym się ogrodzeniu. Julias zmarszczył brwi, patrząc na dom i widząc naprawiony dach, świeżo pomalowane wiatrownice, zreperowane okna, przycięte róże, przydomowy ogródek z rzędami posadzonych warzyw i do połowy odnowioną stodołę.

– Tydzień temu tak to nie wyglądało – powiedział. – Może ma jakąś pomoc.

– My też mamy – powiedział Akstan i poklepał kolbę śrutówki.

„Gwiezdna Dama” miała na pokładzie niewielkie stadko semiorganicznych ge-orłów. Nigel aktywował jednego i wydał mu zestaw poleceń, które mały smartkor ptaka mógł z łatwością wykonać. Załadował je i machając skrzydłami, szybko wzbił się w niebo.

Akstan energicznym ruchem przeładował śrutówkę i zsiadł z wozu. Bracia poszli w jego ślady, z bronią gotową do strzału. Utrzymywali szczelne osłony, ale żaden z nich nie trudził się maskowaniem. I żaden nie zauważył wielkiego sztucznego ptaka, szybko i cicho lecącego w ich kierunku. Egzowizja nie odróżniała jego semiorganicznych części od żywych tkanek. Tylko kontrolujący jego czynności bioprocessor mógł go zdradzić zbyt szybkimi i precyzyjnymi procesami myślowymi w porównaniu z naturalnymi, instynktownymi i odruchowymi ptasimi reakcjami. Jednak ta różnica była tak niewielka, że prawdopodobnie by jej nie zauważyli, nawet gdyby zbadali ge-orła.

Akstan posłał silny przekaz w stronę domu:

– Kysandro, hej, Kysandro, zechcesz tu wyjść? Tak będzie lepiej.

Nie pojawiła się.

Akstan popatrzył na braci. Russell wzruszył ramionami.

– No chodź, dziewczyno, należysz do mnie. Każdy to wie. Ten twój nowy facet... dzisiaj go odeślemy. Więcej go nie zobaczysz.

Cień przemknął po ziemi i trzech mężczyznach, kiedy ge-orzeł przeleciał pięć metrów nad nimi. Julias zmarszczył brwi, patrząc na wielkiego ptaka, najwyraźniej zaskoczony jego dziwnym wyglądem. Nie zauważył wypuszczonego przez ge-orła aerozolu.

– Wyjdź tu zaraz, Kysandro – wysłał Akstan myśl już lekko zabarwioną gniewem wywołanym jej biernym oporem. – Bo jak nie, to wejdziemy tam i cię wywlecjemy. A to nie będzie przyjemne.

– Co...? – mruknął Russell i stracił przytomność.

– Hm...? – jęknął Akstan i dołączył do brata, bezwładnie osunąwszy się na ziemię.

– I co teraz? – spytała Kysandra, gdy ZANdroidy wniosły trzech nieprzytomnych do budynku i położyły ich na podłodze największego pokoju.

– Ostatnio użyłem wobec nich łagodnej dominacji, żeby zgodzili się oddać mi ciebie i farmę – powiedział jej Nigel, beznamyślnie patrząc na uspiomych mężczyzn. – Najwidoczniej zbyt łagodnej.

– Dominacji?

– To metoda kontrolowania umysłów opracowana na pewnej planecie. Udoskonalił ją niejaki Tathal.

- Kontrolowanie umysłów? Chcesz powiedzieć, że możesz im rozkazywać jak modom?
- Niezupełne. Ta metoda zapewnia ich lojalność i sami chcą robić wszystko, o co się ich prosi.

Kysandra miała nadzieję, że nic się nie wymknie przez jej osłonę, gdyż to wydawało się jeszcze mniej przyjemne od zwykłego rozkazywania ludziom.

– I ty umiesz to zrobić?

– O tak. Wypróbowałem to na Ma i jej rodzinie, gdy udałem się po ciebie do miasta. Tylko niewystarczająco mocno, ponieważ się spieszyłem. Tym razem zrobię to jak należy.

Wszedł ZANdroid, niosąc duży zestaw medyczny. Nigel wyjął infuzor i przyłożył do szyi Akstana.

– To podniesie aktywność jego fal mózgowych na pogranicze świadomości. We Wspólnocie mamy kilka metod zmieniania osobowości, datujących się z czasów Wojny Gwiazdokrańcy, niektóre bardzo brutalne. Myślę, że zacznę od zmodyfikowanego narkomema; ten jest dość łagodny. Powinien pokonać instynktowny opór. Potem zastosuję procedurę Tathala.

Kysandra obserwowała cicho jęczącego Akstana. Myśli wydostawały się z jego nieosłoniętego uspiętego umysłu. Ujrzała swoją twarz przewijającą się w majakach produkowanych przez jego półprzytomny mózg, niepokojące seksualne obsesje, w których odgrywała główną rolę, jego wywołany rozczarowaniem gniew rodzący perwersyjne fantazje o zemście.

Wszystkie dotychczasowe wątpliwości co do słuszności zamiarów Nigela wyparowały jak poranna rosa w pełni lata. Stała nad nieprzytomnym Akstanem i telepatycznie obserwowała złożony strumień poleceń słanych przez Nigela do jego odsłoniętego mózgu. Było to bardzo interesujące.

* * *

Ciężkie chmury napływające z południowego zachodu zasnuły Adeone o jedenastej w nocy, przesłaniając mgławice i przynosząc uporczywą mżawkę. O drugiej w nocy miasto spało; bary i kluby były pozamykane, doki wymarłe, a ekipy magistrackich mod-karłów wróciły do swych stajni. Padający deszcz ukrócił nawet przestępcze działania miejscowych kryminalistów.

Lampy olejowe na ulicy Lubal pełgały i gasły jedna po drugiej, pozwalając ceniom rozszerzać się i pochłaniać całą jej długość.

Stojąc na końcu ulicy i odbijając osłoną krople siąpiącego deszczu, Kysandra spoglądała na hotel Hevlin. W podczerwieni jego szeroka biała fasada jarzyła się niebieskawo, gdy deszcz spływał po murach, chłodząc budynek.

Nigel stał obok, po jej lewej ręce. Egzowizja Kysandry nie była w stanie go wykryć. Oczywiście, Nigel miał znacznie lepszą niż ktokolwiek technikę maskowania, którą przekazał i jej. Nazywał to ukrywaniem. Tylko w podczerwieni widziała, gdzie on jest, zielono-

niebieski kontur nakreślony przez krople deszczu kapiące z jego obszernego brązowego płaszcza. W podczerwieni widziała także pozostałych, których zabrali ze sobą: Akstana, jego dwóch braci i trzy ZANdroidy stojące nieruchomo za nią.

– Jest dobry – przyznał Nigel, gdy telepatyczne spojrzenie omiotło ulicę, co robiło w kilkuminutowych odstępach. Ich maskowanie odbiło je z łatwością, ale znajdowali się jeszcze w odległości czterdziestu metrów.

Ktoś czuwał w holu Hevlinu, czujnie wypatrując kłopotów. Ma miała zbyt wielu wrogów, żeby zostawić to miejsce niepilnowane, nawet w taką noc jak ta.

– Akstan? – spytał Nigel.

– To pewnie Snony – rzekł Akstan. – Jest dobrym telepatą. I godnym zaufania.

– Musimy się dostać do środka tak, żeby nikt nie podniósł alarmu.

– Zostaw to mnie – powiedział ochoczo Akstan.

Kysandra musiała zacisnąć zęby i wzmocnić osłonę, żeby nie zdradzić swoich uczuć. Nigel w dwadzieścia minut zamienił ponurego Akstana w przyjacielskiego i nadgorliwego sprzymierzeńca. Widziała, jak wszyscy trzej posępni i mrukliwi bracia stali się jego wiernymi jak pieski sługami.

Akstan i jego bracia w pełni sobie na to zasłużyli; nie zamierzała temu zaprzeczać. Jednak ich los dobitnie świadczył o tym, że ten mężczyzna, który był dla niej taki dobry, potrafi być także zupełnie pozbawiony skrupułów. Cieszyła się, że ma do niej zaufanie. Jednocześnie zastanawiała się, czy zaaprobowała go z własnej woli. Może zdominował ją, kiedy spała po ich ślubie? *Tylko że... gdyby to zrobił, czy kiedykolwiek zadawałabym sobie to pytanie? Chyba że to jest częścią tej gry, budzenie wątpliwości, abym myślała, że mam wybór... Uracusie.*

– Czy zrobiłeś mi to? – wypaliła, gdy Akstan miarowym krokiem szedł w kierunku Hevlinu.

Nigel odwrócił się i zmarszczył brwi.

– Co?

– Czy zastosowałeś wobec mnie procedurę Tathala?

– Nie.

W podczerwieni widziała, jak się uśmiecha, a jego zęby płoną rubinową czerwienią poniżej szerokiego randa kapelusza.

– Jednak rozumiem, że przekonanie cię o tym jest właściwie niemożliwe – dodał. – Zadaj sobie pytanie: po co dawałbym ci implanty pamięci Wspólnoty?

– Żebym była bardziej przydatna.

– Ach, w porządku; dobra odpowiedź. Zatem drugie pytanie: dlaczego miałbym ryzykować, pozostawiając cię na wolności?

– Nie wiem. Dlaczego?

– Ponieważ mam praprapraprawnuczki w twoim wieku lub młodsze. Ponieważ zrobiłem wiele złych rzeczy, lecz niewolenie nastoletnich dziewcząt nie jest jedną z nich.

Ponieważ nie mam tu wielu prawdziwych przyjaciół, ale ty możesz do nich należeć. I spójrzmy prawdzie w oczy, jestem trochę apodyktyczny, co jest swego rodzaju dominacją.

Powoli pokiwała głową.

– Naprawdę jesteś taki stary, że masz prapra... prawnuczki?

– O tak. Wszystkie są tam, po drugiej stronie bariery. Osądzając mnie.

– Uracusie. Jakich złych rzeczy?

Nigel zachichotał.

– Wykorzystywałem moje wpływy i pieniądze, żeby stworzyć imperium. Przeciwników spychałem z drogi. Brutalnie.

– Rządziłeś tak jak tu kapitan?

– To było handlowe imperium. Co, zważywszy na jego rozmiary, przekłada się na polityczną władzę. Zatem tak, rządziłem. Tak jak kapitan tutaj. Wolę jednak wierzyć, że byłem rozsądnie łagodnym dyktatorem. Zatwardziali, fanatyczni dyktatorzy nigdy niczego nie potrafią dokonać, a mimo wszystkich moich wad jestem dumny z tego, co osiągnąłem. Razem z moim przyjacielem Ozziem pomogłem otworzyć drogę do gwiazd całemu ludzkiemu rodzajowi, Kysandro; byłem jednym z założycieli Wspólnoty. Chociaż było to dawno temu.

– Jeżeli jesteś taką ważną osobą, to dlaczego znalazłeś się tutaj? Dlaczego przyleciałeś do Pustki?

Jego promienny uśmiech jeszcze się poszerzył.

– A kogo innego chciałabyś wezwać?

Wydęła usta. Cały Nigel. Dziwny, ale uspokajający.

Akstan wszedł do holu. Mężczyzna za biurkiem spojrzął i poznając go, gwałtownie poderwał głowę. Akstan wyjął otrzymany od Nigela pistolet wiatrówkowy i strzelił mężczyźnie w szyję. Kulka ze środkiem nasennym miała natychmiastowe działanie. Na twarzy trafionego pojawiło się zdziwienie i przestach. Próbował wysłać sygnał alarmowy, ale postawił oczy w słup i stracił przytomność.

– Dobra robota – nadał Nigel.

Akstan wyglądał na zabawnie zadowolonego z siebie.

– Założyć maski gazowe – polecił Nigel.

Kysandra wzięła trójkąt śliskiego materiału i przycisnęła go do twarzy. Przywarł do jej skóry, zasłaniając usta i nos. Ostrożnie zrobiła wdech; filtrowane powietrze było bardzo suche, ale poza tym zupełnie normalne.

– Wypuść je, Russell – rzekł Nigel.

Syntetyzatorom „Gwiezdnej Damy” większość popołudnia zajęło wyprodukowanie komponentów do wszczepienia małym semiorganicznym ge-kotom, które miała w ładowni. Jednak po trzech godzinach ciężkiej pracy osiem tych zwinnych stworzeń zaczęło na tyle przypominać gryzonie, że mogły teraz uchodzić za busalory. Russell przyniósł je w klatce, którą postawił na mokrym bruku.

Kysandra obserwowała telepatycznie, jak biegną w kierunku hotelu. Trzy z nich wpadły przez frontowe drzwi, otworzone przez Akstana. Pięć pozostałych znikło w zaułkach po obu stronach budynku. Weszły do środka przez wywietrzniki tuż nad trotuarem, piwniczne okienka lub rynny. Gnały przez korytarze i pokoje, po wyznaczonych im trasach. Kiedy biegly, z ich otworów odbytnicznych wydobywał się gaz, rozchodząc się po całym budynku. Śpiący zapadali w jeszcze głębszy sen, nieświadomi, że ich sny zastępuje ciemność.

Nigel czekał na zewnątrz, w deszczu, telepatycznie obserwując postępy semiorganicznych stworzeń.

– No dobrze, wchodzimy – powiedział dziesięć minut po wtargnięciu ostatniego sztucznego busalora do budynku.

Zaczął iść w kierunku hotelu Hevlin i nieprzytomnych ludzi w środku. Kysandra i pozostali ruszyli za nim.

TRZY

Kysandra rozpaczliwie pragnęła rozpocząć wyprawę na Pustynię Kości. Jeszcze nigdy nie widziała pociągu, nie mówiąc już o przejechaniu nim połowy kontynentu. A na końcu tej długiej podróży czekała na nią wielka przygoda. Jednocześnie tak trudno było opuścić farmę Blairów. W ciągu tych sześciu miesięcy, od kiedy przybył Nigel, z impetem wdzierając się w jej życie i zmieniając je w coś nadzwyczajnego, farma zaczęła wyglądać tak, jak Kysandra zawsze sobie wyobrażała, że wyglądałaby, gdyby tato wrócił i należycie ją prowadził. Zespoły doskonale skoordynowanych mod-małp i mod-karłów zbudowały nad rzeką napędzany kołem wodnym tartak. Potem zbudowano nowe stodoły z desek i belek wyciętych ze zrąbanych drzew. Żywopłoty równo przyszczyżono, a pola zaorano i obsiano kupionym w mieście ziarnem. Miejscowe targowisko dostarczyło owce, świnie, krowy, kury, kozy, lamy oraz strusie, które doskonale się miały pod wspaniałym zarządem właściciela „Gwiazdnej Damy”. Stadnina modów stale się powiększała. Urządzono warsztat do naprawy maszyn. Codziennie było coś do zrobienia, przy czym można było pomóc.

Zdarzały się takie dni, gdy spoglądała na to, czego dokonali, i zastanawiała się, czy to dzieje się naprawdę. Jednak, oczywiście, wszystko to było zasługą Nigela. On dokładnie wiedział, co robić, jak budować, z czego i jakimi narzędziami. Umiał kierować ludźmi. Nie obawiał się zdecydowanych działań w razie potrzeby. Potrafił się skoncentrować tak, jak ona – wiedziała o tym – nigdy nie będzie w stanie, nawet przepełniona całą tą wspaniałą wiedzą Wspólnoty. Co budziło jej lekką zazdrość.

Odkryła, że coraz uważniej go obserwuje. Miał ponad tysiąc lat – a przynajmniej tak twierdził – chociaż wyglądał zaledwie na dwudziestolatka. Ten młodzieńczy wygląd był... miły. Pomagał przywoływać pewne marzenia. Nie żeby były czymś więcej niż marzeniami.

Nigel często z niej żartował, co było fajne, że czuł się przy niej tak swobodnie. To oznaczało, że też mogła z niego kpić i zadawać pytania, których nigdy nie śmiałyby zadać pani Brewster. Nigdy przedtem nie zaznała takiej otwartości. Czuli się z tym dobrze, pod wieloma względami.

Chętnie by wydłużyła ten okres w nieskończoność, ale Nigel chciał się dowiedzieć, co na Pustyni Kości było przyczyną dziwnych wskazań czujników. Tak więc wyruszyli zaraz po nadejściu pory suchej, zostawiając sprawnie funkcjonującą farmę Blairów pod opieką „Gwiazdnej Damy” i trzech ZANdroidów.

Najpierw musieli dopłynąć do Erondy, gdzie było najbliższe odgałęzienie głównej linii kolejowej. Nigel wynajął w Adeone całą barkę, która przewiozła ich razem z bagażami po jednym z dopływów Nubainu. Zanim wyruszyli, w sklepie z artykułami przemysłowymi zamówił pięć nowych kufrów, które dotarły z Varlanu po trzech tygodniach. Śliczne skrzynie z mosiężnymi okuciami w narożnikach i solidnymi zamkami Ysdom, tak duże, że Kysandra zmieściłaby się w każdym z nich, gdyby się skuliła.

Russell i Madeline towarzyszyli im jako lokaj i pokojówka, wraz z dwoma innymi ZANdroidami o zmodyfikowanych twarzach, nadających im prawdziwie ludzkie cechy. Jeden miał azjatyckie rysy i wygląd osiemdziesięciolatka, włącznie z przeredzonymi włosami. Musiała przyznać, że było to dobrze pomyślane. Patrząc na to, kto mógłby coś podejrzewać? Drugi miał skórę tak białą jak śnieżne czapy na szczytach Algory i utlenił sobie włosy na dopasowany do cery, piaskowy kolor. Poświęciła kilka dni na wymyślanie różnych rysów twarzy, które mógłby mieć, z zadowoleniem patrząc, jak się powoli pojawiają, aż po tygodniu otrzymali oblicze cudownie przystojnego dwudziestolatka. Oczywiście, ilekroć odwiedzał Adeone, wszystkie dziewczęta skupiały na nim wzrok i telepatię.

– Ślesz obrazy – skomentował Nigel, z lekką zaledwie dezaprobatą.

Ona i ZANdroid uśmiechnęli się na to za jego plecami. Każdy ZANdroid miał własną osobowość, a ten odznaczał się cierpkim poczuciem humoru, które się jej podobało.

– Jak mam cię nazywać? – zapytała, ponieważ teraz miał prawdziwą twarz i nie potrafiła uważać go za maszynę.

– Jestem Trójka.

– To nie jest imię i nie mogę tak się do ciebie zwracać przy ludziach. Nie powinniśmy robić niczego, co przyciągałoby uwagę, pamiętasz?

– A czy ty pamiętasz, że ja niczego nie zapominam?

Kysandra zachichotała.

– Zatem będę cię nazywała Coulan, po jednym z siostrzeńców mamy. Zawsze go lubiłam.

– Przyjmuję to imię z wdzięcznością. – Skłonił głowę. – Jak będziesz nazywała pozostałych?

W ten sposób zostali Demitrim, Marekiem, Valerim i Fergusiem.

– Fergus? – Nigel westchnął i przewrócił oczami. – Poważnie?

– Tak, Fergus.

Przyjacielskim gestem wzięła pod rękę tego nazwanego Fergusem, który wysłał szybki impuls satysfakcji i rozbawienia ze swojego semiorganicznego mózgu.

– W porządku. Ale kiedy zacznę ich wysyłać na zwiady, może będzie trzeba nazywać go inaczej, żeby się nie wyróżniał z otoczenia.

– Dobrze – zgodziła się łaskawie.

Jednak towarzysząc im podczas ekspedycji, był Fergusem. Ze swoim bagażem, służbą i biletami pierwszej klasy naprawdę idealnie pasowali do obrazu podróżującej pary arystokratów.

Pierwszym pociągiem przejechali całą południową trasę aż do varlańskiego dworca Willesden, znajdującego się na południowym brzegu Colbal. Kysandra poprosiła, żeby spędzili kilka dni w stolicy, zanim wyruszą na wschód. Nigel ją zaskoczył, chętnie wyraziwszy zgodę.

– Muszę się w końcu trochę rozejrzeć wokół – powiedział. – Nie mogę tego wciąż odkładać.

Zatrzymali się więc w okazałym budynku hotelu Rasheeda przy bulwarze Walton, z jego ośmiokątnymi ceglami i wykuszowymi oknami, z wychodzącym na park Bromwella balkonem apartamentu na czwartym piętrze. Kysandra zaśmiała się, zachwycona pięknie urządzonej pokojami z drewnianą boazerią oraz złoto-szkarłatną tapetą, a potem jęknęła z wrażenia na widok wielkiego łóża z baldachimem w głównej sypialni. Nie mogąc się oprzeć, przebiegła przez pokój i zaczęła skakać po materacu, chichocząc.

– To łóżko jest tak duże jak cały mój pokój! – Przeturlała się po nim i przesunęła końcem języka po wargach. – To idealny apartament dla nowożeńców, nie sądzisz?

Nigel posłał jej demonstracyjnie wyniosłe spojrzenie.

– Jestem pewny, że wiele oblubienic spędziło tu czarowne chwile.

– Mówisz, że masz tysiąc lat – odparła Kysandra, kokieteryjnie wydymając usta. – Zatem musiałeś mieć mnóstwo żon.

– Kysandro, ty masz siedemnaście lat, a ja tysiąc. To całkowicie wyklucza cokolwiek. Po prostu uważaj mnie za swojego starszego brata i opiekuna, a wszystko będzie dobrze. Mówiłem ci już, jeśli zobaczysz miłego chłopca w wieku zbliżonym do twojego, zaciągnij go do łóżka i baw się dobrze.

– Nie chcę miłego chłopca.

– To stara śpiewka, w dodatku nieprawdziwa. Wierz mi: chcesz.

– Nie – odparła z uporem.

– I rozpoznaję już to zaciśnięcie zębów, więc pozwól, że ci coś powiem, zanim te marzenia zmienią się w plany. Rozumiem, że to wszystko jest dla ciebie niesamowicie ekscytujące, ale nie proponuję ci żadnego pozornie szczęśliwego zakończenia. Może będę musiał wyjechać, mogę zostać uwięziony lub zlinczowany, po prostu nie wiem. Tak więc zrozum jedno: ty i ja nie zestarzejemy się razem, patrząc, jak nasze wnuki przejmują farmę. Cieszę się z tego, że cię poznałem, i z tego, że w rezultacie twoje życie zmieniło się na lepsze,

ale mam zobowiązania wobec Wspólnoty i raieli, które muszę wypełnić. Wszystko inne ma drugorzędne znaczenie.

Kąciki jej wydętych ust wygięły się żałośnie.

– Świetnie. W porządku.

– Do licha, zapomniałem, jakie są nastolatki. Uwielbiam to, że wiesz wszystko i nie potrzebujesz od nikogo pomocy.

– Nie bądź dupkiem.

– Tak, proszę pani. – Posłał jej uśmiech, który świadczył, że naprawdę bardzo ją lubi. – Wiesz, gdyby wybrali Ozziego, a nie mnie, byłoby zupełnie inaczej. On bez wahania zaciągnąłby cię do łóżka.

– Czy on może tu przylecieć? W końcu rozbiłeś się na niewłaściwej planecie. Może przyleci tutaj i cię uratuje?

Nigel parsknął śmiechem.

– Do diabła, nie. Przykro mi. Masz tylko mnie.

– A poza tym, kim jest ten Ozzie? Wciąż o nim mówisz.

– To mój najstarszy przyjaciel. Nie jestem w stanie opowiedzieć ci o wszystkim, co robiliśmy razem. Zresztą i tak byś nie uwierzyła.

– Spróbuj.

– Może w pociągu do Portlynn. To będzie długa podróż.

– I on naprawdę nie przybędzie cię uratować?

– Nie. Prędeż by się roześmiał i powiedział: a nie mówiłem? Jednak nie przyleci tu. Jestem zdany na siebie.

* * *

Kysandra przez dwa dni zwiedzała centrum stolicy, ciesząc się każdą chwilą. Ogromne i dostojne budynki, szerokie i wysadzone drzewami bulwary, publiczne parki, galerie, teatry, ludzie bogaci i biedni – tylko po jednej ulicy szło ich więcej, niż było wszystkich mieszkańców w Adeone. Cały czas, jaki mógł jej poświęcić Nigel, spędzali, odwiedzając domy towarowe i ekskluzywne sklepy z odzieżą. Była zachwycona wyposażeniem, jakie oferowały tutejsze sklepy, i wciąż pytała Nigela, czy mogą coś kupić do domu na farmie. Wyroby wiejskich stolarzy nie umywały się do tych eleganckich i wygodnych mebli. On śmiał się i odpowiadał, że mogą coś zamówić w drodze powrotnej.

I te stroje. Ach, te stroje! Mogłaby opróżnić wszystkie kufry z tego głupiego wyposażenia, żeby napełnić je modnymi i pięknymi sukniemi, które zabrałaby do domu.

Jednak miało to swoją cenę. Nigel nalegał, żeby przyjrzeni się rządowym instytucjom i biurom.

– Chcę poznać ich możliwości.

Okazało się, że połowę śródmieścia Varlanu zajmowały rządowe budynki różnego rodzaju.

Zaczęli od przechadzki po bulwarze Walton, do granitowego posągu kapitana Corneliusa stojącego przed bramą pałacu. Tam dołączyli do szkolnej dzieciarni i ciekawskich turystów, stojących w kolejce przed czterometrowym ogrodzeniem z żelaznych prętów, otaczającym brukowany dziedziniec przed pałacem. Żołnierze z gwardii pałacowej czwórkami patrolowali teren, maszerując sztywno jak mody, posępni i doskonale osłonięci, z karabinami na ramieniu. Srebrne guziki ich żółto-niebieskich mundurów błyszcząły w porannym słońcu.

Nigel ich zignorował, przyglądając się pięciopiętrowej fasadzie po drugiej stronie dziedzińca. Ta część pałacu miała ponad trzysta metrów długości i była zbudowana z kamienia o dziwnie niebieskawej barwie. Wysokie i łukowate okna znajdowały się po obu stronach wielkiej bramy na środku, prowadzącej na pierwszy z wielu wewnętrznych dziedzińców. Pośród stromych dachów wznosiło się kilka ozdobnych wieżyczek i kopuł.

– Ciekawe, jak się tam mieszka? – zastanawiała się z rozmarzeniem Kysandra.

– Beznadziejnie. Sam mieszkałem w takiej wielkiej rezydencji. Dziewięćdziesiąt pięć procent zajmuje personel i biura. Tracisz tyle czasu na uśmierzanie ich sporów, że nie masz go na konkretną pracę. I nie jest to dobry dom dla rodziny. Skończyło się tak, że miałem gromadkę zupełnie popieprzonych dzieci. Pięcioro z nich wciąż ze mną nie rozmawia.

– Mieszkałeś... – Kysandra wskazała ręką pałac.

– O tak. Nie popełnię znów tego błędu. Ta monstrualna posiadłość Króla Słońce mówi mi wszystko, co chciałem wiedzieć, o tym, kto na tej planecie ma władzę i bogactwa. Domyślałem się, że ten władca sprawuje władzę absolutną. Aby ją mieć, potrzebny jest ustrój polityczny nietolerujący dysydentów. Daj ludziom złudzenie demokracji, kilka wybieranych rad decydujących o drobnych lokalnych sprawach i za pomocą środków ekonomicznych kontroluj wszystko, co naprawdę ważne. Kto płaci grajkowi, ten wybiera melodię; tak było, jest i będzie. Wierz mi, Ministerstwo Skarbu jest na tej planecie prawdziwą siedzibą władzy. I wśród niezliczonych honorowych tytułów kapitana będzie taki, jak na przykład: minister finansów, minister skarbu, prezes narodowego banku czy urzędu skarbowego. Tak to się robi.

Popatrzyła na pałac i ponownie na Nigela.

– Domyśliłeś się tego wszystkiego, widząc, jak wielki i okazały jest ten pałac?

– Taak. Mniej więcej. Widywałem to tyle razy, że wiem, na co patrzę.

– Przecież mamy wybory.

– Ja nie krytykuję. Zważywszy na zagrożenie ze strony Upadłych, macie tu całkiem niezły ustrój. Rząd zawsze balansuje między liberalizmem a restrykcjami. We wszechświecie za barierą ustroje polityczne ewoluowały wraz z rozwojem techniki i wiedzy, a to przeważnie prowadziło do liberalizacji i demokracji. Tutaj problemem jest niemal doskonałe status quo... choć „doskonałe” nie jest właściwym określeniem... a wszystkie Shanties są nowym tworem, niepoprawiającym gospodarki ani statystyki przestępstw. Upadli nigdy nie przestaną spadać z nieba. A mają nad wami przewagę. Wasze społeczeństwo zapewne pod wieloma względami powoli i niepostrzeżenie pogrąża się w stagnacji, która zacznie się pogłębiać, przynosząc dekadencję i korupcję. Upadli muszą tylko zaczekać, aż wasza czujność osłabnie. – W

zadumie wydał wargi. – Aczkolwiek strach trzyma was w ryzach i dzięki temu przetrwaliście już trzy tysiące lat.

– Myślisz, że Upadli w końcu zwyciężą?

– Czas i natura ludzka są po ich stronie. Jednak tylko dlatego, że ogranicza nas Pustka. Jeśli zdołamy dotrzeć do Lasu i użyć porządnej techniki Wspólnoty, będzie to zupełnie inna bajka.

– My? – zadrwiła. – Zatem uważasz się za człowieka? Nie byłam pewna.

Nigel odpowiedział uśmiechem.

– Czasami.

– Czy obserwując pałac, doszedłeś do jeszcze jakichś wniosków?

– Niezupełnie. – Ponownie spojrzął na pałac, próbując dokładnie zbadać go telepatycznie. Tak jak się spodziewał, cała budowla była maskowana. – Mówiłaś, że to tutaj wylądował statek?

– Tak. Pałac zbudowali wokół niego.

Nigel uważnie przyjrzał się fasadzie, a potem obrócił się o trzysta sześćdziesiąt stopni.

– Domyślam się, że wokół niego i nad nim. Szczególnie jeśli mieli równie twarde lądowanie jak ja. Widzisz układ terenu? Pałac znajduje się w dwóch trzecich wysokości wzniesienia; te rozległe ogrody za nim są na zboczu. A ostatnia mila bulwaru Walton jest właściwie płytką doliną; widzisz, jak biegnie w górę zbocza? To nie jest naturalny układ terenu. Nie, moim zdaniem statek uderzył w ziemię mniej więcej tam, gdzie teraz stoi nasz hotel, i sunął dalej, zostawiając bruzdę w ziemi, aż znieruchomiał. Po wylądowaniu statek był główną kwaterą Corneliusa. Ponadto zawierał wszystkie zasoby; te statki przewoziły wszystko, co jest potrzebne do stworzenia nowej społeczności na innej planecie. Wiele tych urządzeń tutaj nie działało, ale najwyraźniej pozostałe wystarczyły, zaś metal kadłuba był cenny w początkowej fazie kolonizacji. A Cornelius kontrolował jego dystrybucję. To zapoczątkowało ekonomiczną władzę kapitanatu. Tak więc nie porzuciłby statku. Nie. Zabezpieczył go. Otoczył go murem, zakopał, zamknął przed wszystkimi. – Nigel oblizał wargi i zmarszczył brwi. – Ciekawe, co się stało z tym wszystkim, czego nie użyli. Może wciąż tam jest? Chcę powiedzieć, że po co mieliby to przynieść?

– Uważasz, że fragmenty statku nadal tam są?

– Być może. Musimy dostać się do środka, żeby mieć pewność. Ale nie dzisiaj.

– Szkoda. Chciałabym wejść do środka.

– Chodź. Sprawdźmy coś jeszcze.

– W porządku. Co?

– Myślałem o sądach; chciałbym zobaczyć jakiś proces. A potem Ministerstwo Skarbu. Interesują mnie też szeryfowie ze służby bezpieczeństwa, ale nie sądzę, żeby biura szeryfów były tymi, które muszę sprawdzić.

– Nie rozumiem.

– Każdy rząd ma swoją tajną policję. Taką, która naprawdę nie lubi ludzi węszących w miejscach, w których nie powinni. Taką, która po cichu załatwia każdego, kto narzeka na rzeczywistość i mówi, że trzeba z tym coś zrobić.

– Kapitan ma swój oddział policji niezależny od szeryfów – powiedziała Kysandra, usiłując przypomnieć sobie szczegóły z lekcji historii pani Brewster. – Pełniący głównie rolę reprezentacyjną.

– Reprezentacyjną, akurat. To oni są tajną policją.

Po dziesięciminutowym spacerze bulwarem Walton dotarli do głównego sądu przy alei Struzaburskiej. Nigel przez chwilę stał, podziwiając posąg Ładowania.

– Pamiętam te ogromne maszyny; robili je na Oaktierze. Ładowność około dwustu pięćdziesięciu ton. Napęd aerodynamiczny, bez ingrawu. Brandtowie mieli szczęście, że polecili na nich w Pustkę. Gdyby mieli trochę rozumu, wysłaliby swoich ludzi promami, a dopiero potem próbowali lądować wielkimi kolonizacyjnymi statkami.

Kysandra szła, z rozbawieniem kręcąc głową. Nigel sugerował, że wie wszystko i we wszystkim brał udział. Szczególne dziwactwo.

* * *

Sąd był kolejnym okazałym rządowym gmachem, z wąskimi oknami na wszystkich sześciu kondygnacjach. Od frontu miał klasyczną architekturę z mocno stylizowanymi kolumnami na fasadzie. Pokryta pozieleniałą miedzianą blachą kopuła dominowała nad dachami bocznych skrzydeł, podtrzymując smukłą kolumnę ze złotą wagą na samym szczycie.

– Typowe – oznajmił Nigel.

Wszystkie sprawy, których lista znajdowała się przy głównym wejściu, były mało ważne. Usiedli na galerii dla publiczności, żeby wysłuchać sporu kupca z firmą transportową o cenę ziarna. Kupiec twierdził, że ziarno było kiepskiej jakości, a prawnik firmy przewozowej mówił, że nie odpowiada ona za jakość. Jednak to agent firmy przewozowej kontrolował ładunek – przypominał adwokat kupca.

– Nic się nigdy nie zmienia – mruknął ze smętnym uśmiechem Nigel.

Wrócili na bulwar Walton i przeszli obok pomnika. Zanim doszli do Ministerstwa Skarbu na końcu ulicy Wahren, Nigel zatrzymał się przy wysokim granitowym murze naprzeciw Państwowego Urzędu Podatkowego. Kysandra wyczuła, że sprawdza go telepatycznie. Poszedł na sam koniec tego ogromnego budynku i zajrzał w wąską uliczkę biegnącą wzdłuż bocznej ściany. Kilka zabudowanych kładek dla pieszych łączyło budynek ze stojącym obok biurowcem.

– Nic dziwnego, że rząd może sobie pozwolić na takie siedziby oraz utrzymywanie regimentów – orzekł. – Jestem pod wrażeniem. To cholernie wielki urząd podatkowy.

– Mówią, że kapitan ma umowę z Władcami Niebios, którzy zabierają cię na Uracusa, a nie Giu, jeśli nie opłaciłeś podatków, zanim oddałeś się pod ich Przewodnictwo.

– Interesujące.

– Nie sędzę, żeby to była prawda, Nigelu.

– Nie to. Zarówno Bienvenido, jak i Querencia mają takie same mity o tych mgławicach. Uracus jest bramą piekła, a Giu drogą do raju. To musiało wyjść od Władców Niebios. Tylko oni łączą te dwa światy.

– Czy Władcy Niebios są także Przewodnikami dla mieszkańców Querencji?

– Tak.

– Zatem nic w tym dziwnego.

– Słusznie.

Jeszcze raz spojrział z dezaprobatą na urząd podatkowy i ruszył w kierunku Ministerstwa Skarbu.

Tego wieczoru poszli do Wielkiego Teatru Stołecznego, by zobaczyć *Sen nocy letniej*.

– O co chodzi? – zapytała później Kysandra, gdy usiedli przy wieczornym drinku w zacisznym kącie baru hotelu Rasheeda. Połowa łóż miała zaciągnięte aksamitne zasłony, a zajmujący je klienci skutecznie się osłaniali.

– Sztuka trochę się zmieniła, to wszystko – mruknął Nigel.

– Jak mogła się zmienić? – Zamknęła oczy, sięgając do pamięci. – „Rusza się palec, pisząc; a napisawszy, rusza dalej”.

– Bardzo dobrze. Jednak ktoś inny wetknął w to swoje palce, wierz mi. W oryginalnym *Śnie nocy letniej* nie ma wampirów.

– Wampiry mi się podobały.

– Są metaforą pokusy odrzucenia duchowego życia po śmierci w zamian za ułomną cielesną nieśmiertelność.

– Czy nie możesz czasem odpuścić i cieszyć się czymś? Zawsze wszystko tak dokładnie analizujesz.

Uśmiechnął się i jego źrenice powiększyły obraz etykiet na długim rzędzie butelek ustawionych przed lustrem baru.

– Zamierzam zamówić drinka. Czego się napijesz?

– Podwójna whisky. Czysta. Bez lodu.

– W porządku. Już zamawiam kieliszek białego wina z wodą sodową.

Kysandra pokazała mu język. Wygodnie rozsiadła się na fotelu, z kącikami ust uniesionymi w uśmiechu. Życie było teraz po prostu wspaniałe. Jakaś dziewczyna, około dwudziestoletnia, wyszła z jednej z zasłoniętych łóż i podeszła do baru. Kysandra natychmiast ją rozpoznała. Nie po sukni, eleganckiej i opiętej, z jedwabiu w kolorze burgunda, z wielką kokardą w kształcie róży u dołu pleców. Nie po długich rudawych włosach opadających falami na plecy i delikatnymi lokami obramowującymi jej policzki. Nawet nie po rysach szerokiej twarzy, podkreślonych przesadnym makijażem. Nie, to tę kruchą determinację gnającą ją w kierunku baru Kysandra potrafiła wyczuć bez żadnej telepatii. Taką samą jak jej matki. Potrzebę następnej dawki, obojętnie jakim kosztem.

Patrzyła, jak dziewczyna siada na stołku obok Nigela zwinnym ruchem, jak wąż wślizgujący się do swojej nory. Długie sztuczne rzęsy zatrzepotały powoli. Lekki badawczy uśmiech. Podrzuciła głowę. Powiedziała kilka słów.

– O, cześć – przedrzeźniała ją Kysandra. – Często tu bywasz? No tak. Och, dobrze, ja też. Czy mogę ci postawić drinka? To byłoby miłe, dopóki nie przyjdą moi przyjaciele. – Zniżyła głos do pomruku. – No, ślicznotko, mam nadzieję, że nie przyjdą. Może moglibyśmy poczekać na nich w moim pokoju? To byłoby po prostu wspaniałe, czekałem w pokojach całej Wspólnoty, wiesz?

Otworzyła usta i włożyła w nie palec, symulując wymioty.

W tym momencie Nigel się odwrócił, trzymając kryształową szklaneczkę z brandy i kieliszek z winem. Kysandra pospiesznie udała, że ociera wargi. Za późno. Brwi Nigela uniosły się w ten irytująco lekceważący sposób, który najwyraźniej doskonalił przez wieki.

– Kim jest twoja nowa znajoma? – zapytała Kysandra, gdy znów usiadł w ich łoży, bo najlepszą obroną jest atak, wiadomo.

– Dlaczego pytasz? Zazdrosna?

– Pewnie, jeśli lubisz ćpające dziwki – powiedziała nieco zbyt głośno.

Teka Nigela szybko zasunęła zasłony łoży.

– Myślę, że trochę zbyt pochopnie osądzasz, nie uważasz?

– Przepraszam.

– Twojej matce nic nie będzie. Ten wariant dominacji, który zastosowałem, tylko skłoni ją do poprawy swojego postępowania, a nie zmieni w posłuszną wykonawczynię moich poleceń.

– Wiem – odrzekła cicho Kysandra.

Ta technika dominacji jednocześnie fascynowała ją i mierziła. Cała rodzina i organizacja Ma została podporządkowana w tamtą ciemną i deszczową noc, stając się ślepo posłusznymi akolitami Nigela. Mówili tak jak przedtem, poruszali się tak jak przedtem, ale teraz on nimi kierował tak pewnie, jakby byli grupą modów. Nawet rywalizowali ze sobą, kto najlepiej i najszybciej wykona jego polecenia.

To ją przerażało. Była burdelmama Ma Ulvon, Madeline, mogła być jej pokojówką podczas tej podróży, ale Kysandra w miarę możliwości starała się z nią nie rozmawiać. Obawiała się, że wypali: „Nie pamiętasz, jaka byłaś, co ty i Ma chciałyście ze mną zrobić?”. A to mogłoby zniweczyć zaklęcie.

– To cię nie niepokoi? – zapytała Nigela.

– Co?

– Nikt na tej planecie jeszcze nigdy nie wyleczył uzależnienia od narnika. To, że mama pokonała nałóg, może wzbudzić podejrzenia.

– Czy ktoś w Adeone jest wykwalifikowanym psychologiem? Kysandra posłusznie upiła łyk szprycera.

– No dobrze, cwaniaku.

– Jestem pewny, że niektórzy ludzie potrafili zmienić swoje życie, nawet tutaj. Jeśli ktoś jest wystarczająco zdeterminowany, może dziać cuda. Wsparcie rodziny też jest ogromną pomocą. I założę się, że bogaci mają swoje sanatoria, w których ich uzależnieni młodzi...

– Już dobrze! Uracusicie, jak zawsze wiesz wszystko. Rozumiem. Ja tylko mówię, że w Adeone nie zdarza się to często.

Usiadł wygodniej, z zamyśloną miną.

– Doceniam twoją troskę, ale nie martw się o matkę. Jeśli ktoś zacznie zadawać pytania, Demitri skłoni go do zmiany tematu. Prawdę mówiąc, bardziej niepokoi mnie urząd podatkowy.

– Co takiego?

– Urząd podatkowy. Nawet Kafka pozazdrościłby mu tak okazałej siedziby, jaką dziś widzieliśmy. I wyobrażam sobie, że są też regionalne biura. Może byłem trochę zbyt rozrzutny. – Uśmiechnął się znacząco. – W końcu Ala Capone zgubiły podatki.

– Znow mówisz bez sensu. Przestań.

– Przepraszam. Rzecz w tym, że miejscowi w Adeone chętnie uznali mnie za bogatego przybysza, szczególnie ci, u których wydałem sporo podrobionych pieniędzy. Dla mieszkańców miasteczka trwonię rodzinny majątek. Jednak kiedy wezwie mnie urząd skarbowy, biurokraci będą chcieli wiedzieć, skąd się wzięły te pieniądze. A ja nie figuruję w ich aktach.

– Po prostu zdominuj inspektora podatkowego. Łatwizna.

– Tak i nie. Trzeba myśleć strategicznie.

– Co to oznacza?

– Nie doceniłem tego społeczeństwa. Można to naprawić, pozostawiając kogoś tu, w Varlanie.

– Kogo?

– Zamierzam zostawić tu jednego ZANDroida, żeby wtopił się w otoczenie.

– Co będzie tu robił?

– Na początek chciałbym wiedzieć, co się znajduje w pałacu. Jeśli zostało coś z sieci statku, może moglibyśmy zajrzeć do zapisów lotu. To mało prawdopodobne po trzech tysiącach lat, ale nigdy nie wiadomo. Ponadto przydałoby się mieć swoich ludzi w urzędzie podatkowym. No i zawsze dobrze jest mieć kontakty polityczne...

– I to ma być tylko na początek?

– Tak.

– Giu. A co potem?

– Cokolwiek będzie trzeba zrobić. Właśnie na tym polega myślenie strategiczne.

* * *

Ta wersja jego osobowości była dziwna. Nie nieprzyjemna, ale zdecydowanie inna. Nigel wiedział, że to jego własne myśli krążą w semiorganicznym mózgu ZANDroida. Wbudowane

gajaczątki nadal łączyły go z jego prawdziwym ja, gdy szedł z Kysandrą po schodach do hotelowego apartamentu, tak jak jednocześnie łączyły go z drugim ZANdroidem dzielącym z Madeline i Russelem pokój w kwaterach dla służby. Tożsamość nie była problemem. Tylko reakcje były trudne. Pomimo doskonałego zduplikowania jego dróg neurologicznych semiorganiczny mózg nie pozwalał na spontaniczne emocje. Zamiast tego musiał analizować sytuację i ekstrapolować to, co powinien czuć. Semiorganiczny mózg był wystarczająco szybki, a pomocnicze procesy dostatecznie dobre, żeby niezwłocznie wytworzyć właściwą reakcję. Oczywiście, zabawne było to, że brak uczuć nie niepokoił ZANdroida; to on, Nigel, wiedział, że realistyczna kopia jego osoby powinna się tym niepokoić.

Ponadto był problem percepcji telepatycznej. Przy braku osłony (którą ten sztuczny mózg potrafił doskonale generować) każdy na Bienvenido wiedziałby, że jego myśli są inne, nietypowe. W najlepszym razie uznaliby go za psychopatę, zimnego i pozbawionego uczuć, niepotrafiącego nawiązać kontaktu z innymi ludźmi. Prędzej jednak wzięliby go za Upadłego. Ponieważ jednak ZANdroid nigdy nie spał, było nieprawdopodobne, żeby kiedykolwiek przyłapano go bez osłony. W rzeczy samej, nieustannym jej utrzymywaniem zajmowała się pomocnicza procedura.

Był przekonany, że w stolicy może udawać człowieka. Kysandra z pewnością nie uświadomiła sobie, że ZANdroidy są kopiami osobowości Nigela. Z łatwością wprowadził niewielkie zmiany w emocjonalnych reakcjach każdego z nich, w wyniku czego wydawali się zdecydowanie różni. Jednak ona była młoda i naiwna. Pobyt w Varlanie będzie prawdziwym egzaminem.

Nigel i Kysandra powiedzieli sobie dobranoc i udali się do swoich oddzielnych pokoi (Kysandra oczywiście zajęła to ogromne łóżko w głównej sypialni), on poszedł do hotelowego baru. Zbliżała się północ i o tej porze sala była prawie pełna, a większość łóż zajęta. Usiadł przy barze, wybierając środkowy z trzech wolnych stołków.

– Dirantio – powiedział do barmana.

Był to trunek o migdałowym smaku, który lubił pić jego oryginał. Wprawdzie ZANdroid nie czuł żadnego smaku, a jego ciało nie metabolizowało alkoholu, ale powinien sprawiać wrażenie, że wie, co lubi.

– Z lodem, proszę pana? – zapytał barman.

– Tak, proszę.

Usłyszał głośny szelest jedwabiu, gdy usiadła na stołku obok niego. Odwrócił się i spojrzał na nią. Na twarzy miała nową warstwę makijażu. Zastanawiał się, czy płakała, spoliczkowana po powrocie do łóżki przez alfonsa za wcześniejsze niepowodzenie.

– No i gdzie się podział barman? – spytała, patrząc przed siebie.

– Poszedł po lód dla mnie. Zaraz wróci.

– To dobrze. Lubię zimne drinki.

– Naprawdę? A co pijesz?

– Ja? Przeważnie białe wino. Czasem finna. Kiedy jestem w odpowiednim nastroju.

– Chętnie postawiłbym ci jednego.

Zamrugła powoli i taksująco.

– A stać cię na to? Wyglądasz dość młodo.

– Właśnie dziś przybyłem do stolicy. To taka męska tradycja w naszej rodzinie. Spędzamy parę lat na uniwersytecie, imprezując, nawiązując znajomości i może nawet czasem chodząc na jakieś wykłady, zanim każą nam wracać do domu, żebyśmy zarządzali dobrami tak jak wszyscy nasi nudni przodkowie od czasu Ładowania.

– Naprawdę? A gdzie jest ten dom?

– Kassel. Byłaś tam?

– Nie.

– Cóż, wpadnij kiedyś. Chętnie pokażę ci okolicę.

– Jeśli twoja propozycja jest wciąż aktualna, to chyba zaryzykuję finna.

– Cieszę się, że jesteś w odpowiednim nastroju, ee...

– Bethaneve.

– Cześć, Bethaneve. Ja jestem Coulan.

CZTERY

Z Varlanu pojechali ekspresem do Portlynn, które znajdowało się na końcu wielkiej centralnej linii, trzy tysiące mil, jakby leciał rajsąstrzyb, ale najpierw szlak kierował się na północ do Adice, a później omijał góry Guelp i przecinał środek Lamarinu. Zanim w końcu dotarli do Portlynn, pociąg przejechał prawie cztery tysiące mil, zatrzymując się dwadzieścia razy, co łącznie zajęło mu cztery dni.

Portlynn wyrosło jako handlowe miasto na końcu Cieśniny Nillsona, wcinającej się głęboko w serce Lamarinu. Było to również ujście rzeki Mozal, której rozległa sieć dopływów przecinała mokradła ciągnące się aż po góry Bouge tysiąc mil na wschód i do gór Transo na południu. Tak blisko równika i dzięki regularnym opadom żyzna ziemia była idealnym terenem pod plantacje owoców pestkowych, bananów, chlebowców i cytrusów, jak również ekstensywnych upraw ryżu. Rzeki czyniły podróżowanie łatwym i tanim, więc nie było potrzeby inwestowania w kosztowne linie kolejowe i budowania mnóstwa mostów.

Stolica regionu była rozrzucona na dziesiątkach błotnistych wysepek. Drewniane budynki cieszyły oczy Kysandry po wszystkich tych miastach z kamienia i cegły, przez które przejeżdżał ekspres. Drewno jako budulec ograniczało wysokość budynków, tak więc zamiast w górę, miasto rozbudowywało się wszcz, opanowując moczary. Wysepki były połączone mostami, lecz chaotycznie rozmieszczonymi i wąskimi – dla pieszych, nie dla wozów. Czasem trzeba było przejść przez trzy lub cztery wysepki, żeby dotrzeć do znajdującej się tuż obok tej, z której się wyruszyło. Właściwie cały ruch w Portlynn odbywał się łodziami pływającymi po kanałach, które systematycznie pogłębiano. Budynki stały na grubych palach

z twardego drewna głęboko wbitych w aluwialny muł, żeby zapewnić stabilność i ochronę przed regularnymi powodziami w porze monsunów.

Nigel zameldował ich w hotelu Baylee, dużym dwupiętrowym budynku w pobliżu doków na wschodnim brzegu, gdzie na końcu długiego nabrzeża stały największe magazyny. Były tam przycumowane szybkie klipry i parowce, a grupy mod-kałków i dokerów jak dzień długi ładowały i wyładowały fracht.

Dwa dni zajęło im gromadzenie zapasów, a potem wynajęcie statku, który przewiezie ich w górę rzeki. Jednak o świcie trzeciego dnia Nigel, Kysandra, Fergus, Madeline i Russell przeszli po rozchwierutanych kładkach do laguny Kate na południowym krańcu miasta. Nigel wynajął „Gothorę”, solidną parową barkę z kadłubem zbudowanym z anborowych desek. Drewno anborowca było jednym z najtwardszych na Bienvenido. W maleńkiej kajucie na rufie znajdowały się koje kapitana Migraya i jego trzyosobowej załogi: Sancala, Jymoara i mechanika Avinusa. Nigel i jego towarzysze z pewnością by się tam nie zmieścili, tak więc nad pierwszą z dwóch ładowni umieszczono prostą bambusową ramę z rozpiętym na niej brezentem, dzięki czemu pasażerowie mogli spędzić podróż pod osłoną, wraz ze swoimi kuframi i zapasami. Nad drugą ładownią rozpięto daszek i wykorzystano ją jako stajnię dla pięciu ziemskich koni, na których mieli jechać po pustyni, oraz trzech mod-koni, mających im towarzyszyć jako juczne zwierzęta.

Portlynn budziło się do życia, gdy Migray odbił od brzegu i wyprowadził barkę z laguny Kate do szerokiego na trzy kilometry ujścia Mozal. Woda miała tam barwę ciemnej ochry od niesionego mułu, a na środku płynęła tak szybko, że jednostki udające się w górę rzeki musiały trzymać się brzegu, gdzie prąd nie był tak rwący. Mimo to rankiem pierwszego dnia „Gothora” spaliła sporo drewna i niewiele posunęła się naprzód.

Przez pierwsze piętnaście kilometrów od ujścia brzegi rzeki były wciąż dzikim gąszczem, mimo istnienia rozległych pól uprawnych parę kilometrów w głąb ładu. „Gothora”, perkocząc, płynęła wzdłuż litej ściany trzciny i porośniętych krzakami jugo bagien, jako jedna z długiego rzędu barek zdążających w górę rzeki. Pięćset metrów od sterburty przemykały jednostki wyładowane świeżo zebranych plonami, szybko płynąc z prądem do portu w Portlynn, gdzie ich ładunki zostaną przeniesione do pociągów lub na wielkie pełnomorskie statki.

Około południa zaczęli już napotykać pierwsze plantacje i pastwiska wrzynające się w łąki terenów zalewowych. Przez gałęzie drzew dostrzegali białe ściany wiejskich rezydencji. Potem na brzegach zaczęły pojawiać się wioski: tak jak w Portlynn, wszystkie ich domy były z drewna i stały na palach. Pomosty przystani wychodziły w rzekę, z przycumowanymi łodziami oraz uwijającymi się dokerami.

– To wszystko wygląda tak ładnie – powiedziała tęsknie Kysandra, gdy te urocze małe osady zniknęły w oddali.

Pierwotna dżungla została niemal całkowicie wykarczowana, oddając ziemię pod uprawy. Równe rzędy drzew cytrusowych stały dumnie wyprostowane w gajach. Małe armie mod-

karłów krzątały się w nich, zrywając kolorowe kule. Duże wozy wysoko załadowane wiklinowymi skrzynkami pełnymi owoców przewoziły je na przystanie polnymi drogami obsadzonymi fandapalmami. Ryżowe pola błyszczały różowo-złoto w popołudniowym słońcu, a jeszcze mniejsze mod-karły brodziły w nich, sadząc ryż. Krowy i strusie pasły się na rozległych zielonych łąkach. Ludzie szli lub jechali konno, wszyscy w szerokich kapeluszach chroniących przed prażącym słońcem. Takie spokojne, przyjemne życie.

– Chciałabyś tu mieszkać, señorita? – zapytał Jymoar.

Kysandra uśmiechnęła się i rozejrzała wokół. Jymoar stał obok małej sterówki, patrząc na nią. Zauważył jej spojrzenie i uśmiechnął się szeroko. Zaczzerwieniła się i odwróciła, żeby znów obserwować brzeg rzeki. Jymoar miał chyba dziewiętnaście lat i odbywał praktykę u swojego wuja Migarya. Nawet przystojny, ale... *Nie, dziękuję.*

– Mam już dom, dziękuję.

Zaledwie to powiedziała, natychmiast tego pożałowała. Chłopak przepaszająco skinął głową i odwrócił się, żeby odejść.

– Może jednak dałabym się namówić na przeprowadzkę. – Chytrze zerknęła na Nigela. – Mój opiekun nie zawsze będzie mógł mi rozkazywać.

– Opiekun? – zdziwił się Jymoar.

Nigel uchylił kapelusza.

– To ja. Idę teraz sprawdzić, jak się mają konie, albo coś; bawcie się dobrze, dzieci. – A do Kysandry nadał: – Bądź miła.

– Zatem podróżowałaś już tak daleko na wschód? – zapytała.

Jymoar pospiesznie podszedł do niej.

– Nigdy tak daleko. Jednak pływam na „Gothorze” dopiero siedem miesięcy. Pewnego dnia będę miał własny statek.

Obdarzyła go zachęcającym uśmiechem.

– Naprawdę? Jaki?

* * *

Gdy zapadła noc, światła wiosek i samotnych posiadłości odbijały się w szybkim i cichym nurcie, kiedy „Gothora” równym tempem płynęła w górę rzeki. Następnego dnia zatrzymali się przy jednej z wiosek, żeby uzupełnić zapas drewna i kupić świeżą żywność do mesy. Po niecałych czterech godzinach popłynęli dalej.

Pokonanie całej długości Mozal zajęło im osiem dni. Na szczęście główny nurt dochodził niemal do samego południowego krańca pasma gór Bouge, tysiąc mil na wschód od Portlynn. Tylko przez ostatnie pięćdziesiąt mil płynęli dopływem Mozal, rzeką Woular, znów kierując się na północ. Od dwóch dni góry stale rosły na horyzoncie.

Ziemię na obu brzegach Woular znów porastały długie połacie pierwotnej dżungli i zarośli. Posiadłości i wioski były coraz bardziej oddalone od siebie. To dzikie tereny, na których nie rosła żadna ziemna roślinność. Brzegi porastały wysokie rodzime kwazje i

natelowce, spowite festonami pnączy ozdobionych bogactwem białych i purpurowych kwiatów. Woda gęstniała od butwiejących spadłych gałęzi i długich pędów pnączy. Przy brzegach rosło twarde zielsko bakku, tworzące wielkie sprężyste maty. Kapitan Migray musiał zmniejszyć prędkość i razem z Sanealem skrupulatnie sprawdzać telepatycznie rzekę na obecność podwodnych przeszkód. Od kilku godzin nie napotkali innej barki.

W końcu zza długiego zakrętu wyłoniła się Croixtown. Wioska składała się z około pięćdziesięciu domów, a żaden z nich nie był piętrowy. Stały blisko siebie w środku kręgu tworzonego przez wielkie zagrody, w których za wysokimi i mocnymi ogrodzeniami trzymano bizona i dziki. W mniejszych trzymano neuty. Kysandra wyciągnęła szyję, powiększając obraz na siatkówkach oczu.

– Czy to wielbłądy?

– Masz dobre oczy – powiedział Jymoar, uśmiechając się z podziwem. Przez większość podróży flirtował z nią z nadzieją i wpadł po uszy.

– Dziękuję.

– Tak, to zapewne są wielbłądy. Tym rancheros jest obojętne, co zapędzają do zagród, byle przyniosło na targu brzęczącą monetę.

– Mają tu mnóstwo zwierząt – zauważył Nigel, uważnie patrząc na zagrody.

Jymoar już nie drżał tak jak na początku podróży, kiedy Nigel coś do niego powiedział.

– Si, señor. Sawanna jest domem wielu zwierząt; żyją tam nawolności. Nie ma na niej wielu drapieżników, tylko rajszyby, rokswilki i dzikie psy, a ranczerzy polują na nie, żeby chronić stada. – Rozejrzał się ukradkiem i zniżył głos. – Słyszałem, że mieszkańcy Shansville lubią psie mięso.

Kysandra przeniosła spojrzenie dalej, za zagrody. Teren za nimi powoli wznosił się do podnóża gór Bouge rozległą, otwartą przestrzenią sawanny, na której niebieskawozielone rodzime trawy falowały ospale niczym morze. Rzadkie hebanowe drzewa biczoworowe stały dumnie, kolczastymi plamami przerywając bezmiar rozkołysanej trawy.

– Czy to tam jest Pustynia Kości? – zapytała.

– Za górami, tak – rzekł Jymoar. – Wolałbym, żebyś tam nie jechała, señorita. To złe miejsce.

– Dlaczego tak mówisz?

– Każdy to wie. Nawet Upadli boją się tam zapuszczać. Mówi się, że na środku pustyni leży stos dziesięciu tysięcy ciał, których kości są zdobyczą jakiegoś potwora, a ich dusze błądzą wokół, roniąc świetliste łzy na szary piach.

– Fascynujące – rzekł Nigel. – Jakiego potwora?

– Tego nikt nie wie, señor. Kto go napotka, ten nie przeżyje. Ci, którzy zdołają się wymknąć z jego pazurów, zostają naznaczeni do końca życia tym, co widzieli; wielu potem traci zmysły.

– Dziesięć tysięcy ciał? To wielu ludzi. Skąd się wzięli?

– Nigelu – skarciła go Kysandra, marszcząc brwi. Nieładnie kpić z przesądów chłopca.

Jymoar wzruszył ramionami.

– Wątpi pan w moje słowa, ale ci ludzie zginęli na Pustyni Kości, señor. Nie pójde tam nawet dla señority.

– A ja nigdy bym cię o to nie poprosiła – zapewniła go uprzejmie.

„Gothora” przycumowała do jedynej przystani Croixtown. Mieszkańcy byli rozczarowani tym, że nie zabierze ich zwierząt na duże targowiska w dole rzeki, ale Nigel zapłacił kapitanowi Migrayowi, żeby zaczekał, aż wróca.

– Czekam miesiąc – powiedział kapitan. – Dobrze płacisz, señor, ale „Gothora” to moje życie i praca. Nie mogę przykuć jej łańcuchem do lądu; musi pływać po rzece.

– Rozumiem to – odrzekł Nigel. – Wrócimy, nim minie miesiąc.

– Będę czekał – nadał Jymoar do Kysandry – na twój bezpieczny powrót.

– Nie martw się o nas – nadała w odpowiedzi. – Proszę.

Nigel wesoło pogwizdywał, wprowadzając swego konia na przystań.

– Ach, te wakacyjne romanse. Najlepsza rzecz na świecie.

– Och, zamknij się – warknęła.

PIĘĆ

Jazda po sawannie była męcząca. Pierwszego wieczoru Kysandra prawie płakała, tak była obolała od siodła. Nawet blokady neuronowe założone przez jej pomocnicze procedury dla złagodzenia bólu zdawały się niewiele pomagać. Rozstawili na noc dwa sfabrykowane przez „Gwiazdną Damę” namioty z czegoś, co miało wyglądać jak zwykły brezent, lecz w rzeczywistości było materiałem lekkim jak piórko i doskonale izolującym termicznie.

– Będą utrzymywały odpowiednią temperaturę – wyjaśnił Nigel. – Noce na pustyni bywają bardzo zimne. Wielu badaczy nie było na to przygotowanych.

Kysandra bez przekonania próbowała pomagać przy ich rozstawianiu. Nie chciała siadać i z dezaprobatą patrzyła na Fergusa, gdy pokazywał jej, jak się posługiwać zaworem jej samopompującego się materaca.

– Będzie dostatecznie miękki – obiecał.

– Nic nie będzie dostatecznie miękkie – zapewniła.

Ponieważ jednak materac był z jakiegoś wymyślnego materiału Wspólnoty, istotnie był dostatecznie miękki, żeby lec na nim, nie krzywić się i nie przeklinając. Madeline przysłała z dużą tubką kremu z apteczki i kazała jej obrócić się na brzuch.

– Będę tego potrzebowała tak samo jak ty, mała – wyznała Kysandrze, wcierając maść w jej otartą skórę. – To była długa jazda, a ja od lat nie siedziałam na koniu.

Kysandra westchnęła z ulgą, gdy środek znieczulający zaczął działać.

– Powinniśmy nałożyć na to trochę syndermi – oznajmił Nigel. – Ona ochroni twój tyłek jutro.

Zaskoczona Kysandra pisnęła i pospiesznie zasłoniła rękami gołe pośladki. Posłała mu gniewne spojrzenie.

– Czy we Wspólnocie nie szanuje się prywatności?

– Hmm. – Nigel podrapał się po głowie, wyraźnie rozbawiony. – Zależy na jakiej planecie.

– Wyjź!

Zachichotał i opuścił namiot. Kysandra jeszcze przez chwilę gniewnie patrzyła na klapę zasłaniającą wyjście. U-adiunkt powiedział jej, że Nigel wysłała plik, który niechętnie odebrała. Był to wykaz właściwości syndermi.

– Zawsze musi mieć rację – mruknęła. – Madeline, przynieś syndermę w sprayu, dobrze?

– Jasne, mała.

Russell rozpałił ognisko i podgrzał ich racje. Gdy słońce wreszcie zaszło, Kysandra nagle zdała sobie sprawę z obecności zwierząt węszących w wysokiej trawie na skraju jej telepatycznego pola widzenia, gdzie nie była w stanie ich zidentyfikować. Dalej na sawannie rozległy się wycia samotnych rokswilków, którym odpowiadało wyzywające szczekanie stad dzikich psów.

– Nie zbliżaj się do ognia – rzekł Nigel, wyczuwając jej niepokój.

– To nie tych zwierząt się obawiam – powiedziała Kysandra. – Tylko Upadłych. Jaja nie przebijają, wchłaniają, kogo dopadną.

– Interesujące – zauważył Nigel. – Przecież muszą mieć jakieś podstawowe kryteria. No wiesz, rozumiem pożeranie i przemianę w rokswilka, ale nie ma sensu, by jajo stawało się gryzoniem czy muchą.

– Nazywają to regułą pierwszych czterdziestu – rzekła Kysandra. – Czytałam o tym w instrukcjach Instytutu Badania Upadłych. Jeśli zwierzę waży mniej niż czterdzieści kilo, nie jest przyciągane przez jajo w pierwszym miesiącu, ale potem jajo robi się mniej wybredne i zaczyna wabić również mniejsze stworzenia.

– A więc są mądre już w stadium jaja – myślał głośno Nigel.

– Nie są mądre – rzekł Russell. – Tylko chytre, jak wszystkie paskudne stwory.

Kysandra uśmiechnęła się, słysząc pewny ton jego głosu. Nawet ten nowy Russell chciał, żeby świat był taki prosty.

– Prędzej czy później będziemy musieli zbadać jedno jajo – rzekł Nigel. – Zobaczyć, jak funkcjonuje. – Przechylił głowę. – Jednak Instytut Badania Upadłych musiał już to robić, a oni mają najlepszy sprzęt... jeśli działa. Musimy poznać wyniki ich badań, jeśli je opublikowali.

– Coulan je znajdzie – powiedziała z przekonaniem.

– Jeżeli istnieją. – Nigel przeszył Kysandrę wzrokiem. – A zatem Upadłe zwierzęta też pożerają ludzi?

– Nie. Pożerają tylko te stworzenia, którymi się stały, tak jest w instrukcji.

– Coraz dziwniejsze – mruknął Nigel.

– Zwierzęta wiedzą – powiedziała z satysfakcją Madeline.

– Zawsze potrafią rozpoznać, jeśli jedno z nich jest Upadłym, i instynktownie je atakują. Inaczej Bienvenido zostałyby już opanowane przez Upadłych.

– Jednak Upadłe zwierzęta zabijają ludzi, zawsze – rzekła Kysandra. – Wiedzą, że jesteśmy ich prawdziwymi wrogami. To dlatego...

Wskazała ręką ciemność.

– Będę czuwał całą noc – zapewnił ją Fergus. Poklepał sztucer myśliwski dużego kalibru, który „Gwiezdna Dama” wyprodukowała i upodobniła do zwykłej broni używanej na Bienvenido.

– Będziecie zupełnie bezpieczni.

Mimo niepokoju wywołanego możliwością ataku Upadłych zwierząt oraz bólu ud i pośladków Kysandra szybko zasnęła.

Minęły jeszcze dwa dni konnej jazdy przez sawannę, zanim dotarli do podnóża gór. Był to wysunięty najdalej na południe punkt pasma Bouge. Trzysta mil dalej na wschód znajdowało się wybrzeże Oceanu Wschodniego, natomiast na północy Pustynia Kości ciągnęła się przez prawie osiemset mil, zanim w końcu zatrzymywał ją mały łańcuch wzgórz opadających do północnego, równikowego wybrzeża. Północno-wschodnią granicę tej pustyni tworzyły góry Salalsav; choć nie tak wysokie jak pasmo Bouge, stanowiły skuteczną barierę dla deszczowych chmur znad Oceanu Wschodniego. Tak więc tylko południowy kraniec tej pustyni nie był zamknięty górami, a tamtędy rzadko wiatr nawiewał jakieś deszczowe chmury.

Jechali podnóżem gór Bouge, aż sawanna przeszła w półpustynię; trawy ustąpiły miejsca kępom sukulentów, które też wkrótce stały się coraz radsze. Ilasta gleba zmieniła się w kamienistą. Kilka mil dalej było już widać pierwsze wydmy, a wraz z tym widokiem pierwsze ziarenka piasku niesione przez gorący wiatr wiejący z Pustyni Kości smagnęły twarz Kysandry.

– Widzę strumień – oznajmił Nigel, stanąwszy w strzemionach. – Tam rozbijemy obóz i przygotujemy się.

Poruszył wodze, telepatycznie wzmacniając wydane koniowi polecenie. Pozostali ruszyli za nim.

Strumień był zaledwie krętym pasmem trzciny w pyle, zdradzającym wilgotniejsze podłoże. Kiedy rozchylili twarde łodygi, żeby odsłonić wodę, ta była mętna i płynęła leniwie.

– Powinno wystarczyć – orzekł Fergus. Wziął łopatę i zaczął kopać.

– Pomogę – rzekł Russell, zawsze chcący udowodnić swoją wartość.

Nigel, Kysandra i Madeline otworzyli niesione przez mod-konie kufry i wyjęli z nich dodatkowe wiązki prętów, układając je na ziemi w sposób zapamiętany podczas niezliczonych prób przeprowadzanych przed rozpoczęciem tej podróży. Gdyby ktoś obejrzał te cienkie kompozytowe pręty, pomyślałby, że to tylko zapasowe maszty namiotu.

Ułożywszy je we właściwej kolejności, połączyli je ze sobą, tworząc trzy prostokątne platformy. Kysandra złączyła razem wygięte kształtki, formując koła, na które nałożyła opony – rury z superwytrzymałego materiału, ważące niecały kilogram każda. Było ich sześć. Przykręciła wąż pompy do zaworu pierwszej z nich i zaczęła ją napełniać. To była ciężka, wyczerpująca praca, przy której spociała się już po minucie, ale z determinacją jej nie przerywała. Nigel przejął od niej pompkę i nadmuchał drugą. Kiedy napełnili wszystkie sześć, przymocowali koła do osi sterujących z platformy i otrzymali w ten sposób trzy małe wozy, które konie mogły ciągnąć.

Russell załadował na nie worki z wodą zrobione z tego samego materiału co opony.

– Teraz czeka nas trudniejsze pompowanie – oznajmił Nigel.

Za pomocą drugiej, większej pompy wypompowali wodę z dziury wykopanej przez Fergusa i Russella, przepuszczając ją przez wymyślny filtr i napełniając bukłaki. Na każdym wozie było ich trzy, zawierające po sto pięćdziesiąt litrów.

– Czy to nie za dużo? – spytała Kysandra. To pytanie dość często zadawała na farmie Blairów, kiedy kompletowali sprzęt.

– To pustynia – wyjaśnił jej cierpliwie Nigel. – Ma osiemset mil długości i trzysta w najszerszym miejscu. Musimy znaleźć to jedno miejsce, które wytworzyło anomalie, a mam tylko jego przybliżone koordynaty. Nie mam pojęcia, ile dni potrwać te poszukiwania, ale przygotowałem się na parę tygodni. W normalnych warunkach koń potrzebuje co najmniej dwadzieścia pięć litrów wody dziennie, a to nie jest normalne otoczenie, tylko pustynia. My potrzebujemy dziennie trzy do czterech litrów. Nawet zabierając tysiąc trzysta litów, będziemy musieli co kilka dni wracać do podnóża gór i uzupełniać zapas.

– Dobrze, dobrze – poddała się.

Napełnili dopiero trzy z dziewięciu pojemników, gdy Fergus rzekł:

– Och, spójrzcie na to... tam, gdzie powietrze jest chłodniejsze.

Kysandra spojrzała w kierunku który wskazywał. Wysoko na zboczu jakieś trzy mile dalej dostrzegła powoli poruszające się szare plamki. Kiedy powiększyła obraz, zobaczyła, jak wielkie są te zwierzęta.

– Czy to słonie? – zapytała. Zawsze chciała zobaczyć jedno z tych ogromnych zwierząt.

– Mamuty – odparł z uśmiechem Nigel. – Do diabła, pamiętam, kiedy urodził się pierwszy. Ogród zoologiczny w San Diego był oblegany miesiącami; media zignorowały nawet nowo narodzone pandy.

– Są sztuczne?

– Nie. No... niezupełnie. Były ziemskimi zwierzętami, które wyginęły w czasie ostatniej epoki lodowcowej na Ziemi; następnie Fundacja Struktury Genomu sekwencjonowała ich DNA ze z mumifikowanych szczątków, wykopanych z syberyjskiej wiecznej zmarzliny. Wówczas budziło to kontrowersje, szczególnie po tym, czym stała się ta fundacja, ale w końcu zabraliśmy je na połowę kolonizowanych planet... razem z cholernym ptakiem dodo... chociaż nigdy nie ustalono, jaki był cel ich wskrzeszenia. To najgłupsze ze znanych stworzeń,

a także brzydkie jak grzech. Ponadto ich mięso smakuje dokładnie tak samo jak kurczak, a więc to też nie był sensowny powód.

– Wydaje się, że warto wskrzeszać wymarłe gatunki. Wiem, że Ziemia w pewnym momencie miała poważne problemy ekologiczne; ten fakt jest w zasobach mojej pamięci z zakresu historii ogólnej.

– Taak. Mieliśmy z tego powodu przesadne poczucie winy. Zwie się to Sanktuarium: to jedyny świat, jaki kiedykolwiek został całkowicie terraformowany. Dwieście lat zrzucania ton mikrobów i bioreagentów, żeby przygotować atmosferę i piasek dla ziemskich roślin. Kolejny wiek bombardowania go nasionami i owadami, zanim zabawiliśmy się w Noego i wypuściliśmy nasze zwierzęta, parami. Każdy gatunek poza ludzkim... och, i chyba oprócz os. To jedyna naprawdę wierna kopia ziemskiej biosfery w galaktyce, a my jesteśmy jedynym gatunkiem, który nie ma tam wstępu. Genialne! Jednak cóż, w oceanach Sanktuarium jest mnóstwo wielorybów. Walenie ponad wszystko. Mamy wszczepione zbiorowe poczucie współwiny wobec nich. Zatem wszystko jest w porządku.

– Zabrzmiało cynicznie.

– To pomniejszanie swoich zasług – rzekł Fergus. – On wcale nie żałuje stworzenia Sanktuarium. Jak myślisz, kto za to zapłacił?

– To było konieczne – powiedział Nigel. – Jako eksperyment.

– Eksperyment?

– Taak. Widzisz, w tej galaktyce jest wiele nadających się do zamieszkania światów; czasem o innej biochemii, ale nie zabójczej. – Wskazał ręką. – Tak jak tutaj, koegzystujemy w pokoju; nawet możemy jeść niektóre z rodzimych roślin. Ale jeśli nasze floty kolonizacyjne dotrą do innej galaktyki, gdzie główne procesy biochemiczne będą niekompatybilne z naszymi, będziemy musieli wiedzieć, jak terraformować środowisko, i umieć to robić. Tak więc lepiej się tego nauczyć, zanim wyruszymy.

– Do innej galaktyki? – Kysandra przycisnęła dłonie do skroni. – Czy naprawdę w żaden sposób nie mogę wydostać się z Pustki? Chcę żyć poza nią. Chcę być wolna.

Nigel spojrział na nią ze smutkiem.

– Wybacz mi i moim ustom. Do cholery, muszę się nauczyć, kiedy trzeba milczeć.

– Nie – powiedziała. – Nie rób tego. Nigdy.

* * *

Rano ubrali swoje pustyne stroje ze srebrzystobiałego materiału o takich samych właściwościach jak ten, z którego były uszyte namioty. Były z niego zrobione także obszerne kaptury, które założyli koniom, żeby ochronić ich łby przed prażącym słońcem.

Kysandra starannie owinęła głowę turbanem, odgarniając włosy z twarzy i wpychając je pod to nakrycie głowy. W tak ciasnym turbanie trudno było dobrze dopasować gogle przeciwsłoneczne.

– Ledwie mogę ruszać szczęką – poskarżyła się.

– Powstrzymam nasuwający się komentarz – powiedział Nigel i stanął przed nią, żeby poprawić paski turbanu przechodzące jej pod brodą. – A teraz jak?

– Chyba dobrze.

– Jesteś gotowa?

– Uracusicie, tak.

Pojechali, pozostawiając w tyle podnóże gór, gdzie ostatnie kępy roślinności kurczowo trzymały się dna płytkich parowów, i wjechali na wydmy pustyni. Nigel i Fergus sprawdzili, jak opony radzą sobie z gorącym szarym piaskiem, ale wydawało się, że dobrze. W każdym razie wozy z wodą toczyły się gładko.

Po godzinie jazdy Kysandra cieszyła się, że ma na sobie pustynne szaty. Kiedy je zakładała, miała wrażenie, że się obwiązuje, takie były ciasne. Teraz jednak, siedząc w siodle na powoli idącym koniu, wcale się nie męczyła. Błyszcząca powierzchnia materiału odbijała słoneczny skwar, a termiczna osłona nie pozwalała rozgrzanemu powietrzu parzyć jej skóry. Tylko oddychać było trudno. Powietrze było tak gorące, że niemal parzyło i szybko wysuszało gardło. Nieustannie popijała wodę przez rurkę połączoną z butelką przymocowaną do brzucha pod szatą. W miarę jak mijał ranek, była coraz bardziej świadoma potwornego pustynnego skwaru, otaczającego ją ze wszystkich stron, ale niemogącego przedrzeć się przez osłony. To było ekscytujące, rzucać wyzwanie tak wrogiemu środowisku. Zaczęła się zastanawiać, czy ci dzielni dawni badacze naprawdę coś tu odkryli. Przecież nikt nie mógł być tak szalony, żeby podążać przez środek pustyni, tak jak teraz oni. *Czy legendy o tych kościach są tylko majaczeniami wywołanymi udarem słonecznym?*

Wydmy stawały się coraz większe, a piach bardziej sypki. Obrany przez Nigela kurs do samego serca pustyni prowadził cały czas po zboczach, w górę i w dół. Nigdy po równym terenie. Podnóże gór wkrótce znikły im z oczu: tylko góry Bouge pozostały widoczne, nierzeczywiste śnieżne szczyty błyszczące nad pustynią.

Rozpalone powietrze było nasycone drobnymi ziarenkami piasku, niesionego słabym, lecz uporczywym wiatrem. Pomimo ochronnych szat zaczęły się wdzierać pod ubranie i ocierać skórę. Mrugała co chwilę, żeby łzy zmywały je z oczu. Jej koń nieustannie potrząsał łbem, zirytowany, protestując rzeniem przeciwko temu okropnemu gorącu. Musiała stale słać mu polecenia, żeby utrzymać go w ryzach, uspokajając jego rosnące zaniepokojenie tym nieprzyjaznym, rozpalonym otoczeniem. Tylko mod-konie spokojnie parły naprzód, nieporuszone swoją udręką.

Po czterech godzinach Nigel zarządził postój w cieniu wysokiej wydmy.

– Przeliczyłem się – oznajmił. – Temperatura staje się niebezpieczna dla zwierząt. Podróżowanie w dzień jest szaleństwem, szczególnie w południe. Rozbijemy obóz i zaczekamy do wieczora, żeby podróżować w nocy.

Kysandra nie protestowała. Pragnęła jechać dalej i dotrzeć do serca pustyni, żeby zgłębić jej tajemnicę. Ale jej koń był coraz bardziej spłoszony i wyczuwała jego przestraszone myśli. Kiedy zsiadała, zaskoczyło ją nagle rzenie ulgi biednego zwierzęcia. Od kiedy wjechali na

pustynię, nie słyszeli żadnego dźwięku. Gdy uniosła gogle, żeby wytrzeć oczy, słoneczny blask był szokująco jasny.

Rozpięli szeroki baldachim i spętali zwierzęta – nie, żeby miały dokąd uciec. Potem pomogła Madeline i Russellowi rozstawić namioty, podczas gdy Nigel i Fergus sprawdzali osie wozów z wodą, wtryskując świeży olej w łożyska, żeby zmniejszyć tarcie piasku, który się do nich dostał.

Kysandra chciała jak najszybciej rozstawić namioty. Była rozdrażniona dziwnie sprzecznymi klaustrofobicznymi odczuciami wywoływanymi przez pustynne szaty, gdy chodziła wokół, łącząc maszty i wkręcając kołki w piasek. Gdy tylko napoiła i nakarmiła swojego konia, pospieszyła do namiotu i rozebrała się do bielizny. Powietrze w namiocie było rozgrzane i niezbyt przyjemne, lecz nie zwracała na to uwagi; zdjawszy pustynną szatę, poczuła się swobodniej. Pociągnęła długi łyk z termosu, zaskoczona niską temperaturą płynu – bliską zera.

– Wchodzę – nadał Nigel.

Kysandra wyjęła z podróźnej torby koszulę i założyła ją.

– Jak sobie radzisz? – spytał, zaczynając zdejmować swoje szaty.

– Będę potrzebowała więcej maści – przyznała.

Otarcia na nogach wciąż były czerwone i bolesne, chociaż smarowała je codziennie rano i wieczorem.

– Ja też.

– Myślisz, że konie wytrzymają?

– Pod daszkiem temperatura jest znacznie niższa. Dadzą radę. Tu też zrobi się chłodniej, jeśli nie będziemy otwierać kłapy. Zobaczysz za godzinę.

Rzucił szatę na podłogę.

– Dobrze. – Rozwinęła samopompujący materac i czekała, aż się napelni. – A ty się martwiłeś, że w nocy będziemy marznąć.

– Nawet ja mogę się mylić. Kto wiedział, jak tu będzie?

Położyła się na materacu, wmawiając sobie, że już jest trochę chłodniej.

– Zatem po prostu zostaniemy tutaj przez siedem następnych godzin?

Nawet teraz nie mogła się zmusić do dzielenia namiotu z Madeline czy Russellem. A Fergus był pod daszkiem przy koniach, jak zwykle stojąc na warcie.

– Taak. Zanim znów ruszymy, zjemy posiłek. Z takimi zmysłami, jakimi dysponujemy, nocna jazda będzie zupełnie bezpieczna.

* * *

Wbrew swoim oczekiwaniom Kysandra zdołała przespać kilka godzin, gdy bezlitosne słońce paliło pustynię, podnosząc temperaturę w południe do prawie pięćdziesięciu stopni Celsjusza. W namiocie nie przekroczyła dwudziestu pięciu.

Nie była głodna; nie chciała nic jeść. Jednak Nigel nalegał, żeby spożyli posiłek późnym popołudniem. Zjadła trochę jichleba, pieczonego tak długo, że był twardy i zbity jak biszkopt, ale zachowywał świeżość tygodniami, oraz pasztet mięsny wybrany dlatego, że również mógł długo wytrzymać, nie psując się. Wmusiła to w siebie i wypila znacznie więcej wody z termosu. Na deser było jabłko, jedno z worka kupionego w Croixtown. Było niezbyt smaczne, a jego skórka już się zaczynała marszczyć.

Ponownie założyli pustynne szaty i wyszli na zewnątrz, by zwinąć obóz. Reszta dnia minęła tak samo jak poranna podróż. W miarowym, powolnym tempie. W górę wydmy i w dół. Potem znowu. I znowu. Strumyki piachu osypującego się spod kopyt. Ciągący się za nimi welon pyłu. Bliźniacze koleiny wozów z wodą ciągnące się za nimi i znikające w oddali.

Po godzinie słońce zaszło za górami Bouge, pozostawiając pustynię skąpaną w różowym półmroku. Twardy piach przybrał ciemnoróżową barwę. Ta wkrótce ściemniała do popielatoszarej. Czyste niebo pociemniało, pozwalając dostrzec słaby blask mgławic. Temperatura powietrza zaczęła opadać do czterdziestu stopni Celsjusza.

W swoim małym kokonie ochronnej odzieży Wspólnoty Kysandra stopniowo nabierała pewności, że jeszcze nikt nigdy nie zapuścił się tak głęboko na Pustynię Kości. Dawni badacze zapewne tylko zawadzili o jej kraniec. Nic więcej.

W miarę jak mijała noc, wydmy zaczęły się zmniejszać i kurczyć, a ich zbocza spłaszczać. Uświadomiła sobie, że wiatr także słabnie.

Godzinę po północy Nigel przeprowadził ich przez ostatnią prawdziwą wydnię. Pustynia po drugiej stronie stała się monotennie płaska; omywana słabiutkim blaskiem mgławic, przypominała matową toń spokojnego morza. Jednak to pozwoliło im zwiększyć tempo marszu, gdy zaczęli pokonywać tę ponurą równinę.

* * *

O trzeciej zatrzymali się, aby napić konie. Zwierzęta były zmęczone, ale nie protestowały przeciwko nocnemu przejazdowi.

– Przynajmniej żadne zwierzę nie zdoła się do nas podkraść – powiedział Russell, gdy napełniali bukłaki wodą.

Nawet znajdujące się zaledwie dziesięć mil za nimi wydmy znikły za mrocznym horyzontem. Poczucie osamotnienia było przemożne.

– Nie ma tu żadnego potwora – zapewnił go Nigel.

Kysandra bardzo chciałaby w to uwierzyć, ale Pustynia Kości była dziwnym miejscem.

Świt przyszedł dwie godziny później, gdy płonący półksiężyc złocistego światła szybko wyłonił się zza gór Salalsav, pchając przed sobą bladoniebieską mgielkę. Do tego czasu Kysandra była już bardzo zmęczona. Pomimo długiego odpoczynku poprzedniego wieczoru nocna podróż ją wykończyła.

– Zatrzymamy się teraz? – zapytała, a właściwie poprosiła.

– Kiedy temperatura się podniesie – odparł beznamiętnie Nigel.

Gdy wokół nich wstawał dzień, koń Kysandry szedł naprzód. I ten miarowy rytm stał się całym jej wszechświatem. Skwar stał się nieznośny, rozpalając powietrze. Znów czuła jego żar w ustach.

Jasny słoneczny blask nie ukazał niczego prócz tego, jak rozległa jest Pustynia Kości. Nawet otaczające ją góry znikły im z oczu za kurtyną falującego, rozedrganego od skwaru powietrza.

– Stać – nadał Nigel.

Ten rozkaz wyrwał Kysandrę z hipnotycznego transu. Dziesięć metrów przed nią Nigel ściągnął wodze wierzchowca. Pospiesznie kazała swojemu koniowi zatrzymać się za nim.

– Czy ktoś jeszcze to widział? – zapytał.

Kysandra spojrzała na falujący horyzont, niepewna gdzie kończy się ziemia i zaczyna niebo. Jednak w rozprazonym powietrzu zdecydowanie była jakaś ciemna plama, na której nawet jej reaktywowane, odziedziczone po Zaawansowanych źrenice nie mogły się skupić.

– Co to takiego? – zapytała płacząco.

Nigel sięgnął po moduł i wycelował go w ciemną smugę.

– Miraż. Coś jest za horyzontem. Coś dużego. Za daleko, żeby rozpoznać.

Opuścił moduł.

– Mamy szczęście – powiedziała.

Ikony nawigacji przesunęły się przez jej egzowizję, połączone z małą inercyjną aplikacją naprowadzającą OCtattoo, którą moduł medyczny „Gwiezdnej Damy” nadrukował na jej ramieniu.

– Stara technologia – skomentował to Nigel. – Jednak sądziliśmy, że tu będzie działać.

Miała rację. Egzowizja potwierdziła, że obiekt – czymkolwiek był – znajduje się na wschód od trasy, którą podążali na środek pustyni.

Dwa miesiące temu poczta dostarczyła najdroższy i najdokładniejszy atlas dostępny na Bienvenido: gruby tom z rozkładanymi mapami, który Nigel zamówił bezpośrednio z Kapitańskiego Instytutu Kartograficznego. Główne zarysy planety zapewne zostały skopiowane ze zdjęć zrobionych przez załogę kapitana Corneliusa, gdy ich statek podchodził do lądowania, i w ciągu wieków uzupełnione dodatkowymi szczegółami dostarczonymi przez różne wyprawy Towarzystwa Geograficznego. Z pewnością zarys Pustyni Kości był przedstawiony stosunkowo dokładnie, więc bez wahania skopiowali go do swoich zasobów danych. Na pustyni nie zaznaczono żadnych punktów orientacyjnych, wzgórz czy wąwozów; według atlasu była idealnie płaska.

– Nie sądzę, żeby to był tylko szczęśliwy traf – rzekł powoli Nigel. – Po prostu ten obiekt jest dostatecznie duży, żeby jego refrakcyjny obraz był widoczny z daleka. Co niekoniecznie jest dobre.

– Myślisz, że to jeden z pozostałych statków? – spytała. – Czy jeden z nich rozbił się tutaj?

Była to przerażająca myśl. Jakby to było, wyjść z rozbitego statku i znaleźć się w tak skrajnie niegościnnym otoczeniu? *I wszyscy mówią, że tam będzie mnóstwo ciał.* Dreszcz przebiegł jej po plecach, aż zadrżała pod obszerną szatą.

– Możliwe – odrzekł Nigel. – Chociaż spodziewałbym się, że w pobliżu miejsca katastrofy powstanie jakieś duże skupisko ludności. Natomiast ten koniec kontynentu jest jednym z najmniej zaludnionych terenów. Po drugiej stronie gór Salalsav jest kilka wiosek rybackich, ale nie ma żadnego dużego miasta.

– Ponieważ nie wydostali się z pustyni.

– Cornelius by ich nie zostawił.

– A zatem...?

– Właśnie dlatego tu jesteśmy, pamiętasz? Aby się dowiedzieć. Chodź, rozbijemy obóz na resztę dnia.

Tym razem Kysandra zasnęła niemal natychmiast po tym, jak wtoczyła się do namiotu. Nigel zbudził ją późno po południu na posiłek, który zjadła z apetytem.

Wciąż było okropnie gorąco, gdy ponownie wyruszyli w bezlitośnie prażących promieniach nisko wiszącego słońca. Nigel i Fergus mówili, że miraż był widoczny przez większość dnia. Przesunął się trochę w rozgrzanym powietrzu, ale nie więcej niż o kilka stopni.

Tak więc ruszyli w tym kierunku, a miraż przed nimi migotał niczym jakieś czarne słońce umieszczone tuż nad horyzontem. Potem schował się za nim wraz z prawdziwym słońcem Bienvenido, pozostawiając pustynną równinę ciągnącą się na skraj nieskończoności, gdzie stapiała się z niebem. Egzowizja Kysandry utworzyła naprowadzającą, purpurową linię skierowaną ku temu znikającemu punktowi. Dziewczyna obsesyjnie raz po raz patrzyła na nią, gdy jej koń posłusznie parł w noc. Oświetlała ich słaba fosforescencja mgławic, równie niezmienna jak pustynia.

– Tam coś jest – oznajmił Fergus.

Było dobrze po północy i determinacja oraz entuzjazm już dawno opuściły Kysandrę, gdy stało się oczywiste, że ten obiekt nie czeka tuż za horyzontem. Teraz po prostu znosiła trudy podróży, czekając na świt i odpoczynek w namiocie.

Bez specjalnego zainteresowania czekała, aż Fergus zsiądzie i przejdzie po żwirowatym piasku do niewielkiego kamienia. Jej siatkówka powiększyła obraz. Fergus pochylił się i coś podniósł. Strzęp odzieży? Jednak ten się rozsypał, gdy tylko wziął go w palce i podniósł z ziemi. W dłoni pozostał mu jedynie mały metalowy pierścień, na który spojrzął z zaciekawieniem. Otworzył się bezpośredni kanał łączności z jej u-adiunktem i egzowizja ukazała obraz widziany przez Fergusa oraz wyniki analizy spektrograficznej.

Pierścień miał trzy centymetry średnicy. Był zrobiony z tytanu.

– Wyrób Wspólnoty – orzekł Nigel.

– To nie biżuteria – powiedział Fergus. – Był zaszyty w materiale.

– Jest ich więcej?

– Nie widzę żadnego.

– No dobrze, chodźmy dalej.

Ruszyli naprzód. Po dziesięciu minutach Nigel zatrzymał grupę. Zsiadł z konia i podniósł kolejny strzęp odzieży. Tak jak pierwszy, ten też się rozsypał, gdy go dotknął.

– Stary – orzekł Nigel. – Bardzo stary.

Na pustyni było więcej takich strzępów materiału. Przyczepione do kamieni, na pół zagrzebane w piasku. Jeden z nich miał przymocowany przewód, który okręcił się wokół twardego głazu.

Nigel i Fergus uklękli przy nim, oglądając znalezisko.

– Jednorodne włókno węglowe – rzekł Nigel.

Fergus ostrożnie pociągnął za przewód. Kolejny strzęp rozsypał się w proch. Włókno miało dziesięć metrów długości, a jego drugi koniec był przymocowany do jakiegoś metalowego uchwytu.

– No to statek rozbił się tutaj czy nie? – zapytała Kysandra.

Nigel utrzymywał zupełnie otwartą osłonę.

– Może. Te fragmenty niewątpliwie pochodzą z tamtych czasów. Zapewne przywiął je tu wiatr. Tylko nie mam pojęcia, co to za materiał. Może jakiś rodzaj namiotu?

Przez kolejne dwie godziny szli dalej. Znajdowali coraz więcej strzępów tego materiału. Jeden pas miał ze trzy metry szerokości i był mocno owinięty wokół kilku kamieni oraz nierówności terenu, a spiskujące słońce i czas zamieniły go w cienką powłokę ukazującą każde zakryte przezeń pęknięcie i skazę. W upiornym blasku mgławic jarzył się matową, sinoszarą poświatą na ciemnym piasku, jak zabłąkane pasmo fosforyzującego mchu.

– Jak długo może przetrwać tu materiał? – zapytała Kysandra.

– Ten jest polimerową pozostałością nie wiadomo czego, więc nie określe upływu czasu – odparł Nigel. – Jednak jest go tu piekielnie dużo.

– Mam coś – zawołał Fergus. – Przejdźcie na podczerwień i popatrzcie na horyzont.

Kysandra przeszła na podczerwień. Starła się unikać tego trybu: obraz pustyni zmienionej w środku nocy w zbiór różowych i żółtych plamek wywoływał dezorientację, szczególnie przy pustym niebie. Jednak teraz miała go przed oczami – całkowicie równą płaszczyznę płonących kolorów, zmieniających się w powolnym rytmie, gdy nagrany piach oddawał ciepło chłodniejszemu powietrzu. Zmarszczyła brwi. Tam, na samej granicy tej słabej pomarańczowej poświaty, gdzie ciepło ustępowało miejsca pustce, na skraju pustyni tkwiła zielona plama. Próbowwała ją zwiększyć, lecz ze wzrostem powiększenia obiekt stawał się nieostry.

– Co to takiego? – zapytała ostrożnie.

– Coś, co ma inną temperaturę niż pustynia – odrzekł Nigel. – Coś dużego.

– Potwór? – spytała z przestachem Madeline.

– Nie ma żadnego potwora – rzekł Nigel.

– Ruszajmy – powiedział Fergus. – Możemy dotrzeć do niego przed świtem.

Bardzo się starali, popędzając konie. Lecz po kolejnych czterdziestu minutach zielona poświata nie wydawała się większa i świat rozpostarł na pustyni jaskrawą warstwę monochromatycznego światła. Kiedy cienie rzucające przez nich i wierzchowce wydłużały się na ochrowej barwy piasku, spoglądali na horyzont przed sobą. Na nagim pustkowiu wznosił się niewielki stożkowaty pagórek o łagodnych i dziwnie ciemnoszarych zboczach, które w padającym na nie słońcu stawały się popielate.

– To nie jest statek! – wypaliła Kysandra.

– Nie wygląda jak statek – przyznał Nigel. – Jednak na pewno jest z metalu. Widocznie jego widmo wykryły czujniki „Gwiazdnej Damy”. Właśnie z jego powodu tu jesteśmy.

Kiedy to mówił, Kysandra przyglądała się otoczeniu. Strzępy materiału walały się wszędzie. Setki, tysiące postrzępionych i bezładnie rozrzuconych kawałków, od mających wielkość chusteczki do nosa po płachty, którymi można by nakryć łożo w hotelu Rasheeda; a piach pomiędzy nimi był zasłany niezliczonymi cienkimi włóknami, rozciągniętymi lub splątanymi w węzły. Były tam także kawałeczki zmatowiałego metalu – uchwyty i klamerki z dołączonymi do nich włóknami. I wszechobecne pierścienie.

– Jak daleko do tej sterty złomu? – zapytała Kysandra.

– Trudno zmierzyć – odparł Fergus.

Znów powiększając obraz, Kysandra zobaczyła, że pustynia się porusza. Powietrze nabrzmiało i zaczęło płynąć pod silnym ostrzałem słonecznych promieni.

– Jedźmy dalej – powiedział Nigel. – Możemy tam dotrzeć, zanim będziemy musieli rozbić obóz.

Kysandra uważała to za mało prawdopodobne, ale nic nie powiedziała. Mała karawana pojechała dalej, pozostawiając za sobą obłoczki pyłu, ilekroć kopyto lub koło trafiło na kawałek materiału, który natychmiast się rozpadał. Z początku co kilka minut zsiadali, aby usunąć włókna zaplątane wokół nóg koni. Później w razie potrzeby używali teka, aby usunąć te pasma.

Teraz pozostawiali za sobą szeroki pas zniszczeń, wyraźny ślad, po którym każdy mógł za nimi podążyć. Kysandra się rozejrzała, ale nie dostrzegła żadnych innych kolein biegnących przez delikatne strzępy materiału.

– Nie było tu nikogo innego – zdecydowała.

– Przynajmniej od dawna – zgodził się Nigel.

Kiedy się zatrzymali dwie godziny później, wzgórze było zdecydowanie większe. Powiększanie obrazu nadal nie było zbyt przydatne w falującym, rozgrzanym powietrzu, ale nabrała przekonania, że zbocza wzgórza są wyjątkowo gęsto usiane gładzami. Ponadto intrygował ją jego jednolity kolor. No i stożek wyglądał na niemal idealnie symetryczny, co było dziwne, i miał szeroką podstawę, jakby w pewnym momencie nieco osiadł.

– Po co pokrywać wzgórze metalem? – spytała, gdy rozstawili namioty.

– Nie ma żadnego powodu – odparł Nigel. – Jednak nie sądzę, żeby to było wzgórze.

– A co?

- Jakiś rodzaj statku. To nie może być nic innego.
- Czy tak wyglądają statki kolonistów?
- Nie. A przynajmniej nie te należące do ludzi.

Słyszając to, zadrżała.

Pomimo ciężkiej nocy w siodle Kysandra zdołała tylko trochę się zdrzemnąć w ciągu dnia. Niecierpliwiła się, chcąc dosiąść konia i pojechać do tego wzgórza. *Rozwiązać zagadkę!* Chociaż jakaś ostrożniejsza część jej świadomości zachęcała ją, żeby zawróciła i pogalopowała do Croixtown, popłynęła w dół rzeki i była bezpieczna.

- Chcesz wrócić do domu?

Kysandra gwałtownie się ocknęła i wojowniczo spojrzała na Nigela, leżącego obok na drugim materacu. Natychmiast wzmocniła osłonę, zła, że rozsiewała swoje senne myśli. I zirytowana na niego, że je czytał.

– Nie! – warknęła. – To tajemnica, której nawet ty nie rozumiesz. Chcę poznać odpowiedź, chcę wiedzieć, co tam jest.

Nigel się uśmiechnął.

- Moja dziewczyna.

Napoiili konie i zwinęli namioty. Tym razem nie spieszyli się tak jak rano. Jechali już dziewięćdziesiąt minut i słońce zniżało się ku szczytom gór, gdy napotkali pierwsze ciało. Leżało na prymitywnym wózku, zrobionym z czegoś, co wyglądało jak jakieś owalne drzwi ze szklanym okienkiem na środku. Solidnie wyglądający mechanizm zawiasów wyglądał na stopiony. Toporne koła, wycięte z poskręcane go i popękane go metalu, były zamocowane na osi włóknami. W pobliżu leżało kilka poczerńiałych skrzynek.

Kysandra nie chciała patrzeć, ale nie mogła się powstrzymać. Wychudłe ciało było dziwne; o szarej i naciągniętej skórze, twardej jak kamień; kosmyki włosów koloru słomy wiły się na czaszce. Resztki odzieży wyglądały na stopione ze skórą. Trup miał tylko jeden but, na lewej nodze; prawa stopa była bosa i wygięta pod dziwnym kątem.

– Pięknie zmumifikowane – rzekł Nigel do Fergusa, gdy podchodziła. Obaj z zapalem oglądali ciało, przytykając do niego moduły. – To nieuniknione, zważywszy na lokalizację.

- Czy to...? – Kysandra zaczerpnęła tchu, uspokajając się. – Czy to człowiek?

Nigel odwrócił się do niej, marszcząc brwi.

- Oczywiście.

- Miałam na myśli: czy to Upadły?

– Och. Trudno powiedzieć. Niewiele zostało do analizy biochemicznej. A ponadto muszę jeszcze złapać jakiegoś Upadłego i ustalić, jaka dokładnie jest ich biochemia.

Kysandra zadrżała. Któż oprócz Nigela mógłby tak obojętnie powiedzieć: „Muszę jeszcze złapać jakiegoś Upadłego”? W zadumie spojrzała na metalowy stożek. Teraz znajdował się bliżej, zaledwie ponad osiem kilometrów od nich. I ustalili jego rozmiary: u-adiunkci wyliczyli, że ma pięćset metrów szerokości u podstawy oraz dwieście sześćdziesiąt trzy metry wysokości w swoim najwyższym punkcie.

Nigel i Fergus odwrócili ciało. Jego ręka odłamała się z suchym trzaskiem. Kysandra skrzywiła się i zacisnęła zęby. *No już, możesz to zrobić. Nie bądź mięczakiem, nie teraz.*

– Kobiece – oznajmił Fergus.

Przesunął skaner nad czaszką o pustych oczodołach. Mocno popękane wargi otaczały szeroko otwarte usta i Kysandra pomyślała, że ta kobieta umarła, krzycząc – a pustynne środowisko wiernie utrwaliło jej ostatnią czynność w życiu.

– Znajduję ślady. Miała biononikę. A zatem to obywatelka Wspólnoty. – Posłał Kysandrze uspokajający uśmiech. – Człowiek.

Russell otworzył jedną ze skrzyń. Jej wieko rozsypało mu się w palcach.

– Niewiele tu jest. Metalowe butelki i trochę pyłu.

– Żywność i woda – powiedział Fergus. – Szkoda, że nie zaszła daleko.

Nigel uklęknął przy rozklekotanym wózku i z zamkniętymi oczami przeglądał dane z modułów, które umieścił na zwłokach kobiety.

– Zaraza. Była tutaj przez trzy tysiące lat. Cokolwiek się tu stało, zdarzyło się wtedy, gdy przybyły statki kolonistów. – Wstał i spojrzał na wzgórze, mrużąc oczy przed blaskiem zachodzącego słońca. – Co to, do diabła, jest?

Fergus przesunął dłońią po zrobionym z luku wózku, dotykając wyłamanych zawiasów.

– To z jakiegoś pojazdu kosmicznego. Promu? Może z kapsuły ratunkowej?

Kysandra ujrzała to, naprawdę zobaczyła nagle zaskoczenie na twarzy Nigela. Nigdy przedtem tego nie widziała. Trudno było uwierzyć, że może być tak wstrząśnięty. I jakby tego było mało, jego osłona osłabła tak, że przepuściła pulsujący niepokój. Powoli wstał i zsunął gogle, żeby spojrzeć na wzgórze.

– O cholera – powiedział cicho. – Ten kontur. Spójrzcie na zarys. Jest segmentowany. To nie jest jakaś geologiczna formacja skalna, to stos.

Fergus nie próbował ukryć zgrozy.

– Niemożliwe. Taki duży? Musiałoby tam być...

– Jeśli jest zbity – rzekł Nigel – to ponad milion. Co oznacza, że ten materiał to resztki spadochronów, nie namiotów. Zgadza się, do licha! Skąd, do diabła, wzięło się milion kapsuł ratunkowych? Wspólnota nigdy nie wyprodukowała tak wielu.

– Co takiego? – zawołała Kysandra. – O czym wy mówicie?

Sposób, w jaki wymieniali myśli, oraz ich upiorna jednomyślność ją przeraziły. Ponieważ najwidoczniej wiedzieli, że stało się coś złego. Bardzo, bardzo złego.

– Powiedzcie mi!

– Jymoar się mylił – stwierdził ponuro Nigel. – Tu nie ma dziesięciu tysięcy ciał. Będzie ich znacznie, znacznie więcej. Musisz być na to przygotowana.

Następne ciało znaleźli dziesięć minut później. Znów kobiece. Leżało na wózku niemal takim samym jak pierwszy: identyczny luk, ale inne prowizoryczne koła. Po tych nie było śladu: w ciągu wieków rozpadły się w pył.

Przez następny kilometr napotkali osiem innych wózków z ciałami. Były to tylko te, które leżały na ich drodze. Zbliżenia na siatkówkach pokazały im podobne wózki rozrzucone na pustyni.

– Wszystkie kobiece – oznajmił Fergus, zbadawszy szóstezwłoki. – I wszystkie mają identyczne poważne uszkodzenie kostki prawej nogi. Wzór złamania pasuje idealnie, co jest absurdalne i dziwne.

Potem znaleźli jeszcze wiele takich wózków. Piasek pustyni był usłany identycznymi kobiecymi ciałami. Ze złamanymi nogami wlokły się po piachu i ostrych kamieniach, zawsze ciągnąc na wózku jakąś skrzynkę lub worek. *Jakże trzeba być zdesperowanym, żeby to robić?* Kobiety często umierały z wyciągniętymi rękami, jakby sięgając po coś. Inne zwłoki były skulone. *Poddając się losowi?*

Gdy słońce zaszło, Kysandra przez chwilę płakała w ciemności. Noc zakryła wszystkie ciała leżące z dala od ich trasy, lecz konie musiały nieustannie omijać wysuszone zwłoki.

Tak więc jechała w milczeniu, gdy zabrakło jej łez. Była zupełnie odrętwiała, zepchnąwszy swe uczucia gdzieś głęboko do podświadomości. Nie dało się ogarnąć takiej liczby ofiar. Zatem próbowała je ignorować i skupić się wyłącznie na jeździe za koniem Nigela, gdy ten wyszukiwał wolną drogę przez tę bezlitosną krainę śmierci. Metalowe wzgórze przed nimi wciąż rosło. Wyobrażała sobie, że tak musi czuć się dusza przybywająca na Uracusa. Wieczysty lęk był nieunikniony. Mogłeś patrzeć, jak nadchodzi, ale nic nie mogłeś zrobić, żeby go powstrzymać. Nic.

Gdy mgławice słodko migotały w czystym powietrzu nad ich głowami, zatrzymali konie pięćset metrów przed podstawą wzgórza. Ciała leżały tak gęsto, że zwierzęta nie byłyby w stanie ich omijać.

– Zaczekaj tu – powiedział łagodnie Nigel.

– Idę z tobą – odparła stanowczo.

Tak więc ona, Nigel i Fergus pokonali na piechotę resztę drogi do wzgórza, starając się omijać leżące ciała. Kiedy podeszli bliżej, nie mogli już unikać deptania po ich kończynach, leżały tak blisko siebie. Czuła, jak rozsypują się z chrzęstem pod jej nogami. Spieczone słońcem i liczące trzy tysiące lat zwłoki były tragicznie kruche i rozsypywały się przy najlżejszym dotknięciu.

Wkrótce musieli omijać nie tylko ciała, lecz i antyczne, rozpadające się elementy wyposażenia. Ziemia była zasłana pojemnikami zestawów przetrwania oraz wysypującą się z nich zawartością: butelkami, narzędziami, popękаныmi bateriami, strzępami ubrania, zardzewiałymi siekierami i poszarpanymi płachtami fotowoltaicznymi, tworzącymi jeden twardy amalgamat sprzętowy dla rozrzuconych wokół ciał.

Zatrzymali się, zanim dotarli do podstawy, gdzie ciała piętrzyły się jedno na drugim, tworząc mur pięć lub sześć razy wyższy od niej. Tutaj większość ofiar najwyraźniej zginęła, spadając ze zdradliwych zboczy wzgórza, i została zmumifikowana w powykręcanych

pozach, z połamanymi i groteskowo wygiętymi rękami i nogami, skręconymi karkami i strzaskanymi kręgami. Pustynia idealnie zachowała każdy okropny rodzaj samotnej śmierci.

Kysandra przeniosła wzrok nad tym straszliwym kopcem wysuszonej skóry i potrzaskanych kości, ku metalicznej strukturze samego wzgórza. Było stertą kul około trzymetrowej średnicy, chociaż trudno było odróżnić jedną od drugiej. Przy samej podstawie ciężar leżących wyżej kul zmiażdżył i spłaszczył dolne warstwy, zupełnie je zniekształcając. Jednak podobnie jak to kobiece ciało, które przywiozły na tę planetę, wszystkie były jednakowe, z jednym wybrzuszonym owalnym oknem z przodu, okrągłym i otwartym lukiem oraz nieruchomymi pękami niepokojąco wyglądających macek, które wszczepiona Kysandrze pamięć zidentyfikowała jako elektromięśnie. Telepatycznie zajrzała w głąb przedmiotów, znajdując labirynty przewodów i rur, zniszczone wysoką temperaturą elementy złożonych układów.

– Co to za urządzenia? – spytała.

– To kapsuły – wyjaśnił jej Nigel. – Większe kosmoloty wykorzystują je do prac konserwacyjnych w przestrzeni. W razie potrzeby mogą wyhamować, przechodząc przez atmosferę, i wylądować na powierzchni.

– Zatem wszystkie wylądowały tutaj? – zapytała Kysandra, rozpaczliwie usiłując zrozumieć. Wiedziała, że jeśli zrozumie, nie będzie się tak bała. – Dlaczego we wszystkich była ta sama kobieta? Czy ona...?

W implantowanych jej wspomnieniach była pewna koncepcja, której nigdy nie próbowała zgłębiać, gdyż była tak... tak Wspólnotowa.

– Klon? Czy ona się sklonowała?

– Nie wiem – odparł Nigel, bezradnie opuszczając ręce. – Nic nie rozumiem.

SZEŚĆ

Rozbili obóz pół kilometra od wzgórza kapsuł. Fergus i Russell najlepiej, jak mogli oczyścili teren z wysuszonych zwłok, wzbijając przy tym nieprzyjemną chmurę pyłu. Gdy to zrobili, Kysandra z ulgą oderwała się od rozmyślań, pomagając przy rozstawianiu namiotów i daszku. To były znajome i pożyteczne czynności, na których mogła się skupić.

Właśnie zaczynała poić konie, gdy Nigel i Fergus jednocześnie podnieśli głowy. Ta szybka, nerwowa reakcja ją zaniepokoiła, ale wszyscy byli podenerwowani. U-adiunkt powiedział jej, że jeden z czujników Nigela wysłał sygnał alarmowy wraz ze strumieniem nowych danych. W jej egzowizji wyświetliły się odczyty, lecz nawet uporządkowane tabelarycznie przez u-adiunkta były dla niej niezrozumiałe.

– Co się stało? – zapytała.

– Zlokalizowano fluktuacje pola kwantowego – odparł Nigel. – Ich natężenie spadło. Wracają do normy.

– To dobrze. – Jego niedbała i pewna odpowiedź była dziwnie uspokajająca po tylu dniach niepewności. Oczywiście, jej prawdziwy sens to zupełnie inna sprawa. Implantowane jej wiadomości z fizyki nie były szczególnie pomocne, coś o polach kwantowych podtrzymujących czasoprzestrzeń oraz odnośniki wskazujące na potrzebę kolejnych implantów pamięci. – Czy to się często zdarza?

– Nigdy. Przynajmniej nie w zewnętrznym wszechświecie. W Pustce... kto wie?

Wtedy usłyszeli dobiegające z oddali dźwięki – szcęk i łoskot.

Kysandra drgnęła. Od kiedy zaczęli podróż przez pustynię, nie słyszeli żadnych odgłosów. Dźwięk był tu czymś obcym. Szokującym.

Wszyscy przerwali swoje zajęcia, rozglądając się i próbując zlokalizować źródło tych odgłosów. Kysandra uświadomiła sobie, że dochodzą ze wzgórza kapsuł, i jeśli była w stanie to ocenić, ze sporej wysokości. Po chwili hałas ucichł.

– Co wywołało te dźwięki? – zapytała z niepokojem Madeline. – To potwór, prawda?

– Żaden potwór – odparł Nigel. – Powiedziałbym, że któraś kapsuła się przesunęła. Bo z pewnością tak to brzmiało.

– Czyżby wylądowała następna? – spytała Kysandra.

Spoglądała na szczyt wzgórza, w podczerwieni próbując znaleźć kapsułę, której temperatura byłaby inna niż pozostałych. Wszystkie uparcie miały jednakową.

– To nie jest przypadek – rzekł Nigel. – Cokolwiek wywołało fluktuacje kwantowe, poruszyło kapsuły.

– Potwór – powtórzyła ze zgrozą Madeline. – Idzie po nas.

– Słuchajcie, wszyscy – powiedział stanowczo Nigel. – Nie ma tu żadnego potwora. Te zwłoki i wszystko, co tu widzieliśmy, ma trzy tysiące lat. Cokolwiek się stało, zdarzyło się wtedy. Dzisiaj, tu i teraz, jesteście zupełnie bezpieczni.

Cokolwiek wywołało ten hałas, już się nie powtórzył. Dokończyli rozstawianie namiotów. Kysandra nieustannie sprawdzała otoczenie telepatycznie i podczerwienią, upewniając się, że nic się nie podkrada do niej w ciemności. Na wszelki wypadek.

Kiedy namiot wreszcie stanął, weszła do środka i zdjęła ubranie, zakładając luźną białą koszulę. Nigel wszedł i zdjął z głowy turban, ale pozostał w oblepionej piaskiem pustynnej szacie.

– I co teraz? – zapytała, siadając na materacu i obejmując rękami kolana.

– Zaczekamy, aż będzie widno. Zabawne, ale nawet z tymi wszystkimi ulepszonymi zmysłami muszę mieć dobrą widoczność, żeby właściwie ocenić sytuację.

– A kiedy się rozwidni?

– Fergus i ja porządnie i dokładnie zbadamy te kapsuły. Jest ich tam ponad milion i są napchane półprzewodnikowymi komponentami. Jest bardzo prawdopodobne, że niektóre procesory i bloki pamięci da się uratować, szczególnie z tych kapsuł, które nie zostały zgniecione. Ponadto przy wielu ciałach widziałem tablety. W niektórych muszą być jakieś dane, które mógłbym odzyskać i załadować do moich zasobów pamięci.

Zdobyła się na słaby uśmiech.

– Tak się boję – wyznała, znów bliska łez. – Coś zabiło tę kobietę. Je wszystkie.

– To jeszcze większa zagadka – rzekł. – Dlaczego aż tyle? Nikt nie ma ponad miliona klonów. To szaleństwo. Cokolwiek się jej przydarzyło, powód nie był tak prosty jak atak jakiegoś potwora.

– Czy to nas pożre? – zapytała, nienawidząc się za ten żalony ton głosu.

– Nie. – I naprawdę się uśmiechnął, kucając przy niej. – Nie skłamałem, mówiąc, że jesteśmy bezpieczni. Chyba czas, żebym ci powiedział. Widzisz, mieszkańcy Querencii odkryli jeszcze jeden fakt dotyczący Pustki. Coś wprost zdumiewającego.

– Co?

– Jest tu możliwy pewien rodzaj podróży w czasie.

Nic jej to nie mówiło; jej umysł zastygł, nie mogąc przyswoić tego, co Nigel powiedział.

– Podróż w czasie?

– Tak. No wiesz, kiedy udajesz się w przeszłość.

– W Pustce można podróżować w czasie?

– Tak. Jeśli wiesz jak i masz dostatecznie odporną psychikę. Próbowałem tego raz, zaraz po wylądowaniu. Mogę podróżować, chociaż to wymaga piekielnej koncentracji, i zdołałem się przenieść tylko na parę godzin. Jednak cofnąłem się w czasie. Moje pierwsze dwa spotkania z chłopcami Ma w hotelu Hevlin nie skończyły się zbyt dobrze. Jednak za trzecim razem wiedziałem, co nie zadziała, na przykład próba odwołania się do ich rozsądku, więc po prostu ich zdominowałem. I tak... jesteśmy tutaj. Zatem widzisz, gdyby coś poszło katastrofalnie źle, wrócimy w czasie i unikniemy niebezpieczeństwa.

– Nie – powiedziała. – Nie, mówisz to tylko, żebym się uspokoiła i poczuła bezpieczna. Przyznaję, niezła próba.

– Posłuchaj, na zewnątrz, w prawdziwym wszechświecie, czas płynie jednokierunkowo. Nauczyliśmy się manipulować nim w wormholach i spowalniać tak, żebyśmy w razie czego mogli wykonać relatywistyczny skok w przyszłość, ale nie możemy z niej wrócić. Nigdy. Jednak tutaj, w Pustce, jest inaczej. Pamiętasz, jak mówiłem ci, że składa się z wielu warstw?

– Tak.

– Ta warstwa, w której istniejemy, jest tylko jedną z wielu. Inną jest Serce, gdzie, jak twierdzisz, wasze dusze żyją w chwale po śmierci. Są jednak jeszcze dwie inne, kluczowe warstwy: pamięci i tworzenia. Warstwa pamięci przechowuje wszystko: ciebie, twoje myśli, atomową strukturę twojego ciała. A warstwa tworzenia, no cóż, ta może pobrać twoją kopię w dowolnym momencie twojego życia i fizycznie ją urzeczywistnić.

– Mogę udać się w przeszłość? – zapytała z niedowierzaniem. – Chcesz powiedzieć, że mogę wrócić i powstrzymać tatę przed pójściem na poszukiwania?

Piekące łzy stanęły jej w oczach.

Nigel westchnął.

– Przykro mi, ale mogę się cofnąć tylko o kilka godzin. Była jedna osoba, o której wiemy, że potrafiła cofać się w czasie o dziesięciolecia, lecz ten człowiek żył na Querencii tysiąc lat temu.

– Rozumiem.

Spuściła głowę, żeby nie widział smutku malującego się na jej twarzy.

– Rzecz w tym, że jeśli wytworzysz... nie wiem, jak to nazwać... krótkie połączenie między warstwami pamięci i tworzenia, w zasadzie przywrócisz całą tę część Pustki do wybranej przez siebie chwili. Jednak trzeba pamiętać o jednej ważnej sprawie: każdy, kto to robi, pamięta przyszłość, którą opuścił. Nikt inny poza nim nie. Stajesz się dosłownie środkiem wszechświata.

– Peewnie.

– Wstań.

Nigel wstał i skinął na nią. Zastanawiała się, czy go nie zignorować, ale to był Nigel... Wstała, a on ujął jej dłonie w swoje.

– Nie wiem, czy zdołam cię tam zabrać, ale...

Kysandra poczuła, jak przekazuje jej złożony obraz, i pozwoliła, by wlał się do jej umysłu. Ukazywał mentalną percepcję Nigela, ale tak mocno skoncentrowaną, że ledwie mogła rozróżnić szczegóły. Widział namiot, w którym oboje teraz byli, ale parł dalej, we wszystko. I mocno. A tam, za majaczącymi kształtami i cieniami będącymi jej światem pozazmysłowym, znajdował się drugi obraz, taki sam jak pierwszy. Nigel zbadał go swymi zmysłami i ukazał się kolejny obraz. A potem następny, i jeszcze jeden. Zaczęli dryfować przez nie i zobaczyła siebie opadającą na klęczki, z których podniosła się przed chwilą.

Gdzieś w rzeczywistym świecie usłyszała swoje głośnie westchnienie. Potem obrazy zaczęły się zmieniać coraz szybciej. Odtworzyły całą ich rozmowę, od końca do początku. Nigel wyszedł z namiotu. Siedziała sama na materacu, pogrążona w smutku. I jeszcze wcześniej: zdejmowała koszulę. Szata uniosła się z podłogi ku jej dłoni. Obraz zastygł. Jej umysł obracał się w nim, aż zaczęła patrzeć swoimi oczami. Rzeczywisty świat gwałtownie powrócił i upuściła szatę na podłogę. Gorące powietrze liznęło jej skórę. Kysandra jęknęła, wstrząśnięta.

– Mówiłem ci – rzekł Nigel.

Stał na drugim końcu namiotu. Zmaterializował się tam.

Kysandra wrzasnęła. Potem zamilkła, podniosła dłoń do ust i spojrzała na niego ze zdumieniem. Zachichotała nerwowo.

– Cholerny Uracusie!

– Wszystko w porządku? – nadał z zewnątrz Fergus.

– Doskonałym – nadał w odpowiedzi Nigel.

– To naprawdę działa – mruknęła. I drgnęła.

Stała przed nim w przepoconej bieliźnie – i niczym więcej. Jedną ręką pospiesznie zasłoniła biustonosz, a teka wyszarpnęła luźną koszulę z torby.

– Wybacz – rzekł z rozbawieniem Nigel i odwrócił się.

Włożyła koszulę.

– Czy teraz wierzysz mi, kiedy mówię, że nie grozi nam żadne niebezpieczeństwo?

– Tak! – wykrzyknęła. – O cholera, tak.

To było jeszcze lepsze niż odkrycie, że on pochodzi z innego wszechświata, ma kosmolot, a ona może poznać całą wiedzę Wspólnoty. To było najlepsze ze wszystkiego.

– Zatem... – Szukała słów. – A więc, no wiesz, ten fragment czasu, który właśnie przeżyliśmy, zatrzymał się? I możemy tam wrócić?

– Tak, i tylko ty i ja wiemy, że te pięć minut się zdarzyło. Każdy, kto w ciągu tych pięciu minut umarł na Bienvenido, jest teraz żywy i zaraz umrze znowu. Każde narodzone wtedy dziecko ponownie przyjdzie na świat. Każdy pijak, który się przewrócił... znów się potłucze. Każdy, kogo pocałowano... znów będzie całowany.

– Tylko że oni o tym nie wiedzą.

– Nie wiedzą, ponieważ im się to jeszcze nie przydarzyło. Nigdy.

– Nigelu?

– Tak?

– Proszę, nigdy nie cofaj się do czasu, zanim mnie poznałeś. Nie pozwól mi wieść takiego życia. Proszę.

– Dobrze.

– Dziękuję – szepnęła.

– Jeśli jednak będziesz kiedyś tak silna, żeby wrócić i uratować ojca, zrób to bez wahania.

– Uhm. Już próbowała używać swojej telepatii w taki sam sposób jak on. To było niewiarygodnie trudne. Ledwie była w stanie cofnąć się o kilka sekund.

– Zatem rozumiesz, że na razie nie grozi nam tu żadne niebezpieczeństwo? – zapytał.

– Tak.

Uśmiechnęła się, naprawdę mu wierząc. Nigel usiadł na materacu.

– Jest jeszcze jeden powód, dla którego powiedziałem ci o tej możliwości.

– Tak?

– Ta warstwa tworzenia. Myślę, że w jakiś sposób szwankuje. Uważam, że właśnie to się tutaj stało. W jakiś sposób, z jakiegoś powodu raz po raz tworzyła kapsułę i tę kobietę. Tylko że przy tym nie resetowała wszystkiego innego.

– Dlaczego?

– Nie mam pojęcia. Ale to jedyne logiczne wyjaśnienie. Jej zwłoki za każdym razem miały tak samo złamaną nogę w kostce; to mi mówi, że była nieustannie tworzona taka, jaka była w pewnym konkretnym momencie.

– A więc Pustka chyba nadal to robi?

– Nie jestem pewny. Wszystkie zwłoki, jakie widzieliśmy, leżą tutaj przez taki sam czas. To paradoks... a raczej byłby nim we wszechświecie na zewnątrz. Dzieje się tutaj coś bardzo

dziwnego. I właśnie to próbuję zrozumieć. Wszystko, co potrafi wpływać na strukturę Pustki i zmieniać ją, jest niezmiernie ważne.

* * *

Teoretycznie, oznajmił następnego ranka Nigel, kapsuły na samym wierzchu wzgórza powinny być najnowsze. Ich układy będą w lepszym stanie niż u ich zgniecionych i zmiądzonych kuzynów na spodzie. Może uda się odzyskać z nich jakieś użyteczne dane.

Tak więc Fergus rozpoczął pracę o świcie. Powoli gramolił się po stercie żelastwa, ostrożnie sprawdzając każdy chwyt, upewniając się, że utrzyma jego ciężar i cała ta kupa złomu nie runie, zasypując go lawiną spadających kapsuł.

Kysandra nie mogła na to patrzeć. Krzywiła się przy każdym jego ruchu. Nieustannie sprawdzała telepatycznie kapsuły wokół niego, wypatrując oznak braku stabilności. Słała mu jeden przekaz po drugim, każąc uważać.

– Idź stąd – powiedział jej w końcu Nigel. – Rozpraszasz go, a co ważniejsze, mnie. Zostaw go w spokoju i znajdź mi jakieś nieuszkodzone tablety.

Kysandra i Madeline zaczęły krążyć wokół sterty kapsuł. Mur zmumifikowanych zwłok tej kobiety był jednakowo wysoki na całym obwodzie, tak samo jak zwały sprzętu wysypującego się z zestawów przetrwania.

– Może nie ma tu potwora – powiedziała Madeline – ale to miejsce jest przeklęte. Te kobiety umarły tutaj, a ich dusze wrzeszczały wniebogłosy z żalu i strachu, stręcane na Uracusa. Ten strach będzie tutaj trwał nawet wtedy, gdy ostatnie zwłoki rozpadną się w proch.

Kysandra posłała jej ponure spojrzenie, ale nie mogła się z nią nie zgodzić.

Nie było żadnej odpowiedzi na sygnały wysyłane przez u-adiunkta Kysandry – nie żeby jakiejś się spodziewała. Kiedy okrążyły wzgórze, swoją telepatią oglądała złomowisko, szukając tabletek. Nigel twierdził, że najprędzej można je będzie znaleźć w nieotwartych pojemnikach. Zlokalizowała kilka przysypanych śmieciem i razem z Madeline musiały, zaciskając zęby, przejść po mumiach, które rozpadały się pod ich nogami. Kiedy wyciągnęły pojemniki, znajdujące się w nich tablety wydawały się niczym nie różnić od tych wystawionych na działanie pustyni, z elektroniką martwą jak piasek, ale włożyły je do torby, żeby zanieść do obozu.

O mało tego nie przeoczyła. Jeszcze jedna siekiera w śmietniku zestawów przetrwania i koszarze wyschniętych ciał. Nic niezwykłego. Jednak ostrze tej tkwiło w jednej z czaszek. Kysandra skupiła wzrok. Nie myliła się. Proces mumifikacji stopił ostrze z kością.

Teraz, gdy to zauważyła, zaczęła szukać kolejnych. Wiele mumii miało podobnie uszkodzone czaszki, w niektórych wciąż tkwiła siekiera, w innych nie. Inne mumie miały pętle włókien owinięte wokół szyi. Uduszone.

Obchód zajął im prawie pięćdziesiąt minut. Kiedy wróciły, Fergus był na szczycie wzgórza i oglądał leżące tam kapsuły.

– Niczym się nie różnią – nadał. – Rozkład jest identyczny. Wszystkie spadły tu w tym samym czasie. Ale musiały wylądować jedna po drugiej.

– Paradoks – nadał w odpowiedzi Nigel, z niezdrową satysfakcją.

– Zabijała samą siebie – powiedziała Kysandra, wręczając mu torbę pełną tabletek. – Rąbała siekierą albo dusiła.

– Co za miejsce – rzekł Nigel. – Za dużo tu śmierci. Jest nawiedzone.

– Nie sądzę, żeby została tu jej dusza czy którejkolwiek z nich.

– To nie tego rodzaju nawiedzenie, nie stworzone przez Pustkę. To jest czysto ludzkie. Pozostawiła swój ślad na piasku i w kapsułach. Jakżeby inaczej? Było jej tu tyle. To miejsce po prostu nią przesiąkło.

– Madeline mówiła coś podobnego.

– Naprawdę? Może jest dla niej jeszcze nadzieja.

– Jestem ci potrzebna? – zapytała Kysandra. – Jeśli nie, to chyba wrócę do namiotu.

– Jasne – odparł łagodnie. – Odpocznij. Nie sądzę, żebyśmy mogli tu zrobić coś więcej. Zabierzemy moduły pamięci kapsuł i zobaczymy, co się da z nimi zrobić po powrocie na „Gwiezdną Damę”.

W namiocie Kysandra zrzuciła szatę, starając się nie rozsypywać przywartego do niej piasku. Teraz w namiocie nie było nawet centymetra powierzchni, której by nie pokrywał. Wcisnęła się nawet do śpiwora, mimo jej usilnych starań.

Położyła się na materacu i wycofała swój telepatyczny wzrok. Nie dlatego, że nie mogłaby pomóc w jakiś praktyczny sposób; kiedy obozowali, codziennie było do wykonania tuzin gospodarskich czynności. Prawdę mówiąc, nie chciała spędzić już ani chwili na zewnątrz, gdzie nie mogła ignorować stert trupów. Tutaj, otoczona przez jasne ściany namiotu, mogła nie myśleć o tym koszmarze. Udawać, że jej banieczka egzystencji jest zupełnie gdzie indziej.

– Miałeś rację – szepnęła wspomnieniu Jymoara. – Ta pustynia może doprowadzić do szaleństwa.

Jej u-adiunkt pokazał listę książek, które załadowała do zasobów pamięci z banków danych „Gwiezdznej Damy”. Wybrała zatytułowaną *Hobbit* i zaczęła czytać.

* * *

Było po północy, gdy Kysandrę zbudził hałas. Ten sam co poprzedniego wieczoru – przeciągły szczełk i zgrzyt metalu o metal. Potem zapadła cisza.

Siedziała na posłaniu, z mocno bijącym sercem, sięgając telepatycznym wzrokiem w noc wokół namiotu.

– Wszystko w porządku – rzekł Fergus. Siedział blisko namiotu, trzymając na kolanach karabin. – Nikogo tu nie ma.

– Hmm – mruknął Nigel. Leżał przy niej, na sąsiednim materacu. Stojący obok modułu miarowo mrugał purpurową lampką. Wysyłał strumień nieobrobionych danych.

Tak samo jak zeszłej nocy.

– Czy to było następne zdarzenie kwantowe? – zapytała, gdy te zagadkowe tabele znów przemknęły przez jej egzowizję.

– Tak. Takie samo jak wczoraj. Tyle że to nie jest codzienne wydarzenie. Poprzednie miało miejsce dwadzieścia siedem godzin i dwadzieścia dziewięć minut temu.

– Czy w tej stercie kapsuł coś jest, jakiś fragment maszynierii, który wciąż działa?

– Niczego nie wykluczam, ale jeśli tam jest, to zdumiewająco nieaktywny przez cały dzień, skoro niczego nie wykryliśmy.

– Przepraszam.

– Hej, w porządku. To miejsce mi też działa na nerwy.

– Kiedy je opuścimy?

– Jutro. Obiecuję. Fergus i ja skończymy badania w dzień, a potem zwiniemy obóz i ruszymy w drogę powrotną. Za trzy lub cztery tygodnie będziemy znów na farmie Blairów.

Kysandra odetchnęła z ulgą.

– Dziękuję.

* * *

Większość Croixtown wyszła ich powitać, gdy wjeżdżali do wioski. Siedząc w siodle w brudnym ubraniu, z ciałem swędzącym od piasku i w przeciwśłonecznym kapeluszu opadającym na oczy, Kysandra na ich widok nie zdołała powstrzymać uśmiechu. Mężczyźni, kobiety i dzieci zbierali się wokół, gapiąc, na pół z podziwem, a na pół ze strachem.

Burmistrz wyszedł im naprzeciw w towarzystwie kilku groźnie wyglądających mężczyzn. Za jego plecami zauważyła Jymoara przeciskającego się przez tłum, śmiejącego się z ulgą i radością. Z uśmiechem pomachała mu ręką.

– Jesteśmy szczęśliwi, widząc was znowu, señor – rzekł burmistrz do Nigela. Miał niewyraźną minę. Niepokój sączył się przez jego osłonę. – Od niepamiętnych czasów nikt nie wędrował po Pustyni Kości.

– Nie jest to miejsce, które chciałoby się zwiedzać – odrzekł poważnie Nigel. – Nigdy tam nie wrócę.

– Czy to prawda? Czy na jej środku są góry kości?

– Są tam ciała – powiedział głośno Nigel. Wieśniacy wydali chóralny jęk zgrozy. – Bardzo wiele ciał. Zapewne tysiące.

Posłał im obraz zmumifikowanej twarzy, na zawsze zastygłej z otwartymi ustami i zębami sklejonymi z wargami.

– Są niewiarygodnie stare, sprzed tysięcy lat. Nie wiemy, co je zabiło.

– Zostali pożarci?

– Nie. Wszystkie ciała były nietknięte. Na Pustyni Kości nie ma Upadłych ani gniazd.

Kilka osób zaczęło wiwatować. Teraz wszyscy się uśmiechali; zaczęli podchodzić bliżej, chcąc usłyszeć szczegóły – głównie dotyczące potwora.

– Istotnie słyszeliśmy w nocy dziwne odgłosy – wyznał poważnie Nigel – ale niczego nie widzieliśmy.

Kysandra pokręciła głową na tak zręcznie odegrany przez niego spektakl. Nie powiedział niczego, co byłoby ewidentnym kłamstwem, a jednak kiedy skończył, było pewne, że żaden mieszkaniec Croixtown nigdy nie wyruszy na pustynię, a jego opowieść rozejdzie się po innych rozsianych na sawannie wioskach, umacniając legendę. Kapsuły pozostaną nietknięte przez kolejne stulecie. Albo „dostatecznie długo, żebym uporządkował ten bałagan” – jak powiedział Nigel w drodze powrotnej. Myślała, że tylko się przechwała. Jednak...

Ze znużeniem zsiadła z konia i oddała wodze Russellowi, zanim wtopiła się w tłum. Jymoar stał w tym samym miejscu, gdzie go widziała, z zaniepokojoną miną, ale optymizmem płonącym za osłoną.

– Mówiłam ci, że wrócę – powiedziała z kpiącym uśmiechem.

Zrobił niepewny krok naprzód.

– Mówiłaś. I ani przez chwilę w to nie wątpiłem, señorita. Nie w ciebie.

Szybko pochyliła się i dała mu buziaka. I to on się zaczerwienił.

– Wyglądam okropnie – powiedziała smętnie.

– Nigdy w życiu!

Kysandra zaśmiała się i pokazała na siebie. Brązowa zamszowa spódnica do konnej jazdy była pokryta zaschniętym błotem i poplamiona. Wysokie buty oblepione piaskiem, na zewnątrz i w środku. Biała bluzka stała się szara, a nieprzyjemne plamy od potu jeszcze pogarszały sprawę.

– Nie bądź taki szarmancki. Nie myłam się, od kiedy wyjechaliśmy, a to było kilka tygodni temu.

– Przejechałaś przez pustynię – powiedział. – I nadal wyglądasz wspaniale.

– Chodź.

Ruszyła w kierunku „Gothory”. Kiedy zdjęła kapelusz, włosy nie opadły jej na ramiona, tyle miała w nich zaschniętego brudu.

Podchodziła do trapu dziwnie zadowolona z powrotu na stary parowiec. Przypominał o stabilizacji, której nieświadomie pragnęła, był solidnym przedstawicielem jej świata i sposobu życia, jakie prowadziła przed przybyciem Nigela.

– No i jak tam było? – spytał Jymoar.

– Źle. Następnym razem przypomnij mi, żebym ci uwierzyła.

– Następnym...

Spojrzał na nią z niepokojem, na co uśmiechnęła się kpiąco. Mimo że podróżował o wiele więcej niż ona, pływając w górę i w dół rzeki Mozal, to on z nich dwojga był bardziej naiwny.

Kysandra przeszła na drugą burtę, gdzie sterówka zasłaniała ją przed oczami ciekawskiego tłumu zebranego wokół Nigela – który nadal go urabiał. Włączyła średnio silne maskowanie i zaczęła odpinać guziki bluzki.

– O! – mruknął Jymoar. Niespokojnie się rozejrzył, ale tylko on mógł ją widzieć.

Zrzuciła z nóg buty i zsunęła spódnicę.

– Bardzo tego potrzebuję. – Żartobliwym gestem naciągnęła mu swój kapelusz na głowę.
– Przyłączysz się do mnie? – zapytała, pospiesznie zdejmując brudną bieliznę, po czym wskoczyła do rzeki.

Woda była chłodna i cudowna. Na pustyni zdarzały się takie momenty, kiedy wątpiła, czy woda w ogóle istnieje, czy nie jest tylko wytworem jej udręczonego przez słońce umysłu. Przez długą chwilę pozostała pod wodą, czując, jak brud zaczyna z niej schodzić. Włosy rozdzielały się na długie pasma, poruszane przez leniwy nurt. Silnymi uderzeniami nóg wydstała się na powierzchnię. W samą porę, żeby zobaczyć nagiego Jymoara skaczącego z nadburcia.

Podpłynął do niej, gdy cieszyła się czystym prądem rzeki.

– Co tam znaleźliście? – zapytał nieśmiało.

– Śmierć. Śmierć i cierpienie na taką skalę, która może doprowadzić do szaleństwa. Jednak, co dziwne, to mi w pewien sposób pomogło.

Zmarszczył brwi, patrząc na nią ze współczuciem.

– W jaki?

– Dorosłam tam. Tak myślę. Teraz wiem, że nie będę miała normalnego życia, Jymoarze. I myślę, że to, co tam zobaczyłam, czego dowiedziałam się o tym świecie, pozwoliło mi się z tym pogodzić. Wiem, że nie mogę zmarnować tego życia, które mam. Wiem, że jest tyle zbytecznych i głupich rzeczy i trzeba chwycić szczęście, kiedy można, gdyż nigdy nie wiadomo, co ten wszechświat zwali ci na głowę. Chcę napawać się tymi chwilami szczęścia. Są mi potrzebne po tej pustyni.

Położyła dłonie na jego ramionach i wsunęła palce w gęste czarne włosy na głowie. Patrząc mu prosto w oczy, pozwoliła swej osłonie znacznie osłabnąć. Czekaając...

Jymoar przyciągnął ją do siebie i pocałował. Zapadli pod powierzchnię, a potem wyskoczyli razem, prychając i śmiejąc się z radości.

* * *

Podróż z Croixtown na farmę Blairów zajęła im tylko dwa i pół tygodnia. Kysandra była rozczarowana tak szybkim powrotem „Gothory” do Portlynn, lecz pchany wartkim prądem i parową maszyną statek zakończył rejs w dół rzeki w pięć dni. Nigel sprzedał ich konie jednemu z rancheros w Croixtown (ze stratą), więc przednia ładownia była pusta. Przerobili ramę daszka z bambusa i brezentu tak, że utworzył namiot, w którym ona i Jymoar spędzili większość tej podróży na słodkich namiętnych igraszkach.

Kysandra obawiała się, że nie będzie potrafiła się pożegnać, kiedy podróż dobiegnie końca. Kiedy jednak przycumowali do przystani na zachodnim brzegu Cieśniny Nilssona, tuż przy stacji kolejowej, tylko się popłakała i długo trzymała go w objęciach. Oboje obiecali pisać do siebie i zrobić wszystko, żeby ona mogła za rok przyjechać do niego w odwiedziny.

Był to miły akcent na zakończenie. Kiedy szła z Nigelem po peronie do wagonu pierwszej klasy ekspresowego pociągu do Varlanu, wciąż miała wilgotne oczy. Spodziewała się wielu drwin ze strony Nigela, ale ją zaskoczył. Był miły i współczujący; traktował ją jak równą sobie. *Tak jak zawsze* – uświadomiła sobie.

Zrozumienie było zapewne najlepszym słowem podsumowującym tę wyprawę.

Odczytanie wszystkich danych z rozmaitych elektronicznych urządzeń, które przywieźli, zajęło smartkorowi „Gwiezdnej Damy” cztery dni. Następnie przez kolejne dwa składał dziesiątki uszkodzonych plików w zrozumiałe sekwencje.

– Jesteś na to gotowa? – spytał Nigel, gdy wrócił na farmę z modułem zawierającym plik świeżo przekodowany z pierwotnego, od dawna nieużywanego formatu TSI, z zapisem obejmującym dwadzieścia siedem godzin i czterdzieści dwie minuty.

Kysandra już miała odpowiedzieć zuchwałym „oczywiście”, lecz jego zatroskana mina sprawiła, że się zawahała.

– Jak bardzo to jest straszne?

– Wyjaśnia, co się stało. A z punktu widzenia historyka jest fascynujące. Zobaczysz samego kapitana Corneliusa. Muszę jednak cię ostrzec, że to nie jest przyjemne.

– Gorsze od Pustyni Kości?

– Nie na taką skalę.

– Chcę to zobaczyć. Nie. Właściwie, muszę to zobaczyć. Przecież wiesz.

– Tak, wiem.

Usiadła na wygodnej kanapie w pokoju od frontu i kazała swojemu u-adiunktowi udostępnić plik. Czuła mrowienie wszystkich nerwów, jakby ktoś łaskotał ją piórkiem po całym ciele. Egzowizja ukazała nieostry, czterokolorowy obraz. Patrzyła oczami Laury Brandt, brutalnie wyrwanej ze stanu zawieszenia.

SIEDEM

Miesiące przygotowań, obserwacji i niekończącego się czekania wreszcie się opłaciły. Przechwycili jaja. Potem pojawił się oddział żołnierzy i o mało wszystkiego nie zepsuł. Kysandra stała na dziobie napędzanej parowym silnikiem barki, gdy ta odbijała od drzew wanno porastających brzeg rzeki. Tuż przed nią, wciśnięci pod zwisające konary tych drzew, jednoręki porucznik idiota i jego żołnierze patrzyli, jak tłoki pod pokładem załomotały donośnie, zabierając ich z tego prowizorycznego kotwiczowiska na środek szerokiego koryta rwącej rzeki.

– Machaj. Uśmiechaj się. Radośnie – powiedział stojący obok niej Nigel. Z powagą uniósł rękę.

Za pasem mętnej wody porucznik Slvasta odpowiedział szybkim, oszczędnym gestem – na pół machnięciem, na pół salutem.

Kysandra powstrzymała chęć pokazania mu środkowego palca i bez cienia entuzjazmu pomachała ręką.

– No, jeśli teraz mamy takich oficerów, to dziwię się, że nie jesteśmy całkiem zasypani Upadłymi.

– Szczerze mówiąc, nie sądzę, żebyś znalazła bardziej oddanego swoim obowiązkom oficera – rzekł Nigel. – Bez wątpienia całkowicie poświęcił się eksterminacji Upadłych. I wie, że coś z nami jest nie tak.

– Tylko brak mu odwagi, żeby coś z tym zrobić.

– To nie jest brak odwagi. Mówisz o kimś, kto uniknął wchłonięcia przez jajo. Nigdy przedtem nie słyszałem, żeby kogoś przed tym uchroniono.

– Wnuczkę kapitana Xaxona – powiedziała odruchowo, gdy odwrócili się plecami do porucznika i wrócili do kabiny na śródokręciu.

– Kogo?

– Częsty temat na lekcjach historii pani Brewster. Opowiem ci o tym pewnego dnia. Jednak to, że ktoś z regimntu w ogóle dał się zwabić, jest po prostu żałosne.

Nigel westchnął.

– Ostatnio masz skłonność do bardzo kategorycznych osądów.

– Ciekawe dlaczego.

Barka dotarła na środek rzeki i skręciła. Tłoki z głośnym szczękiem zmieniły kierunek obrotów i popchnęły jednostkę naprzód. Wkrótce minęli zakręt i znikli z oczu porucznika Slvasty oraz jego żołnierzy.

– Bardzo przyjaźnie go potraktowałeś – rzuciła oskarżycielsko. – Myślałam, że przygotujesz go do zdominowania.

– Zasiałem tylko kilka ziaren wątpliwości, to wszystko. Zaczego porucznika przepelnia słuszne oburzenie na obecny stan rzeczy. To zawsze należy wspierać.

Kysandra zerknęła na rozcięty przez Slvastę kciuk, z dezaprobatą marszcząc brwi.

– Muszę to czymś zdezynfekować. Wszyscy powinniśmy to zrobić, żeby nie umrzeć na zakażenie krwi z powodu paranoi twojego słusznie oburzonego przyjaciela.

– On jest dobrym człowiekiem w złej rzeczywistości. Nigdy nie wiadomo, kiedy możemy potrzebować kogoś takiego.

– To frajer. – Obdarzyła Nigela promiennym uśmiechem. – Zapomnij o nim. No już, przecież zrobiliśmy to, co zaplanowaliśmy!

Nigel w zadumie pokiwał głową, a potem uśmiechnął się szeroko.

– Zrobiliśmy to, no nie?

Dwie godziny później dogonili trzecią barkę, „Mellanie”. „Dawna dziewczyna?” – drażniła się Kysandra, gdy Nigel zmienił poprzednią nazwę łodzi po jej dwutygodniowym remoncie w największym warsztacie skutniczym w Adeone. Przez ostatnie dwa lata Ma powoli wygryzała właściciela z interesu – a Nigel wykorzystał tę sytuację i został cichym współnikiem.

– Ktoś, kogo kiedyś nie doceniłem – odparł, spoglądając w dal. – Bez obawy; nieczęsto mi się to zdarza.

W sterówce „Mellanie” Fergus zmniejszył prędkość, tak żeby obie barki zrównały się ze sobą. Kysandra w ślad za Nigelem przeskoczyła wąską szczelinę między dwoma różnie płynącymi jednostkami. Russell i pozostali chętnie zostali na ich barce, pilnując koni.

Ma Ulvon czekała na nich na pokładzie, ubrana w szyty na zamówienie szary kostium pod długim czarnym płaszczem, wciąż wilgotnym od deszczu. Na piersi miała śrutówkę zawieszoną na pasku z lakierowanej skóry.

– Jakież problemy? – zapytała.

– Wiedział, że coś jest nie tak – odparł Nigel. – Jednak nie daliśmy mu szansy odkrycia prawdy.

– Zatem moi chłopcy dobrze się sprawowali?

Ludzie z jej dawnej organizacji, teraz zdominowani przez Nigela, szanowali go i ochoczo wykonywali jego rozkazy, ale wciąż bali się Ma.

– Tak.

– Dobrze – powiedziała z satysfakcją.

Nawet teraz, ponad rok od przybycia Nigela, Kysandra nie mogła się przyzwyczać do takiej Ma. Nigel lub jeden z ZANdroidów co kilka miesięcy odnawiał dominację, lecz mimo to podświadomie obawiała się, że Ma pewnego dnia zerwie te więzi. Kysandra z rozmysłem unikała kontaktu wzrokowego, przechodząc obok niej.

Nigel zszedł przez luk na pokładzie do ładowni na dziobie. Kysandra zeszła po drabince za nim. Podczas remontu podniesiono obie wielkie kłapy załadunkowe, tak że ładownia miała teraz ponad cztery metry wysokości i z łatwością można było umieścić w niej dwie okrągłe żelazne klatki, które teraz tam stały.

Zawieszona wysoko na ścianach ładowni lampy na olej yal rzucały jasne światło. Demitri czekał na nich na dole, przy drabince, tworząc tak silne maskowanie, że przejście przez nie odczuli jak pokonanie kurtyny zimnej mgły. Nawet stojąc na pokładzie, Kysandra nie była w stanie rozpoznać, co przewozi „Mellanie”.

Teraz, stojąc w ładowni, z niepokojem patrzyła na dwa ciemne jaja Upadłych, zamknięte w klatkach. Przeciągnięcie na kamiennych saniach tych cennych, śmiertelnie niebezpiecznych jaj przez fioletowe bambusy zajęło im prawie cały dzień. Nawet po tylogodzinnym kontakcie nie mogła przewyciężyć lęku wywoływanego bliskością tego potwornego zagrożenia dla całego jej świata. Jajo wabiło ją; pragnęła pobiec na dziób barki, gdzie Jymoara czekał na nią jak zwykle, aby drzeć z rozkoszy w objęciach kochanka. Kiedy wciągnęła powietrze, nawet czuła jego zapach. Tak blisko.

– Nie rób tego – rzucił ostro Nigel.

Kysandra otworzyła oczy i uświadomiła sobie, że już zrobiła kilka kroków w kierunku pierwszej klatki. Nie było Jymoara ani obietnicy spełnienia. Natychmiast rozżłościła się na siebie za to, że pozwoliła, aby skusiło ją jajo. Gniewnie popatrzyła na ciemny, złowrogi owal.

– Przepraszam – wymamrotała zaczerwieniona.

– Może cię dopaść, jeśli nie będziesz uważała – współczująco powiedział Demitri. Z wszystkich trzech ZANdroidów on był najdelikatniejszy i najwrażliwszy, niemal jakby nie był przeznaczony do tego rodzaju pracy.

– Zatem co my tu mamy? – spytał Nigel, krążąc wokół klatki, jakby oglądał dzikie zwierzę. – Czy to ma mózg?

– Skutecznie się maskuje – odparł Demitri – więc jest oczywiste, że są tam jakiegoś rodzaju procesy myślowe. Jest jednak pewien interesujący fakt: można to bez trudu rozciąć ultradźwiękami. – Pokazał małe elektroniczne czujniki przyłączone do jaja. – Wewnątrz nie ma żadnej struktury tkankowej. Komórki są zawieszane w żółtku i równo rozmieszczone w całym wnętrzu. Tak jak twierdzono w publikacjach Instytutu.

W ciągu paru miesięcy zeskanowali wszystkie publikacje naukowe, które Coulan przysłał im z biblioteki uniwersyteckiej Varlanu, z której korzystał, udając jednego z niepozornych studentów. Przez sto lat od chwili lądowania „Vermilliona” obecni na pokładzie naukowcy badali jaja, niewiele odkrywając, gdyż ich aparatura powoli przestawała działać. Nie pojmowali metody ich absorpcji i duplikacji, podejrzewając, że jego mechanizm działania jest podobny do bionicznych organelli człowieka – ale system Upadłych działał w Pustce, natomiast ludzki kompletnie zawodził. Nie byli również w stanie nawiązać kontaktu z inteligencją obecną w jaju i kontrolującą je.

– Zatem to homogeniczna dystrybucja – rzekł Nigel. – Interesujące. Moim zdaniem to sugeruje sztuczny produkt.

– Chcesz powiedzieć, że Upadli zostali przez kogoś wyprodukowani? – zapytała Kysandra.

– Tak. Bardziej jednak ciekawi mnie dlaczego. Myślę, że jako pewnego rodzaju broń.

– Przeciwko komu? – zapytał Demitri.

– Każdemu biologicznemu gatunkowi. Pomyśl o Prime.

– Kim są Prime? – zapytała Kysandra.

– Obcymi, którzy niemal nas wymordowali – odparł Nigel. – Mieliśmy szczęście i pokonaliśmy ich. Jednak była to gorzka lekcja tego, że nie każdy rodzaj rozumnych stworzeń w galaktyce podziela nasze moralne standardy.

Popatrzyła na złowrogą ciemną kulę, zdecydowana spróbować pokonać swój strach. Klatka nie była tam, żeby utrzymać w niej jajo; te kraty miały zapobiec skonsumowaniu przez nie każdego, kto dałby się przez nie zwabić.

– Czy poza Pustką istnieje coś takiego jak Upadli?

– Nie napotkaliśmy ich – odparł Demitri. – Jeszcze. To duża galaktyka.

– Zastanawiam się – myślał głośno Nigel. – Jeśli dostatecznie długo powstrzymamy jajo przed skonsumowaniem kogoś, to czy ono się uwsteczni i wytworzy gatunek, z którego powstało?

– W żadnej publikacji Instytutu o tym nie wspomiano –rzekł Demitri. – Mam nadzieję, że moja fuzja dostarczy wszystkie potrzebne nam informacje.

Kysandra zadrżała. Zawsze uważała ten plan za szalony, ale Nigel upierał się, że jest konieczny. Musieli zrozumieć Upadłych, żeby się dowiedzieć, co dzieje się w Lesie. Dopiero wtedy będą mogli opracować plan ich pokonania.

– Fergus – nadał Nigel – wynośmy się stąd szybko, zanim porucznik Slvasta domyśli się prawdy i nas dopadnie.

Wychodząc z ładowni, Kysandra słyszała, że silnik parowy zwiększa prędkość. W trakcie remontu został zmodyfikowany według bardziej wydajnego projektu Nigela, co zaskakująco zwiększyło osiąganą przez „Mellanie” prędkość. Jedno z bardzo wielu przygotowań.

Podczas tych długich miesięcy po powrocie z Pustyni Kości czujniki „Gwiezdej Damy” sprawdzały niebo nad Bienvenido w poszukiwaniu jaj Upadłych. Ich rozdzielczość była żadna w porównaniu z taką, jaką miałyby w rzeczywistym wszechświecie na zewnątrz, a radar często zawodził, ale mimo to, nawet z przerwami w działaniu i niepewnymi rezultatami, wykryli prawie tuzin Upadłych dużo wcześniej niż Gildia Obserwatorów przez swe obrazowe teleskopy. Nigel chciał mieć czas, żeby grupa mogła znaleźć i opuścić strefę lądowania, zanim regimenty rozpoczną poszukiwania. Czekali na jakiś Upadek w pobliżu rzeki; dostatecznie blisko Adeone, żeby tam dotrzeć, zanim przybędzie regiment, ale nie tak blisko, żeby ktoś ich tam rozpoznał.

Upadek na południe od Adice był najlepszą taką okazją od sześciu tygodni. Gdy tylko „Gwiezdna Dama” wykryła opuszczające Las jaja i ustaliła ich trajektorię, jak najszybciej pojechali do Adeone i wypłynęli trzema barkami, szybko docierając do Colbal, a potem skręcając w górę rzeki. Teraz „Mellanie” płynęła z powrotem, ale w znacznie wolniejszym tempie, niż podążając dopływem. Zwracanie na siebie uwagi było ostatnią rzeczą, jakiej pragnął Nigel. Jednakże w ładowni było dość kłód drewna, żeby maszyna mogła pracować, dopóki nie wrócą do Adeone; nie zamierzali się zatrzymywać po drodze.

Po trzech dniach nieprzerwanego rejsu dopłynęli do Adeone. „Mellanie” zakotwiczyła na popołudnie od miasta, trzy mile w dół rzeki, a dwie pozostałe barki przybiły do przystani. Marek i chłopcy Ma wszystko przygotowali na przybycie „Mellanie”.

Kiedy w końcu tuż po północy zacumowali ją na przystani w porcie, na całym nabrzeżu nie było nikogo poza ludźmi Nigela. Trzy wyprodukowane przez „Gwiezdną Damę” ge-orły krążyły wysoko na niebie, sprawdzając, czy nikt się nie zbliża, w niewinnych celach lub nie.

Nigel stał na przystani, nadzorując operację rozładunku. Nie fatygowali się użyciem dźwigu. Swoją połączoną teka wyciągnęli jaja (nadal w klatkach) z ładowni i umieścili na dwóch specjalnie zbudowanych wozach. Klatki zostały przymocowane i pospiesznie nakryte brezentowymi plandekami. ZANDroidy wprawnie je maskowały, gdy wozy ostrożnie jechały pustymi ulicami Adeone, eskortowane przez resztę grupy, poruszającą się na ziemskich koniach.

Stodoła numer siedem została zbudowana tak, by przechowywać w niej jaja. Zewnętrzne ściany były ze zwykłych desek, lecz pod nimi miała grubą na metr warstwę bali, a potem następną ścianę, z cegieł. Dach podtrzymywały wielkie krokwie z anborowego drewna, na których ułożono płyty blachy, a na nich półmetrową warstwę ziemi, nakrytą zwykłymi dachówkami. Dla postronnego obserwatora ten budynek niczym się nie różnił od innych zabudowań farmy, a gdyby spróbował sprawdzić to telepatycznie, nie byłby w stanie przedrzeć się przez te grube ściany. Wnętrze zostało podzielone na dwie duże jamy z nieckowatym dnem mającym wychwycić każdy płyn wyciekający z rozbitego lub pękniętego jaja.

O czwartej rano Kysandra stała na skraju między tymi dwoma jamami i ziewała, patrząc, jak są opuszczane. Jasne elektryczne oświetlenie oblewało je jaskrawym, monochromatycznym światłem, jeszcze podkreślając ich niepokojący wygląd. Przewody elektryczne przeciągnięte do stodoły numer siedem z „Gwiezdznej Damy” zasilają ponadto rozmaite czujniki. ZANdroidy zabrały się do pracy, podłączając je do jaj. Kysandra ponownie ziewnęła.

– Idź spać – powiedział Nigel. – Nie martw się; ta część badań zajmie parę dni. Nie przejdziemy do następnej fazy, dopóki nie dowiemy się jak najwięcej z pasywnych skanów.

Skinęła głową i wróciła do głównego budynku.

Wyniki były zgodne z przewidywaniami i niewiele dodały do ich bazy danych. Bioniczne włókna infiltrujące nie były w stanie przeniknąć przez skorupę, zapewne z powodu ich niestabilności w środowisku Pustki. Jednak spektralna analiza masowa wykryła, że skorupa nie jest organiczna. Nie miała struktury komórkowej, a jej wiązania molekularne były zbyt złożone. Był to sztuczny twór.

Grupa naukowców Laury Brandt miała rację: jaja były produkowane przez drzewa Lasu.

Dwa dni po ich przywiezieniu Kysandra znów stała na brzegu jamy razem z Nigelem i Fergusem, z lękiem patrząc, jak Demitri idzie po metalowej podłodze w kierunku klatki. Był nagi, a jego blada skóra lśniła w ostrym świetle.

– Naprawdę musisz to robić? – zapytała.

Demitri stanął przy drzwiach klatki i odwrócił się, żeby na nią spojrzeć.

– Nie jestem człowiekiem. Proszę, postaraj się o tym pamiętać. Moje wchłonięcie i przemiana dostarczą bardzo wielu informacji.

– Zapewne – przyznała niechętnie Kysandra.

– Nie musisz na to patrzeć – rzekł Nigel.

Kysandra nawet nie trudziła się odpowiedzią. Jednak pozwoliła niechęci przedostać się przez osłonę.

Demitri z uśmiechem wetknął klucz do zamka Ysdom i otworzył drzwi. Kysandra wstrzymała oddech, gdy wszedł do środka i zamknął je za sobą. Nigel, używając teka, przekręcił klucz, a potem mosiężny cylinder zamigotał, przelatując w powietrzu, aby wylądować w jego dłoni.

– Rejestruję – powiedział Fergus. – Wydajność czujników osiemdziesiąt procent. Całkiem nieźle.

Do jaja przyczepiono trzydzieści pięć czujników, a ich cienkie przewody wiły się po metalowej podłodze, biegnąc do modułów zarządzających. Inne sensory były przymocowane do prętów klatki i wycelowane w skorupę.

– Zaczynajcie – polecił Nigel.

Demitri przeszedł na drugą stronę jaja i stanął obok opaski z czujnikami.

– Dobry kąt – zapewnił go Fergus.

– Kasuję pamięć – powiedział Demitri.

– Kasujesz? – zdziwiła się Kysandra.

– Jajo absorbuje wspomnienia tak samo jak ciało – wyjaśnił Nigel. – Instytut jasno to opisał. Jest jak czytnik pamięci używany przez Ministerstwo Sprawiedliwości Wspólnoty. Nie chcę, by ten Upadły wiedział to wszystko, co ja wiem. I z pewnością nie może wiedzieć, że zamierzamy skopiować zawartość jego pamięci.

– Wyczyszczona – oznajmił Fergus. – Zostały tylko podstawowe funkcje autonomiczne.

Kiedy znów popatrzyła na Demitriego, zobaczyła, jak spogląda pustym wzrokiem w przestrzeń, jakby spał z otwartymi oczami. ZANdroidy nie śpią.

Nigel zrobił krok w bok. Demitri dokładnie powtórzył ten ruch, przy czym jego prawa ręka oraz noga dotknęły jaja i przywarły.

Kysandra głośno wciągnęła powietrze.

– Uracusie!

Jednak dzielnie patrzyła, zaciskając zęby. *Kieruj się logiką, nie emocjami* – napomniwała się surowo. – *Obserwuj to tak, jak robiłby to naukowiec ze Wspólnoty. To eksperyment, nic więcej.*

Zaledwie wczoraj śmiała się i żartowała z Demitrim, dzieląc się podnieceniem wywołanym powodzeniem wyprawy po jaja. Lubiła go. Może i ma ciało maszyny, ale mimo to jest osobą.

Był osobą – sprostowała w myślach. Teraz osłona Demitriego przestała istnieć, pozwalając jej zajrzeć w jego myśli. Te, które przychodziły mu do głowy, niewiele się różniły od zwierzęcych odruchów; podstawowe impulsy ożywiające ciało, ale nic poza tym, żadnej świadomości czy wspomnień. To wszystko przepadło, przesłane do „Gwiezdnej Damy”. Pewnego rodzaju śmierć.

Ramię Demitriego powoli zapadało w jajo, tak jak i jego biodro. Czujniki uważnie obserwowały, jak molekularna struktura skorupy jaja zmienia się na przepuszczalną tam, gdzie dotykała jej skóra ZANdroida.

– To musi być wyzwalone przez specyficzny impuls – mruknął Nigel. – Zapewne wewnętrzna inteligencja jaja kontroluje strukturę skorupy.

– Albo jest wrażliwa na dotyk – zauważył Fergus.

– Na pewno ma zdolność rozróżniania bodźców – odparował Nigel. – Musi mieć. Inaczej wchłaniałoby kamienie i krople deszczu.

Kysandra skupiła się na strumieniu danych przychodzących od Demitriego. Procedury medyczne pokazywały, że skóra wchłonięta przez jajo zaczęła się już rozpadać na poziomie komórkowym. Penetrowały ją mikroorganizmy, które metodycznie rozpuszczały ściany komórkowe.

Głowa Demitriego dotknęła jaja i zaczęła w nie zapadać.

– Zaczyna się – mruknął Nigel, bacznie przyglądając się wchłanianiu Demitriego przez jajo.

Egzowizja pokazała Kysandrze, jak organizmy jaja pożerają ucho Demitriego, odsłaniając kość czaszki. Coraz głębiej zapadał w jajo. Po następnych dwudziestu minutach połowa jego głowy była wewnątrz i jajo w końcu rozpuściło kawałek jego czaszki tuż nad szczęką. Od tej chwili reszta kości zaczęła znikać jak szron na szybie w ciepłym oddechu. Mikroorganizmy przenikały do mózgu, tworząc długie, supercienkie wici, których końce przebijały poszczególne neurony.

– To bardzo zaawansowana broń – rzekł zaniepokojony Nigel. – Biononika Wspólnoty jest daleko w tyle za tego rodzaju zastosowaniem nanotechniki.

– Po co mielibyśmy to robić? – odparł Fergus, z odrazą marszcząc nos.

Już niemal połowa ciała Demitriego została wchłonięta do jaja. Przegląd jego procedur medycznych ujawnił Kysandrze, że jajo pozbawiło skóry jego rękę, nogę i tors. Zaczynało trawić odsłonięte mięśnie. Telepatycznie wyczuła, że płyn jaja zagęszcza się w tej części, do której ZANdroid był wciągany, tworząc fałdy przypominające wiry czarnej mgławicy. Jej pasma zaczęły wsuwać się w szczeliny po rozpuszczonych mięśniach. Krew, pulsując, zaczęła wypływać z postrzępionych żył i tętnic, wsysana w głąb jaja. Spokojne procesy myślowe jaja także zaczęły przyspieszać. Dostrzegła uwalniające się dziwne fragmenty obrazów i wrażenie dotkliwego zimna...

– Co się dzieje? – zapytał Nigel. – Czy to normalne?

Kysandra drgnęła, słysząc ostry ton jego głosu. Gdy na niego spojrzała, marszcząc brwi, patrzył na zwioteczałą nogę ZANdroida sterczącą z jaja. W miejscu gdzie kończyła znikać, wchłonięta przez jajo, z ciała sączyła się krew.

– On wychodzi! – warknął Fergus.

Kysandra rozdziawiła usta, wstrząśnięta. Proces wchłaniania uległ odwróceniu. Jajo wydalalo ciało Demitriego. Wyczuwała chaotyczne myśli jaja, emanujące uczuciem bliskim panice.

– Niech to szlag – mruknął Nigel.

Teraz krew popłynęła obficie, opryskując metalową podłogę, gdy jajo wypchnęło więcej na pół strawionego ciała. Żółtko zaczęło tryskać z odsłoniętych mięśni i naczyń krwionośnych.

Kysandra się skrzywiła.

– Na Uracusa! To okropne.

– Odrzuca go – rzekł Nigel. – Do diabła, w jego biochemii musi być coś, co jest niekompatybilne z jajem.

– Co mówisz?

Wytracony z równowagi Nigel popatrzył na nią niemal z politowaniem.

– Przepraszam, że pytam.

Strumień płynu gwałtownie wypchnął ciało Demitriego z otworu w skorupie utworzonego, żeby go wchłonąć. Z obrzydliwym plaśnięciem upadło na podłogę, a nadal mocno bijące serce wyrzucało długie strugi krwi z rozerwanych arterii w nodze i ramieniu. Mięśnie odpadły, niczym zakrwawiona ryba ślizgając się po metalowej podłodze.

Kysandra krzyknęła i zamknęła oczy, czując, że żołądek podchodzi jej do gardła. Przez chwilę myślała, że zwymiotuje. Zanim znów otworzyła oczy, odwróciła się plecami do tego okropnego widoku. Teraz miała tuż przed sobą ścianę stodoły numer siedem, uspokajającą w swej zwyczajnej normalności. Za jej plecami powoli cichł bulgot krwi.

– I co teraz? – zapytała z przygnębieniem.

– Ładuję dane do moich zasobów pamięci – odparł Nigel. – Nie, żeby było ich wiele.

Jakby jej nie słuchał albo nie zważał na to, co ona mówi. Zmarszczyła brwi.

– Podaj mi rękę – powiedział.

– Co?

– Zamierzam to odkręcić, rzecz jasna. Pogodziłbym się z utratą Demitriego, gdyby to coś dało. Ale nie dało. Zatem...

Wyciągnął rękę.

Kysandra ujęła ją, dziwiąc się, jaka jest ciepła i spocona. Tak jak jej dłoń. I tak jak poprzednio, telepatycznie wyczuła upiorne echa siebie samej przenikające niewidoczną materię tego wszechświata, gdy Nigel głębiej wepchnął swoje myśli w warstwę pamięci. Sunęła przez nie, przez siebie, obserwując wsteczny bieg wydarzeń.

– Stój – rozkazał Nigel.

Kysandra stała na brzegu jamy, patrząc, jak nagi Demitri wyciąga rękę, żeby wetknąć mosiężny klucz do zamka Ysdom klatki. Znieruchomiał i spojrzał na Nigela.

– To się nie udaje – powiedział Nigel.

Przez długą chwilę Nigel ładował mu dane, które otrzymał od u-adiunkta nieistniejącego już Demitriego z przyszłości.

– Niech to szlag – mruknął Demitri. Uśmiechnął się. – Zjadłem coś niestrawnego?

– Sądzę, że jesteś niedostatecznie organiczny – rzekł Nigel. – Kiedy to zaczęło rozkładać twoje komórki na proste związki, uświadomiło sobie, że coś jest nie tak. Musi mieć wbudowane mnóstwo mechanizmów obronnych.

Demitri podejrzliwie popatrzył na czarne jajo.

– Sprytnie. Zatem przechodzimy do planu B?

– Na to wygląda.

– Jakiego planu B? – wybuchła Kysandra. Dotychczas nikt o nim nie wspominał.
– Użyjemy ciała, które nie zostanie odrzucone – wyjaśnił Nigel.
– Ciała? Mówisz o ludzkim? – Podniosła głos, zaniepokojona. – Chcesz pozwolić, by jakiś człowiek został wchłonięty przez jajo? Na Upadek? To... To...
– Bardzo złe.
– Nie możesz. Nie pozwolę ci.
– Czasem żeby zrobić coś dobrego, musisz zrobić coś złego.
– Mimo to nie.
– Nawet Ma?
Kysandra zbladła. Zawahała się.
– Nie – rzekła w końcu, a potem powtórzyła bardziej zdecydowanie: – Nie, nawet jej.
– Mamy ciekawy dylemat moralny – zauważył Nigel. – Zważywszy na to, że dusza w Pustce jest właściwie nieśmiertelna, a my rozpaczliwie potrzebujemy informacji. Kto jest wystarczająco niegodny, aby się nadawał?

* * *

Proval miał szczęście. Opuścił bezpieczne Shanty, żeby posiedzieć przy barze w pubie Kripshire, który mieścił się na tyłach budynku, z wejściem od zaułka przy ulicy Szerokiej, i wtedy ją zobaczył: tę niesamowicie słodką nastolatkę. Proval nie lubił chodzić głównymi ulicami żadnego miasta, nie wśród tych wszystkich chodzących i jeżdżących ludzi. Główne ulice były zawsze czyste i eleganckie, były dumą miasta, a szeryfowie wypatrywali tam kłopotów i tych, którzy je sprawiają. Jednak wokół nich były boczne uliczki, którymi człowiek mógł przejść, nie zwracając niczyjej uwagi. Kraina takich ludzi i miejsc, jakie lubił.

Już pchnięciem otworzył drzwi pubu, gdy minęła koniec uliczki. Kilkunastoletnia. Długa, falująca szmaragdowozielona spódniczka, biała bluzka z mnóstwem rozpiętych guziczków, żeby pokazać wspaniałe cycki. *Dobrze wie, co robi. Zdżira.* Rude włosy opadające do połowy pleców, czyste i błyszczące. Piegowata skóra o cudownie jasnej karnacji. Promienny uśmiech świadczący o zadowoleniu i pewności siebie. Śliczna. Och, jaka śliczna.

Proval ogarnął to wszystko jednym rzutem oka, zanim minęła wylot zaułka. Wykonał w tył zwrot i różnym krokiem odszedł od drzwi baru. Trzeba chwytać okazję, kiedy się nadarza. A on potrafił rozpoznać ją natychmiast. Idąc w kierunku wylotu uliczki, przywołał swego mod-ptaka, który krążył wysoko na niebie. Ptak skręcił i zniżył się nad ulicę Szeroką. Proval patrzył jego oczami.

Na ramieniu niosła dużą wypchaną torbę. *Zatem na zakupach. Torba pełna, więc wraca do domu. Gdzie? Gdzie twój dom, ślicznotko?*

Proval pospiesznie szedł uliczkami, starając się podążać równolegle do ulicy Szerokiej. Ta nadzwyczajna dziewczyna szła dalej, kierując się na zachodni kraniec miasta i oddalając od rzeki. Proval ledwie pamiętał nazwę tego miasta: kolejny szereg przystani z domami

rozrzuconymi między dopływami Nubain – jedno z setek takich samych. Całe dorzecze było jego terenem łowieckim. Podróżowanie tutaj było łatwe, a szeryfowie zajęci gdzie indziej.

Dziewczyna skręciła w boczną uliczkę, odrobinę zbliżając się do niego. Nie zdołał powstrzymać uśmiechu. Fart. Kiedy go masz, to wszystko idzie jak z płatka. *Czyżby kierowała się do stajni? Proszę, Giu. Proszę.*

Proval niemal przebiegł ostatnie dwieście metrów dzielące go od stajen. Już siedział w siodle swojego mod-konia i wyjeżdżał z głównej bramy, gdy ona znalazła się przed budynkiem.

Tak. O tak, dzisiaj Giu uśmiecha się do mnie.

Jego koń kłusował drogą wiodącą za miasto. Kilometr dalej zaczynały się pola uprawne i było rozdroże. Zawahał się. Mod-ptak pokazał mu ślicznotkę wyjeżdżającą ze stajni na ziemskim koniu, z torbą zawieszoną na oparciu siodła. Mieszkała gdzieś na wsi. Zapewne na jakiejś zasobnej farmie. Miała tego typu urodę.

Podjął decyzję. Wybrał lewe odgałęzienie drogi, biegnące między wysokimi złotymi sosnami. Za nim mod-ptak leniwie szybował w prądach termicznych, obserwując ślicznotkę. Jeśli wybierze prawe odgałęzienie, nieważne; może popędzić konia i ją dogonić. Ale jeśli wybierze lewe... no cóż, to będzie łatwe.

Giu nadal miał w opiece Provala. Dziewczyna dotarła do rozwidlenia i bez wahania skręciła w lewo.

Tak blisko miasta na drodze był jeszcze ruch. Jeźdźcy, wozy, nawet kilku pieszych. Proval jechał dalej, trzymając się mniej więcej kilometr przed ślicznotką, aż znalazł się w wąskiej dolinie o zboczach porośniętych gęstym lasem. Dochodziło południe i słońce prażyło, a powietrze było suche i nieruchome. Kiedy w końcu zsiadł z konia, był spocony. Jego mod-ptak poleciał dalej, bystrymi oczami sprawdzając ruch na drodze. Tego dnia miał niesamowite szczęście. Na drodze nie widział nikogo, żadnego samotnego jeźdźca czy wozu. Oboje byli jedynymi ludźmi w promieniu kilku kilometrów. Będzie mógł zanieść ślicznotkę przez gęstwinę w głąb doliny i nikt go nie zobaczy. Nawet nie będzie musiał jej kneblować, tak jak kilka innych. Nikt nie usłyszy jej krzyków.

W chwili gdy mijała ostatni zakręt, pochylił się, jakby oglądał podkowę swego konia. Nic podejrzanego. Po prostu jeszcze jeden podróżny mający kłopoty. *A ty wiesz, ślicznotko, że nic ci nie grozi. Nie na tej drodze do domu, którą jeździłaś już ze sto razy w swoim młodym życiu. Tu jesteś bezpieczna.*

– Kłopoty? – zapytała dziewczyna, gdy podjechała bliżej.

Proval nawet nie musiał odpowiadać. Przerzuciła nogę przez łęk siodła i zeskoczyła.

Taka silna. Taka zręczna.

Stał w cieniu wysokiej złotej sosny i uśmiechał się pożądliwie. Zwykle w tym momencie zaczynały pojmować, że coś może być nie tak. Nie miał złudzeń co do swego wyglądu. Złamany nos, szczerby w uzębieniu, nędzne odzienie. Większość ludzi instynktownie unikała takich jak on, a młode dziewczęta na pewno.

– Ładnie z twojej strony, że się zatrzymałaś.

Jej uśmiech nadal zdradzał pewność siebie.

– Właśnie tego chciałeś, no nie? – zapytała obojętnie. – Żebym zsiadła z konia. Na tym odludziu. Nikogo w pobliżu. To dla ciebie idealna okazja, prawda?

Proval przesunął dłoń po brudnej koszuli do pistoletu schowanego pod kurtką. Coś tu było nie w porządku. I to bardzo. Sprawdził otoczenie oczami mod-ptaka. Jednak nic się nie zmieniło; byli zupełnie sami.

– Idealna do czego?

– Ty jesteś Demal. Albo Proval. Może Finbal. Nie jestem pewna. Nazwisko przeważnie się zmienia, ale rysopis pasuje.

– Kim ty, kurwa, jesteś?

– Zwykle pytasz swoje ofiary o nazwiska?

Proval jednym płynnym ruchem wyjął broń i wycelował w nią. Denerwujące, ale nawet nie drgnęła.

– Czy to jakaś sztuczka szeryfów? Odpowiadaj, suko. Pożałujesz, jeśli tego nie zrobisz.

– Uracusie, nie! Gdyby szeryfowie wiedzieli o moim istnieniu, zapewne daliby ci nagrodę, gdybyś im mnie wydał. Policja kapitanatu na pewno.

Odciągnął bezpiecznik, ciesząc się głośnym szczęknięciem. Niech wie, że on nie blefuje. Nawet najsilniejsza osłona nie zatrzyma kuli.

– Zaczynij gadać.

– Wiem, że przez ostatnie dwa lata zgwałciłeś jedenaście dziewczyn. Myślę, że wymordowałeś trzy farmerskie rodziny, wdzierając się w nocy do ich domów. A szeryfowie podejrzewają, że jeszcze dwie. Ponadto na drogach w dorzeczu Nubain jest bardzo wiele brutalnych napadów. Mam rację? To twoja sprawka?

– Bardzoś sprytna. Jednak dziewczyn było siedemnaście – warknął. – A ty, osiemnasta, będziesz najśłodsza z nich.

Poważnie pokiwała głową, jakby właśnie potwierdziła jakiś fakt w czytelni bibliotecznej.

– Tak myślałam.

Proval stracił obraz słany przez mod-ptaka.

– Co jest?

Instynktownie spojrział w górę. Wzrokowo i telepatycznie ujrzał swego martwego mod-ptaka bezwładnie wiszącego w szponach jakiegoś ogromnego powietrznego drapieżcy, który jeszcze pikował, kończąc mordercze uderzenie.

Coś rąbnęło go w pierś. Odleciał w tył, jakby uderzony przez najsilniejszą teka na świecie. Bezradnie wymachując rękami, z łoskotem runął na ziemię. Poczul przeszywający ból rozchodzący się od mostka i zaskomlał. Jednak mimo bólu i przerażenia zdołał unieść lufę broni, kierując ją ku tej suce z Uracusa. Z rękawa jej bluzki wystawał jakiś mały metalowy przedmiot o jajowatym kształcie, przytrzymywany przez coś, co wyglądało jak cienka biała macka. Może wyglądał dziwacznie, ale Proval potrafił rozpoznać broń, kiedy jąkaś widział.

To coś wyemitowało zielony błysk, który rozerwał dłoń, w której trzymał pistolet. Krew ochlapała mu twarz i kurtkę. Oszałamym wzrokiem spojrzał na strzepy swojej ręki i znów wrzasnął – tym razem piskliwie i histerycznie.

* * *

– Mówiłem „nietknięty” – narzekał Nigel, który trzy minuty później podjechał do Kysandry na wozie z Russellem i Demitrim.

Spojrzała na niego, marszcząc brwi.

– Chcesz, żebym cofnęła się w czasie i spróbowała ponownie?

– Nie, nie – odparł dobrodusznie. – Tak też może być. Chyba.

On i Demitri wymienili rozbawione spojrzenia.

Proval leżał nieprzytomny na ziemi. Kysandra spryskała jego zmasakrowaną dłoń specjalną syndermą, znacznie grubszą od zwykłej aplikacji.

– Jest prawie cały. Myślę, że dwa palce zostały nietknięte. Po prostu nastawiłam za silną pulsację.

Nigel ją uściskał.

– Moja dziewczyna. No, naprawdę dorastasza.

– Nie mam innego wyjścia.

Demitri z Russellem podnieśli nieprzytomnego Provala i taszczyli go w kierunku wozu.

– I jak? – zapytał Nigel. – Nadaje się?

– Tak – przyznała. – On jest nawet dumny z tego, co robił i kim jest. Ja... nie spodziewałam się tego.

– Wciąż ci powtarzam, że w tym wszechświecie jest mnóstwo złych ludzi.

– Tak, mówiłeś mi.

– Jesteś zła? Nie bądź. Ja zawsze mam rację, jak wiesz.

– Nie wiem, co mnie bardziej niepokoi – powiedziała Kysandra. – Fakt istnienia takiego Provala czy to, że wiedziałeś, jak go znaleźć.

– Daj spokój, to nie było łatwe. Już od tygodnia paradowałaś w takim stroju po mieście.

– Jednak ty wiedziałeś, w którym mieście on prawdopodobnie będzie.

– Wzorze – powiedział Nigel. – Wszystko sprowadza się do wzorców. Kiedy je znasz, możesz przewidzieć, co się zdarzy. Niegdyś sektor finansowy zmienił rozpoznawanie wzorców w naukę. Opierano na niej gospodarkę całych państw.

– A raporty szeryfów dały ci ten wzorzec – powiedziała z podziwem. – Zdumiewające.

– Dały mi podstawowe dane. Ty zrobiłaś resztę. Nie bądź taka skromna.

Patrzyła, jak Demitri i Russell rzucają Provala na wóz i zakrywają go plandeką. Demitri zeskoczył. Russell został na wozie, uważnie się jej przyglądając, dopóki nie zauważył, że ona go obserwuje. Pospiesznie odwrócił wzrok, wzmacniając swoją osłonę, żeby ukryć poczucie winy. Chociaż był bezsprzecznie lojalny wobec Nigela, dominacja nie stłumiła wszystkich jego odruchów.

Kysandra zerknęła na swoją pierś, westchnęła i zaczęła zapinać bluzkę.

– Jak to się nazywa?

– Stanik modelujący piersi, powszechnie nazywany wonderbra – odparł Nigel. – O ile wiem, wymyślony przez mężczyznę.

– Nie żartuj.

– Zaczęli je produkować, kiedy mnie jeszcze nie było na świecie. Wyobraź sobie, wynalazek sprzed tysięcy lat wciąż jest popularny w całej galaktyce.

– To mnie nie dziwi – mruknęła. – Niezupełnie rozumiem, jak to działa. Przecież tak naprawdę nie są takie... duże.

Potrząsnęła głową z irytacją, czując, że się rumieni.

– Możesz się go pozbyć, jak tylko wrócimy do domu.

– Tak. Racja. Pewnie to zrobię.

Kysandra podejrzliwie zmrużyła oczy i zrobiła groźną minę na widok rozbawionego uśmiechu Nigela.

* * *

Po dwóch dniach podróży wrócili na farmę Blairów. Zaraz po przybyciu umieścili Provala w kapsule medycznej. W pewnym stopniu naprawiła jego dłoń, kauteryzując tkanki i usprawniając dwa pozostałe palce. Wyhodowanie zamienników tych, które stracił, trwałoby co najmniej dwa tygodnie, nawet gdyby to było możliwe w Pustce. Nigel nie zamierzał tego sprawdzać.

Kysandra spoglądała na bandytę, gwałciciela i mordercę, którego schwytała. Jego ciało było do połowy spowite srebrzystymi wiciami wypuszczonymi przez kapsułę, niczym dziwnymi więzami. Pewnie takimi pęta się potwora.

– I co? – zapytał ją Nigel.

Spojrzała na niego ponad kapsułą.

– Naprawdę prosisz o moją aprobatę?

– Byłoby miło.

– Zrób to – powiedziała stanowczo.

Bienvenido będzie lepszym miejscem bez Provala. Ten fakt był bezsporny, obojętnie jakie miała skrupuły z powodu tego, co robili.

Nigel wydał szereg poleceń konsoli medycznej. Kolejne wici owinęły się wokół głowy Provala i zaczęły wnikać do jego czaszki.

– Niemal jak jajo – mruknęła.

– Niepokojąco podobnie – przyznał i kazał kapsule zamknąć wieko. Plastmetal się skurczył, zasłaniając wnętrze.

Kysandra nie próbowała telepatycznie sprawdzać, co się dzieje w środku. Wiedziała. Kasowanie osobowości było starą metodą Wspólnoty, chociaż obecnie rzadko używaną przez sądy, zapewnił ją Nigel.

Komora medyczna zinfiltrowuje mózg Provala, swymi aktywnymi włóknami bionicznymi wyszukując neurony zawierające jego wspomnienia. Powoli i nieuchronnie, przez zastosowanie czynników chemicznych, narkomemów i bezpośredniej penetracji neuronów, wspomnienia zostaną wymazane. A wtedy jego tożsamość zniknie. Proval, jako jednostka, przestanie istnieć. Po kasacji wspomnień pozostanie tylko zbiór tkanek miękkich i kości sterowanych przez autonomiczny układ nerwowy. Żywy trup.

* * *

Dzień później to nagie i niczego nieczujące ciało stało przy jajku Upadłego w stodole numer siedem, w upiornej powtórcie nieudanej próby Demitriego. Sam Demitri stał obok tego ciała, nieustannie śląc instrukcje do pustego mózgu, aktywując odpowiednie mięśnie utrzymujące je w pozycji stojącej.

Otworzył klatkę i telepatycznie przeprowadził tę marionetkę przez drzwi. Mosiężny klucz przekręcił się w zamku Ysdom. Wykonując przesyłane polecenia, ciało powoli obróciło się twarzą do obłej powierzchni jaja. Rozstawiło nogi i szeroko rozłożyło ręce. Demitri pozwolił jego nogom zgiąć się w kostkach i ciało upadło na jajo – natychmiast mocno przywierając torsem, rękami i udami.

Na kładce pomiędzy dwiema jamami Kysandra wzdrygnęła się tak samo jak poprzednim razem. Jajo potrzebowało czterdziestu minut, by całkowicie wchłonąć ciało. Czujniki śledziły ten proces najuważniej, jak mogły, ultradźwiękami i pomiarami gęstości obserwując jednoczesną dezintegrację ciała i tworzenie jego kopii. Telepatia ustaliła kilka nowych faktów – sposób, w jaki płyn jaja gęstniał i mutował, a myśli Upadłego formowały się ze strzępów świadomości, których był pełen.

Pięć godzin po tym, jak ciało Provala zapadło w jajo, skorupa zaczęła tracić spójność. Zapadła się i popękała. Zawarty w jajku płyn sączył się przez powstające szczeliny. Gęsta ciecz chlusnęła na metalową nieckę podłogi, a ostatnie strzępy zwioteczalej otoczki spłynęły po tym, co stało teraz w jej środku.

Idealna kopia ciała Provala błyszczała pod warstwą cieczy i głośno wciągnęła powietrze. Miała silną i zwartą osłonę, skrywającą wszelkie myśli przepływające przez skopiowany mózg. Otworzyła oczy. Dłoń o dwóch palcach starła gęsty płyn z twarzy. Głowa powoli obróciła się, podążając za badawczym telepatycznym wzrokiem, omiatającym jamę. Potem skupiła się na stojących wyżej Nigelu i Kysandrze oraz dwóch ZANdroidach.

– Witaj w piekle – rzekł z nikłym uśmiechem Nigel.

Upadły zawył – nieartykułowany dźwięk, zbyt głośny, by mógł wydobyć się z gardła człowieka. Rzucił się na pręty klatki, uderzając o nie z impetem. Odbił się. Znów zawył i ścisnął pręty, wściekle je szarpiąc.

Kysandra miała wrażenie, jakby żelazo się lekko wygięło. Nie zamierzała jednak podchodzić bliżej, by się upewnić.

Demitri i Fergus zeskoczyli do jamy. Upadły przykucnął i bacznie ich obserwował.

– Interesujące – myślał głośno Nigel. – To postawa obronna typowa dla człowieka. Chyba nie wyczyściliśmy podświadomości Provala tak dokładnie, jakbym chciał.

Kysandra wstrzymywała oddech. Z lękiem patrzyła, jak Demitri otwiera zamek i drzwi klatki. Upadły wyszedł z niej, wodząc wzrokiem po obu ZANdroidach, przygotowany na ich atak.

Fergus uniósł grubą metalową rurę i wystrzelił z niej sieć. Upadły próbował uskoczyć, wypuszczając swoją teka, aby odbić czarny kłęb sznurów. Demitri natychmiast uderzył swoją teka i Upadły, broniąc się, wzmocnił swoją osłonę, na moment osłabiając teka. To wystarczyło, by sieć go oplątała, ze świstem tnąc powietrze. Runął na podłogę, szamocząc się w powoli i nieuchronnie zaciskającej się sieci. Po kilku sekundach był nieruchomym tobołem na śliskiej podłodze. Nadal jednak był przytomny. Silną teka zaczął atakować sznury, gryząc pojedyncze włókna.

Demitri podszedł i przytknął paralizator do karku Upadłego. Pięćdziesiąt tysięcy wolt przeszło przez spętane ciało. Jego reakcja była jak najbardziej ludzka – skurcz mięśni, zaciśnięte zęby, powietrze wypchnięte z płuc w przeciągłym jęku.

– No, to działa – powiedział z satysfakcją Nigel.

Demitri znów poraził leżącego. Ciało Upadłego dygotało i podrygiwało w pętach siatki, zanim wreszcie stracił przytomność. Jego osłona znikła. Demitri wysłał telepatyczny odpowiednik neuromemu mający zablokować pierwotne procesy myślowe Upadłego – jeśli były zbliżone do ludzkich. Ciało zwiotczało jeszcze bardziej.

– Nie żyje? – zapytała niespokojnie Kysandra.

Demitri telepatycznie sprawdził Upadłego.

– Żyje.

– Uracusie!

– Nie mamy czasu analizować jego biochemii – rzekł Nigel. – Po pierwsze, piekielnie trudno byłoby pobrać próbkę krwi. Potem musielibyśmy eksperymentalnie znaleźć działający środek znieczulający i określić jego dawkę. To byłoby jak torturowanie go. Ten sposób jest szybszy i lepszy.

– Wiem, wiem. *No tak, znów masz rację. Dobra robota.*

Fergus pospiesznie nałożył hełm na głowę Upadłego.

Jeśli coś jest torturą, to właśnie to, pomyślała Kysandra. Nigel nie chciał umieszczać Upadłego w module medycznym „Gwiazdnej Damy”. Nie po tym, jak Demitri został odrzucony przez jajo. Obawiał się działania nanobajtów Upadłego; te wyspecjalizowane wielokomórkowe cząstki jego ciała mogły zakazić i popsuć urządzenia Wspólnoty, szczególnie w Pustce. Tak więc „Gwiazdna Dama” zsyntetyzowała ten bioniczny infiltrator z aktywnymi włóknami niemal identycznymi jak te w module medycznym, które wniknęły do mózgu Provala. Tylko że te były prymitywniejsze, silniejsze i szybciej działające. Nie było niczego subtelnego w sposobie, w jaki końce tych włókien przebiły czaszkę i wniknęły do mózgu.

Kiedy ten proces się zaczął, ciało Upadłego ponownie zadrżało, a potem znieruchomiało. Jego oczy otworzyły się i uciekły w górę, tak że były widoczne tylko białka.

Kysandra obserwowała egzowizyjny obraz, ukazujący postępy infiltracji. Niezliczona liczba włókien przedarła się przez niezwykle twardą kość czaszki, żeby zagłębić się w układ nerwowy. Mózg zauważalnie różnił się od ludzkiego. Wyładowania synaptyczne były szybsze i dokładniejsze.

– To bardziej przypomina matrix bioprocesora niż typową chaotyczną strukturę naszego układu nerwowego – skomentował Nigel. – Domyślam się, że to pozwala mu operować szerszym zakresem procesów myślowych. Ten mózg wygląda jak nasz, ale tak naprawdę jest zupełnie homogeniczny. Nie ma ośrodków regulacji i na pewno nie jest stymulowany hormonalnie. Sprytnie, ponieważ umysł Upadłego musi się dostosować do takiej formy, jaką napotka i skopiuje. Podstawowe procesy myślowe będą przystosowywalne, żeby poruszać tyłoma kończynami, ile trzeba, a także interpretować nową sferę sensoryczną.

– Ma dynamicznie zmienny zakres elastyczności – zauważył Fergus.

– Nie może być pierwotną formą swojego gatunku, już nie. To ulepszona wersja.

– Tak jak my – powiedziała Kysandra. Uśmiechnęła się słabo do Nigela. – Mówiłeś, że mam geny Zaawansowanych. To kluczowe określenie. Mój genom różni się od tego, jaki mieli moi przodkowie. Podobno jest lepszy.

– Mówiłem o ich mentalności, ale owszem – powiedział z aprobatą Nigel. – Nikt nie podróżuje po galaktyce, nie modyfikując się w jakimś stopniu. To niezmienna cecha postępowych rozumnych gatunków.

Demitri chrząknął.

– Ocisensi.

– Mówiłem o postępowych gatunkach – odparł spokojnie Nigel.

* * *

Dwie godziny trwało wykonanie pierwszej sekwencji procedury infiltracyjnej i wprowadzenie włókien. Ich pozycjonowaniem kierował bezpośrednio smartkor „Gwiezdej Damy”, który musiał sondować i badać zduplikowaną strukturę neurologiczną, do której wtargnęli. W końcu włókna zostały równomiernie rozmieszczone, zgodnie z przebiegiem połączeń neuronowych w mózgu. W przeciwieństwie do procedury, którą zastosowali wobec Provala, tu ingerencja chemiczna była niemożliwa. Musieli polegać na neuromemach i zaburzaniu procesów myślowych. W ciągu sześciu kolejnych godzin smartkor zaczął odszyfrowywać podstawowe schematy myślowe Upadłego, odróżniając aktywne procesy rozumowania od głęboko zakorzenionych wspomnień, których były nieodłącznym składnikiem – czymś w rodzaju odpowiednika ludzkiej podświadomości.

Po sporządzeniu profilu działania mózgu smartkor wykonał symulację cyfrową i zaczął pobierać myśli Upadłego.

* * *

Upadły nie miał wspomnień w ludzkim znaczeniu tego słowa – zbioru obrazów, dźwięków i wrażeń wraz z całym towarzyszącym im gąszczem emocji; raczej była to świadomość istnienia i celu. Pojmował siebie dzięki historii, która stała się biologicznym imperatywem jego gatunku, we wszystkich odmianach.

Pochodził z jakiegoś rejonu Drogi Mlecznej. Nie wiedział, z jakiego ojczyznanego układu słonecznego ani nawet kiedy jego gatunek zaczął podróżować w międzygwiazdnej przestrzeni, chociaż w pamięci miał echa niezmiernych odległości i czasu.

W jednej formie ten gatunek stał się gwiazdolotem, przenoszącym ich przez kosmiczną otchłań. Ogromne stwory czerpiące energię z samej czasoprzestrzeni, zmieniające pola grawitacyjne, aby poruszać się z prędkością bliską prędkości światła. Teraz ich przeznaczeniem stała się ekspansja, będąca sensem życia.

Po przybyciu do nowych jasnych gwiazd znajdowali biosferę wielu planet niedopasowaną do początkowej biochemii ich ciała. Zamiast podejmować ogromny trud zmieniania tych niegościnnych planet, jeszcze bardziej rozwinęli swoją wyzwalającą z więzów ciała nanotechnikę, a ich organizmy stały się jeszcze bardziej elastyczne, łatwo dostosowujące się do nowych środowisk. Nauczyli się zmieniać w takie formy życia, które opierały się inwazji.

Ich bezlitosna kolonizacja wywoływała niezliczone konflikty, powodując kolejne zmiany, jeszcze większe odchylenia od pierwotnej postaci. Posiedli zdolność mimikry, będącą szczytowym osiągnięciem ich nanoewolucji i pozwalającą na jeszcze agresywniejsze i niepowstrzymane zasiedlanie kolejnych światów. Gwiazdoloty orbitowały wysoko nad nowo odkrytymi planetami, zrzucając grad jaj, które przyjmowały postać tubylców i rodziły pokolenie odmieńców. Kiedy te zdominowały miejscową populację, eliminując konkurencję, następne pokolenia wracały do początkowej postaci w takim stopniu, w jakim pozwalały na to warunki danej planety, i stawały się władcami nowego dominium.

W trakcie tej fali ekspansji chmara statków została wciągnięta w Pustkę. Adaptacja w niej była trudna, ale mimo to trwała, powodowana strachem, gdyż Upadli szybko zrozumieli jej cel. Tak jak oni podbijali i likwidowali niezliczone gatunki galaktyki, tak Pustka miała ich wchłonąć i w ten sposób przyspieszyć ich ewolucję do zaawansowanego stanu, w którym by się nadawali do kolejnego wchłonięcia – do jej Serca.

Niektórzy Upadli zaadaptowali się na tyle, na ile pozwalała im ich natura. Znaleźli sobie niszę w tym nowym i dziwnym metaśrodoisku, przyjmując rolę symbiontów Serca, prowadząc godne tego jednostki do spełnienia, kierując nowo przybyłych do odpowiednich części Pustki: ci przewodnicy byli Władcami Niebios.

Inni po prostu robili to, co zawsze, zasypując pechowych więźniów Pustki swoimi jajami, pozerając istnienia i cywilizacje, czekając na chwilę, gdy znów będą mogli stać się sobą. Żyjąc pod nieustanną presją Pustki, nakazującą spełniać się i oddawać swoją jaźń Pustce.

Część gwiazdolotów Upadłych usiłowała wyrwać się z potrzasku. Wykorzystali wrodzoną umiejętność zakrzywania lokalnej czasoprzestrzeni, próbując zmienić naturę Pustki i wyrwać się z niej siłą. To najwyraźniej im się nie udało.

– Las – powiedziała cicho Kysandra. Dołączyła do Nigela na werandzie. Nadchodził świt i srebrna poświata Lasu była widoczna nad horyzontem. Nigel spoglądał w górę, ze szklaneczką brandy w dłoni. – Ten Las to gwiazdolit Upadłych, który próbował uciec, prawda?

– Tak.

– A więc to prawda – powiedziała. – Nikt nie zdoła się wydostać. Jeśli oni nie mogą, z całą ich potęgą...

– Narobili bałaganu. Wywołane przez nich zniekształcenie czasoprzestrzeni utworzyło jakiś rodzaj pętli w lokalnej warstwie pamięci. Uwięźli w przeszłości, a raczej w tym, co Las pamięta jako przeszłość.

– Czy to się przydarzyło Laurze?

– Tak. Gdy prom numer czternaście wleciał do Lasu, został uwięziony w tej pętli. Jest pewne miejsce w warstwie pamięci, w którym ona powtarza wszystkie wydarzenia co dwadzieścia siedem godzin i czterdzieści dwie minuty. To ją tworzy i każe wraz z zespołem naukowców wielokrotnie przeżywać to samo. Jasna cholera, oni raz po raz odtwarzają te dwadzieścia siedem godzin i czterdzieści dwie minuty przez ostatnie trzy tysiące lat. To... po prostu... niech to szlag!

Kysandra zmarszczyła brwi, starając się zbytnio nie zgłębiać tego koszmarnego faktu.

– Tylko dlaczego wszystkie kapsuły i ciała na Pustyni Kości są w tym samym wieku? Ona powinna lądować na Bienvenido za każdym razem, gdy opuszcza Las.

– Paradoks. Tak naprawdę nie można cofnąć się w czasie, więc Pustka wokół wywołanej przez Las dystorsji próbuje unormować sytuację. O ile mogę się domyślać, każda zapętłona misja Laury przebiega w pamięci Pustki sprzed trzech tysięcy lat, którą Las popieprzył. Dla niej to jak wspólny solipsyzm, tylko że osobą, z którą go dzieli, jest ona sama. I za każdym razem, gdy jedna ona ginie w tym segmencie zniekształconej pamięci, warstwa tworzenia przedstawia to, co się stało, jako część historii Bienvenido.

– Zatem to się dzieje? – spytała Kysandra. – Naprawdę?

– Dla niej tak, ale nie dla nas. Ona nie istnieje w tym czasie, w naszym segmencie rzeczywistości Pustki; to, co się jej przydarzyło – każdej jej – miało się wydarzyć w przeszłości. Tak więc kiedy jej życie się kończy i pętla wyrzuca tu jej kolejne zwłoki, natychmiast jest to przekształcane we fragment przeszłości, której nigdy nie było. W ten sposób Pustka poza pętlą próbuje uporządkować sprawy i naprawić teraźniejszość, usunąć paradoks. – Uśmiechnął się krzywo. – Tak jak dawni kreacjoniści twierdzili, że Bóg pozostawił skamieliny dinozaurów zaledwie kilka tysięcy lat temu. Cholera, to by im się podobało!

– Uracusie! Jednak ona wciąż to przeżywa?

– Tak. Gdzieś, w jakimś aspekcie warstwy pamięci Laura, Ayanna, Ibu, Rojas i Joey, oni wszyscy przeżyli te same wydarzenia ponad milion razy.

Kysandra zamknęła oczy, przypominając sobie wzgórze kapsuł oraz ich okropną otoczkę ze zmumifikowanych ciał.

– Zatem właśnie teraz, w tej popieprzonej sekcji warstwy pamięci Laura próbuje uciec z miejsca lądowania kapsuły i przejść z wózkiem przez pustynię?

– Tak albo czeka u podnóża pagórka kapsuł, żeby zabić następną Laurę, która tam przyleci; widzieliśmy, że robiła to wiele razy. Zważywszy jednak na to, jak wysokie jest teraz wzgórze, wyobrażam sobie, że ona najczęściej ginie lub zostaje ciężko ranna, gdy kapsuła ląduje na szczycie i stacza się po zboczu. Tak czy owak, za każdym razem umiera i jej osobisty segment pętli się kończy.

– Musisz to powstrzymać. Musisz ją uwolnić.

Nigel upił łyk brandy. Nie odrywał oczu od Lasu.

– Wiem.

OSIEM

Chociaż Kysandra uważała się teraz za znacznie bardziej obytą i doświadczoną, była podekscytowana ponowną wizytą w Varlanie. Ruch i krzątanina wielkiego miasta, jego zapachy i atmosfera były czymś, z czym biedne stare Adeone nie mogło się równać. Rozmiary też robiły wrażenie; nawet Shanties były tu większe. Patrząc na to przez pryzmat nowo nabytej wiedzy i zrozumienia, zdawała sobie sprawę z tego, że te rozmiary dawały mu władzę, ekonomiczną i polityczną. Dzięki położeniu było głównym węzłem kolejowym dla całego kontynentu i rzecznych szlaków handlowych. Było tu wszystko: porty, dworce kolejowe, fabryki, banki, główna kwatera marines i regimentu Meor, siedziba Rady Narodowej i wszystkie główne urzędy. Varlan był prawdziwą stolicą.

– Nie da się zmienić Bienvenido, nie zmieniając najpierw Varlanu – oznajmiła Kysandra.

Stała na balkonie apartamentu hotelu Rasheeda, patrząc na bujną zieleń rozległego parku Bromwella. Po drugiej stronie trawników i drzew budynki i ulice pokrywały ziemię swymi murami z cegły i kamienia. Dachy domów ciągnęły się aż po brzeg rzeki ostrymi kanciastymi falami siwego łupka gontów i czerwonej gliny dachówek. Na północnym wschodzie miasta wyrastał las wysokich kominów fabrycznych, wyglądających jak filary gigantycznego sklepienia, którego jakiś szalony kapitan nigdy nie zdołał ukończyć. Wyrzucały grube pióropusze dymu, który rzucał niemal namacalny cień na całą dzielnicę.

– Moja dziewczyna – rzekł Nigel z głębi apartamentu.

Właściwie nie była to żadna rewelacja. Zawsze to wiedziała. Jednak potrzebowała tego widoku, żeby naprawdę zrozumieć tę ideę..

– Jest tu całkowitym bezruchu – mruknęła.

– Zaczynj od rzeczy małych i napieraj.

Kysandra się uśmiechnęła i wróciła do środka, gdzie było nieco chłodniej.

– Myślałam, że mi przypomnisz, iż wystarczy tylko jeden kamyk, aby wywołać lawinę.

Uniósł brew.

– No i kto teraz wie wszystko?

Usiadła na szezlongu, teatralnym gestem wyciągając ręce.

– Czy obdarzenie tego świata prawdziwą demokracją zrobiłoby jakąś różnicę? Ludzie nadal będą musieli płacić podatki na finansowanie regimentów, ponieważ Upadli nigdy nie przestaną. Nie mogą. Tacy są.

– Muszę wrócić w kosmos. To pierwszy etap. Kiedy „Gwiezdna Dama” się tam znajdzie, może będę mógł coś zrobić z Lasem.

– Ale nie możesz wrócić w kosmos. – Zamilkła, nagle zaalarmowana. – Chyba że wrócisz do czasu przed twoim lądowaniem tutaj.

– Zrobiłbym to, gdybym mógł, ponieważ to by wszystko zmieniło, nawet twoje przeznaczenie. Jednak nie mogę tak daleko cofnąć się w czasie. Chyba czegoś mi brakuje, jakiegoś fragmentu wiedzy Edearda, którego nie opanowałem. Albo po prostu mój umysł nie jest wystarczająco silny. Albo może to być znacznie trudniejsze w tej części Pustki.

– Ze względu na to, co Las robi z warstwą pamięci?

Wzruszył ramionami.

– Tak przypuszczam. I taką mam nadzieję, ponieważ przez to Las byłby bardzo ważny.

– W jakim sensie?

– W takim, że niszczy Pustkę, czyli robi coś, czego nikt inny nigdy nie dokonał.

– Czy to nam pomoże?

– O tak! Brakuje nam wielu zebranych przez Laurę Brandt danych dotyczących dystorsji kwantowej. Jeśli dokładnie przeanalizuję ten efekt, moi sprzymierzeńcy, raiele, być może zdołają go wykorzystać. Mają możliwości znacznie większe niż Upadli.

– Raiele mogą nas stąd wydostać?

Nigel rozłożył ręce.

– Szanse na to są naprawdę niewielkie. Skoro jednak nie mamy niczego innego...

– A więc zrobmy to. Jak możemy wylecieć „Gwiezdną Damą” w kosmos?

– Zastanawiałem się nad tym. Problemem jest napęd regram. Szwankował cały czas, a od kiedy wylądowałem, nie działa. Natomiast ingraw działał. Nadal działa. Niedobre jest to, że nie da całego jednego g ciągu, a tyle potrzebuję, żeby wystartować. Jednak nadal działa. Gdybym zdołał wprowadzić „Gwiezdną Damę” na odpowiednią wysokość, może staruszka zdołałaby przyspieszyć do prędkości ucieczki.

– Zatem potrzebujesz czegoś, co przyspieszyłoby „Gwiezdną Damę”.

– Taak.

– Czy mógłbyś skłonić do pomocy Władcę Niebios?

– Nie wiem jak.

– Powiedz im, że możesz pomóc Lasowi.

– Nawet gdyby zrozumieli tę koncepcję, zapominasz, że są tą odmianą Upadłych, która doskonale przystosowała się do Pustki. Za cholerę niczego nie pomogą nam zmienić.

– Och. – Rozzłoszczona, wyduła usta. – Taak. Uracusie!

– Myślałem raczej o czymś tak prymitywnym, żeby Pustka nie mogła tego zepsuć.

– O czym?

Uśmiechnął się złowrogo.

– O projekcie Orion. No, to byłoby coś.

– Co to takiego, ten projekt Orion?

– Coś bezgranicznie pięknego i kompletnie szalonego. Wymaga użycia wielu bomb atomowych. Jednak nie martw się, naprawdę nie zamierzam tego użyć. Mamy kilka bardziej racjonalnych możliwości. Przeprowadzimy parę doświadczeń i zobaczymy, która jest najskuteczniejsza.

– Ile to potrwa? – Zabrzmiało to bardziej dziecinnie i naiwnie, niżby chciała.

– Nie wiem, ponieważ jeszcze nie zdecydowałem, jaki rodzaj napędu wypróbować. Potrzebuję...

– ...więcej informacji – dokończyła ze zniechęceniem. – Tak, wiem.

– Wszystko zawsze kosztuje za dużo i trwa za długo. Musisz się do tego przyzwyczać.

* * *

Szli wzdłuż ogrodzenia oddzielającego pałac kapitana od reszty miasta. Od frontu, gdzie wspaniała fasada spoglądała na bulwar Walton, był wielki, otwarty, brukowany plac, na którym ludzie dwa razy w tygodniu mogli oglądać paradujących gwardzistów i marines. Jednak nieco dalej ogrodzenie zastępował wysoki kamienny mur, zasłaniający pałacowe ogrody przed oczami przechodniów. Na jego szczycie rosła ogniówka – przypominający kaskadę piany kolczasty szkarłatno-pomarańczowy krzew, którego kolce zawierały zabójczą dla ludzi truciznę. Kamienny mur był tak gruby, że większość telepatów nie była w stanie wyczuć, co się za nim dzieje. Mod-ptaki podniebnego patrolu gwardii pałacowej nieustannie krążyły nad pałacem, nie pozwalając innym mod-ptakom podlatywać bliżej i pokazywać ciekawskim obywatelom swawoli, które – jak głosiły plotki – kapitańska rodzina wyprawiała pod starannie przyszyronymi krzakami, przy ogrodowych sadzawkach i na cienistych polanach.

Aleja Mayborne biegła wokół pałacu tuż przy tym murze: szeroka ulica obsadzona wiecznie niebieskimi drzewami procilla, z eleganckimi kamiennymi willami po drugiej stronie; zgodnie z prawem tylko jednopiętrowymi, żeby nie można było zajrzeć z nich za mur. Tę aleję specjalnie zaprojektowano tak szeroką, aby każdy zatrzymujący się przykuwał uwagę.

Mżyło, gdy Nigel i Kysandra zaczęli iść chodnikiem po tej stronie, przy której stały wille. Niegdyś zostały one zbudowane przez arystokratyczne rodziny i bogatych kupców rozpaczliwie usiłujących zbliżyć się do kapitańskiego dworu. Jednak prawo ograniczające

wysokość budynków nie pozwalało wznieść przy tej alei żadnej naprawdę wspaniałej rezydencji, tak więc z czasem wiele z nich zaczęło pełnić rolę apartamentów dla będących w łaskach dworzan; mówiono, że kilka z nich jest obecnie rezydencjami zarezerwowanymi dla licznych kochanek kapitana, a pozostałe stały się prestiżowymi siedzibami biur różnych kompanii, firm prawniczych, banków i towarzystw dobroczynnych pod jego hojnym patronatem.

Przystanęli przed jednym z takich domów z żółtego piaskowca poszarzałego ze starości i pokrytego pajęczyną niezliczonych pęknięć i szpar. Mosiężna tabliczka obok frontowych drzwi głosiła: Towarzystwo Ochrony Bibliografii Uniwersytetu Varlańskiego. Używając teka, Nigel zadzwonił do drzwi.

Recepcjonistka z osłoną nie dość silną, żeby ukryć protekcyjnalne zadęcie, zaprowadziła ich do poczekalni na parterze. Ta wizyta była tak rutynowa, taka przewidywalna. Prowincjonalni nuworysze szukający kontaktu – jakiegokolwiek kontaktu – z kapitańskim dworem. Wpłacenie sporej dotacji na rzecz jednego z towarzystw dobroczynnych pod patronem kapitana było początkiem długiej drogi do zaakceptowania przez śmietankę towarzyską Varlanu.

Kazawszy im czekać pół godziny, recepcjonistka zaprowadziła ich do gabinetu na piętrze. Pod ścianami kwadratowego pokoju stały sięgające sufitu regały zapchane książkami. Jedynym wyłomem było okno wychodzące na aleję Mayborne. Przed nim stało szerokie biurko z jasnego drewna, poczerniałego ze starości. Coulan wstał z fotela, żeby uściskać i ucałować Kysandrę.

– Wspaniale wyglądasz – powiedziała mu. Istotnie wyglądał nieźle, z konserwatywnie krótko ściętymi i nawilżonymi żelem włosami, w białej koszuli i krawacie koloru fuksji. Marynarka czarnego jak węgiel garnitur wisiała na oparciu fotela. – Jak prawdziwy urzędnik.

– Naprawdę? Chcesz powiedzieć, że wyglądam na znudzonego, biednego i udęczonego?

– Nie jest tak źle.

– Brakowało mi cię – powiedział.

– Ładnie – mruknął Nigel, siadając. – Mamy dla ciebie dużo plików do przejrzenia. Przede wszystkim jednak poczyniliśmy postępy z badaniami Upadłych; okazuje się, że to paskudny rodzaj nano, stworzony do podboju planet.

– Fascynujące. Cóż, ja zaś nawiązałem wiele cennych kontaktów w Varlanie, niektóre aktywowałem.

– Aktywowałeś? – spytała Kysandra.

– Zdominowałem – rzekł Coulan. – Muszę polegać na kluczowych osobach, a nie tylko liczyć na to, że zrobią, o co poproszę.

– Och. – Spuściła oczy, wbijając wzrok w deski podłogi.

– Po odtruciu umieściłem Bethaneve w urzędzie podatkowym – ciągnął Coulan. – Podlega jej kilku innych naszych ludzi, więc nie będą cię nękać inspektorzy skarbowi.

– Miło mi to słyszeć – rzekł Nigel. – Co jeszcze?

– Paru polityków Obywatelskiego Świtu w Radzie Narodowej chętnie przyjęło dotacje na kampanię; zawsze są ostre przepychanki wewnątrzpartyjne o podział mandatów. Teoretycznie żyjemy w demokratycznym państwie, choć w rzeczywistości jest to ustrój jednopartyjny: Obywatelski Świt to jedyna licząca się partia. Jest kilka opozycyjnych, ale to przypadkowa zbieranina mająca kilka dzielnicowych mandatów, którymi nikt się nie przejmuje, nawet wyborcy. Nawijuję kontakty z ugrupowaniem radykałów, jakiegokolwiek tam ono jest, ale muszę zachować ostrożność; oni wszyscy są tyleż podejrzliwi, co oddani sprawie. Myślę jednak, że znalazłem sposób, żeby mnie zaakceptowali.

– Seks? – domyślił się Nigel.

– Jak zwykle: odwieczny słaby punkt człowieka. Drugim powodem mojej wyjątkowej ostrożności jest to, że policja kapitanatu jest zaskakująco kompetentna. Monitorują wszelką opozycję, każdego, kto może stać się realnym zagrożeniem, a nawet tylko zaczyna cieszyć się popularnością. Jeśli chcesz zająć się tu polityką, zapisujesz się do Obywatelskiego Świtu i przez następne sto lat pnieś się po szczeblach bardzo zdradliwej drabiny. Poza politykami mam swoich ludzi w bankach, a nawet w kilku regimentach. Wydawcy gazetek zawsze chętnie wymieniają się plotkami, dobrze uzupełniając dziesięciu szeryfów, którzy za opłatą przesyłają mi poufne informacje. Ponadto staram się wytypować odpowiednich ludzi w policji kapitanatu, ale tych trzeba będzie zdominować. Nie ufam skuteczności innych sposobów; oni wszyscy fanatycznie starają się zachować istniejący porządek.

– Wygląda na to, że poczyniłeś postępy – powiedział Nigel.

– Dziękuję. Och, i nigdy nie zgadniesz, kto właśnie pojawił się w mieście.

– Masz rację. Nie będę zgadywał.

– Kapitan Slvasta.

Uśmiech Nigela był zdecydowanie przebiegły.

– Kapitan, co?

– Tak. Awansowali go i wykopali do Połączonej Rady Regimentów, gdzie biurokracja skutecznie ugasi cały ten jego płomienny młodzieńczy entuzjazm.

– Biedny chłopak. Możemy go wykorzystać?

– Jest na mojej liście kandydatów.

– W porządku. Co z pałacem?

Nigel ruchem głowy pokazał mur po drugiej stronie alei Mayborne.

– Tu mamy prawdziwy postęp.

U-adiunkt Kysandry zameldował, że Coulan wysłał plik. Był to zapis sztucznego busalora, zsyntetyzowanego przez „Gwiazdną Damę”. Coulan potrzebował tygodnia, żeby wprowadzić ten zwinny mały dron do pałacowych ogrodów. Siedział w swoim gabinecie Towarzystwa Ochrony, gdy sztuczny gryzoń węszył wzdłuż muru, szukając pęknięć. W końcu znalazł jedno dostatecznie głębokie i wśliznął się do niego, po czym zaczął szarpać pazurami zaprawę, po paru dniach wykopał sobie tunel i dostał się do ogrodu.

– To prawda, co mówią o rodzinie kapitana – stwierdził poważnie Coulan. – Przez trzy dni krążyłem po ogrodzie. Powiem wam, że to miejsce wielu wyuzdanych nocnych zabaw.

– Powinniśmy je zarejestrować – rzekł Nigel. – Nic tak nie psuje reputacji jak skandal. Zawsze możemy w razie potrzeby ujawnić go miastu.

– Dziś wieczorem wyślę następnego busalora.

Plik nadal się odtwarzał, pokazując Kysandrze wnętrze pałacu. Chociaż już widziała fasadę, nie była przygotowana na przepych jego pomieszczeń. Jednak Coulan nie trzymał długo drona nad powierzchnią. Ogromny pałacowy budynek stał na rozległym labiryncie cel, komór i tuneli. Znalazła się w podziemnej sali, wyostrzonymi oczami drona patrząc na przeciwległą ścianę. Ta była wypukła i zrobiona z metalu, który pociemniał ze starości i pokrył się puszystym nalotem zielonych jak sosny glonów. Na środku znajdowały się drzwi, duże i owalne, z dziwnym kołnierzem rozerwanego metalu i czegoś wyglądającego jak luźno zwisające gumowe strzępy.

– Czy to tekplastik? – spytała. „Gwiezdna Dama” rzadko używała tej substancji, lecz w świeżo implantowanych wspomnieniach Kysandry były o niej setki wzmianek.

– Tak – potwierdził Nigel.

– A zatem...

– Sądząc po wyglądzie, moduł ładunkowy.

– Zgadza się – potwierdził Coulan. – Znalazłem jeszcze jedenaście takich pod pałacem. Dron zdołał dostać się do jednego z nich. Moduł został całkowicie opróżniony. Usunięto nawet część ścian.

– Przydatny materiał – mruknął Nigel. – Zapewne podtrzymuje dach rezydencji jakiegoś arystokraty.

– Istotnie. Potem, dwa tygodnie temu, znalazłem to.

Pojawił się obraz innej dużej komory, tym razem owalnej z żebrowanym sufitem. Zawierała wielki elipsoidalny obiekt złożony z gładkich heksagonalnych paneli i stojący na swoim szerszym końcu, podtrzymywany murowanymi wspornikami z cegieł. Metalowe rozpory sterczące spomiędzy paneli wyglądały na odłamane. Płatanina przewodów i rur tworzyła poszarpaną pajęczynę wokół obiektu. Sześć grubych rur wychodziło z paneli wokół jego węższego końca, wyciągając się w górę i prawie dotykając wygiętego sklepienia komory.

– Trochę to trwało, ale dron w końcu dostał się do środka; niektóre rury były niedrożne – powiedział z dumą Coulan.

Obraz przybrał przedziwne, błękitno-czarne barwy. Trudno było ocenić skalę, a wnętrze obiektu wypełniał gąszcz rozpór, przewodów i rur, w którym trudno było rozróżnić szczegóły. Równe wiązki elektromięśni wychodziły z różnych mechanizmów, zalegając gładkimi splotami lub bezwładnie zwisając nad ciemnymi otworami, jakby na krótko przeszły w stan półpłynny, a zaraz potem znów się zestaliły. W kołyskach uchwytów spoczywały jakieś niewyraźnie widoczne przedmioty: kuliste, cylindryczne, owalne...

– Zatrzymaj – rozkazał Nigel.

Dron zatrzymał obraz na długim cylindrze, z przewężeniem na środku i grzybkowato rozszerzonym końcem.

– Jasna cholera – szepnął Nigel. Jego wargi rozchyliły się w krzywym uśmiechu.

– Też tak uważam – rzekł Coulan.

Kysandra miała ochotę na nich krzyknąć, ale za dobrze zdążyła już ich poznać.

– To wszystko zmienia – powiedział Nigel. – Musimy się tam dostać. Są mi potrzebne.

– To niemożliwe – powiedział Coulan. – A przynajmniej niełatwe.

– Mógłbym grzecznie poprosić.

– Bawiąc w stolicy, dobrze poznałem arystokrację Varlanu: jest konserwatywna i szybko stacza się po równi pochyłej dekadencji. Wyobrażasz sobie skutki? Cześć, kapitanie Philious, jestem ze Wspólnoty. Wiem znacznie więcej niż wy, więc po prostu dajcie mi to, czego potrzebuję, a ja postaram się wydostać stąd was wszystkich do wszechświata, w którym nie będziesz miał tylu bogactw i władzy, a będziesz takim samym obywatelem jak każdy.

– Taak – mruknął Nigel i podrapał się po głowie. – Zatem zbierzemy zespół superprzestępców i wykonamy włam tysiąclecia. – Uśmiechnął się. – W końcu coś, co będzie mogło rywalizować z Wielkim Napadem na Wormhol w 2243 roku. Bardzo chciałbym zobaczyć minę Ozziego, kiedy o tym usłyszy.

– Wprowadzenie do tej komory siedmiocentymetrowego drona zajęło mi prawie trzy tygodnie. Tego pałacu przez cały czas pilnuje około stu strażników. Koszary marines znajdują się pięć minut drogi od niego. A policja kapitanatu to nie idioci i nieroby. Nie wiem, jak moglibyśmy się choćby dostać do tej komory, nie mówiąc o przeniesieniu ich przez pałac i na „Gwiezdną Damę”.

– Zatem będziemy musieli pozbyć się strażników, marines i policji.

– I narobić takiego zamieszania, żeby nikt nie zauważył, jak w biały dzień przewozimy je po bulwarze Walton.

– Do diabła, chyba tak. W tym momencie nie mamy wielu możliwości.

Kysandra się poddała.

– No dobrze, wy dwaj! Co to takiego, do cholery?

Nigel obrócił się do niej z miną choć raz zdradzającą szczery entuzjizm.

– To zbrojownia „Vermilliona”.

KSIĘGA SZÓSTA

Ci, którzy się wnoszą

JEDEN

Chociaż poprzysiągł sobie nie wracać, Slvasta cieszył się ponownym spotkaniem z dawnymi kolegami z regimentu. Pojechał do Cham dziesięć dni po zawarciu umowy z Nigelem i powrocie do Varlanu. Napisał do niego sierżant Yannrith, prosząc, żeby zaświadczył o charakterze szeregowego Tovakara. Ten miał stanąć przed sądem polowym, wyjaśniał list Yannritha: zbyt wiele zarzutów pijaństwa i bałaganiarstwa. Oskarżycielem miała być major Rachelle. W razie uznania za winnego Tovakar zostanie wydany z regimentu i pozbawiony prawa do emerytury.

Fakt, że oskarżała major Rachelle, w znacznym stopniu wpłynął na decyzję Slvasty. A także niesprawiedliwość. Tovakar nie był święty, ale pozbawić emerytury żołnierza, człowieka, który stawiał czoło straszliwemu niebezpieczeństwu, żeby zapewnić bezpieczeństwo swoim współobywatelom – no cóż, właśnie z tym Jedność Demokratyczna oraz ich podziemna organizacja walczyły w Varlanie.

Jego przyjazd wywołał poruszenie. Nawet prowincjonalne Cham słyszało o bohaterze z placu Eynsham i życzliwie spoglądało na swojego sławnego syna. Aczkolwiek ostatecznie niczego to nie zmieniło. Slvasta w swoim zeznaniu odwoływał się do uczuć; Rachelle szermowała zimną logiką i wcześniejszym prawnym precedensem. Tovakar został wyrzucony z regimentu bez prawa do świadczeń.

Po procesie Slvasta nawet nie miał ochoty zadawać subtelnych pytań werbowanemu, ale przyzwyczajenie i podejrzliwość mimo to kazały mu je zadać. Tym razem nie chroniła go anonimowość i Uracus wie, jak wściekła byłaby na niego Bethaneve za takie naruszenie zasad bezpieczeństwa. Jednak Tovakar był po prostu idealnym kandydatem do ich organizacji, więc Slvasta zaproponował mu, żeby pojechał z nim do Varlanu i pomógł Jedności Demokratycznej w pewnych politycznie korzystnych zadaniach. Tovakar nie wahał się ani chwili, co dało Slvaście do myślenia. Szeregowiec byłby niezwykle użyteczny, gdyby w końcu (Giu broń) doszło do użycia broni, którą Nigel zgodził się dostarczyć. Na razie do ich organizacji trafiło niewielu byłych żołnierzy regimentów i naprawdę przyda im się ktoś mający bojowe doświadczenie. Na swój sposób Tovakar był bezsprzecznie lojalny i można było na nim polegać.

Tak więc Slvasta poszedł rozmówić się z Andriceą, a następnie z sierżantem Yannrithem. Pomogło mu to, że czas, jaki upłynął od jego odejścia, nie był najszcześniejszym okresem dla regimentu Cham. To prawda, już nie zabierali modów na poszukiwania, ale większość innych zmian, które wprowadził, po cichu zarzucono. Było jeszcze więcej oficerów pochodzących ze

szlacheckich rodów – młodszych synów i córek niemających żadnych dochodów z rodzinnych posiadłości i postrzegających regiment wyłącznie jako drogę do zachowania dotychczasowego trybu życia. Ich apanaże zmniejszyły liczbę szeregowych żołnierzy. Brygadier Venize wycofywał się z aktywnego dowodzenia regimentem, a major Rachelle stopniowo zastępowała go we wszystkim. Tak więc kiedy złożył tę propozycję Yannrithowi i Andricei, razem z nim i Tovakarem wsiedli do pociągu, którym wracał do Varlanu.

Okazało się to najmądrzejszą decyzją werbunkową, jaką podjął. Nawet Bethaneve to przyznała. W końcu.

* * *

Jak zawsze ostatnimi czasy, Yannrith, Andricea i Tovakar stali z nim na nabrzeżu w ponury i ciemny varlański wieczór, czekając, aż pyrkający prom przepłynie Colbal. Padał uporczywy deszcz z bezkształtnych szarych chmur tworzących zwarte sklepienie nad miastem. Mimo deszczu Slvasta się pocił. Pod płaszczem miał kuloodporną kamizelkę z drojedwabiu. Bethaneve nalegała, żeby stale ją nosił. Jako oficjalny przywódca Jedności Demokratycznej był osobą publiczną, a nie wszyscy go podziwiali. Kamizelka miała go chronić przed niespodziewanym atakiem.

Drojedwab, który pojawił się na rynku osiemnaście miesięcy wcześniej, był zdumiewającym tworzywem z lekko błyszczących nitek, tworzących materiał z pięknym efektem mory. Ponadto był fantastycznie wytrzymały: dotychczas na Bienvenido nie było czegoś takiego. Na początku damy z towarzystwa szyły sobie z niego modne suknie. Wkrótce jednak fabryczne krosna zaczęły tkąć gęściejsze sploty, wystarczająco mocne, aby nie przebiło ich żadne ostrze. Ta naprawdę gruba tkanina miała być kuloodporna. Wszyscy chcieli mieć ubrania z tego materiału, który po raz pierwszy pojawił się w okręgu Gretz. Slvasta był lekko zaniepokojony, dowiedziawszy się, że drojedwab pochodzi z modów. Jakaś stajnia adaptatorów stworzyła coś, co nazwano mod-pajakiem, który produkował te nici. Pajak, nie większy od ludzkiej dłoni, był kompletnie nieszkodliwy. Ten fakt mógł trochę skomplikować antyneutową politykę Slvasty. Drojedwab stawał się ważnym artykułem powszechnej potrzeby, co pomagało gospodarce miasta, kulejącej po wyeliminowaniu modów. Jedność Demokratyczna nie mogła sobie pozwolić na przeciwstawianie się temu; tkanie i przetwarzanie bel materiału na ubrania zapewniało wiele miejsc pracy. Parę dawnych stajni adaptatorów w stolicy już sprowadziło mod-pajaki, przystosowując dla nich pomieszczenia, i nikt przeciwko temu nie protestował. Slvasta uważał to za niebezpieczny wyłom, ale Coulan poradził mu, żeby nic nie mówił i nie spieszył się z poruszaniem tego problemu.

Pomimo nieustannie padającego deszczu doki pracowały jak zwykle. Handel, ten mechanizm napędowy stolicy, mocno kulał w tych czasach ekonomicznego kryzysu, więc nie pozwalano, by zwykły deszcz zatrzymał przepływ towarów. Na każdej przystani roilo się od dokerów siłą mięśni i teka ładujących i wyładowujących fracht z niezliczonych statków – od

dużych trójmasztowych pełnooceanicznych kliprów przycumowanych burtami do najdłuższych nabrzeży, po solidne barki rzeczne, kutry z ładowniami pełnymi połowów i parowe promy kilka razy dziennie przepływające rzekę z ładunkami przewożonymi z dworca Willesden. Do niektórych przystani były przywiązane wielkie tratwy spławione rzeką z górzystych terenów na wschodzie, a napędzane parowymi silnikami dźwigi podnosiły grube pnie i ładowały je na wozy. Na całym nabrzeżu nie było ani jednej mod-małpy, już nie. Konie ciągnęły wyładowane drewnem wozy, lecz były to ziemskie zwierzęta, a nie modyfikowane.

Teraz rzadko można było zobaczyć jakiegoś moda. Szeryfowie (i policja kapitana) nadal używali mod-ptaków krążących w prądach termicznych nad Varlanem i mających na oku znanych i podejrzanych recydywistów; a plotka głosiła, że w wielu arystokratycznych siedzibach wciąż trzymano mod-małpy jako służbę za grubymi, nieprzepuszczalnymi telepatycznie murami. Jednak czasy złożonych z modów magistrackich ekip sprzątających ulice lub wykonujących najcięższe prace na budowach bezpowrotnie minęły. Nawet doróżki były zaprzężone w ziemskie konie i podniosły opłaty, żeby zrekompensować wydatki na nowe i kosztowne w utrzymaniu zwierzęta.

Jedność Demokratyczna jechała na fali popularności zdobytej u bezrobotnych i w kilkudziesięciu miastach powstały jej nowe oddziały. Nawet przed miesiącem odbył się jej pierwszy zjazd, na którym oficjalnie uchwalono strategię na zbliżające się wybory. Jako demokratycznie wybrany przywódca tej partii Slvasta był teraz łatwo rozpoznawalną postacią w całym mieście. Zatem stojąc w cieniu dużego magazynu na końcu przystani Sieberta, umiarkowanym maskowaniem przeciwdziałał ewentualnemu telepatycznemu podglądowi, trzymając twarz w cieniu rzucanym przez szerokie rondo przeciwdeszczowego kapelusza. Obszerny szary płaszcz skrywał brak jednej ręki. Nikt z pracujących na nabrzeżu nie zwracał na niego uwagi, tak więc pozostawał całkowicie anonimowy w tej najbardziej ruchliwej dzielnicy Varlanu.

We czwórkę w milczeniu patrzyli, jak prom „Elmar” zgodnie z rozkładem przybija do przystani. Slvasta telepatycznie obejrzał tłum pasażerów kulących się pod rozpiętym na śródkręciu daszkiem. Był to przykry obowiązek, ale nie narzekał. Od kiedy wrócił z farmy Blairów, niemal co dziesięć dni otrzymywali dostawy od Nigela. Odbierali je Slvasta, Bethaneve, Coulan lub Javier – nie, żeby nikomu innemu nie ufali, ale...

Russell stał bliżej rufy promu, gdzie wiatr wpychał pod skraj daszka sporo deszczu. Jak większość mieszkańców Varlanu tego dnia, miał na sobie długą ciemną pelerynę śliską od deszczu, a teka chroniła jego twarz i włosy przed największymi kroplami. Jedna jego dłoń spoczywała na rączce dużego kufra okutego mosiężnymi pasami i mającego kółka na spodzie.

– Przygotujcie się – powiedział Slvasta.

Andricea i Tovakar rozeszli się w przeciwne strony, wtapiając się w tłum przechodzących po szerokiej nabrzeżnej drodze. Telepatycznie rozglądali się wokół, szukając czegoś, co odbiegałoby od normy i sugerowało obecność policji. Sam Slvasta obserwował deszczowe niebo, wypatrując mod-ptaków. Russell dołączył do kolejki ludzi schodzących na ląd po

trapie, idąc miarowym krokiem i ciągnąc za sobą kufer. Nierzucająca się w oczy postać, niewyróżniająca się spośród innych pasażerów promu w ten deszczowy wieczór. Gdy dotarł na koniec przystani, ruszył prosto do magazynu. Slvasta i Yannrith wrócili na plac załadunkowy, który tymczasowo wypożyczyli – dzięki uprzejmości związku dokerów – a na którym czekała dorożka. Russell podtoczył kufer do jej drzwi. Lekkim maskowaniem zapobiegał telepatycznemu oglądowi wnętrza przez jakiegoś ciekawskiego. Yannrith już był w dorożce; wychylił się i złapał kufer. Slvasta jedną ręką i teka pomógł Russellowi podnieść kufer i wstawić do środka. Skrzynia była bardzo ciężka, jednak we trzech zdołali dość szybko umieścić ją na podłodze dorożki.

– W piątek za dwa tygodnie – powiedział Russell. – Wtedy będzie to głównie amunicja. Przyplynie na promie „Compton” o piątej trzydzieści pięć.

– Ktoś z nas tu będzie – zapewnił go Slvasta.

Wspiął się na kozioł i posłał koniowi polecenie.

Russell odszedł w wieczorny mrok, a dorożka wyjechała z placu załadunkowego. Po stu metrach Slvasta zatrzymał się i zaczekał, aż wsiądą Andricea i Yannrith, który osłaniał ich silnym maskowaniem. Niecałą minutę później Tovakar przyszedł i usiadł na koźle obok Slvasty. Ten znów kazał koniowi ruszać i dorożka nabrała prędkości.

* * *

Wchodząc do Wschodniego Folwich, Bethaneve umiarkowanie mocną teka osłaniała się przed deszczem. Brzydka pogoda przegoniła większość ludzi z ulic Varlanu, co było niepożądanym obrotem spraw. Uliczny ruch był użyteczną osłoną podczas wykonywania zadań.

Nie tego wieczoru. Tak więc kiedy spotkała Coulana, musieli wejść do kawiarenki kilka przecznic od Instytutu Badania Upadłych. Stojąc na zewnątrz w deszczu, budziłoby podejrzenia. Kawiarenka była dość przyjemna, a herbata i ciastka, które zamówili, doskonałe – mimo że cena wyraźnie świadczyła, że jest się we Wschodnim Folwich.

Piła trzecią filiżankę i zerknęła na jedną z czekoladowych babeczek. Plasterki świeżych truskawek na wierzchu sprawiały, że wyglądała szczególnie apetycznie.

– Wiesz, że masz na nią ochotę – zakpił Coulan.

– Nie kuś. I tak przybieram na wadze. Po całych dniach tylko siedzę. I jem. Kto wiedział, że od rewolucji się tyje?

– Głupstwa opowiadasz. Wyglądasz równie atrakcyjnie, jak kiedy się poznaliśmy.

– A podobno mieliśmy zawsze mówić prawdę.

– Niewinne kłamstwo się nie liczy.

– Zatem jestem gruba?

– Przestań. Zawsze byłaś spryciarą. Jeśli nie chcesz tej babeczki, to ja ją zjem.

Sięgnął po nią.

– Zabieraj łapy! – Jej uśmiech zgasł, gdy mod-ptak zauważył powóz. – Nadjeżdża – ostrzegła Coulana.

Nisko wiszące chmury i pasy mgły były dobrą osłoną dla mod-ptaka. Leciał wysoko nad Wschodnim Folwich, szybko przemykając z jednego pasa mgły w drugi. Pomiędzy nimi bystrymi oczami oglądał mokre ulice i dachy, dostarczając nieustannie przesyłany – lecz bezpieczny – obraz. Ten mod-ptak należał do komórki dziewiątego poziomu i Bethaneve uważała go za nieocenioną pomoc w każdej operacji wymagającej takich obserwacji. Nie powiedziała Slvaście, że używa moda. Jego obsesja nie uznawała wyjątków, nawet dla niej.

We dwoje siedzieli przy stoliku nad czekoladową babeczką, odbierając przekaz mod-ptaka. Spojrzeli przez szarą kurtynę deszczu i zobaczyli długi czarny powóz ciągnięty przez ziemskiego konia i zbliżający się do otoczonego murem sanktuarium Instytutu Badania Upadłych. Zatrzymał się, a gdy otworzono zewnętrzne drzwi, wjechał do tunelu łączącego obie bramy wartowni.

– Rozumiem, że muszą być nadzwyczaj ostrożni, aby zapobiec ucieczce Upadłych – wysłała prywatny przekaz Coulanowi. – I cieszę się, że są. Jednak to wejście będzie poważnym problemem, jeśli kiedyś zechcemy się dostać do środka.

– Zależy kiedy zamierzasz się tam dostać – odparł Coulan. – Jeżeli chcesz się tam wślizgnąć na zwiady teraz, to owszem. Kiedy jednak zacznie się rewolucja, parę dobrze umieszczonych ładunków wybuchowych z łatwością rozerwie zawiasy.

– Bezpośredni atak. Podoba mi się.

Bethaneve pozwoliła, by odrobina podziwu wydostała się przez jej osłonę. Chociaż tak dobrze go znała, Coulan czasem potrafił ją zaskoczyć.

Wysyłanie mod-ptaka nad instytut było ryzykowne. Tamtejszy personel był bardzo czujny. Tak więc Bethaneve odliczyła minutę, aby pojazd zdążył minąć wewnętrzną bramę i wjechać na dziedziniec, po czym wysłała mod-ptaka na pierwszy przelot.

Pojazd zatrzymał się na środku pustego dziedzińca. Dwaj mężczyźni pomagali komuś wsiąść. Miał na głowie kaptur i skute ręce. Poruszał się niezdarne, jakby każdy ruch sprawiał mu ból.

– Tam – powiedziała. – Widzisz? Jakiś więzień.

– To oczywiste.

– Tylko dlaczego? Nie rozumiem, po co go tu przywieźli. Zwróciło to jej uwagę parę miesięcy temu, gdy Trevene schwytał kolejnych członków organizacji. Jej doborowi ludzie obserwowali budynek przy Grosvner Place pięćdziesiąt osiem, sprawdzając, czy ich towarzysze są zabierani do kopalń Pidrui. Wielu trzeba będzie uwolnić z tego straszego miejsca, jak tylko wyzwolą Bienvenido. Jej agenci meldowali o czymś zupełnie innym i dziwnym, więc zarządziła stałą i dyskretną obserwację. Raz po raz, co dwa lub trzy tygodnie (w nieregularnych odstępach czasu) maskowany powóz z (prawdopodobnie) więźniem jechał przez pół miasta, z budynku przy Grosvner Place pięćdziesiąt osiem do Instytutu Badania Upadłych, po czym wracał pusty.

– Co ich łączy? – zapytała. – Co ma wspólnego Trevene, niech go weźmie Uracus, z największą bandą bezużytecznych jajogłowych na tej planecie?

– Nie mam zielonego pojęcia. Teraz jednak rozumiem twoją obsesyjną chęć dostania się do instytutu.

– To nie obsesja. Musisz przyznać, że to dziwne...

Mod-ptak zakończył przelot nad dziedzińcem i skręcał w najbliższe pasmo mgły. Obrócił przy tym łeb i wysłał ostatni obraz instytutu. Jakiś człowiek wyłonił się z budynku i szedł w kierunku więźnia.

Bethaneve zeszywniała. Potem zaczęła się trząść.

– Bethaneve? – zapytał z troską Coulan. – Bethaneve, co się stało?

Maksymalnie wzmocniła swoją osłonę. Nienawidząc się za tę słabość. Wiedząc, że chociaż ukryła swoje myśli, jej twarz wykrzywia grymas. Obawiając się, że łzy zaraz popłyną jej po policzkach.

– Bethaneve, na miłość Giu...

– To on – szepnęła. – Pierwszy oficer.

Obiema rękami chwyciła krawędź stolika i mocno ścisnęła.

– O co chodzi?

– Ha! Ty wiesz, co on robi ludziom.

– Tak i dlatego jest wraz z Trevene'em na szczycie naszej listy tych, z którymi rozprawimy się zaraz po obaleniu kapitana. Zajmiemy się nim.

Bethaneve nie podobał się sposób, w jaki Coulan na nią patrzył, jego zaciekawienie. Pojawienie się Aothoriego było tak niespodziewane i zaskoczyło ją.

– Tylko dlaczego jest tutaj? Dlaczego jest zamieszany w to dziwne przewożenie więźniów?

Była to dość żalosna próba odwrócenia uwagi. Jednak Coulan przynajmniej udawał, że zastanawia się nad tym pytaniem.

– Aothori lubi przesłuchiwać – odparł powoli. – Wiemy, że często pojawia się w tym celu przy Grosvner Place. Może więc w instytucie są prowadzone dalsze przesłuchania.

– Dlaczego? Co oni mogą tu mieć takiego, czego dranie Trevene'a nie mają w swoich lochach?

– Nie wiem. To nie jest kwestia, nad którą warto się zastanawiać.

– Uracusic!

– Dokąd są zabierani więźniowie z instytutu? – spytał Coulan. – Czy do kopalń Pidruji?

Bethaneve starała się skupić i wziąć w garść.

– Nie wiem. Nie obserwowaliśmy, dokąd ich wywożą.

– Zatem musimy to zrobić. Dowiedzieć się, dokąd wysyłają naszych towarzyszy. Kiedy się tego dowiemy, będziemy mogli ich ocalić, jak tylko pozbędziemy się kapitana. I pierwszego oficera – dodał po chwili.

– Tak. Tak, masz rację. Zajmę się tym.

– Dobrze. – Podsunął jej czekoladowa babeczkę. – Jesteś ich jedyną nadzieją, Bethaneve. Nie zawiedź ich.

– Nie zawiodę.

– Zatem dobrze. Lepiej już wracajmy. Chcę się dowiedzieć, jak przebiegła ostatnia dostawa.

– Jest z nimi Andricea – powiedziała, nie starając się ukrywać dezaprobaty. – Jestem pewna, że ona dopilnuje, aby wszystko poszło doskonale.

Wbiła zęby w babeczkę.

* * *

Mod-ptak Andricei krążył po niebie, obserwując powóz, gdy Slvasta prowadził go krętą trasą przez Varlan. Miał mocno mieszane odczucia odnośnie do używania mod-ptaka, lecz ten od swych narodzin był z Andriceą. Zatrzymanie go było warunkiem jej przyjazdu do Varlanu – bardzo stanowczo postawionym. Pocieszał się myślą, że gdyby coś poszło źle, mod-ptak nie byłby w stanie wyrządzić takich szkód jak mod-małpa, a w każdym razie cholernie dobrze było mieć obserwatora na niebie. Policja kapitana jeszcze nie przechwyciła żadnego transportu, ale wiedział, że Trevene podejrzewa, iż komórki organizacji mają dostęp do broni. Kilku aktywistów wyjeżdżało z miasta na szkolenie z posługiwania się karabinem snajperskim; takiej broni nie wręcza się ludziom tak po prostu, mówiąc, żeby sobie radzili. I niestety – ponieważ ludzka natura jest taka, a nie inna – o tego rodzaju broni nie każdy potrafi milczeć. Kilka chełpliwych słów pod koniec wieczoru w pubie, łożkowe zwierzenia, szepty i aluzje – wszystko to z czasem zmienia się w plotkę. Informatorzy ją wyłapują i przekazują swoim prowadzącym.

A Slvasta wiedział, że to zrobili, ponieważ Trevene wciąż zgarniał i przesłuchiwał kolejnych członków organizacji. Bethaneve nieustannie słała ostrzeżenia poprzez siatkę, zalecając towarzyszom opuszczenie miasta. Była to regularna migracja.

Ale wet za wet. Informatorzy i obserwatorzy Bethaneve równie uważnie pilnowali członków policji kapitana. Ona i Coulan stopniowo utworzyli pełną listę osób, poczynając od Trevene'a, z adresami, powiązaniem rodzinnymi, zwyczajami i dziedzinami działania. Kiedy już ją mieli, Javier zaczął podsuwać subtelne kłamstwa członkom komórek znanym ludziom Trevene'a. Bethaneve nazywała to dezinformacją. Jakkolwiek to zwać, ich wspólne działania ogromnie utrudniły kapitańskiej policji pracę oraz interpretację radykalnej działalności w stolicy.

Gdyby stawka nie była tak wysoka, Slvasta śmiałyby się z tych lustrzanych siatek plotkarzy oraz informatorów krążących po ulicach.

Tak więc mimo znacznych wydatków i wysiłków od czasu zdobycia przez Jedność Demokratyczną mandatów w Nalani policja kapitana nadal nie przechwyciła żadnego transportu broni ani nie odkryła żadnego jej magazynu. A Slvasta zamierzał utrzymać ten stan rzeczy. Wolał nie myśleć, jaka byłaby reakcja Trevene'a, gdyby ten odkrył taką skrytkę.

Zachował ostrożność, przez półtorej godziny krążąc po bulwarach, alejach i bocznych uliczkach Varlanu, aż w dzielnicy Winchester na zachodnim krańcu miasta skręcił w ulicę Prout na kolejnym skrzyżowaniu. Była to dość szacowna okolica, z długimi rzędami tarasowatych domów, już dawno podzielonych na mniejsze mieszkania. Mimo to były tu jeszcze wolno stojące wille i parki oraz przemysł lekki, który nie wypuszczał ścieków do przepływających tamtędy uregulowanych rzek.

– Podatki biednych – przesłał Slvasta częściowo maskującemu się mężczyźnie stojącemu na krawężniku za skrzyżowaniem.

– Opłacają bogatych – nadał w odpowiedzi mężczyzna.

– Czysto?

– Tak. Nikogo nieznanego, przez dwa ostatnie dni nikt nie wykazywał zainteresowania. Żadnych modów w pobliżu. Wjeżdżajcie.

– Dzięki.

Slvasta telepatycznie prowadził powóz po wyboistym bruku Prout. Przy uparcie wiszących na niebie deszczowych chmurach blask mgławic nie oświetlał tej nocy miasta, a latarnie uliczne nie były tu zapalane od roku, tak więc na ulicy zalegał gęsty mrok. Powóz podjechał do szerokiej drewnianej bramy wjazdowej starej fabryki wyrobów skórzanych, a dwóch członków komórki siódmego poziomu otworzyło jej odrzwia.

Fabryka miała ponad trzysta lat i obecnie czekała na remont. Jej właściciele przewieźli kadzie, prasy i krajalnice do nowej lokalizacji trzy przecznice dalej, gdy pęknięcia i wyrzuczenia pociemniałych ceglanych murów stały się zbyt widoczne, żeby je ignorować. Natychmiast wprowadzili się tam dzicy lokatorzy. Z początku były to rodziny chcące się wydostać z Shanties, ale niemogące płacić nawet najskromniejszego czynszu, bezrobotni i chwilowo pozostający bez pracy. Przez ostatni rok to pierwsze pokolenie mieszkańców wyprowadziło się stąd, gdy w całym mieście pojawiło się mnóstwo nowych miejsc pracy, a ich miejsce zajęli ludzie uzależnieni od alkoholu lub narnika, o znacznie nadwątłym zdrowiu psychicznym. Ludzie, których nie obchodziło, kto przyjeżdża tu i odjeżdża po nocach.

Słabe żółte światło migotało w kilku dużych oknach wychodzących na dziedziniec. Brama zamknęła się za powozem, a członkowie komórki wzmocnili maskowanie, ukrywając cały dziedziniec przed telepatyczną percepcją. Siedzący na kozle Slvasta też zwiększył swoje maskowanie, żeby nie wiedzieli, kim jest.

Operacja przebiegła gładko. Tovakar i Yannrith z dwoma członkami komórki nieśli kufer; Andricea szła za nimi, dzieląc swój ogląd ze Slvastą, który został w powozie. Zeszli do łukowato sklepionych piwnic fabryki. Cegły były tu zmurszałe i w kilku miejscach strop się zapadł. Członkowie komórki zaprowadzili przybyłych do szerokiej szczeliny ze stromym ospiskiem po drugiej stronie.

Andricea telepatycznie rozejrzała się po jaskini za tym otworem. Kamienne ściany były stare, śliskie od glonów wciskających się w spoiny każdego z wielkich bloków. W jednej ścianie znajdowały się zwieńczone łukami przejścia, wszystkie zamurowane.

– Co to za podziemia? – zapytała.

– Cokolwiek tu było, wybudowano na tym fabrykę – rzekł jeden z członków komórki. – W tym miejscu budowano od dwóch tysięcy lat.

Kamienie w jednym z przejść runęły, pozostawiając otwór, przez który dało się przepchnąć skrzynię. Po drugiej stronie były kamienne stopnie wiodące w głąb owalnego szybu wykutego w litej skale. Zanim Andricea dotarła na dół, dzieliła ich tak gruba warstwa skał i kamieni, że przesyłany przez nią obraz stał się niewyraźny i Slvasta ledwie coś widział. Grupka ze skrzynią przechodziła przez szereg komnat. Były w nich porzucone puste skrzynie i beczki, zbutwiałe i rozsypujące się. Wszystko pokrywała gruba warstwa ziarnistego pyłu, ale powietrze było idealnie suche.

Andricea musiała często używać teka, żeby nie wpuszczać kurzu do nosa i ust. Kufer postawiono na ziemi i Yannrith w końcu przestał go maskować. Wszyscy użyli telepatii, żeby obejrzeć zawartość. W środku było dwadzieścia karabinków o krótkich lufach i po trzy magazynki do każdego, a wszystko zawinięte w naoliwione szmaty.

– Nie otwierajcie skrzyni – powiedziała natychmiast Andricea. – Kurz spieprzy mechanizmy broni.

– Nikt ich nie dotknie – rzekł pierwszy z członków komórki. – Dopilnujemy tego. Tu jest zupełnie bezpieczna.

– Kiedy użyjemy tej broni? – spytał drugi.

– Tego nikt nam nie powiedział – odparł żartobliwie Yannrith. – Jesteśmy tylko chłopcami na posyłki.

– Oby szybko – rzekł pierwszy. – Ten syf trwa już zbyt wiele lat. Ile trzeba, żeby zabić kapitana? Z tymi giwerami to będzie łatwizna.

Gestem posiadacza oparł dłoń o skrzynię.

– Nie chodzi tylko o kapitana – powiedziała Andricea. – Także o wszystkich tych, którzy go popierają.

– I co? Zabijemy ich wszystkich?

– Nie wiem – odparła Andricea. – Może zmusimy ich do myślenia. Kto wie?

– Lepiej żeby jakiś skurwiel to wiedział – rzekł, znacząco spoglądając na Yannritha.

– Racja.

Odprawdzając dorożkę z powrotem do powozowni, Slvasta miał pewność, że broń pozostanie tam nietknięta aż do dnia, gdy będzie potrzebna. Teraz mieli w mieście ponad dwadzieścia takich skrytek. Varlan najwyraźniej zbudowano na labiryncie zapomnianych komór i lochów, których nie było na żadnych planach. Rozmieścili w nich tyleż samo magazynów z amunicją. Taką decyzję podjęli już na samym początku: nigdy nie składować razem broni i amunicji, dopóki nie zostanie przekazana komórkom. Za duża pokusa dla

pilnujących jej ludzi, żeby sprzedać ją dla szybkiego zysku. W końcu Bethaneve raczej nie przeprowadzi audytu. Osobiście Slvasta byłby zadowolony, gdyby osiemdziesiąt procent tej broni dotrwało do godziny próby.

Zwróciwszy dorożkę, poszli każdy w swoją stronę. Teraz domem Slvasty był Jaysfield Terrace – ładny kamienny półksiężyc przy owalnym parku w samym centrum Langley, najbardziej ze wszystkich dzielnic stolicy podobnej do małego miasteczka. Znajdowała się na północno-zachodnich przedmieściach Varlanu, z jej najwyższych budynków było widać porośnięte lasami wzgórze, a tutejsze nieruchomości cieszyły się ogromnym powodzeniem u przedstawicieli klasy średniej, którym podobały się szpalery liściastych drzew, modne sklepy i dobre szkoły. Umieblowany apartament, który wynajmowali Slvasta i Bethaneve, zajmował całe czwarte piętro Jaysfield Terrace numer szesnaście. Ze swymi wysokimi sklepieniami i czterema pokojami był dla nich o wiele za duży.

– Ale niezbędny – żartowała, kiedy się wprowadzali. – Musisz żyć w odpowiedniej dzielnicy, jeśli masz wygrać wybory.

Langley było także okręgiem wyborczym do Rady Narodowej, sięgającym na ponad sześćdziesiąt mil w głąb terenów podmiejskich i obejmującym kilka posiadłości starych rodów oraz wioski ich robotników, jak również kilka zasobnych miasteczek i mniejszych farm. Tutejsi mieszkańcy stanowili szeroki przekrój społeczeństwa, z wieloma właścicielami małych przedsiębiorstw, w większości niezadowolonych z rządu, jego nadmiernej kontroli i restrykcyjnych przepisów faworyzujących ustalony porządek. Pułkownik Gelasis miał rację: był do dla niego idealny okręg wyborczy, w którym mógł rzucić wyzwanie obecnie zasiadającym na stołkach.

Na długim łuku tarasu przed domami były ogródki otoczone żelaznym ogrodzeniem. Wszystkie furtki prowadzące do frontowych drzwi zostały osadzone w żelaznych pergolach z olejowymi lampami w najwyższym punkcie. Niemal połowa z nich była zapalana przez lokatorów zdecydowanych utrzymać standard życia i choć trochę rozjaśnić mrok. Miejskie latarnie po drugiej stronie ulicy pozostawały ciemne. Slvasta spojrzął na donice z kwiatami na schodach numeru szesnaście. Po jednej stronie rósł starannie przystrzyżony krzew laurowy, a po drugiej purpurowy pnący jaśmin. Doniczka z krzewem laurowym stała prawidłowo. Gdyby coś poszło źle, Bethaneve przekreśliłaby ją o ćwierć obrotu zgodnie z ruchem wskazówek zegara – zakładając, że miałyby na to czas. Slvasta od tak dawna musiał się liczyć z możliwością aresztowania lub czegoś gorszego, że już się tym nie przejmował.

Jedynym minusem apartamentu w Jaysfield Terrace z jego eleganckim wystrojem i wspaniałymi widokami było pięć kondygnacji schodów, które musiał pokonać do drzwi. Kiedy w końcu znalazł się w wyłożonym marmurem holu, deszcz już zdążył przemoczyć jego płaszcz, a ubranie było wilgotne i zimne. Trzęsąc się, powiesił płaszcz i zaczął rozpinać kamizelkę z drojedwabiu.

Bethaneve pracowała w jadalni. Zajęła ją na swój gabinet, gdy tylko się wprowadzili; długi stół z twardego drewna na dziesięć osób był idealnym biurkiem, zarzuconym teraz

dokumentami i teczkami. Jasne lampy olejowe paliły się po obu stronach, oświetlając cały pokój. Drzwiczki dla modów były zastawione ciężką szafą o rzeźbionych drzwiach – chociaż w ich apartamencie nie było żadnych modów. Kolejne grube tecki piętrzyły się pod ścianami: dokumentacja rewolucji zapisana jej starannym pismem. Nawet matematyczny umysł Bethaneve nie był w stanie pomieścić wszystkich informacji o komórkach oraz ich działalności. Zapisywała je szyfrem zrozumiałym tylko dla niej; nawet Slvaście nie powiedziała, co oznaczają wszystkie te znaki.

– Ma to chronić komórki na wypadek, gdyby kiedyś nas przesłuchiowano – powiedziała. – Prędeż umrę, niż zdradzę naszych towarzyszy, a ich tożsamość zginie wraz ze mną.

Teraz wprowadzała jakieś obszerne uwagi do szeregu fioletowych teczek. Slvasta przez moment obserwował ją z lekkim niepokojem. Nadal pracowała w urzędzie podatkowym, na stanowisku odpowiednim dla narzeczonej kandydata do Rady Narodowej, co oznaczało, że przez cały dzień tkwiła w swoim obskurnym pokoiku, a potem wracała do domu, żeby znów prowadzić księgi – kiedy się nie narażała, wykonując jakieś tajne operacje. Jak zwykle podziwiał jej poświęcenie i oddanie sprawie. Pomysł był jego, ale ona rozwinęła go w sposób, jakiego nigdy sobie nie wyobrażał.

Skończyła pisać i odwróciła się do niego z uśmiechem wyrażającym podziw i miłość.

– Wiedziałaś, że zmokniesz – powiedziała. – Przygotowałam ci kąpiel.

– Za godzinę mam spotkanie przedwyborcze – rzekł z ubolewaniem.

Kolejna sesja niepokoju i determinacji w miejscowej siedzibie Jedności Demokratycznej, podczas której będzie próbował dodać otuchy i zainspirować oddanych wyborców, w większości młodych i desperacko pragnących, żeby zwyciężył, żeby coś zmienił.

– Mamy paskudną pogodę. Odwołałam je.

– Przecież...

– Idź do wanny.

Slvasta zrobił, co mu kazała. Przez tak długi czas poświęcali każdą chwilę swojego życia na coś związanego z rewolucją, że jeden wolny wieczór nie był czymś, przeciwko czemu zamierzał protestować. Od kiedy się tu wprowadzili, nie kąpał się w wannie więcej niż trzy lub cztery razy; przeważnie brał prysznic i szybko coś przegryzał pomiędzy różnymi spotkaniami.

Sześć dużych świec o podwójnych knotach strategicznie rozmieszczono w wyłożonej niebiesko-białymi kafelkami łazience. Najwidoczniej Bethaneve użyła teka, żeby zakręcić krany tuż przed jego przybyciem, gdyż wielka żelazna wanna była pełna gorącej wody. W powietrzu unosiła się woń soli do kąpieli o zapachu kwiatu pomarańczy. Zdjął wilgotne ubranie i wszedł do wanny. Z zamkniętymi oczami wyciągnął się i zapadł w toń.

– Czy teraz lepiej? – spytała jakiś czas później Bethaneve.

Otworzył oczy. Nie spał, tylko odpoczywał. Jej teka zgasiła świece, zostawiając tylko dwie zapalone. Cienie się wydłużyły, obramowując ją w topazowym blasku wpadającym przez drzwi. Miała na sobie podniecający peniuar z czarnej koronki, luźno zawiązany w talii.

– Yhm – mruknął, czując nagłą suchość w gardle.

Powoli podeszła i uklękła przy wannie. Przód jej peniuaru rozchylił się, odsłaniając piersi, gdy nachyliła się, żeby go pocałować. Kosmyki jej włosów wpadły do wody.

– Jesteś ideałem – rzekł w końcu.

Światło było wystarczająco jasne, aby zobaczył uśmiech na jej twarzy.

– Dziękuję. – Wzięła butelkę mydła w płynie i naląła trochę na dłoń. – Pozwól, że ja to zrobię.

– Wiesz, że tylko dzięki tobie to wszystko jest możliwe – rzekł i jęknął, gdy zaczęła powoli namydlać jego plecy.

– To bardzo miłe, co mówisz, ale oboje wiemy, że to ciebie wszyscy podziwiają. Nikt nie zagłosowałby na mnie, nawet by mnie nie wysłuchał. Ty masz w sobie płomienny zapał; żarliwe pragnienie sprawiedliwości. Wszyscy to czują. Wiedzą, że jesteś szczerzy.

– Jestem tylko dobrym figurantem. Ty wykonujesz całą pracę, ty z Coulanem i Javierem.

– Nie zapominaj o innych. – Naląła sobie na dłoń więcej mydła i zaczęła przesuwając ją w dół po jego piersi. – Andricea bardzo dużo ci pomaga.

Slvasta powstrzymał uśmiech. Bethaneve nigdy nie czuła się pewnie przy Andricei, z jej długimi nogami, promiennym uśmiechem i zgrabną figurą.

– Myślisz o niej? – Dłonie Bethaneve znieruchomiały na moment.

– Wcale.

– Hmm.

Zabrzmiało to podejrzliwie.

Slvasta położył dłoń na jej karku i przyciągnął, żeby znów ją pocałować. W końcu Bethaneve złagodniała i jej dłoń ześliznęła się po jego brzuchu.

– Wcale – obiecał szczerze.

– Boisz się? – zamruczała. – Ja czasem tak.

– Nie policji kapitana. Jesteśmy teraz zbyt znani i mamy poparcie w różnych sferach establishmentu.

– Mówię o wyborach. Są już za tydzień.

– Za dziesięć dni.

– A jeśli nie wygramy?

– Sondáže są dobre, a Tuksbury jest głupcem. Naprawdę nie mam pojęcia.

Można by sądzić, że ktoś zasiadający na poselskim fotelu przez czterdzieści osiem lat powinien coś wiedzieć o kampanii wyborczej. Nie Tuksbury. Z początku tylko szydził ze Slvasty, zakładając, że nominacja z ramienia Obywatelskiego Świtu z góry zapewnia mu większość głosów. Potem, sześć tygodni temu, kiedy zdał sobie sprawę z tego, że niezbyt entuzjastyczne poparcie własnej partii i odmowa jakiegokolwiek wsparcia finansowego oznacza, że pozostawiono go samemu sobie, nagle zrozumiał, że perspektywa utraty stanowiska w Radzie jest jak najbardziej realna. Do tego czasu Slvasta już od dwóch miesięcy prowadził kampanię – nie tylko w Varlanie, gdzie mieszkała większość wyborców, ale

odwiedzając każde miasteczko i wioskę w okręgu wyborczym, uczestnicząc w publicznych spotkaniach, propagując politykę Jedności Demokratycznej, obiecując znieść dotychczasowe ograniczenia i układy tak krępujące społeczeństwo. Sam się dziwił, jak zręcznie nauczył się manipulować ludźmi, udzielając właściwych wyjaśnień, znajdując odpowiednie żarty, a kiedy trzeba, słuchając z poważną miną i wygłaszając wiarygodnie brzmiące obietnice. Wyglądało na to, iż prawdziwe jest stare powiedzenie, że człowiek przywyknie do wszystkiego, jeśli będzie to robił dostatecznie długo.

Tymczasem Tuksbury nigdy wcześniej nie prowadził kampanii wyborczej i nigdy nie przebywał wśród tych, których miał reprezentować. Dlatego kiedy wreszcie wystąpił publicznie, przemawiając do ludzi, nie poszło mu to dobrze. Trwonął rodzinny majątek na festyny z darmowym jedzeniem i piciem, podczas których wygłaszał przemowy, tak tłumacząc ludziom, że powinni na niego głosować: „Pochodzę z dobrej rodziny, nie jak ten idiota z plebsu, który był tak bezużyteczny w regimencie Cham, że stracił rękę w jaju Upadłych”. Dwie publiczne debaty ze Slvastą, na które się zgodził, również źle się skończyły. Drugą trzeba było przerwać, gdy słuchacze zaczęli go obrzucać, czym popadło i próbowali strącić teka z mównicy.

Szok i zgroza wywołane odkryciem, co naprawdę myślą o nim ludzie, skłoniły Tuksbury’ego do szukania pociechy w burdelach, które dyskretnie i regularnie odwiedzał, oraz wdychania większych niż zwykle dawek narnika łagodzącego dotkliwe upokorzenie – a wydawcy ulotek ochoczo i szczegółowo opisali te cechy jego charakteru. Zazwyczaj popierające Obywatelski Świt gazety jeszcze pogłębiły jego upadek, zaczynając publikować te same skandaliczne fakty, które ujawniały ulotki.

Przez ostatnie cztery dni Tuksbury nie pokazywał się publicznie. Członkowie organizacji raportowali, że zaszył się w Dziewiczym Powitanium, wysokiej klasy burdelu przy ulicy Mawney, pozostawiając swemu zniechęconemu i kiepsko opłacanemu sztabowi wyborczemu drukowanie ulotek, których nikt nie czytał. Jeden z członków organizacji, urzędnik kancelarii prawnej, zameldował, że żona Tuksbury’ego już wniosła pozew o rozwód.

– Wygramy – rzekł z przekonaniem Slvasta. – „Oko Wyżyn” ma zestawienie zwrotów podatkowych posiadłości Tuksbury’ego, prawda?

– Dostali trzy dni temu – potwierdziła. – Przekazałam im dane z ostatnich dziesięciu lat. Uracusicie, ci dranie płacili mniej niż ty i ja. Dasz wiarę? „Oko Wyżyn” opublikuje to cztery dni przed wyborami.

– A zatem teraz jajo Upadłego musiałoby wylądować na mojej głowie, żebyśmy przegrali. Muszę tylko pokazywać się ludziom i nie mówić niczego zbyt głupiego. A od tego mam ciebie, żebyś mnie pilnowała.

Bethaneve z łobuzerską miną dotknęła rękami i teka jego krocza. Jak zawsze był bezradny wobec jej zabiegów. Potrafiła robić z jego ciałem dosłownie wszystko, a intensywność doznań sprawiała, że krzyczał z rozkoszy i rozpryskiwał wodę z wanny na posadzkę łazienki.

Potem kazała mu stanąć obok wanny i wytarła go ręcznikiem. Następnie zaprowadziła go do sypialni.

– Wyjdź za mnie – powiedział, leżąc na łóżku i patrząc, jak ona krąży po pokoju, najpierw podchodząc do toaletki, żeby skropić perfumami szyję, a potem zapalając trzy świece. Oczywiście byli oficjalnie zaręczeni, ale ze względu na wybory. Jeszcze nie mówili o ślubie ani go nie planowali.

– Znasz moją odpowiedź – powiedziała łagodnie.

– Tak – odrzekł z przygnębieniem. – Kiedy zwyciężymy.

Podeszła do łóżka i stała tam, z rękami na biodrach, patrząc na niego.

– I wiesz dlaczego.

– Ponieważ nikt nie powinien powoływać dzieci na świat tak niesprawiedliwy jak ten – odrzekł odruchowo.

– Kiedy już zwyciężymy – powiedziała. – To będzie czas budowania przyszłości. Wcześniej byłyby to tylko zamki z piasku i obietnic.

– Wiem – powiedział. – Zatem jeśli nie wygram, mimo to uzbroimy komórki i pomaszerujemy na pałac?

– Nie. To byłaby zupełna katastrofa. Musimy mieć poparcie, wyraźny mandat elektoratu. Musi to wyglądać tak, jakbyśmy robili to, czego chcą ludzie.

– Przynajmniej niektórzy.

– Masz wątpliwości? – zapytała. – Teraz?

– Nie. Jestem tylko zmęczony, to wszystko.

– Biedaku. Już prawie po wszystkim. Potrzebujemy jeszcze tylko paru tygodni, może miesięcy. Nie więcej. Wytrzymasz tyle?

– A mam inne wyjście?

– Nie. Przykro mi, ukochany. Nikt z nas go nie ma, już nie. Ta sprawa stała się zbyt wielka, żeby liczyć się z uczuciami jednego człowieka.

– Naprawdę to zrobimy? – Slvasta sam nie miał pojęcia, czy powiedział to na głos. – No wiesz, obalimy kapitanat? To takie... takie bulwersujące. Czasem muszę sprawdzać, czy to jawa, czy to wszystko nie śni mi się w Sercu Pustki. Jak do tego doszliśmy? Jak to wszystko poskładaliśmy?

– Zrobiliśmy, ponieważ to jest słuszne. Musi być słuszne, ponieważ się udało. Wszystko jest przygotowane.

– Tak.

Ta część była dla niego taką samą zagadką jak reszta. We czwórkę spędzili tyle czasu na dyskusjach i sporach o tym, co należy zrobić, żeby odnieść sukces. Jak przeprowadzić gromadę uzbrojonych ludzi przez miasto i obalić obecny rząd tak, żeby wszyscy to zaakceptowali? Tyle odrzuconych pomysłów, tyle rozbudowanych szczegółów i opracowanych strategii.

– Musimy tylko czekać. Kiedy zostaniesz wybrany do Rady Narodowej, staniesz się...

– ...autentycznym głosem niezadowolonych. To mnie uwiarygodni i uprawomocni moje działania. Tak. Wiem.

– I jeśli damy niższym klasom powód do protestu, a Rada ich nie wysłucha... bo nie wysłucha, pełna takich jak Tuksbury... będziemy mieli uzasadnienie do rozpoczęcia rewolucji.

– Wiem.

Zawsze jednak pozostawały wątpliwości. Sposób, w jaki bogaci ze swoimi cwany mi księgowymi unikali podatków, doprowadzał go do szału, więc sprawiedliwe opodatkowanie wszystkich będzie później sprawą priorytetową. Jednak to oni zamierzali sabotować dostawy wody do miasta, powodując chaos i cierpienie; to ich aktywiści wysadzą mosty kolejowe, co pogłębi kryzys gospodarczy Varlanu. Gdyby nie oni, wszystko działałoby się tak jak zawsze, czyli nie aż tak źle...

Bethaneve oblizła wargi.

– Niech pomyślę. Co mogę zrobić, żeby poprawić ci humor?

Chociaż już zaspokoila go w wannie, wiedział, że znów będzie gotowy, kiedy ona tego zapragnie. Jej zręczność w sprawach seksu była czymś, czego nigdy nie kwestionował. Tylko półgłówki pytałby ją o poprzednich kochanków, a mimo to jakaś mała i nieprzyjemna część jego świadomości zastanawiała się nad nią i Coulanem – czy to on tyle ją nauczył o tym, co naprawdę cieszy mężczyznę w łóżku? Czy to Coulan zachęcił ją, żeby wyzbyła się wszelkich zahamowań.

Jej palce pieściły go z nonszalancką wprawą, a potem teka tak łagodna i powolna, że będąca niemal torturą, trącała poszczególne włókna nerwowe członka. Jego ciało natychmiast go zdradziło, rozpalając drogi rozkoszy wiodące prosto do mózgu. Patrzył z podziwem, jak koronkowy peniuar spływa po jej ciele, cieniuteńki i gładki, rozpalając go jeszcze bardziej.

– Miesiąc – szepnęła, dosiadając go. – Miesiąc po wyborach. To będzie odpowiedni czas. Idealny. Wtedy nas poprowadzisz i przejmiesz władzę nad całym tym światem. Czy to cię zadowala? Czy tego chcesz?

Jej teka owinęła się wokół jego jąder palcami arktycznego zimna, ściskając bezlitośnie, tak że balansował na krawędzi bólu i ekstazy.

– Tak! – zawołał. – O Giu, tak!

Nie wiedząc i nie dbając już o to, z czym się zgadza.

DWA

Niektórych ludzi po prostu nie można przekonać – szczególnie tych, którzy spoglądają na polityków i politykę z takim samym obrzydzeniem, z jakim patrzyliby na płamę zwierzęcego łajna na podeszwie swojego buta. Jednak znacznie więcej jest takich, którzy nie są obojętni, głosują, podejmują ten trud. Przed niektórymi lokalnymi wyborczymi w okręgach, gdzie

Jedność Demokratyczna wystawiła swoich kandydatów do rad dzielnicowych, nie wiadomo dlaczego zabrakło szeryfów. Zamiast nich goryle z Obywatelskiego Świtu nadzorowali przebieg głosowania, pilnując, żeby wyborcy stawiali krzyżyki we właściwym miejscu. Gdziekolwiek się to zdarzało, wieść o tym szybko rozchodziła się kanałami łączności Bethaneve i miejscowi aktywiści Jedności Demokratycznej interweniowali, domagając się prywatności i zaprzestania takich nacisków. Wybuchwały bójki, lecz sporadycznie, a i te przerywali przybywający w końcu szeryfowie, odwożący uczestników z obu stron na miejscowy posterunek, żeby ochłonęli przez resztę dnia, siedząc w celi dla pijaków.

Były też takie przypadki, że ludziom mówiono, iż nie ma ich na liście wyborców. Wtedy Bethaneve nic nie mogła poradzić. Jednak Tovakar, Andricea i Yannrith robili swoje, kierując komórkami przechwytyjącymi karty do głosowania przesłane pocztą w ciągu minionego miesiąca. Obywatelski Świt dodawał koperty ze swoimi fikcyjnymi wyborcami – zmarłymi lub nieistniejącymi. Teraz te worki zostały dyskretnie zamienione na identyczne i pełne kart wysłanych przez równie fikcyjne osoby, ale głosujące na Jedność Demokratyczną.

W niektórych okręgach brakowało kart do głosowania.

Urzednicy nigdy nie sprawdzali lokali wyborczych.

Czterej kandydaci Jedności Demokratycznej zostali aresztowani pod różnymi zarzutami, od unikania podatków po napad, co przekreślało ich kandydatury.

Mijał kolejny zwyczajny dzień wyborów na Bienvenido.

Mimo wszystkich kłód, jakie rzucał im pod nogi establishment, Jedność Demokratyczna miała znaczące poparcie w najuboższych dzielnicach. Slvasta, który o piątej po południu przybył do ratusza Langley na liczenie głosów, otrzymał raporty przesłane przez działaczy partyjnych z całego miasta. Frekwencja była dobra. Zakłócenia zgodne z przewidywaniami. Około ósmej zaczęły spływać wyniki. Z jednej trzeciej trzydziestu trzech okręgów wyborczych miasta, w których wybierano radnych, pięć zdominowała Jedność Demokratyczna, zapowiadało się, że w trzech następnych żadna z partii nie uzyska większości, a Obywatelski Świt wygra w trzech pozostałych (najbogatszych dzielnicach). Dla tej partii była to klęska.

Ponadto zdobyto pięć mandatów w Radzie Narodowej z okręgów stolicy lub jej przedmieść oraz sto innych na całym kontynencie. W Langley było oczywiste od chwili otwarcia pierwszych zapieczętowanych worków z kartami wyborczymi, kto zwycięży. Tuksbury nawet nie pokazywał się publicznie od dnia, w którym „Oko Wyżyn” opublikowało jego deklaracje podatkowe. Dzięki dyskretnej obserwacji prowadzonej przez członków organizacji Slvasta wiedział, że rywal zaszył się w swojej rodzinnej posiadłości pod Varlanem.

Do jedenastej Slvasta był już potwierdzonym nowym przedstawicielem Langley w Radzie Narodowej. Wygłosił krótkie przemówienie (napisane przez Coulana i Bethaneve), dziękując swoim uradowanym wyborcom. Do północy zweryfikowano wyniki wyborów dla wszystkich okręgów Varlanu. Jedność Demokratyczna wygrała w pięciu, w jeszcze jednym dzięki

umowie koalicyjnej z trzema niezależnymi radnymi, Obywatelski Świt miał cztery okręgi, a w jednym żadna partia nie uzyskała większości.

– Siedem rad, licząc Nalani – rzekł Slvasta, wracając do domu z Bethaneve, Javierem i Coulanem. – To zdumiewające. Naprawdę.

Na ciemnych ulicach było sporo przechodniów i dorożek, jak na tak późną wieczorną porę – wszyscy wracali do domów po liczeniu głosów. W górze krążył nad nimi mod-ptak Andricei, bystrymi oczami wypatrując kłopotów. Yannrith szedł zaledwie sto metrów za nimi i miał przy sobie dwa pistolety. W pobliżu byli też inni członkowie partii, gotowi przybiec z pomocą na każde wysłane wezwanie.

Javier nalegał na podjęcie takich środków ostrożności.

– Jutro rano będziesz musiał zrzec się mandatu w Nalani – powiedział Coulan. – Nie możesz zasiadać w dwóch radach.

– Jesteś jedynym kandydatem Jedności Demokratycznej, który zdobył mandat w Radzie Narodowej – przypomniał smętnie Javier.

– Bąpek nieźle wypadł w Denbridge – powiedziała Bethaneve. – Trzydzieści dwa procent.

– Denbridge jest za rzeką – powiedział Javier. – Duża społeczność złożona z przedstawicieli klasy średniej i pracującej. Szkoda, że tam nie zwyciężyliśmy.

– Nie zwyciężyliśmy w Langley – rzekł Slvasta. – Oddano je nam, pamiętacie?

– Taak, i będą tego gorzko żałować – powiedziała z zadowoleniem Bethaneve. – Myślę, że to łapówka, która utrzyma nas w ryzach. Cóż, nawet jeśli prze...

Wielka korona jaskrawopomarańczowego światła rozbłysła na południu miasta, ukazując kontury dachów i kominów. Zobaczyli migoczącą kulę ognia wznoszącą się w jej środku, spowitą kłębamii czarnego dymu. Po kilku sekundach dotarł do nich huk eksplozji.

– Uracusie! – warknął Javier. – Co to było?

– Myślę, że to w pobliżu nabrzeża – rzekł Coulan. – Na wschodzie. Jest tam kilka kompanii handlujących olejem z nasion yał. Dużymi beczkami.

– Cholera! – zaklął Slvasta. – Wydaliśmy taki rozkaz?

– Nie – odparła Bethaneve. – I nie podoba mi się, że doszło do tego akurat teraz.

* * *

Gaszenie palących się magazynów trwało trzy dni, a władze miasta miały szczęście, że drugiego dnia spadł deszcz. Jeszcze przez jeden dzień nad Varlanem wisiał dym unoszący się ze zniszczonych budynków trzech ulic przy nabrzeżu. Wybuchające beczki rozpryskiwały płonący olej na znaczną odległość i zespoły ochotniczej straży pożarnej bały się podejść zbyt blisko z obawy przed kolejnymi eksplozjami.

W końcu, gdy został tam tylko wielki krąg poczerniałych murów i stert gruzu, sanitariusze i strażacy zaczęli sprawdzać to rumowisko, telepatycznie zaglądając pod kamienie, zwęglone belki i strzaskane dachówki w poszukiwaniu ciał.

Spaliły się dwadzieścia trzy przedsiębiorstwa. Na szczęście dzięki temu, że wybuch nastąpił w dzielnicy przemysłowej i późną nocą, straty w ludziach były minimalne. Zginęło tylko osiem osób. Jednak był to kolejny poważny cios zadany gospodarce miasta, szczególnie towarzystwom ubezpieczeniowym. Wszystkie składki pójdą w górę.

* * *

Kysandra była pogrążona w lekturze ksiąg rachunkowych, gdy na farmę przyjechał Russell. Jego przybycie dało jej u-adiunktowi pretekst do schowania sześcianu z plikami i oczyszczenia egzowizji. Kiedy zaczęli planować tę rewolucję, była tak rozentuzjasmowana i podekscytowana, nie spodziewając się, że spędzi długie godziny, dni i tygodnie na zajmowaniu się finansowymi podstawami tego przedsięwzięcia. Ale, jak się szybko przekonała, obalenie rządu nie jest tanie.

– Nasze powstanie nawet nie musi się zakończyć sukcesem – powiedział Nigel. – W każdym razie nie trwałym. Potrzebujemy tylko trochę czasu, żeby się dostać do pałacu i wydostać z niego. Wszystko, czego naprawdę potrzebujemy, to anarchia.

– Powinno się udać – zaprotestowała. – W przeciwnym razie zawiedziemy tyle osób.

– Nie możesz sobie pozwolić na takie myślenie. Radykałowie, którzy utworzyli tę organizację, są tylko narzędziami mającymi pomóc nam wykonać zadanie. Nic więcej.

– Jednak... oni muszą wierzyć, że ich życie się zmieni na lepsze, jeśli mają być oddani sprawie. Chcesz, żeby zaryzykowali wszystko, co mają.

– I to ryzyko tysiąckrotnie im się opłaci. Nie przez wymianę jednego zestawu bezużytecznych i skorumpowanych przywódców na drugi, lecz przez uwolnienie ich z Pustki. Musisz się nauczyć patrzeć w szerszej perspektywie, Kysandro. Koniec z małomiasteczkowym myśleniem, dobrze?

– Dobrze.

To jednak było niełatwe. Mieli ucierpieć ludzie, prawdziwi ludzie. Wciąż musiała sobie powtarzać, że to wszystko jest tego warte, ponieważ to było przeznaczenie, które starali się zrealizować.

Russell zeskoczył z konia, swoją teka owiazał wodze wokół palika zagrody.

– Slvasta został wybrany w okręgu Langley – poinformował wszystkich telepatycznie. – Jedność Demokratyczna jest teraz legalną partią opozycyjną. – Pomachał nad głową plikiem warlańskich gazet. – To oficjalna wiadomość.

Kysandra wybiegła z domu i spotkała go na werandzie.

– Daj zobaczyć – powiedziała i wzięła jedną z gazet. Zauważyła, że to główne wydanie z poprzedniego dnia. *Szybko dotarło do Adeone.* Utrzymywała silną osłonę, żeby nie zdradzić dotkliwego rozczarowania wynikami wyborów. *Tylko Slvasta dostał się do Rady Narodowej? Wystawiliśmy kandydatów w pięciu okręgach. I Jedność Demokratyczna ma większość tylko w sześciu nowych okręgach?* W głębi serca miała nadzieję na znacznie więcej. Na publiczne potwierdzenie wartości ludzi, których wkrótce mieli wyzwolić.

– Pójdę pokazać to Nigelowi – powiedziała z radosnym uśmiechem. – Ty idź i poproś Victoreę, żeby dała ci coś do zjedzenia; zrobi jakieś kanapki.

Russell z szacunkiem dotknął runda kapelusza.

– Dziękuję.

Kysandra ruszyła przez farmę. Ta była teraz nie do poznania. Tyle się zmieniło, powstało tyle nowych zabudowań. Mieli ponad trzydzieści stodół i magazynów, niektóre ogromne, z żelaznymi podporami podtrzymującymi szerokie dachy. Osiem z nich wykorzystywano tylko do produkcji rolnej, trzymając tam modyfikowane małpy, konie i karły potrzebne do prac przy uprawach oraz stada ziemskich zwierząt, które zapełniały teraz niemal całą dolinę. Dwa tartaki jak zwykle pracowały na pełnych obrotach. A obok warsztatów terkotały przysadziste silniki parowe. Robotnicy i zdominowani wykorzystywali dwie stodoły jako sypialnie, podzieliwszy je na przytulne i wygodne pomieszczenia, ze zbiorowymi umywalniami na końcu. W tych trzech, w których produkowano broń, było teraz cicho, gdyż maszyny już nie pracowały. Zrobiono dostatecznie dużo broni i amunicji, którą wysłano różnym nowo powstałym grupom radykałów, głównie w stolicy. Mod-karły, które pracowały przy liniach produkcyjnych, teraz siedziały w swoich zagrodach, nic nie robiąc, tylko jedząc i śpiąc.

Ale największy jej podziw budziła wieża startowa. Cztery długie szopy z rzędami klatek ge-pająków, wysnuwających ogromne ilości drojedwabiu. Oczywiście, to Nigel wprowadził ten nowy produkt na rynki Bienvenido, ale nie bezpośrednio. Marek przejechał przez półwysep Aflar do Gretz, żeby tam nauczyć adaptowania ge-pająków pewną rodzinę posiadającą małą stadninę. W ten sposób nie była to kolejna innowacja wprowadzona przez farmę Blairów. Po wykonaniu badań Nigel odkrył, że aby produkować najlepszy drojedwab, ge-pajaki muszą zjadać liście krzewu deassu. Jeśli wszyscy trzymali ge-pajaki i produkowali drojedwab dla przemysłu odzieżowego, nikogo nie dziwiło to, że farma Blairów kupuje ogromne ilości liści deassu.

Za szopami ge-pająków był bunkier przyspieszacza, wkopany głęboko w ziemię. Tu drojedwab ostrożnie i dokładnie nawijano na długi żelazny cylinder (precyzyjnie odlany, co zajęło miesiące) i spryskiwano żywicą, po czym moczono w olbrzymiej kadzi. Warstw było dziewiętnaście, a każda musiała być idealnie równa. Dopiero gdy czujniki połączone z „Gwiezdną Damą” potwierdziły, że ostatnia warstwa jest bez zarzutu, cylinder wyjmowano z wanny. Mimo dokładnego monitorowania i kontroli jakości udawało im się otrzymać jeden idealny cylinder na trzy próby. Gotowe cylindry przetaczano do drugiej części bunkra przyspieszacza, za grube żelbetowe drzwi w kształcie klina, tak ciężkie, że potrzebne były koła wagonu kolejowego, żeby rozsunąć je na ich szynach.

Tam kończono proces produkcyjny, wypełniając cylindry paliwem i zmieniając je w gigantyczne pomocnicze silniki raketowe. Wciąż pamiętała pierwsze próbne odpalenie, z przyspieszaczem ustawionym pionowo, wskazującym rurą wydechową w niebo. Nawet stojąc kilometr dalej, odczuła ryk silnika jak fizyczny cios. Oślepiający pióropusz ognia na kilka minut pozostawił fioletowe mroczki w jej oczach, a słup dymu wzbił się w czyste niebo,

sięgając chmur. Jakby wszechświat nagle pękł i w szczelinę z rykiem wdarł się huragan żywiołów.

– Nie możesz na tym polegać. Po prostu nie możesz – powiedziała później, ze zdumieniem spoglądając na wciąż dymiącą osłonę przyspieszacza, gdy jej znieczulone zmysły zaczynały dochodzić do siebie.

– To najzupełniej bezpieczne – rzekł z zadowoleniem Nigel. – Ludzie przez dziesięciolecia latali w kosmos raketami z napędem chemicznym, zanim Ozzie i ja położyliśmy temu kres.

– Nie! Po prostu... nie!

Jednak, oczywiście, nie było innego wyjścia. Tak więc pomimo jej obaw nadal produkowano te pomocnicze silniki raketowe na paliwo stałe. Nigel wybrał paliwo oparte na azotanie amonu, które było jednym z najłatwiejszych do wyprodukowania – szczególnie metodą, którą wynaleźli. Ją także trzeba było ukrywać; nie chciał zmieniać farmy w rafinerię. Na szczęście Upadli dali im nieoczekiwaną możliwość wykorzystania niewolniczej siły roboczej.

Kysandra przeszła obok bunkra przyspieszacza i wzdłuż rzędów silosów z mod-świniami. W całym tym projekcie te zwierzęta były jej największym problemem. Potrzebowały specjalnej karmy, którą ich przedziwny pomocniczy układ trawienny rozkładał i zmieniał w granulowane odchody, używane jako paliwo do silników raketowych. Musiała znaleźć dostawców na całym kontynencie, wyszukując kupców sprzedających sproszkowane aluminium, kwas solny, sól, płynną gumę i tuzin różnych nawozów na bazie azotanu amonu. Następnie musiała zorganizować dostawy na farmę Blairów w takich ilościach, które nie wzbudzą niczyjego zainteresowania. W miasteczkach wzdłuż głównych linii kolejowych biegnących przez kontynent ona i Valeri założyli dziesiątki małych firm, w których zmieniano etykiety i przepakowywano składniki do innych pojemników. Potem, gdy dotarły tutaj, trzeba je było mieszać w bardzo dokładnych proporcjach przed podaniem ich mod-świniom.

Barak, w który przeprowadzano próby, znajdował się dwieście metrów za silosami, przycupnięty na brzegu rzeki. Powlokła się tam, w cieniu rzucanym przez wielką żelazną kratownicę wyrzutni. Budowę przysadzistych wież mających podtrzymać „Gwiazdą Damę” i jej pomocnicze silniki zakończono przed kilkoma tygodniami. Pięć łuków pomalowanych na czerwono ażurowych rusztowań sterczało nad wielkim owalnym stawem wypełnionym wodą z rzeki, łącząc się w podobną do bransolety kołyskę, w której dźwig umieści gwiazdolit. Teraz ta konstrukcja wyglądała nieco dziwnie, jak pozostałości jakiegoś budynku.

Przy osłoniętym daszkiem wejściu do baruku wisiały maski filtrujące. Najwyraźniej nadchlorany mogły powodować u ludzi problemy z tarczycą. Kysandra przed wejściem do środka założyła jedną z tych masek. Wewnątrz barak był prawie pusty, tylko pod jedną ścianą stał długi stół laboratoryjny zastawiony szkłem wyraźnie świadczącym o tym, że jest to laboratorium chemiczne. Nigel i Fergus stali nad zlewką z zielonkawym płynem, w którym parę kulek paliwowych grubości kciuka pieniało się jak wstrząśnięte piwo.

– Slvasta wygrał wybory – oznajmiła.

– Tak. – Maską tłumiała głos Nigela. – Wyczuliśmy przekaz Russella. Jak większość okręgu.

– To oznacza, że będzie, jak mówiłeś.

– Tak. – Nadal nie odrywał oczu od modułu czujnika, który monitorował zlewkę i rozpuszczające się w niej świńskie fekalia.

– Spełnia normę – rzekł do Fergus. – Napełnijcie zbiornik.

– Powoli i ostrożnie – odparł Fergus.

Nigel odszedł od stołu i objąwszy ramieniem Kysandrę, wyprowadził ją z baraku.

– Przepraszam – powiedział, ściągawszy maskę. – Pewne rzeczy po prostu muszą zostać zrobione poprawnie. Nie chciałbym zasiąść na masie niedobrego paliwa.

Poważnie pokiwała głową.

– Rozumiem.

– Te świny są zupełnie nieprzewidywalne.

– Zawsze podajemy im odpowiednią mieszankę.

– Wiem, ale wątpię, czy Upadli brali pod uwagę coś takiego, kiedy tworzyli neuty.

Była to jedna z ostatnich rewelacji, jakie wydobyli z pamięci Provala-Upadłego. Neuty były ich udomowioną rasą niewolników, biologicznymi maszynami stworzonymi w jednym tylko celu – służenia Upadłym. Dające się formować w dziesiątki podgatunków, od zwierząt wykonujących różnego rodzaju prace fizyczne po nieruchome zbiory narządów, których enzymy zmieniały je w proste rafinerie, neuty eliminowały potrzebę tworzenia nadmiernie zmechanizowanej cywilizacji. Wystarczyła tylko umiejętność adaptowania zarodków. To była druga część łamigłówki.

Przybierając ludzką postać, Upadli mieli grube wiązki dodatkowych nerwów, biegnące w ich rękach do małej brodawkowej wypukłości na dolnej części przegubu. Ta narośl umożliwiała bezpośrednią synaptyczną łączność z odpowiednim układem receptorów nerwowych w tylnej części mózgowia neuta. Wszystkie mody miały taki układ, przez który można było wydawać im polecenia. To odkrycie ucieszyło Nigela.

– Zatem w taki sposób działali poza Pustką – mruknął, gdy „Gwiazdna Dama” ukazała im tę informację przez egzowizję. –Paula będzie uszczęśliwiona.

Opracowanie właściwej sekwencji zajęło „Gwiazdnej Damie” trochę czasu, ale w końcu otrzymali dobry zarodek mod-świni. Teraz te opasłe stworzenia leżały w swoich przegrodach. Ich krótkie nóżki były niewiele większe od klinów pozwalających stać, a ciała były bioreaktorami produkującymi czyste paliwo raketowe. Nie żyły długo, gdyż zjadane przez nie wiązki były bardzo toksyczne. Jednak mieli ich wystarczająco dużo w silosach, a regularnie rodzące się młode zastępowały zdychające, więc zapasy paliwa rosły równie szybko jak liczba zbiorników. Teraz pozostał do wypełnienia tylko jeden i wszystkie razem utworzą pomocniczy silnik, który zdoła unieść „Gwiazdną Damę” na wysokość dziewięćdziesięciu kilometrów. Jednak po trajektorii balistycznej, więc z prędkością

niewystarczającą do wejścia na orbitę. To wciąż zależało od szwankującego napędu ingrawowego, który musiał zadziałać w ostatniej fazie. Nigel przysięgał, że obliczenia się zgadzają i uda mu się dotrzeć do Lasu.

– Czy ostatni zbiornik będzie gotowy na czas? – zapytała, gdy wracali do głównego budynku farmy.

– Załadowanie paliwa i katalizatora zajmuje dziesięć dni, a więc tak. Faza pierwsza ma się zacząć najwcześniej za miesiąc. To daje nam mnóstwo czasu na zakończenie prac.

Odwróciła się i spojrzała na kratownicę wyrzutni.

– A jeśli ta broń do niczego się nie nadaje?

– Daj spokój, Coulan przez osiemnaście miesięcy wysyłał tam drony, żeby ją sprawdzały. Jest nienaruszona. Została tylko wyłączona.

– Jednak ma trzy tysiące lat, Nigelu.

– Nieistotne. Głowice bojowe nadal są całe. Wszystkie pomocnicze systemy są słabe, to prawda. Będziemy musieli sporo przerobić i wymienić, lecz będą działać. Przestań się martwić. Zaczynam się denerwować, a to niedobrze.

Objął jej ramiona, przyciskając do siebie. Zauważyła, że przez ostatni rok stał się nieco bardziej czuły.

– Przepraszam – nadała nieszczerze.

– Taak, pewnie.

– Mam jednak pytanie.

– Jakie?

– Przeglądałam księgi rachunkowe. Kim jest James Hilton? Ostatnio płacimy mu mnóstwo pieniędzy.

– Ach. W zasadzie James Hilton był powieściopisarzem mieszkającym na Ziemi w czasach przed Wspólnotą.

– Dlaczego więc płacimy mu tyle pieniędzy?

– Jest znany tylko z jednej powieści, *Zaginiony horyzont*, której akcja toczy się w wymyślonej dolinie Shangri-La, odciętej od reszty świata. Pomyślałem, że to odpowiednia nazwa.

– Czego?

– Schronienia na wypadek, gdyby coś poszło źle.

– A co może pójść źle?

– W tym rzecz. Właśnie dlatego trzymałem to w tajemnicy. Jeśli zaczniesz mieć wątpliwości, zawsze panikujesz.

– Wcale nie!

– Dlaczego więc się niepokoisz?

– Nie niepokoję się. Jestem zaciekawiona, to wszystko.

– No to teraz już wiesz. Gdyby coś poszło źle, jest takie miejsce, gdzie ty, ja i ZANdroidy możemy się schronić i przegrupować.

- No dobrze. Dziękuję. Gdzie?
- Port Chana.
- Ach! A myślałam, że Marek spędza tam tyle czasu, kupując kwas solny.
- Sprytna dziewczyna.
- Nie bądź taki protekcyjny.
- Stajesz się agresywna, kiedy jesteś zaniepokojona.
- Nie jestem. Martwi mnie tylko to, że myślisz, iż coś może pójść źle.
- Nie myślę tak.
- Jednak...

– Jednak mam wystarczające doświadczenie życiowe, aby wiedzieć, że zawsze trzeba się zabezpieczyć przed błędami innych ludzi. Widzisz, jeśli wszystko dobrze pójdzie, za kilka miesięcy nie będzie Pustki, a ty, ja i wszyscy inni na Bienvenido oraz Querencii znajdą się na pokładzie statku raieli zmierzającego do Wspólnoty. Ale jeśli nie – jeśli stanie się coś, co wszystko spieprzy... no cóż, byłyby konsekwencje tego, co zrobiliśmy. Konsekwencje, których wolałbym nie ponosić. Po to jest ten plan awaryjny. To chyba rozsądne, nie sądzisz?

Kysandra zacisnęła zęby.

- Tak.
- Rozumiem. Co ja tam wiem?
- Każdą cholerną rzecz.

* * *

Oplakany stan varlańskiej gospodarki nie martwił klubu Westergate. Istniejący od ponad tysiąca pięciuset lat i czterokrotnie odbudowywany w tym samym miejscu, uosabiał beztroską żeglugę klasy rządzącej po oceanie nieszczęść innych ludzi i obserwującej ich udręki tak, jak się ogląda poczynania zwierząt w zoo. Tydzień po wyborach Slvasta stanął przed bogato rzeźbionymi frontowymi drzwiami, mając na sobie ten sam szary garnitur, który kupił na publiczne wystąpienia podczas kampanii. Szkoda, że nie miał czasu oddać go do czyszczenia. Portier w nienagannym czarnym fraku uśmiechnął się uniżenie i wprowadził go do środka.

– Witamy ponownie, kapitanie Slvasta, i moje osobiste gratulacje z okazji wygrania wyborów.

– Dziękuję.

Recepcjonistka za kontuarem posłała mu promienny uśmiech, poparty zmysłowym przesłaniem – niemym, ale bardzo zachęcającym. Prowadzony przez portiera Slvasta miał nadzieję, że jego rumieniec nie rzuca się w oczy. Olbrzymie marmurowe wnętrze wydawało się wchłaniać dźwięki. Był w połowie krętych schodów, gdy ujrzał schodzącą po nich młodą kobietę. Miała na sobie jaskrawoczerwoną suknię, w odcieniu podkreślającym jej długie, truskawkoworude włosy i obciślejszą w stanie, niż było to przyjęte wśród młodych dam, z dość śmiałym rozcięciem z boku, ukazującym długie i bardzo zgrabne nogi. Jej twarz wydała mu się znajoma i spróbował sobie przypomnieć...

– Slvasta! – Uśmiechnęła się i objęła go, zanim zdążył zareagować. – O nie – powiedziała teatralnym tonem i pomachała ręką. – Już mnie zapomniałeś. A tak dobrze się bawiliśmy.

Prywatnie przesłany obraz wnętrza buduaru nagle obudził rozmaite przyjemne wspomnienia w umyśle Slvasty. Długiego, spędzonego z nią popołudnia na tym wielkim i miękkim łożu. Tego, że nie tylko Bethaneve umiała się bawić bez zahamowań. Tego, jak się śmiali...

– Lanicia – rzekł. – Przepraszam. Minęło trochę czasu.

Aczkolwiek nie miał pojęcia, jak mógł choć na moment zapomnieć tę śliczną twarzyczkę.

– Z pewnością! Całymi miesiącami usychałam z tęsknoty za tobą, niedobry. Jak mogłeś porzucić dziewczynę po takim popołudniu!

– Przepraszam.

– Żartuję, głuptasie. Naprawdę miło mi cię widzieć. I jesteś teraz w Radzie Narodowej! To wspaniale. Założę się, że po wyborach wszystkim starym konserwatystom w mieście śniadanie stanęło w gardle. Tatusiowi z pewnością. Czy już przedstawiono cię kapitanowi?

– No cóż, jeszcze nie. Uroczystość otwarcia nowej kadencji Rady odłożono z powodu wybuchu.

– Och, Giu, tak, to było straszne. No cóż. Co porabiasz? Już zmieniłeś stan cywilny?

– Hmm, nie.

– Ja też nie. – Posłała mu bardzo niegrzeczny uśmiech. – Wciąż mam tę dzienną willę. Chętnie zostałabym twoją kochanką.

Slvasta stał z rozdziawionymi ustami. Zerknął na portiera, który nagle odkrył coś niezmiernie interesującego na podeście piętro wyżej. Slvasta naprawdę zapomniał już, jak swobodnie potrafią się zachowywać dziewczyny z wyższych sfer i jak lubią szokować.

Lanicia roześmiała się, uradowana jego miną i mieszanymi uczuciami wymykającymi się przez nagle nieszczelną osłonę.

– Pozostawię ci tę propozycję do zastanowienia – powiedziała i zaczęła schodzić po schodach. Na pożegnanie jeszcze mrugnęła do niego lubieżnie.

Slvasta w końcu zdołał zamknąć usta. Miał ochotę nadal patrzeć, jak ona schodzi po schodach, pójść za nią, przez jeden dzień, tylko jeden dzień, zapomnieć o stresie, obawach i gniewie, być tak beztroskim jak tamtego popołudnia dawno temu, podczas wizyty Władców Niebios. Leniwe wieczory w jej willi nigdy nie byłyby spędzane na ożywionych dyskusjach, doniosłych decyzjach i analizach ideologicznych. Nie byłoby spiskowania, jak zabić ludzi, obalić rząd i zmienić świat. Nie byłoby odpowiedzialności.

Zamknął oczy i zrobił głęboki wdech, uspokajając szalejące serce.

Portier cierpliwie czekał.

– Prowadź – powiedział mu Slvasta. Z trudem oparł się pokusie. Ostatnio podobne propozycje składały mu nie tylko dawne znajome. Kiedy został oficjalnym przywódcą Jedności Demokratycznej, zaczął budzić zainteresowanie kobiet. To zainteresowanie stale rosło od chwili, gdy zgłoszono jego kandydaturę na przedstawiciela okręgu Langley. Po

wyborach te propozycje stały się zupełnie bezwstydne. Teraz bał się opuszczać z Bethanevea partament numer szesnaste w Jaysfield Terrace. Śmiał się z tego zainteresowania, ale mu pochlebiali. Wiedział, że ona nie traktuje tak liberalnie tego zjawiska.

Pułkownik Gelasis czekał na niego w łoży Nevada, której posępna drewniana boazeria pasowała do nastroju pułkownika. Tym razem nie było wylewnych powitań, gdy podniósł się z wielkiego politurowanego stołu. Zamiast tego tylko skinął głową, mówiąc „panie radny”, i uściśnął dłoń Slvasty.

– Pułkowniku.

Gelasis machnięciem ręki odprawił portiera, a potem przyglądził mundur i znów usiadł.

– Sądziłem, że zawarliśmy dzentelmeńską umowę.

– Czyżby? – odparł Slvasta, zirytowany tym, że czuje się tak onieśmielony.

– Z pewnością implikującą qui pro quo. Dlatego jest pan teraz radnym z okręgu Langley. Dostał pan, czego chciał, myśli pan, że za darmo?

– Nie.

– No to może zechce mi pan wyjaśnić, dlaczego, na Uracusa, wysadził pan ten magazyn firmy handlującej olejem? Miasto miało cholerne szczęście, że pożar nie rozprzestrzenił się bardziej. A i tak straty finansowe, które dotkną porządnych ludzi, są dotkliwe. I to na dodatek tego wszystkiego, co stolica teraz cierpi z powodu ruchu antymodowego.

Slvasta zeszytniał na to otwarte oskarżenie, tylko częściowo z gniewu.

– Niczego nie wysadzałem.

– Oczywiście, że nie, nie osobiście, nie jest pan idiotą, ale czy możemy to samo powiedzieć o pańskich kolegach? Jestem ciekaw, co powiedziałby nam Tovakar podczas przesłuchania? Albo Andricea? Jak długo wytrzymałaby, zanim by się załamała, gdyby zgarnęła ją policja kapitana? Przesłuchiwanie jest o wiele gorsze dla kobiet, szczególnie młodych i dobrze wyglądających. Zdaje się, że pierwszy oficer zajmuje się tym osobiście.

Teraz Slvasta był głęboko zaniepokojony. Skoro pułkownik mówił bez ogródek, nie będzie już targowania się. Chodziło o coś znacznie poważniejszego.

– Powiedzieliby to samo. Nie wiem, kto wysadził ten skład oleju. Szczerze mówiąc, to była ostatnia rzecz, jakiej teraz potrzebuję.

Co było prawdą. Dwa dni zajęło Bethaneve przesiewanie strzępów informacji krążących w sieci komórek, zanim odkryła, kto dokonał sabotażu w firmie handlującej olejem, a potem Javierowi i Yannrithowi potwierdzenie tego. Członkowie komórki dwudziestego ósmego poziomu byli sfrustrowani bezczynnością i postanowili wziąć sprawy w swoje ręce: zadać zdecydowany cios wzmacniający organizację i osłabiający establishment. Yannrith musiał odciągać Javiera od jednego z nich: ten człowiek leżał teraz w szpitalu ze złamaniami, utraciwszy sporo krwi. Taka demonstracja możliwości oraz determinacji mogła ich zdradzić. Gdyby zostali złapani przez policję kapitana, byłiby przesłuchiвани, dopóki by nie umarli lub nie wyznali wszystkiego. I tak już zainteresowanie Trevene'a komórkami i podejrzanymi radykałami osiągnęło niebezpieczny poziom. Jego agenci silnie naciskali informatorów. W

ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin zniknęło trzech kolejnych członków organizacji. Bethaneve ostrzegała wszystkich, którzy mieli z nimi kontakt.

– Umowa była taka: pan dostaje Langley, a w zamian na ulicach znów zapanuje spokój – rzekł Gelasis. – Koniec z aktami sabotażu, plądrowaniem i niszczeniem przez motłoch z Shanties, koniec z terroryzowaniem biznesmenów przez związki. Życie ma wrócić do normy, z panem jako łącznikiem przekazującym obawy i skargi.

– Takie jest i moje życzenie – odpalił Slvasta. – Niech pan da spokój, zainwestowałem wszystko, żeby zdobyć to stanowisko. Nie zamierzam teraz tego zepsuć.

– Miło mi to słyszeć. Od tej chwili, jeśli pańscy zwolennicy z motłochu będą mieli jakieś problemy z rzeczywistością, mają je zgłaszać panu. Nawet przy nowych wpływach ze sprzedaży drojedwabiu gospodarka potrzebuje spokoju, żeby powrócić do stanu sprzed paranoicznej antymodowej kampanii Jedności Demokratycznej. Czy pan wie, że stolica to jedyne miejsce, gdzie ten szczególny idiotyzm się zakorzenił? Chyba wśród pańskich wyborców.

– Ludzie zrozumieją...

– Nie, Slvasta. Nie zrozumieją. Ponieważ nikt nie będzie już podsycał tych uprzedzeń. Przykro mi z powodu pańskiej ręki. Naprawdę. Musi pan jednak się pogodzić z jej utratą. Pańska obsesja niszczy Bienvenido. Czy tego pan chce?

– Musimy się uniezależnić od...

– Jeszcze nie został pan zaprzysiężony na członka Rady Narodowej. Niech pan się dobrze zastanowi, co powiedzieć, i pamięta o przysiędze, którą pan złożył kapitanowi. Szczególnie o tej części dotyczącej ochrony tego świata przed wszelkimi zagrożeniami.

Slvasta patrzył na pułkownika, usiłując powstrzymać gniew. Wyczuwał, że Gelasis celowo go prowokuje. Kolejna próba, zanim pozwolą mu zająć miejsce w Radzie. Demokratyczne wybory były nieistotne dla tych, którzy naprawdę pociągają za sznurki.

– Zamierzam przedstawić to Radzie Narodowej.

Gelasis z satysfakcją kiwnął głową.

– Niech pan to zrobi. A jednocześnie trzyma swoich zapaleńców w ryzach. To również jest pańskim obowiązkiem, rozumiano?

– Nikt niczego nie będzie wysadzał za mojej kadencji.

Na Uracusa, jak dobrze patrzeć ci w oczy i być równie nieszczerzy jak ty.

– Miło mi to słyszeć. Może pan mieć wspaniałe życie, Slvasta; taka pozycja daje ogromne możliwości. Nie chciałbym, żeby je pan przekreślił.

– Nie zrobię tego.

– Zatem co będzie z pańskimi zaręczynami? Nawiasem mówiąc, zręczne posunięcie przedwyborcze. Wyglądała ślicznie u pańskiego boku podczas kampanii. Zapewne zdobyła całkiem sporo głosów kawalerów.

Ta nagła zmiana tematu zaskoczyła Slvastę.

– Uzgodniliśmy, że ustalimy datę dopiero po wyborach.

– Istotnie. Zatem niech się pan zastanowi: teraz otwierają się przed panem ogromne możliwości. Powinien się pan przez chwilę nimi cieszyć, zanim dokona kolejnego sprytnego wyboru. – Pułkownik nachylił się do Slvasty, uważnie mu się przyglądając. – Potrzebna panu dziewczyna, która doda panu splendoru. Chyba pan wie, co pańska słodka radykalna narzeczona robiła, zanim pana poznała, prawda?

– O czym pan mówi?

– Oczywiście w jej klasie traktuje się to inaczej, jak wszyscy wiemy; nie tak jak w przypadku Lanicii. Ludzie potrafią surowo osądzać.

– Nie rozumiem. Bethaneve pracuje w urzędzie podatkowym.

– Oczywiście. Cóż, zaproponowałbym panu lunch, ale mam pilne spotkanie. Nudne, ale konieczne; z pewnością pamięta pan, co to jest odpowiedzialność. Jeśli nie, szybko i brutalnie panu o tym przypomnę, kiedy zasiądzie pan w Radzie. Och, i zapomniałem powiedzieć: gratuluję.

* * *

– Nie doceniliśmy ich – rzekł Slvasta. – I to bardzo, na Uracusa.

Po wyjściu z klubu Westergate poszedł po Bethaneve do archiwum przy ulicy Wahren i razem udali się prosto do domu w Ogrodach Tarletona, gdzie nadal mieszkali Javier i Coulan.

– Kogo? – zapytał Javier.

– Kapitana, pierwszego oficera. Establishment. Szczególnie Trevene’a. Uracusie! – Zaczął krążyć po pustym mieszkaniu. – Wiedzą wszystko!

– Co wiedzą? – zapytał Coulan.

– Gelasis mi powiedział. Siedział tam z tym chytrym uśmieszkiem i powiedział mi. To ostrzeżenie. Śmieją się z nas. Wiedzą o wszystkim.

– Ale o czym? – spytała Bethaneve. – Skup się, proszę.

Slvasta spojrział na nią załamany.

– Wiedzą o tobie. Tak mi przykro.

– Co o mnie wiedzą?

– Że zażywałaś narnik. Jak się o tym dowiedzieli?

– W taki sam sposób, w jaki my wiemy, że siostrzeniec Trevene’a ma długi hazardowe. Albo że druga córka kapitana właśnie urodziła dziecko, a nie ma jeszcze szesnastu lat. O tym, że Gelasis i Trevene należą do Stowarzyszenia Travingtona. I że pierwszy oficer to kompletny czubek. Słuchamy, o czym szepcze ulica, i zadajemy pytania.

– Wiedzą, że pomagają nam Andricea i Tovakar, a więc także o Yannricie.

– Znają nazwiska wszystkich członków partii i związku zawodowego. Wiedzą, którzy z nich są działaczami. Listy nazwisk i szafki i z ich aktami zajmują cały jeden poziom biura Trevene’a. Wiesz, które to: tajna kwatery przy Grosvner Place pięćdziesiąt osiem, mająca sześć poziomów podziemnych kondygnacji i zajmująca budynki po obu stronach. – Podeszła do niego i złapała go za rękę, zatrzymując. – My wiemy o nich wszystko, a im się tylko

wydaje, że wszystko o nas wiedzą. Wydaje im się, że jesteśmy idealistami próbującymi wywalczyć sprawiedliwość dla ubogich za pomocą głosowania i agitacji. Nic więcej nie wiedzą. Nie mają pojęcia, jak rozbudowana jest nasza organizacja. Na pewno nie znają naszych planów. Nie wiedzą, że wkrótce zginą, a my zmieciemy cały ten ich zgniły reżim.

Slvasta spojrział na nią, a potem na tamtych dwóch. Widząc ich spokojne, zatroskane twarze, zrobił głęboki wdech i skinął głową.

– W porządku. Przepraszam. Po prostu był tak cholernie pewny siebie.

– Nie potrafi inaczej – rzekł Coulan. – Ludzie zawsze mu ustępowali. Nikt nie rzucił wyzwania pałacowi od czasu buntu na Jaśminowej Alei, a i ten nie był żadnym zagrożeniem. Dotychczas mieli do czynienia tylko z grupkami radykałów i bandziorami z Shanties, którzy nie mieli pojęcia, co robią. Nie jest w stanie pojąć, czym jest nasza organizacja.

– Jednak ten wybuch jest poważnym problemem – powiedział Javier. – Nasi ludzie zaczynają się niecierpliwić. Nie jestem pewny, czy zdołamy dłużej utrzymać ich w ryzach. Chcą działać.

– Uzgodniliśmy, że za miesiąc – powiedział Coulan.

– Tak. Termin nam odpowiada. Tylko co z naszymi towarzyszami? Oni nie znają planu. Nie wiedzą, jak wielka jest stawka. Oni wiedzą tylko, że Jedność Demokratyczna w końcu zdobyła kilka mandatów w wyborach i nic się nie dzieje. Kapitan nawet przełożył inaugurację działalności Rady, pokazując w ten sposób, co myśli o demokracji. Zmobilizowaliśmy tysiące ludzi, obiecując im głębokie zmiany, na które nadal czekają. Ci idioci z komórki dwudziestego ósmego poziomu, którzy podłożyli bombę w składzie oleju, będą najmniejszym z naszych problemów, jeśli nie pokażemy członkom naszej organizacji jakichś zdecydowanych działań. Bo jeśli zaczną bez nas i bez skoordynowanego planu, wszystko przepadnie. Organizacja się rozleci. Policja kapitana i szeryfowie ją rozszarpią. My zapewne będziemy musieli udać się na wygnanie. Cały ruch zostanie rozbity. Przegramy. To będzie koniec.

Wszystko, co Javier mówił, miało sens. Jednak... Slvasta wciąż się wahał. Jeśli to zaczną, nie będzie odwrotu – tylko zwycięstwo lub klęska.

– Bethaneve? Czy możemy zacząć?

– Nie ma żadnych praktycznych przeciwwskazań. Mieliśmy poczekać miesiąc, żeby zdobyć polityczne wpływy i zapewnić ci wiarygodność w Radzie Narodowej. Ale skoro Rada Narodowa jeszcze nie zaczęła działać, teraz ma to drugorzędne znaczenie.

– Kapitan zainauguruje działalność Rady za trzy dni, jeśli nikt niczego nie podpali. Czy możemy być gotowi, żeby tego wieczoru rozpocząć realizację pierwszej części planu?

– Tak.

– Musimy odczekać co najmniej tydzień pomiędzy pierwszą częścią a drugą – ostrzegł Coulan. – Ludzie muszą dotkliwie odczuć brak dostaw wody. Muszą się upolitycznić. Potem, kiedy będą dostatecznie rozgniewani, przerazimy ich drugą częścią planu.

– I wyprowadzimy ludzi na ulice – powiedział Javier.

Podszedł do Bethaneve i Slvasty, po czym objął ich muskularnymi rękami. Coulan dołączył do tego uścisku.

– Razem jesteście silni – powiedziała Bethaneve.

– Razem staniemy – dodał Coulan.

– Razem zwyciężymy – rzekł Javier.

– Nigdy się od was nie odwrócę, moi przyjaciele – obiecał Slvasta. Mocno ich wszystkich uściskał. – Razem mamy potrzebną do tego odwagę. A teraz... wyzwólmy ten świat.

TRZY

Oranżeria hotelu Hevlin ciągnęła się wzdłuż jednego boku ładnego głównego dziedzińca, na którym szmerały fontanny, a figowce tworzyły wysoki baldachim chroniący przed palącym słońcem. Stolik, za którym siedziała Kysandra, znajdował się przy samej szybie i przez otwarte górne okna wpadał przyjemny wietrzyk. Na śnieżnobiałym obrusie rozłożono lśniące srebrne sztucce, a kryształowe puchary skrzyły się w smugach słonecznego światła. Madeline podała rybną przekąskę – wędzonego madorsza zawiniętego w liście kall i skropionego sokiem z limonki.

– Smacznego – powiedziała Madeline tonem świadczącym o znajomości rzeczy.

– Dziękuję – odparła spokojnie Kysandra.

– Może jeszcze wina?

– Dla mnie nie.

Spojrzała nad stołem na swojego towarzysza.

Deavid uśmiechnął się wesoło.

– Nie, dziękuję.

– Pani... – Madeline skłoniła się i odeszła.

Kysandra miała nadzieję, że Deavid nie zauważył samozadowolenia Madeline. Za każdym razem, gdy to się działo, Kysandra mimowolnie zastanawiała się, czy dominacja Nigela nie zaczyna słabnąć. *W końcu spędziłam ostatnio sporo czasu, leżąc na plecach w pokojach hotelu Hevlin – tylko niezupełnie tak, jak planowały ona i Ma.* Pomyślawszy to, uśmiechnęła się nad stołem do przystojnego Deavida. Odpowiedział zachwyconym uśmiechem. Poznali się pięć miesięcy temu. On był dwudziestodwuletnim, najmłodszym synem rodziny właścicieli sporego zakładu stolarskiego w Jaxtowie, pięćdziesiąt kilometrów na południe. Ponieważ w ciągu dwóch ostatnich lat Adeone przeżywało okres prawdziwej prosperity, był jednym z wielu biznesmenów przybywających do miasta w poszukiwaniu nowych rynków zbytu. Był zawodnikiem drużyny piłki nożnej Jaxtowie, co trzymało go w dobrej formie, a kiedy przesuwiała palcami po jego ciele, hebanowa skóra była cudownie gładka w dotyku. I co najlepsze, potrafił ją rozśmieszyć. Jego wesoły, lekko arogancki sposób bycia stanowił rzadkość u młodzieńców, których spotykała, najczęściej rozpaczliwie poważnych przyszłych

biznesmenów lub przedsiębiorców. Pnących się po szczeblach kariery – albo tylko myślących, że się pną.

Deavid przekonał ojca, że powinni otworzyć w mieście biuro, z nim jako menedżerem. A Kysandra nagle znalazła mnóstwo powodów do odwiedzania Adeone i nadzorowania przepływu towarów potrzebnych manufakturze w zabudowaniach farmy oraz działalności radykalnych ugrupowań, utworzonych tu przez Nigela i ZANdroidy.

Tym zajmowała się rano. Popołudnia spędzała z Deavidem w apartamencie hotelu Hevlin, wypróbując nowe sposoby wykorzystania wielkiego łóża do ich miłosnej gimnastyki.

– To jest pyszne – powiedział.

– Łapią madersze w słodkowodnym zalewie w górze rzeki. To miejscowa specjalność.

Podniósł widelec z nabitym nań różowym plasterkiem doskonale przyrządzonej ryby.

– Możesz zostać na noc?

Powoli wystawił język i zlizął kawałek ryby z widelca.

– Może dam się namówić. Jutro po południu mam kilka spotkań, które mogę przełożyć na rano.

– Naprawdę potrzebujesz wymówki?

– Nie. Staram się być praktyczna.

– Oczywiście, nie musiałabyś być praktyczna i nie potrzebowałabyś żadnych wymówek, gdybym wprowadził się na farmę. Wtedy moglibyśmy spędzać razem każdą noc.

Popatrzyła na jego wyczekującą minę i poczuła, że opuszcza ją pogodny nastrój.

– Deavid...

– Wiem: twój opiekun na to nie pozwoli. Dziwne, zważywszy na to, że najwyraźniej nie ma nic przeciwko temu, abyś spędzała ze mną w mieście tyle czasu, ile chcesz.

– Nie w tym rzecz.

– Naprawdę chciałbym cię odwiedzić. Wszyscy furmani, którzy tam jeżdżą, mówią, że ta farma to prawie jak całe miasto.

– Mamy kilka dodatkowych stajni do produkcji, to wszystko. Konikiem Nigela jest produkowanie rzeczy, które ma nadzieję kiedyś sprzedać, i sami obsługujemy silniki maszyn.

– Naprawdę? Mówią, że na farmie pracują setki modów. I że każdego dnia cała karawana wozów dowozi tam towary. Przedziwne rzeczy, skrzynie z różnymi minerałami. Beczki pełne Giu wie czego.

Kysandra odłożyła nóż i widelec.

– Paszy dla neutów i metali do wytopów. Tego rodzaju rzeczy.

– Słuchaj, ja nie narzekam. Uważam za cudowne to, co zrobił Nigel, ożywiając handel i przemysł w mieście. Cały region na tym skorzystał. Jednak to tak, jakbyś nie dopuszczała mnie do jakiejś części siebie.

O mało nie jęknęła. Obojętnie ile razy powtarzała na początku: „To tylko zabawa, nie chcę teraz żadnych poważnych związków”, i nieważne, że oni zawsze ochoczo zgadzali się na ten warunek, zawsze w końcu stawali się bardziej wymagający i zaborczy.

- Czy to, co mamy, ci nie wystarcza?
- Och, Giu, tak. Przepraszam, Kysandro. Ja tylko...

Nie mów tego! Nie!

Chociaż jej osłona była twarda jak skała i nie odsłaniała żadnych uczuć, widocznie wyczuł, że wszystko psuje.

- Ja tylko chcę cię widzieć jak najczęściej – dokończył niezręcznie.
- Nie sądzę, żeby zostało coś, czego nie widziałeś.

Uśmiechnął się, ale widziała, że z przymusem. Teraz dobry humor zupełnie ich opuścił. Oboje nie wiedzieli, co powiedzieć. Zastanawiała się, czy mówić mu o bieliźnie przysłanej z Varlanu, którą zamierzała włożyć dla niego dziś po południu. To zawsze uszczęśliwiała mężczyzn. *Tylko dlaczego to ja mam zawsze ratować sytuację, a nie on?* Na tym polegał problem; zarażona przekonaniem i poglądami obywateli Wspólnoty, nie mogła znaleźć na Bienvenido kogoś, kto by spełniał te oczekiwania. *Może moglibyśmy porozmawiać o wyborach i o tym, jak Jedność Demokratyczna zdobyła mandat w Radzie Narodowej.* Kolejne spojrzenie na Deavida ujawniło, że byłoby to bezcelowe. Miejscowi nie znali się na polityce i nie interesowało ich, co się dzieje w stolicy. Bo i po co? To ich nie dotyczyło. A przynajmniej tak sądzili.

Jak on zareaguje na wybawienie? Jak oni wszyscy sobie z tym poradzą? Ja ledwie pojmuję, co to będzie oznaczało, a zastanawiam się nad tym od lat.

W nieco niezręcznym milczeniu kończyli rybę, gdy Russell przysłał jej wiadomość. „Powóz kurierski Gorlara jedzie do miasta. Jedzie szybko”.

Kysandra natychmiast przestała jeść. Powóz kurierski miał przyjechać dopiero jutro. Musiało się zdarzyć coś bardzo ważnego, skoro wysłano go poza harmonogramem. *Wielki Giu, chyba nie zgarnęli ludzi Coulana, co? Slvasta zdobył swój mandat, do licha. Wszystko szło doskonale.*

- Muszę iść – powiedziała Deavidowi.

– Nie! Proszę, przepraszam. Nie powinienem prosić cię o zgodę na zamieszkanie z tobą na farmie. To było głupie.

Wstała.

– To nie ma z tym nic wspólnego. Moja matka dostała bóleści, więc muszę tam jechać i coś z tym zrobić. Znowu.

- Och. – Poczzerwieniał. – Oczywiście.
- Zobaczymy się wieczorem – obiecała.

Uśmiechnął się nerwowo. Wyraźnie miał wiele do powiedzenia, ale trzymał język za zębami.

- A więc do wieczora.

Kysandra była dumna z tego, że utrzymała nieprzenikliwą osłonę. Nawet jeśli ta wiadomość jest nieistotna i spędzą tę noc razem, wkrótce wszystko się zmieni. W ciągu miesiąca wydostaną tę straszliwą broń z pałacu. Nigel wystartuje na „Gwiezdznej Damie” i

zaatakuję strukturę Pustki. Nadal uważała całą tę misję za szalenie niebezpieczną, pomimo jego zdolności resetowania Pustki. Jeśli jednak – ach, żeby, żeby – miał rację, jeśli naprawdę wiedział wszystko, to nie będzie już Pustki i Bienvenido będzie wolne. Jednak wszystko zależało od tego, czy wydarzenia w Varlanie przebiegną gładko i zgodnie z planem, przynajmniej przez kilka dni.

Czekała z Russellem przed zajazdem na skraju miasta. Ten stał w dogodnym miejscu na końcu niedawno odnowionej nabrzeżnej drogi obsadzonej wysokimi pierzastymi palmami. Firma Deavida dostała zlecenie na budowę szkieletu ostatniej stajni i chociaż ten okazał się nie takiej jakości, jaką obiecywano, Kysandra nie zgłaszała zastrzeżeń. *To tylko na parę miesięcy.*

Powóz kurierski wyłonił się zza zakrętu nabrzeżnej drogi. Georzel Russella widział go już pięć mil stąd i rzeczywiście: Gorlar jechał szybko. Koń miał płaty piany na bokach, oszalałe ślepie i galopował, jakby ścigała go sfora dzikich psów.

Gorlar zjechał z nowo utwardzonej nawierzchni drogi i zwolnił, gdy koń podjeżdżał do szerokiej bramy zajazdu. Ładny powóz był zaprojektowany przez Nigela – wąski i zrobiony ze wzmocnionego żywicy drojedwabiu, łączącego wytrzymałość z lekkością, zredukowany do ramy z siedzeniem nad osią. Ludzie byli zdumieni, jak szybko ten pojazd pokonywał odległość dzielącą Adeone od Erнду, szczególnie teraz, po odnowionej drodze. Już dwa lata temu Nigel doszedł do wniosku, że w pilnych sprawach podróż rzeką, będąca najczęstszym sposobem podróżowania między tymi dwoma miastami, trwa o wiele za długo, tak więc poprzez swoje coraz szersze handlowe kontakty lobbował za naprawą drogi i nawet trochę zdominował miejscowych radnych.

Teraz nawierzchnia była równa i solidna, a nowo zbudowane lub wyremontowane mosty zapewniały bezpieczną podróż. W miastach na trasie postawiono nowe stajnie, w których kurierzy mogli zmieniać konie. Nigel nazywał to „końskim ekspresem”.

– Pani – powiedział Gorlar, zeskakując z kozła. Był zdyszany i zarumieniony po szalenczej jeździe z Erнду. Wetknął ręce do skórzanego worka i wyjął bładoniebieską kopertę. – Wysłany wczoraj z Varlanu – oznajmił dumnie.

– Dziękuję.

Kysandra wzięła od niego list. Wielka woskowa pieczęć na odwrocie była nietknięta. Chociaż to nie miało najmniejszego znaczenia.

– Wyobraź to sobie – rzekł Gorlar do Russella. – List ze stolicy dotarł tu w niecałe dwa dni.

– Taak. Wyobrażam sobie – powiedział Russell z kompletnym brakiem zainteresowania.

– Zaraza! – zakląła Kysandra, zastygła w trakcie otwierania koperty.

List i to, co napisał w nim Coulan, było nieistotne. Papier zawierał maleńki bioczip pamięci, który odczytał jej u-adiunkt. Wiadomość od Coulana była jasna. Sytuacja polityczna ulegała szybkiej destabilizacji: będą zmuszeni zacząć wcześniej.

– Co... – zaczął Russell.

Kysandra uciszyła go, unosząc dłoń, i zamknęła oczy, zastanawiając się. Zamierzali rozpocząć pierwszą fazę operacji, kiedy kapitan zainauguruje działalność nowej Rady Narodowej, a ten list szedł tutaj prawie dwa dni. Tak więc został zaledwie dzień, nim organizacja odetnie dostawę wody do Varlanu. *Jeden dzień!* A jeszcze podczas lunchu myślała, że mają kilka tygodni. Teraz miała bardziej ograniczone możliwości, ale musiała dokonać wyboru. Czas uciekał, a Nigel był na farmie, odległej o parę godzin podróży. *Coulan potrzebuje potwierdzenia, że jesteśmy gotowi do przejścia broni ukrytej pod pałacem. Zatem...*

– Dobrze – warknęła. – Gorlar, weź świeżego konia; pojedziesz na farmę Blairów z listem do Nigela. Russell, to samo dotyczy ciebie. Chcę, żebyś o ósmej trzydzieści siedział w ekspresie jadącym do Varlanu.

Russell się skrzywił.

– Mało czasu.

– Wiem, zatem ruszajmy.

– Nawet nie otworzyła pani listu – zaprotestował Gorlar. Był jednym z ich zwyczajnych pracowników. Oddany Nigelowi, ale niezdominowany, więc czasem zadawał pytania.

– Znam ten charakter pisma – odparła bez namysłu. – To list od starego znajomego i może oznaczać tylko jedno, niestety. To ważna wiadomość. Tak więc musisz jechać najszybciej, jak możesz. Nigel musi otrzymać mój list dziś po południu.

– Tak jest. Może pani na mnie polegać.

Niemal zasalutował.

* * *

Kysandra miała dość czasu, żeby zmienić suknię na praktyczne dzinsy, białą bluzkę i zamszowy żakiet oraz mocne buty, a do tego wszystkiego długi do kostek płaszcz z cienkiej skóry. W małym plecaku miała kilka zapasowych rzeczy oraz podstawowy zestaw gadżetów Wspólnoty. Znowu czuła się podróżującą poszukiwaczką przygód.

Cztery godziny po tym, jak wysłała Gorlara na farmę, usłyszała, jak to coś ze szczękiem zbliża się drogą. *No, będzie ciekawie* – pomyślała, wychodząc ze stajni.

Madeline stała z nią na podwórzu stajni, również w stroju podróżnym i z twarzą rozpromienioną radosnym uśmiechem.

– Jedzie tym.

– Wiem. Nic innego na tym świecie nie robi takiego hałasu.

Patrzyły na drogę, która dzięki rosnącym po obu stronach prastarym cedrom była właściwie zielonym tunelem. Rytmiczne pobrzękiwanie i posykiwanie sprężonej pary odbijało się echem od pni i konarów. Kysandra telepatycznie ujrzała go, zanim znalazł się w polu widzenia. Na jej twarzy pojawił się uśmiech identyczny jak u Madeline.

Nigel jechał samochodem na parę z prędkością około osiemdziesięciu kilometrów na godzinę, z Fergusiem siedzącym na fotelu pasażera. Dym z paleniska pod zbiornikiem wody

buchał z tyłu pojazdu niczym szary płomień i zostawał kłębamii na drodze. Koła z grubymi niskociśnieniowymi oponami obracały się szybko, dając zawieszeniu sporo pracy. Dwa konie spokojnie pasące się przy drodze natychmiast się spłoszyły i czmychnęły za linię cedrów. Wozy i bryczki pospiesznie zjeżdżały na boki. Kysandra wyczuwała płynącą z miasta silną falę telepatycznego zaciekawienia tym niezwykłym pojazdem.

To był piękny widok. Przez ostatnie pięć miesięcy spędziła wiele godzin w warsztacie, pomagając przy budowie pierwszych modeli. Mod-karzeł też mógłby wykonać tę pracę, skręcając części, młotkując, a nawet malując kadłub, ale ona bardzo chciała mieć w tym swój udział. Samochód parowy był zapewne najbardziej skomplikowaną maszyną skonstruowaną na Bienvenido przez ostatnie tysiąc lat. Stworzyli dwa prototypy, sprawdzając układ grzewczy, a potem skonstruowali trzy działające modele.

– Technologiczny ślepy zaułek – podsumował je Nigel. – Tak jak sterowce i parowce. Jednak romantycy nigdy z nich nie zrezygnują. We Wspólnocie zawsze znajdują się entuzjaści, którzy je zbudują. Są takie sugestywne, jakby pochodziły z alternatywnej rzeczywistości.

Była niemal urażona tym, że nazwał ten wspaniały pojazd ślepym zaułkiem. Jazda nim po farmie była upajającym przeżyciem. Miał dwa siedzenia z przodu i trzy z tyłu, a wszystkie je można było nakryć składanym brezentowym daszkiem, gdyby zaczął padać deszcz.

Samochód wjechał na dziedziniec stajni, strasząc konie w boksach. Zatrzymał się, pozostawiając głębokie koleiny w wilgotnej ziemi. Nigel pospiesznie wysiadł; poły długiego brązowego płaszcza powiewały wokół jego nóg, gdy zsunął gogle na czoło, odsłaniając białe kręgi skóry wokół oczu; resztę jego twarzy pokrywała sadza i krople oleju pryskającego z silnika.

– Co się stało?

– Wiadomość od Coulana – odparła. – Radykałowie się niecierpliwią. Będą musieli zacząć wcześniej.

– Kiedy?

– Pierwsza faza ma się zacząć jutro.

– Do diabła. W tak krótkim czasie nie zdążymy nic zrobić.

– Nie martw się. Wysłałam Russella ekspresem.

– Którym?

– Tym o ósmej trzydzieści do Varlanu. Dotrze do stolicy jutro rano.

Nigel spoglądał na nią przez chwilę.

– W porządku. I co Russell zrobi, kiedy tam przybędzie?

– Ma list do Coulana.

– Ach tak! I co w nim jest?

Zmarszczyła brwi.

– Potwierdzenie, że tam będziemy, i polecenie aktywowania grup mających asystować w drugiej fazie. Russell powie także Akstanowi, żeby przygotował dla nas wszystko w Dios, a

następnie skontaktuje się z naszym zawiadowcą stacji Willesden, aby mieć pewność, że Południowa Linia Miejska jest chroniona.

Ostona Nigela nieco osłabła, pozwalając jej wyczuć lekkie rozbawienie zabarwiające jego myśli – oraz stalową nutę dumy.

– Zatem wyraziłaś zgodę?

– Co?

Położył dłonie na jej ramionach, patrząc jej w oczy.

– Wyraziłaś zgodę? Kazałaś Coulanowi rozpocząć rewolucję?

– Cóż, najwyraźniej. Russell po prostu musiał wsiąść do tego ekspresu o ósmej trzydzieści. Nie miałam czasu skonsultować się z tobą. Dlaczego pytasz?

– Zdajesz sobie sprawę, że teraz już nie ma odwrotu? Wystrzeliłaś z pistoletu startowego, a ten wystrzał będzie słyszany na całym Bienvenido. Prawdę mówiąc, w całej galaktyce.

– Och. No tak. Chyba tak.

Pocałował ją w czoło.

– Moja dziewczyna. Żadnych wątpliwości. Żadnych wahań.

– Nigel, to nie była decyzja. Przygotowywaliśmy się od czasu wyprawy na Pustynię Kości.

– Masz rację – rzekł raźnie. – Madeline, ten samochód potrzebuje węgla i wody; każ stajennym je przynieść, i to szybko. Fergus, pokażesz im, co mają robić. Potem pojedziesz z nami.

– Tak jest, proszę pana.

– Zatrzymamy się na noc w Dios i załadujemy nasz sprzęt do ekspresu odjeżdżającego jutro rano.

– Tak właśnie myślałam – rzekła Kysandra. – Akstan dostarczy wszystko z magazynów na stację w Dios. – Zerknęła na dziedziniec stajni. Na ulicy przed nią zbierali się ludzie pragnący zobaczyć na własne oczy zdumiewający pojazd na parę. W tłumie było wiele dzieci. – Teraz już naprawdę nie ma odwrotu, no nie?

– Nie ma.

* * *

Zacząło się kilka minut po północy. Silnik parowy w stacji pomp przy alei Holderness nagle stracił ciśnienie w jednym z tłoków i zatrzymał ogromne koło napędowe, które obracał. Zawory bezpieczeństwa zadziałały doskonale, wypuszczając parę ze zbiornika i nie pozwalając na niebezpieczny wzrost ciśnienia. Pompa, terkocząc powoli, zatrzymała się. Ciśnienie wody w całej dzielnicy spadło do zera.

W stacji pomp przy ulicy Hither Green zepsuła się sama pompa, z łożyskami zatartymi i zniszczonymi przez piasek w smarze. Kawalki rozżarzonego metalu przeleciały przez wielką halę, wbijając się w kamienne ściany i przebijając dach. Ciśnienie rozerwało kilka rur i trysnęły strumienie wody. Po kilku minutach zalały palenisko unieruchomionego silnika,

gasząc go w chmurze pary, która wybiła wszystkie szyby. Woda nadal płynęła, wylewając się kaskadą na drogę.

W stacji pomp przy Chertsey Road zawiódł regulator obrotów, pozwalając, by poruszające pompę tłoki obracały się coraz pręcej. Ciśnienie w rurach dramatycznie wzrosło. Przyłącza zaczęły przeciekać, fontannami wody zalewając ulice, a ciśnienie wyrwało zawory zbiorników w domach.

Ten efekt domina był przygotowany metodycznie. Jeden taki incydent nie zdołałby zniszczyć sieci wodociągowej Varlanu, ale skumulowane działanie wzrostu i spadku ciśnienia wpłynęło na działanie kolejnych przepompowni, wymuszając ich wyłączenie lub powodując poważne zniszczenia.

Gdy pobór wody przez miasto drastycznie zmalał, zbiorniki Watling, Highbrook i Ruslip otworzyły śluzy, aby utrzymać prawidłowy jej poziom. Miały otworzyć się tylko trochę, lecz otworzyły się zupełnie. Potężne strumienie wody wypłynęły z rykiem. Gdy nieliczne ekipy pracujące na nocnej zmianie próbowały je zamknąć, mechanizmy się zepsuły, blokując wrota. Fala wody rwała awaryjnymi kanałami powodziowymi do Colbal. Jednak te kanały łączyły się i nie były zaprojektowane na przyjęcie trzech jednoczesnych zrzutów. Spieniony nurt przelał się przez brzegi kanałów, zmieniając ulice w rzeki, zatapiając tarasy, biura i fabryki.

Do szóstej rano dwie trzecie Varlanu nie miało bieżącej wody, a ta zrzucona z trzech zbiorników zalała niżej położone dzielnice przy rzece. Nieczystości wypłukane z kanałów ze wzburzoną i pełną wirów wodą wpływały do budynków.

* * *

– To robota radykałów! – oznajmił radny z okręgu Durnsford, gniewnie spoglądając na Slvastę ze swojego fotela przy podium marszałka. – Uważam, że szeryfowie powinni ich wszystkich aresztować i wysłać do kopalń.

Jego słowa przyjęto burzliwym aplauzem w ogromnej marmurowej sali. Środkowa część budynku Rady Narodowej Bienvenido była wielkim amfiteatrem, w którym radni siedzieli przy rządach drewnianych biurek, ustanawiając prawa. Ściany były podtrzymywane przez grube żłobkowane kolumny i obwieszane obrazami olejnymi przedstawiającymi pierwsze tysiąclecie tego świata. Posągi dawnych kapitanów i przewodniczących Rady spoglądały ze swych wysokich wnęk na sześciuset radnych. Pięciuset dziewięćdziesięciu dziewięciu z nich było członkami Obywatelskiego Świtu. To jednak, jak Slvasta odkrył podczas prowadzonej przez kapitana ceremonii otwarcia, wcale nie oznaczało jedności. W Radzie nieustannie ścierały się różne tymczasowe sojusze żądające „należnej części” narodowego budżetu. Miasto z wsią, finansiersi z przedsiębiorcami, prowincja ze stolicą, koleje z żegluga, farmerzy z regimentami. Wszyscy mieli swoje interesy, których bronili, oraz pilne projekty wymagające sfinansowania i poparcia. Wszystko to było o wiele bardziej demokratyczne (a przynajmniej zrównoważone), niż Slvasta przypuszczał. Pierwszego dnia zwróciło się do

niego pięć różnych frakcji z propozycją wsparcia każdej jego inicjatywy zgłoszonej Radzie, w zamian oferując głosowanie za ich ustawą.

Teraz jednak wszyscy zapomnieli o dzielących ich różnicach, żeby zgodnie go potępić. Wrzucił czerwoną kulę wielkości pięści do stojącej na jego biurku misy, sygnalizując chęć zabrania głosu.

Przewodniczący podniósł się ze swego rzeźbionego onyksowego tronu na dole amfiteatru.

– Głos ma przedstawiciel Langley; proszę o ciszę i szacunek. Idąc przejściem, aby stanąć na mównicy obok podium przewodniczącego, Slvasta nie doczekał się ani jednego, ani drugiego.

– Cisza! – Głos i przekaz przewodniczącego Rady rozszedł się po całej sali.

– Panie przewodniczący. – Slvasta skłonił się mu, zgodnie ze zwyczajem. Popatrzył na rzędy biurek, w większość z żółtymi kulami wyzwania w misach. Skierowana ku niemu pogarda i uraza była jak psychologiczna burza. – Mój szanowny kolega z Durnsfordu rzucił poważne oskarżenie. Naprawdę nie dbam o ten oszczerczy zarzut współudziału; jednak wyrządza ogromną krzywdę ludziom, którzy po prostu opowiadają się za lepszym życiem. Twierdzi, że radykałowie są odpowiedzialni za tę katastrofę, która spadła na naszą piękną stolicę. Może nam powie, która stacja pomp została zdaniem szeryfów uszkodzona na skutek sabotażu? Oczywiście nie powie, gdyż wszyscy wiemy, że nie wydano takiego orzeczenia. Jesteśmy także świadomi, w jak opłakanym stanie są miejskie wodociągi od bardzo wielu lat. Czy firmy, których własnością są te instalacje, ważne dla nas wszystkich, zarówno bogatych, jak i biednych, w ostatnich dziesięciu latach unowocześniły swoje sieci i pompy? Czy wysłuchały próśb swoich inżynierów o fundusze i naprawy? Czy ich ogromne zyski zostały mądrze zainwestowane w nowe urządzenia, które złagodziłyby dotkliwość takiego problemu, z jakim teraz mamy do czynienia? Czy ci sami członkowie tej szacownej izby, którzy teraz tyle wiedzą o rurach, silnikach i zbiornikach, przeprowadzili w tej sprawie jakąś dyskusję lub dochodzenie? Oczywiście, że nie. Ponieważ samozadowolenie stało się dewizą *Bienvenido*, czego smutny przykład daje ta izba. I za to ta izba musi wziąć odpowiedzialność.

Zgiełk wokalnych i przesyłanych inwektyw był ogłuszający. Przewodniczący przez ponad minutę musiał uciszać salę, zanim szacowni przedstawiciele zamilkli.

– Powtarzam moje pytanie – rzekł Slvasta, gdy hałas ucichł. – Czy ktoś może nazwać to sabotażem? Nie. To była katastrofa, która musiała się zdarzyć. Mówię to wam, moi szanowni koledzy, nie próbujcie zrzucać winy na innych; zamiast tego szukajcie jej tam, gdzie ona jest naprawdę. Każde bezstronne dochodzenie odkryje, na kim naprawdę spoczywa odpowiedzialność za to nieszczęście. Jeśli nastąpią aresztowania, to powinny one objąć tych, którzy są właścicielami sieci wodociągowej i wykazali się takim niedbalstwem i chciwością.

Ponownie skłonił się przewodniczącemu i wrócił przejściem na swoje miejsce. Tym razem nie było szyderstw, tylko ponure spojrzenia. Kilka żółtych kul wyjęto z mis.

– Doskonale – doszło do niego przesłanie Bethaneve, gdy usiadł za biurkiem. – Odrzuciłeś oskarżenie i zdobyłeś punkty. Każdy odbierający przekaz urzędnika Rady będzie wiedział, że stanąłeś w obronie ludzi.

Następny mówca, radny z Wurzen, domagał się, by regionów nie opodatkowywać na naprawę uszkodzonych stołecznych instalacji. Slvasta obserwował go z rosnącym szacunkiem – ktoś próbował bronić swoich wyborców.

– Myślę, że trzeba będzie więcej niż jednego przemówienia, aby ich przekonać.

– To doskonały początek, którego chcieliśmy.

– Ponadto, kto przejmuje się przekazami z posiedzeń Rady? Obserwowanie mod-pająków wydzielających drojedwab jest mniej nudne.

– Nie bądź takim pesymistą. Ulotki nagłośnią tę sprawę. Na Uracusa, Slvasta, musisz się skupić.

– Tak – westchnął. – Wiem.

* * *

Varlan był węzłem kolejowym wszystkich czterech głównych linii: wielkiej północno-zachodniej, południowej miejskiej, wschodniej transkontynentalnej oraz wielkiej południowo-zachodniej, a każda z nich wychodziła z miasta mniej więcej zgodnie z takimi wskazaniem kompasu. Chociaż ważne, pociągi pasażerskie stanowiły zaledwie piętnaście procent ruchu; resztę tworzyły pociągi towarowe, niezauważalne przez większość mieszkańców. Generowały rozwój handlu, przywożąc surowce dla fabryk i wywożąc wyroby do najdalej położonych prowincji. Były ekonomicznymi arteriami miasta, a ponadto dostarczały większość żywności na targowiska i do domów. Slvasta zrozumiał, jak istotną pełnią rolę dla przetrwania Varlanu, kiedy został zniszczony most na Josi. Linie kolejowe były słabym punktem; ten, kto kontrolowałby transport towarów do i z miasta, mógłby dyktować warunki. Oczywiście, rząd też o tym wiedział i dlatego każda taka próba spotkałaby się z szybką i brutalną odpowiedzią. Tak więc potrzebna była blokada, której usunięcie zajmie sporo czasu – awaria, którą da się przedłużyć małymi strategicznymi uderzeniami.

Wybrano do tego komórki z górnych poziomów organizacji: ludzi zwerbowanych na samym początku, którzy wielokrotnie dowiedli swojej lojalności i oddania sprawie. Skrytki z bronią w końcu otwarto i rozdano materiały wybuchowe. Dziewięć grup spotkało się po raz pierwszy późnym popołudniem pięć dni po przerwaniu dostaw wody dla Varlanu. Wszystkie wyjechały ze stolicy wozami, które dowiozły ich do mostów kolejowych, nie tylko tych czterech głównych linii, ale także pobliskich bocznych, które można by wykorzystać jako alternatywne szlaki dostawcze dla Varlanu.

Po zmroku wśliznęli się między podpory i łuki, rozmieszczając paczki z materiałami wybuchowymi dokładnie w tych miejscach, które im podano – a które według obliczeń „Gwiezdnej Damy” wymagały najmniejszych ładunków. O drugiej nad ranem zapalono lonty. Dziesięć minut później eksplozje uszkodziły siedem mostów.

Wieść dotarła do miasta, gdy jasne światło świtu padło na budynki i zalane wodą ulice. Tak jak poprzednio, to takie targowiska jak Wellfield ostrzegły przyjaciół i wspólników w interesach o wstrzymaniu ruchu pociągów. Zaczęto się rozglądać i zauważono dworce towarowe pełne pociągów, które powinny już odjechać. Robotników kolejowych wcześniej zerwano z łóżek i wpakowano do specjalnych składów, które powoli i ostrożnie pojechały po torach. Wezwano personel centrali i szybko porozwożono powozami na miejsca katastrof, żeby oszacować szkody. Postawiono na nogi głównych szeryfów we wszystkich okręgach; zebrali się w biurach Ministerstwa Sprawiedliwości, razem z najwyższymi urzędnikami państwowymi i zastępcą Trevene'a. Do siódmej rano cały Varlan wiedział, że mosty na północ, wschód i zachód od miasta zostały wysadzone. Nie zawały się, nie zostały zablokowane przez wykolejone pociągi, zerwane przez nagły przybór wód czy uszkodzone w wyniku wad materiałowych starzejących się konstrukcji. Zostały wysadzone. Ludzie, którzy pojechali tam i wrócili, dzielili się przekazami z całym miastem, potwierdzając zniszczenia. Jedynymi nadal otwartymi szlakami komunikacyjnymi były drogi, rzeka i południowa linia miejska.

– Nie mam odpowiedzi od nikogo – powiedziała zniechęcona Bethaneve. Siedziała przy kuchennym stole w apartamencie numer szesnaście Jaysfield Terrace i przyciskając palcami skronie, słała przekaz za przekazem do członków siatki. – Po prostu nie rozumiem, co się stało.

– Pociągi ze stacji Willesden odchodzą zgodnie z rozkładem – potwierdził Slvasta, odebrawszy przekazy, które przeszły przez skomplikowaną sieć łączności w całym mieście od pięciu różnych członków komórek w Willesden, wysłanych tam specjalnie w celu sprawdzenia, co robi i mówi zarząd Południowej Linii Miejskiej. – Firma od szóstej rano wysyła uspokajające komunikaty. Trzy grupy szeryfów wysłano do pilnowania najbliższych położonych mostów.

– Na Uracusa! Nie mogli schwytać wszystkich naszych grup sabotażowych... po prostu nie mogli. To nie ma sensu. Trevene albo wie o nas wszystko, albo nie. Nie aresztowałyby tylko dwóch grup, zostawiając pozostałe w spokoju. Gdzie oni są?

– Może uciekli. Albo mieli jakiś wypadek. Na tych wozach leżały sterty materiałów wybuchowych.

– To mi się nie podoba. – Po raz pierwszy Bethaneve okazywała niepewność. – Gdyby te wozy wybuchły, usłyszelibyśmy o tym.

– Zatem nie wybuchły. Może złamali koło albo koń się spłoszył i uciekł. Kto wie?

– Ja muszę to wiedzieć!

Chciał jej powiedzieć, żeby ochłonęła, ale wiedział, że to byłby błąd. Była okropnie zdenerwowana. I przerażona.

– Wkrótce się dowiemy. Przynajmniej nie zostali aresztowani.

– Skąd wiesz? – zawołała.

– Ponieważ nas nie aresztowano.

– Racja. Przepraszam.

– W porządku. – Wyciągnął rękę nad stołem i ujął jej dłoń. – Muszę iść.

Skinęła głową i opadające na twarz włosy zasłoniły jej przygnębioną minę.

– Uważaj.

– Będę, ale muszę być na posiedzeniu Rady Narodowej.

– Wszyscy są na stanowiskach. Przekażą twoją nieocenzurowaną wiadomość.

Objęli się. Czuł, jak drżała, i zakładał, że ona wie, iż on jest równie przestraszony pod najtwardszą z osłon, jakie kiedykolwiek utworzył. Telepatycznie widział Andriceę, Coulana i Yannritha czekających na nich w przedsionku na dole.

– Chodźmy – powiedział łagodnie. – Chcę wiedzieć, że jesteś w bezpiecznej kryjówce, zanim wygłoszę moją przemowę.

– Miejmy nadzieję, że będzie bezpieczna.

– Ha! I kto teraz jest cyniczny?

Uśmiechnęła się i przytuliła go mocniej.

– Proszę, bądź ostrożny.

– Ty też.

Dopiero po długiej chwili oderwali się od siebie.

Na dole schodów Coulan i Yannrith wyglądali na zamyślonych, podczas gdy Andricea była wyraźnie uradowana.

– Jak idzie? – zapytał Slvasta. On i Bethaneve byli tak zajęci mostami kolejowymi i przygotowaniem jego wystąpienia w Radzie Narodowej, że tę część operacji pozostawili Coulanowi i Javierowi.

– Rozprowadzanie przebiegło bardzo gładko – odparł Coulan. – Skrytki zostały otworzone dziś o czwartej rano i uzbroiliśmy większość członków trzeciego stopnia.

– Trzeciego stopnia? – zdziwił się Slvasta.

– Towarzyszy, którym naszym zdaniem można dać broń – wyjaśniła Bethaneve, gdy wychodzili na ulicę, gdzie czekały dwie dorożki. – W końcu nie możemy uzbroić wszystkich niezadowolonych. Tacy piechurzy narobiliby zamieszania, a nam potrzebna jest precyzja działań.

– Racja. – Slvasta zmarszczył brwi. Coś w tym, co powiedziała, go niepokoiło, ale nie wiedział co ani dlaczego. – A co ze snajperami?

Nie podobał mu się pomysł mordowania ludzi z premedytacją, ale pozostali go namówili.

– Wszyscy uzbrojeni i gotowi – rzekł Yannrith.

– No dobrze.

Spojrzał na Bethaneve, która stała, czekając przy dorożce – w prostej sukience koloru burgunda, z włosami upiętymi spinkami i troską malującą się na otwartej twarzy – i usilnie starał się zapamiętać ten obraz. Ponieważ jeśli wszystko weźmie Uracus, będzie to ostatni raz... Uśmiechnął się na tę pesymistyczną myśl.

Wzięła to za zachętę.

– Zobaczymy się wieczorem, ukochany.

– Do wieczora.

Coulan i Andricea wsiedli do dorożki z Bethaneve. Slvasta zamknął drzwi i koń szybko pokłusował ulicą, a mod-ptak Andricei śmigał w powietrzu wysoko nad nimi. Slvasta i Yannrith wsiedli do drugiego powozu i zamaskowali jego wnętrze.

– Zaraza! – mruknął Yannrith.

– Wiem. Sam codziennie zadaję sobie pytanie, czy to rzeczywiście się dzieje.

– Bardziej rzeczywiste już być nie może, kapitanie. Nie dziś.

Ich powóz w niezłym tempie jechał przez miasto. Z kobaltowego bezchmurnego nieba gorące słońce gniewnie spoglądało na stolicę. Slvasta nie wiedział, czy to dobrze wróży, czy nie. Poranne mgły znad rzeki zaczęły się szybko rozwiewać, znikając z szerokich bulwarów i alei. Odsłoniły głębokie kałuże i strumienie płynące środkiem ulic, wciąż niewyschnięte, chociaż minęło już sześć dni, od kiedy rury popękały, a zrzucana ze zbiorników woda zalała miasto. Teraz była cuchnąca i mętna, lekko parująca w porannym słońcu. Całe dzielnice nadal nie miały wody pitnej; mieszkający najbliżej rzeki nabierali ją wiadrami z nabrzeża i nosili do domów jak mieszkańcy Shanties. Do północnych dzielnic przywożono wodę beczkowozami, racjonując ją w ilości dwóch wiader na każde gospodarstwo domowe. W miarę jak poziom wody opadał, w pomieszczeniach i na ulicach pozostawała warstwa naniesionych przez nią nieczystości i mułu. Ekipy robotników dzielnicowych urzędów miejskich usiłowały uprzętać tę cuchnącą masę. Strażacy pomagali osuszać piwnice i tunele swoimi zamontowanymi na wozach pompami. Ludzie zaczęli mówić, że byłoby to znacznie łatwiejsze, gdyby mieli mod-małpy i karły do pomocy. Wszyscy technicy zatrudnieni przez firmy wodociągowe pracowali szesnaście godzin na dobę, usiłując naprawić sieć i wznowić dostawy wody.

Dwa dni temu kapitan Philius osobiście odwiedził najbardziej dotknięte katastrofą tereny. Nawet wysiadł ze swego powozu, żeby porozmawiać z mieszkańcami zalanych domostw i zrujnowanymi właścicielami firm, wyrażając im swoje współczucie. „Dobrze wiem, jak to jest; w pałacu też nie mamy wody” – powiedział, co było politycznie poprawnym łgarstwem; pałac miał własne źródło wody pitnej. Ponadto obiecał ukarać winnych oraz zmusić miasto i Radę Narodową do uchwalenia znacznie ostrzejszych przepisów, żeby ta sytuacja nigdy więcej nie mogła się powtórzyć.

Panująca w Varlanie atmosfera cierpienia i niechęci była równie dusząca i toksyczna jak smród nieczystości pokrywających grubą warstwą ulice. A teraz, gdy wśród mieszkańców rozeszła się wieść o uszkodzeniu mostów kolejowych, stoickie cierpienie zastąpił niepokój. Tego ranka kilka dużych targowisk zamknęło swoje bramy; bez przyjeżdżających pociągów nie było świeżej żywności na sprzedaż. Żywność w sklepach gwałtownie podróżowała i trudno było ją kupić. Te, które zostały otwarte, szybko ją wyprzedaly, chociaż większość sklepów pozostała zamknięta. Na dzielnicowych targowiskach zaczęły się gromadzić tłumy, coraz głośniej wyrażając swoje niezadowolenie na widok pustych straganów. Przybyli szeryfowie,

sprovokowani przez strategicznie rozmieszczonych członków organizacji. To, co początkowo było zaniepokojeniem i niezadowoleniem, zaczęło zmieniać się w coś groźniejszego.

Pod wpływem szoku wywołanego przerwaniem dostaw duże i małe firmy zaczęły uświadamiać sobie rzeczywisty wymiar problemu. Eter wypełniły słane przekazy. Przed bankami pojawiły się kolejki, formujące się jeszcze przed otwarciem. Gdy te kolejki wciąż się wydłużały, wezwano szeryfów do pilnowania porządku. Pierwsi klienci, którzy wpadli do środka, ledwie zdenerwowani urzędnicy otworzyli drzwi, podjęli znaczne kwoty. Banki nie trzymały dużych ilości gotówki w swoich oddziałach. Zgodnie z poleceniem Ministerstwa Skarbu, dyrektorom kazano ograniczyć wypłaty do pięćdziesięciu srebrnych szylingów na klienta. Mili przedstawiciele klasy średniej byli tym bardzo zirytowani. Aresztowano kilka osób. Oddziały próbowano zamknąć, ale ludzie sforsowali drzwi. Pospiesznymi przekazami wzywano więcej szeryfów.

Do dziesiątej rano tryby mechanizmu gospodarczego Varlanu zatrzymały się ze zgrzytem, co było wydarzeniem bezprecedensowym. Niewiele trzeba do wybuchu rewolucji. Strach to stan, który łatwo wykorzystać.

– Wiedziałeś o stopniowaniu członków? – zapytał Slvasta, gdy powóz dotarł do centralnej dzielnicy rządowej. Tu ulice były przejezdne i czyste, nietknięte przez powódź i zamieszanie, co, rozmyślnie lub nie, zwiększało niechęć przechodniów.

– Kapitanie? – zdziwił się Yannrith.

– O tym, że ocenia się członków organizacji pod kątem znalezienia najbardziej zaufanych?

– Wiedziałem, że wyszły instrukcje mające pomóc w podjęciu decyzji, komu wydać broń. Bethaneve ma rację: nie można jej dać każdemu. Dlaczego pan pyta?

Pokręcił głową.

– Nie wiedziałem. Albo zapomniałem o tym; Giu wie, że tyle planowaliśmy. Coulan starannie wybierał członków swojej milicji pałacowej. Ja pomagałem jemu i Javierowi wybrać grupy dowysadzenia mostów; w tej decydującej części naszego planu niemogliśmy sobie pozwolić na żadne błędy. Tak wiele szczegółów...

Wiedział jednak, że nie to go niepokoi.

Dwa kilometry za pałacem aleja Byworth dochodziła do placu Pierwszej Nocy – ogromnej brukowanej równi otoczonej śnieżnobiałymi drzewami ricalonowymi, na której podobno pasażerowie kapitana Corneliusa rozbili obóz po wylądowaniu na Bienvenido. Okrągły gmach Rady Narodowej stał na jego przeciwległym końcu, dominując nad całym placem swym ośmiopiętrowym rdzawoczerwonym murem pokrytym freskami z błękitnego kamienia. Pozieleniała miedziana kopuła na jego dachu błyszczała jak limonka w porannym słońcu. Rodzime ptaki siedziały na krawędzi dachu, spoglądając na kłębiący się na placu tłum. Zebrało się tam już ponad dwa tysiące ludzi, głównie mężczyzn, którzy przyszli bez dzieci. Instrukcje przekazane im z samego rana przez organizacyjną sieć łączności były jasne. Nikt nie chciał drugiego takiego incydentu jak ten z Haranne.

Ponury nastrój tych ludzi pasował do ich zachowania. Był tak duszący, jakby temperatura nagle wzrosła o dziesięć stopni. Powozy przywożące członków Rady Narodowej na poranną debatę były witane buczeniem i poszturchiwaniem teka, co płoszyło konie. Mocno zdenerwowani przedstawiciele pospiesznie chronili się w sanktuarium wspianego gmachu, starając się nie patrzeć na las transparentów z wulgarnymi sloganami i karykaturami kapitana.

Koń ciągnący powóz Slvasty stawał się coraz bardziej nerwowy, gdy zjechał z ulicy na plac. Slvasta opuścił maskowanie, pozwalając na telepatyczny ogląd wnętrza pojazdu. Ten obraz szybko rozszedł się po placu. Rozległy się wiwaty.

Otworzył drzwiczki i uśmiechnął się do roześmianych twarzy, podnosząc rękę.

– Dziękuję, że przyszliście – nadał. – Dziękuję, że dodaliście wagi mojemu osamotnionemu głosowi w tym gnieździe paskudnych busalorów. Jestem tu, aby powiedzieć przewodniczącemu i Obywatelskiemu Świtowi, że nadchodzi koniec ich sposobu rządzenia, ich przywilejów i arogancji. Muszą was wysłuchać, muszą usunąć przyczyny waszego niezadowolenia. Macie prawo być wysłuchani. Nie mogą ignorować was w nieskończoność. Dzisiaj będą musieli słuchać.

Nowa fala burzliwych owacji przetoczyła się po placu Pierwszej Nocy i rozbiła o mury gmachu Rady Narodowej. Slvasta pomachał pięścią w powietrzu, a potem zeskoczył na bruk i pomaszerował do głównego wejścia. Idący obok niego Yannrith machnięciem ręki odprawił strażników. Pełnili głównie reprezentacyjną rolę i przeważnie byli emerytowanymi żołnierzami regimentów, którzy dostali tę synekurę, aby mogli spędzić ostatnie dekady życia w ładnych, szkarłatno-błękitnych mundurach, mieszkać w czystych mieszkaniach i jadać trzy posiłki dziennie, zanim oddadzą się pod Przewodnictwo. Z pewnością nie byli w stanie powstrzymać liczego i rozgniewanego tłumu.

– Szeryfowie są już w drodze, kapitanie – powiedział Slvaście ich dowódca, gdy przechodził przez przedpokój. – Nie ma powodu do obaw.

Slvasta skinął głową, idąc w kierunku głównego amfiteatru.

– Slvasta – nadała Bethaneve. – Mobilizują regiment Meor.

– Zaraza. – Mimowolnie posłał zaniepokojone spojrzenie Yannrithowi. – Jesteś pewna?

– Tak. Wychodzą z koszar. Dwa promy zostały wyłączone z publicznej służby i stoją przycumowane przy południowym brzegu, czekając na nich. Widocznie te tłumy przeraziły przewodniczącego. Całe miasto wrze z niezadowolenia.

– I tak powinno być, ale... Zaraza, myślałem, że będziemy mieli więcej czasu.

– Bez obawy. Wyślę na nabrzeże towarzyszy trzeciego stopnia, żeby ich zatrzymali. Mamy tam kilku przygotowanych do tego. Meor nie dotrze dziś do centrum miasta.

Slvasta wiedział, że mieli przygotowane plany na wszelkie ewentualności – no, na każdą cholerną możliwość, jaka przyszła im do głowy. *Tak więc trzymaj się planu i wierz w swoich ludzi.*

– W porządku.

Wszedł do amfiteatralnej sali, w której kilkuset radnych zajmowało swoje miejsca. Bynajmniej jednak nie była to zwykła sesja. Dezaprobatą tłumu przenikała przez grube mury, pogłębiając zaniepokojenie i ponury nastrój panujący za biurkami. Nikt nie wiedział, co sądzić o kryzysie ekonomicznym miasta.

W dolnej części amfiteatru Slvasta zauważył Crispena, zastępcę Trevene'a, szepczącego z przewodniczącym, który jeszcze nie zajął swego rzeźbionego tronu na podium. Najwyraźniej prowadzili ożywioną dyskusję. Przewodniczący zerknął na Slvastę, a potem pospiesznie odwrócił wzrok.

– Gratulacje – powiedział ktoś.

Slvasta odwrócił się do rzędu biurek za swoimi plecami. Newbon, radny z Wurzen, skłonił głowę.

– To było ładne przedstawienie, tam na zewnątrz. Dobrze zagrane.

– Dziękuję.

– I co teraz?

– Mówiłem poważnie. Będę tu głosem tych ludzi. Nie można im go dłużej odmawiać.

– Całkiem słusznie. Chociaż dziwi mnie, że mają coś do powiedzenia o wysadzonych mostach.

– Tłumiony gniew znajduje różne ujścia.

– Pan naprawdę jest uczciwy.

– Staram się.

Newbon zacisnął wargi i nadał: „Uważaj. Dziś obserwują cię wpływowi ludzie”.

– Dziękuję – powiedział cicho Slvasta. Zajął swoje miejsce, a Yannrith usiadł za nim.

Na sali były wyczuwalne nie tylko emocje zebranego na zewnątrz tłumu; słychać było też skandowanie, ciche, lecz nieustannie obecne jako niepokojące drgania powietrza.

– Szeryfowie wkraczają na plac Pierwszej Nocy – mruknął Yannrith.

Slvasta otworzył osłonę, aby przyjąć rozmaite przekazy, i patrzył cudzymi oczami, jak długie wozy z oddziałami szeryfów zaczynają przybywać na tyły gmachu Rady Narodowej. Na drugim brzegu Colbal regiment meorski maszerował na nabrzeże, gdzie cumowały czekające nań promy „Alfred” i „Lanuux”.

– Uracusicie – mruknął. – Jest ich tam chyba z tysiąc. Pełny skład.

– Nie obstawiają całego miasta – nadała do niego Bethaneve. – A ogniska niepokoju są wszędzie. Ludzie są rozgniewani i przestraszeni. My... odnieśliśmy sukces większy, niż się spodziewaliśmy.

Przewodniczący zajął swój tron na podium i uderzył młotkiem, nakazując ciszę.

– Przywołuję to szacowne gremium do porządku. Zostaliście wezwani, aby omówić sprawę bezprecedensowych aktów sabotażu dokonanych na głównych liniach kolejowych żywotnych dla tego miasta oraz uzgodnić, co w tej sytuacji powinniśmy doradzić kapitanowi. Oddaję głos przedstawicielowi Feltham, który zasiada w komisji bezpieczeństwa kapitanatu, aby zdał nam relację z wydarzeń minionej nocy.

– Nadal nie ma żadnych meldunków od naszych ludzi z Południowej Linii Miejskiej – nadała Bethaneve, gdy radny schodził do mównicy. – Jestem zaniepokojona.

– Widocznie zostali aresztowani.

– Szeryfowie nie mają na ten temat żadnych informacji. Oni po prostu zniknęli. Na tych wozach było dwadzieścia osób i mnóstwo materiałów wybuchowych. Jak mogły po prostu zniknąć?

– Nie wiem – przyznał.

– Nasi agenci potwierdzają, że mosty nadal stoją i są teraz mocno strzeżone.

– Uracusie! Może powinniśmy wysłać kolejne grupy, żeby wysadziły dalej położone mosty?

– Omawiałam to z Coulanem. Nie widzimy sensu takiej operacji, nie teraz. Handel jest kompletnie sparaliżowany, wszystkie sklepy są zamykane. Mamy anarchię, której chcieliśmy.

– W porządku. Zaraz wygłoszę przemówienie.

Przedstawiciel Feltham kończył swoją relację. Było oczywiste, że zna tylko podstawowe fakty: które mosty zostały wysadzone i jakie poważne problemy ekonomiczne to spowoduje – dla wszystkich, nie tylko kupców.

– Tak więc proszę moich szanownych kolegów o jednomyślne potępienie tych, którzy popełnili tę odrażającą zbrodnię wobec nas wszystkich. Szeryfowie i agencje rządowe powinny otrzymać wszelkie uprawnienia do odszukania i ujęcia tych terrorystów, a także skazania ich na natychmiastowe oddanie się Przewodnictwu. Pozwólmy im szybko odkryć, czy zaakceptuje ich Serce, czy ich przeznaczeniem jest Uracus.

– Zrobili to – nadał Javier, gdy przedstawiciel Feltham wracał przejściem na górę, do swojego biurka. – Kapitan podpisał rozkaz zawieszenia praw obywatelskich. Właśnie zaczynają go rozsyłać po urzędach. Ludzie Trevene'a już są w biurach szeryfów i mówią im, kogo mają aresztować.

– Mamy nazwiska? – zapytał Slvasta, wrzucając czerwoną kulę do swojej misy.

– Działacze związkowi i aktywiści Jedności Demokratycznej. Idą po nas.

– Dopilnuj, żeby to się rozeszło. Zawiadomcie członków wszystkich komórek.

– Już to robimy.

– Oddaję głos przedstawicielowi Yeats – oznajmił przewodniczący Rady.

Slvasta wstał w tej samej chwili, gdy radny z Yeats ruszył przejściem. Siedzący przy biurkach radni wyglądali na wstrząśniętych.

– Kapitanie Slvasta – wykrzyknął głośno przewodniczący – nie oddałem panu głosu!

– I nie zamierza pan tego zrobić – oznajmił Slvasta. – Ponieważ ja wiem, kto jest odpowiedzialny za tę sytuację.

Na zewnątrz stojący na placu Pierwszej Nocy tłum zaczął wiwatować.

Przedstawiciel Yeats zatrzymał się w połowie drogi do mównicy, niepewnie patrząc na przewodniczącego. Ten ustąpił.

– Oddaję głos przedstawicielowi Langley – oznajmił.

Nie zwracając na niego uwagi, Slvasta podszedł do podium. Wszyscy radni milczeli i w ogromnym amfiteatrze słychać było tylko stłumione przez grube mury owacje i skandowanie tłumu.

Slvasta stanął i powoli powiódł wzrokiem po rzędach biurek, przyciągając uwagę wszystkich obecnych.

– Straciłem rękę w obronie tego świata. To niewielka cena za zniszczenie kolejnego gniazda Upadłych. Tylko dlaczego ją straciłem? Z powodu niezliczonych oszczędności poczynionych przez mój regiment: okrojenia budżetu dla żołnierzy pierwszej linii, żeby oficerowie w koszarach mogli wygodnie żyć. Oszczędności, które trwają do dziś. Oszczędności popieranych przez Ministerstwo Skarbu, rozpaczliwie próbujące utrzymać status quo. Setki ludzi w New Angeles straciły życie... Nie, tak przedstawia się to w gazetach. Setki ludzi w New Angeles zostały pożarte żywcem przez gniazdo. Dlaczego? Ponieważ wuj kapitana był przekupnym i rozwiązłym draniem troszczącym się wyłącznie o siebie i swoich krewniaków.

Zza biurek rozległy się okrzyki protestu, a słane przekazy „wstyd” odbiły się od jego osłony. Slvasta zachował spokój, zachęcany falą zbiorowej aprobaty płynącą z umysłów na zewnątrz.

– „Alfreed” i „Lanuux” właśnie wypłynęły na rzekę – zameldowała Bethaneve. – Mam na nabrzeżu kilku uzbrojonych towarzyszy, ale nie wiem, jak długo zdołają zatrzymać meorski regiment.

– Już prawie skończyłem – wysłał jej w odpowiedzi Slvasta. Zauważył, że Yannrith podniósł się z fotela. Skinął głową Slvaście.

– Brak dostaw wody? – oznajmił gniewnie Slvasta. – To nie efekt sabotażu, jak wygodnie dla władzy oznajmiło to zgromadzenie. Nie. Spowodowała je chciwość, uprzywilejowani troszczący się tylko o siebie. A teraz wzywa się nas do wygłaszania pustych i podniosłych deklaracji potępiających zniszczenie mostów kolejowych. Cóż. Ja. Tego. Nie. Zrobię. Ten desperacki akt był nieunikniony. Jest bezpośrednim skutkiem ucisku, zarówno politycznego, jak i ekonomicznego, wywieranego przez nasz rząd. Przekreślcie nadzieję. Tak, wy! Niweczycie okazje. Niszczycie ludzką godność. Robicie to wszystko, aby utrzymać waszą nędzną, bigoteryjną i antydemokratyczną klasę społeczną. Nie pozostawiacie nam żadnego wyboru. Nie wolno nam protestować. Każdy, kto się próbuje skarżyć, zostaje do końca życia napiętnowany jako wichrzyciel przez tego tyrana i mordercę, jakim jest Trevene. Te dzisiejsze wybuchy są prawdziwym głosem ludu. To donośny głos; głos, którego nie wolno wam będzie zignorować, gdyż nie zdołacie go stłumić, nie tym razem. Dziś nadszedł dzień, gdy wykluczeni, słabi i prześladowani znajdą w sobie siłę i powiedzą: „Dość. Macie nas wysłuchać!”. Pytacie, kto ponosi winę za wysadzenie mostów, za uderzenie w jedyny liczący się dla rządzących punkt – jej bogactwo, dzięki któremu pozostają u władzy? Powiem wam: to wy. Wy: bogaci, zdegenerowani, uprzywilejowani złodzieje. I o to, o wasze odwieczne

zbrodnie przeciwko temu naszemu pięknemu światu, oskarżam was. Nie będę członkiem tego zgromadzenia, które niniejszym ogłaszam za bezprawne.

Wściekle wrzaski zza biurka zagłuszyły radosną wrzawę na zewnątrz.

– Zostanie powołany nowy parlament! – przekrzyczał i zagłuszył wszystkich swym przekazem Slvasta. – Skończy się dyktatura kapitana. Zapraszam wszystkich porządných ludzi na tym świecie, aby przyłączyli się do mnie i w demokratyczny sposób uchwalili nową konstytucję. Razem możemy zbudować nowy świat oparty na uczciwości i demokracji. Przyłączcie się do mnie. Wszyscy.

Jego wezwanie rozeszło się, przesyłane po całym mieście. Zwolennicy, zachęceni przez członków organizacji, wszędzie dodawali emocjonalne fajerwerki entuzjazmu i poparcia do psychicznego huraganu.

Slvasta odwrócił się i obscenicznym gestem pokazał przewodniczącemu palec. Potem otworzył usta, żeby wygłosić ostatnią obraźliwą uwagę...

Ładunek wybuchowy umieszczony na kilu „Alfreeda” eksplodował, gdy prom był w połowie drogi przez trzykilometrowej szerokości wstęgę Colbal. Fala przerażenia i zgrozy siedmuset płynących na jego pokładzie żołnierzy meorskiego regimentu przeleciała przez Varlan, zalewając przekazy z Rady Narodowej. Nagle wszyscy byli na pokładzie promu, który przełamał się na dwie nierówne części. Niezliczonymi oczami widzieli, jak potworna siła porywa ciała, rzucając je o grodzie i pokłady. Szczęśliwcy zostali wyrzuceni za burty i pochłonięci przez brązowy nurt rzeki, rozpaczliwie machając rękami, gdy ich nasiąknięte wodą ubrania nagle zaczęły im ciążyć jak zrobione z ołowiu. Ludzie czuli, jak otwierają usta do krzyku, jak łykają wodę i krztuszą się. Pozostali przy życiu zostali zmyci z pokładu przez olbrzymie spienione fale, które z niewiarygodną szybkością pochłonięły obie części promu. Kocioł zanurzył się i eksplodował gigantycznym pióropuszem pary i piany, a podmuch wepchnął pod wodę przeraźliwie krzyczących ludzi, próbujących utrzymać się na powierzchni.

Żołnierze z regimentu Meor na pokładzie „Lanuuxa” ze zgrozą patrzyli, jak ich koledzy rozpaczliwie walczą ze zdradliwym nurtem rzeki, i zaczęli łączyć teka, żeby wyciągnąć ich z wody. Drugi wybuch rozerwał kadłub „Lanuuxa” poniżej linii wodnej, chociaż nie przełamał statku na pół. Gęsta od mułu woda wdarła się do środka i trysnęła gejzerami przez luki na pokładzie, gdy prom groźnie się przechylił. Eter wypełniły przerażone przekazy, gdy „Lanuux” przewrócił się na prawą burtę i zaczął tonąć. Żołnierze skakali do wody i zostawiali wciągnięci przez szalejące wiry, wywołane przez idący na dno kadłub. Woda z impetem wtargnęła do kotła „Lanuuxa”. Wybuch poderwał zniszczony kadłub, jakby jakiś gigantyczny stwór miotał się w agonii. Zaraz jednak statek znów zapadł w toń, pociągając ze sobą dziesiątki nieszczęsnych żołnierzy.

W kilka minut po obu promach nie został żaden ślad, oprócz śmiertelnie groźnych wirów, kłębiących się tam, gdzie poszły na dno. Ponad dwustu żołnierzy nadal usiłowało utrzymać się na powierzchni. Byli to ci, którym udało się pozbyć wyposażenia i broni. Teraz musieli

walczyć z niezwykle wartkim nurtem rzeki Colbal. Pod jej gładką powierzchnią czaiły się niebezpieczne wiry, wciągające kolejne ofiary, których umysły emanowały okropne wrażenia towarzyszące tonięciu, wyczuwane przez wszystkich. Rozpacz i strach zapęłniły eter, wzmacniając słabe krzyki dochodzące do obu brzegów. Wszędzie wokół rozlegały się wycia syren i świst gwizdków promów, barek i kutrów rybackich, spieszących do ocalałych rozbitków. Varlan z niemą zgrozą i w najdrobniejszych szczegółach odczuwał ich coraz słabsze zmagania z silnym prądem, który szybko unosił ich w dół rzeki.

– Co się stało, do cholery? – zapytał Slvasta, gdy wraz z Yannrithem opuszczali gmach Rady Narodowej małymi bocznymi drzwiami dla personelu, wyjściem awaryjnym, które odkryli kilka tygodni temu.

– Nie wiem – przesłała w odpowiedzi znękana Bethaneve. – To nie my, Slvasta, przysięgam na Giu. Nie planowaliśmy tego!

– Pierdolony Uracusie! Na tych promach było tysiąc pięciuset pasażerów.

– Tysiąc pięciuset żołnierzy – nadał Javier. – Wysłanych, żeby nas zabić.

– Ty to zrobiłeś?

– Nie.

– No to kto? Kto mógł zaplanować coś tak okropnego?

– Nie wiem, ale to bardzo nam pomogło. A ludzie, mądrzy ludzie będą chcieli wiedzieć, dlaczego meorski regiment przeprowadzał się przez rzekę. Nie lekceważ takich darów losu.

– Uracusie. To po prostu wydaje się... złe.

– Nie ma dobrego sposobu umierania. To, co zaczęliśmy, pociągnie znacznie więcej ofiar.

– Wiem.

Slvasta i Yannrith wymknęli się przez drzwi, w jasne światło poranka. Czekał na nich powóz z członkiem organizacji siedzącym na koźle. Wsiedli i zamaskowali się. Woźnica pojechał aleją Breedona.

Przekazy od członków komórek na placu Pierwszej Nocy ukazywały szeryfów okrążających budynek Rady Narodowej, z gniewnymi minami i myślami pełnymi żądzy rewanżu, zemsty.

– Zaczyna się – nadała Bethaneve z zachwytem i zgrozą.

– Musimy nad tym panować – odpowiedział Slvasta. To dziwne, lecz pomimo wszystkich swych wahań i wątpliwości nigdy nie był tak pewny sukcesu jak teraz. Wysłał przekaz do członków komórki pierwszego poziomu.

– Hasło: Avendia. To nasz dzień, towarzysze. Bądźcie odważni. Bądźcie silni. Razem zwyciężymy. Naprzód. Wyzwólcie się. Odzyskajcie nasz świat.

CZTERY

Doborowi ludzie Bethaneve nie byli tylko bystrymi obserwatorami, detektywami i wywiadowcami; nie wszyscy krążyli po mieście, obserwując i zbierając informacje. Przez kilka ostatnich miesięcy, gdy rewolucyjne plany grupy zaczęły się krystalizować, po cichu przejęła wielu odrzuconych przez Coulana kandydatów. Niezłych ludzi, którzy ostatecznie nie zostali przyjęci do jego milicji mającej zaatakować pałac i budynek przy Grosvner Place pięćdziesiąt osiem. A jednak byli to dobrzy ludzie. Twardziele umiejący posługiwać się bronią, nieobawiający się użyć siły ani wykonywać rozkazów, przed którymi słabsi od nich mogliby się wzdragać.

Było coś, co Bethaneve musiała zrobić, gdy nadejdzie ten wielki dzień. Będzie to korzystne dla rewolucji – i nawet uwzględnili to w swoich planach. Jednak musiała mieć całkowitą pewność, że to zostało zrobione, a mogła mieć ją tylko wtedy, jeśli sama to zrobi.

Coulan miał rację. Ładunki wybuchowe (po cichu podebrane grupom mającym wysadzić mosty) bez trudu zerwały zawiasy solidnych drzwi Instytutu Badania Upadłych. Był to jeszcze jeden wybuch w mieście trapionym przez pożary i przemoc. Nikt nie zwrócił nań uwagi. Sama Bethaneve ledwie go zarejestrowała, wysyłając wiadomości do siatki, wydając polecenia rozentuzjazzowanym towarzyszom, trzymając ich w ryzach. Nieważne, gdzie była, byle mogła słać przekazy. Slvasta, Coulan i Javier mieli własne zadania i byli zajęci dowodzeniem swoimi grupami, mającymi je zrealizować. Coulan miał zdobyć pałac, Javier dzielnicę finansową, Slvasta instytucje rządowe. Wszyscy trzej sądzili, że ona bezpiecznie siedzi w domu, kierując towarzyszami.

Pilnowana przez swoich doborowych ludzi, przeszła przez krótki i pełen dymu korytarz na pusty dziedziniec instytutu. Profesor Gravin wyszedł jej na spotkanie, a jego zdenerwowany personel krył się w środku. Nie spieszył się, lecz niewątpliwie przemieszczał swoją ogromną masę ciała w sposób robiący wrażenie.

– Coście zrobili? – wrzasnął. – Tej bramy nie wolno wyważać. To wielce ryzykowne! Rozumiecie zagrożenie?

Bethaneve podeszła do grubasa i z całej siły uderzyła go otwartą dłonią w gumowaty policzek.

Wytrzeszczył oczy, wstrząśnięty. Cios był tak nagły i niespodziewany, że nawet nie zdążył się osłonić.

– Co? Kim ty jesteś?

– Przejmuję kierowanie tym instytutem, profesorze – powiedziała mu. – Zamierzam zadać panu kilka pytań. Odpowie pan na nie bez stawiania osłony, żebym mogła ujrzeć prawdę w pańskich myślach. Ilekroć odmówi pan odpowiedzi na jakieś pytanie, moi ludzie zastrzelą któregoś z pańskich kolegów.

Rozdziawił usta z przestachu, gdy uzbrojeni ludzie przebiegli obok niego i wpadli do budynku.

– Proszę – jęknął. – Proszę zrozumieć, że badania, które tu prowadzimy, są najcenniejszą rzeczą na Bienvenido. Nie zajmujemy się polityką, jesteście naukowcami; będziemy pracować dla każdego, kto będzie u władzy, ale nie możecie zniszczyć instytutu. Sprowadzilibyście zagrożenie dla całej planety, bo wszyscy żyjący na niej ludzie polegają na nas, chociaż o tym nie wiedzą.

– Pytanie pierwsze – rzekła bezlitośnie. – Co się dzieje z więźniami, których dostarcza wam Trevene?

Profesor Gravin z trudem przełknął ślinę.

– Zaraza – szepnął. – To nie był mój pomysł. Przysięgam na Giu, nie mój.

* * *

Odór był drażniący i tak silny, że Bethaneve niemal spodziewała się zobaczyć go w formie kwaśnej miazmy zanieczyszczającej powietrze. Spędziła już dziesięć minut w pomieszczeniu z wykopaną jamą i o mało nie zwymiotowała, próbując się do tego przyzwyczaić. Wiedziała, że nigdy nie zdoła. Ten smród zostanie z nią przez resztę życia, tak samo jak wspomnienie tego, co go wywołało. Jednak dzielnie tam pozostała, stojąc przy poręczy zabezpieczającej głęboki prostokątny basen wykuty przed wieloma wiekami w litej skale. Prawdziwe serce Instytutu Badania Upadłych.

Jej ludzie przyprowadzili go prawie godzinę po wysadzeniu bramy. Postać w kapturze na głowie, z rękami skutymi na plecach, poruszająca się z trudem. Pobito go, nie łamiąc żadnych ważnych kości, lecz jego eleganckie i drogie ubranie było brudne i poszarpane oraz zakrwawione w kilku miejscach. Ostrożnie postawili go przed otwartą furtką. Jego drżące ciało znieruchomiało, gdy odgadł, gdzie jest.

Teka Bethaneve zdjęła mu kaptur z głowy. Aothori zamrugał i spojrzał wokół. Miał zaciśnięte szczęki i dumnie wyprężone węzły mięśni, gdyż obroża spleciona z pnącza etor ścisnęła jego szyję. Jednak nawet teraz, na skraju jamy, nie stracił tej potwornej arogancji.

– Znam cię – nadał.

A ona po raz pierwszy nie zadrżała na jego widok.

– To dobrze. Zastanawiałam się, czy mnie poznasz. Było tyle takich jak ja, czyż nie?

– O tak, teraz sobie przypominam: prezent od człowieka ze srebrem. Dobrze wybrany, o ile pamiętam.

– Nienawidziłam lekarzy i pielęgniarek, którzy mnie potem leczyli. Nie zasłużyli na tę nienawiść. To byli dobrzy ludzie. Długo trwało, zanim to zrozumiałam, że na tym świecie wciąż są dobrzy ludzie. A teraz zebrałam ich przy sobie. Wystarczająco wielu, żeby obalić i zetrzeć w proch ciebie oraz wszystko, co masz.

– Usprawiedliwienia, ucieczka słabych. Ja wiem, jaka słaba jesteś naprawdę. Poznałem cię całą, smakowałem każdą twoją najskrytszą myśl. Były żalodne, jak wy wszyscy.

– A jednak jesteśmy tutaj.

– Ponieważ mnie naśladujesz. Ponieważ podziwiasz moją władzę, moją siłę. Wielbisz mnie teraz, tak samo jak przedtem. I w głębi duszy wiesz, że aby mnie zastąpić, najpierw musisz stać się mną. Myślisz, że zdołasz się kiedyś do tego przyznać sama przed sobą? Czy może ta świadomość cię załamie?

– Szalony do końca – powiedziała ze smutkiem Bethaneve. Położyła dłoń między jego łopatkami – i mocno popchnęła.

* * *

Wspaniały ge-orzeł szybował w termicznym prądzie nad Varlanem, unosząc się wysoko nad stadami zaniepokojonych rodzimych ptaków, niewidoczny dla mod-ptaków, gorączkowo śmigających w dole. Spoglądał na szerokie eleganckie bulwary w środku miasta, teraz pełne biegających ludzi. W wielu dzielnicach wybuchły pożary, wysyłając długie kolumny brudnego dymu w czyste błękitne niebo. Ge-orzeł lekko poruszał potężnymi skrzydłami, bez trudu je omijając. Okrzyki wściekłości i wrzaski przerażenia mieszały się w jeden nieustający szum, który jak niewidoczna mgła spowijał zabudowania miasta. Jego monotonię przerywał trzask wystrzałów. Strzelanina trwała cały dzień, a potem jeszcze do późnej nocy. Mrok nie uciszył także krzyków.

* * *

Slvasta przez dwa dni był na pierwszej linii; chroniony przez nieodstępujących go Yannritha, Andriceę i Tovakara, dowodził atakami na rządowe budynki oraz inne enklawy oporu. Nieustannie przekazywano sobie jego obraz: brudnego, zmęczonego, współczującego wszystkim, którzy ucierpieli na skutek aktów przemocy, pomagającego umieszczać rannych w dorożkach jadących do szpitali. Gdziekolwiek wybuchaly potyczki z resztkami regimentów dowodzonymi przez nielicznych oficerów, on tam był, walcząc ze swoimi o sprawiedliwość, o zmianę. Był twarzą rewolucji, inspiracją dla orędowników słusznej sprawy. Pod koniec wystarczało, że po prostu zjawił się przed barykadą lub obleganym budynkiem, żeby przeciwnik się poddał. Zdecydowanie pilnował, aby pokonanych godnie traktowano, nie pozwalając na żadne akty zemsty czy samosądy. Nie trzeba było mieć daru, żeby wiedzieć, gdzie przebywa: wystarczało nasłuchiwać owacji.

Dopiero rankiem trzeciego dnia miał chwilę wytchnienia, gdyż wszyscy myśleli, że w końcu odpoczywa po tych heroicznych wyczynach. W rzeczywistości Yannrith i Andricea wpełnęli go do maskowanej dorożki powozonej przez Tovakara. Przez szparę w zasłonkach zaciągniętych dla osłony przed ciekawskimi patrzył na przesuające się za okienkiem miasto. Ciemność w powozie zachęcała do snu. Od tak dawna nie odpoczywał; był brudny, cały obolały i wyczerpany.

Na zewnątrz oszołomieni ludzie wlekli się w porannej mgle znad rzeki. Zdziwiła go ilość wybitych okien tak daleko od centrum miasta, gdzie toczyła się większość walk. Jakieś postacie przemykały w półmroku, taszcząc ciężkie skrzynie lub worki. Zapewne szabrownicy.

Bethaneve miała wiele meldunków o przypadkach grabieży. Zabawne, że układając plany obalenia władzy na drodze rewolucji, nigdy nie pomyśleli o konsekwencjach, jakie będzie miało bezprawie.

Na zewnątrz były także rodziny, rodzice prowadzący dzieci i otaczający je swymi najsilniejszymi osłonami, spieszący w poszukiwaniu... Slvasta nie wiedział, czego szukali, ale wszyscy zdawali się zmierzać do jakiegoś celu. Prawie każda rodzina była dobrze odziana, twarzyczki dzieci przestraszone i zapłakane, rodzice ponurzy i zaniepokojeni. Zatrzymałby się i zapytał, dokąd idą – gdyby tylko miał siłę.

Dorożka wjechała do Wschodniego Folwich, dzielnicy, która najwidoczniej uniknęła najgorszego, co przyniosła rewolucja. Tu nie było wybitych szyb ani dymu unoszącego się z obrzuconych butelkami zapalającymi budynków. Tu krew nie plamiła bruków. Tylko pospiesznie zabite deskami okna oraz pozamykane drzwi szpeciły te urocze podmiejskie uliczki.

Slvasta z zaciekawieniem spojrzął na resztki solidnej bramy Instytutu Badania Upadłych. Nie pamiętał, żeby planowali tutaj jakąś akcję – ale Bethaneve nalegała, żeby tu przyjechał.

Wysoki mur otaczający dziedziniec przesłaniał nisko wiszące słońce, pozwalając zbierać się chłodnej, szarej mgły. Ta snuła się wokół dwóch zaparkowanych dorożek i wozu. Jego ciekawość wzrosła na widok ludzi wyładowujących beczki z olejem z nasion yal.

Zaraz jednak przestał się nad tym zastanawiać, gdyż w drzwiach instytutu pojawiła się Bethaneve. Przywarli do siebie w lepkiej mgłę, rozpaczliwie sprawdzając, czy oboje są cali, czy nie kłamali podczas tych dwóch dni rewolucji, dzielnie zapewniając się nawzajem, że nic im nie jest.

Oparła czoło o jego skroń, wodząc palcami po twarzy Slvasty, wciąż się upewniając.

– Dokonałiśmy tego – szepnęła. – Pokonałiśmy ich.

– Zrobiliśmy to – odparł szeptem. – Dzięki tobie.

– To twoja zasługa. Ja tylko pomogłam.

Znów się pocałowali.

W końcu odsunął się od niej, ale wciąż się uśmiechał.

– Dlaczego mnie tu sprowadziłaś? Mówiłaś, że to ważne.

– Bo tak jest – odparła, nagle niepewnym głosem. – Zwyciężyliśmy, wiesz: Coulan zdobył pałac, ty biura rządowe, Javier kupców i firmy. Nieliczne ogniska oporu wkrótce zostaną zgaszone. Nie ma już rządu. Rozumiesz to, prawda, ukochany?

– Cóż... tak.

– Dobrze. I mieliśmy rację, obalając go. Chcę, żebyś był tego pewny, kiedy zasiądziesz w nowym parlamencie. To ważne, gdyż ten parlament będzie kształtował nasze życie, zdecyduje, czy nasze dzieci nie zaznają cierpień i biedy, czy w naszym świecie będzie sprawiedliwość dla wszystkich.

– Wiem o tym – rzekł.

– A ponieważ jesteś dobrym człowiekiem, zachodzi obawa, że będziesz wielkodusznym zwycięzcą. Tak być nie może.

Radość wywołana spotkaniem z nią zaczęła słabnąć; zmęczenie przesłaniało wszystko.

– Nie rozumiem. Za kilka godzin zaczynamy obrady. Zamierzam twardo przedstawić nasze stanowisko. Potrzebuję tylko chwili odpoczynku. Przepraszam, jeśli to brzmi samolubnie, ale jestem taki zmęczony, Bethaneve.

– Wiem. Najpierw jednak musisz pójść ze mną.

Poprowadziła go przez instytut, schodami w dół, do podziemi. Jak pod każdym budynkiem w Varlanie, były rozległe i stare. Gdy ceglane mury korytarza zmieniły się w kamienne ściany tunelu, podświadomie cieszył się, że Tovakar z Andriceą mu towarzyszą i są uzbrojeni w karabiny dostarczone przez Nigela.

– Czy zastanawiałeś się kiedyś, co się stało z tymi wszystkimi ludźmi zgarniętymi przez Trevene'a? – zapytała Bethaneve. – Naszymi towarzyszami?

Minęli grupkę ludzi ustawiających beczki z olejem. Widząc to, Slvasta zmarszczył brwi – wszyscy wyglądali na przestraszonych.

– Zostali zesłani do kopalń Pidrui – odparł. – Ty mi to mówiłaś. To jedna z pierwszych rzeczy, które zrobimy: uwolnimy ich wszystkich.

– Większość z nich tam wysłano, owszem. Jednak niektórzy, ci, którymi Aothori szczególnie się zainteresował, wcale się tam nie znaleźli, Slvasto. Nie możemy ich ocalić.

– To co się...?

Dotarli do końca korytarza. Były tam grube żelazne drzwi osadzone w skale i zamknięte na kilka solidnych zamków Ysdom.

– Przykro mi – powiedziała. – Jednak musisz to zobaczyć, zanim otworzysz obrady. Nie wolno ci nigdy zapomnieć, jakie zło obaliliśmy.

Slvasta z niepokojem spojrzał na jej wyciągniętą rękę. Ale ujął ją i pozwolił przeprowadzić się przez próg.

Wewnątrz cuchnęło. Pomieszczenie było prostopadłościanem wykutym w skale, z żelazną poręczą na brzegu jamy. Pośrodku tej poręczy była furtka. Dwaj towarzysze stali przy niej z karabinami gotowymi do strzału.

– Oto co nam robili – powiedziała Bethaneve.

Slvasta powoli podszedł na brzeg jamy, gdzie ten okropny smród był jeszcze silniejszy. Bethaneve wręczyła mu jasną lampę, którą oświetlił ciemny otwór. Cienie umknęły po ścianach w dół jak spływająca ciecz. Coś poruszyło się na dnie. Patrząca w górę twarz.

Slvasta krzyknął i zatoczył się w tył. Lampa wypadła mu ze zdrętwiałych palców i spadła do jamy. Uderzył plecami o skałę obok furtki i osunął się na podłogę.

– Nie! Nie!

Łzy popłynęły mu z oczu i cały się trząsł.

– Profesor, który był tu dyrektorem, powiedział mi, że instytut trzyma nie tylko jaja do badań; od samego początku trzymali tu także Upadłych – powiedziała cicho Bethaneve.

Slvasta spojrział na nią, nie pojmując.

– Kiedy jeden umiera lub go pokroją, żeby zbadać w laboratorium, marines przywożą im następnego – ciągnęła. – Profesor mówi, że rzadko robią coś z jajami, ponieważ nie mają przyrządów do ich analizowania, jakie mieli pierwsi naukowcy ze statku kapitana Corneliusa.

– To on – wykrztusił Slvasta.

Natłok bolesnych myśli groził rozsadzeniem jego mózgu. Chciał zwinąć się w kłębek, ukryć przed wszechświatem, otoczyć osłoną tak silną, żeby nic już nigdy do niego nie dotarło. Zamknąć umysł przed tą wiedzą.

– Pierwszy oficer, tak – powiedziała Bethaneve. – Sprowadzał tu swoje ofiary. Cieszyło go oglądanie tego, jak są wrzucane do tej jamy. Oto co dziś zniszczyliśmy, ten szczyt zepsucia i nadużycia władzy. To było słuszne, Slvasta. Wszystko, co zrobiliśmy, śmierć i zniszczenia. Musieliśmy to zrobić. Czy teraz to rozumiesz?

– To on! – krzyknął do niej Slvasta. – On!

– Slvasta? – Teraz w myślach Bethaneve pojawił się niepokój. – Wszystko w porządku, ukochany. Zakończymy to. Olej spali...

– Zamknij się, do cholery! – ryknął Slvasta. Podniósł się z ziemi. Swoją teka zerwał jedną z lamp wiszących na ścianie, wyginając przytrzymujące ją żelazne pręty. Tovakar i Andricea wymienili zaniepokojone spojrzenia. – Marines, którzy mnie uratowali, strzelili jeden raz. – Slvasta się zaśmiał, prychając śliną. – Słyszałem tylko jeden strzał. Dlaczego nigdy nie domyśliłem się, co to oznaczało? Przecież to tak cholernie oczywiste. No nie? Nie?

– Slvasta – jęknęła przestraszona Bethaneve. – Proszę.

Posłał jej krzywy uśmiech i teka cisnął lampę łukiem do jamy. Spadła do połowy jej wysokości, zanim ją zatrzymał; zawisa nieruchomo w powietrzu. Wtedy popatrzył w dół, tym razem uważnie.

Dno jamy było zasłane kośćmi – ludzkimi kośćmi – a na niektórych jeszcze zostały kawałki ciała. Wszędzie leżały rozbite czaszki. W cuchnącej warstwie śluzu pokrywającego skałę tkwiły strzępy materiału z ubrań ofiar. Buty. Buciki. Guziki i sprzączki słabo błyszczały w świetle lampy. A pośrodku tego wszystkiego był Upadły. Patrzący w górę, z tym zdziwionym i zachęcającym wyrazem twarzy, który Slvasta tak dobrze pamiętał.

– Ingmar – jęknął Slvasta.

– Slvasta. Slvasta, pomóż mi – błagał Upadły.

– Nie jesteś nim, nie jesteś Ingmarem. On Upadł.

– Ależ jestem Ingmarem. To ja, Slvasto. Marines uwolnili mnie tak samo jak ciebie. Patrz, opuściłem dla ciebie osłonę, przyjacielu. To moje myśli, prawda? Znasz mnie. Czujesz. To moja jaźń, moja dusza. Wiesz, że tak jest. Wiesz, że jestem prawdziwy. Jesteś moim przyjacielem, Slvasta. Przyjacielem!

Slvasta, łkając, wycelował karabin.

– Nie! Siedzę tutaj, odkąd złapała nas Quanda. W ciemności. Sam. Robili mi straszne rzeczy, Slvasta. Torturowali mnie bez końca. Wykończyli mnie psychicznie tym, co mi robili. Proszę, Slvasta, proszę.

– Znasz mnie, Upadły? – warknął Slvasta do swego dręczyciela. – Naprawdę?

– Oczywiście, że znam. Dorastaliśmy razem, Slvasta. Czy pamiętasz jak...

– Pamiętam moje życie, ponieważ je przeżyłem. Zatem powiedz mi. Czy pamiętasz, jak powiedziałem: „Wypalimy waszą zarazę z naszego świata”? Ha! No co, Upadły? Pamiętasz?

– Slvasta, proszę.

– Bo powinienes. Byłeś tam. To do ciebie to powiedziałem. I na pamięć o tobie dotrzymam słowa. Teraz i zawsze!

Nacisnął spust karabinu i przytrzymał, dopóki nieludzki stwór na dnie jamy nie został rozerwany na strzępy.

* * *

Po obaleniu kapitana i jego władzy wyznaczono członków organizacji mających nadzorować każdą z rad dzielnicowych. Zasiadających w nich przedstawiciele usunięto, a obywatelom obiecano nowe wybory. W wielu okręgach ten dekret nie miał znaczenia; radni z Obywatelskiego Świtu byli martwi lub uciekli ze swoimi rodzinami.

Amfiteatr Rady Narodowej wciąż był usłany szczątkami biurek po wtargnięciu tłumu. Z porozrzucanych wokół teczek i segregatorów wysypała się biała jak śnieg warstwa papierów. Żelaznymi łomami odłupano kawały onyksowego tronu przewodniczącego, pozostawiając popękane resztki. Silna teka powyrywała posągi ze wszystkich wnęk, zrzucając je na posadzkę, na której się rozbiły, powiększając zniszczenia klasycznego wystroju sali. Tynk był upstrzony niesamowitą ilością dziur wybitych przez kule. Obrazy zerwano ze ścian i spalono w ognisku na zewnątrz, a na ich miejscu nabazgrano rewolucyjne slogany.

Siedząc na drewnianym stołku obok zniszczonego tronu, ze stojącym za nim zawsze czujnym Yannrithem, Slvasta mimo woli był rozczarowany. Obok Yannritha stał Tovakar, co było koniecznym ustępstwem; demokratyczny przywódca nie powinien potrzebować ochroniarza, ale było jeszcze wiele osób i organizacji nadal wiernych kapitanowi. Chciał, by pierwsze posiedzenie Tymczasowego Kongresu Ludowego wyglądało trochę godniej, potwierdzając swoją władzę oficjalnym charakterem i powagą. Splendor nie był absolutnie niezbędny, ale zniszczenia tej sali wyglądały jak dzieło nastolatków naćpanych narnikiem. Aczkolwiek towarzysze sterujący tłumem na placu Pierwszej Nocy zrealizowali swoje cele. Nie było już Rady Narodowej; ponad połowa radnych siedziała zamknięta w celach biura szeryfa przy ulicy Merrowdin. Jedni przedstawiciele uciekli, inni zostali złapani podczas próby ucieczki i natychmiast osądzeni przez tłum. Kilku wciąż wisiało jak okropne owoce na drzewach ricalonowych wokół placu.

Coulan dowodził tłumem szturmującym pałac kapitana i ta operacja przebiegła niezwykle sprawnie – głównie dzięki doskonale rozmieszczonym strzelcom wyborowym jego milicji,

którzy skosili gwardzistów. Członkowie komórek i milicji Coulana wchodzili teraz do wszystkich pomieszczeń, ogoławając je z mebli, ubrań, drobiazgów, dzieł sztuki i butelek wina, rozdając ten łup gromadzie wiwatujących zwolenników na bulwarze Walton. Było to zwyczajne tanie kupowanie poparcia. Znacznie ważniejsze było to, że Coulan aresztował kapitana i jego rodzinę (poza Dionene, jego najmłodszą córką, która się im wymknęła), co dało Slvaście ogromną przewagę nad tymi instytucjami rządowymi, które jeszcze się nie poddały. Ponieważ pałac prawie nie ucierpiał, posiedzenie nowego parlamentu mogłoby się odbyć w jednej z jego ogromnych i nietkniętych sal. Jednak Javier im to odradził.

– Musimy zdecydowanie zerwać ze starym reżimem; nie dajmy się skazić jakkolwiek stycznością.

Slvasta całkowicie się z nim zgadzał. Wciąż trzęsły mu się ręce na wspomnienie tego, co zaszło w instytucie. Chciał wysadzić całą tę potworność, a ogrody zmienić w ogólnie dostępny park, niszcząc w ten sposób ostatnią ostoję i symbol władzy kapitana. To jednak mogło trochę poczekać. Na razie zdobyli stolicę, ale nie całą Bienvenido.

Wysłano gońców do wszystkich miast i prowincji, wyjaśniając, że Tymczasowy Kongres Ludowy jest nowym rządem, tak więc mają wybór: przyłączyć się i zgodzić na demokrację albo zostaną do tego zmuszeni. To nie stanie się dziś ani jutro, ale za kilka miesięcy lub rok starzy burmistrzowie i gubernatorzy zbudzą się i zobaczą siły rewolucyjne oblegające ich miasto.

Tymczasem, chociaż Bethaneve twierdziła, że zwyciężyli, w Varlanie wciąż tliły się ogniska oporu, które trzeba było ugasić. Tovakar poprowadził grupę towarzyszy na gmach przy Grosvner Place pięćdziesiąt osiem, który nadal płonął. Rozkładające się szczątki Trevene'a wisiały na jednej z ulicznych latarni naprzeciwko jego zniszczonej głównej kwatery. Zanim obrzucono ją koktajlami zapalającymi, uwolniono z jej lochów ponad dwa tuziny więźniów, samych członków Jedności Demokratycznej lub organizacji. Przynajmniej ci nie zaznają udręk kopalń Pidrui ani koszmaru Instytutu Badania Upadłych. Tych, którzy ich wzięli i przesłuchiwali, albo zastrzelono w trakcie szturmów, albo godzinę później powieszono obok ich szefa.

Mimo to wiele rządowych instytucji nie chciało uznać władzy Tymczasowego Kongresu Ludowego. Ich personel zignorował nakaz zgłoszenia się do pracy w departamentach, w których kierownictwo objęli już członkowie organizacji. Aktywiści organizacji odwiedzali ich wszystkich w domach i tłumaczyli, dlaczego powinni podjąć pracę.

Ponadto dziewięć stołecznych dzielnic (najbogatszych) negowało prawo Slvasty do rządzenia oraz przejęcia wszystkich uprawnień Rady Narodowej.

Nie spodziewał się tak silnego oporu. Czy nie widzieli, że ta rewolucja jest sukcesem? Nie rozumieli, że nadchodzi prawdziwa demokracja?

Wielu towarzyszy chciało pomaszerować na te ośrodki oporu i pod lufami powalić na klęczki bogatych i uprzywilejowanych. Jednak dość już było zabijania, więc po opuszczeniu instytutu Slvasta kazał Bethaneve zorganizować blokadę tych dzielnic, które odmówiły

współpracy z Tymczasowym Kongresem Ludowym. Po dwóch dniach zbrojnych zmagania w Varlanie znów zaczęło brakować żywności.

– Zobaczmy, jak długo bogaci potrafią jeść swoje pieniądze – taką wiadomość wysłał Slvasta swoim zwolennikom.

Tymczasem ci członkowie Jedności Demokratycznej, których mianował przedstawicielami dzielnic, przybyli do budynku Rady Narodowej i szukali sobie miejsc do siedzenia między stertami połamanego drewna pozostałymi po rzędach biur. Liczba kobiet dodawała otuchy; przedtem było ich bardzo mało, teraz prawie połowa. Patrzył, jak nowi delegaci dobrodusznie żartują, szukając sobie miejsc, i uśmiechnął się do trzyosobowej delegacji z Nalani, która szła właśnie wzdłuż pierwszego rzędu. Javier odpowiedział uśmiechem i na pół żartobliwie zasalutował. Slvasta pomyślał, że jego przyjaciel wygląda na równie zmęczonego jak on. Z ostatnich pięćdziesięciu godzin przespał najwyżej trzy.

– Jak leci? – nadał.

– Myślę, że nacjonalizacja linii kolejowych wzbudziłaby znacznie większy sprzeciw, gdyby pociągi kursowały – odparł Javier. – Nikt z personelu administracyjnego nie protestował, kiedy wkroczyliśmy do ich biur i oznajmiliśmy, że nowym właścicielem jest teraz rząd... ale wszyscy moi pomocnicy byli uzbrojeni. Tamci nie mogli uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Nadal nie wierzą. To się zmieni, kiedy minie szok.

– A co z dotychczasowymi właścicielami?

– Na pewno są temu przeciwni. – Javier zachichotał. – Gdziekolwiek są.

Slvasta mimowolnie przypomniał sobie usłyszaną od Arnice'a informację, że rodzina Lanicii ma znaczną część akcji Wielkiej Linii Południowo-Zachodniej. *Uracusie, mam nadzieję, że nic się jej nie stało.*

– Wiele osób opuszcza Varlan. Drogi są zapchane wozami i dorożkami. Ludzie mówią, że wszystkie statki odbijające od nabrzeża są pełne pasażerów. Nie spodziewałem się, że tak wielu ucieknie.

– A niech ich Uracus weźmie. To bogacze, ludzie mający wiejskie rezydencje i drugie domy, takie cholerstwo. Są pasożytami, bez których będzie nam lepiej. Robotnicy nie wyjeżdżają z miasta ani ludzie, którzy naprawdę napędzają gospodarkę.

– Straganiarze z Wellfield – zauważył z sympatią Slvasta.

– Właśnie, oni wciąż tu są. Jak wszyscy, których potrzebujemy, by ożywić gospodarkę i właściwie nią pokierować. A kiedy to zrobimy, robotnicy będą właścicielami środków produkcji.

– W końcu.

Te słowa wydobyły się z ust Slvasty jak westchnienie. W takich spokojnych chwilach trudno było trzymać otwarte oczy.

– A więc ma pan plan działania, premierze?

– O tak. Myślę, że Bethaneve usunęłaby mnie, gdybym go nie miał. Zaczniemy od przegłosowania zakazu używania neutów i modów na całej planecie. Potem zamierzam wprowadzić ustawę o równości...

– Chyba żartujesz, cholera!

Javier zerwał się na równe nogi, nadal śląc przekaz tylko do Slvasty, ale patrząc nań gniewnie z drugiej strony sali.

– Dlaczego?

– Zakaz używania modów? To ma być pierwsze wprowadzone prawo? Chyba żartujesz.

– O czym ty mówisz? Przecież o to w tym wszystkim chodziło. Pamiętasz? Naszym prawdziwym wrogiem są Upadli. Teraz, gdy nie ma kapitana, możemy ich zaatakować. I zaczniemy tę wojnę, pozbywając się ich stworów.

– Nie bądź śmieszny. Cała gospodarka Bienvenido się na nich opiera; każda farma ich potrzebuje do zbierania plonów. Jeśli chcesz, żeby ten Kongres został uznany poza Varlanem, musisz być realistą.

– Varlan przetrwał bez modów i neutów.

– Przetrwał, owszem, ponieważ miasto jest obrzydliwie bogate. Jednak bez nich na pewno nie prosperowało. Pozbycie się modów było naszym doskonałym posunięciem... wtedy. A teraz przede wszystkim musimy wskrzesić gospodarkę i przywrócić dobrobyt, którego pozbawiliśmy ludzi. W ten sposób zdobędziemy poparcie tych, których dopiero co przez dwa dni cholernie wystraszyliśmy.

Gniewnie patrząc na Javiera, Slvasta czuł, że płoną mu policzki. Widział tylko Ingmara-Upadłego spoglądającego nań z tej strasznej jamy, kłamstwa i błagania...

– To nie była tylko polityczna strategia. Chodzi o przetrwanie! Precz z neutami! One są złem. To wytwory Upadłych. Pokonają nas, jeśli nie zabijemy ich pierwsi. Czy ty nic nie rozumiesz?

– Rozumiem doskonale. Opanuj swoją monomanię albo nas zgubisz! Ta rewolucja ma poprawić byt wszystkich ludzi, a do tego potrzebujemy modów. Zabawa się skończyła. Teraz to kwestia życia i śmierci.

– One nas zniszczą! – Slvasta zerwał się z miejsca, gniewnie krzycząc. – Pożrą. Czy tego chcesz? Bo jeśli tak, to nie jesteś lepszy od kapitana. Zdradzasz nas wszystkich, cały rodzaj ludzki!

– Pieprzę cię! Nie straciłeś tylko ręki, ale i mózg! Bez stabilnej gospodarki nie możemy walczyć z Upadłymi. Czy to tak trudno zrozumieć? I nigdy więcej nie nazywaj mnie zdrajcą, ty cholerny, bezwartościowy skurwielu! Straciłeś rękę, ponieważ byłeś głównianym żołnierzem, zbyt głupim, by rozpoznać Upadłego, kiedy go spotkałeś.

– Spierdalaj mi z oczu. Nie reprezentujesz Nalani; nic nie reprezentujesz. Nic!

Slvasta cały się trząsł, zdenerwowany tą kłótnią. Yannrith położył dłoń na jego ramieniu.

– Kapitanie – rzekł ostrzegawczym tonem. – To nie powinno mieć miejsca. Nie tu.

Javier splunął na podłogę i ruszył do drzwi.

– To nie jest twoja rewolucja! – krzyknął do Slvasty, potrząsając wielką pięścią. – Jest własnością ludu. Tylko megaloman możemu zaprzeczać. Kapitan byłby z ciebie dumny.

Slvasta zdołał przechwycić natłok przekazów słanych przez umysł Javiera. Ponad tuzin delegatów wstało z miejsc i dołączało do niego, gdy maszerował do najbliższego wyjścia.

– Bethaneve – nadał. – Zamknij całą siatkę przed Javierem; próbuje nas sabotować.

– Tego nie da się zrobić – zaprotestowała. – Co się tam dzieje, na Uracusa? Co wy wyprawiacie, idioci?

– Nic. – Zrobił głęboki wdech, żeby się uspokoić, i spojrzał na pozostałych delegatów, którzy obserwowali go ze zdumieniem. – Cóż – powiedział, unosząc kącik ust w smętnym uśmiechu. – Witajcie w prawdziwej demokracji.

* * *

Kysandra opierała się o reling promu, spoglądając na gęste od mułu wody Colbal. Telepatycznie była w stanie zajrzeć na parę metrów w tę toń, ale nie głębiej. Ciało stałe i cieczce były silną barierą dla psychicznej percepcji, za co dziękowała Giu. Trzy dni temu stała na południowym brzegu i łzy spływały jej po policzkach, gdy wypływały „Lanuux” i „Alfreed”. Ze wszystkich strasznych rzeczy, jakie robili, żeby wywołać tę rewolucję, to było najstraszniejsze. Nigel kazał jej czekać w hotelu przy dworcu Willesden, gdzie się zatrzymali, ale po prostu nie mogła. Unikanie tego widoku, konsekwencji swoich działań, byłoby najgorszym rodzajem tchórzostwa.

– Inne statki szybko przyplłyną im z pomocą – rzekł Nigel. – Na rzece zawsze są ich dziesiątki.

– Musimy powstrzymać regiment Meor przed zaatakowaniem członków organizacji – przypomniał Fergus.

– Dobrze, dlaczego więc po prostu nie uszkodzimy silników na promach? – zapytała. Żołnierze meorskiego regimentu nie byli złymi ludźmi; nie zasłużyli na taki los.

– Wezwaliby inne promy – rzekł łagodnie Nigel. – Kapitan i Trevene wiedzą, że coś się dzieje, że istnieje zwalczająca ich podziemna organizacja. Meorski regiment jest im potrzebny w mieście. Mamy szczęście, że akurat ogłoszono alarm w dwóch miejscach Upadku i większość marines opuściła stolicę. Są wierni i twardzi.

Tak więc przestała się sprzeciwiać, gdyż to było logiczne i konieczne, a ona nie powinna być głupią i sentymentalną dziewczynką. Los wszystkich na Bienvenido zależał od wydarzeń tego dnia i tylko to miało znaczenie. Godzinę później zobaczyła, jak „Lanuux” i „Alfreed” zatoniły, pozostawiając rozbitków rozpaczliwie walczących z silnym prądem wody i zabójczymi wirami.

Nigel miał rację; wszystkie statki płynące po Colbal ruszyły na pomoc. Jednak żołnierze byli w pełnym rynsztunku i w ciężkich butach, a wartki nurt okazał się bezlitosny. Ostatecznie około trzystu żołnierzy wyciągnięto z wody i przewieziono na brzeg – trzystu z tysiąca pięciuset. Tymczasem w mieście rozpętała się jeszcze krwawsza rewolucja. Kysandra

została na brzegu; patrzyła, jak za rzeką wybuchają pożary, i słuchała huku wystrzałów. Uszczelniła swoją osłonę przed wszelkim smutnymi, okrutnymi i przerażonymi przekazami, które płynęły przez eter wraz z falą nawoływań o pomoc i miłosierdzie.

Teraz, trzy dni później, przeprawiali się przez rzekę na wielkiej barce. Ma Ulvon dowodziła załogą, stojąc przed sterówką ze śrutówką na ramieniu i pasami z nabojami skrzyżowanymi na eleganckim szaroniebieskim płaszczu. Akstan i Julias siedzieli na przywiązanych do pokładu dwóch wielkich wozach, które przyprowadzili do Varlanu. Uspokajali ziemskie konie, żeby się nie spłoszyły. Wozy zostały specjalnie skonstruowane do tej operacji: miały mocne zawieszenie i kryty brezentem tył z głębokimi kołyskami do umieszczenia tego, co zamierzali zdobyć.

– Typowe – warknął pod nosem Nigel.

Kysandra oderwała oczy od miejsca, gdzie dziesięć lub dwanaście metrów pod wodą leżały wraki promów. Nie potrzebowała osłony, żeby nie okazać żadnych uczuć. Od kiedy zaczęła się rewolucja, często odmawiała sobie luksusu ich okazywania. Przekonywała siebie, że tak zapewne myślą ZANDroidy. Widzą, rozumieją, ale nie współczują. Zachowują chłodny spokój; nie porusza ich śmierć ani piękno. Każda ich reakcja na wydarzenia jest idealnie zrównoważona. Nie najgorszy sposób życia. Teraz pojęła, że ona też usiłuje go przyjąć, od kiedy zjawił się Nigel.

– Co takiego? – zapytała.

– Slvasta. Posiedzenie Tymczasowego Kongresu Ludowego jest przesyłane w duchu demokratycznej jawności. Publicznie pokłócił się z Javierem.

Kysandra przeniosła spojrzenie na zbliżające się miasto, patrząc na imponujące budynki wznoszące się na zboczach za rzeką, które nie robiły na niej wrażenia. Zachować spokój – skrywający cię i chroniący przed zranieniem.

– Naprawdę? Nie odbieram żadnych przekazów.

Podszedł do niej.

– Powinienem kazać ci zostać w domu.

– Kazać?

– Nalegać.

– Jednak to wszystko i tak by się zdarzyło, prawda? Oni wszyscy i tak by zginęli.

– Przykro mi.

Tym razem uwierzyła temu melancholijnemu głosowi, współczuciu wyrażanemu przez te urzekające zielone oczy.

– To nie twoja wina. Po prostu... nie przemyślałam tego dokładnie. Nie pojmowałam, jakie to ma rozmiary. Naprawdę jestem jednak małomiasteczkową dziewczyną.

Objął jej ramiona.

– Wcale nie. Jesteś najsprytniejszą, najmądrzejszą osobą na Bienvenido... zaraz po mnie.

– To okrutna ocena Bienvenido.

– Moja dziewczyna. Ponadto straty w ludziach są ogromne, ale nie fatalne. We Wspólnocie ludzie po prostu zapisują swoje myśli i wspomnienia w pamięci swych klonów. Tylko tutaj dusze odlatują do Serca.

– Nigelu. – Obrzuciła go spojrzeniem oznaczającym: nie traktuj mnie protekcyjnie. – Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z twoim planem, to rozniesiesz Pustkę w strzępy. Wszystkie skradzione przez Serce dusze umrą razem z nią, więc nie próbuj mnie pocieszać, dobrze?

– Słusznie. Zatem spójrzmy prawdzie w oczy: Laura Brandt została stworzona i umarła ponad milion razy. Dusze wszystkich, którzy kiedykolwiek dotarli do Serca, zostały uwięzione i przystosowane w cholera wie jaki sposób, żeby służyć Pustce. Nigdy nie popełniono zbrodni przeciwko ludzkości na taką skalę, nigdy. I wszystkie te miliony ludzi mieszkających na Bienvenido będą zawsze musiały stawiać temu czoło, jeśli tego nie powstrzymamy. Byłaś gotowa poświęcić wszystko, włącznie ze swoim życiem i nieśmiertelną duszą, aby wyzwolić przyszłe pokolenia. Byłaś na to gotowa, ponieważ wiedziałaś, że warto i należy to zrobić. Przykro mi z powodu tych ofiar, naprawdę. Wspólnota istnieje po to, żeby każdy miał szansę godnego życia, następnie przeniósł się do technologicznego życia pozagrobowego, a potem być może przeszedł jeszcze dalej. Ja pragnę dobra ludzi; tylko tego zawsze chciałem, mimo wątpliwych metod, jakimi czasem posługiwałem się w minionych wiekach. Natomiast Pustka jest potworem, najgorszym, z jakim mieliśmy do czynienia. Trzeba ją zniszczyć, Kysandro.

– Wiem. – Nagle znów się rozplakała i mocno go objęła. – Nie zawiodę cię. Naprawdę.

– Nie zawiodłaś i nie zawiedziesz. Jesteś moim amuletem, Kysandro. Jesteś tą, na którą codziennie patrzę, by przypomnieć sobie, że to wszystko jest warte zachodu. Chcę zobaczyć, jak żyjesz, Kysandro; jak naprawdę żyjesz. Po to robimy to wszystko. Abyś ty i twoje dzieci miały takie same szanse jak każdy inny członek naszego wspaniałego, głupiego, szalonego rodzaju.

Zrobiła to, czego zawsze obiecywała sobie nie robić, i przywarła do niego, ciesząc się objęciem jego rąk, słysząc bicie jego serca pod koszulą, czując jego zapach. On machinalnie gładził ją po plecach.

– Dziękuję – mruknęła.

– Za co? Powiedziałem, jak jest. Już to wiedziałaś.

– Za to, że byłaś szczery.

– To dziwne. Tak wielu ludzi rozpaczliwie chce być na szczycie, rządzić. Lecz te decyzje, cholera, jakie musisz podejmować, kiedy już tam jesteś. Przed tym nikt cię nigdy nie ostrzega.

– Tam będzie inaczej, prawda, Nigelu? We Wspólnocie?

– Tak. Jednak, proszę, nie myśl, że społeczeństwo nieznające niedostatku jest apolityczne. Nadal zna wbijanie noża w plecy, walki podjazdowe, zdrady oraz ideologiczne obsesje... wszystko, w czym celuje człowiek.

Kysandra się uśmiechnęła, wciąż nie wysuwając się z jego objęć.

- Jesteś takim cynikiem.
- To nasz naturalny stan. Popatrz, co się dzieje ze Slvastą.
- Ha! To idiota.
- Uzgodniliśmy, że w zamian za broń zwoła kongres ludowy, żeby uchwalić demokratyczną konstytucję.
- Przecież to zrobił. – Zmarszczyła brwi. – Czyż nie?
- O tak. Tylko że w tym kongresie ludowym nie mieli uczestniczyć wyłącznie jego ludzie. Zaskoczona Kysandra zeszywniała.
- Nie zrobił tego!
- Owszem, zrobił. Każdy delegat jest albo członkiem organizacji, albo Jedności Demokratycznej. W jego nowym wspaniałym świecie nie ma miejsca dla dysydentów.
- Ależ to...
- Typowe. Częściowo to moja wina. Chciałem, żeby pałac kapitana stał pusty na skutek rewolucji w stolicy. Może powinienem był unikać klasycznego modelu leninowsko-trockistowskiego. – Skrzywił się. – Oczywiście, to sprawdzona metoda, a my potrzebowaliśmy rezultatów. Jednak dostrzegam zabawną stronę tej sytuacji.
- Nie wierzę, że Slvasta to zrobił. Miał być przedstawicielem ludu... jednym z nich. Tym, któremu wszyscy mogą ufać. Dlatego wybraliśmy właśnie jego.
- Nieważne. Teraz, gdy spełnił już swoją rolę, jest nieistotny. Jeszcze tydzień i będzie po wszystkim.
- Kysandra z nowo obudzonym zaciekawieniem spojrzała na miasto. Barka znajdowała się teraz kilkaset metrów od nabrzeża. Szeroka droga biegnąca wzdłuż przystani była zapchana ludźmi. W gęstym tłumie znajdowało się wiele rodzin z dobytkiem: mężczyźni o udreńczonych twarzach, kobiety usiłujące zachować spokój ze względu na wyczerpane i przestraszone dzieci. Każdy z dorosłych miał walizkę lub plecak, przeważnie jedno i drugie. Przy każdym przycumowanym statku zbierał się zbity tłum rozgniewanych i zrozpaczonych ludzi, emitujących silne i nieskładne przekazy, gwałtowne jak błyskawice. Na wszystkich jednostkach, od łódki po wielkie pełnooceaniczne szkunery, uzbrojone załogi stały spokojnie przy relingach, nie wpuszczając nikogo na pokład.
- Co oni robią? – zastanawiała się Kysandra.
- Urządzili aukcję – odparł Nigel. – Zabiorą tych, którzy dadzą najwięcej.
- To okropne. Przecież zabijanie się skończyło. Wczoraj Coulan kazał tłumom rozejść się do domów.
- Nasze tłumy – powiedział z sardonycznym uśmiechem Nigel. – Nagle mają mnóstwo rachunków do wyrównania. Szef kilka lat temu wylał cię z roboty? To naprawdę nie w porządku. Cóż, teraz masz okazję mu odplacić. Szeryfowie już nie pilnują porządku. Nie ma władz, do których można by się zwrócić po pomoc. Tak więc to dobry czas na grabieżę. A musisz grabić, jeśli chcesz nakarmić rodzinę, ponieważ żywności brakuje. Pociągi jej nie dowożą, pamiętasz?

– Uracusie! Zobaczyli Coulana czekającego na pustej przystani z dużym oddziałem uzbrojonej po zęby milicji. Barka podpłynęła tam i zacumowała. Od ludzi z nabrzeża przypłynęła fala nadziei. Milczący milicjanci o kamiennych twarzach stojący na straży przy końcu przystani nie pozwalali im się zbliżyć do trapu.

Kysandra stanęła na palcach, żeby cmoknąć ZANdroida w policzek.

– Wszedłeś cało?

– Tak, jestem nietknięty.

– Wszystko gotowe? – przerwał im szorstko Nigel.

– Po zdobyciu pałacu kazałem mojej milicji ich pilnować. Slvasta i Javier kłócą się w Kongresie, a Bethaneve próbuje ustawić blokadę wokół bogatych dzielnic, które po prostu są nieposłuszne. Musimy tylko tam pójść i je zabrać.

– Dobrze.

Kysandra obrzuciła zatroskanym spojrzeniem zrozpaczonych uchodźców na przystani.

– Co z mieszkańcami?

– Broń wróciła do magazynów – rzekł Coulan. – A przynajmniej większość. Chociaż to bez znaczenia. Zostało niewiele amunicji. Dobrze obliczyliśmy potrzebną ilość.

– Nie o to pytam. Co z żywnością? Szpitalami? Wiem, że były setki rannych. Co robią zwycięscy towarzysze, żeby wszystko znów zaczęło działać?

– Ludzie będą musieli jakoś wytrzymać ten tydzień – rzekł Nigel.

– A jeśli to się nie uda?

– Uda się.

– Naprawdę? My mamy Jamesa Hiltona, gdybyś się mylił. Nigelu, nie możesz opuścić tych ludzi, nie teraz. Rozpaczliwie potrzebują spokoju; Uracusie, połowa z nich chce tylko coś zjeść, a Kongres Idiotów Slvasty debatuje nad ideologiczną czystością i nadaje sobie pompacyjne tytuły. To miasto potrzebuje praktycznej pomocy. – Wskazała palcem tłum. – To twoje dzieło. Najwyraźniej masz doświadczenie w manipulowaniu miliardami ludzi. Zrób coś!

Nigel i Coulan wymienili spojrzenia. Nigel westchnął, z sykiem wypuszczając powietrze przez zaciśnięte zęby.

– Mogę porozmawiać z kilkoma delegatami do Kongresu – rzekł Coulan. – Zebrać paru mądrych, którzy przywrócą funkcjonowanie podstawowych mediów. Żywność będzie sprowadzana wozami.

– Dziękuję! Nigel ostrzegawczo podniósł palec.

– Jak tylko zdobędę to, po co tu przyjechaliśmy.

– Świetnie. – Posłała im obu promienny uśmiech. – Zatem chodźmy.

Wyładowanie wozów zajęło im kwadrans. Potem szybko pojechali do miasta, gdzie nie było tłumów i ulice w pobliżu nabrzeża opustoszały. Milicjanci Coulana wisieli na stopniach dwóch jadących przodem dorożek, trzymając karabiny tak, żeby były dobrze widoczne. Trzecia dorożka, z trzecią grupą milicjantów, jechała za wozami.

– Nie ma nawet dorożek – zauważył Nigel, gdy zmierzali do centrum miasta.

– Wszystko, co miało koła, wynajęli ludzie uciekający z miasta – rzekł Coulan. – Za parę tygodni będziemy tu mieli sporo bardzo bogatych dorożkarzy.

– Nie próbowaliście ich zatrzymać? – spytała Kysandra.

– Oczywiście, że nie. Uciekali ludzie, którzy bali się rewolucji i byli jej przeciwni. To ci, którzy mogą kiedyś zorganizować kontrewolucję. Lepiej na razie trzymać ich z daleka.

Kysandra wspominała swoją pierwszą wizytę w Varlanie: jakie wspaniałe wydawały się jej gmachy, jakie eleganckie i wyrafinowane. Jak zazdrościła tym, którzy mieszkają w stolicy, ich z pewnością wesołego i ekscytującego życia.

Teraz nie mogła na to wszystko patrzeć. Dwukrotnie zobaczyła wisielców: dwóch powieszonych na drzewie, jednego na ulicznej latarni. Zadrżała i odwróciła głowę. Wszędzie były widoczne ślady przemocy: zakrzepła krew na trotuarze, fasady z długimi smugami sadzy nad pustymi oknami, splądrowane sklepy, sterty gruzu, cuchnący szlam pozostawiony przez powódź, rozbite powozy i furmanki z wciąż zaprzężonymi do nich martwymi końmi. Zgrzytała zębami, gdy ich mała kawalkada miarowo przejeżdżała przez to rumowisko, usiłując odzyskać ten beznamiętny chłód, jaki zachowywała na południe od rzeki.

Ominęli skraj parku Bromwella i skręcili w bulwar Walton. Kysandra o mało nie zapłakała na widok stanu, w jakim był śliczny stary hotel Rasheeda. Wybito wszystkie szyby na parterze, wiele na pierwszym piętrze i nawet kilka na drugim. Podarte białe zasłony trzepotały w pustych otworach okien jak żałosne flagi kapitulacji. Donice z kwiatami przy wejściu zostały rozbite, a rośliny połamane. Telepatycznie zobaczyła, że wewnątrz obrabowano ze wszystkiego i piękne komnaty stały puste. Zabrano nawet meble.

– Busalory – mruknęła kwaśno. – Busalory udające ludzi.

– Wszystko wróci do normy – rzekł Nigel. – Poczekaj chwilę.

Zacisnęła zęby i dzielnie patrzyła przed siebie. Konwój przejechał obok zniszczonych posągów i wyschniętych fontann, dzięki którym bulwar dotychczas wyglądał tak pięknie.

Milicjanci stali na straży wokół pałacu. Zasalutowali Coulanowi i otworzyli żelazną bramę. Wozy szybko przejechały po brukowanym placu i jedną z imponujących łukowatych bram na dziedziniec. Kolejny łukowaty przejazd na jego końcu, zamknięty masywną żelazną bramą, prowadził na mniejszy wewnętrzny dziedziniec z wychodzącymi nań oknami prywatnych apartamentów kapitana.

– Znaleźliśmy kilka interesujących rzeczy, przeoczonych przez drony – powiedział Coulan, gdy schodzili po szerokich schodach do lochów pod pałacem.

– Na przykład? – spytała Kysandra.

Coulan się uśmiechnął.

– Komorę reaktora ze statku, tak więc po lądowaniu mieli zasilanie... przynajmniej przez jakiś czas. Trzy jednostki regravowe z „Vermilliona”. Ktoś próbował je zmodyfikować, ale sądząc po ich wyglądzie, bez powodzenia. Jest też smartkor połączony z szeregiem syntetyzatorów. Ich sieci molekularne są w kiepskim stanie, więc musiały pracować przez

długi czas. A tuż za prywatnymi apartamentami jest stara klinika z kilkoma modułami medycznymi, zupełnie wyczerpanymi. Moim zdaniem rodzina kapitana po wylądowaniu tutaj miała dostęp do medycyny Wspólnoty.

– Jak długo? – spytał Nigel.

– Myślę, że przez kilka wieków. Te moduły są mocno zużyte. Niektóre rozebrano na części dla działających. Ostatni to straszna łatanina. Nie chciałbym z niego korzystać, kiedy jeszcze działał.

– A potem nie było już żadnego – mruknął Nigel.

– Tak. Ale najciekawszym odkryciem jest portal.

– Jakaś brama? – zapytała Kysandra. Jej implanty pamięci edukacyjnej zawierały mnóstwo danych o portalach Wspólnoty, ale przecież nie mogło chodzić o... – Chyba nie wormhol?

– O tak – odparł uszczęśliwiony Coulan. – Właśnie on.

– Pokaż mi go – rzucił szorstko Nigel.

Musieli pokonać jeszcze trzy kondygnacje schodów, zanim dotarli do tej komnaty. Kiedy otworzyli drzwi z grubych anborowych desek i weszli do środka, Kysandra zrozumiała, dlaczego schodzili tak długo. Sala była ogromna, z żebrowanym owalnym sklepieniem mającym w najwyższym punkcie co najmniej trzydzieści metrów. Pięć grubych cylindrów, których końce niemal dotykały żebrowanego sklepienia, niemal całkiem ją wypełniało. Wyglądały jak spowite szklistą czarną pajęczyną, mocno przywartą do powierzchni; górną część pokrywała gruba warstwa kurzu, który odbierał jej połysk. Gdy telepatycznie przeniknęła przez tę warstwę, wyczuła, że to gigantyczne maszyny. Nie żeby miały jakieś mechaniczne części – nie były mechaniczne – gdyż ich niewiarygodnie skomplikowane składniki były upakowane razem tak ciasno jak komórki żywej tkanki.

– Nie spodziewałem się, że znajdziemy je tutaj – przyznał ze smutkiem Nigel.

– A powinniśmy – odparł Coulan. – To standardowe wyposażenie statków kolonizacyjnych. W końcu kto chce wozic tak daleko surowce i ludzi zmierzających do nowego świata? Bramy pozwolą powiązać główne skupiska populacji z ośrodkami przemysłowymi. Najlepszy sposób na utworzenie monokultury.

Nigel uśmiechnął się czule do ciemnych i nieruchomych cylindrów.

– Zastanawiam się, czy mają jakieś flotery.

– A są to...? – spytała z lekką urazą Kysandra. Zaryzykowali wszystko, by uzyskać swobodny dostęp do pałacu, a teraz tym dwóm zebrało się na nostalgiczne wspominki. Jej cierpliwość zaczynała się kończyć.

– Wrota, które wrzuca się w atmosferę gazowego olbrzyma. Unoszą się na granicy przejścia gazu w ciecz, pobierając wszelkie potrzebne węglowodory. Niewyczerpane źródło.

– Czy to ma teraz jakieś znaczenie? Nigel wyciągnął rękę i poklepał pierwszy portal.

– Ja go zbudowałem, Kysandro... ja i Ozzie. To umożliwiło stworzenie Wspólnoty. – Z żalem wyduł usta. – Pewnie nie możemy go wykorzystać, żeby dotrzeć do Lasu?

– Są zasilane reaktorami bezpośredniego przetwarzania masy, które w Pustce działają w najlepszym razie kapryśnie – wyjaśnił Coulan. – Jednak są w oryginalnych opakowaniach. Domyślam się, że kapitan Cornelius próbował uruchomić jeden po przybyciu tutaj. Gdyby mu się udało, wykorzystaliby je jako środki transportu pomiędzy miastami Bienvenido, zamiast pociągów.

– Tak więc trzymał je zapakowane i zmagazynowane tutaj. To ma sens. Do licha. One naprawdę mogłyby nam pomóc. – Z przygnębieniem spojrzął na wielkie czarne cylindry. – Wygląda na to, że jednak polecę rakieta. Wilson Kime pęknie ze śmiechu, kiedy się o tym dowie. Chodźcie, weźmy to, po co tu przyszliśmy.

* * *

Yannritha zawsze dziwiło to, jak wielu dorożkarzy należało do organizacji. Ich klientelę stanowiły osoby bogate, a tych rewolucja wypłuszała z miasta. Oczywiście, wiele dorożek także było teraz poza miastem, przewożąc tych samych bogaczy do ich posiadłości na wsi lub rodzin w odległych miejscowościach, za co niewątpliwie pobierali sową opłatę. Jednak ci, którzy zostali, chętnie wozili aktywistów po całej stolicy, pomagając sprawie. Bethaneve zapewniała im zajęcie.

Bardziej cyniczna część jego umysłu podejrzewała, że w ten sposób zabezpieczali się na przyszłość. Licencje dorożkarskie w Varlanie były prawie nie do zdobycia; ostatnio można je było tylko odziedziczyć. Gildia Dorożkarzy Varlanu mogłaby nauczyć związek zawodowy Slvasty paru rzeczy o praktykach restrykcyjnych i zwalczaniu konkurencji.

Dorożka skręciła z ulicy Pointas na bulwar Walton. Strzegący przez wieki tego skrzyżowania posąg kapitana Gootwaia stracił głowę, na miejscu której zatknięto dynię. Yannrithowi nie podobało się bezprawie panujące w stolicy. Lubił porządek. Slvasta już go poprosił, żeby objął dowodzenie siłami policyjnymi tworzonymi z pozostałych szeryfów i wybranych aktywistów trzeciego stopnia. Trudno będzie nakłonić te dwie grupy ludzi do współpracy po wszystkim.

– Uważaj to za doskonały przykład tego, jak musimy odbudować nasze życie – powiedział Slvasta. – Pojednanie musi się gdzieś zacząć.

Tego popołudnia Yannrith miał się spotkać z ocalałymi komendantami biur szeryfów, aby zobaczyć, w jakim stopniu jest to możliwe – czy któryś z nich w ogóle się zjawi. Teraz jednak bardziej martwił się tym szokującym rozłamem między Javierem a Slvastą. To zaskoczyło wszystkich, gdyż było tak nieoczekiwane, a jego zdaniem spowodowane zmęczeniem i nieustannym stresem kilku minionych dni. Co do pojednania, akurat to byłoby niezwykle istotne dla nich wszystkich. Nawet Slvasta zdawał się to rozumieć. Teraz.

I dlatego Yannrith jechał do pałacu, żeby porozmawiać z Coulanem, który był zawsze spokojny i rozsądny, więc mógł nakłonić tych dwóch do zgody. Niestety, Coulan teraz nie odpowiadał na żadne przekazy, więc Uracus wie, co robił. Może pospieszył wesprzeć

swojego kochanka w próbie obalenia Slvasty. Coulan zawsze był ekspertem od subtelnych i skomplikowanych działań.

Paranoja. Być może... Można to było sprawdzić, tylko podejmując rozmowy. Czego Slvasta nie mógł zrobić, gdyż byłoby to oznaką słabości, a on musiał tworzyć sojusze z popierającymi go delegatami Tymczasowego Kongresu Ludowego.

Tak więc Yannrithowi przypadła rola pośrednika (ponieważ Bethaneve była wściekła na obu). To mu odpowiadało, gdyż chciał także wiedzieć z pierwszej ręki, jak przebiegają poszukiwania córki kapitana. Gdy cała rodzina kapitana znajdzie się pod kluczem, Slvasta naprawdę będzie mógł przycisnąć opozycję – na przykład zmusić dowództwo szeryfów do pojawienia się na dzisiejszym spotkaniu. Chociaż nikt nie chciał egzekucji kolejnych członków kapitańskiej rodziny, nie teraz. Aothoriego trzeba było usunąć, wszyscy to wiedzieli, ale dzieci... Utraciliby znaczny procent poparcia.

I kto by pomyślał, że porewolucyjna polityka wewnętrzna okaże się tak strasznie skomplikowana?

Z naprzeciwka bulwarem Walton zbliżał się konwój pojazdów, jadących w niezłym tempie. Dwie dorożki z przodu, z uzbrojonymi milicjantami na stopniach, ślącymi stanowcze przesłanie, żeby zejść im z drogi. Potem dwa duże kryte wozy, mocno maskowane. Za nimi jeszcze jedna dorożka, również pełna milicji.

Yannrith zerknął na nich z zaciekawieniem i zdążył zobaczyć młodą kobietę siedzącą obok posępnego woźnicy na koźle pierwszego wozu. Miała na sobie wysokie buty, długą zamszową spódnicę, skórzany płaszcz i białą bluzkę, a spod kapelusza o szerokim rondzie spływały fale rudych włosów. Yannrith zmarszczył brwi: ta twarz. Skądś ją znał. *Jedzie z milicją Coulana, co oznacza, że jest aktywistką. Tylko skąd ją znam? Organizacja zapewnia nam wszystkim anonimowość. Teoretycznie.*

Konwój przejechał obok, a Yannrith nie wiedział, co o tym myśleć. Milicjanci Coulana metodycznie ogałali pałac ze wszystkiego. Przez pierwsze dwa dni na bulwarze Walton był istny młyn, gdy rozdawali dobytek kapitana, ale teraz nie było już co rabować. *Dlaczego więc te wozy miały eskortę? Co mogło być tak ważne?*

Minutę później dotarł do pałacu kapitana, zamierzając uzyskać kilka wyjaśnień od Coulana. Milicjanci pilnujący bramy przepuścili Yannritha niechętnie. Niepokoiło go to tworzenie się frakcji i usztywnianie stanowisk, co mogło mieć katastrofalne skutki dla rewolucji. Kiedy wszedł do pałacu, nieliczni przydzieleni do pilnowania pałacu wartownicy powiedzieli mu, że Coulana tu nie ma. Nie wiedzieli, gdzie jest ani kiedy wróci. I nic nie wiedzieli o konwoju.

* * *

Budynek teatru Delkeith przy ulicy Portnoi był stary i zaniedbany, ale miał grube mury blokujące telepatyczny ogląd. Jego zespół specjalizował się w nieco prymitywnych satyrach

politycznych i stąd Javier go znał. Dyrekcja zamknęła podwoje, gdy tylko tłumy wyszły na ulice, ale dozorca chętnie otworzył je przed Javierem.

Ten siedział teraz na scenie obok będącej rekwizytem teatralnym olbrzymiej filiżanki i dziękował ludziom za przyjście oraz odwagę, jaką wykazali, wychodząc z nim z Kongresu. W większości byli to działacze związkowi oraz grupa radykałów, których znał od dawna, dłużej niż Slvastę. W trakcie tworzenia komórek przezornie umieścił ich na przywódczych stanowiskach, tak więc teraz ponad dwudziestu z nich zostało delegatami do Tymczasowego Kongresu Ludowego.

Rozumieli realia życia na Bienvenido i nie trzeba im było tłumaczyć, co to jest niesprawiedliwość. Wiedzieli, jak istotne są miejsca pracy i rozkwit gospodarczy dla uprawomocnienia rewolucji. Kiedy zaczął przemawiać, poparli jego próbę zablokowania idiotycznego pomysłu Slvasty dotyczącego modów i neutów.

Uzgodniwszy swoje stanowisko, zaczęli omawiać tryb postępowania, głosowań oraz ewentualnych sojuszy w Kongresie dla zablokowania tego projektu. Sprawę utrudniało to, że Slvasta przewodniczył obradom Kongresu, tak więc musieli znaleźć sposób, żeby go zawstydzić i zmusić do przestrzegania zasad demokracji.

Osobą naprawdę potrzebną Javierowi w Delkeith był Coulan. Nie tylko z powodów osobistych, ale dlatego, że miał najlepszą głowę do takich rzeczy. Ponadto Coulan wiedziałby, jak załagodzić spór ze Slvastą.

Teraz, po tamtej publicznej kłótni i rozłamie, Javier czuł się głupio. Obaj nie musieli być tacy porywcy i uparci.

To przez zmęczenie, powtarzał sobie. W takim stanie najmniejsza prowokacja może gwałtownie zwiększyć poziom adrenaliny i testosteronu. A on był potwornie zmęczony. Towarzysze liczyli, że opracuje dla Kongresu Ludowego strategię rozwoju przemysłowego. Nie miał kiedy wypocząć po całej tej przemocy i desperacji na etapie rewolucyjnej walki zbrojnej. Należało iść za ciosem – czy nie Coulan wciąż na to nalegał? Wypierać establishment, przejmować ich prerogatywy na rzecz Kongresu, lokować swoich menedżerów na strategicznych posadach. Nie zwalniać. Napierać, aż po prostu przestaną stawiać opór. Nie ustawać.

Coulan nie odpowiadał na żadne przesłania. Dowodził zajęciem pałacu i aresztowaniem rodziny kapitana. Javier wiedział, że oba te zadania wykonał bezbłędnie; przez cały czas przeglądał raporty, z niepokojem obserwując, jak się ma jego ukochany. Jego niewielki oddział milicji był bardzo zdyscyplinowany, eliminował każdego przeciwnika i nie pozwalał szaleć podążającemu za nim tłumowi. *Gdyby wszystkie zadania rewolucji zostały tak sprawnie wykonane* – myślał ze smutkiem. Było wiele przypadków łamania dyscypliny. Zbyt wielu zabitych i rannych. Grabieże były kompromitacją.

Jednak przejęli pałac, a także rodzinę kapitana – poza Dionene. Miasto należało do nich. Zwyciężyli.

Zatem dlaczego czują się tak paskudnie?

Javier uświadomił sobie, że zamykają mu się oczy. Gwałtownie wyprostował się na krześle – przy czym zawadził łokciem o tę śmieszoną filizankę. Była zrobiona z bibułki i o mało jej nie przewrócił. Kiedy się upewnił, że rekwizyt nie upadnie i nie potoczy się po scenie, podniósł ręce.

– Przepraszam. Naprawdę muszę się przespać. Wiemy, co mamy robić. Zobaczymy się jutro na porannej sesji Kongresu.

Wszyscy chcieli mu pogratulować. Sukcesu. Tego, że o nich nie zapomniał. Przeciwwstawienia się Slwaście. Reprezentowania prawdziwej demokracji.

Ścisnął dłonie. Klepał po plecach. Obiecywał długie i miłe wieczory w pubie. Ledwie ich poznając i z pewnością nie pamiętając, co do niego mówili. Teraz był tak zmęczony, że z trudem stał.

Kiedy w końcu opuścił teatr, czekała na niego dorożka. Organizatorska magia Bethaneve nadal działała doskonale. Uśmiechnął się na tę myśl, mówiąc dorożkarzowi, żeby zawiózł go do pałacu. Musi jakoś znaleźć Coulana i ustalić, co naprawdę się dzieje. Zasnął, ledwie pojazd ruszył.

* * *

Zmęczenie w końcu ugasiło gniew Slvasty. Podczas posiedzenia Kongresu jego pomocnicy wciąż parzyli mu kawę, której nie znosił, ale mimo to pił. Teraz okropnie bolała go głowa, miał kapeć w ustach i obolały pęcherz, a spotkanie wciąż trwało. Najważniejsze narady odbywały się w aneksie przewodniczącego, ładnym sześciokątnym gabinecie z wysokimi oknami mającymi szybki w ołowianych ramkach. Delegaci, których znał i darzył zaufaniem, przychodzili i rozmawiali godzinami. Uspokajał ich i przepraszał za swój wcześniejszy wybuch. Wszyscy wyrażali współczucie: to był trudny tydzień dla każdego. I wszyscy przekazywali mu swoje troski, problemy tych, których reprezentowali, on zaś obiecywał poświęcić im czas w trakcie kolejnej debaty. Wymieniając przysługi i plotki.

Gdy on siedział w aneksie, Javier ulokował się ze swoimi zwolennikami w Delkeith, tworząc frakcję proneutową. Nie można było na to pozwolić. Jednak w miarę upływu tego wyczerpującego dnia, który zupełnie go wykończył, coraz bardziej martwiło go to, że nie może po prostu przesłać staremu przyjacielowi przekazu: „Daj spokój, chodźmy na piwo do ogrodu pubu Bellaview i po prostu o tym porozmawiajmy”. Tak jak dawniej.

Jednak to Javier powinien go tam zaprosić. To on ponosił winę.

Bethaneve przyszła, gdy wychodziła siódma – lub ósma – grupa gości. Podeszła do niego, siedzącego za szerokim biurkiem, usiadła mu na kolanach i oparła głowę na jego ramieniu. Przez długą chwilę nic nie mówili, tylko odpoczywali, zadowoleni z tego, że wciąż żyją i mają siebie.

– Zrobiliśmy to – szepnęła w końcu.

– Teraz musimy dopilnować, żebyśmy tego nie stracili.

– Nie tracimy. – Ucałowała go, a potem wsunęła mu palce po brodę i uniosła jego głowę tak, żeby patrzeć mu w oczy. – Wciąż myślisz o Ingmarze, prawda, kochany?

Pokornie skinął głową.

– Staram się nie myśleć. Jednak... Niech Uracus pochłonie tych Upadłych, na wieki. I tych z instytutu, zdrajców całej ludzkości, co do jednego.

– To nie zdrajcy, robili, co musieli, żeby nie zlikwidowano instytutu. Walczyli z Upadłymi, tak jak my.

– Może – przyznał. – Ale nie mogę przestać tak myśleć.

– Czy dlatego pokłóciłeś się z Javierem?

– Zaraza! – Zacisnął zęby. – Nie wiem. W jednej chwili byliśmy zadowoleni, że jesteśmy żywi i razem w Kongresie, że przez cały czas mieliśmy rację i w końcu możemy pomóc ludziom, a w następnej zmieniliśmy się w dwóch szaleńców wrzeszczących na siebie. Wiedziałem, że powinienem przestać, ale on nie chciał mnie zrozumieć. To było szaleństwo.

– Giu, miej was obu w opiece!

– Wiem, wiem. Przykro mi. Byłem zmęczony, to wszystko. I wciąż zły z powodu Ingmara. Na Giu, to było wstrząsające i nierzeczywiste. Dlatego sytuacja wymknęła mi się spod kontroli. To się więcej nie zdarzy. Obiecuję ci to. Wierzysz mi, prawda?

– Macie usiąść i porozmawiać jak rozsądni ludzie.

– Ale... mody są wytworem Upadłych!

Cała zeszywniała.

– Wiem o tym. Będziesz jednak musiał znaleźć jakiś sposób, aby skłonić całe Bienvenido do zaakceptowania rewolucyjnej władzy. Kiedy tego dokonasz, wtedy załatwisz sprawę modów i neutów. – Znów ścisnęła palcami jego brodę i uważnie spojrzała mu w oczy. – Rozumiesz to, prawda?

– Tak – powiedział i zmęczenie wróciło potężną falą, przy której wszystko wydawało się nieistotne. – Wiem. Ale nie spocznę, dopóki ten świat nie będzie od nich wolny.

– Krok za krokiem, ukochany.

Pocałowała go.

– Dziękuję. Martwiłem się.

– Ja też, kiedy to się stało. Nie wiedziałam, co robić.

– Zawsze wiesz – powiedział. – Dlatego cię kocham.

– Tym razem nie wiem. Mam jednak dziwne wieści.

– Jakie?

– Most Goleford został wysadzony. Jakies pół godziny temu. Tuż po przejeździe ekspresu. Mieli szczęście.

– Gdzie leży Goleford?

– Uracusie, ty naprawdę jesteś zmęczony. To most południowej miejskiej linii kolejowej.

– Teraz? Gdzie, na Giu, byli do tej pory?

– Nie wiem. Próbuję wysłać tam naszych agentów, żeby ustalili, co się dzieje, ale obecnie trudno wysłać wiadomość za Colbal. Wszystkie statki są pełne uchodźców.

– Nie jesteśmy tyranami – warknął rozniewany. – Wprost przeciwnie. Nikt nie musi przed nami uciekać.

– Wiem.

– Musisz nawiązać kontakt z tą grupą dywersyjną. Nie chcemy, żeby jeszcze jakieś mosty wyleciały w powietrze. Jak powiedział Javier, musimy odbudować gospodarkę.

– No, wreszcie rozsądna uwaga. Odnotuję to w moim dzienniczku.

– Hej, staram się, jasne?

– Wiem. – Nie zeszła z jego kolan.

Slvasta telepatycznie dostrzegł wchodzącego do przedpokoju Yannritha.

– Wejdz – nadał.

– Kapitanie – powiedział Yannrith. Niepokój przedostawał się przez jego osłonę.

– O co chodzi? – zapytał ze znużeniem Slvasta. Nie wiedział, czy zdoła znieść kolejne złe wiadomości.

– Nigdzie nie mogę znaleźć Coulana.

– Będzie z Javierem – rzekł Slvasta.

– Nie jest.

Bethaneve wstała.

– Znajdę go. Zawiadomię moich ludzi.

– Właśnie wracam z pałacu kapitana – powiedział Yannrith. – Dzieje się tam coś bardzo dziwnego. Milicjanci Coulana, którzy pilnują pałacu, zachowują się bardzo dziwnie.

– Jak to dziwnie?

Yannrith wzruszył ramionami.

– Jakby byli pijani albo co. Trudno coś od nich wyciągnąć.

– Są wierni Coulanowi.

– Nie, to coś więcej. I coś stamtąd zabrano. Musiałem długo pytać, ale w końcu tyle się dowiedziałem.

– Zabrano?

– Z podziemi pałacu. Na Uracusa, Slvasto, tam są naprawdę niesamowite rzeczy. Stare rzeczy, jakich jeszcze nigdy nie widziałem, ze statku samego kapitana Corneliusa.

Slvasta patrzył na niego, usiłując zrozumieć, co on mówi.

– Coulan zabrał coś ze statku Corneliusa?

– Nie jestem pewny. Jednak słuchaj, kapitanie, czy pamiętasz twoje ostatnie poszukiwania z regimentem?

– Trudno o tym zapomnieć. Bo co?

– Spotkaliśmy tych dziwnych ludzi, których wzięliśmy za baronów narnikowych. Tę rudowłosą dziewczynę, zapomniałem jej imienia, niby to żonę Nigela. Ona jest tutaj.

Widziałem, jak jechała na jednym z wozów po bulwarze Walton. Wszyscy zjeżdżali ze wzgórza.

– Jakich wozów? – nie wytrzymała Bethaneve.

– Tych, którymi wywieźli coś z pałacu.

Ból głowy zdawał się dwukrotnie silniejszy, gdy Slvasta ze zdumieniem spojrzał na Yannritha.

– Czeka! Nigel i Kysandra są tutaj? W Varlanie?

– Zna ich pan? – spytał równie zaniepokojony Yannrith.

– Nigel dostarczył nam broń – powiedziała Bethaneve. – Ale... nie rozumiem. Co on tu robi?

Pomimo bólu głowy niejasne wspomnienie, które dręczyło go przez kilka dni, nagle się wykrystalizowało.

– Piechurzy! – wykrzyknął.

Bethaneve i Yannrith spojrzeli na niego, marszcząc brwi.

– Ty to powiedziałaś – rzekł oskarżycielsko Slvasta. – Tamtej nocy, kiedy uzbrajaliśmy komórki, powiedziałaś, że nie możemy uzbroić wszystkich piechurów.

– I co z tego?

– Przedtem tylko raz słyszałem to słowo. Od Nigela! Mówi się o żołnierzach, szeregowcach, sierżantach, kapralach, oficerach... a nasi towarzysze z organizacji to aktywiści. Nigdy nie nazywa się ich piechurami.

– Slvasta...

– Co się dzieje? – zapytał gniewnie. – Skąd znasz Nigela?

– Nigdy w życiu go nie spotkałam. To ty pojechałeś do Adeone, żeby się z nim zobaczyć. To ty zawarłeś umowę dotyczącą broni. Wiem o nim tylko tyle, ile mi powiedziałaś.

– To dlaczego nazywasz członków komórek piechurami?

– Oszalałeś? – krzyknęła na niego. – To tylko cholerne słowo.

– To jego słowo.

– Och, do kur...

– Co on tam robił, kiedy wpadliśmy na niego podczas przeszukiwania? Co miał na tych statkach? Czy jest baronem narnikowym? Czeka! To on był twoim dostawcą?

Drgnęła, jakby ją uderzył. Nagle jej twarz skamieniała.

– Slvasta – powiedziała z lodowatym spokojem – musisz z tym skończyć. Musisz się przespać.

– Dlaczego on tu jest? Co zabrał?

– Chcę, żebyś się uspokoił. Połóż się na kanapie i...

– Nie. Tu się coś dzieje. Javier zwrócił się przeciwko mnie. Czy on też kolaboruje z Nigelem?

– Slvasta. – Łza spłynęła jej po policzku. – Proszę. Nie.

– Dowiem się! – ryknął. – Na Giu, dowiem się, jaką grę wy wszyscy prowadzicie za moimi plecami! Myślicie, że możecie się mnie pozbyć? Myślicie, że możecie tak po prostu wejść do pałacu kapitana i rządzić tym światem? Tak myślicie? Cóż, nie możecie! Ja was powstrzymam. Powstrzymam was wszystkich. – Wypadł z aneksu. Tovakar oraz pięć dowodzonych przez niego ochroniarzy popatrzyli na niego, zaalarmowani. – Idziemy do pałacu – powiedział im. – Sierżancie, jesteś ze mną?

Yannrith bezradnie wzruszył ramionami, spojrzął na Bethaneve i wyszedł, zostawiając ją, a ona osunęła się na kolana i zaczęła płakać.

* * *

W mieszkaniu przy Ogrodach Tarletona nadal nie było prawdziwych mebli. Po wyprowadzce Slvasty i Bethaneve puste pokoje wydawały się jeszcze większe. W żadnym z nich nie było gdzie się ukryć.

Javier telepatycznie sprawdził je wszystkie, gdy tylko wysiadł z dorożki na ulicę przed domem. Coulana nie było w środku. Nie było go nigdzie. Ani w pałacu, ani w hotelu, w którym przetrzymywano rodzinę kapitana, ani u żadnego z towarzyszy. Nigdzie. Javier mimo to poszedł na górę, do ich mieszkania. Nie miał dokąd iść. Popołudniowe słońce wpadało przez wielkie wykuszowe okna. Zawsze cieszyło go wrażenie swobody, jakie wywoływały te pokoje. Domy i mieszkania innych ludzi wydawały mu się takie zagracone. Oni cenili rzeczy; on najbardziej cenił możliwości.

– To wyzwala twoją skłonność do optymizmu – powiedział mu pewnej nocy Coulan, leżąc w jego ramionach. – Podoba mi się to.

Teraz Javier patrzył na materac z pomiętą pościelą, w której spędzili razem tyle nocy, cicho rozmawiając o swoich planach i nadziejach lub uprawiając radosny seks – i nie mógł wyrzesać z siebie optymizmu. Czuł się pusty, tak jak te pokoje.

Usiadł na materacu; mimo swej postury i siły nie był w stanie dłużej walczyć ze zmęczeniem.

– Gdzie jesteś? – zapytał gołych ścian.

Coulan by go nie opuścił, szczególnie w tej godzinie próby, kiedy Javier potrzebował go bardziej niż kiedykolwiek. Kochali się. Byli jednością. Jedyne, co mu przychodziło do głowy, to że Slvasta nasłał na Coulana płatnego zabójcę; że po kolei wykańcza każdego, kto mu się przeciwstawi.

– Ty idioto – powiedział sobie i na moment zamknął oczy.

* * *

– Zbudź się.

Javier otworzył oczy. Nad nim stała Bethaneve. Miała ciemne kręgi pod oczami i policzki zaczerwienione od płaczu. Włosy w strąkach zwisały w nieładzie.

– Wyglądasz strasznie – powiedział z uśmiechem mającym złagodzić krytykę. Chyba spał tylko kilka minut, gdyż wciąż był koszmarnie zmęczony. Jednak słońce wisiało już nisko na niebie.

– Chodzi o Slvastę – powiedziała słabym głosem.

– Wiem. Przykro mi. Obaj byliśmy głupi. Uracusie, nie spałem od wielu dni... i nadal nie śpię. Byłem taki spięty i zły. Tyle walk, zaciętych walk z szeryfami, marines i... Ulice były niedobrym miejscem. Jednak musiałem tam być, żeby poprowadzić towarzyszy. Chciałbym z nim porozmawiać.

Bethaneve pokręciła głową, usiłując powstrzymać łzy.

– Pogorszyło mu się. On... już nikomu nie ufa. Wszędzie widzi spiski.

– Ciebie też podejrzewa?

Z przygnębieniem kiwnęła głową.

– Giu! Co takiego zrobiłaś?

– On myśli, że spiskowałam z Nigelem.

– Nigelem? Tym, który dostarczył nam broń?

– Tak.

– Przecież tylko Slvasta zna Nigela. – Patrzył na ponurą minę Bethaneve, wyczuwał burzę uczuć ledwie skrywanych za osłoną. – W porządku. Musimy to powstrzymać. Muszę znaleźć Coulana. On będzie wiedział, co robić.

– Wiem, gdzie on jest.

– Gdzie? – spytał o wiele gwałtowniej, niż zamierzał.

– W budynku Rady Narodowej. Javier, on się spotyka ze starymi towarzyszami, zawiera umowy, organizuje ich. Myślę, że tworzy swoją frakcję.

Sądził, że to przez zziębnięte mięśnie tak trudno mu wstać, ale w końcu musiał przyznać, że to na skutek szoku.

– Nie. Na pewno się mylisz.

– Mam nadzieję. Naprawdę. Jednak moi informatorzy nie są dostatecznie blisko, żeby uczestniczyć w tych rozmowach. Nie wiem, co on naprawdę szykuje.

– Coulan nigdy by nas nie zdradził. Przez lata planowaliśmy to razem z nim; dobrze wiem, co myśli na każdy temat. Pragnie sprawiedliwości społecznej tak samo jak my.

– Wiem. – Tępo spojrziała na swoje stopy. – Ja też o tym pamiętam. Uratował mnie. Zamierzał ocalić wszystkich.

– A więc musimy w niego wierzyć. Nie możemy zarazić się paranoją Slvasty. To jedna z zasad, które zamierzaliśmy wprowadzić, pamiętasz? Każdy jest niewinny, dopóki nie dowiedzie mu się winy.

– On to rozumie inaczej.

– Taak. No cóż, dopóki nie wiemy, co się dzieje, przyjmujemy tę zasadę.

– Tak – powiedziała. – Tak zrobimy.

Javier dźwignął się z materaca. Zrobił to z trudem i zakręciło mu się w głowie.

- Dziś po południu miałem pomagać naszym towarzyszom przy nacjonalizacji kolei.
- Czy ty chociaż wiesz, jak się nacjonalizuje kolej?
- Chyba trzeba powołać nowy zarząd, tak jak zrobiłem ze straganem Coughlina na targowisku Wellfield.
- To wymaga myślenia na znacznie większą skalę. – Zamilkła, pozwalając niespokojnym myślom przeniknąć przez swoją osłonę. – Poważnie mówiłam, że nie wiem, co teraz robić. Nie uważasz, że to dziwne?
- Posłuchaj, oboje jesteśmy zmęczeni jak jeszcze nigdy w życiu. To oczywiste, że popełniamy błędy i zapominamy, co mieliśmy robić. Odpuść sobie. Popatrz, jaki popis ja dałem dzisiaj.
- Nie. To coś więcej. Przedtem zawsze o czymś myśleliśmy. Jak organizować komórki, jaką prowadzić politykę, jak realizować nasze cele i manipulować opinią społeczną. Siadaliśmy razem i pomysły same nam przychodziły do głów. Wspaniałe pomysły. Takie, które się sprawdzały. Teraz zwyciężyliśmy i tego już nie ma. Nie wiem, jak wykorzystać to, co zdobyliśmy. W mieście panuje chaos; brakuje żywności, targowiska są zamykane, połowa dzielnic nadal nie ma wody i ludzie uciekają. Rozwaliliśmy wszystko, sprytnie i dokładnie. Dlaczego nie umiemy tego naprawić? Chcieliśmy uczciwego i sprawiedliwego ustroju, więc dlaczego nie jesteśmy gotowi go zaimplementować? Dlaczego nie mamy pomysłu na odbudowanie mostów kolejowych? Dlaczego nie dajemy gwarancji bezpieczeństwa i wolności, żeby uspokoić klasę robotniczą?
- Tymczasowy Kongres Ludowy...
- To farsa.
- Jesteś zbyt surowa. – Skrzywił się pod jej spojrzeniem. – No dobrze, to banda idiotów. Jednak niektórzy z nich to pożyteczni idioci. Chcą dobrze.
- To wspaniałe epitafium. Jeśli nie będziemy ostrożni, wyrecytujemy je, podążając do Giu.
- Czego ty chcesz, Bethaneve?
- Nie wiem. Ja tylko mówię, że to dziwne. I dziwne jest to, że wcześniej mnie to nie martwiło. Tak jakby nagle zużyły się wszystkie pomysły. Dlaczego?
- W porządku. Oto, co zrobimy. Razem znajdziemy Coulana. Potem usiądziemy we trójkę jak za starych dobrych czasów sprzed półtora tygodnia i pomyślimy, jak uspokoić Słvastę i ponownie wyprowadzić wszystko na właściwą drogę. Kiedy to zrobimy, we czwórkę pomyślimy, co zrobić, żeby miasto znów zaczęło funkcjonować; może nawet zrobimy to, siedząc w pubie przy piwie. Co ty na to?
- To chyba najlepszy pomysł, jaki dziś słyszałam.
- Przed domem czekała na nich dorożka. Javier uśmiechnął się i pomógł Bethaneve wsiąść.
- Widzisz? Nadal wiesz, jak zapewnić funkcjonowanie pewnych mechanizmów.
- Popatrzyła na niego.

– Jednak to jest coś, co zostało zorganizowane wcześniej – odpowiedziała śmiertelnie poważnie.

Javier się poddał.

Dorożka ruszyła, szybko jadąc po prawie pustych ulicach.

– Przemieszcza się – oznajmiła Bethaneve po dziesięciu minutach. – Wychodzi z budynku Kongresu. Jest tam dorożka, ale nie jedna z naszych.

– Prześlę mu sygnał – oznajmił Javier. Skupił myśli, śląc je nad dachami domów na plac Pierwszej Nocy. – Coulanie. Coulanie, mój kochany, mów do mnie, proszę. Wiem, że tam jesteś. Tak bardzo cię potrzebuję.

– Uracusie – mruknęła Bethaneve. – Co mu powiedziałeś?

– Dlaczego? Co się stało?

– Po prostu dobrze i szczelnie zamaskował ten powóz. Mój agent już nie jest w stanie go dostrzec.

– Dlaczego on to robi? – Javier nie zdołał ukryć nuty przygnębienia. – Co ja mu zrobiłem?

– Zaczekaj. – Bethaneve wygodniej usiadła na skórzanym siedzeniu dorożki. – Aktywuję wszystkie komórki wokół placu Pierwszej Nocy. Ci towarzysze nadal są lojalni, przynajmniej na razie; będą go obserwować. Maskowanie może skryć przed telepatią, ale nie zdoła ukryć powozu przed zwyczajnym kontaktem wzrokowym.

Minutę później ktoś zobaczył powóz skręcający w ulicę Fletton. Potem Coulan wysiadł i pospiesznie wszedł do galerii handlowej Tonsly.

– Uracusie, tam jest ze dwadzieścia wejść – powiedziała Bethaneve. – Szkoda, że nie mamy mod-ptaka Andricei.

– Ona jest zwolenniczką Slvasty.

Otworzyła jedno oko i spojrzała na niego z dezaprobatą.

– To złe podejście.

– Przepraszam.

Śledził przekaz słany mu przez Bethaneve. Podziwiając sposób, w jaki najwyraźniej jednocześnie koordynowała przekazy kilkudziesięciu członków organizacji. Obrazy ulic i galerii handlowej przelatywały z niewiarygodną szybkością.

– Tam!

Migawkowy obraz jasnej skóry i blond włosów ukochanego znikającego w Zaułku Makins. Krótkie i zdecydowane polecenia wysłane członkom organizacji. Zmienili kierunek, przyspieszyli, znów zwolnili, zatrzymali się na skrzyżowaniach.

Coulan przywołał dorożkę na ulicy Lichester. Zamaskował ją. Ich dorożka ruszyła za nim, trzej członkowie komórek wskoczyli do niej w pędzie.

Jeszcze trzykrotnie zmieniał dorożki. Potem kluczył pieszo w labiryncie krętych uliczek i ciemnych zaułków Saxby.

– Uracusie – mamrotał z podziwem Javier, gdy Bethaneve nieustannie zmieniała śledzących, interpretowała obrazy, przewidywała posunięcia. – To miasto należy do ciebie.

Uśmiechnęła się, nie otwierając oczu.

Coulan wszedł do hotelu Reynolds i wyszedł bocznymi drzwiami. Członek organizacji, jeden z najlepszych ludzi Bethaneve, czekał już u wylotu uliczki. Ostatnia dorożka wysadziła go przy ulicy Breamer, gdzie było sporo ludzi, podążających w kierunku rzeki. Wtopił się w ten tłum.

– Może tam być tylko z jednego powodu – powiedziała z satysfakcją Bethaneve.

– Dorożkarzu! – zawołał Javier. – Na nabrzeże, szybko.

* * *

Philious Brandt przez siedemnaście lat był kapitanem Bienvenido; z dumnego rodu, bronił świata, utrzymywał porządek, regulował gospodarkę, pilnował przestrzegania prawa, trzymał w ryzach polityków. Świat należał do niego. Już nie.

Był to po prostu przerażający dzień dla niego i jego rodziny. W jednej chwili wymieniał rozpaczliwe przekazy z Trevene'em, przewodniczącym Rady Narodowej i dowódcą gwardii pałacowej; w następnej wokół pałacu wybuchła strzelanina. Pojawił się tłum, a jakiś dobrze zorganizowany i wyszkolony oddział pokonał mury i ogrodzenie. Ukryci strzelcy wyborowi wystrzelali gwardię pałacową. Personel wpadł w panikę – część uciekła, ale wielu przybiegło do prywatnych apartamentów rodziny kapitana, żeby ją chronić, co było bardzo krzepiące.

Philious nieustannie telepatycznie wzywał pomoc: marines, szeryfów, oficerów regimentu stacjonującego w Varlanie. Jednak oni też byli oblegani. I kolejno tracił z nimi wszystkimi kontakt.

Potem strzelanina wybuchła na korytarzach samego pałacu. Dwukrotnie usłyszał eksplozje i krzyki umierających. Dusze zabitych gwardzistów przepłynęły przez apartamenty, przepraszając i unosząc się, gdy rozpoczynały długi lot do Giu.

Rodzina zebrała się w głównym salonie, z jego kryształowymi żyrandolami, bezcennymi meblami i parkietem, z wysokimi oknami wychodzącymi na wypielęgnowane ogrody. Siedmioro jego dzieci kulilo się wokół niego (Dionene gdzieś wyszła, dzięki Giu, ale domyślał się, jaki los spotkał Aothoriego; jego najstarszy syn nigdy nie był lubiany); najmłodsze płakały, dwoje najstarszych udawało zuchów. Wnuczka spała na rękach skamieniałej matki. Żona Philiousa stała obok niego, sztywno wyprostowana, udając odważną ze względu na dzieci, a choć jej osłona była silna, wiedział, że się bała. Dworzanie otoczyli ich ochronnym kręgiem, starając się nie okazywać strachu.

Potem przyszedł ten przekaz. Od Coulana, z warunkami kapitulacji. Oszczędzi wszystkich w pałacu, jeśli rodzina kapitana da się aresztować.

Philious się zgodził; wiedział o Coulanie wszystko z długich raportów Trevene'a o Słwaście i jego zausznikach. Coulan był zrównoważony. Mimo to Philious spodziewał się, że rozstrzelają go zaraz po otwarciu drzwi; miał świeżo w pamięci okropności „Lanuuxa” i „Alfreeda”. Jednak Coulan dotrzymał słowa, a jego milicja była sprawna i zdyscyplinowana.

Zaprowadzono wszystkich pod eskortą do krytego wozu, który zamaskowano, gdy wieziono ich nim ulicami miasta. Podróż trwała długo i skończyła się przy hoteliku w dzielnicy Nalani. Tam czekali, strzeżeni przez milicję Coulana, gdy tłumy walczyły z władzami o stolicę.

Z tymi milicjantami coś było nie tak. Nie odzywali się do członków kapitańskiej rodziny i byli wręcz idealnymi strażnikami: nie grozili aresztowanym ani źle ich nie traktowali. Hotel był zasłonięty nieprzepuszczalną osłoną teka, która z pewnością była trudna do utrzymania, ale nie słabła ani na chwilę. Philious niemal podejrzewał, że jego strażnicy są Upadłymi.

Mógł tylko czekać. Zabronił dzieciom rozmawiać o ich przypuszczalnym losie, ale wiedział, że dręczą ich domysły. Chociaż nie byli w stanie przeniknąć utworzonej przez milicjantów osłony, wyraźnie słyszeli odgłosy walki, a z górnych pokoi widać było unoszące się nad miastem dymy pożarów.

Philious starał się z tym pogodzić, nie mogąc do końca zrozumieć, jak do tego doszło.

Potem trzeciego dnia ich aresztu pojawił się niejaki Yannrith i kazał Philiousowi, żeby mu towarzyszył.

– Nie! – krzyknęła żona kapitana. – Oni cię zabiją, to zwierzęta gorsze od Upadłych! Nie idź.

– To nie my jesteśmy zwierzętami – prychnął na nią Yannrith. – Widziałem, co się działo w Instytucie Badań. Authori też... i to z bardzo bliska.

– Drań! Przeklęty morderca.

Philious ją uciszył, unosząc dłoń, nie chcąc denerwować tego potężnego mężczyzny.

– Pójdę. – Pocałował żonę, zdając sobie sprawę z tego, że zapewne widzi ją ostatni raz. – Nie martw się. Bądź dzielna ze względu na dzieci.

Przy wyjściu z hotelu miało miejsce dziwne zdarzenie. Stali tam na warcie dwaj milicjanci, tępo patrząc przed siebie.

– Przejście – rozkazał im Yannrith.

Nie ruszyli się.

– Z rozkazu Tymczasowego Kongresu Ludowego, który jest legalnym rządem tego świata, macie się odsunąć, żebyśmy mogli wykonać polecenie naszego premiera.

Po dłuższej chwili wartownicy usunęli się na bok. Na zewnątrz stały trzy dorożki z uzbrojonymi konspiratorami. Yannrith wsadził Philiousa do środkowej i szczelnie ją zamaskował. Philious spoglądał na tego człowieka, który najwidoczniej był wyszkolonym żołnierzem, i znów zadał sobie pytanie, dlaczego tacy ludzie zwrócili się przeciwko niemu.

– Ciekawi mnie – powiedział – co właściwie zrobiliście tym biednym milicjantom? Z początku myślałem, że to Upadli, ale nie są nimi, prawda?

– Zamknij się – powiedział Yannrith.

– Może przewody podłączone do mózgow?

– Ostatni raz mówię: zamknij się, do cholery.

Philious się uśmiechnął, rad z tego małego zwycięstwa. I nie był bardzo zdziwiony, gdy po czterdziestominutowej podróży wrócili do pałacu. Kiedy jednak w końcu wyszli na dziedziniec i telepatycznie zajrzał do środka, natychmiast przygnębiło go to, co zobaczył.

– Gdzie jest wszystko? – zapytał. – Co zrobiliście z... O nie! Nie!

– Uznaliśmy, że redystrybucję dóbr należy zacząć od samej góry – odparł drwiąco Yannrith.

– Moja żona ma rację: jesteście cholernymi zwierzętami. W dodatku żalonymi i małostkowymi.

Mimo to martwił się tym, co milicja mogła znaleźć pod pałacem; byłoby to znacznie gorsze od ujawnienia tajemnic instytutu. *I tak nic nie rozumieją* – pocieszał się. – *Ponadto teraz to i tak nie ma żadnego znaczenia.*

Przy drzwiach do jego prywatnych apartamentów czekała wysoka i szczupła kobieta. Miała najsilniejszą osłonę, jaką Philious kiedykolwiek napotkał. Na jej ramieniu siedział mod-ptak, a ona dawała mu kawałek mięsa. Zamrugał. Mięso podejrzanie przypominało ludzki palec.

Gdy podeszli bliżej, wysłała mod-ptaka w powietrze.

– Witamy, kapitanie – powiedziała drwiąco.

Philious nie odpowiedział. Nie mógł jednak opanować rosnącego zaniepokojenia, gdy Yannrith i ta kobieta prowadzili go po kamiennych schodach do podziemi. Żołnierz zdawał się dobrze wiedzieć, dokąd idzie.

Największą niespodzianką dla Philiousa był człowiek, który czekał na niego w zbrojowni statku. Kapitan zmrużył oczy na widok pustego rękawa przypiętego agrafką do munduru na piersi.

– Kapitan Slvasta! Trevene ostrzegął, że narobi pan kłopotów.

– Miał rację.

– Zamierza mnie pan teraz zabić?

– Nie. Czy wie pan dlaczego?

– Ponieważ to dowiodłoby całemu Bienvenido, że jest pan zwyczajnym dzikusiem, a wasza żalosa rewolucja to szwindel.

– Nie. Ponieważ muszę się dowiedzieć czegoś, co pan może wie. Tylko taką ma pan dla mnie wartość.

– A niech pana Uracus. Nawet gdybym wiedział, gdzie jest Dionene, prędzej wybrałbym Przewodnictwo do Giu, niż powiedział to panu.

– Nie po to pan tu jest.

– No to po...

Slvasta pokazał palcem ciemne kontury zbrojowni „Vermilliona”.

– Co tam było?

– Nie mam po... – Kapitan Philious urwał, przerażony, bojąc się podstępu. – Jak to co tam było?

– Dokładnie tak – rzekł Slvasta.

– Nie rozumiem.

– Andricea.

Kobieta podeszła do nich.

– Jeden z naszych zabrał pięć dużych przedmiotów z tej komnaty, która, jak się domyślamy, jest częścią statku kapitana Corneliusa. Jest tam mnóstwo dziwnych przedmiotów, z których żaden nie mógł zostać zrobiony na tej planecie.

Philious pokręcił głową.

– To pozostałości wyposażenia statku, nic więcej. Żadne z tych urządzeń nie działa. Nie działają od wieków.

– Przed chwilą wyglądał pan na przejętego tym, że coś stąd zabrano – powiedziała Andricea. – Nie wiemy, co to było, ale najwyraźniej miało dla kogoś wartość. Milicjantom naszego towarzysza w jakiś sposób wyprano mózgi, jakby pod hipnozą, ale znacznie silniej. Nakłonienie ich do rozmowy wymagało wiele wysiłku, ale w końcu zламаłam to uwarunkowanie. Zatem proszę mi powiedzieć, kapitanie, jak długo pan zdoła mi się opierać?

Philious znów nerwowo zerknął na zbrojownię.

– Nie wierzę pani. To jakaś sztuczka. Nikt...

Oblizał górną wargę i nie zdziwił się, poczuwszy słony smak kropel potu.

– Nikt... co? – zapytał chłodno Slvasta.

– Nic z tego nie działa. Nie kłamię.

– A więc nie będzie miało znaczenia, jeśli powie nam pan, co tam jest, prawda?

– Nie ma tam niczego, co pomogłoby waszej z góry przegranej rewolucji. Bo przegracie. Miasta i okręgi pomaszeraują na Varlan i wyślą was prosto do Uracusa za wasze zbrodnie.

– Co tam było? – ryknął Slvasta. Zacisnął dłoń na kolbie pistoletu, chociaż nie wycelował go w Philiousa.

– Niczego nie zabrano. Wiem, ponieważ nie można się dostać do środka. Drzwi wejściowe nie działają już od dwóch tysięcy lat.

Slvasta się uśmiechnął. To bardzo przeraziło Philiousa.

– Och, naprawdę? Chodźmy.

Swoją teka popchnął Philiousa naprzód.

Kapitan się nie opierał. Po chwili znalazł się blisko zbrojowni – i zamarł. W jej podstawie otworzył się szeroki kolisty otwór – tam gdzie, jak mówił mu ojciec, znajdował się wąż zrobiony z metalu, który dzięki pomysłowości Wspólnoty mógł się rozplynać jak woda.

– Uracusie! – szepnął. Metal istotnie się rozplynał; widział go teraz jako gruby wał wokół otworu. – Nie, nie, nie!

Podbiegł tam i z obawą zajrzał w gęsty mrok wnętrza. Przed wieloma laty, gdy przygotowywano go do objęcia stanowiska kapitana – nauczano prawdziwego dziedzictwa, dawnych nauk, natury Pustki i wiecznej czujności wobec Upadłych – jego ojciec przyprowadził go przed tę zbrojownię, do wnętrza której prowadziła jedna z wąskich rur

instalacyjnych. Telepatycznie zajrzał przez ten niewielki otwór, oglądając dziwne i martwe maszyny wojenne zamknięte w tym grobowcu, z przestachem i podziwem słuchając tego, co opowiadał mu o nich ojciec.

Teraz telepatycznie bez trudu zajrzał do środka i zobaczył puste łóżka. Na miękkich nogach cofnął się o krok, a potem odwrócił się i zmierzył Slvastę gniewnym spojrzeniem.

– Nie ma ich!

– Cholerna racja! A teraz powiedz mi dokładnie, czego nie ma.

– Rozpraszaczy kwantowych – szepnęła ze zgrozą Philious. – Tam było pięć rozpraszaczy kwantowych.

Fala emocji, która przedarła się przez silną osłonę Slvasty, była mieszaniną gniewu i zaskoczenia.

– Czym, do cholery, są rozpraszacze kwantowe?

– Najpotężniejszą bronią, jaką kiedykolwiek stworzyli nasi przodkowie. Tak silną, że może zniszczyć słońce i wszystkie jego planety. Jednak nie działa w Pustce. Wszelka dawna technologia tu już nie działa. – Philious z niedowierzaniem patrzył na otwarty właz. – Przynajmniej dotychczas nie działała.

* * *

Do dorożek wsiadło dwudziestu uzbrojonych ludzi, do których Tovakar i Yannrith mieli całkowite zaufanie. Slvasta jechał w drugiej, razem z Yannrithem i kapitanem Philiousem. Andricea osobiście powoziła pierwszą, teka i batem gnając konie po bulwarze Walton, a potem najkrótszą drogą na nabrzeże.

– Wysłałem wiadomość naszym towarzyszom na nabrzeżu – powiedział Yannrith. – Zatrzymają dla nas parowiec.

– Miejmy nadzieję, że nasza przeprawa będzie szczęśliwsza niż „Lanuuxa” i „Alfreeda” – zauważył szyderczo kapitan Philious.

– Nie zatopiliśmy ich – warknął Slvasta.

– Naprawdę?

– Tak.

– No to kto? Wasz tajemniczy towarzysz?

– Nie wiem.

Głowa bolała Slvastę tak, że zaczął się pocić. Nieustannie musiał powstrzymywać chęć zamknięcia oczu; był bardzo zmęczony. Myślenie przychodziło mu z trudem. Ale musiał się dowiedzieć, wyjaśnić to. Czy Coulan mógł być kontrrewolucjonistą? Jeśli tak, to dlaczego Trevene nie aresztował ich wszystkich? A Javier, dlaczego nagle opowiedział się za korzystaniem z modów? Bethaneve – to naprawdę go zabiło. W jaki sposób była powiązana z Nigelem?

Czego nie wiem?

– Wiedzieliście o nas? – zapytał kapitana.

– Trevene wiedział, że to wy stoicie za likwidacją modów; to było oczywiste od samego początku.

– Dlaczego nas nie powstrzymaliście?

– Ponieważ była was tylko czwórka... a przynajmniej cztery liczące się osoby. Skupialiście wszystkich narwańców i radykałów, zawarliście jakieś porozumienia z mieszkańcami Shanties i innym niepożądanym elementem. Nie mogliśmy rozpracować waszego systemu łączności, był zbyt przypadkowy, ale wszyscy awanturnicy robili to, co im kazaliście. To była skuteczna polityka. Przydatna.

– Dla was? W jaki sposób?

– Robili to, co im kazaliście. A wy to, czego my chcieliśmy. Dlatego zaproponowaliśmy ci Langley. A ty to przyjąłeś.

– Jak wszyscy chciwi dranie przede mną.

– Tak. Nie doceniliśmy tylko twojego fanatyzmu, to wszystko.

– Wszystko? Drogo was to kosztowało.

– Triumfujesz? Po tym, co dziś się zdarzyło? Wystrzegaj się arogancji, Slvasta, inaczej cię zniszczy. Coś o tym wiem.

– Zatem mieliście na nas teczki?

– Tak.

– Powiedz, co wiesz o Coulanie.

– Student, chyba absolwent wydziału historii, który pojawił się wśród radykałów. Nigdy nie ustaliliśmy, skąd przybył.

– Z Kassell, pochodzi z Kassell. Jest młodszym synem z bogatej rodziny, który przyjechał studiować na uniwersytecie w Varlanie agronomię, żeby pomóc prowadzić rodzinne gospodarstwo. Będąc tutaj, zrozumiał opresyjny charakter twojego reżimu.

– Nie, mylisz się lub... co bardziej prawdopodobne... okłamano cię. W Kassell nikt go nie zna. Trevene to sprawdził.

– Musiał skądś się wziąć!

– Tak, ale to zaczyna mnie bardzo niepokoić... chociaż bardzo honorowo postępował wobec mojej rodziny i mnie, dzięki Giu. To on jest tym towarzyszem, który otworzył zbrojownię, tak?

Slvasta skinął głową.

– Ja nie potrafię tego zrobić. Kapitanowie z ostatnich dwóch tysięcy lat nie mieli potrzebnej do tego elektryczności. Pustka jest jej wrogiem. Znam teorię; nawet zrobiłem akumulator ołowiowy, kiedy się dowiedziałem, że takiego prymitywnego źródła energii elektrycznej nawet Pustka nie popsuje. Slvasta, widziałem, jak prąd rozgrzał do czerwoności metalowy drucik, który świecił niemal tak jasno jak płomień świecy. To robiło wrażenie. Jednak to... ta wiedza i umiejętności... to zupełnie inny poziom. Widzieliśmy coś nowego i dziwnego w Upadłym z placu Eynsham. Miał druciki w mózgu, które mogły nim sterować jak marionetką Uracusa. Takie urządzenia nie pochodzą z Pustki.

– Chwileczkę. Ktoś sterował Upadłym z placu Eynsham?

– Tak, i to w sposób, który okazał się dla ciebie bardzo korzystny, no nie? Bohater. Zakładam, że Coulan w podobny sposób kontroluje swoich milicjantów. Tak więc teraz niemal boję się myśleć, skąd się wziął. Wierzysz, że działa sam czy może jest członkiem jakiejś większej frakcji waszych rewolucjonistów?

– W jakiś sposób sprzymierzył się z Nigelem – wykrztusił Slvasta przez nagle zaschnięte gardło.

– Z kim?

– Jednym z naszych zwolenników. – Slvasta przypomniał sobie wizytę na farmie Blairów; kompleks nowych zabudowań: sprawny, produktywny, tętniący życiem; setki krzątających się modów, na widok których krew zastygła mu w żyłach. – On dużo wie o maszynach. I polityce. Jednak nie jest Upadłym; na własne oczy widziałem jego krew. Jest czerwona.

– Na pewno nie mamy o nim żadnych danych. Skąd przybył?

– Mieszka na południe od Varlanu.

– A teraz ścigamy konwój, który przeprawił się na południowy brzeg rzeki. Powiedz mi. Kiedy mnie aresztowano, jedyną czynną ważniejszą linią kolejową była południowa. Dlaczego zostawiliście ją nietkniętą?

Slvasta nienawidził tego tonu wyższości w głosie kapitana.

– Nie zrobiliśmy tego. Nie wiem, co się stało z naszymi grupami dywersyjnymi, chociaż teraz mogę się domyślać. A most Goleford został wysadzony dziś po południu.

Co powiedziała Bethaneve? „Tuż po przejeździe ekspresu”.

– No to zabrali rozpraszacze kwantowe na południe. Wciąż nie rozumiem dlaczego. Nawet gdyby zdołali znów je uruchomić, w co poważnie wątpię, jaki miałyby to sens? Jeśli zdetonują rozpraszacz kwantowy, ten zniszczy całe Bienvenido, Las i najprawdopodobniej również nasze słońce. Ani ludzie, ani Upadli nie przetrwają.

– Zatem dlaczego? Dlaczego? Po co to wszystko?

– Nie wiem – odparł Philious. – Ale jeśli zamierzasz się tego dowiedzieć, musisz dogonić tych swoich towarzyszy. I to szybko.

* * *

Zgubili Coulana zaraz po tym, jak zszedł z promu na południowym brzegu. Teoretycznie Willesden było jedną z dzielnic Varlanu. W rzeczywistości było raczej przyjemnym miasteczkiem z okazałymi ładnymi domami i rozległymi parkami; na jego przedmieściach było tylko jedno Shanty, a i to niezbyt duże. Głównym źródłem dochodów był tu handel, transport i magazynowanie towarów przywożonych koleją i statkami. Znaczną część miasta pomiędzy przystaniami a stacją kolejową zajmowały wyłącznie magazyny.

W wyniku rewolucji obsługa podróżnych znów stała się głównym zajęciem. Setki uchodźców przybywały co godzinę, a wszyscy rozpaczliwie szukali tymczasowych kwater i środka transportu na południe kraju.

W Willesden nie było wielu członków organizacji. Ci, którzy byli, kilka dni wcześniej zostali wysłani z poleceniem ustalenia, co się stało z ich towarzyszami mającymi wysadzić mosty. Bethaneve wezwała teraz kilku z powrotem, żeby pomogli przy poszukiwaniach na południowym brzegu, ale trochę miało potrwać, zanim wrócą.

Ona i Javier zeszli z promu, gdy słońce wisiało nisko nad horyzontem, wyglądając, jakby zamierzało wpaść do rzeki. Długie różowozłote błyski lizały wodę, barwiąc powietrze na lekko miedziany kolor. Z niepokojem popatrzyli wokół. Panował tu niemal taki sam chaos jak na nabrzeżu po drugiej stronie rzeki, tylko na nieco mniejszą skalę.

– Masz jakiś pomysł? – spytała Bethaneve.

– Cóż, skoro most Goleford został wysadzony, będzie musiał znaleźć sobie jakąś łódź lub konia.

– Umie jeździć konno?

– Nie mam pojęcia. Nigdy nie widziałem go na koniu, ale to nic nie znaczy.

Javier poczuł ściskanie w dołku, gdy to przyznał. *Co tak naprawdę o nim wiem? Myślałem, że wszystko.*

– Ja też nie widziałam, żeby jeździł konno – powiedziała Bethaneve. – A jeśli umie, to go nie znajdziemy. Tak więc zostaje nam tylko łódź.

Popatrzyli na rzekę. Po tej stronie były jedynie promy i małe łodzie, które pobierały wygórowane opłaty za przewiezienie zdesperowanych ludzi. Zauważyli tylko dwa oceaniczne frachtowce, oba ze zwiniętymi żaglami. Przy trapach obu stały tłumy ludzi, licytujących bilety.

– Nie odpłyną dzisiaj – doszła do wniosku Bethaneve.

Było tam jeszcze kilka innych jednostek, głównie barek, lecz ich kapitanowie najwyraźniej zadowalali się zbijaniem majątku na przewożeniu pasażerów przez Colbal. Ponownie popatrzyła na domy Willesden. Tutaj nie stały one na zboczach, tak jak w Varlanie, lecz mimo to nie było widać terenów za nimi. Zmrużyła oczy, próbując odczytać tabliczki przy każdej z dróg wiodących od rzeki.

– Gdyby chciał tylko wydostać się z miasta – powiedziała powoli i z namysłem – to mógł wziąć dorożkę lub pojechać jedną z lokalnych linii kolejowych, których nie wysadziliśmy. Tak więc przybył na południowy brzeg rzeki z jakiegoś powodu. Zmierza do konkretnego miejsca przeznaczenia.

– Tak. Tylko jakiego?

– Ostatnie, co powiedział Yannrith, to że Kysandra była w konwoju zjeżdżającym ze wzgórza bulwarem Walton. To na południu.

– Myślisz, że oni też przeprawili się przez rzekę?

– I niedługo po tym wysadzono most Goleford.

– Jednak Coulan był w budynku Rady Narodowej, kiedy to się stało – przypomniał Javier.

– Tak. Zatem on też tu utknął, chyba że... Teraz ty rządysz liniami kolejowymi, prawda?

– Cóż, tak jakby, tak.

- Czy już znacjonalizowałeś Południową Linie Miejską?
- Tak. Moi ludzie wczoraj zajęli jej biura. Miałem wkrótce przeprowadzić tam inspekcję.
- Wyszadzili tylko most Goleford – powiedziała Bethaneve. – My planowaliśmy wysadzić trzy na południe od rzeki. Czy możesz porozumieć się ze swoimi ludźmi i zapytać, jakimi jeszcze liniami można wyjechać z miasta?
- To mogę zrobić.
- Odpowiedź przyszła po minucie.
- Są dwie stacje lokalnych linii kolejowych – rzekł Javier, nie otwierając oczu, odbierając przekaz. – Balcome i Scotdale. To linie prowadzące na wschód i zachód.
- Dobrze, a teraz sprawdź, czy któraś z nich przecina Goleford. I czy łączą się z główną linią kolejową na południe stąd?
- Na znużonej twarzy Javiera powoli zjawił się uśmiech.
- Uracucie, dobra jesteś! Linia z Balcome rozgałęzia się pięćdziesiąt mil stąd i jedne z torów biegną na południe. Łączą się z główną linią kolejową w Fosbury.
- Następnym pociąg? – spytała Bethaneve.
- Za dwadzieścia trzy minuty.

* * *

Stacja Balcome była mała: dwa perony, oba z prostymi drewnianymi ławkami, oraz kasa biletowa. Typowa stacyjka bocznej linii w przyjemnej części miasta. Grube pnącza o topazowych kwiatach pięły się po murze kasy, napełniając powietrze swym słodkim zapachem. Kiedy Bethaneve i Javier przyszli na stację, w kasie nie było nikogo; okna były zasłonięte grubymi żaluzjami. Co innego peron. W gęstniejącym cieniu pod dachem wzdłuż całej jego długości stały szeregi ludzi, całe rodziny z dziećmi, które już przestały płakać i tylko tępo spoglądały na tory. Stojący najbliżej kasy z przestraczem popatrzyli na przybywającego Javiera. Ten nie słał żadnego przekazu, lecz na ramieniu kurtki z drojedwabiu miał zawieszony karabin, a do pasa przypięte cztery magazynki. Jawne noszenie broni stało się teraz ich drugą naturą, znakiem rozpoznawczym towarzyszy. Dostarczone przez Nigela karabiny były charakterystyczne: szybkostrzelne i rzadko się zacinały. Teraz znali je wszyscy w Varlanie.

Wyślany obraz Javiera rozszedł się po peronie z prędkością ponaddźwiękową. Wywołał falę niepokoju i lęku. Dzieci przytulały się do rodziców; mężczyźni spoglądali złowrogo.

Bethaneve odruchowo złapała za pistolet zawieszony na biodrze. Reakcja ludzi na nią i Javiera zaniepokoiła ją, ale też rozgniewała. *Jesteśmy tymi dobrymi. Dlaczego tego nie rozumiecie? Próbujemy wam pomóc, zapewnić lepszą przyszłość.*

- Czego chcecie? – nadał ktoś.
- Nie możecie zostawić nas w spokoju?
- Nie dość nas pozabijaliście?
- Dzikusy.

– Zamordowali mojego brata. Był szeryfem; bronił nas przed przestępcami.

– Poznaję ją. To narzeczona Slvasty.

– Suka.

Ludzie odsuwali się, zostawiając ich w centrum potoku nienawiści.

– Nie chcemy was krzywdzić – nadała Bethaneve. – Szukamy kogoś. – Wysłała obraz Coulana. – Czy ktoś go widział?

– Nie!

– Co takiego zrobił?

– Pewnie dawał ludziom pracę.

– Jego też chcecie zamordować?

– Proszę – nadała Bethaneve. – To nasz przyjaciel.

– Taak, pewnie.

– Kłamliwa zdzira.

Fala teka. Osłona Bethaneve była silna; inaczej oślepiłyby ją psychiczne uderzenia. A i tak zatoczyła się pod ich naporem.

– Hej! – krzyknął Javier. – Przestańcie. Jesteśmy tu urzędowo.

– Nie jesteś z mojego rządu, cholerniku.

– Kto cię wybrał?

Gdzieś w oddali zagwizdał pociąg.

Kilka uderzeń teka spadło na Javiera. Zachwiał się, a potem odbezpieczył broń.

– Wyjmij pistolet – nadał do Bethaneve. – Może być nieprzyjemnie.

Niechętnie zrobiła to, co jej radził.

– Zamierzacie zastrzelić nieposłusznych?

– Nie mamy już prawa mieć własnego zdania?

Javier wycelował karabin w niebo i oddał dwa strzały. Dzieci wrzasnęły. Wszyscy się skulili. Cofnęli się jeszcze dalej.

– Zapytam uprzemie ostatni raz – rzekł Javier. – Czy ktoś widział tego człowieka?

Najsilniej jak mógł wysłał obraz Coulana.

Bethaneve popatrzyła na krąg twarzy, stropiona wylewającą się z tych ludzi nienawiścią. W psychicznym strumieniu zaczęły pojawiać się paskudne obrazy, ukazujące ją gwałconą, a Javiera kopanego, bitego, szarpanego, z pętlą na szyi. Mocniej ścisnęła kolbę pistoletu, zastanawiając się, jak wszystko tak gwałtownie przybrało zły obrót.

Gwizd pociągu rozległ się ponownie, tym razem głośniejszy.

Nagle w tym zalewie wrogości pojawiły się łagodniejsze tony. Zobaczyła uśmiechy na kilku twarzach. Ludzie patrzyli na coś za jej plecami. Cisza zapadła tak nagle, że Bethaneve pomyślała, że straciła słuch.

– Proszę, nie ruszajcie się, kochani. – Ten przekaz był tak łagodny, tak szczery, rozlegał się w samym środku jej umysłu, jakby nie miała żadnej osłony. Odebrała go z przyjemnością i zrobiła dokładnie to, o co prosił.

Coulan przeszedł między nią a Javierem. Na jego widok jej serce zaczęło bić mocniej – tak wielka była ulga spowodowana tym, że nic mu nie jest. Uśmiechnęła się na powitanie.

Odpowiedział uśmiechem, tak że miała ochotę uściskać go ze szczęścia. Jednak prosił, żeby się nie ruszała, więc nie zrobiła tego.

– Nie chcę, żebyście się o mnie martwili – rzekł, gdy pociąg zaczął wjeżdżać na stację. – Wszystko będzie dobrze, obiecuję. Teraz muszę wyjechać na tydzień lub dwa, a potem wrócę i wszyscy na Bienvenido będą żyli inaczej. Zobaczycie.

Bethaneve westchnęła z zadowolenia. Był cały i teraz wszystko będzie dobrze.

Lokomotywa przejechała obok, poruszając tłokami, a kłęby pary wytrysnęły z zaworów, przetaczając się po peronie; z jej komina buchał gęsty dym. Ciągnęła pięć wagonów.

– Słuchajcie wszyscy – rzekł Coulan, podnosząc ręce w uniwersalnym wezwaniu. – Pociąg przyjechał. Wsiadajmy, dobrze? Nie potrzeba nam żadnych nieprzyjemnych awantur. Ci ludzie chcą dobrze i nikomu nie zrobią krzywdy.

Bethaneve widziała stojącego obok niej Javiera, z twarzą zastygłą w wyrazie smutku i tęsknoty.

Tłum zaczął wchodzić do przedziałów. Bethaneve nie zwracała na to uwagi. Coulan miał rację; nic poza tym nie miało znaczenia. A ona bardzo mu pomagała, nie ruszając się.

Coulan posłał Javierowi krzywy uśmiech.

– Wkrótce się zobaczymy – obiecał i delikatnie go pocałował. Odwrócił się i ruszył w kierunku pociągu.

Huk karabinu był równie głośny, co niespodziewany. Wyrwał Bethaneve z transu i rzuciła się na ziemię, krzycząc i zakrywając uszy rękami. Tuż przed nią, niecałe cztery metry dalej, pośladki i dolna część tułowia Coulana zmieniły się w masę poszarpanych tkanek i rozbryzgi krwi. Jego brzuch eksplodował i strumyki krwi wystrzeliły przez rozerwaną koszulę. Ciało osunęło się na peron, upadając twarzą do góry. Oczy umierającego spokojnie popatrzyły na ciemniejące niebo i zamknęły się.

Bethaneve jakby oślepnęła. Miała wrażenie, że patrzy przez długi szary tunel, którego koniec blokuje ciało Coulana. Tylko to widziała.

Dźwięki znów wdarły się do jej świadomości. Krzyki, tyle głosów i tak głośne, że jej wstrząśnięty umysł nie był w stanie dłużej ich negować. Jeden z nich należał do niej. On nie żył, jej dawny ukochany, jej zbawca. Martwy. Zastrzelony przez...

Bethaneve gwałtownie się odwróciła. Slvasta stał tuż przy drzwiach kasy biletowej, Tovakar, Yannrith i Andricea za nim, a inni uzbrojeni towarzysze nieco dalej. Slvasta teka wyjął magazynek z jeszcze dymiącego karabinu i wetknął następny.

– Coś ty zrobił? – jęknęła Bethaneve.

Javier przemknął obok niej z twarzą wykrzywioną grymasem wściekłości i wyciągniętymi rękami, jak oszalały pędząc na Slvastę. Andricea zastąpiła mu drogę i złapała go za przegub. Okręciła się, zwinnie przenosząc ciężar ciała, pchając teka i pochylając się w bok – i nie wiedzieć jak wielkie ciało Javiera wyleciało w powietrze. Z łoskotem runął na ziemię, aż

zaparło mu dech. Tovakar natychmiast doskoczył do niego i przyłożył mu lufę pistoletu do skroni.

– Nie rób tego! – ostrzegł.

Slvasta podszedł i stanął obok Bethaneve, patrząc na nią z nieprzeniknioną miną.

– Dlaczego nic nie zrobiłaś? Czemu go nie zatrzymałaś? Podążyłaś za nim aż tutaj, chciałaś porozmawiać z nim tak samo jak ja. Dlaczego nie zapytałaś go o coś? O cokolwiek?

Potrząsnęła głową.

– Nie mogłam. On... on powiedział mi, żebym tego nie robiła, i nie mogłam. – Otarła łzy z policzków. – Wiedziałam, że powinnam, ale nie chciałam. Co on mi zrobił? – zaskowyczała w panice. – Kim on jest?

– Nie wiem. – Slvasta wyciągnął do niej rękę.

Po chwili wahania podała mu swoją. Pomógł jej się podnieść. Wstała, lekko się chwiejąc, a potem zaryzykowała i spojrzała na zwłoki. Tyle krwi, ciemnoczerwonej, obscenicznie rozbryzganej po peronie.

Slvasta zwrócił się do Javiera.

– To nie był człowiek – rzekł. – Rozumiesz? To nowy rodzaj Upadłego, on i Nigel.

Przestraszony Javier tylko spojrzał na niego w milczeniu.

Coś było nie w porządku z ciałem Coulana. Bethaneve nie potrafiła powiedzieć co, ale instykt ostrzegawczo krzyczał w jej podświadomości. Czyżby to jego dusza słała ten sygnał? Skupiła swe postrzeżenie na powietrzu nad zwłokami.

– Slvasta! – Zatoczyła się w tył, przyciskając do Slvasty.

– Co?

– On wciąż osłania swoje myśli.

– Hę?

Wszyscy odwrócili się i spojrzeli na Coulana. Yannrith i Tovakar wycelowali w niego karabiny, tak samo jak większość ochroniarzy Slvasty.

– Jego cholerna osłona! – wrzasnęła Bethaneve. – Wciąż ją ma!

Slvasta ostrożnie podszedł do zwłok.

Coulan gwałtownie otworzył oczy.

Bethaneve rozdziawiła usta, mimowolnie z jękiem wciągając powietrze.

– Doskonałe maskowanie – nadał Coulan. – Równie dobre jak moje. Wcale nie wyczułem, że się zbliżacie. Dobra robota.

– Upadły! – warknął Slvasta. Zrobił krok naprzód i przytknął lufę karabinu do nasady nosa Coulana.

– Wcale nie – ciągnął spokojnie Coulan.

– To kim, do cholery...

– To życie się skończyło. Dla was wszystkich. Zabierzemy was z powrotem do prawdziwego wszechświata. Odłóżcie broń. Zapomnijcie o sporach. Wkrótce wszystko się zmieni.

- Kim jesteś? – ryknął Slvasta.
- Jestem maszyną, żywą maszyną.
- Nie możesz nią być!

Jakiś człowiek podszedł do nich. Bethaneve sądziła, że jest zbyt odrętwiała, aby czuć cokolwiek, lecz na jego widok jęknęła, zaniepokojona.

– Co chcecie zrobić z rozpraszaczami kwantowymi mojej rodziny? – zapytał kapitan Philious.

– Zostaną użyte do wyzwolenia was. – Coulan zamknął oczy. – Wybaczcie, ale muszę się wyłączyć. Moje zasoby energii nie wystarczą już na długo, a mam wbudowaną sekwencję samozniszczenia... na wszelki wypadek. Proszę, odsuńcie się, nie chcę, żeby komuś stała się krzywda.

– Czy ty w ogóle mnie kochałeś? – załkał Javier.

– Najdroższy Javierze, nie smuć się. Sprowadzę was wszystkich z powrotem do rzeczywistości. To najlepszy dowód miłości. Daję go wam dobrowolnie.

Skóra bladej twarzy Coulana zaczęła ciemnieć. Slvasta się skrzywił, zabrał lufę karabinu i pospiesznie cofnął się kilka kroków. Głowa, tors i nogi Coulana stanęły w płomieniach. Gwałtownie spalały się od wewnątrz, wydzielając mnóstwo ciepła. Bethaneve przywarła do Slvasty, ze zgrozą patrząc, jak to coś, co kiedyś kochała, w niecałe trzy minuty zmieniło się w kopczyk popiołu. Opadła na klęczki i zwymiotowała, zbyt przygnębiona, by myśleć trzeźwo. Nic już nie miało sensu. Wszystko to było nierealne. To nie mogło się dziać, nie naprawdę.

– I co teraz robimy, kapitanie? – usłyszała głos Yannritha.

– Powiedział „my” – warknął Slvasta. – „My was zabierzemy”. Jest ich więcej na naszej planecie. A ja wiem, gdzie jest ich gniazdo. Powstrzymamy ich. A potem ich zabijemy. To będzie prawdziwe wyzwolenie.

PIĘĆ

– Są w gorszym stanie, niż przypuszczałem – powiedział Nigel, gdy pociąg ekspresowy turkotał po szynach przez noc, jadąc na południe. Nie zatrzymując się, mijali kolejne stacje; robili tylko postoje na uzupełnienie zapasów węgla i wody dla silnika.

Rozpraszacze kwantowe jechały w jednym z wagonów towarowych, który zamieniono w warsztat mechaniczny. Broń zrobiła umiarkowane wrażenie na Kysandrze, chociaż już widziała jej obraz przekazany przez drony wysłane do pałacowych podziemi. Osowato przewężone walce były ponaddwumetrowe i ciężkie, jakby odlane z litego metalu. Podniesienie ich wymagało użycia sporej siły teka. Kiedy znalazły się w swoich łożach, niewielka teka wystarczyła, by zetrzeć kurz i brud, odsłaniając matowoszare powłoki w dobrym stanie. Głowice bojowe mieściły się w tylnej części bulwiastego pierwszego członu, który ledwie dostrzegła przez wysokiej gęstości powłokę i grubą wyściółkę ciasno

upakowanych komponentów. Jednak miała wrażenie, że tylny człon z brodawkowatymi wyrostkami napędu ingrawowego wygląda bardziej złowrogo.

Nigel, Fergus i Valeri badali rozpraszacze kwantowe za pomocą telepatii i różnych modułów sensorycznych. Zasilono i otwarto niewielkie luki techniczne z malmetalu, żeby przeprowadzić bardziej skomplikowane testy bezpośrednio na komponentach w środku.

– Niepotrzebne nam te układy napędowe ani reszta tego złomu – rzekł Fergus. – Ani pola siłowe. Tylko same głowice.

– Jedna głowica – poprawił go Valeri.

– Możecie naprawić jedną z nich? – zapytała Kysandra.

Nigel oderwał wzrok od rozpraszacza kwantowego, który badał.

Od licznych modułów sensorycznych przez otwarte luki i włazy ciągnęły się wiązki przewodów i kabli światłowodowych. Sferyczne ogniwa zasilające na podłodze podłączono grubym przewodem do różnych sekcji aparatury.

– Tak myślę. Oczywiście, komponenty pomocniczych układów uległy rozkładowi, ale wiedzieliśmy, że tak będzie. Układy zsyntetyzowane przez „Gwiezdną Damę” powinny wystarczyć do uruchomienia głowicy. Zaczniemy ją odbudowywać zaraz po powrocie do domu. Ale prawdziwym problemem jest zmodyfikowanie jej działania. Nie będę w stanie stworzyć finalnej wersji programu, dopóki nie znajdę się w Lesie; kiedy tam dotrę, będę mógł dokładnie określić sygnaturę pola jego dystorsji kwantowej.

– I, jak mówi stare przysłowie: co nauka zdoła zbadać, może powielić – powiedział Fergus.

– Miejmy nadzieję – mruknął Nigel. – Albo będzie nam potrzebna większa łódź.

Kysandra ze zrozumieniem pokiwała głową.

– W porządku.

Nigel przez moment patrzył na nią, a potem do niej mrugnął.

– Nie martw się, dotychczas wszystko nam się udawało, no nie?

Uśmiechnęła się z przymusem.

– O tak. Ale tylko dlatego, że ty wiesz wszystko.

– Jeszcze jeden tydzień – obiecał. – Może mniej.

– Naprawdę? Ile potrwa odtworzenie głowicy bojowej?

– Myślę, że dzień, najwyżej dwa. Część tego można zrobić po drodze.

– Zatem musimy tylko ją wystrzelić?

– Taak. Do tej pory Marek powinien mieć już gotowy układ napędowy.

– Czyli wylądujesz ponownie, zanim zdetonujesz rozpraszacz? Tak będzie bezpieczniej, niż zrobić to z kosmosu. Prawda?

Oba ZANdroidy znieruchomiały. Nigel nie odrywał od niej oczu. Jego krzywy uśmiech przestał być kpiący.

– Kysandro – zaczął niechętnie. – Muszę tam być na wypadek, gdyby coś źle poszło.

– Tam? Czyli gdzie?

– Muszę tego dopilnować. Przepraszam, myślałem, że to rozumiesz.

– Nie! Nie możesz – krzyknęła. – Wyślij jednego z ZANdroidów. One mogą to zrobić.

– Mogą, jeśli wszystko pójdzie dobrze. Może nawet jeśli coś pójdzie źle. Jednak nie mogę ryzykować; stawka jest zbyt duża. Cały świat pełen ludzi, Kysandro. Jeśli zdarzy się tam coś nieprzewidzianego, jeśli z jakiegoś powodu będziemy musieli zmienić przebieg misji, będę musiał improwizować.

– Przecież... Przecież one też to potrafią!

Była zawstydzona tym, że ścisła ją w gardle i łzy stają w oczach. Jeśli ta rozmowa potrwa jeszcze chwilę, może wybuchnąć płaczem.

– Mogą zrobić bardzo dużo, łącznie z wyborem logicznych rozwiązań. Ich bioprocessorowe mózgi są najlepsze, jakie potrafimy wyprodukować. Jeśli jednak jest potrzebne nielogiczne rozwiązanie, wtedy pojawia się ja. Nie mogę ryzykować, Kysandro. To ja muszę polecić „Gwiazdą Damą”.

– Nie!

– Jeśli będę mógł zdalnie odpalić ładunek, zrobię to. Oczywiście, że tak. Musimy być jednak przygotowani i mieć pewność.

– Umrzesz. To będzie trwałe. Jeśli rozpraszacz kwantowy rozerwie Pustkę, nie będzie Giu, do którego mógłbyś się udać, ani Serca, które przyjmie twoją duszę.

Słyszała swoje słowa i nienawidziła ich; wpojona jej wiara nie została wyparta, a tylko stłumiona przez wiedzę, którą została tak szczerze obdarowana. *Myślę racjonalnie, naprawdę. Tylko że...*

Nigel podszedł do niej i wziął ją w ramiona, tak samo jak podczas ich ceremonii ślubnej. Tym razem jednak pogładził ją po plecach, a nie poklepał.

– Nie umrę – rzekł cicho. – Nie mówiłem ci o tym wcześniej, żeby cię nie zdenerwować i nie namieszać w głowie, ale to ciało jest właściwie klonem obdarzonym moimi wspomnieniami i osobowością. Oryginał nadal jest tam, Kysandro. W tym momencie jestem żywy w rzeczywistym wszechświecie. Jestem tam. Czekam.

– Co? Nie możesz.

– Jestem tam. Naprawdę.

– Chcesz powiedzieć, że ty to nie ty?

– Oczywiście, że to ja – zachichotał. – Jednak znasz moje ego: jestem zbyt ważny, żeby naprawdę zginąć, więc wysłałem do Pustki moją kopię, żeby odwalila za mnie brudną robotę. Nigdy nie oczekiwałem, że ona wróci, chociaż również nie spodziewałem się, że ta misja tak będzie wyglądać. Kysandro, nie spodziewałem się poznać ciebie. Dziwne, jakie figle płała nam los.

Kiwnęła głową, nie ufając swojemu głosowi.

– Znów się spotkamy, kiedyś, gdzieś – rzekł Nigel. – Obiecuję ci to. I to będzie mój najszczęśliwszy dzień od tysiąca lat, ponieważ dopilnuję, żebyś żyła tak, jak na to

zasługujesz. O to właśnie w tym chodzi, po to istnieje ta moja kopia. Pozwól mi wypełnić moje przeznaczenie, żebym mógł zobaczyć, jak ty osiągasz twoje.

– Nie chcę innej twojej kopii. Chcę tę.

– Tamta jest oryginałem, najlepszym. Zobaczysz. Tylko nigdy mu tego nie mów, dobrze? Zachowajmy to dla siebie.

– Czy ty zawsze musisz mieć rację?

– Taki już jestem.

– Ja też chcę mieć rację, chociaż raz.

– Moja dziewczyna.

* * *

Zmienili tor w Fosbury, z bocznej linii zjeżdżając na szyny Południowej Linii Miejskiej. Nikt nie próbował powstrzymać ochroniarzy Slvasty, gdy towarzysze wpadli do nastawni i przestawili wielkie żelazne dźwignie zwrotnicy, chociaż rewolucja jeszcze nie została uznana tak daleko od Varlanu. Bethaneve skuliła się na jednym z długich siedzeń i zasnęła w kołyszącym się wagonie.

Javier zbudził ją o świcie. Bładozłoty słoneczny blask wpadał przez okna od wschodu. Jedyną mgławicą widoczną na niebie pozostał Uracus – jadowicie rdzawy opar przetykany topazowymi pierzastymi wirami, jakby międzygwiazdne burze były rodzajem gigantycznych kosmicznych chwastów oplatających się nawzajem. Z jakiegoś powodu otchłań w jej centrum wydawała się dziś większa. Tu, na dole, mgła spowijała ziemię, tworząc w dolinach oleiste jeziora ze sterzcącymi z nich drzewami i dachami budynków. Horyzont był pomarszczony wzgórzami.

– Gdzie jesteśmy? – zapytała.

Gdy przeciągnęła się z trudem, zabołały ją wszystkie kości od leżenia na niewygodnej ławce. Jednak, dzięki Giu, już nie była tak strasznie zmęczona.

– Pięć godzin jazdy do Dios – odparł Javier. – Zdaje się, że właśnie przejechaliśmy przez miejscowość zwaną Normanton.

– Nie mam pojęcia, gdzie to jest. – Pomasowała podstawę karku, mocno zeszywniałego od przyciskania do oparcia. – Wiesz, że jeszcze nigdy nie wyjeżdżałam z miasta?

– Ja przez parę lat mieszkałem w Sigen, ale to wszystko.

Zerknęła na wewnątrz wagonu. Większość ochroniarzy zdawała się spać, ale pozostali byli czujni. Slvasta siedział na ławce na końcu wagonu, między Andriceą i Yannrithem. Bethaneve starała się powstrzymać gniewną reakcję.

– Ona nie zdoła ciebie zastąpić – rzekł cicho.

– On pewnie uważa mnie za... O cholera, Javier, kim, na Uracusa, był Coulan?

– Nie wiem – odparł, wzmacniając osłonę, by ukryć swoje uczucia. – Jednak nie Upadłym, to pewne.

Zniżyła głos.

– Powiedział, że jest maszyną. Nie był człowiekiem, nie takim jak my.

– Troszczył się o nas, tyle wiem. Cokolwiek robił, to było ważniejsze od rewolucji. O wiele ważniejsze.

– „Zabierzemy was z powrotem do prawdziwego wszechświata”, tak powiedział. Co, na Giu, miał na myśli?

– Nie mam pojęcia. Domyślam się, że mówił o wszechświecie poza Pustką, tym, z którego przybył kapitan Cornelius.

– Jednak... wrócić tam? To szaleństwo.

– Wiem. Tylko że on na pewno nie był taki jak ty czy ja. Zastanawiałem się nad tym. Uważam, że był lepszym człowiekiem. I przybył do Pustki, żeby nam pomóc.

– Możesz mieć rację – przyznała pospiesznie. – Był lepszy.

Widziała, jak bardzo cierpi.

– Zatem to nie jest niemożliwe? Nie całkowicie?

– Może nie. Zastanawiam się, czy Nigel jest częścią tego, co planują?

– Pewnie tak.

Bethaneve znów spojrzała na koniec wagonu i ponownie zaniepokoiła się widokiem kapitana Philiousa siedzącego naprzeciw Slvasty.

– Czy Slvasta spał?

– Tak. Zbudził się kilka minut temu. Dlatego ja zbudziłem ciebie.

– Dobrze. Jeśli się przespał, to może się uspokoił. Możemy spróbować przemówić mu do rozumu.

– Mnie nie będzie słuchać. Nie po wczorajszym dniu. Coulan i ja byliśmy razem. Nie można mi ufać. Ty musisz z nim porozmawiać.

Nakryła dłonią jego dłoń.

– Oszukał wszystkich.

– Może chciałem być oszukiwany. Był... chodzącą doskonałością.

– Wiem. Pamiętam. Tak doskonały, że nawet nie byłam zazdrosna, kiedy zostawił mnie dla ciebie. Cieszyłam się, że jest szczęśliwy. Możesz to sobie wyobrazić?

– Nie wiem – odparł drżącym głosem. – To po prostu boli.

Ścisnęła jego dłoń.

– Pójdę porozmawiać ze Slvastą.

Andricea patrzyła na nią czujnie, gdy Bethaneve szła przejściem między ławkami. Najwyraźniej wymieniała jakieś przekazy ze Slvastą. Wstała i posłała Bethaneve obojętny uśmiech.

– Pójdę zobaczyć, czy jest tam coś do zjedzenia. Powinni mieć przynajmniej herbatę.

– Dzięki.

Bethaneve wyczekująco spojrzała na Slvastę. Odpowiedział jej zażenowanym spojrzeniem.

– Proszę – powiedział i lekko podniósł się z ławki.

Usiadła obok niego, starając się nie patrzeć na siedzącego naprzeciw kapitana.

– Przykro mi z powodu wczorajszego dnia – stwierdził. – Powiedziałem coś, ale wcale tak nie myślałem. Wybacz mi.

Nachyliła się i pocałowała go.

– Wszyscy byliśmy mocno zestresowani, a Ingmar wcale nie pomógł.

– Cholerna racja! – Głośno wypuścił powietrze. – Nie wiedziałem, co się dzieje.

– A teraz wiesz?

– Niezupełnie.

– Zatem co robimy?

– Powstrzymamy ich. Wiem, gdzie mieszka Nigel. Byłem w jego gnieździe.

– Ich, czyli kogo, ukochany?

– Upadłych.

– Nie jestem pewna, czy Coulan był Upadłym. Powiedział, że jest maszyną.

– Manipulował nami – rzekł Slvasta. – Ludźmi i Upadłymi; kapitan Philious powiedział mi, że ten z placu Eynsham miał coś dziwnego w mózgu. Tak więc kontrolowali nas bez naszej wiedzy. Nigel sterował nami, jakbyśmy byli jego modami, a my robiliśmy to, czego on chciał. Myśląc, że sami tego chcemy.

Spojrzała na siedzącego naprzeciwko kapitana Philiousa.

– Ja wciąż chcę sprawiedliwości i demokracji dla wszystkich. Chciałam tego, zanim go spotkałam. To nigdy się nie zmieni.

– Natomiast on chciał tylko rozpraszaczy kwantowych z mojego pałacu – powiedział kapitan.

– Nie wiem, co to takiego.

– Bomby. Bomby, które mój przodek przywiózł ze sobą do Pustki, słusznie czy nie. Ładunki wystarczająco silne, żeby wysadzić całą planetę. Czy to będzie sprawiedliwość dla wszystkich?

– Myśli pan, że on był Upadłym?

– Nie wiem, kim innym mógłby być. Może jednym z ich klasy rządzącej. Odpowiednikiem mojej osoby.

Potrząsnęła głową.

– Gdyby Upadli byli tacy, przegralibyśmy już tysiąc lat temu. Coulan i Nigel są inni.

– Chcą nas zniszczyć? Co to za różnica?

Bethaneve odchyliła głowę do tyłu, opierając ją o cienkie obicie. To nie miało sensu; wiedziała, że Slvasta nigdy nie da się przekonać, jeśli chodzi o Upadłych. Podejrzewała, że kapitan pogrywa sobie z nim, wykorzystując tę jego słabość, żeby zdobyć nad nim przewagę.

Uracusie, czy popadam w paranoję? Jeśli zaprotestuję, jeśli będę się teraz z nim spierać, Slvasta już nigdy mi nie zaufa. Muszę z nim zostać, pomóc mu, zanim to go zniszczy. Jeśli on Upadnie, rewolucja także.

– Zapewne żadna – powiedziała. – Zatem jaki mamy plan?

* * *

Było jeszcze ciemno, gdy ekspres wjechał na przedmieścia Dios, choć na niebie od wschodu już pojawiła się zapowiedź świtu. Delikatny tiul mgławic zniknął w mroku nocy, umykając przed słonecznym blaskiem. Wielki parowóz zatrzymał się w kłębach pary i ze zgrzytem hamulców zakończonym wstecznym ruchem tłoków i obrotem kół. Dwieście metrów dalej bladopomarańczowe światła nastawni odbijały się w płataninie szyn. W nastawni dyżurny ruchu posłusznie pociągnął za kilka długich dźwigni, zmieniając zwrotnice. Madeline odsunęła lufę karabinu od jego krocza.

– Boczna linia otwarta – nadała do ekspresu.

Ten znów ruszył naprzód, zmieniając tory, aż znalazł się na prowadzących do Erondu. Kiedy minął rozjazd, znów zaczął nabierać prędkości.

Trzy i pół godziny później, gdy słońce stało już wysoko nad horyzontem, wjechał na mały plac rozładunkowy obok stacji. Kupcy i sklepikarze czekający na poranne dostawy z zainteresowaniem patrzyli na przyjeżdżający poza rozkładem pociąg. Jednak nie podchodzili bliżej; Russell i inni członkowie organizacji Ma stali wokół w swych długich płaszczach z drojedwabiu i dobrze widocznymi karabinami, zabezpieczając wolną drogę dla dwóch podjeżdżających do pociągu samochodów na parę.

Kysandra wysiadła z wagonu za Nigelem. W świeżym porannym powietrzu unosiła się woń spalonego węgla i rozgrzanego oleju. Wyczuła wiele telepatycznych spojrzeń przesuwających się po niej i samochodach, głównie słanych przez kupców. Jednak nie było tu ciekawskich szeryfów ani żadnych przedstawicieli władz. Nigel bardzo skutecznie zinfiltrował administrację okręgu.

Marek kierował ekipą rozładunkową i szybko kazał wszystkim utworzyć silną osłonę wokół wagonu z rozpraszaczami kwantowymi. Pod jej ochroną zasłoną głowice załadowano na przyczepy holowane przez samochody na parę. Kiedy zostały dobrze zabezpieczone, ludzie Mareka wsiedli na konie, a samochody wyjechały z placu.

Po dwudziestu minutach kawalkada opuściła przedmieście i dotarła do nowej nadrzecznej drogi do Adeone. Z piskiem szybko poruszającego się metalu samochody na parę zaczęły przyspieszać.

* * *

Pociąg Slvasty wjechał na dworzec Dios tuż po południu. Sam zawiadowca stacji wyszedł na peron, żeby powitać drugi niezaplanowany pociąg tego ranka. Jego oburzenie było równie widoczne jak insygnia jego władzy, ale zaczęło słabnąć na widok trzech uzbrojonych ludzi pilnujących w lokomotywie maszynisty i palacza. Dziwne, ale nie było tam mod-karłów pomagających szufłować węgiel.

Resztki odwagi opuściły go, gdy z pierwszego wagonu zaczęli wysiadać ochroniarze. W Dios dobrze znano karabiny, których używali rewolucjoniści. Potem po peronie nadszedł sam Slvasta, samozwańczy premier z nowo powstałego Tymczasowego Kongresu Ludowego. Z

umysłu zawiadowcy stacji zaczął sęczyć się strach. Jeśli był tu Slvasta, to Dios ucierpi tak samo jak Varlan. Przestraszony ustąpił miejsca jawnemu zdumieniu na widok kapitana Philiousa maszerującego obok Slvasty.

Setki mieszkańców chłonęły mimowolny przekaz zawiadowcy stacji, gdy podszedł do niego Slvasta.

– Czy ekspres z Varlanu zatrzymał się tutaj?

– Och, niezupełnie, panie. Panowie! Pojechał boczną linią do Erundu. Mój dyżurny ruchu był zmuszony przełożyć zwrotnice. Musiał to zrobić; ona przyłożyła mu lufę do głowy.

– Zatem nikt nie wysiadł?

– Nie, panie. Nie sędzę. Niemal się nie zatrzymał.

– W porządku. A teraz powiedz mi, gdzie znajduje się dowództwo okręgowego regimentu?

* * *

Główną kwaterą okręgowego regimentu Dios był ogromny trzypiętrowy budynek z kamienia, ciągnący się ponad dwieście metrów wzdłuż ulicy Fothermore w centrum miasta. Za tą fasadą był kilkuhektarowy teren zdominowany przez rozległy plac defilad, przeróżne stajnie, koszary, kwatery oficerskie, strzelnice i zbrojownie, a wszystko to rozmieszczone w regularnych odstępach i otoczone trzymetrowej wysokości murem. Tysiąc osiemset lat temu kapitan Kanthori zarządził, że wszystkie regimenty mają ufortyfikować swoje siedziby, na wypadek gdyby ich okręg był kiedyś oblegany przez Upadłych. Miało to zapewnić schronienie uchodźcom do czasu przybycia pomocy.

Regiment Dios posłusznie dbał o swoje umocnienia przez te wszystkie wieki. Slvasta był tego doskonale świadomy, gdy prowadził swój oddział po Fothermore. Na ulicy nie było przechodniów; ludzie znikali w domach od chwili, gdy wyjechał ze stacji. Wieść o jego przybyciu błyskawicznie rozeszła się po mieście; teraz zza tysiąca zamkniętych drzwi oglądano go telepatycznie.

Wszędzie słychać było głośny trzask i zgrzyt okutych żelazem okiennic, którymi zasłanianio okna głównej kwatery regimentu. Wielkie, solidne wrota bramy na środku gmachu zamknięto kilka minut wcześniej.

Gdy podszedł bliżej, zobaczył, że budynek jest najeżony lufami karabinów sterczącymi z wąskich strzelnic w murze. Spojrzał na idącego obok niego kapitana Philiousa.

– Porozmawiaj z brygadierem.

– Może to zrobię.

Slvasta obrócił się do niego, zdziwiony.

– Co?

– Nie sędzę, żebyśmy przedyskutowali to, co się stanie później. Andricea przysunęła się bliżej, wyciągając ostry jak brzytwa sztylet.

– Ty gównojadzie.

– Nie. – Slvasta powstrzymał ją machnięciem ręki. Andricea groźnie się skrzywiła, ale wepchnęła sztylet z powrotem do pochwy.

– Czego chcesz? – zapytał Slvasta.

– Jakie macie plany wobec mojej rodziny?

– Znormalizować.

– Słucham?

– Zaczniecie żyć na takiej samej stopie jak reszta. Ciężko pracować, zarabiać na życie.

Kapitan Philius popatrzył na niego z pogardliwym rozbawieniem.

– Wielki Giu, ty naprawdę w to wierzysz, prawda? Jak możesz być taki naiwny?

Bethaneve podeszła do nich.

– No dobrze, umowa jest taka. Amnestia dla wszystkich uczestników rewolucji, niezależnie od ich przestępstw. Twoja rodzina zostanie zwolniona z aresztu i zatrzymanie jedną trzecią waszych posiadłości, udziałów i tym podobne gówna. Oddasz władzę demokratycznie wybranemu parlamentowi i podpiszesz ustawę gwarantującą prawa obywatelskie dla wszystkich.

– Oszalałaś? – spytał Slvasta. – Chcesz pozwolić zatrzymać mu majątek? To da mu władzę.

– Pozbaw jego rodzinę konstytucyjnych uprawnień, a będą jedynie kolejną zgrają bezużytecznych hedonistów. Zniszczyliśmy organizację Trevene'a, moi ludzie tego dopilnowali. Nikt za nim nie pójdzie, jeśli spróbuje wywołać kontrewolucję. Prawdę mówiąc, niech spróbuje. Tylko szybciej skończą mu się pieniądze.

– Nie!

– Połowa mojego majątku – powiedział kapitan Philius.

– Dobrze.

– Powiedziałem nie – warknął Slvasta. Gniewnie spojrział na kapitana. – Porozmawiasz z brygadierem albo cała twoja rodzina zostanie rozstrzelana.

Kapitan Philius obrzucił go chłodnym spojrzeniem.

– Jeden mój przekaz i wszyscy na tej ulicy zginą od kul z tych karabinów, łącznie ze mną. Właściwie brak przekazu wkrótce zapewne przyniesie taki sam rezultat: regiment robi się nerwowy, na wypadek gdybyś tego nie wyczuwał. We troje jesteście teraz przywódcami rewolucji. Ona umrze wraz z wami. Wieś powstanie na rozkaz moich krewnych i pomaszeruje na Varlan. Spodziewam się, że krwawa łaźnia będzie trwała latami.

– Upadli! – Slvasta skręcał się z gniewu. – Mają rozpraszacze kwantowe. Zabiją nas wszystkich!

– W takim razie masz dwie możliwości. Oszczędzasz mnie i pozwalasz utrzymać dotychczasowy styl życia, podczas gdy ty wybierasz sobie swój naprawdę demokratyczny parlament, a regiment Dios maszeruje na gniazdo Nigela. Albo umierasz tu za kilka minut. I Upadli zwyciężają.

– To żaden wybór.

– Złożyłeś przysięgę, kapitanie Slvasta, że będziesz bronił Bienvenido... całego Bienvenido... przed Upadłymi. Tymi samymi Upadłymi, którzy manipulowali tobą i twoimi przyjaciółmi, nakłaniając do obalenia mojego rządu i pogrążenia tego świata w chaosie, żeby oni mogli zdobyć najpotężniejszą z broni. Wasza rewolucja od początku była oszustwem. Teraz masz okazję wszystko naprawić.

Slvasta pragnął rzucić się na kapitana i rozerwać go na strzępy. Z wściekłości krew uderzyła mu do głowy, łomocząc w skroniach, grożąc ich rozerwaniem. Widział tylko nieumarłego Coulana, leżącego na peronie dworca Balcome, i tę strasliwą, spokojną pewność, z jaką mówił o rychłym wyzwoleniu. Potem Upadły-Ingmar szydził z niego z głębi jamy, wciągając w nigdy niekończący się koszmar.

– Wypalimy was ogniem z tego świata – powiedział głośno i wyraźnie temu wspomnieniu.

– Przysięgam. Obojętnie jakim kosztem.

– Czy to jest twoja odpowiedź? – Głos kapitana był tak spokojny, że aż kpiący.

– Slvasta. – Bethaneve trzymała go za rękę, z zatroskaną twarzą i umysłem. – Zlikwidujemy kapitanat. Może nie tak, jak sądziliśmy, ale teraz wszystko się zmieni. Ludzie będą mieli prawo głosu; będą traktowani sprawiedliwie.

– Tak – szepnął.

– I co? – spytał kapitan Philious.

– Tak! – odparła z zapalem. – Pomaszerujemy na gniazdo Nigela. Razem.

– Przez moment zacząłem się niepokoić.

– A ty zostaniesz pod naszą kuratelą, aż to się skończy i wrócimy do Varlanu, gdzie zostanie podpisana umowa.

– Naturalnie. – Kapitan Philious odwrócił się do ponurej ściany budynku głównej kwatery regimentu, z wymierzonymi w niego dziesiątkami luf. – Brygadierze Doyle – przekazał – zechce pani przyjść tu na moment? Proszę.

* * *

Wyruszyło z nimi dwustu żołnierzy regimentu, dowodzonych przez samą brygadier Doyle. Zawiadowca stacji w Dios pośpiesznie zorganizował dwa pociągi – jeden do przewiezienia koni na długich lorach. Slvasta nalegał, żeby były to wyłącznie ziemskie konie. Po godzinie oba pociągi mknęły w kierunku Erнду.

* * *

Po dwudziestu minutach od opuszczenia Erнду dotarli do pierwszego mostu – starego kamiennego łuku nad umiarkowanie szeroką, ale wartko płynącą rzeką. Na jego środku ziała trzymetrowa wyrwa w miejscu, gdzie materiały wybuchowe rozrzuciły kamienie konstrukcji. Większość ich spadła do wody, niektóre utkwily w błotnistych brzegach.

Kiedy regiment przygalopował drogą, przy moście kręciły się dziesiątki ludzi niewiedzących, co robić. Droga po obu stronach rzeki była zapchana końmi i wozami. Slvasta

podjechał do wjazdu na most, zmuszając tłum do rozstąpienia się. Przez długą minutę spoglądał na wyrwę. Regiment zatrzymał się za nim, telepatycznie usiłując ustalić, na czym polega problem. Konie rżały i kręciły się nerwowo.

– Pewnie wysadzili wszystkie mosty po drodze do Adeone – rzekł Javier, podjechawszy do Slvasty. – Wiesz o tym, prawda?

– Tak. A my nie możemy pozwolić, żeby to nas zatrzymało.

Slvasta bez ostrzeżenia popędził swego wierzchowca, śląc bezlitosne rozkazy do jego przestraszonego umysłu. Koń pogalopował po kamieniach, a zbliżająca się wyrwa jakby się poszerzyła. W następnej chwili koń skoczył nad ośmiometrową otchłanią. Wylądował po drugiej stronie, z łatwością przeskoczywszy wyrwę.

– Chodźcie! – ryknął Slvasta.

Javier ze śmiechem popędził swojego rumaka po uszkodzonym moście.

* * *

Fergus i Marek towarzyszyli Kysandrze, która podążała wzdłuż rzeki po stronie farmy Blairów, a potem wąskim traktem, który mod-karły pracownicy wycięły przez las. Jechali na krzepkich ziemskich koniach i wszyscy prowadzili zapasowe, obciążone workami.

Nigdy przedtem nie zapuszczała się w tę okolicę. Ta była dzika, pofałdowana, z bagnistymi dolinami i gęstymi zaroślami. Nikt nigdy nie próbował w okręgowym urzędzie ziemskim nabyć prawa do żadnej jej części; ujarzmienie jej trwałoby dziesiątki lat i kosztowało więcej, niż mogłaby przynieść zysku jakakolwiek farma. Daleko przed nimi podnóża gór Algory wznosiły się nad poszarpanymi skalnymi rumowiskami i rzadkimi, powykręcanyymi przez wiatr drzewami.

Jechali na wschód w dobrym tempie, gdyż ich konie miarowo podążały przez chaszczę i po miękkiej trawie. Nieustannie się pięli po coraz dłuższych i bardziej stromych stokach. Para ge-orłów leniwie szybowała w górze, sprawdzając teren przed nimi. Rzadko wykrywały jakiś ruch – kilka gniazd busalorów, jakaś samica daravana przemykająca w pobliżu. Ptaki pospiesznie pierzchały, przestraszone widokiem intruzów.

Słońce było już nisko nad horyzontem, gdy wjechali na wzniesienie, na którym nagie krzaki raddah tworzyły meandry żywopłotu wzdłuż grani.

– To powinno wystarczyć – oznajmił Fergus.

Wszyscy troje zsiadli z koni. Stanęli twarzami do zachodzącego słońca, patrząc na krainę, którą właśnie przemierzyli. Oczy Kysandry odfiltrowały blask, skupiając się na farmie Blairów, trzydzieści kilometrów dalej. To już nie była jej farma, to słodkie domostwo, w którym się wychowała. Był to wielki sztuczny prostokąt budynków wzniesionych w dolinie i otoczonych geometryczną szachownicą pól. *Jak coś stworzonego przez maszynę* – pomyślała. Co było niezłym opisem obecnego stanu rzeczy. Dziwnie było patrzeć na to, wiedząc, jakie to osiągnięcie, ile wymagało pracy i trudu i że ma zniknąć w ognistej burzy.

Ciemnozłoty słoneczny blask oświetlał „Gwiezdną Damę”, jej śmiały trójkątny kształt tkwiący na pęku dodatkowych silników napędowych. Górowała nad wszystkimi pozostałymi budynkami farmy jak wspaniała pomnik nadziei. Kysandra czuła niewyobrażalną dumę, patrząc na ten stary gwiazdolot mający na skrzydłach burzy wzbić się z powrotem w kosmos, gdzie było jego miejsce.

I ja w tym pomogłam.

Tylko za jaką straszną cenę.

Kazała swemu u-adiunktowi otworzyć połączenie z gwiazdolotem. Było słabe, na bardzo niskim paśmie.

– Jak idzie? – zapytała.

– Halo, kontrola naziemna – odparł Nigel. – Cóż, jestem tutaj i siedzę na kupie świńskiego łajna, odliczając sekundy, niechaj Giu ma mnie w swojej opiece.

– Hmm, nic ci nie jest?

– Nic. Teraz po raz ostatni sprawdzam sekwencje silników napędowych.

– Ile do startu?

– Może pięć minut. Te układy są dość proste, ale muszę mieć całkowitą pewność, że zdołam jednocześnie odpalić wszystkie pięć silników pierwszego członu. Na razie jest dobrze.

– Nigel...

– Nie. Obiecaliśmy sobie: żadnych pożegnań. Ponieważ ja nie odchodzę, nie naprawdę. Jestem tutaj, po drugiej stronie bariery, czekając, aż znów się zobaczymy. Pamiętasz?

Kysandra zamknęła oczy, starając się opanować lęk.

– Tak.

– I wiesz, że to prawda, ponieważ...

– Zawsze masz rację. Tak, chyba już to wiem.

– Moja dziewczyna.

– I dokąd polecimy? Tam we Wspólnocie?

– Dobrze pytanie. Na Ziemię, oczywiście, gdzie wszystko się zaczęło. I na Cressat, która jest moją planetą.

– Nigel! Nie możesz mieć całej planety!

– Ale mam!

– Jakim cudem?

– Mówiłem ci, że jestem bogaty. Uśmiechnęła się z tego głupiego żartu.

– Tak, ale...

– Oho.

– Co?

– Przybyła kawaleria.

SZEŚĆ

Slvasta przez całą drogę z Erondu był na przedzie. Zawsze pierwszy pokonywał wyrwy w mostach lub wjeżdżał koniem we wzburzone wody, gdy uszkodzenia były zbyt duże, aby je przeskoczyć. Javier, Tovakar i Yannrith przez cały czas byli przy nim. Jadąca tuż za nimi Bethaneve usiłowała dotrzymać im tempa, cierpiąc z powodu braku doświadczenia z końmi. Za nią podążała Andricea i oddział ochroniarzy, tworzący falangę wokół kapitana Philiouisa i brygadiera Doyle, która uparła się towarzyszyć kapitanowi. Potem jechali żołnierze regimentu, posępni i skupieni, uzbrojeni w najcięższą broń, jaką mogły unieść ich konie.

Zanim minęli Adeone, Slvasta zrozumiał, że jego koń ledwie zdoła dotrzeć na farmę Blairów. Szyję i boki miał pokryte pianą. Mimo to niestrudzenie jechał naprzód.

W końcu, po paru godzinach jazdy drogą biegnącą szpalerem młodych drzewek follruksowych, dotarł do nieoznakowanego skrzyżowania.

– To tu – nadał do wszystkich w kawalkadzie. – Przygotować broń i wystrzegać się zasadzki.

Po tych słowach pomknął naprzód, nie zważając na bolesne zmęczenie emanujące z umysłu jego rumaka.

– Czekaj. Jaki jest plan? – spytała Bethaneve w przekazie podszytym obawą.

– Pełny frontalny atak – odparł Slvasta. – Nie ma czasu na nic innego.

Zniszczone mosty były tego dowodem. Jeśli Nigel starał się opóźnić pościg, czas musiał odgrywać decydującą rolę. Ponadto nigdy nie negocjuje się z Upadłymi, nie idzie na ustępstwa, nie okazuje łaski... Albo ich zabijesz, albo cię zjedzą. To już nie była polityka. Teraz był w swoim żywiole.

Gęsty las z drzewami opecionymi pnączami wyglądał znajomo, tak samo jak roje muszek tatus. Telepatycznie obejrzał karabin tkwiący w olstrze z boku siodła. Magazynek pełny. Bezpiecznik zasunięty. Swoją teka ostrożnie odpiął pasek, żeby móc błyskawicznie wyjąć broń, ponieważ zbliżał się już do zakrętu drogi wychodzącej na zbocze nad zabudowaniami farmy.

Obietnica szybkiego zakończenia tej jazdy popędziła konie naprzód. Wypadł spomiędzy drzew i zobaczył przed sobą znajomą równinę, skąpaną w różowozłocistym blasku zachodzącego słońca.

Jego zaskoczenie sprawiło, że koń stanął dęba, rżąc ze strachu. Slvasta musiał mocno się przytrzymać, próbując uspokoić jego proste, paniczne myśli.

Na polach po obu stronach drogi roilo się od modów. Były ich setki: karły, konie, małpy – wzdłuż całego skraju lasu; nieruchome i milczące, siedziały (nawet konie), spoglądając w przeciwną stronę do tej, gdzie znajdowała się w farma. Z początku myślał, że wszystkie są martwe, lecz szybki telepatyczny skan ujawnił, że – co było jeszcze bardziej niepokojące – tylko drzemały. Żaden się nie odwrócił, aby popatrzeć na wyjeżdżające z lasu konie.

– Co to jest, na Uracusa? – wykrzyknęła Bethaneve.

Slvasta spojrział na zabudowania. Tuż za nimi, na samym brzegu rzeki, stała niesamowita konstrukcja, której tam nie było podczas jego poprzedniej wizyty. Jej dolną częścią był pęk grubych cylindrów tworzących szeroki krąg, zamknięty pomalowanym na czerwono rusztowaniem, czubek zaś...

– To... – mruknął z niedowierzaniem. To było niesamowite i niewiarygodne, ale ten bulwiasty trójkąt tkwiący na końcu cylindrów przypominał mu stary posąg Lądowania na skrzyżowaniubulwaru Walton z aleją Struzaburską. – Latająca machina!

Nagle zrozumiał, że to wszystko było prawdą. Nigel i jego gniazdo wiedziało, jak ponownie uruchomić rozpraszacze kwantowe. Nigel, który jakoś zdołał zbudować latającą maszynę. Nigel, który zamierzał zabić wszystkich ludzi na Bienvenido, żeby zrobić miejsce dla swoich. Dla Upadłych.

– Do ataku! – ryknął i popędził konia naprzód. Pogalopował w dół zbocza, nie zważając na udrękę wierzchowca, ignorując milczące szeregi modów. Widział tylko latającą maszynę, w której z pewnością znajdowały się rozpraszacze kwantowe.

– Poruczniku. – Uprzejmy przekaz Nigela rozszedł się w głowie Slvasty. – Zawsze miło pana spotkać. Muszę jednak nalegać, żeby się pan zatrzymał. Naprawdę musi pan zawrócić.

– Pierdol się, Upadły! – wrzasnął Slvasta, radośnie i wyzywająco.

Za nim regiment pędził w dół zbocza, nabierając impetu, popędzając konie do ostatniego galopu.

– Synu, zrobisz sobie krzywdę. Podmuch towarzyszący startowi mej rakiety będzie zabójczy dla każdego w promieniu kilometra. Proszę, zatrzymaj się.

– Kłamco. Wypalę was z naszego świata. Zabiję was wszystkich.

Pola uciekały w tył rozmazaną plamą. Nigdy nie czuł się bardziej żywy, bardziej zdecydowany. Nigdy bardziej prawy.

– Do cholery, ty dumny fanatyku. Zawracaj. Już. To ostatnie ostrzeżenie.

Slvasta z nieartykułowanym okrzykiem wyrwał karabin z olstra przy siodle. Koń podrzucał go tak, że z trudem zdołał wycelować w latającą maszynę.

– O nie, nic z tego – nadał Nigel.

Slvasta zdążył dostrzec tylko kawał ciała i kości wyrwany przez kulę z łba jego rumaka. Zwierzę upadło i kilkakrotnie przekoziołkowało. On został wyrzucony z siodła i przeleciawszy w powietrzu, wylądował z donośnym, łamiącym żebra impetem na kamiennej drodze, przesuwając się po niej siłą bezwładu i zdzierając skórę. Potem toczył się i toczył, a ból szarpał każdy nerw jego ciała.

– Dziesięć, dziewięć, osiem... Jeszcze jeden obrót i znieruchomiał. Patrząc w bezchmurne wieczorne niebo ze słabo migoczącymi, wychodzącymi nań mgławicami. Zbyt oszołomiony, żeby się poruszyć.

– ...cztery, trzy...

Eter zawrzał od rozpaczliwych okrzyków, kiedy gnający na złamanie karku regiment próbował się zatrzymać.

– Slvasta! – krzyknęła Bethaneve.

– ...jeden, zero. Odpalać! Do diabła, ale jestem dobry!

Slvasta ujrzał oślepiająco jasny, pomarańczowy błysk rozchodzący się spod metalowych cylindrów latającej maszyny. Wiedział, że to eksplozja. Warknął triumfalnie. Urządzenie Upadłego zawiodło i wybuchło. Potem, gdy wyciągnął szyję, żeby lepiej widzieć kłeskę Nigela, ten blask lekko przygasł i ze stawu wytrysnęła ogromna chmura pary. Przemknęła nad ziemią szybciej, niż zdołał uchwycić to wzrokiem, zmiatając wszystko na swojej drodze i unosząc się wielkimi i gęstymi kłębami. A co najdziwniejsze, zupełnie bezdźwięcznie.

Złowrogi blask powrócił, przenikając przez pędzącą chmurę, wzbijając się i coraz bardziej przy tym jaśniejąc. W następnej chwili fala dźwięku uderzyła w niego z huraganową siłą. Uniosła leżącego na drodze Slvastę i cisnęła nim w żywopłot. Choć Slvasta maksymalnie wzmocnił swoją osłonę, ten ryk wstrząsnął nim do głębi, grożąc oderwaniem wszystkich kończyn. Slvasta wrzasnął, gdy poczuł te wibracje we wszystkich częściach swego ciała.

Oślepiające topazowe światło rozbłysło na wierzchu wścieklej kolumny pary i pięć wielkich płomieni wystrzeliło z podstawy cylindrów, wypluwając grube kolumny dymu.

– Czy to rozpraszacz kwantowy? – wykrztusił.

Latająca maszyna coraz szybciej pędziła w górę, a jej straszliwe płomienie z pewnością rozrywały niebo na pół. *Czy tak wygląda koniec świata?*

Skraj chmury pary uderzył weń z impetem. Wcześniejsze cierpienia dopełnił nieznośny żar. Slvasta stracił przytomność.

* * *

Kysandra zobaczyła jasny błysk zapłonu. Potem spod wieży startowej wytrysnęła para, na długą chwilę zasłaniając zespół pomocniczych silników. Nawet z tej bezpiecznej odległości gwałtowność tego wydarzenia robiła wrażenie. „Gwiezdna Dama” uniosła się majestatycznie nad tym piekielnym chaosem, gładkim łukiem lecąc w górę i ciągnąc za sobą warkocz ognia, dymu oraz gromowego huku.

– Leci! – krzyknęła radośnie Kysandra. Jej nogi nie były w stanie spokojnie ustać, a ręce poruszały się, jakby chciała polecieć za startującym gwiazdolotem. Jej serce waliło jak młotem. Rozdziawiła usta z podziwu.

„Gwiezdna Dama” kontynuowała swój bezbłędny start.

– Kocham cię, Nigelu! – krzyknęła Kysandra. – Zawsze cię kochałam.

Teraz już wyciągała szyję, żeby śledzić ten boleśnie jasny spektakl. „Gwiezdna Dama” była już tak wysoko – na wysokości co najmniej dziesięciu kilometrów.

Nagle wytrysnęła ogromna chmura dymu i pięć płomieni zgasło. Kysandra krzyknęła.

– Oddzielenie! – uspokoił ją Fergus. Nowa, pojedyncza kolumna ognia wytrysnęła w dół. A pięć zużytych silników odlatywało od niej, wciąż ciągnąc za sobą cienkie smużki dymu i opadając ku ziemi jak otwierające się płatki wielkiej mgławicy.

„Gwiezdna Dama” teraz mocno przyspieszała na jedynym pozostałym silniku, unosząc się nad atmosferę; z dymem rozchodzących się spalin osiągnęła zenit. Kysandra obserwowała to ze łzami spływającymi po policzkach.

– Żegnaj, Nigelu. Znajdę cię, gdziekolwiek jesteś.

* * *

Ból oznaczał, że Slvasta wciąż żyje. Nie zaznał tak potwornego bólu, od kiedy schwytała go Quanda. Z jego ust wydobył się żalony skowyt, kiedy spróbował się poruszyć. Nawet najłżejszy ruch potęgował cierpienie. Rozejrzył się telepatycznie i dostrzegł stojącego nad nim mężczyznę.

– Ach, premierze. Cieszę się, że przeżyłeś.

– Ingmar? – wyrzęził Slvasta.

– Na nieszczęście dla ciebie nie.

Slvasta z trudem otworzył oczy. Rzadka szara mgła kłębiła się wściekle w całej dolinie – resztki rtęciowej chmury pary pozostawionej przez latającą maszynę. Patrzył na niego kapitan Philious, niedbale trzymając w jednej ręce standardowy karabin żołnierza regimentu.

– Co się stało? – zapytał Slvasta.

– Ludzie od maszyny odlecieli. To było niewiarygodnie imponujące.

– Upadłe dranie. Co teraz zrobią?

– Nie, Slvasta – powiedział ze szczerym rozczarowaniem kapitan Philious. – To nie byli Upadli. I podejrzewam, że spróbują zdetonować rozpraszacz kwantowy w Lesie. Zostaniemy uwolnieni od Upadłych. Czy to nie będzie coś?

– Musimy ich powstrzymać!

– Nie, nie musimy. Naprawdę zdają się wiedzieć, co robią.

Kapitan Philious przesunął bezpiecznik karabinu.

Slvasta patrzył na niego z niedowierzaniem.

– A nasza umowa i nowy parlament...?

– Ach, oczywiście – zadrwił kapitan Philious. – W ten sposób moja rodzina utrzymywała się u władzy przez trzy tysiące lat.

Wycelował karabin we Slvastę i nacisnął spust.

* * *

Pięćset metrów wyżej na zboczu Bethaneve usłyszała serię wystrzałów i odwróciła się. W samą porę, by zobaczyć, jak ciało Slvasty zostaje rozerwane przez kule, gdy kapitan Philious wystrzelał w niego cały magazynek. Rozchyliła wargi w jęku rozpaczony i osunęła się na kolana, gdy jej już uginające się nogi odmówiły posłuszeństwa.

Myślała, że zemdleje. Większość koni regimentu wpadła w amok podczas startu latającej maszyny. Jej rumak uciekł z innymi, zrzucając ją z siodła. Pozostała na ziemi, zwinięta w kłębek i otoczona najsilniejszą osłoną, gdy konie przebiegały obok, a nad nią przeleciał jęzor

pary. Ból, szok i żal trzymały ją w tej pozycji nie wiadomo jak długo. Gdy najgorsze minęło i ta zdumiewająca machina znikła w ciemniejszym niebie, Bethaneve zwymiotowała. Potem nie mogła przestać się trząść.

Kapitan Philious wetknął nowy magazynek do swojego karabinu i zaczął słać rozkazy znajdującym się najbliżej żołnierzom regimentu, przywołując ich do siebie i każąc szukać ochroniarzy Slvasty. Bethaneve zaczęła się trząść jeszcze bardziej. Slvasta nie żył. Był martwy! Jej ukochany. Jej bratnia dusza. Już w drodze do Giu. Wszystko przepadło.

– Dołączę do ciebie w Sercu – szepnęła. *Zapewne bardzo szybko.*

To było zbyt straszne, zbyt okropne, żeby o tym myśleć. Zamknęła oczy i znów otoczyła się osłoną, wycofując się z tego świata.

– Nie możesz tu zostać.

Bethaneve spojrzała z przestachem. Nie rozpoznała tego młodego człowieka, który stał obok niej. Nosił dziwny jednoczęściowy strój w maskującym szarym kolorze i trzymał jeden z tych karabinów snajperskich, w które Nigel zaopatrzył komórki.

– Kim jesteś? – wykrztusiła.

– Demitri. Jestem z tej samej partii co Coulan.

– Słucham?

– Przepraszam. Chciałem cię uspokoić. To niemądre z mojej strony, zważywszy na okoliczności. Ujmę to tak: Coulan i ja jesteśmy jak bracia.

– Coulan nie żyje.

– Wiem.

– Slvasta nie żyje – powiedziała z przygnębieniem. – Ja będę następna.

– Tak nie musi być. Można to cofnąć.

Bethaneve parsknęła śmiechem, który zaraz przeszedł w szloch.

– Będziemy razem. Odnajdę go w Sercu.

– Tak się nie stanie.

– On tam będzie. Wiem, że będzie.

– Nie, obawiam się, że nie. Za parę dni nie będzie żadnego Serca, ponieważ nie będzie Pustki.

– Kim jesteście?

– Jesteśmy z wszechświata na zewnątrz. Tego, z którego przybyli wasi przodkowie. I zabierzemy was tam.

– Ale... – Spojrzała na ciemniejące niebo, gdzie cienka smuga dymu fosforyzowała delikatnym różowozłotym odcieniem w promieniach zapadającego za horyzontem słońca. – Czy ta latająca maszyna zabrała rozpraszacze kwantowe do nieba? Kapitan Philious mówił, że one zniszczą cały świat.

– Mylił się. Ten Las tam w górze robi coś, co niszczy same podstawy Pustki, ale tylko niewielki jej fragment. Nigel odbudowuje rozpraszacz kwantowy, żeby powielić ten efekt; kiedy go zdetonuje, jego wersja efektu Lasu będzie o kilka rzędów wielkości silniejsza.

Pomyśl o Pustce jako o lekko nadpękniętym kamieniu; żeby go rozbić, musisz wetknąć ostrze dłuta w tę szczelinę i potężnie rąbnąć młotem. I właśnie to zrobi rozpraszacz kwantowy. Rozerwie Pustkę. Tak myślimy.

– Nie będzie już Pustki? – spytała tępo Bethaneve.

– Nie. Będziecie wolni.

– Wyzwoleni – powiedziała cicho. – Tak mówił Coulan. Zostaniemy wyzwoleni.

– Tak więc widzisz, nie będzie już Serca.

– A dusza Slvasty?! – jęknęła.

– Tak, wiem. Dopóki jednak Pustka istnieje, jest bardzo małe okno czasowe, dzięki któremu można go uratować.

– Jak?

– Weź mnie za rękę. Zabiorę cię tam, gdzie on wciąż jest żywy.

Miała zamęt w głowie – z żalu i bólu. Nic nie miało sensu. Wszystko, co się zdarzyło, wszystko, co właśnie usłyszała... za wiele, żeby natychmiast ogarnąć. Jednak on był bratem Coulana. I powiedział, że jest szansa... Uchwyciła się tej jednej myśli. Nic innego jej nie pozostało.

Bethaneve ścisnęła jego dłoń, jakby była to jedyna trwała rzecz pozostała we wszechświecie.

– Poczujesz się dziwnie – rzekł – ale wytrzymaj. To nie potrwa długo.

– Jak długo?

– Och, pięć minut powinno wystarczyć.

Nagle świat zaczął znikać w oczach. Miała wrażenie, że ulatuje, ale nie z niego, tylko do jego wnętrza. Jej percepcja zmieniła się w tak dziwny sposób, że dostrzegała jakieś postacie za stałymi obiektami, choć te pozostały takie same. Nagle się zmieniły, zwielokrotniły, przemknęły obok. A ona stała się jedną z tych ulotnych sylwetek. Klęczała na ziemi, mówiąc coś do Demitriego. Zwinęła się w kłębek. Na kolanach ze zgrozą patrzyła na śmierć Slvasty. Konie mknęły tyłem ku niej... Wszystko znieruchomiało, a potem wróciło do niej ze wszystkich stron.

Z impetem uderzyła o ziemię, gdy jej koń uciekł. Inne konie przebiegły obok. Kopyta migwały przerażająco blisko jej głowy.

Bethaneve jęknęła, wstrząśnięta i znów obolała. Gdzieś wysoko na niebie oślepiający płomień znów się piął. Na ziemi schludne zabudowania farmy zmieniły się w pustynię usłaną kawałkami połamanego i dymiącego drewna.

– Co się stało? – krzyknęła.

Demitri przykucnął obok niej, silnymi przekazami i teka kierując spłoszone konie tak, żeby ich omijały.

– Cofnęliśmy się w czasie. Zdołała tylko mu posłać oszołomione spojrzenie.

– Co?

– Patrz – powiedział i pokazał palcem.

Ostatnie konie uciekały przez pola, zostawiając za sobą zrzuconych na ziemię żołnierzy. A tam, na drodze w dole, potłuczony i zakrwawiony Slvasta leżał nieruchomy, ale żywy. Omiotła spojrzeniem drogę. Kapitan Philius podnosił się z ziemi. Zatoczył się, dochodząc do siebie, a potem teka zabrał karabin ogłuszonemu żołnierzowi. Rozejrzał się i znalazł Slvastę. Ruszył ku niemu drogą.

– Przeznaczenie to dziwna rzecz – rzekł Demitri. – Normalnie nie można go uniknąć. Jednak tu i teraz masz szansę to zmienić, co wiesz, że się zaraz stanie.

– Co zamierzasz zrobić? – zapytała mechanicznego człowieka.

– Wykorzystaliśmy was i przykro mi z tego powodu. W ten sposób wam dziękujemy. Jednak to ty musisz podjąć decyzję.

– Tak! O wielki Giu, tak.

– Oczywiście. Musisz jednak zrozumieć, że przyszłości, która was czeka po dzisiejszym dniu, już nie da się zmienić. Będziecie musieli żyć z tym, co zrobiliście, niezależnie od konsekwencji.

Bethaneve z bezgraniczną nienawiścią spojrzała na kapitana Philiusa.

– Akceptuję moją przyszłość, jakakolwiek będzie.

– Bardzo dobrze.

Demitri przyłożył do ramienia kolbę snajperskiego karabinu, starannie wycelował i przestrelił kapitanowi Philiusowi mózg.

* * *

Ból oznaczał, że Slvasta wciąż żyje. Nie zaznał tak potwornego bólu, od kiedy schwytała go Quanda. Z jego ust wydobył się żalostny skowyt, kiedy spróbował się poruszyć. Nawet najlżejszy ruch potęgował cierpienie. Rozejrzał się telepatycznie i dostrzegł stojącą nad nim kobietę.

– Bethaneve?

– Tak, mój kochany. To ja. Nie martw się, żyjesz i wszystko będzie dobrze. Teraz.

Slvasta z trudem otworzył oczy. Rzadka szara mgła kłębiła się wściekle w całej dolinie – resztki rzęciowej chmury pary pozostawionej przez latającą maszynę. Stojąc pośród tych oparów, Bethaneve uśmiechnęła się do niego.

– Co się stało? – zapytał Slvasta.

– Zwyciężyliśmy, mój kochany. Wygraliśmy życie. Wygraliśmy przyszłość. Cholera, wygraliśmy wszystko.

– A Upadli? – zapytał.

– Już ich nie ma.

– Co? – Próbował się podnieść i załkał z bólu. Był to niesamowity widok. Na wszystkich okolicznych polach jak okiem sięgnąć mod-małpy i mod-karły z farmy walczyły z żołnierzami, setkami taplając się w błocie, przytrzymując ich i unieruchamiając. – Czy jesteśmy w Uracusie? – zapytał. – To wygląda jak Uracus, tak jak go sobie wyobrażałem.

– Nie, to nie Uracus. Javier też przeżył. Yannrith, Tovakar i Andricea już tu idą. Mają wóz, na którym pojedziesz. Odjedziemy stąd, zanim regiment ucieknie modom, a potem wrócimy do Varlanu. Jesteśmy potrzebni jego mieszkańcom. Ty jesteś im potrzebny.

– Wóz? Tylko nie zaprzężony w mod-konie. Nie mod-konie, Bethaneve. Przecież wiesz.

– Zobaczymy, mój kochany. Zobaczymy.

* * *

Laura Brandt wyplątała rękę z uchwytu i precyzyjnie się przez właz kabiny. Wokół niej wirował Las. Prom numer czternaście wywijał koziółka co dwieście sekund, z przerwami sprawiającymi, że ten widok wywoływał jeszcze większą dezorientację.

Opaski przylg na jej przegubach i podeszwach przywierały do kadłuba, co pozwalało jej czołgać się naprzód. Ponieważ blokada nerwów skutecznie paraliżowała dolną połowę jej prawej nogi, mogła używać tylko lewej.

Przemieściła się po ścianie przedniej kabiny, aż dotarła pod nią, a wtedy zaczęła powoli przesuwając się w stronę rufy.

Oderwij opaskę od kadłuba – nie zważając na to, że teraz przytrzymują cię tylko dwie takie opaski z przylgami i jeśli zawiodą, runiesz w Pustkę – i jak najdalej wyciągnij uwolnioną rękę, po czym znów ją przyciśnij. Lekko poruszaj ręką, upewniając się, że opaska trzyma, a potem oderwij tę na podeszwie. Podkurcz nogę jak do przysiadu, znów dociśnij. Sprawdź.

Powtarzaj te czynności bez końca...

Jej u-adiunkt zgłosił otwierające się połączenie z nieznaną siecią.

– Cześć, Lauro.

– Kto tam, do kurwy nędzy?

– Bez obawy. Nie jestem Upadłym.

– Że co?

– Jedną ze sporządzonych przez obcych kopii Ibu i Rojasa.

– A kim? – spytała zaniepokojona.

– Jestem Nigel Sheldon.

– Co do...?

Wyczuwała zdziwienie Joeya, rozchodzące się w gąsienicę i wypełniające jej umysł.

– Odwróć się.

Laura zamarła. Potwory były wszędzie. Potwory w ciemności. Potwory w miejscach, gdzie twoim zdaniem nie powinno ich być.

Oderwała opaskę z przylgami od szarego kadłuba i napięła już i tak przeciążone mięśnie brzucha. Szok był jak prąd elektryczny przepływający po skórze. Sto metrów dalej unosił się kosmolot o trójkątnym kształcie, mniejszy niż prom numer czternaście. Widziany z jej perspektywy, to on zdawał się koziółkować.

– Skąd przybyłeś? – zapytała.

– Przyleciałem do Pustki, żeby cię odnaleźć. Trochę to trwało; przepraszam za to. Jednak w końcu tu jestem.

– A niech to. Wspólnota wie, że tu jesteśmy?

– Raiele mi powiedzieli. Posłuchaj, wyjdę na zewnątrz, żeby ci pomóc, więc nie panikuj. Dobrze?

– Dobrze.

Zobaczyła małą srebrzystoszarą postać odrywającą się od kosmolotu. Miała na sobie ulepszoną wersję upręży manewrowej, jaka była w wyposażeniu kapsuł. Z dysz tryskały maleńkie obłoczki gazu, gdy postać się zbliżała.

– Możesz powiedzieć Joeyowi, że miał rację. Czas jest tutaj mocno popieprzony.

– Co? – zdziwiła się Laura.

Przez gajapole przemknęło pulsujące niedowierzanie Joeya.

– Czy on naprawdę właśnie to powiedział? – zapytał Joey.

Gazowe silniczki znów zadziałały, wyraźnie spowalniając obrót postaci.

– Joey jest przyklejony do obcej kuli; to kopie Ibu i Rojasa mu to zrobiły – powiedział jej Nigel. – Kula wciąga go w siebie.

– Joey! – zawołała. – Joey, nie. On kłamie, prawda? Kłamie. To ich nowy podstęp.

– Przepraszam – powiedział Joey z poczuciem winy i ulgą. Rozszerzył gajapole, obejmując nim Nigela.

– Joey – rzekł Nigel – kiedy otworzysz luk, zabiorę twoje zasoby pamięci. W ponownym życiu będziesz miał ciągłość wspomnień.

– Dziękuję.

– Co masz na myśli, mówiąc o otwarciu luku? – zapytała Laura.

– Obszedł zabezpieczenia – odparł Nigel. – Zamierza cię wpuścić, byś mogła użyć kapsuły, ale sam nie przeżyje. To był sprytny ruch, Joey. Nie chcesz zostać pożarty przez obcego. To nadzwyczaj nieprzyjemny rodzaj nanotechnologicznej broni biologicznej.

– Super – rzekł Joey. – Zatem jeśli wiesz o tym wszystkim, to nie cofamy się w czasie, no nie? Znajdujemy się w pętli czasowej, zgadza się?

– Tak.

– O! Kurwa, ile razy?

– Jestem tu teraz, Joey. To będzie ostatni raz. Obiecuję.

– W porządku. Dzięki.

Z upręży manewrowej Nigela trysnął gaz. Zatrzymał się metr od Laury. W rękę miał krótką smycz. Przypiął ją do pasa jej skafandra.

– Zabezpieczona. Możesz wyłączyć przyłgi.

– A niech to.

Laura właśnie zrozumiała, o czym oni mówili. *Pętla czasowa*. To była ta szczególna sygnatura kwantowa Lasu. Jakaś podstępna część jej świadomości miała nadzieję, że to podstęp, że kopie Ibu i Rojasa w końcu ją przechytrzyły. *Raz po raz, i znowu...* Jednak nigdy

nie potrafiliby wymyślić takiej zwariowanej bajki, w której Nigel Sheldon przybywał, żeby ocalić wszystkich – a gdyby jednak umieli, to i tak nie miałyby żadnej szansy ująć z życiem. Oderwała pozostałe przylgi i odłączyła się od kadłuba Czternastki.

– Mam cię – rzekł Nigel i ją objął. Gazowe silniki włączyły się, odpychając ich od promu.
– Joey. Powiedz, kiedy będziesz gotowy.

Zaczęli powoli sunąć wzdłuż długiego kadłuba promu.

– Już się robi. Gotowe.

Laura popatrzyła na płaską krawędź deltoidalnych skrzydeł w samą porę, by zobaczyć potężną fontannę gazu, tryskającą w przestrzeń przez otwierające się drzwi śluzy powietrznej. Prom numer czternaście zaczął się poruszać, wykonując upiornie nieregularne obroty, gdyż pióropusz uciekającej atmosfery zwiększył jego dotychczasowe obroty. Uprząż manewrowa Nigela pracowała nieprzerwanie, usiłując naśladować obroty promu i utrzymać przy nim.

Najwyraźniej w hangarze ewakuacyjnym pozostała niewiarygodnie duża objętość gazów. W końcu ich wypływ ustał. Chmura migoczących kryształków lodu skłębiła się przy rufie wirującego promu i szybko rozeszła.

Nigel przeleciał z Laurą tuż nad skrzydłem i przez otwarte drzwi hangaru. Niebieskie światła awaryjne ukazywały wszystko jako ostry relief.

– A zatem się udało – rzekł Joey. – Pewnie jednak wiedziałeś, że tak będzie, no nie?

– Owszem – odparł Nigel.

Przez gajapole Laura wyczuwała emocje Joeya: satysfakcję połączoną z fatalizmem. I lęk. Po raz pierwszy pozwolił sobie go okazać. Teraz jego myśli były podszyte cierpieniem, tęnym bólem rozchodzącym się z pustych płuc. Odczepiła linkę bezpieczeństwa Nigela i złapała za uchwyt. Mocno się przytrzymała i spojrzała na Joeya, wiedząc, co zobaczy, i pragnąc się mylić.

– A niech to, Joey. Nie, nie, nie.

Przywarł do obcej kuli. Jedna jego ręka, bark i kawałek torsu już się w nią zapadły. Bokiem głowy dotykał pomarszczonej czarnej powierzchni, która już pochłonęła ucho.

Trzymając się uchwytów, Laura ruszyła ku niemu.

– Nie dotykaj go – ostrzegł Nigel.

– Dlaczego nie powiedziałaś? Do cholery, Joey, dlaczego?

Implozja rozerwała naczynia kapilarne pod jego skórą, nadając jej szkarłatną barwę. Krew sączyła się przez pory i wokół gałek ocznych. Miał otwarte usta, z których przy każdym uderzeniu serca też wylatywał obłoczek maleńkich szkarłatnych kropelek.

– Nie chciałem, żebyś wszystko zepsuła przez sentyment. Straciłem to ciało w chwili, gdy złapał mnie fałszywy Rojas. A teraz jest tutaj Nigel. Tym razem to się zakończy, zanim zdąży się zacząć. Teraz wszystko, co zrobiliśmy, ma sens.

– Joey...

– Pozdrów ode mnie mojego klona. Przypomnij mi, jaki jestem szlachetny.

– Joey...

Połączenie przez gajapole znikło. Laura spoglądała na strasznie zniekształconą twarz Joeya, gdy kropelki krwi zaczęły wrzeć w próżni. Odsunęła się dopiero wtedy, kiedy ten obłok szkarłatnej mgły dotknął jej hełmu.

– I co teraz? – spytała beznamiętnie.

– Wejdź do drugiej kapsuły – powiedział Nigel. – Ja muszę zabrać zasoby jego pamięci.

Ominął ją, odczepiając od pasa apteczkę. Gdy zbliżała się do drugiej kapsuły, zobaczyła, jak Nigel przytyka ją do karku Joeya. Skupiła całą uwagę na wciąganiu się do środka. Wewnątrz siatka amortyzacyjna unosiła się splątana w kłęb, który rozsypała i zatrzasnęła sprzączki pasów bezpieczeństwa. Sekwencja uruchamiająca była prosta. Patrzyła, jak ożywają ekrany.

– Masz – powiedział Nigel.

We włazie pojawiła się jego głowa i ramiona. Podał Laurze małe plastikowe pudełko. Były na nim smugi krwi.

Wzięła je od niego i zacisnęła w dłoni. Nagle ekrany kapsuły zaczęły migotać.

– Co...?

– Ładuję dane nawigacyjne do sieci kapsuły – wyjaśnił Nigel. – Nie chcę, żebyś wylądowała na środku pustyni. Nie tym razem. To byłby jeden żart losu za dużo. Nie zamierzam ryzykować.

– Myślałam, że wrócimy na twój statek – powiedziała.

– Nie. Muszę jeszcze coś zrobić. Wylądujesz tą kapsułą na Bienvenido. Nie martw się; to będzie podróż bez niespodziewanych przygód. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, za kilka tygodni zostanie przeprowadzona szeroko zakrojona akcja ratunkowa. Pozostań w bezpiecznym miejscu do tego czasu, dobrze?

– Mam czekać? Na co?

– Zaufaj mi.

Wycofał się z włazu.

– Ale...

– Ruszaj. Szybko. Nie chcemy, żeby fałszywi Ibu i Rojas zepsuli nam teraz zabawę, prawda?

– Do diabła.

Luk się zamknął.

Pilotaż nie był jedną z wybitnych zdolności Laury, lecz jej zasoby pamięci zawierały kilka podstawowych plików. Wprowadziła je jako pomocnicze procedury do klastrów makrokomórkowych i zdołała wyprowadzić stateczek przez otwartą szluzę, tylko dwukrotnie zarysowując przy tym burty.

Czujniki pokazywały lecącego za nią Nigela. Potem znów poleciał do swojego statku. Ten wydał jej się trójkątny, ponieważ miał skrzydła. *Po co?*

Sensory kapsuły skupiły się na odległej o półtora miliona kilometrów planecie. Laura załadowała współrzędne do sieci, która dołączyła obraz do danych nawigacyjnych Nigela i

zaczęła wytyczać trajektorię. Pierwsze włączenie silników, trwające trzy minuty, wyprowadziło kapsułę z Lasu.

Kiedy mijala skraj drzew dystorsyjnych, w jej egzowizji pojawił się odczyt czasu. Minęło dwadzieścia siedem godzin i trzydzieści jeden minut, od kiedy prom numer czternaście wleciał do Lasu.

* * *

Nigel zaczekał, aż kapsuła wyleci z Lasu, a potem wycelował w prom numer czternaście. Promień lasera przeciął kadłub. Gaz i fragmenty poszycia wystrzeliły z wielkiej wyrwy, wprawiając jednostkę w nieskoordynowany ruch obrotowy. Prawe skrzydło się odłamało. Nigel ponownie wystrzelił z lasera, rozbijając kadłub na mniejsze kawałki. Kolejna wiązka trafiła w zbiornik paliwa i wybuch rozerwał resztki promu na strzępy. Wielka chmura odłamków rozeszła się w przestrzeni.

– W porządku – powiedział Nigel smartkorowi „Gwiazdnej Damy”. – Zabierz nas do środka Lasu.

Napęd ingrawowy gwiazdolotu zwiększył ciąg do dziewięciu procent.

– Naprawdę? – spytał Nigel.

– Tylko tyle jest osiągalne w tym środowisku – poinformował go smartkor. – Warunki na zewnątrz są dziwne.

Doszedł do wniosku, że popełnił błąd, obdarzając smartkor swoim głosem. Jednak zmienianie tego teraz nie miało sensu.

– A jak nam idzie określanie tych warunków?

– Analiza sygnatury kwantowej przebiega efektywnie.

– Czyli, mówiąc zwyczajnym językiem...

– Mamy dość danych, aby zainicjować identyczny efekt dystorsyjny dla zdetonowania rozpraszacza kwantowego. Jednakże miałeś rację; zmiany mają progresywny przebieg.

– Wiedziałem.

Nie zdołał powstrzymać uśmiechu satysfakcji. Żadne zmagania na taką skalę nie mogły mieć statycznego charakteru. Atak drzew Lasu na strukturę Pustki nieustannie się wzmaczał, gdy Pustka usiłowała ignorować swoje uszkodzenia. Tak jak podejrzewał po przeanalizowaniu wstępnych danych Laury, wzorem dostarczonym rozpraszaczowi kwantowemu przy jego inicjalizacji powinien być czas rzeczywisty. Superczułe sensory „Gwiazdnej Damy” trzeba będzie bezpośrednio połączyć z głowicą bojową.

– A zatem nie ma mowy o zdalnym odpaleniu?

– Nie.

Usiadł wygodnie i rozejrzał się po owalnej kabinie. Jego u-adiunkt łączył się z wizyjnymi sensorami kadłuba, ukazując konstelacje błyszczących, enigmatycznych drzew dystorsyjnych, pomiędzy którymi przemykali. W oddali był widoczny jasny półksiężyc Bienvenido.

– Podobałoby się jej to latanie w kosmosie. Spoglądanie z daleka na jej świat.

– Zazna tego. Także z tobą.

– Byle nie z Ozziem.

– Zazdrosny?

– Ja tylko nie chcę, żeby znów została zraniona. Dlatego jestem tu i to robię. Kiedy Pustka zniknie, ona pozna prawdziwego mnie.

– Jesteś prawdziwy.

– Tak, ale nie może być nas dwóch. A ja jestem tylko kopią, obojętnie jak fizycznie lepszą od oryginału. Nie wolno jej zmuszać do nieprzyjemnego wyboru. To nie byłoby w porządku.

– Jestem pewny, że sobie poradzi. Wiele ją nauczyłeś. Powinieneś być dumny.

– Jestem. Jaki jest odstęp czasowy między wprowadzeniem wzoru a detonacją?

– Oceniam, że dziewięć pikosekund.

– Spory.

– Z tym też robię, co mogę.

– Zatem nie ma absolutnej pewności, prawda?

– Prawda. Tak więc... skorzystajmy z awaryjnego zasobnika Pauli.

– Naprawdę?

– Tak. Załaduj wspomnienia Joeya, zabezpieczając je, i zrób to. Na wszelki wypadek.

Sensory pokazały mu odlatujący od „Gwiazdnej Damy” zasobnik – kulę dziwnie podobną do jaja Upadłych. Napęd ingrawowy łagodnie unosił ją w dal. Nigel się skupił. *Nie mogę o tym powiedzieć Pauli* – zastanawiał się. – *Pomyślałaby, że nie można mi ufać. Nie mogę na to pozwolić.*

– Trzy minuty do centrum Lasu – powiedział smartkor.

– Świetnie. Zsyntetyzuj mi trochę piwa i pizzę.

– Masz regres umysłowy?

– Myślę, że w tym momencie mogę sobie pozwolić na odrobinę komfortu.

Procesor żywieniowy pisnął. Nigel podszedł do niego i radośnie uśmiechnął się na widok brązowej szklanej butelki i płaskiego, prostokątnego pudełka z kartonu.

– Dzięki. Do licha, nie widziałem tej etykiety od tysiąca lat. Zapach przywołał wspomnienia sprzed wielu lat. Akademików i całonocnych sesji w hipersześcianie wydziału fizyki, wielogodzinnych ożywionych sporów z Ozziem, gdy wypraszała, wypożyczali i podkradali aparaturę do zbudowania portalu. Jego pierwszy ślad stopy na Marsie.

Nigel pociągnął długi łyk piwa.

– Pamiętałem, że właśnie tak smakuje. Tanie, słabe i sfermentowane. Doskonale.

– Jesteśmy w środku Lasu. Mam odliczać?

– Do diabła, nie. Po prostu to zrób.

Wbił zęby w gorący kawałek pizzy...

* * *

Demitri dogonił ich po południu następnego dnia od startu, konno przyjeżdżając do ich obozu u podnóża gór Algory.

– Gdzie jest Valeri? – zapytała Kysandra.

Demitri zsiadł z konia.

– W Dios, mając oko na wszystko.

– Nic na tej planecie nie ma już znaczenia?

– Miejmy nadzieję, że nie.

Rozpalili ognisko. Nie przejmowali się tym, że ktoś może to zauważyć. Ge-orły nadal krążyły wysoko nad ich głowami, wypatrując pościgu. W promieniu dwudziestu mil nie było żywej duszy.

Kysandra uparła się, że przesiedzi większość nocy, czekając.

– Jak długo? – zapytała, gdy płomienie ogniska strzelały iskrami w noc. Nad ich głowami piękne mgławice błyszczały, jak wiedziała, ostatni raz; Giu i Uracus po przeciwnych stronach nieba, jak zwykle spoglądając na siebie. Nieważne; wkrótce zobaczy nocne niebo pełne gwiazd.

– Dotarcie do Lasu powinno zabrać „Gwiezdnej Damie” mniej więcej dwadzieścia dwie godziny – odparł Fergus. – Ale nie zapominaj, że musi zlokalizować prom numer czternaście.

Kysandra objęła rękami kolana i zakołysała się.

– Pospiesz się, Nigelu!

Marek położył dłoń na jej ramieniu, potrząsnął nią i zbudził. Popatrzyła ze zdumieniem. Ktoś nakrył ją kocem. Ognisko się dopalało. Świt rozjaśniał niebo na wschodzie, pozwalając mgławicom zblaknąć w lazurze. Tuż nad horyzontem blado srebrzył się Las.

– Co się stało? – spytała zaniepokojona. – Dlaczego nie wybuchł?

– Już niedługo – zapewnił ją Marek. – Myśleliśmy, że lepiej będzie cię na to obudzić.

– Dziękuję.

Z wdzięcznością skinęła głową.

Demitri podał jej kubek z herbatą. Usiadła i przeciągnęła się. Wzmocniła osłonę. Nie chciała, by ZANdroidy wiedziały, jak bardzo się niepokoi. Myślała, że detonacja rozpraszacza kwantowego nastąpi znacznie wcześniej.

Popijała rozgrzewającą gorącą herbatę, z niechęcią spoglądając na złowrogą rozmazaną plamę, która zaczęła znikać w promieniach wschodzącego słońca.

– Lepiej żebyś teraz nie patrzyła na Las – powiedział Fergus.

– Dlaczego?

– „Gwiezdna Dama” ma masę około trzystu ton. Wybuch rozpraszacza kwantowego zmieni ją w energię wzmacniającą działanie. Nawet jeśli jej dziewięćdziesiąt procent zostanie skutecznie przekształcone w kwantową falę dystorsyjną, pozostałe dziesięć procent to wciąż piekielnie silny strumień promieniowania.

– Błysk będzie jaśniejszy niż słońce – powiedział Marek. – I pojawi się bez ostrzeżenia.

W zadumie zmarszczyła brwi.

- A co z promieniami gamma? Nie będą szkodliwe?
- Atmosfera powinna nas ochronić.
- Powinna?
- To zależy od...

Marek skłamał. Wybuch nie był jaśniejszy od słońca. Był tak jasny, tak oślepiający, że zakrył cały świat plandeką jednolitej srebrzystej bieli. Kysandra krzyknęła zaskoczona, gdy wszystko znikło w tym potoku oślepiającego blasku. Instynktownie zasłoniła dłonią już i tak zamknięte oczy. Biel przygasła do jasnego szkarłatu. *Kolor krwi.*

Serce biło jej tak szybko jak wtedy, gdy „Gwiezdna Dama” wbiła się w niebo. Pragnęła zaryzykować i otworzyć oczy, ale zbyt się bała.

- W porządku – zapewnił ją Fergus. – Już po wszystkim.

Teraz po prostu przeraziła ją cisza towarzysząca temu rozbłyskowi niszycielskiego światła. Czemuś tak potężnemu powinien przecież towarzyszyć gromowy huk rozpadającej się planety. Ostrożnie otworzyła jedno oko. W polu widzenia miała tylko purpurowe i żółte plamy mroczków. Mrugała przez chwilę, próbując się ich pozbyć. Pomocnicze procedury pomogły odfiltrować siatkówki.

Trzy ZANDroidy stały razem, trzymając się za ręce, z odchylonymi głowami, żeby móc obserwować poranne niebo.

Kysandra odwróciła się, by spojrzeć na Las. Głośno wciągnęła powietrze i jej usta zadrżały w uśmiechu. Las wciąż tam był, ale teraz otaczała go aureola jasnego szmaragdowego światła. Na jej oczach strumienie tego światła przecięły przestrzeń jak gwiazdne błyskawice. Jedna pomknęła ku Bienvenido, przechodząc tuż nad atmosferą, i ta część nieba nagle spłynęła turkusem.

- Wielki Giu – jęknęła. Wybuch rozdarł samą przestrzeń.
 - Promieniowanie Czerenkowa – wyjaśnił Fergus. – Udało się. Pustka się rozpada.
- Kysandra roześmiała się z radości, gdy te równe zielone pęknięcia się zwielokrotniły.
- Zrobił to. Och, Giu, zrobił to!

Mgławice znikły, ich delikatne światło przyćmiła surowa energia szczelin. Jej uśmiech przygasł. Oprócz Uracusa. Ten nadal tam był. Złowrogie skupisko fluorescencyjnego szkarłatu i żółtych strzępów było centrum szalejącej burzy radiacyjnej. Szmaragdowe katarakty wiły się w udreće, odbijane przez Uracusa.

Podbarwiony czerwienią blask złowrogiej mgławicy stawał się coraz jaśniejszy.

- On rośnie – jęknęła. – Uracus rośnie.

Rakowaty twór, który wraz ze słodkim Giu przez całe jej życie dominował na nocnym niebie Bienvenido, gwałtownie falował jak widmowy wąż wijący się w przestrzeni. I wyraźnie się powiększał.

– To niemożliwe – powiedział Marek. – Coś tak dużego nie może poruszać się tak szybko. Przecież rozciąga się na odległość wielu lat świetlnych. I lata świetlne stąd.

- Zatem... ten proces zaczął się przed laty? – spytała niepewnie Kysandra.

– Nie sędzę – odparł Fergus.

Kysandra cofnęła się o krok. Uracus zajmował teraz ćwierć nieba. Wijące się akwamarynowe szczeliny kwantowych dystorsji cofały się przed nim.

– Hm... – westchnęła. – Czy to zbliża się do nas?

– O rany – mruknął Demitri.

– Pustka go wie – powiedział Marek. – Wyczuwa wewnętrzne zniszczenia wywoływane przez rozpraszacz kwantowy. Może to jest mechanizm jego reakcji.

– Przecież na Uracusa idą złe dusze – jęknęła Kysandra. – On jest tym, co we Wspólnocie nazywają piekłem. Tak mówił mi Nigel.

– Nie pójdziemy do piekła, Kysandro – uspokajał ją pospiesznie Fergus.

Kysandra mu nie uwierzyła.

Uracus wypełniał teraz całe niebo, a jego splątana sieć topazowych i szkarłatnych pasm plazmy złowrogo pulsowała, mknąc ku Bienvenido. Złociste skry tryskały wokół głównej wyrwy, przesuając się obok poszczególnych pasm niczym chmary oszalałych meteorów.

– Uderzy w nas! – krzyknęła Kysandra. – Spadnie na Bienvenido!

Uracus ich spowił. Słońce znikło w poszarpanych wirach jego fosforescencji – zaćmienia, które znów pograżyło planetę w nocnych ciemnościach. Teraz rozświetlał ją tylko słaby i zimny blask z efektem mory. Sam środek tej mgławicy przecięła czarna szczelina. Długie i nikłe pasma pulsującego jasnoczerwonego i szafranowożółtego gwiazdnego pyłu spłynęły w tył wielkimi kataraktami, milionem spienionych wodospadów wypływając z tego wszechświata. Coraz głębiej i głębiej spadały w rozwierającą się, bezkresną i bezświetlną otchłań.

Nagle Bienvenido wpadło w nią wraz z tymi fenomenalnymi kaskadami. A Uracus za nimi.

* * *

Nigel Sheldon zbudził się gwałtownie, z umysłem wciąż zmrożonym snem o straszliwej otchłani, słanym przez ZANdroidy. Otworzył oczy.

Torux obserwował go z drugiego końca prywatnej kabiny na pokładzie „Olokkurala”.

– Co się tam stało? – zapytał Nigel. – Przestałem ich odbierać. Gdzie się podzieli, do diabła?

EPILOG

ZA OTCHŁANIĄ

Idąc przez ogród na tyłach rezydencji, Kysandra słyszała w górze monotony warkot samolotów Sił Obrony Powietrznej. Nie była zdziwiona; po południu ogłoszono przez radio alarm antyupadkowy. Wielkie radary Urzędu Straży Kosmosu wychwyciły rój jaj lecących na Bienvenido z Pierścienia. Przewidywana strefa Upadku miała się znajdować na zachód od Port Chana i w pobliżu gór Sansone; uderzenie nastąpi o piątej rano.

Nie przestawiając siatkówki na podczerwień, nie mogła dostrzec samolotów na czarnym jak węgiel nocnym niebie. Jednak każdego cieszył ten charakterystyczny dźwięk bliźniaczych silników maszyn IA-505. Stacjonowały na aerodromie lotniczego szwadronu okręgu, tuż za miastem. Dotychczas dostarczono Port Chana pięć tych maszyn, a dostawy trzech następnych spodziewano się pod koniec roku. Były istnym cudem techniki prymitywnego przemysłu Bienvenido i pierwszymi samolotami z zamontowanymi karabinami maszynowymi Gatlinga, mogącymi przebić skorupę jaja Upadłych. W radiu wciąż wychwalano dzielnych robotników nowych linii produkcyjnych, którzy nadawali projektom Laury Brandt metalową formę.

Kysandra musiała podziwiać za to Laurę. Ta miała do czynienia z inżynierami nawykłymi do maszyn parowych. Widlaste silniki V12 były czymś, co ledwie pojmowali. Fabryki Bienvenido po niewielkiej modernizacji zaczęły wytwarzać części. Produkcja rosła. Niebo będzie bezpieczniejsze.

Duży budynek obserwatorium był prostym owalnym murem nakrytym kopułą, której drewniane płatki można było rozchylić, żeby wycelować teleskop w niebo. Na tym terenie nie było drugiego takiego budynku, co prędzej czy później wywoła problemy. Kysandra nadal nie zdecydowała, czy powinni rozebrać budynki zawierające wszystkie działające urządzenia, które Nigel usunął z „Gwiazdnej Damy” przed jej startem. Czy może ona i ZANdroidy powinni po prostu się stąd wyprowadzić. Życie polegające na nieustannej ucieczce niezbyt jej odpowiadało. Teraz jednak, gdy moduł medyczny skończył ulepszać bionicznie jej ciało, właściwie już go nie potrzebowała. Jednak syntetyzatory semiorganiczne – to zupełnie inna sprawa. Nie chciała ich porzucać. Mogły wytwarzać mnóstwo użytecznych przedmiotów Wspólnoty.

Przez sześć miesięcy kompletowali specjalistyczne części do teleskopu Demitriego. Teraz ten zbiór idealnie gładkich zwierciadeł i elektronicznych sensorów mógł badać niebo jak żaden inny przyrząd na Bienvenido. Demitri spędzał w obserwatorium każdą noc, wypatrując... no cóż, czełgokolwiek.

Bienvenido powoli obracało Port Chana ku wschodzącemu słońcu, w wyniku czego nad horyzontem pojawił się Aqueous: silnie świecący niebieski punkt, widoczny nawet w mroku nocy. Znajdujący się w odległości siedemnastu milionów kilometrów na tej samej orbicie, sąsiadujący z ich planetą wodny świat był zbyt odległy, żeby go zobaczyć gołym okiem jako

półksiężyc. W przeciwieństwie do Valatare, gazowego olbrzyma, który orbitował wokół ich nowej gwiazdy zaledwie dziesięć milionów kilometrów dalej. Gdy oba te ciała niebieskie były w koniunkcji, jego różowy dysk dominował na niebie, wywołując fale niszczące przybrzeżne miasta i burze przetaczające się po lądzie.

Donośny warkot silników V12 cichł na zachodzie, gdy otworzyła drzwi obserwatorium i weszła do środka. Demitri siedział na stołku, w grubym swetrze chroniącym przed nocnym chłodem. Na stole za nim stały moduły procesorów sterujących teleskopem, a na jednym z nich staroświecki hologram portalu. Sam wielki zwierciadlany teleskop zajmował większość obserwatorium. Tej nocy był skierowany w stronę jakiegoś punktu na południowym zachodzie.

Demitri obejrzał się, gdy weszła.

– Jak przebiegł proces?

– Och. – Niedbale machnęła ręką, udając brak zainteresowania. Wciąż dziwnie się czuła bez egzowizji, a także teka, skoro o tym mowa. Nawet teraz, pięć lat po Wielkim Przejściu, często próbowała wyczuć emocjonalną zawartość umysłów każdego napotkanego człowieka, choć myśli ZAndroidów nie byłaby w stanie odczytać nawet w Pustce. – Zgodnie z oczekiwaniami.

Krótkofalowy sygnał radiowy ze stolicy irytująco rwał się przez całą noc, ale nigdy nie było żadnych wątpliwości, jaki będzie wynik procesu.

– Bethaneve została uznana za winną zdrady. Najwyraźniej spiskowała z innymi kontrewolucyjnymi siłami przeciwko Jedności Demokratycznej.

– O rany. Ciężko być żoną dyktatora-paranoika. Ostrzegałem ją.

– Została skazana na dwadzieścia lat w kopalniach Pidrui. Najwyraźniej nasz wielki i wspaniały premier Slvasta prosił sąd, żeby nie okazywał łaski. Chciał jasno dać do zrozumienia, że teraz wszyscy są równi. Bez wyjątków.

– Jeśli mu się pogorszy, będziemy musieli go zabić.

– Nie możemy sobie pozwolić na destabilizację państwa. Nie teraz. Zbyt wiele mamy Upadków z Pierścienia. Bienvenido musi mieć jakieś sprawne siły zbrojne, inaczej nas pokonają.

– Założę się, że tak mówił kapitan Cornelius.

– Zapewne – przyznała. – Co chciałeś mi pokazać?

Wyciągnął spod stołu drugi taboret. Kysandra na nim usiadła i pojawił się hologram portalu. Mała owalna plama światła wisiała na jego środku, jak lśniący wir huraganu.

– To – rzekł wesoło.

Przyjrzała się temu z zainteresowaniem. Nie była to jedna z dziewięciu pozostałych planet, z jakimi dzieli samotne słońce w tym dziwnym mrocznym wszechświecie, do którego wtrącił ich Uracus. Ani drzewo z Pierścienia krążącego pięćdziesiąt trzy tysiące kilometrów nad Bienvenido; nie ten kształt.

– Władca Niebios? – spytała ostrożnie.

– Nie – rzekł Demitri. – To galaktyka.

– Cholera!

– Właśnie.

– Jak daleka?

– Ledwie widoczna. Wstępnie szacuję, że oddalona o mniej więcej trzy i pół miliona lat świetlnych.

– Jak się tam znalazła?

– To niewłaściwe pytanie. Teraz powinniśmy zapytać, jak my dostaliśmy się tutaj? To niewątpliwie nasz wszechświat, więc myślę, że wiem, co się stało podczas Wielkiego Przejścia. Zastanów się: obie planety w Pustce wiedziały o Sercu jako miejscu, do którego idą spełnieni. Wiedziały również o istnieniu innego miejsca: ten fakt ma ogromne znaczenie. Na Querencii zwali to Honiousem. Na Bienvenido Uracusem. Wrotami piekieł... lub gorzej. A my teraz jesteśmy po ich drugiej stronie. To tutaj zostają zesłani odrzuceni przez Pustkę. A ona niczego nie robi połowicznie; cisnęła nas gdzieś daleko w przestrzeń międzygwiazdną. Tak daleko, żebyśmy już nigdy nie mogli jej zagrozić.

Kysandra patrzyła jak urzeczona na tę niepozorną świetlistą plamę.

– Czy to nasza galaktyka? Ta ze Wspólnotą?

– Nie. Jednak teraz wiem, czego szukać, i mogę stworzyć odpowiednie algorytmy dla teleskopu. Możemy zlokalizować inne galaktyki i zacząć sporządzać mapę. Rozkład galaktycznych superklastrów ma znaną wartość; mamy ją w plikach skopiowanych z „Gwiezdnej Damy”. Kiedy zaczniemy je rejestrować, będziemy mogli ustalić ich rzeczywiste położenie we wszechświecie.

Kysandra spoglądała na teleskop, nie pozwalając sobie na nadmierny optymizm.

– Zatem uważasz, że możesz odnaleźć naszą galaktykę?

– Z czasem, tak.

– A wtedy będziemy mogli tam polecieć? Wrócić do domu?

– Tak. Chociaż to może trochę potrwać.

KONIEC...

Ciąg dalszy opowieści o Bienvenido w *Nocy bez gwiazd*